

Holenderska odpowiedź  
na MILLENNIUM Stiega Larssona

# WALTER LUCIUS



# MOTYL I BURZA

  
AMBER

**WALTER LUCIUS**

**MOTYL I BURZA**

Przekład  
**RYSZARD TURCZYN**



Redaktor serii  
Małgorzata Cebo-Foniok

Korekta  
Barbara Cywińska

Projekt graficzny okładki  
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcia na okładce  
© PointImages/Shutterstock  
© Artgan/Shutterstock

Tytuł oryginału  
De vlinder en de storm

De vlinder en de storm © 2016 by Walter Lucius  
Originally published by Uitgeverij Luitingh-Sijthoff B.V., Amsterdam  
All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana  
ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu  
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition  
Copyright © 2017 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6376-2

This publication has been made possible with financial support  
from the Dutch Foundation for Literature.

**N**ederlands  
letterenfonds  
dutch foundation  
for literature

Warszawa 2017. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.  
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysienki 58

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)

Konwersja do wydania elektronicznego  
P.U. OPCJA

*Dla Nicole,  
najpiękniejszego imienia miłości*

*All along the watchtower, princess kept the view  
While all the women came and went, barefoot servants, too  
Outside in the distance a wildcat did growl  
Two riders were approaching, the wind began to howl.*

Bob Dylan

(Wzdłuż strażniczej wieży księżniczka spoglądała,  
Niewiasty miały się w popłochu i służba bosa biegła.  
Gdzieś w oddali głos żbika, jakby walczył o życie,  
Dwóch jeźdźców się zbliżało i wichru wzmogło się wycie.)

## Część 1

# TANCERKA

*W takim pędzie pokonywał drogę między drzewami, że aż dwa razy się przewrócił. Było ciemno. Zgubił klapki i biegł na bosaka. Prawie nie czuł bólu, jaki sprawiały mu połamane gałęzie, rozcinające skórę stóp. Obijał się boleśnie palcami o wystające korzenie, ale na to też nie zwracał uwagi. Jeszcze nigdy w życiu nie biegł tak prędko.*

*Przez ten krótki czas, kiedy biegł prawdziwym sprintem, miał takie wrażenie, jakby zaczynał odrywać się od ziemi. Szybował, podczas gdy gałęzie smagały go po twarzy i ciele. Nie czuł bólu, kiedy jeden z kolczyków zaczepił o gałąź i szybkość biegu wyrwała mu go z płatka ucha. Euforia udanej ucieczki czyniła go nieczułym na ból, dawała mu siłę, dawała mu prędkość.*

*Wszystko w nim było w niemal zwierzęcy sposób nastawione na bieg. Każdy oddech, każde uderzenie serca, każdy ruch służył ucieczce. Nie miało znaczenia, w którą pobiegnie stronę. Chodziło tylko o to, żeby biec. Tak długo, tak szybko i tak daleko, jak tylko się da.*

*Próbował już raz wcześniej, ale wtedy go złapali. Od bicia miał rany, które tygodniami nie pozwalały mu spać. Mimo wszystko odważył się znowu. Człowiek o długich czarnych włosach wycisnął pocałunek na jego rozplomienionym policzku, swoją wielką ręką pchnął go w plecy i wykrzyczał jakieś polecenie w niezrozumiałym języku.*

*Słyszał strzały i biegł dalej. Dopóki biegł, czuł się bezpieczny. Biegł w stronę światła widocznego za drzewami. Słyszał już tylko własny oddech i bicie serca. Pragnął zamknąć w objęciach szybko zbliżające się światło, jakby to było jego wybawienie.*

*Światło uderzyło go z głuchym hukiem.*

Farah Hafiz starannie odłożyła naszyjnik z posrebrzaną zawieszka obok trzech srebrnych pierścionków i bransoletki z czarnej skóry. Spojrzała w jasnoniebieskie oczy swojego nagiego odbicia w lustrze i przesunęła opuszkami palców po niezliczonych drobnych bliznach na ramionach, piersiach i brzuchu. Kiedyś sama zrobiła te nacięcia na swojej karmelowej skórze w niejasnym przeświadczeniu, że miłość nie istnieje bez bólu.

Nie ma na co czekać: smoliście czarne włosy, spadające w skręconych kosmykach aż do ramion, zostają zebrane ku górze i ściągnięte w ciasny węzeł.

Potem trzeba wciągnąć szerokie spodnie z czarnej satyny i zawiązać wokół bioder. Ręce wsunąć w szeroko rozcięte rękawy bluzy, a ją samą związać czerwoną satynową szarfą, tak żeby jej poły opadały na lewe biodro.

Farah Hafiz ponownie spojrzała na siebie, jak stoi w sportowym stroju. Chociaż od świata zewnętrznego oddzielała ją jedynie cieniutka warstwa jedwabistej tkaniny, to w myślach zamknęła się w pancerzu. W niewidocznej, ale nie dającej się przebić kolczudze. Zrobiła głęboki wdech, zamknęła oczy i starała się wyprzeć okrzyki tłumu, które w nieregularnych falach docierały przez podziemia ze starej sali teatru Carré aż do jej szatni.

Ugięła lekko kolana i zaczęła wykonywać ćwiczenia rozgrzewające, których kiedyś nauczyła się od ojca. Nie minęła chwila i słyszała już tylko własny oddech. Znowu miała pięć lat i stała w otoczonym murem ogrodzie na tyłach rodzinnego domu, pod starą jabłonią w Wazir-Akbar-Khan, bogatej dzielnicy Kabulu. Obok ojca w śnieżnobiałej koszuli i szytych ręcznie lnianych spodniach. Liczył na głos w niezrozumiałym dla niej języku, którego sam nauczył się jako mały chłopiec od indonezyjskiej niani:

– *Satu, dua, tiga...*

Farah wypowiadała teraz szeptem te same słowa w amsterdamskiej szatni starego budynku cyrku na drewnianych palach. Te same słowa, po każdym wydechu:

– *Satu, dua, tiga.*

W tym samym momencie otworzyły się drzwi i zobaczyła w nich sylwetkę swojego trenera.

Do środka dotarł niski głos spikera, zapowiadającego kolejną walkę. Ruszyła wąskimi korytarzami w stronę wielkiej sali, wychwytyjąc w drodze strzępy zapowiedzi.

– ...Farah Hafiz! Anioł zemsty o ciele i sile orientalnej tygrysicy!

Orientalnej? Od dziesiątego roku życia mieszkała w Holandii. I chociaż w jej piersi biło aż nazbyt afgańskie serce, to postrzegala siebie jako Holenderkę.

Mrużąc oczy, weszła w białe światło punktowego reflektora i wbiegła po schodkach na znajdującą się na podwyższeniu matę. Jej przeciwniczka po drugiej stronie, białowłosa Rosjanka, wyglądała jak sęp. Zimna i bezlitosna. Farah na próżno szukała u niej objawów respektu. Sama miała raczej mieszane uczucia. Brała udział w tej gali, ponieważ uwielbiała sporty walki. Obok dziennikarstwa był to najważniejszy sens jej życia. *Pencak silat*, szlachetna sztuka walki z Archipelagu Malajskiego. Nauczył ją tego ojciec i już choćby z tego powodu wiedziała, że



będzie uprawiać tę dyscyplinę sportu przez całe życie. Było to coś na zawsze. Był to też sposób życia. Nieustający mentalny i duchowy rozwój w pozytywnej intencji i z humanistycznym przesłaniem.

Zamknęła oczy i raz jeszcze powróciła do ciszy, w której się przygotowywała. Obok niej znowu stał ojciec. Na chwilę odebrany śmierci. Przemawiał do niej łagodnym głosem kogoś, kto już nie musi się niczym przejmować.

„A pamiętasz jeszcze, co zrobiłaś, kiedy po raz pierwszy poczułaś strach?”

Pamiętała.

„Musisz poczuć strach, aby móc przez niego przejść”.

Przyjęła pozycję wyjściową w niewielkiej odległości od przeciwniczki. Prawa dłoń otwarta i skierowana do przodu, jakby w zastygłym uderzeniu w wymaginowany mur. Rosjanka stała naprzeciwko niej w lustrzanej pozycji.

Farah poczuła niemal elektryczne napięcie, kiedy ich nadgarstki niemal się zetknęły.

Wiedziała, że samą siłą nie ma cienia szansy z tą kobietą.

Musi być zwinna i szybka.

Kiedy rozległ się okrzyk sędziego, zareagowała ułamek sekundy za wolno. Rosjanka chwyciła jej lewe przedramię i z całej siły pchnęła je w tył. Farah poczuła raptem, jak paraliżuje ją fala strachu. Nagle miała przeciwko sobie dwojkę przeciwników: swoją rywalkę i siebie samą. Musi być jak bambus, który odgina się, a potem z całym impetem oddaje. Nie jak napięta struna, która może pęknąć przy pierwszym ruchu. Musi sterować walką. Oddychać. Myśleć.

Kątem lewego oka dostrzegła nadlatujący cios. Sparowała go i unieruchomiła rękę przeciwniczki. Szarpiąc się nawzajem i próbując przewrócić jedna drugą, wirowały na macie. Nagle Rosjanka sięgnęła w górę i złapała Farah za jej długie włosy. Walcząc z napływającymi jej do oczu łzami bólu, Farah wykonała nożyce, rzucając przeciwniczkę na plecy, i przycisnęła jej rękę do piersi, robiąc dźwignię na staw łokciowy. Rosjanka leżała pod nią unieruchomiona.

Nagle Farah poczuła piekący ból w lewej łydce. Jej przeciwniczka z całej siły wbiła zęby w jej nogę. Ból przeszył całe jej ciało, ale zamiast rozluźnić chwyt, Farah jeszcze mocniej wygięła ramię Rosjanki.

Leżały tak przez jakąś chwilę, Rosjanka unieruchomiona dźwignią na łokieć, Farah z determinacją utrzymująca chwyt, ze łzami bólu w oczach, aż wreszcie sędzia uderzył płaską dłonią w ich napięte ciała.

– *Berhenti, berhenti!* Stop, stop!

Farah rozluźniła chwyt i podniosła się chwiejnie, przesuwając dłonią po łydce, co pozostawiło krwawy ślad na jej nadgarstku. Spojrzała w przymrużone oczy Rosjanki i nagle poczuła, jak wypełnia ją siła, nad którą nie ma żadnej kontroli. To była jedna z tych chwil, których najbardziej się bała. Ktoś lub coś zyskiwało nad nią władzę, sprawiając, że robiła rzeczy, nad którymi nie panowała.

Zanim zorientowała się, co robi, wyprowadziła prawy prosty w podbródek przeciwniczki. Poprawiła lewym pod zębra, a potem całym ciężarem ciała wyprowadziła kopnięcie, które sprawiło, że Rosjanka padła na matę jak szmaciana lalka.

Gdzieś z oddali słyszała, jak ktoś krzyczy jej imię. Spojrzała za siebie. Na matę wskoczył jej trener. W jego oczach widziała panikę.

Kiedy odwróciła się z powrotem, zobaczyła, jak sędzia i jego pomocnik pochylają się nad ciałem Rosjanki, leżącej bez ruchu na macie.

W sali zaległa martwa cisza.

Niebieskie światła na dachu karetki odbijały się niemalże fluorescencyjnie w kropłach deszczu uderzających w przednią szybę. Chociaż wycieraczki pracowały jak szalone, na nieoświetlonej leśnej drodze prawie nie było nic widać, lecz Daniëlle Bernson ślepo ufała umiejętnością swojego kierowcy, który bezustannie konsultował się z dyspozytornią, ponieważ nie do końca było wiadomo, gdzie szukać ofiary.

Chodziło o dziecko. Zgłaszający nie podał dokładnej lokalizacji.

W lusterku wstecznym Daniëlle zobaczyła szybko zbliżający się policyjny radiowóz na sygnale. Kiedy znów spojrzała przez przednią szybę, aż krzyknęła. Niecałe piętnaście metrów przed nimi widać było nieruchomy kształt leżący na drodze. Kierowca, rytmicznie naciskając pedał hamulca, zatrzymał karetkę tuż przed leżącym w poprzek drogi ciałem. Daniëlle natychmiast wyskoczyła z karetki ze swoją niebieską walizką i balonikiem do sztucznego oddychania, prosto w deszcz.

To była dziewczynka. Leżała na brzuchu na mokrym asfalcie. Głowa była odwrócona płasko w bok, prawe ramię wykrzywione pod nienaturalnym kątem. Lewe ramię leżało nieruchomo wyciągnięte wzdłuż ciała, a prawa noga dziwnie odstawała w bok, zupełnie jakby nie chciała przynależeć do reszty ciała.

Daniëlle przyklęła, ostrożnie ujęła głowę i szyję dziewczynki i wspólnie z szoferem, który pośpieszył na pomoc, powoli odwróciła ciało na plecy.

Unieruchomiła szyję dziewczynki usztywniającym kołnierzem. Sądząc po ciemnobrązowej skórze i czarnych jak smoła włosach, było to dziecko ze Wschodu. Wyraziste czarne linie wokół oczu i krwista szminka na ustach rozplynęły się jej po twarzy. Dziewczynka miała na sobie szatę z purpurową bordiurą, zupełnie jakby wracała z jakiejś tradycyjnej uroczystości. Ponadto była obwieszona ozdobami: miała je w uszach, wokół szyi, na nadgarstkach i kostkach. Ozdoby zrobione z drobnych miedzianych cekinów, które przy najlżejszym ruchu podzwaniały jak zwariowane.

Oczy dziecka była zamknięte. Jediną oznaką życia był rżący oddech. Daniëlle odgarnęła z twarzy dziecka włosy lepiące się od krwi z rany na głowie i zaczęła podawać tlen.

Za jej plecami policyjny radiowóz sprawnie manewrował na prawym poboczu, by ostatecznie w bezpiecznej odległości stanąć w poprzek drogi z migającym kogutem. Daniëlle usłyszała też gwałtowne hamowanie innego wozu za jej plecami, który zatrzymał się za karetką. Rozległ się odgłos otwieranych i zatraskiwanych drzwi i szybko zbliżających się kroków. W chwilę później naprzeciw niej przykucnął starszawy mężczyzna, wyglądający na Marokańczyka.

– Nie tak blisko! Muszę mieć miejsce – powiedziała poirytowana. Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła niechęć na twarzy mężczyzny.

– Marouan Diba, z kryminalnego – powiedział, nawet na nią nie patrząc. – Są jacyś świadkowie?

– Nie. Leżała tutaj całkiem sama.

Drugi śledczy otworzył parasol i trzymał go nad Daniëlle, przyświecając jej latarką.

Dziewczynka zaczynała sinieć wokół ust. Daniëlle wyjęła stetoskop i osłuchiwała kolejno prawą i lewą stronę klatki piersiowej. Po prawej stronie słyszała szmery oddechowe, po lewej nic.

– Odma opłucnowa przeżna.

Wiedziała, że to ciężko ranne dziecko zaczyna umierać. Uderzenie pojazdu musiało złamać kilka żeber i podwyższone ciśnienie w klatce piersiowej uniemożliwiało sercu prawidłowe przepompowywanie krwi. Wyjęła z walizeczki najgrubszą igłę infuzyjną, jaką mogła znaleźć, przyłożyła ją do klatki piersiowej dziewczynki między drugim a trzecim żebrzem i ostrożnie wbiła w ciało. Kiedy wyciągnęła ją z powrotem, dał się słyszeć cichy syk uchodzącego z płuca powietrza. Zupełnie jakby spuściła powietrze z balonu.

Marokańczyk zaklął cicho, co najwyraźniej było jego sposobem na okazywanie ulgi. Daniëlle nie zareagowała.

– Musiała bardzo mocno uderzyć w coś głową. Przypuszczalnie najpierw w maskę, a potem w asfalt – powiedziała. – W najlepszym razie ma silne wstrząśnienie mózgu.

– A w najgorszym? – spytał policjant.

– Liczne krwawienia wewnętrzne – odpowiedziała Daniëlle, sprawdzając oddech dziewczynki. Zaraz potem poleciła asystentowi przygotowanie kroplówki. Spojrzała na dziwną pozycję prawego uda dziewczynki. Teraz dopiero zobaczyła, że wystaje z niego kawałek kości, a samo udo coraz bardziej puchnie.

Ostrożnie obmacała miednicę dziewczynki i przestraszyła się, stwierdziwszy w jednym miejscu ruchomość.

– Najprawdopodobniej ma też złamaną miednicę. A to oznacza, że wykrwawia się wewnętrznie.

Wyjęła nożyczki i zaczęła rozcinać szatę w okolicy bioder dziewczynki, żeby lepiej ocenić złamanie. Zorientowała się, że dziewczynka nie ma bielizny.

I że tak naprawdę jest chłopcem.

Policjant też to zobaczył i znowu zaczął kłąć. Podniósł się i szybko gdzieś odszedł.

– Igła do drenażu! – zawołała gorączkowo.

Żeby wprowadzić igłę, Daniëlle musiała wkluć się w podudzie chłopca. Na szczęście zareagował na to jękiem, co oznaczało, że jego mózg wciąż jeszcze działa, ale Daniëlle wiedziała, że musi się śpieszyć.

Podłączyła igłę i owinęła ranę w nodze sterylnym bandażem. Następnie z pomocą kierowcy i asystenta przesunęła ciało chłopca na żółtą deskę ortopedyczną i unieruchomiła jego głowę dwiema taśmami.

– Na trzy! – krzyknęła i zaczęła liczyć.

Śledczy pomogli przenieść deskę z ciałem do wnętrza ambulansu. Daniëlle wskoczyła do środka, drzwi zostały zamknięte i kiedy odjeżdżali, słyszała, jak kierowca zgłasza się do dyspozytorki z informacją, kiedy można oczekiwać ich przyjazdu do szpitala. Gdy karetka pędziła przez Lasek Amsterdamski, Daniëlle uświadomiła sobie, że nie może odejść od tego chłopca, dopóki go nie wyprowadzi z obecnego stanu.

Kiedy znalazła się z powrotem w szatni, wokół niej wszystko zrobiło się jaśniejsze. Zupełnie jakby przebudziła się z koszmaru.

Spojrzała pytająco na trenera, który zaczął przemawiać do niej uspokajająco:

– To nie twoja wina, Farah. Dokładnie widziałem, co się stało. To nie była twoja wina.

Uświadomiła sobie, co zaszło. Za dużo zainkasowała. Oczywiście byłaby w stanie obronić się przed siłą fizyczną Rosjanki, nie umiała jednak stawić czoła sile o wiele intensywniejszej i groźniejszej niż tamta: chodziło o nienawiść Rosjanki, która przeniknęła jej emocjonalną obronę i wywołała u niej niekontrolowany wybuch szału.

Doskonale wiedziała, jak ważne jest, potrafić w najbardziej nawet niemożliwych sytuacjach utrzymać w ryzach swój temperament. Samokontrola już kilkakrotnie uratowała jej życie. Akurat tego wieczoru jednak straciła panowanie nad sobą.

Było to tylko kilka sekund, ale wystarczyło, by spowodować u przeciwniczki ciężkie obrażenia.

Farah rzadko kiedy zatracala się w czasie walki. O wiele częściej działo się to w miłości; tu miała już na koncie pokaźną liczbę ofiar, z tym że te – chociaż ze złamanym sercem – żyły spokojnie dalej.

Jeśli idzie o kobietę, która dzisiejszego wieczoru stała naprzeciwko niej na macie, nie było to jeszcze tak do końca pewne.

Usłyszała, jak otwierają się drzwi. Podczas gdy tumult w korytarzu wdarł się na moment do środka z siłą orkanu, a jej trener odbył krótką rozmowę przyciszonym głosem z jednym z oficieli, Farah próbowała odnaleźć w myślach spokój.

Słyszała, jak trener podchodzi do niej ciężkim krokiem, jak staje tuż przy niej i czeka, aż będzie gotowa usłyszeć, co się stało. Słyszała jego oddech. Po jej policzkach powoli płynęły łzy. Tato, gdzie jesteś? Dopiero, kiedy odzyskała pełną kontrolę nad oddechem, podniosła się, odwróciła i zobaczyła w oczach trenera spokój. Jego słowa zabrzmiały pocieszająco.

– Będzie dobrze.

Niecały kwadrans potem Farah sprawnie zaparkowała swoje czarne porsche carrerę na podziemnym parkingu Waterland Medisch Centrum. Stanęła niedaleko schodów i chwilę później wbiegła po nich na górę, do wejścia izby przyjęć. Recepcjonistka spojrzała na nią zmęczonym wzrokiem, z którego zniknęła wszelka empatia. Farah powiedziała, że przyszła zobaczyć się z kobietą, którą niedawno przywieziono ze złamanymi żebrami i wstrząśnieniem mózgu.

– A pani jest?

– Osobą, która jej to zrobiła – odpowiedziała Farah.

Kobieta spojrzała na nią zdumiona. W tym momencie do holu wpadła grupa lekarzy i pielęgniarek i pobiegła w stronę karetki, która właśnie zajęła na sygnale.

Farah zobaczyła, jak wwożą na noszach na kółkach ciężko ranną dziewczynkę o orientalnych rysach. Kolorowe strzępy okrywające jej ciało pocięty na kawałki tradycyjny strój. Dziewczynka była obwieszona ozdobami i dzwoneczkami, które dźwięczały przy każdym poruszeniu noszy. W całym tym chaosie przekrzykujących się lekarzy i pielęgniarek uwagę Farah całkowicie przykuły oczy dziewczynki, w których dostrzegła śmiertelne przerażenie. Zobaczyła, jak jej sine wargi powoli i bezgłośnie próbują wypowiedzieć jedno słowo.

Wyglądało na to, że nikt tego nie widzi ani nie słyszy. A nawet gdyby ktoś usłyszał, to i tak nikt nie potrafiłby tego zrozumieć, ponieważ słowo pochodziło z języka, którym nikt tutaj nie mówił. Ale Farah tego właśnie słowa użyła dziś wieczorem w szatni. Nie wypowiedziała go, tylko pomyślała.

*Padar.* Ojciec.

Przecisnęła się przez tłumek medyków i pochyliła się nad leżącą dziewczynką. Odpowiedziała jej w języku dari.

– Spokojnie, kochanie. Wszystko będzie dobrze.

Lekarka o blond włosach w pomarańczowej kamizelce pogotowia spojrzała na nią zdumiona.

– Pani z rodziny?

– Nie, ale ona wzywała ojca.

– To nie dziewczynka, tylko chłopiec.

Chłopiec, w takich szatach? Z takimi ozdobami i w pełnym makijażu? W jednej chwili Farah uświadomiła sobie, o co tu może chodzić. Nigdy w życiu nie pomyślałaby, że ta wielowiekowa tradycja wywodząca się z jej ojczystego kraju może zawitać na Zachód. Ale jednoznaczny dowód leżał właśnie przed nią zakrwawiony na noszach.

– Macie tu tłumacza? – spytała Farah.

– Właśnie ściągają kogoś telefonicznie – powiedziała jasnowłosa lekarka, zatrzymując Farah ruchem dłoni przed drzwiami gabinetu, do którego wwieziono chłopca.

– Ja mogę tłumaczyć! – zawołała Farah, patrząc, jak sanitariusze przekładają chłopca z noszy na stół zabiegowy. W tym samym czasie słyszała nerwową wymianę zdań. Zrozumiała, że jasnowłosa lekarka nie zgodziła się zostawić chłopca swoim kolegom. Nagle zamachała do Farah.

– Proszę go zapytać, kto jest jego ojcem – powiedziała, rozcinając jednocześnie do końca szatę chłopca. Dwie pielęgniarki zdejmowały z niego w tym czasie wszystkie ozdoby, wkładając je do przezroczystej plastikowej torebki, którą przymocowały do noszy.

Farah podeszła do chłopca. Dawła mu może z siedem, najwyżej osiem lat. Zaczęła łagodnie przemawiać do niego w języku dari, starała się go przekonać, że jest już bezpieczny i że musi się trzymać. I że zostanie przy nim.

Ostrożnie ujęła jego dłoń, a on zacisnął ją na jej palcach.

– Jak się nazywasz?

Patrzył na nią przerażony, jakby pochodziła z innego świata.

– *Namet chist?* Jak się nazywasz?

Trzymała ucho tuż przy jego wargach, ale przez ogólny harmider i głośno wypowiedane polecenie, prawie nie słyszała jego szeptu, nie mówiąc już o tym, żeby mogła go zrozumieć.

Usłyszała, jak jasnowłosa lekarka, która przywiozła chłopca, informuje telefonicznie, że zaraz przetransportują „ciężki przypadek”. W tym momencie do gabinetu wpadła pielęgniarka.

– Chirurg urazowy jest już w drodze – oznajmiła.

– Sama go zoperuję – powiedziała jasnowłosa lekarka tonem nieznoszącym sprzeciwu,

mocując jednocześnie dren do klatki piersiowej chłopca. Farah o mało nie zemdląła, kiedy to zobaczyła. Ponownie pochyliła się nad chłopcem i szepnęła mu do ucha:

– *Ma Farah astom, to ki hasti?* Ja jestem Farah, a ty?

Zobaczyła łzy spływające mu po policzkach i nagle poczuła przeogromną chęć rozplakania się razem z nim, ale zdołała się opanować i zaczęła szeptać mu do ucha to, co zwykle mówi się w takich sytuacjach.

– Jestem przy tobie. Nie zostawię cię samego.

– Wiesz już o nim coś więcej? – spytała lekarka.

– Jeszcze nie. A tak właściwie, to gdzie go znaleźliście?

– W Lasku Amsterdamskim. Potrącony przez samochód. Sprawca uciekł z miejsca wypadku.

Farah słyszała gniew w jej opanowanych słowach. Zaraz potem lekarka zwróciła się ponownie do obecnych w gabinecie.

– No, dobra. Mamy tu złamania żeber i złamanie otwarte kości udowej. Do tego przypuszczalnie krwotoki wewnętrzne w jamie brzusznej, a prawdopodobnie także wewnątrzczaszkowe. Chłopak idzie najpierw na salę operacyjną. Trzeba unieruchomić złamania, bo inaczej całkiem się wykrwawi. Potem zrobimy tomografię. Wszystko jasne?

Chłopca wywieziono z gabinetu urazowego. Farah szła obok noszy na kółkach i cały czas trzymała go za rękę. Lekarka szła obok niej aż do drzwi windy, które właśnie się otworzyły.

– Jak się nazywasz? – zapytała, kiedy już były w windzie.

– Farah.

– Słuchaj, Farah, nie możesz wejść do sali operacyjnej.

– Nawet nie miałam takiego zamiaru.

– Zostawisz swoje nazwisko i numer telefonu?

– Będę w kontakcie – zapewniła Farah. – O kogo mam pytać, jak będę chciała z tobą rozmawiać?

– Daniëlle. Daniëlle Bernson.

Chłopiec jęknął. Farah pogładziła go dłonią po włosach, drugą cały czas trzymała jego rękę.

– Zaraz zaśniesz – powiedziała szeptem. – Wtedy już nic nie będzie cię bolało. A jak się obudzisz, znowu będę przy tobie.

Popatrzył na nią z niezrozumiałą ulgą.

Drzwi windy się rozsunęły. Ruszyli dalej pustym korytarzem, aż zatrzymali się przy sali operacyjnej numer 12.

– No to jesteśmy – powiedziała Daniëlle.

Farah zbliżyła twarz do twarzy chłopca.

– Pani doktor ci teraz pomoże. A ja tu na ciebie poczekam? Zgoda?

Zobaczyła w jego oczach błysk rozpacz. Pocałowała go w policzek i powoli uwolniła dłoń z jego uścisku.

– Dziękuję, Farah – powiedziała Daniëlle, wchodząc do sali.

Farah prawie jej nie słyszała. Kiedy chłopiec zniknął za dźwiękoszczelnymi drzwiami, docierało do niej tylko bicie jej własnego serca, które waliło jak szalone. Zaczęła chodzić tam i z powrotem po pustym korytarzu. A potem podjęła decyzję.

**Przy zjeździe z A9 do Lasku Amsterdamskiego Farah mocno zahamowała i skręciła w prawo.**

W skupieniu pokonując wyboje na coraz słabiej widocznej drodze, uświadomiła sobie, że właśnie robi coś, czego przyrzekała sobie już nigdy nie robić, a mianowicie posłuchała pierwszego impulsu i działała pod jego dyktando.

Co ją gnało do tego miejsca? Czy był to wyraz oczu tego chłopca? A może jego strach? A może rozpacz w każdym jego wypowiedzianym słabym szeptem słowie pobrzmiwająca jak zapomniane echo z jej przeszłości?

Zwolniła i zatrzymała się na poboczu, nie gasząc silnika. Jej serce wciąż biło o wiele za szybko. Zamknęła oczy i spróbowała uspokoić oddech.

*Padar.* Farah niezliczoną ilość razy powtarzała w myślach to słowo w języku dari, w ciszy, jaka przystoi zmarłym. Ten chłopiec swoim szeptem nagle przełamał w niej wieloletnią ciszę. Miała przeczucie, że dzisiaj, w tym lesie, zdarzyło się coś, co będzie miało większy wpływ na jej dalsze życie, niż potrafi sobie to teraz wyobrazić. Ta myśl wzbudziła w niej lęk, ale była zdecydowana, że tym razem znów zaufa swojej intuicji. Decyzja, że spróbuje pójść śladem chłopca, z niezrozumiałych powodów sprawiła, że bicie jej serca z wolna zaczęło się uspokajać.

Zobaczyła zbliżające się z tyłu pulsujące światła alarmowe, rzucające ostre niebieskie linie pomiędzy drzewami. Zaraz potem z wyciem syreny przemknął obok niej jaskrawoczerwony wóz straży pożarnej.

Natychmiast dodała gazu i ruszyła za nim. Przyhamowała, kiedy straż pożarna skręciła w lewo, w wąską leśną ścieżkę. Jakies sto metrów dalej zobaczyła strzelające w niebo płomienie. Zderzenie w takim odludnym miejscu? Mało prawdopodobne. Postanowiła, że nie pojedzie zobaczyć, tylko będzie jechała dalej asfaltową drogą. Kilka minut później przekonała się, że podjęła słuszną decyzję. W jaskrawym świetle przenośnych lamp zobaczyła dwóch policjantów z sekcji zabezpieczania śladów, którzy pracowali na miejscu zdarzenia.

Farah zatrzymała samochód przed biało-czerwoną taśmą policyjną rozpiętą w poprzek drogi. Na początek stwierdziła, że jest kompletnie nieodpowiednio ubrana jak na tę okazję. Strój, jaki na sobie miała, był pomyślany na uroczystość zamknięcia turnieju dziś wieczorem: czarne spodnie podwinięte aż do łydek, na stopach otwarte skórzane platformy block heels.

Czarny, błyszczący żakiet, podróbkę Versace zostawiła na tylnym siedzeniu. W koszuli slim fit ze srebrzystym coatingiem i rozpuszczonymi włosami w lekkim nieładzie wyglądała zupełnie jak zagubiona modelka, którą w samym środku sesji zdjęciowej cały team zostawił na łasce losu.

Czuła się trochę nieswojo, przyglądając się, jak jakies trzydzieści metrów od niej jeden z techników zabezpiecza ślady hamowania na asfalcie. Ślady prowadziły w prawo, na pobocze. Farah widziała, że miejsce, gdzie leżał chłopiec, dzieliło kilka metrów od miejsca, w którym ślady skręcały na pobocze. To by oznaczało, że impet uderzenia odrzucił go kilka metrów do przodu. Inna możliwość była taka, że samochód robił wszystko, żeby ominąć chłopca, a więc go nie potrafił. Kierowca nacisnął hamulec, gwałtownie skręcił kierownicę w prawo i zatrzymał się

na poboczu. W takim wypadku znaczyłoby to, że chłopiec nie stał na jezdni, tylko już na niej leżał.

Farah zobaczyła, jak po lewej stronie jezdni, na wysokości narysowanych na asfalcie konturów ciała, drugi technik sprawdza inne ślady hamowania. Prześliznęła się pod taśmą i ruszyła w jego stronę. Był jeszcze młody i całą uwagę skupiał na mokrym asfalcie, tak że dopiero bardzo późno dotarła do niego jej obecność. Spojrzał na nią zdumiony.

– Przepraszam, że panu przeszkadzam, ale mieszkam tu niedaleko – zaczęła Farah tak przyjaźnie, jak tylko potrafiła. – Czy może mi pan powiedzieć, co tu się stało?

Młody technik patrzył na nią przez chwilę, a potem wskazał na coś za jej plecami.

– To pani?

– Ta carrera? – Farah odwróciła się na moment. – Tak.

– Silnik trzy i dwie dziesiąte litra, napęd na tylne koła, dwieście trzydzieści koni, obniżone zawieszenie z amortyzatorami gazowymi. W czymś takim to się chce nie tylko jeździć, ale i mieszkać – powiedział technik z pełną podziwu miną fachowca. – I pewnie przyspiesza do setki poniżej sześciu sekund.

– Jeszcze tego nie sprawdzałam – przyznała Farah. – To wóz z 1987 roku, staram się go oszczędzać.

Widziała wyraźnie, że z powodzeniem przeszła pierwszy test, postanowiła więc nie odpuszczać. Pokazała gestem na okruchy szkła z reflektora.

– Jak szybko jechał ten wóz?

– Tak na oko jakieś osiemdziesiąt na godzinę. Gwałtowne hamowanie. Widać to po tych mocno czarnych śladach. – Wskazał ręką na ostatni fragment śladu, gdzie warstwa zdartej gumy była najbardziej widoczna.

– Chłopiec leżał tam – powiedziała Farah, wskazując na obrysowany kredą kontur ciała. – Czy to możliwe, że został uderzony przez ten właśnie samochód?

Widać było, że jest bardzo przejęta. Technik przybrał bardziej oficjalny wyraz twarzy.

– Chłopiec?

– Jestem dziennikarką – uzupełniła szybko Farah. – Chciałabym się dowiedzieć, kto to zrobił.

– Czy może pani pokazać jakieś dokumenty?

W głosie młodego policjanta dało się nagle słyszeć nerwowość. Widziała, że nie ma zbyt dużego doświadczenia i próbuje jej zaimponować tą odrobiną autorytetu, jaką miał do dyspozycji. Kątem oka zobaczyła, że zbliża się do nich drugi z policjantów. Mimo wszystko spróbowała jeszcze raz.

– Pan ma swoją robotę, a ja swoją. Czy pana zdaniem ślady na drugim pasie jezdni pochodzą od tego samego pojazdu?

Drugi policjant, który z pewnością miał tu więcej do powiedzenia, był już tylko parę metrów od nich.

– To znaczy – poprawiła się pośpiesznie Farah – chodzi mi o to, czy w zdarzeniu brało udział więcej pojazdów.

– Proszę pani, to jest miejsce zbrodni. Musi pani odejść za taśmę.

Farah spojrzała w surową twarz drugiego policjanta i zrozumiała, że jej kredyt zaufania właśnie się skończył.

– Rozumiem, oczywiście. Bardzo przepraszam.

Zrobiło jej się przykro i szybko się odwróciła. Odchodząc, słyszała, jak policjanci rozmawiają o czymś między sobą.



– Proszę pani! – zawołał za nią starszy z policjantów.  
Odwróciła się i zobaczyła, że się do niej zbliża.

– Podobno jest pani z prasy?  
– Zgadza się – potwierdziła Farah. – Byłam przy tym, kiedy przywieziono go do szpitala. Zostawić tak dziecko na środku drogi na pewną śmierć... sam pan rozumie...  
Stali naprzeciwko siebie w milczeniu.

– Bardzo mi przykro, ale nie możemy udzielać prasie żadnych informacji. – Policjant uśmiechnął się porozumiewawczo. – Ale ma pani rację.  
– To znaczy?  
– To nie był tylko jeden samochód.  
Trwało to krótką chwilę, zanim Farah zrozumiała, co powiedział.  
– Dziękuję panu bardzo – powiedziała ochryple.  
– Za co?  
– Za pańską... pomoc.  
– Nikomu w niczym nie pomogliśmy, proszę pani. Nie było tu nikogo, kto zadawałby jakieś pytania. – Policjant odwrócił się. – Kevin, czy przez ostatnie pięć minut widziałeś tu kogokolwiek, kto by o coś pytał?  
Młodszy z policjantów z uśmiechem pokręcił przecząco głową.

Farah wsiadła do swojego porsche, zawróciła i pojechała do miejsca, gdzie wóz straży pożarnej skręcił w leśną drogę. W tym czasie zrekapitulowała na własne potrzeby to, co widziała i co usłyszała. Ślady hamowania na obydwu stronach jezdni, z przeciwnych kierunków. Dwa samochody. Praktycznie w tym samym momencie albo krótko po sobie w tym samym miejscu. Z chłopcem jako elementem łączącym. Trzy fragmenty na razie jeszcze nie całkiem śmiertelnej zagadki.

Dotarła do leśnej drogi i spojrzała w kierunku, gdzie widać było jeszcze ostatnie płomienie. Zastanawiała się, co ten pożar może mieć ewentualnie wspólnego z wypadkiem. Zaufała jednak swojej intuicji, która podpowiadała jej, że musi się tego dowiedzieć.

Miała wrażenie, jakby wjeżdżała w obramowane drzewami inferno. Zafascynowały ją nie tylko ogień i chaos. Przede wszystkim chodziło o narastającą w niej świadomość, że oto stało się tutaj coś, co może mieć związek z tym, co niedawno stało się niedaleko stąd z chłopcem.

Jechała w stronę policjanta, który nakazał jej zatrzymanie się, ale ona tylko pomachała mu przed nosem swoją legitymacją dziennikarską w nadziei, że wezmą ją może za śledczą, i pojechała dalej, nie czekając na jego reakcję. Zatrzymała się dopiero przed wozem straży pożarnej, otworzyła drzwi samochodu i szybko podążyła do miejsca, gdzie strażacy w hełmach białymi strugami piany dogaszali tłący się wrak samochodu kombi. Ktoś krzyknął. Zbyt późno zorientowała się, że jest w zasięgu armatki wodnej, z której polewano okoliczne drzewa. Zanim zdążyła uskoczyć, zmiotł ją impet tysiąca dwustu litrów wody.

Kiedy zamroczona i przemoczona próbowała pozbierać się z ziemi, pojawiła się czyjaś pomocna dłoń. Stojąc chwiejnie na nogach, spojrzała w prawo, prosto w jasnobrązowe oczy młodego człowieka z modną bródką wokół ust, podkreślającą kwadratową szczękę jego przyjemnej twarzy.

– Zabłądziła pani? – spytał, przekrzykując hałas.

– Raczej nieproszony gość – powiedziała Farah, poprawiając koszulę, która wskutek nasiąknięcia wodą opinała jej ciało jak trykot. Mimo jej wysiłków przemoczony materiał ściśle opinał jej piersi, a ponieważ nie miała stanika, równie dobrze mogła wystąpić topless.

– Joshua Calvino, śledczy. Czego taka kobieta jak ty szuka w takim lesie jak ten?

Powiedział to tak dobrotliwym tonem, że mimo okoliczności Farah nie mogła się nie uśmiechnąć.

– No dobrze, to już powiem. Byłam na ostrym dyżurze w centrum WMC, kiedy przywieziono ciężko rannego chłopca. Wpadł pod samochód niedaleko stąd. A ja chcę się dowiedzieć, co się dokładnie stało.

– Chłopiec został potrącony dalej. Nie tutaj.

– Wiem, wiem. Tam już byłam.

– To co robisz tutaj?

– W zdarzeniu brały udział dwa samochody. Niewykluczone, że jeden z nich został właśnie tutaj podpalony.

Joshua spojrzał na nią w zamyśleniu. Widziała, że robi co może, żeby nie patrzeć na jej piersi.

– Chyba nie robisz tych spacerów po lesie dla własnej przyjemności? Zwłaszcza w taką pogodę? Kim jesteś z zawodu?

– Jestem dziennikarką – przyznała Farah, pokazując swoją legitymację. W tym czasie dotarli już do miejsca, gdzie stał pokryty pianą wrak spalonego samochodu. Ziemia była rozmiękła, w powietrzu unosił się tłusty dym. Pośrodku tego chaosu biegających na wszystkie strony strażaków, ciągnących po ziemi kilometry węży, uwagę Farah przykuł starszy mężczyzna, który mocno gestykulując, rozmawiał z dowódcą strażaków.

– Mój partner – powiedział Joshua, niechętnie przyglądając się tej scenie. – Wścieka się, bo ci faceci z sikawkami i w gumiakach doszczętnie zdeptali wszystkie ślady. W ten sposób zniszczyli wszelki ewentualny materiał dowodowy.

– Co się stało z samochodem? – spytała ostrożnie Farah.

– Oblany benzyną, a potem... pffft. – Joshua wykonał gest, jakby zapalał zapalniczkę i rzucał.

Farah zobaczyła, że drugi śledczy zbliża się do nich wielkimi krokami. Od razu było widać, że jej obecność znacznie mniej przypadła mu do gustu niż jego młodszemu koledze.

– Ci faceci to prawdziwa katastrofa – powiedział, wskazując za siebie, na strażaków. – Tak więc ostatecznie, czego nam tu potrzeba, to miłośnicy turystyki katastroficznej.

Przy tych słowach tak nachalnie patrzył na jej piersi, że Farah natychmiast nabrała do niego gwałtownej niechęci.

– Ona była w szpitalu, kiedy przywieźli tego chłopca z wypadku – wyjaśnił Joshua. – Jej zdaniem ten pożar może mieć coś wspólnego z...

Nie zdążył dokończyć, ponieważ wśród strażaków zebranych wokół wraku wybuchło zamieszanie. Pośpieszył w tamtą stronę, a Farah za nim. A potem zobaczyła coś, czego wolałaby nie widzieć: dwa zwęglone i splecione ze sobą ciała na tylnym siedzeniu, pokryte białą gaśniczą pianą.

Ogłuszona widokiem i odorem nadpalonych ciał Farah odwróciła się gwałtownie i opierając się o najbliższe drzewo, zwróciła w kilku spazmatycznych rzutach całą zawartość żołądka. Nawet woń własnych wymiocin wydała jej się błogosławieństwem w porównaniu z odorem spalonych ludzkich ciał, który wciskał jej się w nozdrza. Wyprostowała się, przyciskając do ust chusteczkę.

Joshua Calvino położył jej dłoń na ramieniu.

– Chyba dość już pani widziała.

Ton jego głosu było dokładnie taki, jaki powinien być w tej sytuacji. Ktoś emanujący siłą i rozsądkiem. Ktoś, kogo miała ochotę słuchać.

– Proszę. – Podał jej butelkę wody, którą Farah opróżniła niemal duszkiem.

– Dziękuję.

– Muszę wracać do zajęć. A tym musisz się stąd zabierać. Dasz sobie radę?

Niemalże zmysłowy sposób, w jaki się do niej uśmiechnął, prezentując śnieżnobiałe uzębienie, w zasadzie zupełnie nie pasował do sytuacji. Joshua Calvino najwyraźniej posiadał dar odrywania się od siły ciężenia właściwej takim wydarzeniom. Farah miała wrażenie, że zaraz pojawi się tutaj orkiestra, Joshua zacznie śpiewać, a strażacy za jego plecami odtańczą swingujący układ choreograficzny, jak w jakimś bollywoodzkim filmie. Patrzyła za nim, gdy oddalał się w stronę swojego starszego partnera, który gwałtownie gestykulując, rozmawiał z kimś przez telefon.

Kiedy niedługo później ostrożnie skręcała na asfaltową drogę, czuła się rozbita, a przede wszystkim godna pożałowania. Dlatego wybrała najszybszą trasę wokół jeziora Amstelveense Poel, żeby w jak najkrótszym czasie dotrzeć do wielkiego domu z trzciniowym dachem, własności reżysera telewizyjnego i dokumentalisty Davida van Rhijna, człowieka, z którym już od pół roku łączył ją udany związek, trwający mimo jej zmiennych nastrojów.

David wrócił dzisiaj z Indii, gdzie kręcił dokument o historii tamtejszych linii kolejowych, przewożących dziennie prawie osiemnaście milionów pasażerów. Nie miała pojęcia, jak David

zniesie różnicę czasu, ale miała nadzieję, że będzie jeszcze na nogach. Zamierzała najpierw do niego zadzwonić, ale się rozmyśliła. Nie chciała go obudzić, jeśli akurat śpi. Wolała po cichutku się do niego zakraść, dojść do siebie po tych wszystkich wydarzeniach i spokojnie zasnąć.

Przeanalizowała w myślach, ileż to rzeczy wydarzyło się tego jednego wieczoru. Walka w teatrze Carré, jej zakończenie, szpital, do którego przywieziono chłopca, to, jak bardzo nie mogła mu pomóc, tamta lekarka, która tak przejęła się całą sprawą.

Nagle przypomniała sobie, że tak naprawdę pojechała do szpitala, żeby odwiedzić znokautowaną przez siebie Rosjanę. Kiedy już zobaczyła przed sobą dom Davida, nabrała przekonania, że wszystko to stanowi jakiś perfekcyjnie zharmonizowany ze sobą ciąg wydarzeń. Już choćby dlatego postanowiła się mu podporządkować.

Wnętrze domu Davida emanowało poczuciem bezpieczeństwa i harmonią. Gdy Farah pokonywała w ciemności szerokie drewniane schody na górę, przypomniała sobie, jak sześć miesięcy wcześniej po raz pierwszy przechadzała się po nim jak Alicja w Krainie Czarów.

Był bazą wypadową globtrotera, który z każdej podróży przywoził do domu azjatyckie smoki, figurki afrykańskich bożków burzy i meksykańskie szkielety, nie mówiąc o posążkach Buddy, rosyjskich ikonach czy obrazach przedstawiających amerykańskie legendy baseballu.

Kiedy Farah spotkała Davida po raz pierwszy, był w ciężkiej żałobie po stracie miłości życia, która umarła na raka trzustki. Farah była wzruszona szczerością, z jaką opowiadał o stracie, i zawstydzeniu, jakie odczuwał, gdy po tej nagłej pustce odkrył dla siebie nowy sens – właśnie ją. Opowiadając jej o wszystkim, nie zrobił najmniejszej próby przedstawienia się w roli ofiary, żeby wzbudzić w niej współczucie i niejako w roli nagrody pocieszenia zabrać potem do pustego łóżka. Po prostu opowiadał jej o tym, jak wygląda teraz jego życie. Farah dostrzegła pozbawiony ozdobników ból i pozbawioną wstydu rozpacz. Prawdziwe, bez żadnych podtekstów.

Kluczem do niespodziewanej namiętności Farah do tego krępego mężczyzny o burzy kręconych włosów i niewyczerpanych pokładach energii było jego melancholijne spojrzenie. Dawało jej ono znajome poczucie bezpieczeństwa, jakiego nie doznała od lat swego dzieciństwa w Kabulu. W dwa dni po ich pierwszym spotkaniu stała u drzwi tego domu z widokiem na Amstelveense Poel.

Wciąż jednak nie zdecydowała się wprowadzić do niego na stałe. David kilkakrotnie prosił, żeby ostatecznie „pozbyć się tych wszystkich śmieci” z domu i urządzić go tak, żeby był to też jej dom. Dopóki David był w domu, stanowił jego domenę i Farah dobrze się w nim czuła. Gdy tylko jednak znowu wyjechał w jedną ze swoich dalekich podróży, ogromny dom zaczynał jej się wydawać przygnębiająco pusty.

Kiedy go nie było, brakowało jej też tych wszystkich wspaniałych zapachów dochodzących z kuchni, ponieważ David przy całej swojej szczupłej sylwetce był też wytrawnym kucharzem. Z miłości do Farah natychmiast po tym, kiedy się poznali, zagłębił się w tajniki afgańskiej kuchni i pierwszego wieczoru, gdy do niego przyszła, zaserwował jej ulubioną potrawę *qabili palau*. Na razie jednak zatrzymała swoje mieszkanie przy Nieuwmarkt, w samym centrum Amsterdamu.

Teraz bardziej niż kiedykolwiek chciała być przy nim. Czuć jego muskularne ciało. Jego pachnący single malt whisky oddech zmieszany z jej oddechem. Jego wielkie dłonie na jej ciele. Męskie objęcie. Dotarła na pierwsze piętro i możliwie najciszej zmierzała do sypialni, z której dobiegało ciche, nieregularne pochrapywanie. Lampa przy łóżku była zapalona, jej światło odbijało się w butelce Campbeltown malt whisky stojącej na nocnym stoliku między otwartym „New York Timesem” a magazynem „Independent”.

Zdjęła pierścionki, bransoletkę i naszyjnik, rozebrała się najciszej, jak to możliwe, wśliznęła się do łazienki i nastawiła prysznic na funkcję masażu. Z wolna poczuła, jak pod szerokim, gorącym strumieniem jej ciało stopniowo zaczyna się odprężyć i przestaje się bronić przed

nagromadzonym smutkiem. Mogłaby tak stać całą wieczność: z dłońmi skrzyżowanymi na piersiach i lekko zgarbionymi plecami.

Kiedy się odwróciła, zobaczyła w drzwiach Davida z rozwichrzoną czupryną, nagiego, w stanie chwiejnej równowagi między snem a jawą, jak opiera się o framugę, lewą ręką bezwiednie drapiąc się w kroczu.

– Widziałem podobny do *Idola* program w indyjskiej telewizji – powiedział między jednym ziewnięciem a drugim. – Nazywa się to *Bathroom Singer* i chodzi tam o to, że kandydaci mogą śpiewać wyłącznie w łazience. Nie do wiary. Zbudowali w studiu kompletne łazienki. Teraz jest to tam wielki hit. – Zaspany idzie w jej stronę z narastającą erekcją i mówi przesłodzonym głosem z przesadnym hinduskim akcentem: – *So welcome to the show, miss Hafiz. What will you sing for us tonight?*

Dopiero kiedy podchodzi bardzo blisko, spostrzega, że ona płacze.

– Czyżbyś dzisiaj wieczorem wygrała i są to łzy szczęścia, czy też po prostu się cieszysz, że mnie widzisz? – pyta David z niepewnym uśmiechem. Mocno obejmuje ją ramionami.

Farah wtuliła się w jego ciepłe, owłosione ciało i wybuchnęła szlochem.

Wziął ją na ręce, wyniósł spod prysznic do sypialni, położył na łóżku i obsypał jej twarz delikatnymi pocałunkami pocieszenia. A potem patrzył na nią długo i poważnie. Wyczekująco.

– Tylko nic nie mów – poprosiła szeptem. Delikatnie zepchnęła go z siebie, a gdy on z westchnieniem położył się na plecach, pochyliła się nad nim, tak że krople wody z jej mokrych włosów kapały na jego pierś, i zaczęła go długo i intensywnie całować.

Podnieciło ją, kiedy tak trwała nad nim, pochyłona. Wielkie dłonie Davida podtrzymały ją. Wszedł w nią i zaczął wykonywać rytmiczne ruchy biodrami w górę i w dół.

– Mocniej – jęknęła, gdy zaczął wchodzić w nią głębiej. Czuła się zupełnie tak, jakby jakaś olbrzymia fala wyniosła ją w górę, a ona, krzycząc z rozkoszy przez kilka sekund, unosiła się nad łóżkiem w stanie nieważkości. Krótco potem gwałtownie doszedł w niej David.

Kiedy delikatnie na niego opadła, poczuła, jak jej ciało nareszcie zaczyna się odprężyć, a jej smutek gdzieś się ulatnia.

Nie potrafiłaby powiedzieć, jak długo, czy może jak krótko, leżała obok Davida. Była całkiem mokra. Przeskakujące cyferki na wyświetlaczu cyfrowego zegarka pokazywały pięć po czwartej. Delikatnie wyswobodziła się z jego objęć i bezgłośnie wyszła pomiędzy poruszonymi przez wiatr firankami na taras.

Zatopiona w myślach spoglądała na Amstelveense Poel. Przez całe życie fascynowały ją rzeczy dla niej niepojęte. Jej pierwsze dotyczące tego wspomnienie pochodziło z chwili, kiedy jako pięcioletka zobaczyła przez okno swojej sypialni, jak ojciec, stojąc pod jabłonią, wykonuje nieznaną jej ruchy, wyglądające jak spowolnione ciosy i kopnięcia. W jej małej główce pojawiło się nawet podejrzenie, że może oszalał. Jednocześnie zaś tak cieleśnie wręcz odczuła jego spokój, siłę i opanowanie, że gapiła się z otwartymi ustami.

Od tej chwili każdego ranka szpiegowała go przez okno i bardzo szybko odkryła, że za każdym razem powtarza tę samą sekwencję ruchów. Zaczęła go naśladować. Dzień w dzień. Aż zebrała w sobie dość odwagi, by pewnego ranka pierwsza pojawić się pod jabłonią, czekając, aż z domu wyjdzie ojciec. A gdy go zobaczyła, wykonała pierwszy ruch, z taką samą gracją, jaką widziała u niego. Kiedy skończyła, ojciec wciąż stał w jednym miejscu. Bez ruchu. Patrzyła na niego, gotowa przyjąć ewentualną karę. Zamiast tego ojciec złożył dłonie i wykonał ukłon. Farah nigdy nie zapomniała tej magicznej chwili. Był to początek ich pokrewieństwa dusz, daleko wykraczającego poza jego ziemską śmierć cztery lata później.

Wiatr zmienił kierunek i hałas dochodzący z autostrady A9 rozszarpał na strzępy złudzenie naturalnej harmonii. Farah wróciła do pokoju i spojrzała na śpiącego głębokim snem Davida. Uśmiechnęła się. Nawet teraz, w fazie REM snu, byłby zdolny do aktywnego stosunku. Wciąż miała w głowie obietnicę, jaką złożył jej wieczorem: „*Buru khauw sho. Waqte ke bedar shodi mar peshet mebashom.* Połóż się spać. Kiedy się obudzisz, będę przy tobie”.

W garderobie znalazła parę dżinsów, do których włożyła na siebie zwykłą białą bluzkę. Wsuwając stopy w trampki, poszukała komórki i zadzwoniła do szpitala. Operacja wciąż jeszcze trwała. I nikt nie zgłosił się po chłopca.

Wróciła do łóżka, pochyliła się nad Davidem, złożyła pocałunek na jego spoconym czole i wyśliznęła się z sypialni.

**K**iedy oficer śledczy Marouan Diba około czwartej nad ranem jechał z Lasku Amsterdamskiego w kierunku swojego biura, był wykończony. Śmierdział dymem i pocił się jak norka. Już choćby z tych powodów, nie mógł wręcz znieść, że jego o wiele młodszy kolega Joshua Calvino, siedzący obok w jego leciwej toyocie corolli, wciąż wyglądał świeżo i energicznie, zupełnie jakby dopiero co zaczął służbę.

– Przecież ci mówiłem: za dużo węglowodanów, różnego szajsu i za tłuste mięso – stwierdził pogardliwie Calvino, kiedy do tego wszystkiego Marouanowi zaczęło burczeć w brzuchu. Na podkreślenie swoich słów demonstracyjnie opuścił szybę w drzwiach.

Marouan wiedział, że jego zadbany kolega ma rację. Dzisiejszej nocy trzy razy podjeżdżał do budki z kebabem, żeby w ekspresowym tempie wepchnąć w siebie tony białego pieczywa, z baraniną i różnymi sosami. Calvino był tam tylko raz i ograniczył się do plastikowej tacki z liśćmi sałaty.

– Ale mogę cię pocieszyć – powiedział Calvino, z zadowoleniem patrząc na wyświetlacz komórki – że będziemy dzisiaj mieli znowu piękny dzień, przeważnie bezchmurny z temperaturą maksymalną 32 stopni Celsjusza i średnią prędkością wiatru 3 w skali Beauforta, co oznacza, że...

– ...nie ma najmniejszego powodu, żeby dłużej o tym mówić – przerwał mu Marouan, mocniej naciskając pedał gazu i maksymalnie ścinając zakręty, żeby jak najszybciej dotrzeć do najbliższej toalety. W tym momencie Calvino przekroczył granicę odporności Marouana, odśpiewując na cały głos słowa swojej ulubionej piosenki:

– *It's a new dawn, It's a new day, It's a new life...*

– Wiesz co, ty nedorobiony Italiańcu? – powiedział Marouan podnosząc głos. – Niniejszym ogłaszam, że jesteś nieuleczalnie chory. Cierpisz na przewlekłą odmianę raka dobrego nastroju.

– I kto to mówi? – odpowiedział ze śmiechem Calvino. – Człowiek, którego nazwisko zaczyna się na „d”, jak słowo depresja!

Niekończące się przepychanki słowne między nimi służyły głównie temu, żeby ich współpraca była dla obu w miarę znośna. Calvino miał teraz pozycję, która sprawiała, że Marouan zieleniał z zazdrości. W latach osiemdziesiątych to Marouan wraz ze swoimi nieopierzonymi imigranckimi rówieśnikami musiał szturmować barykady, zwalczając uprzedzenia w szeregach policji, by w ten sposób stworzyć szanse dla następnego pokolenia.

Dzięki ich walce nowe pokolenie młodych, takich jak Calvino, z ich nienagannym wykształceniem, łatwiej mogło się przebić. Zawód śledczego oznaczał dla Calvina łatwiejszy dostęp do obiecującej kariery, podczas gdy dla Marouana był to trudny do utrzymania ostatni jej etap. Świadomość, że sam nigdy nie będzie miał korzyści z wysiłku włożonego w przecieranie dróg dla innych, wciąż była dla Marouana trudna do zniesienia. W jego życiu było jednak znacznie więcej rzeczy trudnych do zniesienia, toteż ostatecznie nauczył się z tym żyć.



Fala upałów w sierpniu. Trwała już trzy dni i w czasie jego zakończonej właśnie służby, która zaczęła się wczoraj wieczorem o dziesiątej i miała się oficjalnie zakończyć o szóstej rano dzisiejszego dnia, spowodowała prawdziwie rekordowy wysyp zgłoszeń.

Co prawda nie chodziło o seryjne morderstwa, napady na banki czy ataki terrorystyczne, lecz awantury sąsiedzkie, bójki i kłótnie małżeńskie występujące w tak zastraszającym natężeniu, że Marouan zaczął mieć obawy, czy aby społeczeństwo Holandii nie stoi u progu masowego wybuchu wściekłości.

Kiedy około wpół do pierwszej pojawiło się zgłoszenie o potrąconej przez samochód w Lasku Amsterdamskim dziewczynce, można było odnieść wrażenie, że cały świat na moment wstrzymał oddech. Myśl o tym, że ktoś mógł zostawić Bogu ducha winne dziecko na pewną śmierć na bocznej leśnej drodze, zmieniła Marouana w żądnego zemsty rajdowca, który zmusił do wysiłku wszystkie konie mechaniczne swojego pojazdu, tak że na koniec o mało nie zderzył się ze stojącą w poprzek drogi karetką. Często zdarzało mu się myśleć, że widział już w życiu w zasadzie wszystko i że nic gorszego czekać go już nie może, że przywykł już do wszystkiego, wciąż jednak zdarzały się sytuacje, na które reagował emocjonalnie. I to właśnie była jednak z nich.

Kiedy zobaczył drobne ciało ofiary umierającej na mokrym asfalcie i jasnawłosą lekarkę, która właśnie ją intubowała, całkowicie stracił panowanie nad sobą, chociaż doskonale rozumiał, że jego przekleństwa nikomu z obecnych w najmniejszy nawet sposób w niczym nie pomogą. Rozumiał też irytację lekarki, która prosiła o zrobienie miejsca, podczas gdy on tylko biernie patrzył jej na ręce, nie sprawdzając się w tym momencie na wszystkie z możliwych sposobów. Czego jednak za nic nie potrafił zrozumieć, to posunięcie, którym jego kolega Calvino skupił uwagę wszystkich na swojej osobie, poprzez najzwyklejsze w świecie otwarcie parasola i oświetlenie pola działania lekarki latarką. Skąd ten facet miał tyle przytomności umysłu, żeby tak niewielkim wysiłkiem tak skutecznie zwrócić na siebie uwagę.

Był to wieczór pełen niespodzianek. Na początek ciężko ranna orientalna dziewczynka okazała się ciężko rannym orientalnym chłopcem. A zaraz potem, niedaleko od miejsca, w którym się znajdowali, rozległo się coś w rodzaju głuchoj eksplozji. W pierwszym momencie pomyślał, że to może zderzyły się samochody na pobliskiej autostradzie A9. Parę minut później jednak, kiedy karetka z chłopcem zniknęła mu z pola widzenia, otrzymał zgłoszenie o płonącym samochodzie jakieś trzy kilometry przed nimi.

Marouan wydał polecenie dwóm policjantom odgrożenia miejsca potrącenia chłopca i poczekania na techników. Następnie, najszybciej jak się dało, pojechał na polanę w lesie, gdzie on i Calvino stali się pierwszymi świadkami obserwującymi spektakularny pożar samochodu kombi.

Z powodu wysokiej temperatury nie mogli zrobić nic innego, jak tylko stać i patrzeć jak jedno po drugim zajmują się kolejne okoliczne drzewa i zaczynają płonąć jak świece. Straż pożarna przyjechała z mnóstwem sprzętu. I stało się to, czego tak obawiał się Marouan: w ciągu niewielu sekund strażacy w hełmach i odblaskowych kombinezonach zamienili miejsce zdarzenia w pobojowisko skąpane w białej pianie, niszcząc wszelkie ewentualne ślady butów i inny materiał dowodowy. Protestując na cały głos, obszedł wszystkich gaszących w poszukiwaniu dowódcy. Jego wściekłość osiągnęła poziom krytyczny, kiedy odnaleziony w końcu dowódca próbował go zbyć idiotycznym stwierdzeniem, że strażacy wykonują tylko swoje obowiązki. Wtedy Marouan dał mu do zrozumienia, że tym samym uniemożliwiają jemu wykonywanie obowiązków.

W tym czasie Calvino gawędził sobie z jakąś przemoczoną orientalną pięknoscią, która

pojawiła się nie wiadomo skąd. A ponieważ o tej zwariowanej godzinie wszystko okazywało się inne, niż wyglądało, Miss Mokrego Podkoszulka o pięknych piersiach okazała się dziennikarką, która gorliwie usiłowała dopatrzeć się związku między potrąconym przez samochód chłopcem a spalonym kombi. Trochę jej potem mina zrzedła, gdy pożar został ugaszony i okazało się, że z tyłu wypełnionego pianą samochodu znajdują się dwa zwęglone ciała.

Marouan jak najbardziej podzielał jej podejrzenia: intuicja podpowiadała mu, że te dwie sprawy są ze sobą powiązane. Miejsca zdarzeń znajdowały się blisko siebie, a kombi zostało podpalone najwyżej dwadzieścia minut po potrąceniu chłopca.

Natychmiast po odkryciu spalonych ciał zadzwonił do komendy głównej. Zwykły meldunek o podpalonym samochodzie zamienił się w informację o podwójnym morderstwie. Niewątpliwie porachunki przestępcze. Następnie wyciągnął z łóżka inspektora Tomasoę, który po kilku słowach już wiedział: jutro zdecyduje razem z prokuratorem, czy nadać sprawie spalonego kombi specjalny priorytet, co oznaczałoby włączenie do śledztwa specjalnego zespołu ekspertów. Marouan miał cichą nadzieję, że nie będzie zmuszony pożegnać się z urlopem – corocznym trzytygodniowym wyjazdem rodzinnym do ojczystego kraju. Jego żona już zajmowała się pakowaniem. Samolot wylatywał pojutrze.

Byli już prawie pod komendą. Marouan ze stężałą twarzą próbował utrzymać pod kontrolą rewolucję w swoich jelitach. Podczas gdy jego dłonie same manewrowały kierownicą, on pomyślał o dziennikarce, które zniknęła równie niespodziewanie, jak się pojawiła.

Farah Hafiz. Pracowała dla „AND Algemeen Nederlands Dagblad”. Marouan natomiast był zapalonym czytelnikiem gazety „De Nederlander”, nazywanej przez niektórych cyckowną bulwarówką, ale w jego osobistym pojęciu była to całkiem porządna gazeta. Pewnie ta Hafiz w suchym już podkoszulku rzuci się na sprawę pożaru i przedstawi ją na swój prowokujący i nie liczący się z autorytetami sposób. Tak zwykle robili ci z „AND”.

A jego kolega Calvino bez wątplenia przyglądałby się temu ze swoim wegańskim uśmiechem.

Polecił Calvinowi zadzwonić do techników. Koniecznie musiał jak najszybciej mieć na biurku wyniki ich oględzin miejsca potrącenia chłopca. Byłoby świetnie, gdyby jeszcze przed wyjazdem na urlop zdążył fachowo opracować sprawę, tak żeby Calvino nie miał szans jej spieprzyć.

Kiedy kilka minut później po zwycięskiej walce ze zbuntowanymi jelitami z ulgą wypróżnił się w toalecie dla gości, musiał przyznać przed sobą, że ta sprawa z potrąconym przez samochód chłopcem bardziej nim wstrząsnęła, niż sobie wyobrażał. Jakiś czas później, przeżuając czekoladowy batonik, poszedł do Calvina, który właśnie dzwonił do techników.

– No więc plan jest taki – powiedział władczo, gdy Calvino zakończył rozmowę. – Jedziemy do szpitala zobaczyć, na ile chłopiec jest kontaktowy. Potem do dyspozytorni pogotowia. Muszę wiedzieć, kto zgłosił wypadek.

– Niepoprawny – wyszczerzył zęby Calvino, patrząc na batonik i chwytając kluczyki, które rzucił mu Marouan. – Prawdziwie niepoprawny!

**R**az, dwa, trzy, cztery... liczymy, liczymy! – poleciała Daniëlle, kiedy za pomocą specjalnej deski z maksymalną ostrożnością przenoszono chłopca z deski ortopedycznej na stół operacyjny. Dopiero na „dziesięć” chłopiec leżał dokładnie tak, jak powinien, i można mu było zrobić prześwietlenie.

Daniëlle usłyszała, jak anestezjolożka uspokajającym tonem objaśnia chłopcu, co się z nim będzie działo: „I’m going to put you to sleep. Everything will be okay”. Brzmiało to zupełnie jak fragment bajki.

Większość bajek jednak miała happy end, podczas gdy historia życia tego chłopca najprawdopodobniej skończy się zupełnie inaczej, pomyślała. Może nawet nie odzyska już przytomności. Owładnęło ją gwałtowne współczucie dla tego chłopca, które w obecnej sytuacji bardziej przeszkadzało, niż pomagało. Nie potrafiła się temu oprzeć, uczucie żalu niepowstrzymanie wypełniało jej wnętrze. Zauważyła, że dłonie jej drżą, a puls przyśpieszył.

Pochyliła się nad chłopcem, kiedy zaczęto mu podawać narkozę, i starała się patrzeć w sposób możliwie najbardziej dodający otuchy. Wiedziała jednak, że w tym momencie bardziej chce dodać otuchy sobie niż chłopcu. Powrócił strach. Ten sam strach, który dopadł ją pół roku temu pewnej afrykańskiej nocy, zmuszając do ucieczki z obozu, na który napadli żołnierze z maczetami i pistoletami maszynowymi. Dzięki tej ucieczce przeżyła krwawą masakrę. Z drugiej strony oznaczało to jednak, że pozostawiła swojemu losowi chore dzieci w szpitalnych namiotach.

Dlatego przysięgła sobie, że już nigdy nie będzie uciekać. Tak jak teraz nie będzie uciekać od odpowiedzialności za życie tego chłopca.

Razem z asystentką zaczęła smarować jodyną brzuch, miednicę i uda chłopca. Właśnie zaznaczała na skórze miejsca, w których miały się znaleźć gwoździe, kiedy do sali operacyjnej wszedł ściągnięty telefonicznie traumatolog Nick Radder. Radder był mężczyzną trochę po czterdziestce, z którym w czasie wolnym przyjemnie można było pogawędzić, popijając piwo, ale gdy tylko włożył na siebie oliwkowy kitel operacyjny, zmieniał się w niedoścignionego zrzędcę o makiawelicznych cechach.

– I co my tu mamy? – spytał krótko.

– Złamanie otwarte w obrębie miednicy do ustabilizowania zewnętrznego – odpowiedziała Daniëlle, wykonując pierwsze cięcie.

– Bernson, to ty?! – spytał Radder zdumiony.

– Tak jest, sama przeprowadzę operację – odpowiedziała Daniëlle całkowicie skupiona na swoich czynnościach.

– Nie ma mowy – powiedział Radder takim tonem, jakby odmawiał kupienia lodów marudzącemu dzieciakowi. – Nie po to zwlekałem się z łóżka, żeby nie mieć tu nic do roboty.

– Nie mój problem – odpowiedziała lakonicznie Daniëlle. Przez cały ten czas ani razu na niego nie spojrzała i była niemal pewna, że on ostatnim wysiłkiem powstrzymuje się od

wyrwania jej z ręki skalpela.

– Proszę o pełną informację o stanie chłopca – rzucił zgrzytliwe Radder. – Czemu nie miał wcześniej tomografii?

– Jeśli nie ustabilizujemy szybko złamania miednicy, to wykrwawi się na śmierć. Prościej nie potrafię tego ująć. – Daniëlle zrobiła drugie nacięcie i zacisnęła klamrę. Reszta zespołu niewzruszenie robiła to, do czego była powołana: maksymalnie sprawnie pomagać w zabiegu.

– Czy mogę wiedzieć, jak został przetransportowany – sapnął Radder.

– Z najwyższą ostrożnością – odpowiedziała Daniëlle, na moment podnosząc wzrok na Raddera. Chyba zaczynał się lekko pocić. Usłyszała dźwięk telefonu.

– A więc bez odsłaniania głowy, szyi i pleców?

– Zgadza się – powiedziała Daniëlle – stąd najwyższa ostrożność.

– W takim razie, gdy będziesz łątała mu miednicę, on w tym czasie wykrwawi się śródczaszkowo. – Głos Raddera był pełen pogardy. W tle Daniëlle słyszała, jak asystentka, która odebrała telefon, mówi:

– Doktor Bernson jest w trakcie operacji.

– W tył zwrot i odmaszerować, Bernson. Ja to przejmę – powiedział Radder. Jeszcze moment i odepchnie ją od stołu. Daniëlle czuła, jak znowu zaczyna tracić dopiero co odzyskany spokój.

– To z pogotowia. Jest nowe zgłoszenie. Co mam powiedzieć?! – zawołała asystentka, trzymając słuchawkę w dłoni.

– Wiertarka – zakomenderowała Daniëlle.

– Niech cię szlag – syknął Radder.

Daniëlle spojrzała na swój zespół. Nie ulegało wątpliwości, że to jej zespół. Po ich oczach widziała, że są z nią. To dało jej siłę. Asystentka poinformowała, że doktor Bernson właśnie przeprowadza operację, i odwiesiła słuchawkę. Podano jej wiertarkę i przyłożyła wiertło do pierwszego z zaznaczonych na miednicy miejsc.

– Dwa centymetry wyżej, Bernson. To za nisko – zasyczał Radder jak jadowity wąż.

– Bardzo proszę odprowadzić doktora Raddera do wyjścia – powiedziała Daniëlle do asystentki możliwie opanowanym głosem. Czuła, jak całe jej ciało się napina. Próbowwała się skupić na punkcie, w którym miała dokonać nawiercenia, ale nie była w stanie prawidłowo ocenić głębokości. Prawa powieka jej drgała. Odgłosy pracy kardiomonitora, aparatu anestetyjnego, wentylatorów cell savera – wszystko to zlało się w jedno, przechodząc w rytmiczną pracę wycieraczek karetki, jękliwy dźwięk syreny na dachu i uderzenia kropel deszczu o przednią szybę, przemieszane z wciąż słyszalnymi krzykami przerażenia afrykańskich dzieci w szpitalnym namiocie.

– Ciśnienie ciągle spada – ostrzegła anestezjolożka. – Nic się nie daje zrobić.

Dźwięk metalu wwiercającego się w kość był przeraźliwie wysoki. Daniëlle wywierciła kolejny otwór.

– Zatrzymanie akcji serca! – krzyknęła anestezjolożka.

Daniëlle wiedziała, że chociaż ciało dziecka ma o wiele mniejszą objętość niż ciało człowieka dorosłego, to krwawienie przebiegało tak samo szybko. Za sobą usłyszała wściekły głos Raddera:

– Jeśli tego nie zatrzymasz, Bernson, to będziesz miała na sumieniu śmierć tego dziecka!

W tym momencie Daniëlle zorientowała się, że chyba wierciła za nisko i krwawienie trwa z tą samą siłą. Ku swemu przerażeniu uświadomiła sobie, że prawdopodobnie Radder ma rację. Będzie miała na sumieniu śmierć dziecka.

Kolejną.

Z piątego piętra Waterland Medisch Centrum Farah spoglądała na budzące się właśnie miasto. Oglądany z tej wysokości przez szybę Amsterdam wyglądał jak obraz ze snu, zupełnie jak z czasów jej młodości.

Jako dziecko nie marzyła o niczym innym, jak tylko o tym, aby zanurzyć się w świecie, gdzie wszyscy żyli długo i szczęśliwie, zupełnie jak w bajkach. Z upodobaniem słuchała opowieści o zakochanej Lajli i Madźnunie, którzy wskutek różnych przeciwności losu mieli się odnaleźć dopiero w momencie śmierci.

– Dopiero wtedy – czytała jej matka cichym, melodyjnym głosem – przestali odczuwać ból rozstania. I miało tak być już po wsze czasy. Albowiem kto doznaje cierpienia i cierpliwie je znosi, ten zazna w raju radości i szczęścia.

Farah jednak nie miała ochoty czekać na rajskie rozkosze po śmierci. Pomimo wszystkich niedogodności, z jakimi zetknęła się jako mała dziewczynka, postanowiła, że życie na ziemi będzie dla niej tym jedynym. Zbyt dużo widziała śmierci, żeby nie wiedzieć, że oznacza ona definitywny koniec życia.

Dla Farah liczyło się życie przed śmiercią. I to życie chciała wykorzystać jak najlepiej. To postanowienie niosło ze sobą mnóstwo sprzeczności. Najczęściej odczuwała palącą potrzebę możliwie intensywnego przeżywania wszystkiego, kierując się przy tym głównie impulsem i pierwotnymi popędami, kiedy jednak szła za ich głosem, pojawiał się strach, że może się w tym całkowicie zatracić i toczyć jak bezwolna piłka przez rozwiązłe życie.

Za każdym razem, gdy dopadał ją ten strach, rzucała się z równym zapamiętaniem w życie pełne porządku, w którym dyscyplina stawała się dla niej czymś w rodzaju świętej krowy. Odgruzowywała wtedy swoje mieszkanie, urządzając je całkowicie od nowa, tak aby stało się ciepłym i swojskim gniazdkiem. Znowu zaczynała chodzić codziennie na siłownię, odżywiała się warzywami i owocami, trenowała i medytowała, chodziła spać o przyzwoitej porze, wstawała wcześniej i oddawała teksty do gazety dokładnie w ustalonych terminach. I tak do czasu, aż takie życie stawało się dla niej nie do zniesienia. Wtedy znów, uskrzydłona rozpaczliwym pragnieniem zmiany, rzucała się w jego przeciwieństwo.

We wszystkich tych burzliwych okresach zawsze było jednak coś potężnego, co jednak utrzymywało jej życie w stanie pewnej równowagi: jej ciekawość. Już od wczesnego dzieciństwa intrygowało ją wszystko, co się wokół niej działo. Potrzeba zrozumienia otaczającego ją świata była jej głównym zajęciem. Opisywanie własnych myśli na temat tego, co widzi, słyszy lub robi, dawało jej uspokajające poczucie, że pomimo wszelkich zawirowań i przeciwności w jej życiu zachowuje jednak kontrolę nad sobą samą i nad wydarzeniami.

W ten sam sposób odnalazła potem subtelną równowagę w swojej dziennikarskiej pracy. Tak jak nauczyła się poskramiać słowami własne, często trudne do okiełznania siły, tak samo próbowała też oswoić siły ją otaczające: poprzez pisanie o nich.

Kiedy tak zatopiona w myślach spoglądała na Amsterdam, w którym zapalało się coraz więcej

świateł, uczepliła się myśli, że dopóki operacja się nie skończy, dopóty jest jeszcze jakaś nadzieja dla chłopca.

Usłyszała kroki w pustym korytarzu za swoimi plecami. Brzmiały inaczej niż piszczące dźwięki, wydawane przez gumowe podeszwy pielęgniarek i lekarzy, którzy sporadycznie ją tutaj mijali. Odwróciła się i zobaczyła tych samych dwóch śledczych, których kilka godzin wcześniej spotkała przy płonącym w lesie wraku. Młodszy z nich z zarostem okalającym usta poczęstował ją szerokim uśmiechem, świadczącym o tym, że ją poznaje. Jego starszy kolega wyglądał tylko na zdumionego, że ją tutaj spotyka.

– Farah – powiedział młodszy śledczy, wyciągając do niej dłoń. – Już trochę lepiej?

– Zważywszy okoliczności, tak. Dziękuję.

Tak jak początek zawsze łączy się z końcem, tak samo ci dwaj mężczyźni wydawali się do siebie pasować, przy czym starszy z nich bez wątpienia symbolizował koniec, a jego kolega Joshua – początek. I tak jak to się dzieje od początku historii ludzkości, tak i w ich układzie negatywne siły próbowały zdominować te pozytywne. Starszy śledczy, o szpakowatych włosach, przecisnął się obok niej. Wyciągnął dłoń i przedstawił się w bardzo formalny sposób jako Marouan Diba.

Farah oceniała go na sporo po pięćdziesiątce. Kiedyś musiał być przystojnym mężczyzną, ale nadwaga, siwizna przebłyskująca wśród czarnych włosów i jego pełna rezygnacji postawa zdradzały, że pogodził się już z przemijaniem, co sprawiało, że wydawał się o dziesięć lat starszy. W jego słabym uśmiechu można było dostrzec ślady cierpienia, mikroskopijne ślady, niemal niewidoczne dla osoby postronnej. Ale Farah je dostrzegła.

Dostrzegła ból kogoś, kto musiał się zadowolić tym, kim się stał. Ona sama często myślała o tym, kim była, zanim uciekła z Afganistanu jako dziesięcioletnia dziewczynka. Patrząc teraz w lustro, nigdy już nie zobaczyła ponownie tamtej niewinności i idealizmu. Teraz widziała głównie cień w swoich źrenicach. I to samo dostrzegła teraz w oczach Marouana Diby. I usłyszała to w pełnym wyrzutu sposobie, w jaki się do niej zwracał.

– Czemu pani nie powiedziała, kim pani jest i co pani robiła na miejscu wypadku?

– Bo mnie pan o to nie pytał – odpowiedziała z rezerwą.

– Czy może mi pani zdradzić, dlaczego tak bardzo się pani interesuje tym chłopcem?

– „Interesuje się” nie jest najwłaściwszym określeniem, inspektorze. Bardzo się nim przejęłam. Został przywieziony do szpitala, kiedy akurat tam byłam.

– A co pani tam robiła o tej porze, jeśli wolno spytać?

– Chciałam się dowiedzieć o stan kobiety, którą wcześniej znokautowałam.

Diba patrzył na nią z uniesionymi brwiami.

– Walczyłam na gali w teatrze Carré – wyjaśniła Farah. – Walka przyjęła nieco inny obrót, niż powinna. Na tyle ciężko znokautowałam przeciwniczkę, że konieczne było przewiezienie jej do szpitala.

– A więc przyjechała pani do szpitala, ponieważ pobiła pani do nieprzytomności przeciwniczkę, i akurat w tym momencie przywieziono chłopca?

– Zgadza się.

– Czy może mi pani wyjaśnić, jak to się stało, że chłopiec trafia do szpitala, a chwilę później pani gna na łeb na szyję do Lasku Amsterdamskiego?

Farah czuła, jak narasta w niej złość.

– Wie pan chyba, że chłopiec był ubrany w dziewczęce szaty, że był umalowany i obwieszony biżuterią? – zapytała możliwie opanowanym tonem.

– Tak, jest nam to wiadome.

– A czy jest też panom wiadome, co to może oznaczać? – spytała, nieświadomie robiąc krok do przodu. Diba milczał. Farah stała teraz tak blisko niego, że niemal stykali się nosami. – *Bacha bazi*, drogi panie Diba. Mówi to panu coś?

– Słucham?

– W dosłownym przekładzie: zabawa z chłopcami. I dotyczy chłopców od piątego roku życia. Chłopców, których przymierający głodem rodzice sprzedają za kilkaset dolarów wysoko postawionym dygnitarzom. Chłopców przebieranych za egzotyczne tancerki, ale przeznaczonych głównie na obiekty seksualne dla majątnych starszych panów.

– Obojętne, jak się nazywa to, droga pani Hafiz, o czym pani teraz opowiada, ale to zdarza się w całkowicie innym świecie niż ten, w którym żyjemy – odpowiedział Diba sucho.

– Bardzo mi przykro, ale ten świat, o którym właśnie rozmawiamy, najwidoczniej zawitał już do naszego – odrzekła Farah nieco ostrzejszym tonem, niż zamierzała. A kiedy zobaczyła, jak patrzy na nią z niechęcią, dodała: – Tak samo, jak zawitaliśmy tutaj pan i ja.

W tym momencie na korytarzu pojawiła się jasnowłosa lekarka. Miała nieobecne spojrzenie maratończyka, który ostatnim wysiłkiem dotarł do mety. Zmęczenie wielogodzinną operacją postarzyło ją o całe lata.

Farah patrzyła na nią w milczeniu i czuła, jak ulatnia się z niej nadzieja, jaką miała jeszcze przed chwilą. Było to oczywiście złudzenie. Szczęśliwe zakończenia spotyka się tylko w bajkach. A bajki mogły istnieć tylko w cieniu śmierci.



Joshua Calvino gapił się na kłębek pokrwawionych szmat i garść ozdób i bransolet upchanych w przezroczystym plastikowym worku, leżącym na jego kolanach. Razem ze swoim partnerem Marouanem Dibą siedział w toyocie corolli zmierzającej do dyspozytorni pogotowia, ale zupełnie nie zwracał uwagi na to, którędy jadą, bo to Diba prowadził.

Calvino nieprzerwanie wpatrywał się w worek, w myślach powtarzając jak mantrę dzień i godzinę wypisane odręcznie na nalepce.

„Piątek, trzydzieści minut po północy”.

Tymczasem Diba perorował. Ostatnią rzeczą, na jaką Calvino miał ochotę, było wysłuchiwanie jego komunałów. Jednym uchem wylapywał pojedyncze słowa, takie jak „wywiad” czy „media” i domyślał się, że chodzi o Farah Hafiz. Nie ulegało wątpliwości, że Diba odwija właśnie taśmę ze swoim standardowym repertuarem opinii na temat dziennikarzy, których jego zdaniem interesowało tylko jedno: oni sami. Od kiedy znał Dibę, bardzo szybko przyszło mu się przekonać, że jego opinie na temat ludzi i świata tak bardzo wzały się w jego reakcyjny mózg, że nie było takiego argumentu, który mógłby je podważyć.

Joshua Calvino milczał i czytał.

„Piątek, trzydzieści minut po północy”.

Była to godzina zarejestrowania chłopca w izbie przyjęć. Joshua znów zobaczył go przed sobą, jak leży na mokrym asfalcie w dziewczęcym stroju. Było to jak patrzenie w światło lampy po zamknięciu oczu. W takich chwilach obraz jeszcze długo pozostawał na siatkówce. Tak samo Joshua widział przed sobą tego chłopca, niezależnie od tego, gdzie patrzył. Widział też twarz lekarki, Daniëlle Bernson, która go przywiozła do szpitala i operowała.

Lekarka opowiedziała im potem, że musieli ustabilizować miednicę chłopca za pomocą gwoździ i metalowej ramy, która wszystko połączyła. I że musieli też umieścić gwoździe w jego lewej nodze. Że operowali mu śledzionę i musieli założyć dreny do płuc. Że chłopiec ma ciężki wstrząs mózgu i dwa złamane żebra i że zaopatrzone wszystkie zewnętrzne rany. Rezultat osiągnięty po wielogodzinnej operacji: stan chłopca był w miarę stabilny, ale wciąż jeszcze istniało zagrożenie życia.

Będzie teraz musiał spędzić co najmniej pięć dni w całkowitej izolacji na oddziale intensywnej terapii. Nie wolno do niego wchodzić nikomu oprócz pielęgniarki i lekarza.

Oznaczało to więc, że na razie nie będzie mógł zostać przesłuchany, czego mało subtelnie domagał się Diba, wskazując na „interes śledztwa”.

„Piątek, trzydzieści minut po północy”.

Stan stabilny, ale wciąż istnieje zagrożenie życia.

Co czeka takiego chłopca, jeśli wyzdrowieje, biorąc pod uwagę, że jest on uprowadzonym, przypuszczalnie wykorzystanym seksualnie dzieckiem, które przesz muglowano przez ileś granic, żeby wreszcie w obcym kraju pozostawić je na pewną śmierć? Co zrobią ci, którzy go sprzedali, a potem pozostawili na środku drogi, gdy się dowiedzą, że jednak przeżył? Istniało wiele

powodów, żeby ktoś chciał maksymalnie wyciszyć sprawę. Objęcie go ochroną nie było jeszcze na tym etapie możliwe, ponieważ nie można było założyć, że chłopiec dysponuje jakimiś kluczowymi informacjami. Tylko wówczas, jeśli uda się wykazać istnienie związku między potrąceniem chłopca a dwoma ciałami w samochodzie kombi, chłopiec stanie się częścią większej całości. A ta większa całość pachniała przestępczymi porachunkami.

Co do tego nie było żadnych wątpliwości.

Kiedy niedługo potem wysiadali z samochodu pod komendą główną policji, gdzie znajdowała się też centrala numeru alarmowego, Joshua czuł, że dzisiaj będzie jeszcze cieplej, niż zapowiadano. Na szczęście w budynku klimatyzacja robiła swoje. Inaczej ciepło bijące od komputerów w połączeniu z letnim upałem zmieniłoby cały wydział w subtropikalną dżunglę.

Policjantka, która przyjęła zgłoszenie, nazywała się Evelien. Patrząc na nią, Joshua widział komplet przymiotów holenderskich pań: niebieskie oczy, gładką zaróżowioną skórę, pełne, czerwone usta. Evelien miała też popielatoblond loki, luźno spływające na pagony jej nienagannie czystej policyjnej bluzy. Stawiała na słodki wygląd, a nie jakieś tam głupoty. Określenie *nobody fucks with Evelien* należało w tej sytuacji traktować jak najbardziej dosłownie, jakkolwiek ze względu na swoje rubensowskie krągłości stanowiła skryty obiekt pragnień niejednego policjanta z komendy. Evelien jednak była jednak od lat wyjątkowo monogamiczną małżonką i troskliwą matką piątki dzieci.

Kiedy w czasie jej dyżuru w centrali w telefonie odzywał się spanikowany rozmówca, Evelien stawała się ucieleśnieniem spokoju i opanowania. Była niezwykle zdecydowana i sprawna w wysyłaniu ludzi w miejsce, z którego przychodziło zgłoszenie. Tak samo sprawnie wysłała też Marouana i Joshuę do Lasku Amsterdamskiego.

Teraz siedzieli w trójkę w niewielkim pomieszczeniu z aparaturą odtwarzającą. Joshua upił łyk swojego napoju z aloe vera, podczas gdy Diba daremnie usiłował zamieszać drewnianą szpatułką gęstą od fusów czarną kawę w papierowym kubku, jednocześnie strzepując z kolan okruszki precla.

– Kobieta była w wyraźnej panice. Podała, że jest gdzieś w Lasku Amsterdamskim, nie wie dokładnie gdzie, gdzieś niedaleko wody, powiedziała. Pomyślałam więc od razu o Amstelveense Poel. Zobaczyła leżące na drodze dziecko. Nie wyglądało, żeby była pijana i nagle się rozłączyła.

– Dobra – powiedział Joshua – no to posłuchajmy.

Evelien nacisnęła guzik odtwarzania i nagle usłyszeli kobietę, która sprawiała wrażenie osoby w histerii niż zdezorientowanej.

– Ja jej nawet nie musnęłam. Ona już tam leżała!

Na taśmie słyhać też było niewzruszony głos Evelien.

– Proszę się uspokoić i powiedzieć, gdzie się pani znajduje.

Można było odnieść wrażenie, że kobieta w ogóle nie słyszy Evelien. Zaczęła szlochać.

– Ona tam leży. Na pewno nie żyje.

– Czy może mi pani powiedzieć, gdzie pani jest?

– W... w... Lasku Amsterdamskim. Na takiej... na takiej drodze. Nie wiem, jak to się tu nazywa! To blisko wody.

– Czy może pani powiedzieć, co pani widzi?

– Ona tam leży. Krew jej płynie z głowy. Boję się bliżej podejść. O mój Boże! Ja jej nawet nie musnęłam! Ja jej nawet nie musnęłam!

– Proszę pani, niech się pani postara uspokoić. Zaraz przyślę karetkę. Proszę się nie rozłączać.

Kobieta nie reagowała. Szlochała, wydawała z siebie okrzyki, za nic nie mogła przestać.

– O mój Boże! O mój Boże!

Joshua słyszał padający w lesie deszcz, brzmiało to bardzo niewyraźnie. Potem znowu głos Evelien, spokojny ale stanowczy.

– Proszę pani, jest tam pani jeszcze?

Słysząc było jakieś odgłosy i coś, co przypominało grzmot. Potem znowu głos Evelien.

– Proszę pani?

Żadnej reakcji. Tylko taki odgłos, jakby telefon wypadł kobiecie z ręki.

– Proszę pani, jest tam pani jeszcze?

Kliknięcie. Połączenie zostało przerwane. Spojrzeli na siebie.

– Jeszcze raz – zarządził Marouan burkliwie między jednym a drugim kęsem. Joshua, który zastanawiał się, czy ten grzmot, który przed momentem słyszeli, mógł być wystrzałem z pistoletu, popatrzył na swojego partnera z zażenowaniem.

To są chłopcy, z którymi można się zabawiać – powiedziała szeptem Farah. – Rozumiesz?

Razem z Daniëlle Bernson patrzyła przez szybę oddziału intensywnej opieki, gdzie leżał chłopiec, podłączony płataniną rurek do skomplikowanej aparatury.

– To chłopcy z biednych rodzin. Biednych w najbardziej dosłownym sensie. Dlatego są na sprzedaż. Za pieniądze, które ich żyjący w nędzy rodzice przyjmują, żeby trochę ulżyć swojej doli. Maluje się ich. Uczy się ich uśmiechać uwodzicielsko. Daje się im posrebrzane ozdoby z dzwoneczkami, które pobrzękują w czasie tańca. Bo oni muszą tańczyć. Muszą wzbudzić zachwyt gości. Gośćmi są dobrze sytuowani mężczyźni, najczęściej wysoko postawieni, a więc bogaci biznesmeni albo politycy. Wykorzystują tych chłopaczków dla swojej rozrywki. Na początku tylko na nich patrzą. Potem przelotnie ich dotykają, kiedy tamci mijają ich w tańcu. To wzmagą podniecenie. Cały sens przesunięcia dłonią po takiej chłopięcej nodze kryje się w myśli, że niedługo będziesz ją głaskać we własnym łóżku. I masz pewność, że ten chłopiec pozwoli na wszystko, ponieważ jest twoją zabawką na jedną noc. To taka wielowiekowa tradycja występująca w Afganistanie, która teraz, jak widać, jakimiś nieznanymi drogami przedostała się do Holandii.

– Teraz rozumiem, czemu policjanci prosili, żeby nie nadawać sprawie rozgłosu – powiedziała Daniëlle.

– To chyba też dla jego bezpieczeństwa – dodała Farah, która nie mogła oderwać oczu od chłopca. – Ci, którzy go tam zostawili, z pewnością myślą, że on nie żyje. Jeśli dowiedzieliby się, że on jeszcze żyje i leży w tym szpitalu, mogliby nawet próbować go zamordować. Kiedy będzie mógł mówić, zacznie stanowić dla nich realne zagrożenie.

– Wiesz, czego tutaj nie rozumiem? Dlaczego tak po prostu go tam zostawili? Na środku drogi? Przebranego w ten strój i te wszystkie ozdoby. Czemu nie zlikwidowali go w jakiś inny sposób?

– Musiało zdarzyć się coś niespodziewanego – powiedziała Farah i w tym momencie uświadomiła sobie wagę wypowiedzianych słów. – Musiało zdarzyć się coś, co zmusiło ich do zmiany planów.

Co to mogło być, pozostawało na razie zagadką, ale Farah lubiła zagadki. Im trudniejsza zagadka, tym większa satysfakcja z jej rozwiązania. Postanowiła, że wróci na miejsce, gdzie znaleziono chłopca, i rozejrzy się po najbliższej okolicy. Technicy policyjni z pewnością dawno już zakończyli czynności i droga została przywrócona do ruchu.

W zasadzie nie będzie to żadne dochodzenie. Bardziej dokumentacja miejsca zdarzenia. Ona nie szuka sprawców. Zależy jej głównie na tym, żeby odkryć ciąg przyczyn i skutków, pójść śladami chłopca i odtworzyć chronologię wydarzeń tamtej nocy.

Aż za dobrze zdawała sobie sprawę, jak wielką rolę w całej sprawie odegrała Daniëlle. To ona uratowała życie chłopca. I już samo to było dla Farah wystarczająco silnym motywem, żeby zająć się tą sprawą. Lekarz ratuje życie, dziennikarz obnaża kulisy, a policja łapie sprawców.

Nadzwyczaj funkcjonalny trójkąt.

Nietrudno było się domyślić, dlaczego sprawa tego chłopca tak ją poruszyła – wszystko to wiązało się z jej wypartą ze świadomości przeszłością, z krajem i kulturą, z których się wywodziła, chociaż wydawało się jej, że przerwała już wszelkie łączące ją z tym związki. Nie potrafiła natomiast zrozumieć, skąd tak wielkie emocjonalne zaangażowanie Daniëlle Bernson tym kompletnie nieznanym jej przecież chłopcem. Co nią kierowało, że po przywiezieniu go do szpitala już nie wypuściła go z rąk? Czemu nie wyjechała karetką do następnego wezwania i nie zostawiła chłopca, żeby zoperował go wezwany do szpitala traumatolog? Farah postanowiła o to zapytać. W jak najbardziej neutralny sposób.

– O ile wiem, to w zasadzie nie powinnaś przeprowadzać tej operacji. Miałas dyżur wyjazdowy. Czemu więc zdecydowałaś się to zrobić?

Daniëlle uśmiechnęła się, ale był to tylko sposób obrony, i jej zmęczona twarz zachmurzyła się.

– Przepraszam, ale wolałabym o tym nie mówić.

– No ale przecież uratowałaś mu życie – nie ustępowała Farah. – To dla ciebie bez znaczenia?

– Oczywiście, że nie – zaprotestowała Daniëlle. – Ale jest jeszcze kwestią otwartą, czy zdoła przeżyć. Zdecydują o tym najbliższe dni. Ale nawet jeśli zdoła, to co się z nim potem stanie? Czy trzeba będzie kompletnie przemilczeć jego sprawę? Jaka czeka go przyszłość? Czy znajdzie jakąś rodzinę?

– Na tak długo, jak będzie trzeba, my będziemy jego rodziną – powiedziała Farah.

Daniëlle spojrzała na nią. Wyglądała na prawdziwie zdumioną.

Farah dostrzegła kątem oka, że pielęgniarka na OIOM-ie posyła Daniëlle uspokajający uśmiech i podnosi do góry obydwie kciuki. Daniëlle wyraźnie się odprężyła.

– To jedna z naszych najbardziej doświadczonych pielęgniarek – powiedziała. – Chłopak jest w dobrych rękach.

– Dzisiaj w nocy pojechałam w to miejsce, gdzie został potrącony – zaczęła Farah. – Technicy policyjni badali właśnie ślady hamowania. Był więcej niż jeden samochód. W dodatku niedaleko miejsca, gdzie znaleziono chłopca, ktoś podpalił samochód kombi. Strażacy znaleźli w nim dwa zwęglone ciała.

Daniëlle przechyliła głowę i obiema rękami poszukała oparcia na obramowaniu okna OIOM-u.

– Nie chcę nic o tym wszystkim wiedzieć – powiedziała głucho. – Mnie chodzi tylko o chłopca.

– Doskonale to rozumiem – powiedziała Farah – to przecież w końcu twój zawód, ale...

– Nie, nic nie rozumiesz – przerwała jej Daniëlle, która wyraźnie pobladła – zupełnie nic nie rozumiesz. Tu chodzi o coś więcej niż o mój zawód. Tu chodzi...

Zamilkła.

Tak to się właśnie dzieje, jak człowiek jest lekarzem, pomyślała Farah, ona tak bardzo zajmuje się ratowaniem życia innych, że nawet sobie nie zdaje sprawy, jak wielkie jest jej cierpienie. A cierpienie Daniëlle musiało być wielkie i bez wątpienia miało początek znacznie wcześniej niż minionej nocy.

– Masz dzieci? – spytała Farah.

– Nie – odparła Daniëlle zdecydowanie. – Nie chcę mieć dzieci. Większość ludzi sprawia wrażenie, jakby ich głównym celem było sprawianie sobie nawzajem bólu. Nie chcę wydać na świat dziecka, które potem może stać się ofiarą albo co gorsza sprawcą.

Pewnie przeżyłaś rzeczy, o których nie chcesz rozmawiać, pomyślała Farah. Byłaś w miejscach, gdzie widziałaś rzeczy, o których wolałabyś zapomnieć. Zupełnie jak ja.

Milczały obie przez chwilę, ale w momencie, kiedy Farah myślała, że Daniëlle chce odejść, ta objęła ją ramieniem.

– To rzeczywiście bez sensu, żebym ci nic nie powiedziała na temat tego, co zobaczyłam, gdy dotarliśmy na miejsce. Mów, co chcesz wiedzieć.

– W jakiej pozycji leżał, kiedy go znalazłaś?

– Na prawej połowie drogi, ale rany miał głównie po lewej stronie ciała. Musiało być tak, że został uderzony przez samochód, który był z lewej. Zderzak uderzył w jego lewą nogę, siła uderzenia musiała rzucić go na maskę. Potem lewą stroną głowy uderzył o przednią szybę, przeleciał przez maskę i upadł na tę stronę drogi, gdzie znieruchomiał w pozycji, w jakiej go znalazłam.

Farah znów zobaczyła w oczach Daniëlle niepewność.

– Mówię ci o tym wszystkim tylko dlatego, że...

– Ja to rozumiem – przerwała jej Farah. – Ale teraz musisz się trochę przespać. Na dzisiaj zrobiłaś już swoje.

– A ty?

– Ja nawet jeszcze tak naprawdę nie zaczęłam – powiedziała Farah z uśmiechem. Odwróciła się na pięcie i poszła do windy. Kiedy zamknęły się za nią drzwi, myślami była już w środku lasu w poszukiwaniu śladów chłopca, który uciekał na bosaka między drzewami. Wiedziała już, do czego biegł. Teraz musi spróbować odkryć, skąd uciekał.

Wcześniej rano Diba jeszcze kilkakrotnie przesłuchał w centrali numeru alarmowego taśmę z nagraniem zgłoszenia i również doszedł do wniosku, że nie słyhać na niej strzału z pistoletu, tylko raczej odgłos grzmotu. W tym czasie Joshua na podstawie numeru, z którego dzwoniono, zidentyfikował przypuszczalną rozmówczynię. Numer telefonu był zarejestrowany na Angelę Faber. Natychmiast poszedł z tym do Diby.

– Hej, partnerze! A jakbym powiedział *The Game of Love*, to co ty na to?

– Ja na to, że nie interesują mnie twoje ulubione hity z listy przebojów, Calvino – parsknął Diba.

Na to Joshua uświadomił mu, że przypuszczalnie umknął mu fakt, iż prezenter telewizyjny i celebryta Dennis Faber już trzeci sezon sprawdza na oczach milionowej publiczności trwałość zgłoszonych do konkursu małżeństw. *The Game of Love* biła wszelkie rekordy oglądalności w komercyjnej stacji IRIS TV. Zaś Angela Faber, kobieta, która dzwoniła zeszłej nocy w sprawie chłopca, to jego żona.

– Sam fakt, że Angela Faber zgłosiła zdarzenie, wcale nie oznacza automatycznie, że stała się osobą podejrzaną – myślał na głos Joshua.

– No nie – burknął Diba – ale w złym świetle stawia ją fakt, że opuściła miejsce zdarzenia, zostawiając chłopca własnemu losowi. Nie mówiąc już o kwestii, czego szukała po nocy w Lasku Amsterdamskim.

– Moim zdaniem, niczego – stwierdził Joshua.

– Tak myślisz? Niczego?

– Tak myślę.

– Aha, czyli że masz już na wszystko odpowiedź.

– Wcale nie mam odpowiedzi na wszystko, ale coś mi podpowiada, że nie powinniśmy wyciągać przedwczesnych wniosków.

– I co to niby jest to „coś”, panie przenikliwy analityku? Czy zechcesz może podzielić się swoją wiekuiłą mądrością z nami, niegodnymi?

– Myślę, że Angela Faber przejeżdżała tamtędy zupełnie przypadkiem i zobaczyła na jezdni tego biedaka...

– I co?

– Nie mam pojęcia. Po prostu mi to nie pasuje. Za dużo tutaj niewiadomych, żebyśmy się mieli skupiać wyłącznie na tej kobiecie, jeśli mnie o to pytasz.

– Ja cię wcale o nic nie pytam, Calvino. Sam zacząłeś. Co to w ogóle jest, do cholery? Tego cię uczyli na kursach? Żebyś coś bredził bez sensu w obecności innych? Obudź się, Cal! To jest prawdziwy świat! Jesteś śledczym z zawodu, a nie jakimś tam, kurde, idealistą!

– No właśnie, a w prawdziwym świecie właśnie minąłeś dom Faberów, marudna cioto – powiedział Joshua, żałując, że przed chwilą myślał na głos.

Kiedy Diba zawrócił samochód, przejechali przez wypolerowaną do błysku bramę z kutego

żelaza i znaleźli się na podjeździe utrzymanej w wiejskim stylu willi z krytym strzechą dachem.

– Szkoła amsterdamska – powiedział z podziwem Joshua.

– Gównu mnie obchodzi, do jakiej szkoły chodziłeś – prychnął Diba.

– Mówię o domu – pouczył go Joshua. – Chodzi o styl architektoniczny. Szkoła amsterdamska.

– Chyba wybrałeś nie ten zawód, Cal, powinieneś zostać profesorem pierdolologii – powiedział Diba, który trochę zbyt gwałtownie zahamował, przez co spod kół trysnęła fontanna drobnego żwiru.

Joshua wysiadł z samochodu i zaciekawiony podszedł do opartej na dębowych słupach wiaty parkingowej. Stał tam jeden jedyny samochód, ciemnobrązowy citroën DS, wyglądający, jakby dopiero co zszedł z taśmy montażowej.

Joshua obszedł go naokoło. Tych samochodów nie produkowano już od trzydziestu pięciu lat. Pojawiały się tylko jako egzemplarze kolekcjonerskie, luksusowe modele z hydropneumatycznym zawieszeniem. Pięć metrów długości. Dosłownie płynęły, gdy się nimi jechało. Ten model zyskał międzynarodowe uznanie, ponieważ francuski prezydent generał de Gaulle awansował go do rangi samochodu prezydenckiego. Tak rzadki egzemplarz jak ten kosztował mnóstwo szmalu. Bez wątplenia należał do pana domu.

Joshua spisał numer rejestracyjny. Kiedy wracał w stronę domu, zobaczył, jak Diba zagląda do środka przez jedno ze zdumiewająco wielkich okien, podpartych pośrodku jakby przez dwoje rzeźbionych ramion. Wyglądały, jakby podnosiły okno do góry.

– Jaś i Małgosia zdążyli dorosnąć – mamrotał pod nosem zniesmaczony Diba. – Mają sownice opłacane zawody i jeżdżą drogami citroënami, ale mieszkać wciąż mieszkają w dziwnym domku czarownicy. Popatrz na te okna. Kto coś takiego wymyśla?

Joshua stał przed tym fantastycznym domem i patrzył na jego frontową ścianę, otoczoną strzechą, wyglądającą jak gigantyczna fryzura na pazia.

Diba niecierpliwie potrząsał staroświeckim dzwonkiem u drzwi, podczas gdy Joshua rozmyślał o tym, że w tym domu wszystko było z naturalnych materiałów: piaskowiec, żelazo, drewno i słoma. Niewiele natomiast naturalnego było w kobiecie, która otworzyła drzwi. Kiedyś musiała być piękna i młoda, dzięki swoim naturalnym niedoskonałościom. Wszystkie jednak zostały teraz w sposób bezwzględny usunięte. W rezultacie została sztucznie wygładzona skóra, bezdusznie opinająca twarz, i ciało niczym przybrązowiony laminat.

Sądząc po delikatnej siateczce linii w kącikach ust i lekko pomarszczonej skórze dłoni, Angela Faber dawno musiała przekroczyć czterdziestkę. Miała sięgające szyi platynowe włosy i nosiła wyblakłe dzinsy, sportowe buty firmy Palladium i głęboko wycięty różowy T-shirt ze srebrzystymi cekinami, ciasno opinający jej nienaturalnie okrągłe piersi. Tragiczne, pomyślał Joshua, kobieta, która wbrew wszelkim prawom natury robi wszystko, żeby brano ją za wiecznie młodą dziewczynę z sąsiedztwa.

– Pani Faber? – spytał, posyłając jej jednocześnie uspokajający uśmiech.

– Tak, a o co chodzi? – potwierdziła z wahaniem.

– Nazywam się Joshua Calvino, a to mój partner Marouan Diba. Jesteśmy z wydziału kryminalnego. Prowadzimy śledztwo w sprawie incydentu, jaki miał miejsce zeszłej nocy w Lasku Amsterdamskim. Czy to prawda, że to pani przekazała zgłoszenie na numer alarmowy?

Zobaczył, że lekko się przestraszyła. Odpowiedziała w telegraficznym stylu.

– Ja? Zgłoszenie? Jakiego rodzaju?

Diba rzucił Joshui znaczące spojrzenie, a następnie zwrócił się do Angeli Faber, pytając, czy



mogą na chwilę wejść do środka, bo łatwiej się tam będzie rozmawiało. Joshua zobaczył, jak pani Faber odsuwa się lekko od Diby, kiedy prawdopodobnie doszedł ją wydzielany przez niego zapach.

– Nie mam za bardzo czasu – powiedziała nerwowo. – Właśnie wchodzę.

– Czy to pani samochód? – Joshua wskazał na citroëna stojącego pod wiatą.

– Yyy... nie. – Angela Faber nerwowo skubała opuszki palców.

– Nie? Nie pani?

– Zgadza się.

– Czy mogę spytać, co pani robiła zeszłej nocy mniej więcej od północy do godziny pierwszej?

– Byłam w domu.

– Sama?

Angela Faber przejechała dłonią po swoich platynowych włosach i Joshua przez moment dostrzegł granatowy siniak po prawej stronie czoła.

– Z mężem – wyjaśniła sztucznie rzeczowym tonem.

– A więc to nie pani przekazała zgłoszenie? – upewnił się Diba, który najwyraźniej poczuł własny zapach i instynktownie się odsunął.

– Nie wiem, o czym pan... W ogóle o niczym nie wiem.

– Proszę pani, numer, z którego dzwoniło, jest zarejestrowany na pani nazwisko.

Kiedy Joshua odczytywał kolejne cyfry, Angela Faber patrzyła na niego, jakby ogłaszał na nią wyrok śmierci. Nadal jednak uporczywie zaprzeczała.

– Kilka dni temu ukradziono mi telefon – powiedziała, zupełnie jakby podpowiedział jej to jakiś sufler.

– Na szczęście musiał to być złodziej, który miał sumienie – rzucił Joshua z uprzejmym uśmiechem.

– Nie rozumiem?

– Najpierw kradnie telefon, a potem dzwoni z niego na telefon alarmowy, żeby kogoś ratować.

– A, mówi pan o wypadku – zrozumiała teraz Angela Faber.

– Skąd pani wie, że chodzi o wypadek?

– Przecież sam pan przed chwilą powiedział.

– Nie, powiedziałem tylko o ratowaniu czyjś życia, a nie o wypadku.

– No tak, tak, to właśnie miałam na myśli – powiedziała, a jej spojrzenie pobiegło w stronę czegoś za plecami Joshui. Kiedy spojrzął za siebie, zobaczył samochód służby ochroniarskiej, wjeżdżający na podjazd. Joshua odwrócił się z powrotem do Angeli Faber i spróbował po raz ostatni.

– Chcielibyśmy zamienić z panią kilka słów. To dla nas ważne, żeby powiedziała nam pani, co pani wtedy widziała.

– Bardzo mi przykro, ale nic nie widziałam i niczego nie zgłaszałam. Byłam w domu.

– Rozumiem, że razem z mężem – wtrącił się zniecierpliwiony Marouan. – Czy on może to potwierdzić?

– Z pewnością to zrobi. – Angela Faber zaczęła powoli zamykać drzwi.

– A gdzie możemy go znaleźć?

– W Westergas Studios – powiedziała Angela Faber, zanim ostatecznie zamknęła im drzwi przed nosem.

Z samochodu patrolowego wysiadło dwóch misiwatych mięśniaków, którzy zdecydowanym

krokiem ruszyli w stronę Marouana i Joshui.

– Panowie – powiedział jeden z nich w taki sposób, jakby grał w filmie kryminalnym – chyba wiecie, że to teren prywatny?

Było to nie tyle pytanie, ile raczej stwierdzenie dla tych, którzy chcą je zrozumieć.

– Prosimy o jakieś dokumenty – powiedział drugi z mięśniaków, który najzwyczajniej nie chciał być gorszy od kolegi.

Joshua widział, że jeszcze moment, a Diba wybuchnie. Udało mu się przechwycić jego spojrzenie i zasygnalizować ruchem głowy, żeby się nie wtrącał. W tym czasie sam wyciągnął legitymację policyjną.

– Przykro mi chłopcy, ale macie dzisiaj pecha – rzucił, pokazując im dokument i widząc ich zaskoczenie.

– No, raczej tak – wtrącił triumfalnie Diba. – Właśnie dopuściliście się zakłócenia czynności śledczych. – Spojrzał na Joshuę. – To co z nimi zrobimy? Zabieramy na przesłuchanie?

– Jest to jakaś opcja – przytaknęła Joshua, który ani na moment nie spuszczał ochroniarzy z oka. – Ale paskudnie by to potem wyglądało w waszych CV. Jak brzmiało zgłoszenie?

Ochroniarze popatrzyli na siebie.

– No już, już, nie mamy czasu czekać.

– Dwaj osobnicy o cudzoziemskim wyglądzie kręcący się koło domu.

– O cudzoziemskim wyglądzie? – zdziwił się Joshua i postukał w legitymację. – Widzicie, co tu jest napisane? Policja holenderska. Czy może coś źle widzę?

– Nie, nie, dobrze pan widzi – potwierdził skwapliwie drugi z ochroniarzy.

– Chciałbym wiedzieć, z jakiego numeru było zgłoszenie – powiedział Joshua. – Będziemy wam za to bardzo wdzięczni.

Ochroniarze skontaktowali się z centralą, podali Joshui żądany numer i po kilku minutach z ulgą odjechali. Diba z miejsca zdecydował, że trzeba powiadomić prokuratora. Chciał jak najszybciej otrzymać zgodę na zatrzymanie Angeli Faber, choć nie na gorącym uczynku: numer, z którego właśnie wezwała ochroniarzy, był tym samym numerem, z którego dzwonił numer alarmowy.

Oto różnica między dniem a nocą w dosłownym znaczeniu tego określenia, pomyślała Farah, jadąc przez Lasek Amsterdamski. W nocy jechała tędy jak szalona, a kiedy w spalonym samochodzie zobaczyła dwa zwęglone ciała, na łeb na szyję uciekała z tego miejsca. Teraz powoli objeżdżała ten sam teren i czuła się jak sowa oślepiona porannym słońcem.

Zmieniło się to, gdy zobaczyła ciężarówkę z naczepą, wyjeżdżającą z wąskiej leśnej drogi. Na moment wstrzymała oddech, widząc przymocowany do naczepy wrak, który minął ją jak okopcony statek widmo. To musiała być ta sama droga, którą wczoraj wjeżdżały wozy strażackie.

Od tego miejsca jechała przez kilka minut, zanim dotarła do odcinka drogi, zagrodzonego przez techników. Jak szybko wtedy jechała? Sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt na godzinę. Co chwila zerkła na prędkościomierz i nagle zobaczyła, że nieco dalej droga zakręca łukiem. Wczoraj widziała światła policyjnych lamp przez drzewa i wydawało jej się przez chwilę, że tamci pracują w środku lasu. Kiedy jednak przejechała zakręt, zobaczyła, że się myli. Teraz minęła ten sam zakręt, uważnie rozglądając się, czy coś zauważy.

Gwałtownie nacisnęła hamulec, widząc kawałek policyjnej taśmy owiniętej wokół pnia drzewa. Technicy bardzo jej wczoraj pomogli, udzielając poufnej informacji, a teraz pomogli jej raz jeszcze dzięki niechlujstwu, z jakim oczyścili miejsce zdarzenia.

Farah zaparkowała carrerę na miękkim poboczu. Kiedy wyłączyła silnik, usłyszała śpiew ptaków. W oddali dzieciół z zapalem walił w drzewo. Szum dobiegający od strony autostrady A9 przypominał szum odległego morza. Ten las nie wydawał się najlepszym miejscem na tragiczne wydarzenie, jak to sprzed kilku godzin, kiedy to na drodze leżał, wykrwawiając się, mały chłopiec. Zaraz jednak zobaczyła znajome ślady hamowania, które potwierdziły, że to wszystko wydarzyło się naprawdę.

Przypomniała sobie, co wczoraj powiedziała jej Daniëlle. Chłopiec został uderzony z lewej, uderzył głową w przednią szybę samochodu, przetoczył się przez maskę i upadł na asfalt. Samochód, który go potracił, musiał jechać z naprzeciwnika lewym pasem.

Rozejrzała się dookoła i wyobraziła sobie, jak chłopiec stoi w nocy w tym samym miejscu. Skąd tutaj przyszedł? Postanowiła wejść głębiej w las.

Teren wznosił się tutaj łagodnie, a drzewa rosły gęściej niż gdzie indziej, w niektórych miejscach ustępując niskim krzakom. Po jakimś czasie dostrzegła na szczycie wzniesienia zarysy domu. Podeszła ostrożnie. Była to stara willa, do połowy obrosnięta bluszczem i gęstwiną glicynii. Gruboziarnisty tynk, który kiedyś musiał być biały, odpadał w wielu miejscach szarymi płatami i mur pokrywał tam zielony mech. Okiennice wielkich, wysokich okien były zamknięte naглуcho. Wysoko na frontowej ścianie znajdował się balkon z widokiem na aleję dojazdową. Drewniana balustrada była niepomalowana i spróchniała. Na szczycie elewacji widniał rok budowy: „ANNO 1912”.

Przeszedł ją dreszcz, zupełnie jakby promienie słońca padające pośrednio na ściany i

zamknięte okiennice nie wydzielają ciepła, tylko zimno. Aż niesamowicie, jak odgłosy dalekiej autostrady i śpiew ptaków, które wcześniej słyszała, właśnie w tym miejscu zdawały się zanikać, jakby połknięte przez próżnię ciszy. Ta cisza brzmiała jak przebrzmiały krzyk, bezgłośny jęk. Zupełnie jak na obrazie Edvarda Muncha, gdzie śmiertelnie przerażona postać w budzący obrzydzenie sposób otwiera usta, by wydać z siebie pierwotny krzyk, który jest wprawdzie niesłyszalny, ale tak przenikliwy, że patrzący odczuwa go każdą cząsteczką swego ciała.

Farah wiedziała, że odbiera zmysłami o wiele więcej niż przeciętny człowiek. Dostrzegała rzeczy, które innym umykały. Była też przekonana, że wszystko, co słyszymy i widzimy, jest w jakiś sposób sterowane podświadomością. To, co postrzegamy, to to, co chcemy widzieć i co chcemy usłyszeć. Zadawała sobie w duchu pytanie, czy chłopiec rzeczywiście coś mówił, kiedy w nocy przywieziono go na ostry dyżur do szpitala. Czy też może słyszała własny głos, kiedy zobaczyła go tak bezsilnie leżącego na noszach.

Czy ten krzyk nie był po prostu jej krzykiem? A chłód, który teraz odczuwała, nie był chłodem w niej samej?

Ponownie spojrzała na zwartą bryłę obrosniętej roślinnością willi. Miałaby ochotę wziąć do ręki łom i wyłamać te okiennice, wyważyć z zawiasów drzwi, które zagradzały jej drogę do pełnych kurzu pokoi, gdzie spodziewała się zastać milczące duchy, niemogące się doczekać, kiedy będą mogły opowiedzieć swoją historię. Jeśli chłopiec kiedykolwiek będzie jeszcze mógł coś powiedzieć, to opowie o tym domu. Była tego pewna.

Stała na trawie przed willą. Aleja dojazdowa była pokryta omszałym żwirem.

Wszystko wydawało się wciąż jeszcze wstrzymywać oddech. Ciszę przerwał huk silników nisko przelatującego samolotu podchodzącego do lądowania na leżącym niedaleko lotnisku Schiphol.

Postanowiła, że powoli zejdzie spod willi w kierunku drogi, gdy potknęła się o korzeń drzewa. Upadając, zadrapała sobie policzek o nisko rosnącą gałąź. Właśnie miała się pozbierać z ziemi, kiedy na porośniętej mchem ziemi coś błysnęło czerwono. Był to kawałek błyszczącej miedzi w kształcie półksiężyca. Czerwień to była zaschnięta krew. Ręka jej drżała, kiedy podnosiła przez chusteczkę znaleziony przedmiot. Był to kolczyk.

Rozejrzała się wokoło, popatrzyła na ciemne kontury willi i pochyłość prowadzącą do drogi, na której stała jej carrera. Owinęła kolczyk w chusteczkę i mocno zacisnęła w dłoni. Stojąc na poboczu, wybrała numer Joshui Calvina.

Na podjeździe do imponującej willi Faberów Joshua próbował powstrzymać swojego partnera, który od razu chciał dzwonić do prokuratora, żeby uzyskać nakaz aresztowania Angeli Faber. Diba był przekonany, że Angelę Faber należy uznać za główną podejrzaną w przestępstwie, które według niego kwalifikowało się jako próba zabójstwa. Jego zdaniem żaden zdrowo myślący człowiek, żaden żywy organizm, ba, nawet najmniejsza molekuła nie mogła mieć wątpliwości co do winnego.

Tym winnym była ona.

A Diba był jak rekin, który wyczuł krew i jeszcze moment, a pomknął jak strzała w kierunku łupu. Jedyne, co zdawał się mieć przed oczami, to kobieta, która w nocy potrafiła samochodem dziecko, a potem uciekła z miejsca wypadku.

– A w dodatku babsztyl jest na tyle głupi, żeby widząc nas na podjeździe, wezwać ochronę z rzekomo skradzionego telefonu!

Kiedy Diba zaczął histerycznie dyszeć, Joshua chwycił się ostatniej szansy.

– Najprawdopodobniej ona nie jest jedyną osobą, która jest w to zamieszana.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Dokładnie to, co powiedziałem: ona nie jest jedyna. W znaczeniu: jest jeszcze ktoś.

– Pieprzysz jak potłuczony, Cal! Fakty, ja chcę faktów! Żadnych domysłów! – perorował Diba, tradycyjnie posługując się teatralnymi gestami.

– Czy twoim zdaniem Angela Faber wybrała się na przejażdżkę tą oto furą? – spytał Joshua, wskazując na citroëna pod wiatą.

– Wykluczone.

– Okay. Przynajmniej co do tego się zgadzamy. A więc musi być inny samochód, który potrafił chłopca. I najprawdopodobniej samochód ten, w wyniku potrącenia albo – zwróć łaskawie uwagę na „albo” – w trakcie manewru omijania, został uszkodzony. Zgadza się, czy się nie zgadza?

– Hola, hola, Cal, nie jestem debilem, a to nie jest quiz!

– Zgadza się czy się nie zgadza?

– No, zgadza się, kurde!

– A czy widzisz tutaj jakiś inny, uszkodzony samochód? Wydaje mi się, że nie. Czy może nagle stałem się ślepy jak kret?

– Zgadzam się co do tego ostatniego. Ale samochodu też nie widzę.

– A więc musi stać gdzie indziej.

– Gdzie indziej – powtórzył Diba, przedrzeźniając go cynicznie. – Dobra robota, Sherlocku. Jestem pod wrażeniem. Tyle tylko, że nie bardzo wiem, do czego to ma niby prowadzić.

– Do pytania, dlaczego Dennis Faber tak wspaniałomyślnie gotów jest zapewnić żonie alibi, podczas gdy mogę dać ci na piśmie, że będzie to zwykłe kłamstwo!

Diba spojrział na niego nieobecny wzrokiem.

– Mogę się założyć, że powód, dla którego Dennis Faber dziś rano nie odjechał spod domu swoim citroënem, jest taki, że chciał jak najszybciej oddać do naprawy uszkodzony wóz swojej żony. A do tego, żeby to udowodnić, wystarczy mi parę minut – powiedział Joshua.

– I co potem?

– Tylko parę minut – powtórzył Joshua. – To wszystko. Jeśli mi się nie uda, możesz od razu dzwonić po nakaz aresztowania Angeli Faber.

– Daję ci pięć – powiedział z ciężkim westchnieniem Diba i wolnym krokiem oddalił się w stronę grupy rododendronów.

Joshua zadzwonił do centrali i poprosił jednego z kolegów, żeby sprawdził dla niego numery rejestracyjne citroëna. Okazało się, że wóz rzeczywiście jest zarejestrowany na Dennisa Fabera, który w zeszłym roku trzykrotnie był notowany za zbyt szybką jazdę. Joshua ustalił u którego dealera Faber kupił samochód, i zadzwonił do firmy z pytaniem, czy i ile jeszcze samochodów kupili tam państwo Faberowie. Kiedy Joshua dowiedział się, że prawie rok temu na nazwisko Angela Faber kupiony został citroën picasso i właśnie dzisiejszego dnia rano ten wóz został przywieziony do naprawy przez jej męża, od razu włączył silnik i nakazał protestującemu Dibile natychmiast wsiadać.

Piętnaście minut później obydwaj śledczy, machając swoimi legitymacjami, wchodzili już do warsztatu dealera Citroëna w dzielnicy Amsterdam-Zuid. Zmierzali prosto w stronę jaskrawoczerwonego citroëna picasso, który stał na kanale z porządnym wgnieceniem po prawej stronie i kompletnie rozbitym przednim reflektorem.

– I o tym właśnie mówię – stwierdził Diba z krzywym uśmiechem. – Musisz mieć zawsze oczy szeroko otwarte, Cal, i działać zgodnie z instynktem. Zawsze gotowy spróbować czegoś nieoczekiwanego.

Kolejna zdumiewająca cecha charakteru Diba, pomyślał Joshua. Przez całą drogę do dealera Diba marudził jak rozkapryszone dziecko, za to teraz, kiedy okazało się, że trop jest słuszny, natychmiast przejął odpowiedzialność za całą akcję. Joshua od dawna już nie miał ochoty na ciągłe wytykanie partnerowi jego niedoskonałości, i to nie tylko dlatego, że nie starczyłoby mu na to całego dnia, ale też dlatego, że zdawał sobie sprawę, że Diba już niedługo będzie się musiał pożegnać z pracą śledczego. Ten człowiek miał na barkach zbyt ciężki i mroczny balast. Joshua dawał mu jeszcze co najwyżej pół roku, potem Diba będzie musiał odejść przedwcześnie ze względów zdrowotnych, albo po prostu któregoś dnia padnie, chociaż w pobliżu nie będzie żadnej kuli.

W tym czasie Diba dzwonił do techników.

– Natychmiast... nie zaraz, mówię: natychmiast!

Z upływem lat Diba sprawiał wrażenie coraz bardziej bojącego się, że nikt nie bierze go poważnie, i coraz częściej zupełnie niepotrzebnie się unosił.

Podczas gdy Diba awanturował się niepotrzebnie przez telefon, Joshua wyszedł z warsztatu, sam zadzwonił do techników i spokojnie wyjaśnił, o co chodzi. Powiedział, że jego partner Diba wprawdzie głośno szczeka, ale jednak nie gryzie, i że najprawdopodobniej będą mogli wkrótce dokonać podwójnego aresztowania w sprawie potrąconego chłopca. Chodziło więc o to, by jak najszybciej stwierdzić, czy uszkodzenia czerwonego citroëna picasso mają związek z ustaleniami poczynionymi w nocy przez techników na miejscu zdarzenia.

– Wybrałeś nie ten zawód, Calvino – powiedział z rozbawieniem technik na drugim końcu linii. – Powinieneś być dyplomatą. Myślę, że spokojnie dałbyś radę doprowadzić do szczęśliwego zakończenia rokowania pokojowe na Środkowym Wschodzie.

- Wielkie dzięki za komplement – westchnął Joshua. – To kiedy możecie przyjechać?
- Już jesteśmy w drodze.

Diba wszedł do salonu z błyskiem zadowolenia w oku.

– Załatwione. Musiałem nimi tylko trochę potrząsnąć. Założę się, że zakończymy całą sprawę do wieczora i jutro rano spokojnie będę mógł lecieć do Maroka.

Pociągnął Joshuę za sobą w stronę, gdzie stały modele dla biznesmenów. Wielkie, błyszczące samochody, na które nigdy w życiu nie będzie ich stać.

– Czego ty tam ciągle szukasz? – spytał Joshua.

– Gdzie: tam?

– No, w tym twoim ojczystym kraju.

– Czego tam szukam? Jezu, czy ty wiesz, co to w ogóle ojczyzna, ty wykorzeniony Italiańcu? Trzy wspaniałe tygodnie bez ciebie. Tego tam szukam. O, popatrz.

Stali właśnie przed onyksowego koloru Citroënem C6 exclusive. Gdy Joshua popatrzył na cenę, aż mu się zakręciło w głowie.

Młody sprzedawca ruszył w ich stronę, zacierając ręce. Joshua pomyślał, że nie mają czasu na takie głupoty, i poszedł do warsztatu, żeby asystować technikom. Zaglądał im przez ramię, kiedy porównywali raporty i zdjęcia z ostatniej nocy z uszkodzeniami w karoserii Citroëna.

Właśnie porównali zabezpieczone przy drzewie w Lesie Amsterdamskim okruchy szkła z tym, co zostało z przedniego reflektora Citroëna Picasso, gdy Joshua poczuł wibrowanie komórki w wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Przeszkadzam?

Do tej pory Joshua kojarzył ją z głośnymi okrzykami strażaków w kaskach, biegających pomiędzy osmolonymi drzewami dzisiejszej nocy, oraz ze sterylną ciszą szpitala wczesnym rankiem. Teraz słyszał w tle ptaki śpiewające w lesie. Ale w jej głosie nie było wesołości.

– Zadzwoń później?

– Nie, nie, wszystko w porządku. Mów.

– Jestem w tym miejscu, gdzie potrącono chłopca. I coś znalazłam. Coś, czego ci być może brakuje.

– A czego mi według ciebie brakuje?

– Kolczyka.

Joshua szczegółowo przestudiował zawartość plastikowego worka z rzeczami chłopca. Zakrwawione strzępy odzieży, dwie bransolety na kostki z dzwoneczkami. Żadnych butów czy sandałów. Dwie bransolety na nadgarstki, też z dzwoneczkami. Różne pierścionki. Naszyjnik z koralami. I jeden kolczyk.

– Możesz opisać kształt? – poprosił.

– Miedziany półksiężyc z czymś w rodzaju kamienia szlachetnego.

– Gdzie to znalazłaś?

– Leżał mniej więcej w połowie drogi między domem a drogą.

– Jakim domem?

– Stoi tu taka willa. Bardzo duża i bardzo stara. Wygląda na zamkniętą na cztery spusty, ale moim zdaniem chłopiec musiał tu być zeszłej nocy.

– Powinnaś zostać śledczą – pochwalił ją Joshua. Zastanawiał się, jak ona to zrobiła. Najwidoczniej pojechała w tamto miejsce i tak ni stąd, ni zowąd znalazła dowód, że chłopiec wbiegł tamtędy do lasu.

– Jak znalazłaś ten kolczyk?

– Cóż... Można powiedzieć, że na niego wpadłam.  
– Ale go nie dotykałaś?  
– Podniosłam go przez chusteczkę i go w nią zawinęłam. Jest na nim krew. – Zamilkła na moment. – To jego, prawda?  
Joshua zawahał się.  
– Na to wygląda.  
– On musiał być w tej willi. Jestem tego pewna.  
– Posłuchaj. Mogę do ciebie wpaść w ciągu dnia. Zobaczę ten kolczyk i wtedy pogadamy.  
Okay?  
– Dobrze. Czy mógłbyś wymiksować z tego swojego kolegę?  
Bardzo chętnie bym to zrobił, pomyślał Joshua, ale na głos powiedział:  
– Trudna sprawa. Diba i ja stanowimy zespół. Będę mu o tym musiał powiedzieć, czy ci się to podoba, czy nie.  
– Rozumiem.  
– Czy mogę cię prosić, żebyś na razie nie robiła z tego znaleziska wielkiego halo?  
– To przecież tylko mały kolczyk.  
Po jej oddechu wyczuł, że się uśmiecha.  
– Chodzi mi o to, żebyś o tym nie napisała w gazecie.  
– Boisz się tego?  
– Niczego się nie boję, ale jest jeszcze za wcześnie na wyciąganie wniosków.  
Niezależnie od tego, czego miałyby dotyczyć, dodał w myślach.  
Na chwilę zapadła cisza.  
– Wiesz, gdzie jest nasza redakcja? Budynek „AND” nad rzeką IJ?  
– Mam twój numer – odrzekł Joshua. – Zadzwoń jak dojedziemy na miejsce.  
Kiedy zakończył rozmowę dostał sygnał od starszego z techników. Pierwsze pobieżne wyniki potwierdziły, że Citroën picasso to ten samochód, którego lakier, okruchy szkła z reflektora i kształt wgniecenia karoserii odpowiadają próbkom zebranych z drzewa w Lasku Amsterdamskim. Drugi wynik: brak śladów krwi. Szansa na to, że ten samochód potrafił chłopca, była zatem równa zeru.  
Joshua z roztargnieniem kiwnął głową, myślami będąc przy Farah Hafiz. Fakt, że mogła już być o krok przed nim w dopiero co rozpoczętym śledztwie, nie wróżył niczego dobrego.



Pierwszym filmem, jaki w życiu zobaczył Marouan Diba był *Cenny łup*, w którym francuski aktor Jean-Paul Belmondo kradnie diamenty greckiego gangstera i jest potem ścigany przez Egipcjanina Omara Sharifa w roli szefa policji. Diba był jeszcze wtedy smarkaczem, ale od tej chwili dokładnie wiedział, jakich trzech rzeczy w życiu pragnie: bogactwa, brawury Belmonda i zawodu śledczego.

W miarę upływu lat przekonał się w dość przykry sposób, że pierwsze dwa życzenia piekielnie trudno połączyć z trzecim. Policijni śledczy nie byli bohaterami, tylko urzędnikami o niezbyt wygórowanych pensjach. A ponieważ nie potrafił się utożsamić z marnym statusem swojego zawodu, bardziej niż tuzinkowym stylem życia i przynależnym do niego najwykleszym w świecie mieszkaniem, z uporem godnym lepszej sprawy próbował dążyć do bogactwa i statusu, nie mówiąc już o tym, żeby być drugim Belmondem. Czyli czegoś, co było dla niego równie nieosiągalne, jak rzeczywiste kupno tego citroëna, w którym nareszcie udało mu się ustawić fotel w optymalnej pozycji.

Jak powiedział z rozanielonym uśmiechem sprzedawca, bezgłośnie opuszczające się i podjeżdżające do góry okna citroëna C6 exclusive miały chromowane obramowania. Mnóstwo innych nowinek sprawiało, jego zdaniem, że samochód ten odznaczał się wyjątkową elegancją i dynamiką. Cechy, które Marouan bardzo chciałby móc przypisać także sobie.

Czy życzyłby pan sobie wypróbować też wspaniały zestaw hi-fi, składający się z sześciu głośników i subwoofera? Sięgając od strony pasażera, sprzedawca zręcznym ruchem wsunął płytę CD do szczeliny w desce rozdzielczej. Mój Boże, pomyślał Marouan, moszcząc się w beżowym skórzanym fotelu, cóż za tani sposób prezentowania tak drogiego samochodu.

Krawędzie podwójnych bocznych szyb zniknęły w zagłębieniu karoserii, odcinając kabinę od wszelkich dźwięków z zewnątrz. Przy pierwszych akordach muzyki granej przez jazzowe combo Marouan poczuł się nagle jak w majestatycznym kokonie. Sam jeden. Cofnął się pamięcią o wiele lat i zobaczył siebie za kierownicą luksusowego kabrioletu, który wtedy wypożyczył. Razem z bratem i parą przyjaciół jechali przez ciepły wieczór Marrakeszu, za światło mając jedynie migotanie gwiazd. Do każdej mijanej osoby jego brat krzyczał, że właśnie zostali porwani przez *khilqa*, tajemniczą istotę z innego świata. Głoskę „q” specjalnie wymawiał przy tym po arabsku, bardzo wyraźnie z głębi gardła, żeby jeszcze bardziej podkreślić pogardę dla swojego przesiąkniętego kulturą Zachodu brata. Marouan Diba, obcy we własnym kraju.

Za każdym razem, kiedy powracał do swojego rodzinnego miasta, traktowany był przez rodzinę i przyjaciół z większym szacunkiem, ale też z narastającym dystansem, chociaż przecież on sam czuł się Marokańczykiem w tym samym stopniu, co czterdzieści lat wcześniej, gdy wyruszył śladem ojca do Holandii. Marouan, sześciolatek analfabeta, zobaczył rozciągające się pod nim poldery Holandii. Z przejęciem wpatrywał się w starannie pooddzielane od siebie pola i wszelkie możliwe odcienie zieleni. W euforii rzucił się w ramiona ojca, czekającego na niego w hali przylotów lotniska Schiphol. Zupełnie jakby wrócił do domu w tym obcym kraju.

Żeby jak najszybciej móc zrozumieć wszystko i wszystkich, z miejsca zaczął powtarzać na głos wszelkie możliwe słowa i zdania po holendersku, tak samo jak wcześniej w Maroku uczył się recytować z pamięci wersety Koranu. W wyniku tych starań w mgnieniu oka nauczył się mówić bezbłędnie po holendersku, dysponując w dodatku mnóstwem synonimów, zwrotów, a nawet wierszy, które umiał na pamięć. Ale to dotyczyło wyłącznie języka. Jeśli idzie o Holendrów to bardzo długo nie wszystko w nich rozumiał. A z upływem lat nawet coraz mniej, jak mu się zdawało.

A im mniej rozumiał, tym bardziej podsycalo to w nim nienawiść. Nienawiść wobec obojętności i arogancji innych, zwłaszcza tych, którzy zapewnili sobie w życiu bogactwo i przynależną do niego brawurę. Nienawiść wobec ludzi, którym się powiodło i dlatego uważają, że uda im się zataić przed innymi ich ciemne sprawy. Ludzi takich jak Faberowie.

W wewnętrznej kieszeni jego marynarki obudził się telefon komórkowy, co przywróciło go do twardej rzeczywistości.

– Diva – powiedział ironicznie mężczyzna na drugim końcu linii. Mówił po angielsku ze słowiańskim akcentem. – Jakąż to słyszę u ciebie uroczystą muzykę. Czyżby to z radości, że znowu mnie słyszysz?

– Chciałbyś – mruknął Marouan, natychmiast wyłączając odtwarzacz. – Czego ode mnie chcesz?

Usłyszał pełen wyższości śmiech.

– Odnoszę wrażenie, jakbyś się czuł dotknięty, Diva. Dotknięty jak, nie przymierzając, wrażliwa duszyczka, czy może raczej jak rozpieszczona suka. Co ty jesteś, facet z cyckami?

– Czemu do mnie dzwonisz?

– Chłopak. W Lasku Amsterdamskim.

Przez moment Marouan nie mógł zaczerpnąć oddechu.

– Co o tym wiesz?

– Wszystko i nic – powiedział głos na drugim końcu linii. – Co z nim?

– Gównu ci do tego.

– No, chyba pytam grzecznie, prawda? Co z nim?

Marouan odetchnął kilka razy głęboko. Wiedział, że musi coś odpowiedzieć.

– Nie ma zagrożenia życia.

– Och, jak świetnie! Wiesz, co się mówi o proroku, przyjacielu, prawda? Że przynosił same dobre wieści. Jak nie będziesz uważał, to może się zdarzyć, że pójdziesz w jego ślady! Gdzie on leży?

– Kto taki? Prorok? W Medynie.

– Bardzo dowcipne.

– Słuchaj, zajmuję się tą sprawą.

– Dlatego do ciebie dzwonię, *trieplo*. Pytam, gdzie leży.

Marouan usłyszał pukanie w przednią szybę i zobaczył przed sobą rozpromienioną twarz sprzedawcy, który z uniesionymi w pytającym geście brwiami pokazywał wyciągnięty w górę kciuk.

– Nawet nie chcę wiedzieć, co masz z tym wspólnego – powiedział Marouan, gestem dając sprzedawcy do zrozumienia, żeby mu nie przeszkadzał – ale masz zostawić chłopca w spokoju.

– Uważaj, co mówisz, Diva. Pytam cię i to – uważaj dobrze – po raz ostatni: gdzie on leży?

Marouan przełknął podchodzący mu do gardła kwas żołądkowy. Serce dudniło mu w uszach.

– W szpitalu. WMC.

– Gdzie dokładnie?

– Na OIOM-ie.

Sprzedawca stał teraz pochylony nad maską i niczym profesjonalny mim gestem pytał Marouana, co się dzieje.

– A teraz powiem ci coś jeszcze – powiedział do Marouana głos w słuchawce. Marouan milczał. Miał wielką ochotę włączyć silnik tego C6, wcisnąć gaz do dechy i z prędkością ponad dwustu kilometrów na godzinę czołowo rozjechać swojego rozmówcę.

– Otóż zrobisz to dla mnie i zamieciysz sprawę pod dywan.

Słowiański akcent brzmiał w słuchawce bardzo melodyjnie.

– Jaką sprawę?

– To, co się zdarzyło tej nocy.

– Co? Wszystko? Wiesz, ilu śledczych zajmuje się tylko tą jedną sprawą spalonego samochodu? Cholera, tam były dwa ciała!

– Posłuchaj, przyjacielu. Mówię o chłopcu. To masz wyciszyć, jasne?

Marouan pomyślał o tamtej dziennikarce.

– A dlaczego? – spytał.

– Bo ja tak mówię.

– Cuda to nie moja specjalność.

– Rzeczywiście, nie widziałem, żebyś chodził po wodzie ani mnożył chleby. Ale tyle na pewno potrafisz. A dlaczego? Bo wiem, że zawsze załatwisz dla mnie największe nawet brudy. Jasne?

Marouan usłyszał w słuchawce trzask przerywanego połączenia. W uszach mu szumiało, a myśli wirowały w głowie jak szalone. Wysiadł z Citroëna i odepchnął na bok sprzedawcę, widząc, jak Calvino pojawia się w drzwiach salonu.

– No i?

– Wszystko pasuje – powiedział z zadowoleniem Calvino. Dostał od prokuratora pozwolenie na postawienie w stan oskarżenia zarówno Dennisa Fabera, jak i jego żony.

– Pytanie tylko – dokończył z krzywym uśmiechem – czy jedziemy po nich naszym rzęchem, czy raczej tym Citroënem?

Marouan zbył go milczeniem. Gniewnym krokiem wyszedł z salonu i włączył silnik Corolli. Ledwie dał czas Joshui, żeby ten zdążył wsiąść, i z piskiem opon pognął w stronę dawnej gazowni Westergas, gdzie znajdowały się studia telewizji IRIS.

Farah tak bardzo była zatopiona w myślach, że omal nie przegapiła zjazdu na Amsterdam-Noord. Dziesięć minut później parkowała na betonowej płycie nad rzeką IJ, tuż przed futurystycznie wyglądającym gmachem składającym się ze szklanych powierzchni i stalowych kratownic, gdzie od niedawna mieściła się redakcja gazety „Algemeen Nederlands Dagblad”.

Pośpieszyła kładką do windy, która zawiozła ją na najwyższe piętro. Tam natychmiast udała się do gabinetu szefa.

Edward Vallent stał przy oknie, odwrócony do niej plecami. Na tle bezchmurnego porannego nieba jego kolosalna sylwetka odcinała się niczym postać jakiegoś olbrzyma. W pokoju pachniało espresso. Vallent odwrócił się, kiedy usłyszał, że weszła Farah. Miał na sobie beżowe sztruksowe spodnie z szerokimi prążkami i antracytowy sweter. Był nieogolony. Należał do tych mężczyzn, którzy nie przywiązują wagi do swojego wyglądu po prostu dlatego, że nie obchodzi ich, w jaki sposób będą przez to oceniani.

Jego stalowobłękite oczy mówiły Farah, że jest jakiś poważny problem.

– Czytałaś już? – Podszedł do biurka i podniósł stronę tytułową bulwarówki „De Nederlander”. U dołu po prawej widniał krzyczący nagłówek: „Farah H. Masakruje przeciwniczkę w czasie gali w teatrze Carré”. Autorką artykułu była Cathy Marant, całość zilustrowano zdjęciami, na których Rosjanka leży jak nieżywa na macie.

Farah wyrwała Edwardowi gazetę z ręki i wrzuciła do kosza na śmieci.

– Tylko do tego się nadaje – warknęła wściekła.

– Za późno, Hafiz. Łatwowierni czytelnicy „De Nederlander” już łyknęli z zachwytem bajeczkę o okrutnej Farah. Nie mogę tego tak zostawić.

Farah była zbyt zdumiona, żeby od razu zareagować.

– Co masz na myśli? – spytała w końcu.

– Marant jest znowu na wojennej ścieżce. Zamieszczenie sprostowania to minimum tego, do czego chcę ją zmusić. A jeśli tego nie zrobi, wniosę oskarżenie z powodu pomówienia. Najpierw jednak chcę od ciebie usłyszeć, co się dokładnie stało.

– Szczerze mówiąc...

– Byłbym wdzięczny, gdyby tak właśnie było.

– Pamiętam wszystko aż do chwili, kiedy sędzia nas rozdzielił. Wcześniej podrapała mi rękę, próbowała wyrwać mi włosy i ugryzła w łydkę... Wiesz, w czasie walki człowiek jest tak skoncentrowany, że próg bólu jest zupełnie inny niż normalnie.

– Myślisz, że uda nam się przekonać wszystkich – spytał Edward zniecierpliwiony – że to, co zrobiłaś wczoraj w czasie gali, nie było czynem zawodniczki, która straciła panowanie nad sobą i dopuściła się – wyjął gazetę z powrotem z kosza i przeczytał: – „nieuzasadnionego aktu zemsty”, czy też po prostu przyjął do wiadomości wersję, którą podsunęto ośmiuset tysiącom abonentów gazety „De Nederlander”?

– Nie wiem, Ed. Naprawdę nie wiem.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, dzisiaj dam do obejrzenia nagranie z walki paru ekspertom. Jeśli potwierdzą moje przypuszczenie, wtedy pójdę, nie, my pójdziemy wtedy na całość. Zgoda?

Farah spojrzała na niego z wdzięcznością.

– Zgoda, szefie. A czy teraz możemy pogadać o czymś naprawdę ważnym?

– Jeszcze ważniejszym niż to? Proszę bardzo. Masz dokładnie minutę – powiedział Edward i ostantacyjnie zaczął czegoś szukać w dokumentach na biurku.

Farah wydłubała z kieszeni chusteczkę i rozłożyła ją na blacie biurka. Edward spojrzał przelotnie na zakrwawiony kolczyk w kształcie półksiężyca.

– Czegoś brakuje.

– Drugi jest w plastikowym worku ze szpitala, który ma policja, razem z zakrwawionymi strzępami ubrania i innymi ozdobami.

– No to co ty jeszcze tutaj robisz?

– Pół godziny temu znalazłam to w Lesie Amsterdamskim. Niedaleko miejsca, gdzie zeszłej nocy ktoś potrafił samochodem siedmio- albo najwyżej ośmioletniego chłopca i zostawił go na drodze na pewną śmierć. Nikt nie wie, kim jest chłopiec ani skąd się tam wziął. Jedna rzecz jest dla mnie w tym wszystkim pewna.

Edward zdążył tymczasem poukładać wszystkie papiery i podniósł się, gotowy do opuszczenia gabinetu. Szerokim gestem pokazał, żeby ruszyła przodem.

– Chłopiec został wykorzystany do *bacha bazi*, Ed – wyrzuciła z siebie gwałtownie.

Edward zastygł w pół ruchu, co Farah uznała za zachętę, by mówić dalej.

– Byłam na izbie przyjęć, kiedy go przywieziono. Był przebrany w tradycyjny strój tancerki, obwieszony ozdobami i w pełnym makijażu. Zupełnie jakby zabrano go prosto z uroczystości *bacha bazi*.

– *Bacha bazi*? – powtórzył Edward.

– Wielka uroczystość, podczas której, właściciel chłopca każe chłopcu do późna tańczyć przed gośćmi, aby potem na jedną noc wypożyczyć temu, który da najwięcej – objaśniła.

– Wiem, co to jest – wymamrotał Edward nieobecny tonem. – Ale nie słyszałem tego określenia od co najmniej dwudziestu lat. Czyli od tamtego artykułu, który napisał na ten temat Raylan Chapelle.

Raylan Chapelle.

Jeszcze zanim Farah rozpoczęła studia dziennikarskie, szczegółowo analizowała każde zdanie, każde słowo, a nawet przecinek w jego artykułach. Dorobek Raylana Chapelle'a był legendarny. Tak jak Albert Einstein uważany jest za ojca teorii względności, tak Chapelle uważany był za niekwestionowanego ojca dziennikarstwa śledczego. To Raylan Chapelle wykazywał w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych jak systematycznie i konsekwentnie rząd amerykański okłamywał własnych obywateli w kwestii wojny w Wietnamie. Chapelle, z pochodzenia Amerykanin, przez całe lata mieszkał w Kabulu, skąd w kwietniu 1978 roku pisał o krwawym zamachu, który obalił rząd prezydenta Daouda. Wtedy właśnie komuniści zaatakowali za pomocą lotnictwa i czołgów pałac prezydencki i zamordowali Daouda i wszystkich członków rządu. Jednym z nich był ojciec Farah.

Pół roku później Chapelle sam stracił życie w Kambodży. Okoliczności tego zdarzenia nigdy nie zostały do końca wyjaśnione. Złe języki twierdziły, że była to robota CIA, która w ten sposób zemściła się za jego reportaże z Wietnamu.

Przez całe dorosłe życie Farah nie miała bezpośredniego powodu, aby przywołać Raylana

Chapelle'a we wspomnieniach. Teraz jednak, kiedy Edward wymienił jego nazwisko, nagle znowu stanął jej przed oczami. Farah mogłaby odtworzyć każdy szczegół jego zachowania: sposób, w jaki z wolna pochylił się do przodu i pogładził rękę jej matki w ogrodzie motyli w pałacu prezydenckim w Kabulu, prawie trzydzieści lat temu.

– Farah?

Aż się wzdrygnęła, wyrwana z zamyślenia.

– Pytałem cię o coś.

– Przepraszam, ja... – nie dokończyła zdania. W ustach miała sucho i musiała usiąść. Edward rzucił trzymane w ręku papiery na biurko i nalał jej do szklanki wody, którą wypija duszkiem. Oparł się o biurko, stojąc przed nią, zupełnie jakby nagle zaczął mieć bardzo dużo czasu.

– Czy powinienem się martwić, czy też usłyszę zaraz jakąś radosną nowinę? – spytał z uśmiechem. – A jeśli tak, to czy David już o tym wie?

Farah pokręciła przecząco głową.

– To nie to – wymamrotała. – Po prostu wyszłam z domu bez śniadania.

– Na twoim miejscu wybrałbym się z tym do lekarza. Chyba że uważasz za normalne, że nagle robisz się biała jak ściana i kręci ci się w głowie. No, ale przecież nie przyszłaś tutaj, żeby słuchać rad od szefa, na które i tak nigdy nie zwracasz uwagi. Co zamierzasz, jeśli chodzi o sprawę tego chłopca?

Farah otrząsnęła się z myśli o Raylanie Chapelle'u.

– Moim zdaniem każdego roku do Europy przerzuca się nielegalnie tysiące afgańskich chłopców.

– To nic nowego.

– Może i tak. Ale rzadko kiedy są oni w tym wieku, co ten chłopiec, a już na pewno nie widuje się ich w takim stroju.

– Myślisz, że on jest wyjątkiem potwierdzającym jakąś regułę?

– Tak właśnie przypuszczam. I jest coś jeszcze. Jeśli ten chłopiec padł ofiarą rytuału *bacha bazi*, to jak to możliwe, że stało się to tutaj? Znaczący w Holandii.

– Myślisz, że to możliwe, żeby rynek zbytu na takich chłopców miał już charakter międzynarodowy? – zasugerował Edward. – Ogólnoświatowa siatka oferująca tańczące sekslalki? Wiesz, wojna w Afganistanie spowodowała powstanie całkiem licznej afgańskiej diaspory na Zachodzie. Tradycje potrafią się przemieszczać.

– Chciałabym się zająć tą sprawą – powiedziała Farah zdecydowanie. – Myślę, że ten chłopiec to wierzchołek góry lodowej. Parę kilometrów od miejsca, gdzie został potrącony chłopiec, spłonął też samochód kombi. W środku znaleziono dwa zwęglone ciała. Policja przypuszcza, że to wynik gangsterskich porachunków, pracuje nad tym specjalny zespół. Tak się nie dzieje, jeśli nie ma uzasadnionych podejrzeń, że chodzi o coś większego. To jakaś śmierdząca sprawa, Ed. Jeśli udałoby nam się udowodnić, że istnieje międzynarodowa siatka zaopatrująca Afgańczyków mieszkających w Holandii, a może i w innych krajach w nieletnich chłopców jako obiekty seksualne, to byłoby to coś na skalę światową.

Edward popatrzył na nią przeciągle.

– A jaka miałyby być w tym twoja rola?

– Nie rozumiem?

– Jeszcze nigdy nie zajmowałaś się takimi sprawami jak handel dziećmi czy przestępczość międzynarodowa. Skąd nagle to zainteresowanie?

– Bo to coś wielkiego. Bo to dotyczy mnie samej. To znaczący, przejęłam się losem tego

chłopca.

Zamilkła. Edward również się nie odzywał i czekał.

– Tu chodzi o tego chłopca – powiedziała przygnębiona. – Jest w nim coś. Może to nie jest zbyt przekonujący motyw podjęcia śledztwa, ale pamiętam kogoś, kto powiedział, że osobista fascynacja tematem zawsze powinna stanowić punkt wyjścia dla prawdziwego dziennikarza.

Edward wyprostował się.

– Rozmawiałaś już z kimś na ten temat?

– Z tymi śledczymi, którzy zostali przydzieleni do sprawy. Spotkałam się z nimi w nocy na miejscu zdarzenia. A rano po raz drugi, w szpitalu, gdy czekałam na wynik operacji. Powiedzieli, że na razie chcieliby utrzymać sprawę w tajemnicy.

– To logiczne. Przecież nawet nie rozpoczęli na dobre śledztwa.

– Będą tu dzisiaj odebrać kolczyk.

Edward zaczął chodzić tam i z powrotem wzdłuż wielkiego panoramicznego okna. Jego postać rzucała groźne cienie.

– Międzynarodowy handel dziećmi, seksualne wykorzystywanie nieletnich chłopców, podwójne morderstwo... I ty uważasz, że to tylko wierzchołek góry lodowej?

– Tak właśnie myślę.

– W takim razie jesteśmy tego samego zdania, Hafiz.

Farah lubiła, kiedy Edward zwracał się do niej po nazwisku. To oznaczało, że widzi jakiś potencjał w całym projekcie. Że ma zamiar nadać mu właściwy kształt, dopomóc, żeby miał ręce i nogi.

– Pytanie jest następujące: czy rozpoczynamy własne śledztwo, czy też próbujemy je w taki czy inny sposób skoordynować z działaniami policji? – zastanawiał się na głos, pocierając krótki zarost. Zatrzymał się przed nią. – W zasadzie głupie pytanie, skoro tak naprawdę już zaczęłaś swoje prywatne śledztwo. – Spojrzał na kolczyk. – Moim zdaniem wsadziłaś rękę w gniazdo os, Hafiz. Daj mi trochę czasu na omówienie sprawy z szefostwem i prawnikami.

Ponownie wziął pod pachę stertę papierów i wielkimi krokami ruszył w stronę drzwi.

– A teraz wynocha z mojego biura z tą pedofilią! – powiedział żartobliwie, zatrzymując się.

Farah ostrożnie zawinęła kolczyk z powrotem w chusteczkę i z uśmiechem minęła Edwarda, kierując się do wyjścia.

– Zadzwoń do mnie, jak już przyjdą cię aresztować! – zawołał za nią.

Podniosła rękę i poszła do kantyny, gdzie kupiła sobie jakąś sałatkę i butelkę wody mineralnej, które błyskawicznie wchłonęła na tarasie.

Kiedy niedługo potem oparta o balustradę spoglądała na rzekę, znów poczuła bardzo bliską obecność Raylana Chapelle'a. Najwyraźniej potrącony chłopczyk budził kolejne duchy jej przeszłości. Duchy, które już od lat przemierzały niespokojnie krainę umarłych i dostrzegły teraz szansę, by ponownie się pojawić. Bała się duchów. Od zeszłej nocy jednak wiedziała, że musi się z nimi zmierzyć.

**W** lepsze dni Marouana rozpierała duma, wynikająca ze świadomości, że nawet wysoko postawionym osobom zdarzało się zrobić coś niewłaściwego, a wtedy właśnie, Marouajemu Dibanowi przypadało w udziale obnażanie brudnych kłamstw, które starali się ukryć. Ale teraz, gdy jechał aresztować telewizyjną ikonę, w głosie słyszał tylko pogardliwy głos ze słowiańskim akcentem. Ten głos ze słuchawki obudził w Marouanie wspomnienie czegoś jeszcze. *Khilqa*.

Kto, do jasnej cholery, przez całe lata znosił wszelkie możliwe upokorzenia ze strony przełożonych? Kto wypełniał najbardziej niemożliwe żądania palantów w mundurach? I kto wreszcie pewnego dnia z brawurą godną Belmonda zmiecie tych wszystkich skurwieli z powierzchni ziemi?

– Dibaaaaa!

Ocknąwszy się pod wpływem przeraźliwego wrzasku Calvina, zorientował się, że z zawrotną prędkością pędzi prosto na zamknięte szlabany przy wjeździe do kompleksu telewizyjnego. Przez ułamek sekundy czuł pokusę, by jeszcze mocniej docisnąć pedał gazu, ale uświadomił sobie, że pewnie urwałoby im głowy. W ostatniej chwili zatrzymali się przed zaporą, zostawiając za sobą ślad spalonej gumy.

Calvino wyskoczył z wozu, podstawił legitymację pod nos strażnika w budce i zażądał natychmiastowego podniesienia szlabanów. Kiedy po nieuniknionych przepychankach, w których Marouan uczestniczył okrzykami: „Policja, do jasnej cholery, policja”, szlabany rzeczywiście poszły w górę, Calvino dał Marouanowi znak, żeby jechał sam, bo on musi przemówić do rozumu armii ochroniarzy, którzy zbiegli się ze wszystkich stron.

Zaraz po tym, kiedy Marouan zatrzymał corollę przed głównym wejściem do kompleksu studiów telewizyjnych, stamtąd też wybiegł ochroniarz. Niech to szlag, pomyślał Marouan, zupełnie jak szczury wyłazące z nor. Ochroniarz jednak został już najwyraźniej poinformowany przez kolegów przy wjeździe – Calvino wykonał dobrą robotę. Ochroniarz przyszedł, żeby zaprowadzić go do Studia 7, gdzie właśnie nagrywano kolejny odcinek *The Game of Love*.

Marouan jak w gorączce podążał za tabliczkami z napisem „Studio 7”. Jego serce biło z podwójną prędkością, pot oblewał ciało, a w skroniach pulsował ból. Wchodził po schodach, skręcał w korytarze i podążał wzdłuż szerokiej żółtej linii, by wreszcie stanąć przed wyglądającymi na hermetycznie zamknięte drzwiami.

– Bardzo mi przykro – powiedział ochroniarz, który przez cały czas mówił coś do komórki – musi pan tu poczekać. Otrzymałem polecenie, żeby nie przeszkadzać w nagraniu.

– Naprawdę? – spytał Marouan ironicznie. I ku własnemu zdumieniu drzwi ustąpiły pod naciskiem. Niespodziewanie znalazł się w półmroku i zobaczył sylwetki stojące za wielkimi kamerami na kółkach. Dalej zobaczył publiczność na widowni i wielką dekorację w kształcie serca, przed którą stał opalony, jakby wyszedł wprost z solarium, mężczyzna w błyszczącym garniturze, z ramionami rozpostartymi jak u Jezusa z Rio.

– Witam, witam wszystkich na rozpoczęciu trzeciego sezonu naszego show *The Game of*



*Love*, w którym...

Wielkie jak wojskowe terenówki kamery przesuwają się bezgłośnie na różne pozycje. Gdzie się podziewa ten Calvino? Nagle z ciemności wyłonił się przed Marouanem jakiś mężczyzna. Nie był to jego partner, tylko ktoś przypominający Shreka z wielką słuchawką i mikrofonem na łysej głowie. Wykonał gwałtowny ruch powstrzymujący Marouana, zupełnie jakby ten był jednoosobową orkiestrą, która po akordzie końcowym zostaje uciszona przez dyrygenta.

Marouan wyjął legitymację, pokazał Shrekowi i wypowiedział magiczną formułkę:

– Policja po Dennisa Fabera.

Łysol o wielkiej głowie i odstających uszach wyciągnął rękę, kładąc ją na spoconej klatce piersiowej Marouana, szeptem powiedział coś do mikrofonu, w napięciu wysłuchał głosu w słuchawce i powiedział:

– Nic z tego, nie ma zgody reżysera.

– Nie jest mi do niczego potrzebna – rzucił Marouan, odsunął na bok Shreka i niewzruszonym krokiem ruszył przed siebie, zostawiając za sobą kamery, ochroniarzy i zdumioną publiczność. Studio było jaskrawo oświetlone. Marouan odniósł wrażenie, jakby znalazł się w środku tropików, a gdy zatrzymał się tuż przy patrzącym na niego z niedowierzaniem prowadzącym, powiedział, starając się nadać swojemu głosowi jak najniższy ton:

– Pan Dennis Faber?

Na brązowej od teatralnej szminki twarzy zamigotał nerwowy uśmiezek.

– Marouan Diba, policja. Jest pan aresztowany w związku z podejrzeniem o współudział w próbie zabójstwa.

Kiedy Marouan prowadził przed kamerami w stronę drzwi wściekłego Dennisa Fabera z ręką wykręconą za plecy, zobaczył w pewnej odległości Calvino, który patrzył w jego stronę; stał w milczeniu pod ścianą studia z nieruchomym spojrzeniem i powolnymi ruchami bił brawo.

Zaraz po lunchu Farah ściągnęła materiały o handlu dziećmi i zaczęła je analizować pod kątem ewentualnych punktów zaczepienia, dotyczących handlu małymi chłopcami, wykorzystywanymi do rytuału *bacha bazi*. Czytając to wszystko, co chwila wzdrygała się z obrzydzenia. Oficjalnie na całym świecie niewolnictwo dawno było już zniesione, ale teraz, w XXI wieku, rozkwitało ono w swoim nielegalnym okrucieństwie jak nigdy dotąd. Dziewczęta z Nigerii, chłopcy z krajów byłego bloku wschodniego, noworodki z Chin – wszystko na sprzedaż.

Gdy tylko jakąś biedniejszą część świata nawiedził huragan, doszło tam do trzęsienia ziemi albo wybuchła wojna domowa, handel ludźmi nagle stawał się w tym regionie *booming business*. Zrozpaczeni rodzice, którzy wyobrażali sobie, że ich dziecko będzie miało lepsze życie gdzieś tysiące kilometrów od nich, nierzadko sprzedawali ostatni kawałek ziemi, żeby opłacić przemytników, którzy obiecywali, że przerzucą ich dziecko na Zachód.

A przemytnicy byli szczeni. Jeśli kwota, jaką mieli do zapłacenia rodzice za podróż dziecka, była dla nich za wysoka, mogli ją spłacać w mniejszych ratach. Jeśli na koniec okazywało się, że mimo wszystko nie są w stanie udźwignąć ciężaru spłaty, dzieci wykorzystywano do innych celów, najczęściej związanych ze światem przestępczym: prostytutka i handel narkotykami.

W ten sposób i tak już biedni rodzice staczali się w jeszcze większą nędzę, nie wiedząc nawet, że gdzieś na drugim końcu świata z ich dzieci zrobiono prostytutki i złodziei.

Przez ostatnie lata Farah zajmowała się przeważnie działem miejskim, gdzie wyrobiła sobie nazwisko między innymi serią artykułów na temat niejasnych powiązań wokół gigantycznego projektu budowlanego magnata nieruchomości Armina Lazondera, tzw. New Golden Age. Również jej ostatni trzyczęściowy cykl artykułów na temat polityki imigracyjnej spotkał się z dużym uznaniem. Zaplanowanie i przeprowadzenie szeroko zakrojonego śledztwa było dla niej czymś absolutnie nowym. Nigdy wcześniej jednak nie odczuwała tak silnej potrzeby zaangażowania się w coś, ponieważ intuicyjnie spodziewała się, że wynik będzie bardziej spektakularny, niż mogła to sobie wyobrazić. W myślach już wiedziała pierwszy tłusty nagłówek: „Afgański chłopiec znikąd”.

Jednocześnie zdawała sobie sprawę, że pragnienie głębokiego zanurzenia się w temat będzie trudne do pogodzenia z czasem, jaki będzie na to miała. Ze względu na systematycznie spadającą liczbę abonentów w gazecie oszczędzano niemalże na wszystkim, a wpływy z reklam stały się ważniejsze niż kiedykolwiek dotąd. W przeciwieństwie do lat uprzednich długotrwałe projekty śledcze rzadko kiedy dostawały zielone światło. Dziennikarze oddelegowani do tego rodzaju projektów nie zawsze mogli pisać na codzienne potrzeby gazety, co powodowało, że trzeba było zatrudniać dodatkowe osoby. Ściągano więc dość przypadkowych dziennikarzy, nie mając w dodatku gwarancji, że w nagrodę gazeta dostanie w pewnym momencie prawdziwie sensacyjny materiał.

Z rozmyślań wyrwał ją sygnał redakcyjnego telefonu. Kiedy usłyszała głos Cathy Marant, od razu pożałowała, że podniosła słuchawkę.

– Haafje, taka była z ciebie porządna dziewczyna – zaczęła Marant słodkim tonem. – A tu nagle masakrujesz koleżankę, że aż ląduje w szpitalu. Czy naprawdę nie potrafisz się pohamować?

Farah знаła Cathy Marant jeszcze z czasów, gdy ta pisała śliskie artykuły w „AND”. Dzisiaj Cathy Marant, która wyglądała jak blond kapo z nazistowskiego filmu porno, codziennie pokazywała się w masowo oglądanych aktualnościach *De Headlines Show* w komercyjnej stacji IRIS TV, epatując widzów sztucznie powiększonymi ustami i nieprzyzwoicie głębokim dekoltem. Rzadko ze sobą rozmawiały, ale Cathy wciąż miała wątpliwy talent doprowadzania Farah w jednej chwili do białej gorączki.

– A tak dokładniej, to o co ci chodzi?

– Zadałaś swojej przeciwniczce ciężkie obrażenia.

– Dwa złamane żebra i lekkie wstrząśnienie mózgu.

– To się właśnie nazywa „ciężkie obrażenia”. I to ty jesteś ich przyczyną. Co masz na ten temat do powiedzenia?

– Tobie? Zupełnie nic – powiedziała Farah i odłożyła słuchawkę. Doskonale wiedziała, o co chodzi. Cała redakcja *De Headlines Show* miała nadzieję na dużą oglądalność relacji o *killer queen* z gazety „AND”. Na pewno nie zadowolą się jej: „bez komentarza”.

– Połączenie zostało przerwane – odezwała się Marant, kiedy dziesięć sekund później Farah po raz drugi podniosła słuchawkę redakcyjnego telefonu.

– Zgadza się – powiedziała Farah sucho. – I zaraz zostanie przerwane znowu.

Za trzecim razem głos Marant brzmiał już wrogo.

– To bardzo tchórzliwe z twojej strony, wiesz. Dziennikarka, która bez przerwy krytykuje zachowania innych, nagle zaczyna uprawiać strusią politykę, gdy tylko sama popełnia błąd.

– Rozumiem – odpowiedziała Farah. – Wykonujesz po prostu swoją pracę.

I znowu odłożyła słuchawkę.

Chwilę potem zadzwoniła jej komórka. Najwyraźniej terror Marant nie znał granic.

– Tęsknię za tobą – powiedział niski męski głos, kiedy odebrała.

Farah przypomniała sobie ręce, które zeszłej nocy zaniósł ją do sypialni.

– Dokąd wyszłaś tak rano?

– Do szpitala. To długa historia, David. – Jej głos lekko drżał.

– Coś się stało?

– Nie, nie, to nie chodzi o mnie, przepraszam. Wieczorem ci wyjaśnię.

– Wieczorem idę na kolację do Hotel de l’Euroe. Dlatego dzwonię. Niestety nie będzie dzisiaj *qabili palau* w domu nad Amstelveense Poel.

– Po co tam idziesz?

– To kolacja biznesowa. I bardzo bym chciał, żebyś poszła ze mną. Wystarczy, że będziesz się uśmiechała, żebym się nie musiał za bardzo męczyć gadką szmatką, a dzięki tobie i tak skapnie mi ze sto koła na Projekt Verne.

Przez ostatnie tygodnie Farah dużo myślała na temat tego projektu. To będzie majstersztyk Davida. Zainspirowany fikcyjną podróżą dookoła świata autorstwa Juliusza Verne’a David zamierzał z jego książką w ręku przemierzyć różnymi środkami lokomocji wszystkie kontynenty, opisując niewiarygodne zmiany, jakie dokonały się na świecie od czasów Verne’a. Cała podróż miała mu zająć ponad rok.

David już od miesiący namawiał Farah, żeby pojechała razem z nim jako korespondentka. Wystąpiła nawet z taką propozycją do Edwarda, ale ten zdecydowanie odmówił. Nie dlatego,

żeby gazety nie stać było na jej podróż, ale dlatego, że przez prawie półtora roku nie mogłaby zajmować się czymkolwiek innym, a w dodatku nie było wiadomo, czy jej relacje wzbudzą zainteresowanie czytelników. Ponieważ szefostwo uważało tak samo i zaproponowało, żeby w takim razie wzięła sobie bezpłatny roczny *sabbatical*, David zarezerwował dla niej budżet jako dla researcherki i producentki dla poszczególnych lokalizacji.

Wszystko to wydawało jej się zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Jako dziecko często fantazjowała i pisała o wielkim świecie poza murami jej ogrodu. Teraz, ponad trzydzieści lat później, otwiera się przed nią możliwość, aby jako holenderska dziennikarka odbyła prawdziwą podróż dookoła świata, opisując swoje wrażenia i obserwacje.

Jedyne, co budziło jej niepokój to to, że dzień i noc będzie w towarzystwie Davida, a nie miała pojęcia, jak to może wpłynąć na ich relacje. Mimo wszystko jednak uważała wyzwanie, jakie niósł ze sobą ten projekt, za zbyt wielkie i zbyt piękne, żeby tak nagle się z niego wycofać ze zwykłego strachu.

- O której mam tam być?
- Odbiorę cię około ósmej, okay?
- Super.

Po zakończeniu rozmowy czuła się zagubiona gdzieś na ziemi niczyjej między dwiema rzeczywistościami. Wspaniała obietnica projektu Davida zderzała się z twardą rzeczywistością cierpienia, wypełniającego akta zgromadzone na jej biurku. Wstała i wyszła do toalety.

Przez chwilę trzymała nadgarstki pod strumieniem zimnej wody i w zamyśleniu spoglądała na swoje odbicie w lustrze nad umywalką. Dwie Farah, dwa światy. Gdyby ktoś ją teraz zapytał, do którego z nich dwóch należy, wybrałaby życie w redakcji.

To był pomysł Diby, żeby przesłuchiwać Angelę i Dennisa Faberów w osobnych pokojach.

– Cal, tobie dobrze wychodzi z kobietami – powiedział, toteż Joshua ponownie znalazł się oko w oko z małżonką słynnego telewizyjnego prezentera. Wyglądała na jeszcze bardziej zmieszaną niż rano, zalęknioną i nieobecną zarazem, a oczy miała wilgotne. Ale pozory mylą. Joshua doskonale zdawał sobie sprawę, że Angela Faber wcale nie jest głupią gąską, jak mógłby sugerować jej wygląd blondynki po liftingu.

Mówił do niej spokojnie i łagodnym tonem, zupełnie jakby to była zwykła rutynowa rozmowa, w której ona uczestniczy całkowicie dobrowolnie. Jego oczy jednak komunikowały coś zupełnie innego. *I ty i ja doskonale wiemy, o co tu tak naprawdę chodzi i daję ci możliwość wyrzucenia wszystkiego z siebie.* Widział, że bezbłędnie to wychyciła.

– Wie pani, co się dzieje, kiedy dziecko zostaje potrącone przez samochód? – spytał i nie czekając na jej odpowiedź, mówił dalej: – Wtedy dosłownie rozdzwaniają się wszystkie dzwonki. Przyjeżdżają karetki. Przyjeżdża policja. Przyjeżdżają śledczy z kryminalnej. Kod czerwony, może mi pani wierzyć. I wszyscy zadają sobie pytanie: co taki dzieciak robił o tej porze w Lasku Amsterdamskim? W środku nocy? W taki deszcz? Nikt nie zna odpowiedzi.

Milczał przez chwilę, żeby w pełni dotarł do niej sens jego słów.

– Napije się pani czegoś?

– Chętnie. Wody.

Nalał jej do szklanki wodę z butelki i usiadł. Patrzył na nią pochylony do przodu, z łokciami opartymi o blat biurka, trzymając dłonie tak, by wszystkie palce stykały się ze sobą opuszkami.

– To był chłopiec.

– Chłopiec? – Opuchnięte od płaczu oczy Angeli Faber zrobiły się nagle jeszcze większe.

– Dziwi się pani, prawda? – spytał Calvino sucho.

– Myślałam... – Angela Faber urwała w pół słowa.

– To był chłopiec – ciągnął Calvino. – Przebrano go i umalowano jak dziewczynkę. Tragiczne. Takie małe dziecko. Gdyby lekarka go nie zaintubowała, umarłby tam na asfalcie. A wtedy ten, lub ta, kto go potrącił, miałby na sumieniu morderstwo.

W ciszy, jaka zapadła po tych słowach, Angela Faber wpatrywała się nieobecny wzrokiem w szklankę wody, a potem zaczęła lekko dygotać.

– Przechodził przez drogę? – spytał Joshua miękko.

Angela Faber pokręciła przecząco głową.

– Już tam leżał – powiedziała, pochlipując i zaraz potem wybuchnęła płaczem.

Joshua przesunął w jej stronę paczkę papierowych chusteczek i przy akompaniamencie szlochów i westchnień usłyszał wreszcie całą historię tamtej nocy. Angela Faber wracała właśnie ze spotkania z przyjaciółkami, na które jeździła co dwa tygodnie. Elegancki babski wieczór z wymyślnymi drinkami w modnym lokalu. Przez cały czas jednak czuła „dziwne napięcie” i zdecydowała się wrócić wcześniej do domu. Po przekroczeniu progu zrozumiała jego przyczynę:

otóż za sprawą bogów przeznaczenia mogła dzięki temu zobaczyć swojego męża na dywanie z wełny lamy w salonie, zupełnie nagiego i w dziwnie nienaturalnej pozycji. Nienaturalnej, ponieważ znajdował się na plecach innego mężczyzny, w którym Angela Faber od razu rozpoznała scenografa z *The Game of Love*, mimo że mężczyzna ten również był całkowicie nagi. W ślepej panice wróciła do samochodu. To, że pojechała właśnie w stronę Lasku Amsterdamskiego, było całkowicie przypadkowe.

Po dojściu do tego momentu Angela Faber zupełnie mimochodem wspomniała, że zamierzała rozbić siebie i samochód. Następnie podała pewien szczegół, który kazał Joshui nadstawić uszu. W lesie została podobno nagle oślepiona światłami jadącego z naprzeciwka samochodu. Tuż po tym, jak samochód ją minął, zobaczyła tę dziewczynkę, nie, nie, tego chłopca na asfalcie. Miała na tyle przytomności umysłu, żeby nacisnąć hamulec i skrócić kierownicę, zanim ostatecznie zatrzymała się na drzewie. Dopiero kiedy wybrała numer alarmowy, zdała sobie sprawę, jakie może to mieć dla niej konsekwencje. Cały świat pomyśli, że to ona potrafiła to dziecko.

Joshua próbował przezwyciężyć obrzydzenie. Mnóstwo wysiłku kosztowało go powstrzymanie się przed tym, by przechylić się przez stół i mocno potrząsnąć tą plastikową lalką.

– Zostawiła pani potrąconego chłopca na środku drogi, ryzykując, że jakiś inny samochód rozjedzie go na śmierć. Czy zdaje sobie pani z tego sprawę?

Tak, Angela Faber, teraz już zdawała sobie z tego sprawę. Już po fakcie. I powiedziała, że jest jej strasznie przykro. Przy akompaniamencie niemal teatralnego płaczu. I ze sporą dozą fałszu w głosie.

Nie mam zupełnie nic do powiedzenia – oświadczył Dennis Faber.

Marouan Diba wszedł do pokoju przesłuchań, w którym siedział Dennis Faber, i nonszalanckim ruchem położył na blacie protokół przesłuchania podpisany przez jego żonę.

– To zrobimy może tak – powiedział Marouan. – Jeśli o mnie chodzi, może pan tylko słuchać, panie Faber. Nie siedzi pan tutaj dlatego, że odczuwamy potrzebę przepytania pana na okoliczność pańskich preferencji seksualnych, czy tego, że zdradza pan żonę.

Zobaczył, jak Faber robi się czerwony na swojej pokrytej sztuczną opalenizną twarzy.

– Nie siedzi pan też tutaj dlatego, że przez to pańska żona rozpoczęła samobójczy rajd przez Lasek Amsterdamski. Nie, siedzi pan tutaj dlatego, że po jej powrocie lekko uszkodzonym samochodem i wysłuchaniu jej histerycznej relacji, że prawdopodobnie kogoś potrąciła, dostrzegł pan w tym szansę, żeby utrzymać w tajemnicy swój wybryk. Zawarł pan ze swoją żoną umowę, panie Faber.

– Zupełnie nie wiem, do czego pan zmierza.

Marouan udał, że w ogóle go nie słyszy. Pochylił się do przodu i powiedział ściszym głosem:

– Pomogę panu, pod warunkiem że pan pomoże mnie. Pan nabierze wody w usta, jeśli chodzi o to, co pan wcześniej widział, a ja zadbam, żeby w żaden sposób nie połączono pana z tym potrąceniem. Umowa stoi?

Marouan odchylił się w fotelu i z lekko ironiczną uprzejmością patrzył na coraz bardziej nerwowego prezentera.

– Idąc na taki układ z żoną, próbował pan usunąć dowody w bardzo poważnej sprawie. Czyż nie tak, panie Faber? Bo jeśli rzeczywiście jest tak, jak podejrzewam, to pańska żona mocno tutaj nakłamała, podpisując na koniec swoje fałszywe zeznania – powiedział Marouan, podsuwając jednocześnie protokół przesłuchania w stronę mężczyzny.

– Dla porządku muszę jeszcze dodać, że zeznania pańskiej żony pokrywają się z ustaleniami kryminalistycznymi. Dość istotny szczegół, chyba sam pan rozumie. Jeśli będzie pan współpracował i okaże się na tyle rozsądny, że złoży pan zeznania zbieżne z zeznaniami żony, to szybko i dyskretnie załatwimy całą sprawę. Rozumie pan? Proszę to sobie przemyśleć.

Nie czekając na odpowiedź Fabera, Marouan odsunął krzesło, wstał i wyszedł z pokoju przesłuchań, dobrze wiedząc, że właśnie postawił wszystko na jedną kartę, żeby ratować twarz.

Byli w ślepym zaułku.

Angela Faber nie miała żadnego udziału w potrąceniu chłopca. Marouan uświadomił sobie ponadto, że nawet jeśli odnajdzie kierowcę tego drugiego samochodu, to nadal nie ma najmniejszego pojęcia, co ten chłopiec robił w tamtym miejscu o tamtej porze.

W kieszeni jego marynarki odezwał się telefon. Kiedy rzucił okiem na wyświetlacz, poczuł, jak uginają mu się nogi. Słyszając tamten głos mówiący po angielsku ze słowiańskim akcentem, poczuł bolesne palenie w żołądku.

– *Cziort pobieri!* A więc to prawda, co mówią o Makorańczykach. Zwykli owcojebcy o rozumach prosiaków. Czy możesz mi jakoś wyjaśnić ten debilny numer, który mi właśnie wykręciłeś?!

– O czym ty mówisz?

– O aresztowaniu Dennisa Fabera, o tym mówię. To ja cię proszę, żebyś załatwił całą sprawę możliwie po cichu, a tymczasem twoja marokańska mordka pojawia mi się na ekranie mojego telewizora.

– Nie rozumiem, co... – wyjąkał Marouan.

– Słuchaj no, Diva, musisz skończyć z tymi swoimi groteskowymi idiotyzmami. Natychmiast zadbasz, żeby jakoś wyciszyć ten syf, jakiego narobiłeś aresztowaniem Fabera. I żadnych więcej *fuck upów!* *No escape!* Żadnej taryfy ulgowej! Od tej chwili będziesz robił dokładnie to, o co cię proszę, jak przystało na troskliwego ojca rodziny. Bo ojciec rodziny przykładą wagę do tego, żeby jego dzieciom nic się nie stało. Rozumiemy się?

– Nie mieszaj do tego moich dzieci! Rozumiesz?! – krzyknął do słuchawki Marouan.

Z trudem łapał ustami powietrze. Nogi trzęsły się pod nim tak bardzo, że obawiał się, że zaraz upadnie. Przyłożył dłonie nad głową do ściany, niczym płaskie podpory i napiął całe ciało tak, jakby chciał przepchnąć przed sobą cały budynek.



**Pieprzeni tchórze!** – gorączkował się Edward, wchodząc do jej pokoju. – Trzeba być dzisiaj nieźle wygadany, jeśli człowiek chce ich zmusić, żeby im się chciało cokolwiek zrobić! Jedyne, co ich jeszcze interesuje, to wysokość nakładu i wpływy z reklam. Nie potrafią myśleć o niczym innym, jak tylko o cięciach budżetowych.

– A więc sprawa nie przeszła? – spytała Farah.

– Czyś ty oszalała? – parsknął Edward. – Oczywiście, że przeszła. Ale strasznie mnie wkurza, że za każdym razem muszę poruszać niebo i ziemię, żeby przekonać tę kupę pierdzistołków, że czasem warto się wychylić poza bezsensowne biurokratyczne ograniczenia. Szlag jasny, przecież to jest gazeta, a nie sanatorium. Na razie mamy trzy miesiące. To oczywiście za mało, ale jak już zaczniemy i sprawa się trochę rozkręci, to mam nadzieję, że da się to przedłużyć.

– To chyba świetna wiadomość? – zawołała Farah i zerwała się z miejsca, żeby objąć Edwarda za jego zapaśniczą szyję.

– *Hold your horses*, Hafiz – powiedział Edward. – Musisz się zgodzić na pewien warunek.

– Mianowicie?

– Musisz mieć do tego kogoś jeszcze. Kogoś z doświadczeniem.

– A więc jednak nie mają do mnie na górze zaufania. – Farah nie potrafiła ukryć rozczarowania.

– To była moja propozycja. Moim zdaniem masz za małe doświadczenie w tego rodzaju sprawach, a ja nie mogę cię cały czas mieć na oku. To twój pomysł i twoja inicjatywa, ale projekt będzie nasz wspólny. Twój, mój i tej trzeciej osoby, która nam pomoże w jego realizacji.

– A kto to taki, jeśli można wiedzieć?

Ed zwlekał przez nadspodziewanie długą chwilę, kiwając swoim wielkim cielskiem. Kiedy wreszcie wymienił nazwisko, w głowie Farah znowu szeroko otworzyły się bramy wspomnień.

– Chcę ci przydzielić Paula Chapelle’a.

Edward wychował Paula. Był nie tylko jego mentorem, ale też wujem. Paul od zawsze był wielce obiecującym dziennikarzem, ale niewiele już dziś z tego zostało. Mówiło się, że praca Paula jako korespondenta w Moskwie była jednym wielkim skandalem przeplatany pijaństwami i podejrzanymi bójkami. Edward jednak należał do tych, którzy mimo największych nawet przeciwności wciąż niezłomnie wierzył w karierę swojego pupila. Załatwił Paulowi przeniesienie do Johannesburga. Skończyło się niewiele lepiej niż w Moskwie. Czy też w Paryżu albo w Londynie, gdzie wcześniej posyłał Paula.

Być może Ed traktuje ten projekt jako ostatnią próbę zatrzymania Paula w zespole i dania mu jeszcze jednej szansy, pomyślała Farah. Ale dlaczego akurat przy okazji swojego pierwszego samodzielnego projektu tej rangi musi znosić obecność tego korespondenta ze skłonnością do autodestrukcji, którego kariera aż nadto wyraźnie leżała prawie w gruzach?

Ed sam udzielił jej odpowiedzi.

– Najprawdopodobniej mamy tu do czynienia z międzynarodową siatką przestępczą. Paul ma

doświadczenie międzynarodowe. Ty nie.

Uznała, że za bardzo jest wzburzona, żeby wdawać się teraz w jakiegokolwiek dyskusje. W jej głowie zebrały się ciemne chmury, odbierając jej zdolność logicznej kontrargumentacji.

– A jeśli on powie nie?

– Nie powie.

– Zaraz, zaraz, Ed. A co ty z tego będziesz miał?

– Co ja będę miał? Znakomity dziennikarski duet, oczywiście.

– Jak możesz tak twierdzić? Przecież jeszcze nigdy ze sobą nie pracowaliśmy.

– A więc najwyższy czas, żeby tak się właśnie stało. Słuchaj, Hafiz, jak długo się już znamy? Od chwili, kiedy przyszedł tu na staż. Ambitna do bólu. Ale powiedzmy sobie szczerze, czym się możesz na razie pochwalić? Parę artykułów o polityce imigracyjnej, parę portretów ważnych sportowców, dużo wiadomości lokalnych i teraz ten kawałek o zbliżającej się abolicji dla nielegalnych imigrantów, nad którym właśnie pracujesz. Ale na czym wyrobiłaś sobie nazwisko?

– W każdym razie nie na całonocnych pijaństwach, jak twój podopieczny.

– No, nie, ale może na masakrowaniu przeciwniczek.

– Jezu, co za chamska uwaga, Ed!

– Zgadza się. Ale jak na dziennikarkę o takim talencie i sile przebicia stać cię na o wiele więcej niż to, co dotąd osiągnęłaś. I szczerze mówiąc, Paul też zasłużył na więcej. I mówię to nie tylko dlatego, że to moja rodzina. To, czego mu brakuje, to osoba w pobliżu, z którą mógłby się mierzyć.

– No dobrze, ale dlaczego muszę to być właśnie ja?

– Bo... Cholera jasna, Hafiz, obydwójecie macie ze sobą więcej wspólnego, niż ci się wydaje!

Farah poczuła nieprzyjemny dreszcz.

– Okay. Daj mi trochę czasu, Ed. Po prostu daj mi trochę czasu.

– Daję ci czas do jutra – powiedział Edward zniecierpliwionym tonem. Odwrócił się na pięcie i wyszedł, rzucając jeszcze: – I daj mi znać, jak przyjdzie tych dwóch szeryfów!

Joshua Calvino wiedział na pewno: jego partner Diba jest obciążony. Obciążony nienawiścią, obciążony zmartwieniami, jednym słowem człowiekiem, który dźwiga na swych barkach przeznaczenie. Wszystkie przeciwności i niedogodności, z jakimi przyszło mu walczyć w życiu, Diba cały czas dźwigał ze sobą. Zupełnie jak bezdomny, upychający rupiecie w swoim porzewiałym wózek z supermarketu. Jednocześnie Diba uważał za konieczne, ukrywać to swoje brzemie przed światem. Zupełnie jakby uważał, że nikt nie zdoła przejrzeć jego fałszywego zachowania. Ale Joshua wiedział swoje.

W drodze na komendę Joshua milczał, Diba też. Nie było zresztą sensu nic mówić. Leciwa corolla aż się trzęsa od przekleństw jadącego na tylnym siedzeniu aresztanta. Z satanicznego uśmiechu na twarzy partnera Joshua wnioskował, że Diba czerpie satysfakcję z bezsilnej złości Fabera. Tylko poczekaj, Diba, co przełożeni powiedzą o twojej akcji, pomyślał sobie w duchu Joshua.

Ale podczas przesłuchań Joshua nagle zaczął się przejmować swoim partnerem. Było to dokładnie to samo uczucie, jakiego doznawał na widok staruszki stojącej bezradnie na skraju przejścia przez ruchliwe skrzyżowanie albo mężczyzny na wózku inwalidzkim przy drzwiach zepsutej windy. Nie był w stanie im pomóc, ponieważ nie potrafił ich zostawić własnemu losowi. I chociaż Diba był na najlepszej drodze, by stać się osobą budzącą w nim największą niechęć ze wszystkich, z jakimi dotąd współpracował, to jego również nie potrafił zostawić własnemu losowi.

Potrzeba ta stała się jeszcze większa, kiedy po przesłuchaniu Angeli Faber Joshua poszedł do kantyny i rzucił okiem na ekran telewizora, przed którym stała, zaśmiewając się w głos, grupka ich kolegów. W fantastycznie zmontowanym klipie z kawałkami w zwolnionym tempie i efektami dźwiękowymi, co przypominało trailer jakiegoś filmu, widać było na ekranie, jak śledczy Marouan D. na oczach widzów aresztuje zdumionego Dennisa Fabera po pierwszych słowach powitania wypowiedzianych na rozpoczęcie show. Klip pochodził z YouTube. Nieprawdopodobny wyczyn Diby okazał się nie lada gratką dla milionów widzów. Tym samym szefostwo miało już wystarczający pretekst, by urlopować na czas nieokreślony i ze skutkiem natychmiastowym jednego ze swoich najdłużej pozostających w służbie śledczych.

Joshua przeklinał samego siebie i swoje pragnienie, by uchronić swojego partnera przed takim apokaliptycznym rozwojem wydarzeń, ale w pewnym momencie uświadomił sobie, że jest to również częścią jego bagażu. Częścią jego zaszłości, które on sam ciągnie w zardzewiałym wózku z supermarketu. Była to sympatia dla kogoś, kto jest skazany na pożarcie.

W holu natknął się na tłum dziennikarzy z aparatami i kamerami, zebranych wokół wypuszczonego właśnie telewizyjnego celebryty i jego małżonki. Usłyszał, jak Dennis Faber opowiada, że wskutek głupoty śledczego o podwójnym obywatelstwie policja dopuściła się niewybaczalnego błędu, gdyż najpierw oskarżyła jego żonę o spowodowanie wypadku, a potem dowiedziała się, że ona jest tylko osobą, która zgłosiła wypadek. Swoje oświadczenie zakończył

słowami, w których wyraził nadzieję, że policja odpowiednio odwdzięczy się niejakiemu Marouanowi D. i że może w Maroku już się cieszą, że będą mogli zatrudnić policjanta tego kalibru do pilnowania królewskiego haremu.

Joshua miał ochotę w mało delikatny sposób wcisnąć Faberowi te słowa z powrotem do gardła, udało mu się jednak opanować. Poszedł dalej i spotkał Dibę w korytarzu, gdzie były pokoje przesłuchań. Jego partner stał w pozycji, która najbardziej ze wszystkiego przypominała jeszcze ćwiczenia w stretchingu, ale Joshua odniósł wrażenie, jakby Diba chciał po prostu zniknąć w ścianie.

Gdy Diba się odwrócił, jego oczy miały desperacki wyraz godny japońskiego kamikadze.

– Szef chce z nami rozmawiać – powiedział Joshua.

– Kiedy? – spytał Diba bezbarwnym tonem.

– Zaraz – rzucił Joshua, jednocześnie jednak powstrzymał Dibę, który właśnie zamierzał ruszyć w stronę holu.

– Poczekaj. To nie jest dobry pomysł.

– A dlaczego?

– Wszyscy tam będą chcieli mieć twój autograf.

– Chyba moją głowę, chciałeś powiedzieć.

Ta zostanie dla szefa, pomyślał sobie Joshua, na głos zaś powiedział:

– Pozwól, że ja będę gadał.

– Dlaczego?

– Całe to aresztowanie to był mój pomysł.

– Ale to ja je spieprzyłem.

Kto wie, może dzięki temu będziesz miał co opowiadać przez całe życie, pomyślał Joshua. I w przyпіływie emocji zrobił coś, co zdumiało także jego samego: przyjacielskim gestem położył dłoń na ramieniu Diby.

Po wyjściu z siedziby „AND” Farah ruszyła w stronę rdzawobrzązowych olbrzymów, którzy od niedawna strzegli północnego brzegu rzeki IJ, trzymając u piersi tarcze w kształcie motyli. Dwa nieruchome giganty ze stali. Ustawili ich jako symboliczny protest przeciwnicy projektu New Golden Age, o którym Farah napisała już cykl artykułów. Była to megalomańska inicjatywa giganta na rynku nieruchomości, Armina Lazondera, który uważał, że należy przywrócić Amsterdamowi należne miejsce na mapie świata.

W tej dawnej dzielnicy przemysłowej miały powstać nie tylko trzy wielopiętrowe biurowce, ale też port jachtowy, gigantyczny multipleks z aneksem teatralnym, restauracje, hotele, luksusowa promenada z drogimi sklepami i gigantyczne muzeum sztuki dawnej i współczesnej. A wszystko to z zamiarem przywrócenia głównemu miastu Holandii tego znaczenia, jakie miało w Złotym Wieku.

Żeby jakoś pozbyć się przygnębienia, Farah ruszyła w stronę Het Fort, wielkiej stoczni początków zeszłego stulecia, która przy wsparciu mieszkańców została zajęta przez squatersów.

Stalowe olbrzymy znaczyły wejście na niemal średniowieczny w wyglądzie jarmark. Widać tam było ustawione w krąg zaimprovizowane namioty, stare przyczepy kempingowe, zdezelowane wozy strażackie i wojskowe ciężarówki. Roilo się od młodych ludzi z plecakami, punkowców i przedstawicieli innych subkultur, ale też od Japończyków i Amerykanów, których przywożono tu autokarami i którzy krążyli wśród tego wszystkiego z rozdziawionymi ustami. Przy wtórze łamanej angielszczyzny sprzedawano tutaj wszystko, od ekologicznych warzyw i owoców poczynając, przez olej mineralny, ubrania z konopii, tybetański chleb i młynki modlitewne, używane książki i gitary, biżuterię i kryształowe kule, T-shirty i dżinsy, aż po tkaniny z orientalnymi nadrukami.

Ten wielobarwny tłum przypominał Farah codzienny targ w parku starego Kabulu z czasów jej dzieciństwa, na którym bez większego problemu mieszała się ze sobą kupcy ze wszystkich stron kraju, turyści i hipisi. Kiedy tylko się dało, przychodziła tam w ciągu dnia, najczęściej w porze lunchu, żeby pooddychać tamtą atmosferą, poobserwować i zjeść codzienną porcję warzyw i owoców.

Przystanęła przy niewielkim kramiku, gdzie siedziała wystylizowana po gotycku dziewczyna, otoczona kruchymi ozdobami, wykonanymi ręcznie książeczkami z wierszami haiku i aniołkami z papieru.

Pośród wszystkich tych skarbów dostrzegła motyla. Był wykonany z różnych materiałów, papieru i sznurków. Każde z jego skrzydeł było wielkości mniej więcej jej dłoni i były ze sobą związane pośrodku puszystym sznurkiem, którego płatanina tworzyła rodzaj grubego tułowia z dwoma długimi, wystającymi do przodu czułkami. Każde skrzydło składało się z kilku ułożonych jedna na drugiej warstw, pokrytych orientalnymi znakami na lnianym materiale.

– Motyl szczęścia – powiedziała po angielsku dziewczyna, uśmiechając się zagadkowo. – Ale działa tylko u ludzi, którzy są otwarci.

– Otwarcu na co? – spytała Farah.

– Na szczęście – odrzekła dziewczyna sucho.

– I jak to działa?

– Tak jak to jest ze szczęściem. Nie wolno kurczowo się go trzymać, tylko się nim cieszyć, a potem puścić je wolno.

– Bardzo ładny – stwierdziła Farah, która nie cierpiała tych newage’owych dyrdymałów. – Własnej roboty?

– Nie, nie. On jest bardzo stary.

– Jak bardzo?

– Nie mam pojęcia.

– Ile kosztuje?

Dziewczyna wymieniła cenę. Farah nie targowała się. Podając jej motyla, dziewczyna przez moment przytrzymała jej dłoń.

– Ale dbaj o niego, dobrze?

Farah zostawiła na razie w spokoju listę zakupów i poszukała jakiegoś spokojnego miejsca na brzegu rzeki, gdzie mogła uważnie przyjrzeć się motylowi. Delikatnie dmuchnęła na niego, tak że poruszył skrzydłami, i poczuła, jak leciutki podmuch wiatru wzmacnia ten efekt. Motyl wyglądał tak, jakby tańczył tuż nad powierzchnią jej dłoni. Usłyszała szelest setek skrzydeł. Poruszały się wokół niej, zmieniając ją w sześćioletnią dziewczynkę w wewnętrznym ogrodzie starego budynku rządowego w Kabulu.

Spojrzała na matkę, która stała nieco dalej, rozmawiając z jakimś mężczyzną. Zobaczyła, jak dotyka jej ręki. I wtedy dostrzegła jasnowłosego chłopca o zaczepnym spojrzeniu, który stanął tuż przy niej.

– Twoje też są niebieskie – powiedział, zupełnie jakby był pierwszym człowiekiem na ziemi, który to dostrzegł. Mnóstwo ludzi już jej mówiło, że mając takie oczy, z pewnością pochodzi od któregoś z greckich wojowników, którzy napadli na jej kraj tysiące lat temu. Była z tego bardzo dumna. A tu podchodzi jakieś nieznajome chłopczydło i z zadowoleniem stwierdza: „twoje też są niebieskie”. Zwłaszcza to „też” bardzo jej się nie spodobało. Od razu go znieubiła.

Motyle wciąż fruwały wokół niej. Chłopiec milczał, patrząc na nią kpiąco.

– Nie zbliżają się do ciebie, bo przestraszyłeś je swoją ciemną duszą – powiedziała Farah.

Chłopiec poczuł się wyraźnie dotknięty.

– Ciebie też przestraszyłem? – spytał i zabrzmiało to bardzo serio.

– Ależ skąd – odpowiedziała. – Mnie nie możesz przestraszyć, bo umiem to.

Zademonstrowała mu kilka ciosów i pozycji *silat*, których nauczył ją ojciec. Bardzo powoli i bardzo świadomie. Gapił się na nią z głupim wyrazem twarzy, i to jeszcze, gdy już dawno skończyła.

– To nie jest walka, tylko taniec! – powiedział w końcu rozczarowany.

Farah starała się zachować spokój.

– Każdy ruch ma swoje znaczenie.

Chłopiec uderzył pięścią w drugą dłoń, tak jak zobaczył to u niej.

– Uderzanie się we własną rękę? Jakie to może mieć znaczenie? Żeby cię samą zabolalo, czy co?

– Wcale nie. Chodzi o zablokowanie ciosu przeciwnika. Zaatakuj mnie.

Chłopiec patrzył na nią zaskoczony.

– Że co?

– No, zaatakuj mnie. Czy może się boisz?

Zobaczyła narastający w nim gniew.

– Nie biję się z dziewczynami – powiedział ponuro.

– A to czemu?

– Bo jesteście słaba płęć.

Uderzyła go w twarz.

– No już, zaatakuj mnie!

Wyglądało na to, że chłopiec zaraz wybuchnie, zacisnął dłonie w pięści i zamierzył się na nią. Jego pierwszy cios zablokowała lewym przedramieniem. Zabolało, bo uderzył bardzo mocno. Drugi cios nie tylko zablokowała, ale dodatkowo wykręciła mu rękę i tak go trzymała. Próbował się wyrwać, ale mu się nie udało.

– Teraz cię puszcze – uprzedziła.

Chłopak stał przed nią i z trudem maskował frustrację. Zamiast jednak się na nią zezłościć, spytał tylko:

– Jak ty to zrobiłaś?

– Tym samym ruchem, który ci wcześniej zademonstrowałam – odparła z dumą. – Właśnie w ten sposób uniknęłam twojego ciosu i tym samym ruchem zablokowałam ci rękę. To naprawdę nie jest taniec, tylko walka. Teraz mi wierzysz?

– Wierzę – odpowiedział chłopiec. – A teraz zaatakuję cię jeszcze raz.

– Proszę bardzo.

Znowu się zamachnął, ale teraz w sposób kontrolowany, żeby zobaczyć, co ona zrobi. A ona znowu zablokowała mu rękę. Stali blisko siebie bez ruchu. Nagle Farah uświadomiła sobie, jak bardzo są ze sobą spleceni. Jeszcze nigdy nie była tak blisko żadnego chłopca. Czuła jego ciało, jego napięte mięśnie, słyszała jego oddech w uchu. Najchętniej jeszcze przez chwilę by tak stała blisko niego.

– Farah?

Jej matka odeszła na chwilę z tamtym mężczyzną i stali teraz w jednym z przejść między kolumnami. Farah zobaczyła, jak mężczyzna gładzi rękę jej matki.

Chłopiec odsunął się od niej, odwrócił się i pobiegł do tego mężczyzny, który właśnie unosił dłoń jej matki do ust, by złożyć na niej pocałunek.

Mężczyzna objął chłopca ramieniem. Kiedy obaj odeszli, Farah zauważyła w matce jakąś zmianę. Wyglądała na uskrzydloną, jej oczy stały się ładniejsze, śmiech bardziej jasny niż zazwyczaj. Przez moment Farah miała nieprzepartą chęć pobiec za tamtym chłopcem i powiedzieć mu, że bardzo chciałaby go bliżej poznać. Ale to byłoby głupie. Spojrzała na matkę.

– Mamo, kim był ten pan?

– Dziennikarz, kolega taty – powiedziała jej matka takim tonem, jakby opowiadała jej bajkę na dobranoc.

– A ten chłopak?

– To Paul. Jego syn.

Głośna syrena statku, który przybijał właśnie do drugiego brzegu rzeki, przywołała ją do rzeczywistości.

Motyl leżał na jej dłoni. Zupełnie jakby był tam od zawsze.

Marouan Diba dobrze czuł. Nie było to dotknięcie Boga, tylko tego nedorobionego Włocha. Ale mimo to dłoń Calvina na jego ramieniu wypełniła go niezbędnym spokojem, jakkolwiek był to spokój kogoś, kto zdaje sobie sprawę, że jedyna droga, którą może pójść, prowadzi wprost na szafot. W stronę czekającego kata.

Marouan nie mógł odczytać, co kryje się w spojrzeniu kata. Gdy weszli do jego gabinetu, naczelnik Tomasoja jak zwykle otoczony był nieprzeniknioną aurą. Z ogoloną na łyso głową i szeroką hinduską szczęką przypominał Marouanowi amerykańskiego gwiazdora z lat sześćdziesiątych Yula Brynnera. Brynner jako król Syjamu, Brynner jako bohater Dzikiego Zachodu w czarnym stroju, dowodzący grupą żądnych zemsty kowbojów w *Siedmiu wspaniałych*. Brynner zawsze grał zwycięzców i bohaterów. Brynner nigdy się nie pocił, a jego kwestie zawierały tylko parę słów, zupełnie jak u naczelnika. Mogłem trafić gorzej, pomyślał Marouan. Zostać zawieszonym w czynnościach przez Tomasoję było niemalże zaszczytem.

– Byłem wczoraj w teatrze Carré – zaczął spokojnie Tomasoja. Potrafił sprawić, że nawet ogłoszenie wyroku śmierci brzmiało w jego ustach, jak mistrzowskie haiku. – Na gali Pencak Silat.

Całkiem nieoczekiwany wstęp, pomyślał Marouan. Nagle poczuł się zbity z tropu.

– Słyszał pan o tym, inspektorze?

– O Carré? Jak najbardziej – rzucił w ciemno Marouan. – Kiedyś chodziły tam cyrkowe konie. Gdy dostrzegł lekko znużony wyraz, pojawiający się na twarzy naczelnika, szybko dorzucił:

– *Pencak silat* to sport walki. Wschodni, o ile się nie mylę.

– To więcej niż sport walki – skorygował go Tomasoja. – *Pencak silat* to sposób życia. Wieki temu opracowany przez sumatrzańskich mnichów. Musieli bardzo uważnie obserwować techniki przetrwania tygrysów, małp, a nawet os. Połączyli te techniki z własną prastarą duchowością. W ten sposób powstała sztuka samoobrony, w której centralną rolę odgrywa nie tylko ciało, ale też duch wojownika.

Tomasoja patrzył na przemian to na Calvina, to na Marouana, którzy wlepili w niego spojrzenia.

– Tym samym wróciliśmy do wczorajszej gali – ciągnął naczelnik, napiwszy się łyk herbaty. – Finał kobiet.

Tomasoja wstał i zaczął chodzić miarowym krokiem tam i z powrotem, akcentując swoją opowieść ruchami wielkich jak łopaty dłoni.

– Po jednej stronie – zaczął, jakby prowadził relację na żywo – elegancka zawodniczka, typu żuraw. Po drugiej stronie beznamiętna maszyna do walki, typu sęp. Wypatrująca łupu, żadna krwi. Sędzia daje sygnał do walki. Sęp zaczyna ziać nienawiścią, okrąża przeciwniczkę, nagle skacze jej do gardła, ciągnie ją za włosy po macie, drapie paznokciami skórę. A kiedy przeciwniczka zakłada jej dźwignię, wbija zęby w jej łydkę. Ślepa furia. I jaki jest tego rezultat?

Marouan przygotował się na morał, który w każdej chwili mógł wyskoczyć jak diabeł z



pudełka.

– Przegrana, drodzy panowie. Bo nasza pani sęp nie była typem zwycięzcy, nie była mistrzynią. Zawodniczka była niewolnicą swoich emocji. I dlatego została sponiewierana. Bezlitośnie sponiewierana, powiedziałbym. – Tomaso aż się uśmiechnął na to wspomnienie. – Takie jest prawo natury. Proste i trafne i obowiązujące od wieków. *Tenaga dalam*, wewnętrzna siła. A z tego wywodzi się *kanuragan*, magiczna samoobrona.

Kat właśnie wymasował mi kark, pomyślał Marouan, a teraz weźmie zamach toporem.

– Od moich śledczych oczekuję – ciągnął Tomaso – aby zawsze i wszędzie pozostawali mistrzami i panami sytuacji i nie byli niewolnikami swoich emocji. – Jego wzrok skrzyżował się ze wzrokiem Diby. – Czy to za duże wymagania, inspektorze Diba?

– Absolutnie nie, szefie – odrzekł Marouan możliwie opanowanym tonem. Włosy na karku zjeżyły mu się jak u psa, skóra swędziała. Spadający topór poprzedzała fala zimnego powietrza.

– To oznacza, że całkiem niedawno musiałem mieć halucynacje – stwierdził Tomaso ponuro. – Bo wydawało mi się, że dopiero co widziałem pana w telewizji. Przebranego za wygłodniałego sępa, który wbija szpony w jedną z osób publicznych.

Calvino odchrząknął. Topór nieco zwolnił.

– W pewnym sensie, szefie, to ja to zapoczątkowałem.

– Mówię o fascynującym występie telewizyjnym pańskiego partnera, inspektorze. A nie o tym, co pan zapoczątkował.

– Wiem, wiem – ciągnął bezczelnie Calvino – ale po przesłuchaniu pani Faber doszliśmy wspólnie z inspektorem Dibą do wniosku, że kobieta razem ze swoim mężem wspólnie usiłują zatuszować sprawę potrącenia tego chłopca. Gdy tylko znaleźliśmy na to dowód, uznaliśmy razem z prokuratorem za bardziej niż logiczne, że pana Fabera również należy zatrzymać i przesłuchać.

– To, o co mi chodzi, to sposób, w jaki to zostało wykonane – odrzekł Tomaso.

Topór znów przyśpieszył opadanie. Marouan widział, że naczelnikowi z trudem udaje się ukryć narastającą irytację. Co w tego Calvino wstąpiło, że się tak wtrąca, pomyślał Marouan, nie posiadając się wręcz ze zdumienia z powodu takiej porcji nieoczekiwanej lojalności.

– Słuchajcie, panowie – zaczął Tomaso już lekko podniesionym głosem. – Można sobie iść na mecz i szaleć na trybunach jako kibic. Ale co innego, jak się wbiegnie na murawę, żeby gdzieś tam przy linii środkowej spuścić spodnie i zaintonować hymn swojej drużyny. Trochę wysilona ta metafora, bo wymyśliłem ją na poczekaniu, ale chyba łapiecie, panowie, o co mi chodzi.

– Ma pan absolutną rację, szefie – przyznał z wahaniem Marouan. – Biorę na siebie pełną odpowiedzialność za ten, yyy, występ.

– Na pewno nie zapomnę pana do tej odpowiedzialności pociągnąć, Diba – zapewnił Tomaso. – Ale najpierw muszę uzyskać jasność w paru sprawach. Punkt pierwszy: co wiemy na temat potrącenia tego chłopca?

Calvino znowu wyrwał się przed szereg i Marouan nagle zrozumiał, czemu to robi. Jego partner właśnie gołymi rękami wyjmował za niego kasztany z ognia. Jeszcze trochę i ten przeklęty Italianiec zacznie mu działać na gruczoły łzowe.

– Naszym zdaniem w sprawę zamieszanych jest więcej samochodów, szefie – powiedział Calvino. – Jednym z nich, jak udało nam się ustalić, jest samochód pani Faber. Ale to nie ona potrąciła chłopca. O innym samochodzie wiemy tylko tyle, że ją oślepił. Ten opis musimy potraktować dosłownie, ponieważ Angela Faber stwierdziła w jej stronęjechały wielkie światła.

– No, dobrze – powiedział Tomaso. – A więc szukanie igły w stogu siana. Punkt drugi. Co ze spalonym kombi?

– Pracujemy nad tym – stwierdził Calvino. – Tablice rejestracyjne zniszczone, a ustalenie tożsamości zwłok jest praktycznie niemożliwe. Pożar zrobił swoje.

– A więc małe szanse na jakiś efektywny przełom. Zatem punkt trzeci: związek między jednym a drugim. Jin i jang. Chłopiec i kombi. Coś wspólnego?

– Nie – powiedział Marouan nazbyt zdecydowanie.

– Jeszcze nie znaleźliśmy – skorygował go Calvino.

– No, dobrze – powtórzył znowu Tomaso. – Na ten moment wysnuwam z tego podsumowania wnioski, że związek między spalonym kombi a potrąceniem chłopca nie jest wykluczony. Jeśli istnieje, to klucz do całej sprawy leży teraz na intensywnej terapii. Kiedy chłopiec będzie w takim stanie, że da się go przesłuchać?

– Lekarze spodziewają się, że za jakiś tydzień. Przy założeniu, że w ogóle przeżyje – wyjaśnił Marouan.

– W takim razie to będzie ten moment, gdy pociągnę pana do odpowiedzialności, inspektorze Diba. Daję panu i pańskiemu wręcz ociekającemu lojalnością partnerowi polecenie jak najszybszego i jak najwłaściwszego rozwiązania tej sprawy. Mogę zwoływać jedną konferencję prasową za drugą, mogę podawać kolejne dodatkowe okoliczności, które w pewien sposób ograniczą ogólnokrajowe szyderstwa pod adresem pańskiego telewizyjnego debiutu, ale w ostatecznym rozrachunku to jednak wy, panowie, będziecie mogli za jednym zamachem zamknąć wszystkim usta, przyprowadzając tutaj rzeczywistego sprawcę. I to jak najszybciej, jeśli o mnie chodzi.

W jednym błysku myśli Marouan zobaczył, że kat obrał zupełnie inną taktykę. Zrezygnował ze ścięcia go osobiście, tylko przekazał topór żonie Marouana. A ona z miejsca go użyje w ataku hysterii, kiedy jej powie, że tegoroczne wakacje trzeba odłożyć na czas nieokreślony.

Zupełnie jakby Tomaso czytał w jego myślach, zadał mu pytanie:

– Oczywiście ogromnie mnie ciekawi, jak daleko sięga poczucie pańskiej odpowiedzialności, inspektorze Diba. Pytam w kontekście pańskiego corocznego powrotu do rodzinnego kraju.

– Moje poczucie odpowiedzialności sięga na tyle daleko, że przez najbliższe tygodnie całkowicie poświęcę się tej sprawie, szefie – zapewnił Marouan, czując się jak ktoś, kto spada z wielkiej wysokości bez spadochronu.

– W takim razie sprawa załatwiona, panowie – stwierdził Tomaso jakby mimochodem. – Czy są jeszcze jakieś sprawy, o których powinienem wiedzieć? Jakież okoliczności sprawy, które mogą coś utrudnić?

Marouan zobaczył, jak Calvino zagryza wargi. Niech to szlag, ten pseudoItalianiec najwyraźniej wie więcej, niż ma ochotę powiedzieć.

– Nic takiego, z czym nie dalibyśmy sobie rady, szefie – zapewnił Calvino.

I zanim się zorientowali, byli już z powrotem na korytarzu.

– *Merci* – powiedział Marouan do Calvina bezbarwnym tonem. – Ale to nie było potrzebne.

– Co takiego?

– No, twoja pomoc.

– Od tego jesteśmy partnerami – uciął Calvino.

– Co jeszcze wiesz, czego ja nie wiem? – spytał Marouan.

– Że idziemy z wizytą do kobiety żurawia, która bezlitośnie sponiewierała swoją przeciwniczkę.

- Daj sobie spokój z takimi żartami. Co takiego zrobimy?
- Mówię śmiertelnie poważnie. Idziemy do niej i dostaniemy kolczyk pobrudzony krwią.
- Krwią? Czyją krwią?
- Tego potrąconego przez samochód chłopca.

Mężczyzna, który zajął miejsce naprzeciwko Farah, to był ten sam człowiek, którego zeszłej nocy przy płonącym samochodzie widziała, jak naskakuje na każdego, kto mu się nawinął pod rękę. Ten sam człowiek, który dziś rano w szpitalu usiłował jej zaimponować swoim prowincjonalnym zachowaniem. Ten sam człowiek wreszcie, którego widziała dzisiaj na YouTube, jak wchodzi w kadr, żeby w ramach kompletnie nieprzemyślanej akcji aresztować prezentera telewizyjnego, jakby był nie wiadomo jakiego kalibru kryminalistą.

Ten sam człowiek, ale jakiś inny.

Zupełnie jakby Diba gdzieś po drodze rozpadł się na kawałki, w pośpiechu został byle jak posklejany z powrotem, a teraz próbował udawać, że nic się nie stało. Przypatrywała mu się uważnie w poszukiwaniu rys i pęknięć. Znalazła je w jego oczach. O ile mowa jego ciała była opanowana i miała wyrażać stanowczość, to oczy błagały o litość.

– Rozumiem, że coś pani dla nas ma – zaczął Diba.

Farah zauważyła, że także jego głos brzmi jakoś inaczej. Niemal mechanicznie. Zupełnie jakby był zdalnie sterowany.

Miała nadzieję, że to nie ten inspektor będzie siedział naprzeciwko niej.

Edward z kolei wydawał się bardzo zadowolony ze swojego rozmówcy. Może nawet za bardzo. Człowiek, z którym umawiała się, że to on zrealizuje ustaloną strategię rozmowy, człowiek, któremu rzadko kto potrafił zaimponować, okazał się całkowicie bezbronny wobec męskiego uroku Calvina.

Było dla niej rozbijające widzieć Eda tak zauroczonego samczą naturalnością młodego inspektora. Jak stoją obaj przy wielkim oknie i gawędzą od niechcienia, każdy z uśmiechem samozadowolenia na twarzy. Zupełnie jakby znali się od lat. Farah doskonale to знаła. Regularnie stykała się z tym u mężczyzn na siłowni, w czasie przerw w ćwiczeniach. Rozleniwione, nieśpieszne, ale jednak przesycone męskim egoizmem spotkania. Poklepywanie się po ramieniu, uśmiechy. Rozmowy o niczym. Kontrolowane zachowania jak na rejsie luksusowym wycieczkowcem. Farah zastanawiała się, czy ta siła przyciągania między tymi dwoma była obustronna.

Minęło już pięć minut. Zaczęły się negocjacje.

– Podobno zaszło jakieś nieporozumienie, inspektorze Diba – zagaił Edward, siadając za biurkiem.

Farah zobaczyła, jak Diba nerwowo odwraca się w stronę jej szefa, podczas gdy Calvino ze stoickim spokojem nadal patrzył przez swoje okulary od Gucciego na rzekę.

– Zakładam, że żadna z obecnych tutaj osób nie znajduje się w kręgu podejrzanych – ciągnął Ed.

– Czyżby to była nieprawda? – ożywił się w widoczny sposób Diba.

– *C'est le ton qui fait la musique* – rzucił z uśmiechem Edward.

– Nie przyszedłem tu po to, żeby poznawać muzykę czy szukać przyjaźni – odparł Diba. –

Chciałbym odzyskać dowód w sprawie.

– I właśnie na tym polega nieporozumienie – powiedział energicznie Edward. – Powiada pan, że chce pan coś odzyskać. Czyżby kiedykolwiek miał pan to coś?

– Nie przyszedłem tu również po to, żeby bawić się w słowne kalambury, panie Vallent. To, co jest w tej chwili u pana, ze swojej istoty jest własnością policji i stanowi nieodzowny element prowadzonego przez nas śledztwa.

– To coś stanowi też jednocześnie element dziennikarskiego projektu, zainicjowanego przez jednego z moich ludzi.

– Tak, i polegającego na węszeniu po obszarze, na którym chwilowo nie przeprowadzono jeszcze czynności zabezpieczania śladów. Jeśli okaże się, że zaszkodziło to w jakiś sposób trwającym czynnościom policyjnym, wówczas...

Lecz Diba nie zdołał dokończyć zdania. Calvino, który najwyraźniej już się napatrzył przez okno i odzyskał zdolność mówienia, bezceremonialnie przerwał wywody partnera.

– Bardzo by nam zależało, abyście przekazali nam państwo brakujący dowód w sprawie, informując nas również o dokładnym miejscu jego znalezienia.

Farah spojrzała na niego rozbawiona.

– Mamy też nadzieję, panno Hafiz – dokończył Diba, zupełnie jakby wcześniej przeciwiczył to z Calvino – że zrezygnuje pani ze swoich śledczych ambicji, pozostawiając sprawę nam, i nie będzie nam już pani wchodziła w drogę na tych swoich pięknych nogach.

Calvino znieruchomiał.

– Nieporozumienie numer dwa – odezwał się Edward. – I naprawdę nie chodzi tu o nogi Hafiz, tylko o oczywisty fakt, że ze względu na obopólny interes żadna z obecnych tu stron nie musi wchodzić sobie nawzajem w drogę. Dzięki swojej spostrzegawczości Hafiz znalazła coś, co jest istotne dla panów śledztwa. Ponieważ wyraża gotowość podzielenia się z panami informacją, którą dysponuje, wydaje mi się uzasadnione, aby również panowie zechcieli się podzielić z nią swoimi spostrzeżeniami.

– Że co, proszę? – Marouan wyglądał tak, jakby ktoś ciężko go obraził.

– Każe z nas ma w tym własny interes – uściślił Edward. – Pytanie tylko, czy jesteśmy gotowi zgrać te interesy ze sobą.

– Jednym słowem: nic za darmo? – podsumował Calvino.

– Jeśli koniecznie chce pan to tak strywializować, to tak.

– My dostaniemy od was kolczyk, a co w zamian wy chcecie dostać od nas?

– Na początek nieskończenie większy kredyt zaufania, niż chce nam przyznać pański partner – powiedział Edward ze swoim najbardziej szarmanckim uśmiechem.

– Ja osobiście nie miałbym najmniejszych obiekcji, jeśli chodzi o przyznanie państwu kredytu – zaczął Calvino, spoglądając przez swoje przeciwsłoneczne okulary na Farah. Sposób, w jaki na nią patrzył, natychmiast pokazał, że jeśli on miałby być homoseksualistą, to papież musiałby być protestantem. – Jako inspektor policji natomiast widzę już pewien problem. W trakcie postępowania z zasady nie współpracujemy z prasą. Ktoś z pańskim doświadczeniem powinien coś takiego wiedzieć, panie Vallent.

Uśmiech Edwarda stał się lekko wymuszony. Zaczął się kręcić w fotelu, jakby wbiła mu się w siedzenie pinezka. Także Farah usłyszała cyniczny ton w uwadze Calvina. Jej zdaniem rozmowa zdecydowanie przyjęły zły obrót.

– Z doświadczenia wiem – zareagował z pewnym wahaniem Edward – że zasady, nawet jeśli na początku wydają się niewzruszone, zawsze można skorygować, jeśli w grę wchodzi

dodatkowe interesy.

– Interesy są tutaj oczywiste, panie Vallent – wtrącił się Diba z przesadną stanowczością, zupełnie jak polityk w okresie kampanii wyborczej. – Z naszymi zasadami się nie igra.

Farah spojrzała na niego z politowaniem. Jeszcze trochę się tak ponadyma i wysiądzie mu serce. Diba jednak najwyraźniej nic sobie nie robił z jej przypuszczeń.

– Doskonale rozumiem, że jako dziennikarka chce pani poświęcić trochę uwagi sprawie tego chłopca – zaczął Diba podniesionym głosem. – Ale czy zdaje pani sobie sprawę, jak bardzo może pani zaszkodzić? Czy jest pani gotowa wziąć na siebie odpowiedzialność za bezpieczeństwo tego chłopca, dla zwykłej dziennikarskiej ambicji publikując swój reportaż pod sensacyjnym nagłówkiem w gazecie o ogólnokrajowym zasięgu?

– Te pańskie tanie uprzedzenia są dla mnie równie obraźliwe jak to, że bez przerwy gapi się pan na mój biust – stwierdziła Farah chłodno. – Nie mówiąc już o tej uwadze na temat moich nóg. – Kątem oka dostrzegła uśmiech, który pojawił się na twarzy Calvina. – To, co chce wydobyć na światło dzienne – ciągnęła – to informacja, kto odpowiada za stan, w którym znaleziono chłopca i kto ponosi winę za przemykanie do naszego kraju takich dzieci. To absurdalne, żebyśmy pan i ja mieli mieć tutaj różne cele. A tak wynika z tego, co pan mówi.

Żadnej litości dla człowieka, który z prostactwa chce uczynić cnotę. Żeby nawet nie wiadomo jakim był inspektorem.

– A poza tym, jak pan śmie oceniać w ten sposób innych, skoro dziś przed południem sam narobił pan takiego huku tą swoją pokazową akcją w studiu telewizji IRIS?

Uznała, że to bardzo ładne słowo kończące.

Inspektor Diba zdębiał i poszarzał na twarzy. Joshua Calvino stanął za fotelem, na którym siedział jego partner, jakby dosłownie chciał osłaniać jego tyły. Albo może złapać go na czas, gdyby miał dostać kolejnego ataku wściekłości.

– Jak pan niedawno słusznie zauważył, panie Vallent – zaczął Calvino pojednawczym tonem – żadna z obecnych tu osób nie znajduje się w kręgu podejrzanych. Proponuję, abyśmy zakończyli tę dyskusję i aby państwo przekazali nam kolczyk.

– Czy pańskim zdaniem istnieją powody przypuszczać, że ten chłopiec został tu, w Holandii, użyty jako seksualna zabawka? – spytał chłodno Edward.

– Ciekawa hipoteza. Skąd to przypuszczenie?

– Z powodu stroju, jaki miał na sobie chłopiec, i makijażu.

– Chłopiec istotnie miał na sobie dość niecodzienny strój. Ale nie sądzi pan, że gdyby damski strój i ozdoby miały być wystarczającym dowodem na uprawianie prostytutki, to więzienia bardzo szybko zaczęłyby pękać w szwach?

– Co pan chce przez to powiedzieć? – spytała Farah.

Calvino odsunął swoje okulary od Gucciego na czoło i z uśmiechem odwrócił się w jej stronę.

– Anglicy mają na to bardzo ładne wyrażenie, panno Hafiz: nie oceniaj książki po jej okładce.

– Panowie. – Edward podniósł się z miejsca i trzymając w palcach hermetycznie zamkniętą plastikową torebkę z kolczykiem w środku, ruszał nią przed nosem Calvina wahadłowym ruchem jak staroświecki hipnotyzer. – Było mi bardzo miło. Rozumiem, że nie posuniemy się już ani o krok do przodu i że o ewentualnej współpracy w tej kwestii możemy zapomnieć.

– To pierwszy i zapewne ostatni raz, kiedy jestem skłonny przyznać panu rację. – Głos Marouana Diby był zduszony, jak ściśnięta w skale lava. Inspektor podniósł się sztywno ze skózanego fotela.

– Mam nadzieję, że panowie rozumieją, że cała ta afera z chłopcem ma dla nas wartość newsa.

Niezależnie zatem od tego, czy się to panom podoba, czy też nie, planujemy wgryźć się w sprawę – zakończył Edward i podał rękę Dibi.

– Żyjemy w kraju, w którym panuje wolność prasy – odparł Diba, ściskając dłoń Edwarda swoją spoconą dłonią.

– I Bogu dzięki – przytaknął Edward – bo gdyby to od pana zależało, to pewnie byłbym już bezrobotny.

**Odpowiedzialność** za niepowodzenie rokowań Edward całkowicie zrzucił na gości.

– Mieliśmy, cholera, do czynienia z prymitywnym miłośnikiem siłowych rozwiązań i oślisłym dyplomatą. I weź się tu z takimi zadawaj. Jeszcze będziesz miała z nimi kłopoty, Hafiz. Podjęłaś już decyzję co do Paula?

– Nie – mruknęła Farah.

Edward wczuł się nagle w rolę Freuda albo Junga, albo obu naraz.

– Masz mi coś do powiedzenia? No, już Hafiz! Śmiało! Wyrzuć to z siebie.

– Daj mi spokój, Ed. Widziałam dzisiaj w nocy dwa zwęglone ciała, towarzyszyłam ciężko rannemu chłopcu wiezionemu na stół operacyjny, ledwie co spałam, a ty się czepiasz. Czego ty ode mnie chcesz?

– Żebyś poszła do domu.

– Właśnie taki mam plan. To cześć, pogadamy później.

Kiedy szła korytarzem, zadzwoniła Daniëlle.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale czy mogłabyś tu przyjechać? To znaczy, do szpitala?

Serce Farah z miejsca przyśpieszyło.

– Coś nie tak z chłopcem?

– Nie, ale będziemy go wybudzać. Ktoś musi mu powiedzieć, co się z nim stało i gdzie jest. Zgodzisz się?

Farah nie wahała się ani przez chwilę. Dwadzieścia minut później wysiadała z windy na oddziale intensywnej terapii, gdzie już czekała na nią Daniëlle. Od razu przeprowadziła Farah przez służę do sali, gdzie leżał chłopiec.

– Powiem ci, co teraz będziemy robić – powiedziała Daniëlle, kiedy już tam weszły.

Farah zatrzymała się. Zobaczyła małego, śpiącego chłopca w wielkim łóżku skąpanym w sztucznym świetle. Jego ciało było oplątane kłębowiskiem przewodów, które łączyły się ze skomplikowaną aparaturą medyczną i monitorami. Widziała rurki, w jego nosie i ustach, i uświadomiła sobie, jak bardzo jest kruchy.

– Utrzymujemy go w śpiączce ze względu na ból. – Głos Daniëlle był przytłumiony. – Teraz jednak musimy go wybudzić, żeby neurolog mógł zbadać funkcjonowanie jego mózgu. Na pewno nie będzie wiedział, co się z nim stało, a nie będzie mógł nic powiedzieć z powodu intubacji. Istnieje duża szansa, że wpadnie w panikę. Możesz pomóc temu zapobiec.

– W jaki sposób? – spytała Farah.

– Mówiąc mu uspokajającym tonem, co się z nim stało i dlaczego jest podłączony do tych wszystkich aparatów. I wytłumacz mu, dlaczego na razie nie będzie mógł mówić.

– No dobrze. A kiedy?

– Jak tylko przyjdzie neurolog.

Daniëlle zamieniła parę słów z pielęgniarką, która weszła do sali, i przedstawiła ją Farah.

– To jest Mariska, ona zajmuje się chłopcem.



- Fajnie, że zechciałaś nam pomóc – powiedziała Mariska, podając jej rękę na powitanie.
- Z wielką przyjemnością – zapewniła Farah. – Możesz mi objaśnić, do czego to służy?

Farah wskazała na rurki, które przechodząc przez specjalne urządzenie, prowadziły do tętnicy szyjnej chłopca.

– Podajemy przez nie środki, które mogłyby być obciążające dla zwykłych naczyń krwionośnych – powiedziała Mariska. – Podajemy mu propofol, to taki środek nasenny, i fentanyl, żeby nie czuł bólu.

W tym momencie zjawiała się pani neurolog. Była wysoka, nosiła okulary i sztywno wyciągnęła do Farah na powitanie chłodną dłoń.

– To co, zaczynamy? – spytała.

– Na początek przestaniemy podawać propofol – powiedziała Mariska do Farah, przywiązując rękę chłopca do ramy łóżka. – Skutek będzie taki, że bardzo szybko odzyska przytomność, a pierwsze, co spróbuje zrobić, to wyrwać sobie rurkę z gardła. Kiedy mu już powiesz, co się z nim dzieje, rozwiążę go. To tylko tak na wszelki wypadek.

Farah zauważyła, że zaczyna się denerwować. Wytarła nadgarstki o spodnie i wzięła kilka głębokich wdechów.

– Przerwywam podawanie propofolu – zakomunikowała Mariska neurolożce.

Wszystkie cztery stały teraz wokół łóżka, czekając na moment, kiedy chłopiec otworzy oczy. Ale na razie nic się nie działo. Żadnych odruchów. Chłopiec nadal był w śpiączce.

Rzeczowy głos neurolożki złagodził ich napięcie.

– To się zdarza, ale jeśli w ciągu najbliższej godziny nie będzie reakcji, trzeba będzie zrobić tomografię i EKG. – Spojrzała na zegarek. – Proszę mnie powiadomić, jeśli wcześniej coś się zacznie dziać – powiedziała i wyszła.

Farah widziała, jak pierś chłopca unosi się i opuszcza z matematyczną regularnością. Słyszała złowrogi dźwięk mechanicznego miecha, włączającego powietrze do płuc chłopca. Mimowolnie poszukała jego dłoni. Była zimna.

– Co się mogło stać? – spytała.

– Ma ranę głowy – wyjaśniła Daniëlle. – W momencie potrącenia uderzył głową w przednią szybę. Mogła powstać opuchlizna, która uciska mózg i dlatego reaguje z opóźnieniem.

– Czy on przeżyje?

– Na tym etapie nic nie możemy powiedzieć na pewno.

Farah widziała, że Daniëlle stara się zachować profesjonalną neutralność, ale w jej słowach wyraźnie słyszała emocjonalny ton.

– Zastanawiałam się nad tym, co mi powiedziałaś dzisiaj rano – zaczęła Daniëlle, patrząc na chłopca. – Przez ostatnie lata pracowałam wyłącznie na obszarach objętych wojną. Kiedy wnosili mi do namiotu dzieci z połamanymi kończynami, matki i ojców z ranami postrzałowymi, żołnierzy ze śmiertelnymi ranami, to w ogóle nie zastanawiałam się, kto z kim walczy, dlaczego tak jest i jaką to niesie ze sobą niesprawiedliwość. Po prostu robiłam swoje. Po to tam byłam. Zaczynałam kroić, otwierać klatki piersiowe, amputować nogi. Starłam się ratować życie, bo na tym polega moja praca.

Przesunęła dłonią po czole chłopca. Farah milczała.

– Świat mało wie o tych wojnach – podjęła znowu Daniëlle. – A jak się siedzi w samym środku, to człowiek też się nad tym nie zastanawia. – Spojrzała przenikliwie na Farah. – Powiedziałaś dzisiaj rano: „Ja nawet jeszcze tak naprawdę nie zaczęłam”. Co miałaś na myśli?

– Śledztwo w sprawie tego, co się stało – odpowiedziała Farah. – To bardzo zawiślana

sprawa.

– Chciałabym, żeby możliwie dużo ludzi dowiedziało się w końcu, co dzieje się z tymi dziećmi. Możesz odegrać w tym kluczową rolę. Teraz sprawa jest świeża – powiedziała Daniëlle. – Wszyscy się na tym skupiają. Od momentu, kiedy aresztowano tę telewizyjną parę, to już na pewno. Jutro może się wydarzyć coś innego i zainteresowanie opadnie.

Zeszłej nocy Farah miała przed sobą zdecydowaną w działaniach lekarkę. Niewzruszony sposób, w jaki Daniëlle przejęła inicjatywę, wzbudził jej szacunek. Kobieta, którą widziała teraz, kierowała się jakimiś osobistymi motywami, które chciała wykorzystać do własnych celów. Farah pokręciła głową.

– Obawiam się, że osiągnęłabym coś zupełnie przeciwnego, gdybym napisała teraz o tym artykuł – powiedziała. – Zbyt często musiałabym używać słowa „przypuszczalnie”, a tego słowa nienawidzę. Muszę mieć niepodważalne dowody, że chłopiec został przemycony do naszego kraju i że na pewno był to rytuał *bacha bazi*. Dopóki nie zdobędę takich dowodów, nie napiszę o tym ani słowa. Przykro mi. Musimy poczekać.

Obie spojrzały na chłopca, który wciąż nie okazywał żadnej reakcji.

– Jak długo?

Farah słyszała rozczarowanie w jej głosie.

– Pewnie dłużej, niżbyś chciała. – Pogłaskała chłopca po policzku. – Mam nadzieję, że to nie był najważniejszy powód, dla którego mnie tu ściągnęłaś.

Z podziwu dla Daniëlle z zeszłej nocy nie chciała jej urazić, ale też nie zamierzała jej oszczędzać. – Problem polega na tym, że nie lubię czuć się manipulowana.

– To dość poważny zarzut – powiedziała Daniëlle chłodno. – Wydawało mi się, że stoimy po tej samej stronie.

– Bo stoimy. Ja zbadam tę sprawę, zapewniam cię. Ale to może potrwać nawet miesiące. Ten chłopiec to przypuszczalnie tylko wierzchołek góry lodowej.

– Rozumiem. – W głosie Daniëlle słychać było w tej chwili otwartą wrogość. – Ten chłopiec interesuje cię tylko dlatego, że może cię do czegoś doprowadzić. Nic więcej.

– Ale też nic mniej – odparła Farah urażona.

– Powinnam była wiedzieć. Ale ja zawsze jestem taka naiwna. Przepraszam, że niepotrzebnie cię tutaj ściągnęłam.

– Nie niepotrzebnie. Chcę ci pomóc, w czym tylko mogę, tyle że nie za pomocą tego rodzaju reklamy.

– Reklamy? – powtórzyła Danielle cynicznie, ale w tym momencie przez ciało chłopca przebiegło lekkie drzenie. Jego powieki zadrgały i otworzyły się. Daniëlle natychmiast przywołała Mariskę.

Chłopiec patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. Farah pochyliła się nad nim, żeby znaleźć się w jego polu widzenia. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, nagle wszystko wróciło. To, że ją poznał, jego lęk, jego samotność.

– *Shkr zenda mandi* – powiedziała. – Przypomniałeś sobie. Pamiętasz, kim jestem? – Poczula lekki ruch w swojej dłoni. – Wszystko dobrze poszło. Oni tak robią, żebyś się lepiej poczuł.

Patrzyła na niego w takim napięciu, że nawet nie zauważyła, kiedy do sali weszła neurolożka.

Nagle chłopiec zaczął dziko przewracać oczami, jego kończyny zaczęły wykonywać nieskoordynowane ruchy.

– Nogi! – krzyknęła Daniëlle do Mariski, gdy chłopiec zaczął wierzgać. – Przywiąż mu nogi!

Farah zobaczyła, że chłopiec w panice rozgląda się po pomieszczeniu i spróbowała ponownie

nawiązać z nim kontakt wzrokowy.

– *Ma inja hastom, peshet astom.* Jestem tutaj, jestem przy tobie. Patrz na mnie.

– Tętno! – usłyszała głos Daniëlle i Mariska podała jej liczbę.

– Spokojnie. Zostałeś potrącony przez samochód. Masz ciężkie obrażenia. Stąd te wszystkie rurki w twoim ciele. Także w ustach. To wszystko po to, żebyś się lepiej poczuł. Rozumiesz? Słyszysz mnie?

Chłopiec nie przestawał się miotać w panice, cały czas przewracając oczami. Farah czuła, że za chwilę wybuchnie płaczem, bo wciąż nie udawało mu się do niego dotrzeć.

– Jeśli mnie słyszysz, jeśli rozumiesz, co do ciebie mówię, kiwnij głową. Albo uszczypnij mnie w rękę. *Khaesh mekonam.* Błagam...

Zamknęła palce wokół jego drobniutkiej dłoni i nagle poczuła, jak odwzajemnia uścisk, a jego oczy nagle zaczynają na nią patrzeć.

– Opowiedz mi wszystko jeszcze raz – podpowiedziała Daniëlle. – Od samego początku.

– Jesteś tu bezpieczny. Jestem przy tobie – powiedziała Farah. Chłopiec nie przestawał na nią patrzeć. – Byłeś w lesie. Nadjechał samochód. Potrącił cię. Masz dużo obrażeń, na nogach i na brzuchu. Byłeś operowany. Żeby wszystko, co było w tobie połamane, ładnie się zrosło, zrobili takie różne podpórki w twoim ciele. Takie z metalu. Za jakiś czas się je wyjmie. I wtedy będziesz mógł znowu chodzić.

Chłopiec skinął głową. Jego spojrzenie było już trochę mniej przerażone.

– Te wszystkie wężyki i rurki, które dochodzą do twojego ciała, ta w buzi też, wszystkie są po to, żebyś wrócił do zdrowia. Dlatego nie wolno ci ich wyjmować. Kiedy rozwiążemy ci ręce, nie wolno ci ich ruszać. Obiecujesz?

Popatrzył na nią z wielkim smutkiem i znowu kiwnął głową. Otarła łzy, które znowu pociekły mu po policzkach.

– *Sha bas.* Jesteś bardzo dzielny – szepnęła Farah i cmoknęła go w policzek.

– Rozwiąż mu ręce – powiedziała do Mariski. – I nogi też.

W milczeniu przyglądały się, jak to robi. Wszystkie były gotowe natychmiast zareagować, gdyby chłopiec odruchowo próbował wyrwać rurki, ale on zachował spokój.

– Masz ładne oczy – powiedziała Farah. Uśmiechała się, ale łzy płynęły także po jej po policzkach. Usłyszała głos Daniëlle:

– Jak powiedzieć mu „cześć”?

– *Salam* – poinstruowała ją Farah.

Chłopiec spojrział na nie pytająco.

– To ona cię znalazła – powiedziała Farah. – Przywiozła cię tutaj i zoperowała. Uratowała ci życie. Nazywa się Daniëlle. A ja jestem Farah. Nie mogę być przy tobie przez cały czas, bo nie znam się za bardzo na tych wszystkich urządzeniach. – Odwróciła się i poprosiła Mariskę, żeby zechciała podejść. – To jest Mariska. Będzie tu z tobą przez cały czas.

Mariska uśmiechnęła się uspokajająco do chłopca i poprosiła Farah, żeby mu wyjaśniła, że nic nie powinno go boleć, a jeśli mimo wszystko poczuje ból, to powinien nacisnąć guzik.

Kiedy Farah mu to wszystko mówiła, czuła jak uścisk jego dłoni powoli słabnie. Oczy mu się zamykały i znowu otwierały.

Daniëlle położyła jej dłoń na ramieniu.

– Czas na badania.

Z mostu Blauwbrug Marouan spoglądał na Amstelę w stronę Magere Brug, którego drewnianą konstrukcję obramowywały małe światełka. Pięć białych łabędzi dostojnie ustąpiło miejsca tramwajowi wodnemu, który niemal bezgłośnie zbliżał się po powierzchni ciemnej wody.

Widział stąd wysokie i wąskie sylwety kamienic nad kanałem i staroświecki gmach teatru Carré. Po zachodzie słońca ta część Amsterdamu na chwilę odzyskiwała splendor dawnego portowego miasta, którym niegdyś była. Sprawiało to takie wrażenie, jakby przy blasku żarówek i starych latarni ulicznych wkraczało się w Złoty Wiek.

W tym samym miejscu na środku mostu stał też wtedy, tamtego pięknego wiosennego wieczoru dziewiętnaście lat temu. Razem z Aishą, swoją świeżo upieczoną żoną. Marzył o tym, aby Amsterdam stał się ich nową przystanią i chciał jej pokazać jego serce. W nadziei, że w ten sposób dotrze do jej serca.

Wskazał na drewniany most ze światełkami.

– Tamtędy raz do roku, w rocznicę zakończenia wojny, przechodzi królowa – mówił szeptem, jakby opowiadał jej bajkę. – A wtedy gra dla niej wielka orkiestra ustawiona na tratwie unoszącej się na wodzie przed budynkiem teatru. I każdy może podpłynąć tam swoją łódką, żeby posłuchać.

Ona milczała i patrzyła na niego, jakby w tym momencie również dla niej grała orkiestra.

Podeszła bardzo blisko niego, a on wiedział, że to, co czuje, to pewnie musi być miłość. A miłość potrafi zdziałać cuda. Przełamywać bariery. Budować mosty. Usuwać granice.

Od dziewiętnastu lat przychodził w to miejsce. Ten most był dla niego miejscem, w którym próbował walczyć z przemijaniem.

Kiedy tramwaj wodny przepływał pod mostem, pomyślał o porannym spotkaniu z tamtą dziennikarką i jej szefem. Była to pierwsza jego próba sił po rozmowie z naczelnikiem Tomasoą i chciał pokazać Calvinowi, że wart jest jego lojalności. Ale znowu wszystko spałał. Niepotrzebnie dał się sprowokować kobiecie, która miała takie piersi, że jako mężczyzna musiał na nie patrzeć. To wszystko ze zmęczenia, próbował się przekonywać. Wiedział jednak, że nie w tym rzecz. Po prostu szukał jakiegoś ostatecznego pocieszenia. I wiedział, że tam mógłby je znaleźć. W miejscu, do którego wędrowały jego oczy.

Calvino klepnął go po ramieniu.

– Idź do domu, weź prysznic, obgadaj wszystko z żoną. I połóż się spać!

Aisha była zajęta pakowaniem, kiedy wrócił. Wszystko było wysprzątane, cały mieszkanie pachniało środkiem dezynfekującym. Po wzięciu prysznica wszedł w slipach do kuchni, żeby jej wszystko powiedzieć. W zasadzie jednak nie trzeba było nawet żadnych słów. Wiedziała, co chce jej powiedzieć, nawet tego nie słysząc. Przez ostatnie lata dawno już ułożyła sobie własną opowieść, której on nie chciał nawet znać. To samo małżeństwo. Dwie opowieści. I niezależnie od tego, jak przeciwstawne były to opowieści, miały jedną cechę wspólną: wzajemną rezygnację. Świadomość, że wszystko to nie może mieć innego zakończenia, jak właśnie siedzenie

naprzeciwko siebie w kuchni pachnącej środkiem dezynfekującym.

Marouan patrzył na swoją żonę siedzącą po drugiej stronie stołu. Miała umykające na boki spojrzenie osoby nawykłej do codziennego rezygnowania z własnych emocji, własnych myśli, a nawet z siebie samej. Myślenie o przyszłości, to było dla niej myślenie o następnym dniu, pełnym tych samych rytuałów i powtarzającego się ciągu poświęcenia.

On o tym wiedział i ona o tym wiedziała. Kiedy jutro późno w południe, zmęczona lotem, weźmie w ramiona rodzinę, wszystkie słowa i emocje, które tłumiała w sobie przez cały rok, wyleją się z niej niepowstrzymanym, trwającym trzy tygodnie potokiem, Będzie to długa litania o rzeczach dobrych i złych.

Po krótkim monologu przy kuchennym stole – bardzo mi przykro, w pracy coś poszło nie tak, nie wierz w to, co mówią ludzie, pokazali to w telewizji, ty pojedziesz z dziećmi pierwsza, ja dołączę później – chwiejnym krokiem poszedł do łóżka. Potem nastąpił krótki, nieskończenie głęboki sen. Zapach kolacji, który go obudził. Przez moment wydawało mu się, że wszystko, co wydarzyło się w tamtą noc i dzień, tak naprawdę nie miało miejsca. Zaraz jednak zobaczył po minach Jamili i Chahida siedzących przy kuchennym stole, że nie ma racji.

– Słyszeliście już od mamy?

Dzieci skinęły głowami. Wiedział, że też widziały go w telewizji i że się wstydzą. Widziały, że on też się wstydzi. Dlatego żadne z nich nie czuło potrzeby mówienia czegokolwiek. Jedli w milczeniu. A potem on powiedział, że musi wracać do pracy.

Zaparkował corollę pod domem towarowym Bijenkorf. Przeszedł przez wyłożony kocimi łbami plac przed kościołem Oude Kerk i z bezpiecznej odległości zaczął na nią patrzeć. Jak tam stoi. W swojej czerwonej bieliźnie. Za szklanymi drzwiami. Odkrył ją parę tygodni temu. Przypominała Aishę z dawnych czasów. Poznała go, pomachała mu ręką. Poszedł dalej.

A teraz stał bez ruchu na środku mostu Blauwbrug. Dziewiętnaście lat temu w tym samym miejscu podjął decyzję, że już zawsze będzie ochraniał swoją młodą, milczącą żonę i że da jej wszystko, co będzie mógł: swoje pieniądze, swoje szczęście i swoje wsparcie. Zrobił, co w jego mocy. Dał jej dwójkę dzieci. Kupił inny dom w lepszej okolicy. Pozwolił jej go urządzić, tak jak chciała. Kupił meble, które wybrała. Finansował coroczne wakacje w Maroku. Płacił jej comiesięczne rachunki telefoniczne. Odkładał na przyszłe studia Jamili i Chahida. Zrobił wszystko, by spełnić jeden cel: zapewnić jej szczęście w tym życiu.

Ruszył dalej mostem w stronę Rembrandtplein. Kiedy wszedł do kasyna Golden Game i wymienił gotówkę na żetony, poszedł prosto do wielkiego, okrągłego stołu o blacie pokrytym zielonym filcem, przy którym zobaczył znajome twarze i przy którym grało się w jego ulubione 8 Game, Blind Man's Bluff oraz Ace to Five Draw.

Dziewiętnaście lat temu. Tyle już przegrał, że chyba nie miał już nic więcej do stracenia.

Jeszcze w garażu Waterland Medisch Centrum Farah włączyła na cały regulator płytę U2. *Love's a bully pushing and showing in the belly of a woman*. Z prędkością odrzutowego myśliwca pomknęła przez Westelijka Ring do Zeeburgertunnel pod rzeką. W kierunku centrum. Dopiero przy Nieuwmarkt z całej siły wdepnęła hamulec, aby w żółtym tempie przeciskać się przez tłum. Roilo się tam od turystów i okolicznych mieszkańców, którzy przybyli na festyn.

Jeszcze długo po tym, jak znalazła miejsce do zaparkowania, siedziała w swoim porsche. Spotkanie z Daniëlle Bernson nie chciało wyjść jej z głowy. Spojrzenie, jakie rzuciła jej na pożegnanie, stanowiło dla Farah jak na razie najgorszy moment ze wszystkich doświadczeń i starć z ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Z najodleglejszych zakątków jej przeszłości wyłaniały się dawno zapomniane nazwiska i imiona. Duch minionych lat w milczeniu stanął dziś w południe obok niej. Przypomniała sobie zimną dłoń chłopca na oddziale intensywnej terapii. I oczy Paula Chapelle'a w ogrodzie motyli.

Kiedy znalazła się w swoim mieszkaniu, zwróciło jej uwagę, w jakim porządku leżą obok siebie poduszki na ciemnobrązowej ławie, jak symetrycznie ustawione są trzy pieńki, których używała jako podręcznych stolików, i w jak wyważony sposób skomponowany jest rozkład zdjęć przypiętych do korkowej tablicy. Zburzyło to jej spokój. Nastawiła dzbanek herbaty anyżowej i włożyła do odtwarzacza płytę Anoushki Shankar. Z kredensu w swojej kuchni w stylu lat pięćdziesiątych wyjęła emaliowaną miseczkę, w której zmieszała ze sobą dwie duże łyżki miodu i trzy duże łyżki jogurtu. Zabrała miseczkę ze sobą do łazienki, gdzie odkręciła kran z gorącą wodą, rozebrała się, zapaliła świeczki zapachowe i przyniosła sobie z salonu amerykańskiego „Vogue'a”, a potem wlała do wanny kilka kropel migdałowego olejku do kąpieli.

Lekko kolistymi ruchami wtarła sobie w twarz krem peelingujący z dzikiej róży, spłukała go wodą, a następnie starannie rozprowadziła po policzkach, brodzie i czole miodowo-jogurtową papkę. Kiedy zobaczyła, jak robi to jej matka, po wielu latach zaczęła powtarzać co dwa tygodnie ten drobny rytuał, traktując to jak odę do matki. Leżąc w wannie z filiżanką herbaty w dłoni, przeglądała „Vogue'a”, podczas gdy przestrzeń jej mieszkania wypełniały płaczliwe dźwięki sitaru Anoushki Shankar.

Po kwadransie zmyła gąbką maseczkę z twarzy, spłukała prysznicem całe ciało, wytarła się i posmarowała ciało lotionem.

Włożyła koronkowy stanik w kolorze kardynalskiej czerwieni i odpowiednie do niego figi i spojrzała taksująco na swoje odbicie w lustrze. Pomyślała o tym, jak pojawi się niedługo w De l'Europe i wyjęła czarny koronkowy top z długimi rękawami i czerwoną ołówkową spódnicę sięgającą nad kolana. Pod to miały pójść czarne prześwitujące rajstopy, na nogi włoży czarne czółenka na wysokim obcasie z ostrymi czubkami.

Kiedy położyła cały zestaw na łóżku, powoli zaczęły docierać do niej śmiechy i muzyka z Nieuwmarktplein. Słyszała, czuła i chłoneła radość letniego festynu, i nagle uświadomiła sobie,

że po tym wszystkim, co dzisiaj przeszła, nie ma najmniejszej ochoty epatować swoją egzotyczną elegancją potencjalnych sponsorów, żeby nakłonić ich do sypnięcia pieniędzmi. Nagrała się na pocztę głosową Davida, że na pewno nie przyjdzie, i dziesięć minut później była już na Nieuwmarkt.

Z porozstawianych wszędzie muzycznych namiotów dobiegała niepowtarzalna mieszanka salsy, jazzu i muzyki ludowej. Było tam również niewielkie, wyglądające na staroświeckie „kulinarne koło” z kubełkowymi fotelikami obitymi czerwoną skórą, obracające się tak powoli, że można było skończyć jeść swoją paellę za jednym okrążeniem.

Ciesząc się z bycia w tłumie, zatrzymała się przed pochodzącą z drugiej połowy ubiegłego wieku karuzelą z drewnianymi krzeselkami. Stała tutaj każdego roku. W ciągu tych trzech lat, od kiedy mieszkała przy tym placu, każdego dnia tygodniowego festynu w sierpniu kilka razy kręciła się na karuzeli. Za jakieś pół godziny, gdy trochę lepiej się poczuje, znowu usadowi się w jednym z tych drewnianych krzesłek i odfrunie daleko od wszystkich złych rzeczy.

Weszła do staroświeckiego okrągłego namiotu, mającego w ścianach kolorowe witraże. W środku panował duszny upał, jaki zazwyczaj spotyka się w tropikalnej dżungli. Rozbawieni mieszkańcy okolicznych domów i zdumieni turyści zagraniczni tłoczyli się, słuchając duetu dwóch platynowych blondynek, które w strojach z lat sześćdziesiątych w fenomenalny sposób reanimowały rzewne holenderskie szlagiery o tragicznych losach dziewcząt podejrzanego autoramentu lub niskiego pochodzenia, albo w kombinacji jednego z drugim, co nieuchronnie miało swój przedwczesny koniec. Farah nie знаła prawie żadnego refrenu, ale po trzecim piwie ochoczo nuciła razem z innymi, aż w pewnym momencie postrzegła w rozkołysanej masie Joshuę Calvina.

Przecisnęła się przez spocony tłum, aż znalazła się tuż przed nim, i z udawanym zdumieniem spróbowała przekrzyczeć panujący hałas.

– Ty tutaj?

– Mieszkam niedaleko.

– Nie może być!

– No ale to prawda! A gdzie ty mieszkasz?

Wyprowadziła go z namiotu i pokazała piętro nad Café Del Mondo.

– Zawsze znajdzie się ktoś, kto ma lepiej.

Zamówili po butelce meksykańskiego piwa i hiszpańskie tapas w wielkiej ciężarówce marki Mercedes, na której czerwonymi literami było napisane CANTINA.

– Nawet pan sobie nie zdaje sprawy, jaką propozycję pan dzisiaj odrzucił, panie inspektorze – powiedziała ironicznie, kiedy usiedli.

– Wiem aż za dobrze. – Joshua wycisnął połówkę cytryny do swojej szklanki piwa. – Niecodziennie się zdarza spotkać kogoś, kto znajduje za ciebie zgubiony kolczyk.

– Nie wydaje mi się, żebym to ja stanowiła problem – stwierdziła Farah między dwoma łykami. – Trzeba go raczej szukać w osobie twojego szanownego kolegi. Wiesz, z czym on mi się kojarzy, kiedy o nim pomyślę?

– No?

– Z Fatmanem.

– A co to takiego?

– Tak się nazywała bomba atomowa zrzucona na Nagasaki.

Joshua pokręcił głową z uśmiechem.

– To mój partner – stwierdził po prostu.

– Czyżby? – spytała arogancko, żując nadziewaną oliwkę. – Twój partner. To znaczy, że jesteś już zajęty. Szkoda.

Popatrzył na nią w taki sam sposób jak wtedy w lesie, kiedy pomagał jej wstać. Przypomniała sobie mocny uścisk jego dłoni i jej serce przyspieszyło.

– Teraz już wiem, co myślisz o moim partnerze – powiedział z kpiącym uśmiechem – ale chętnie bym się dowiedział, co myślisz o mnie?

– Nie umiem powiedzieć, bo siedzisz tuż przede mną.

– Okay – zgodził się Joshua. – W takim razie mamy dwie możliwości. Albo zniknę teraz jak duch, a ty sobie o mnie pomyślisz i opowiesz mi o tym potem, albo zostanę tutaj, a ty opowiesz mi o tym teraz.

Po drugiej stronie placu rozbrzmiało przenikliwe dzwonenie.

– Karuzela! – krzyknęła Farah zachwycona, chwytając go za rękę. – Chodź!

Pociągnęła go za sobą i przeciskając się przez tłum, pobiegli do długiej kolejki, która ustawiła się do karuzeli. Joshua ze śmiechem pozwolił się prowadzić. Farah zawołała coś do człowieka, który dzwonił dzwonkiem, a ten pokazał jej, że musi okrążyć karuzelę, i odsunął trochę ogrodzenie, żeby mogli niezauważenie się przesliznąć i zająć miejsce na ostatnich wolnych krzeselkach.

Siedziała przyciśnięta plecami do jego pleców i odbierała to jako odwrócony uścisk. Odchylił głowę na jej ramię, tak że jego usta znalazły się tuż przy jej uchu.

– Muszę ci coś zdradzić. Nie mogę siedzieć tyłem do kierunku jazdy.

Obydwoje wybuchnęli śmiechem.

Stalowe liny skrzypnęły, kiedy karuzela powoli zaczęła się obracać. Stojący wokół ludzie machali do nich, zupełnie jakby wyruszali w jakąś daleką podróż. Z każdym obrotem karuzela poruszała się trochę szybkiej. Zorientowała się po tym, że ludzie i światła na placu coraz bardziej zlewały się ze sobą, po tym że jej włosy zaczęły powiewać w pędzie, po łzach, które zaczęły napływać jej do oczu i trudnościach z zaczerpnięciem oddechu. Ale też po dźwiękach, których strzępy zmieniały się coraz szybciej, po okrzykach widzów, które zlewały się w jeden ostry wizg przesywający powietrze.

Światło stało się dziwnie przytłumione. Farah odrunęła gdzieś w samo oko cyklonu, składające się z chaotycznych fragmentów światła i dźwięków. Potem pojawił się opar. Buchający jak z magicznej butelki, w której skrył się duch. Sztuczna mgła rozchodziła się między wirującymi krzeselkami. Miała wrażenie, jakby przemykali przez podniebne obłoki. Karuzela była już tak rozpędzona, że wszystko wokół, a więc cały plac, zgromadzeni na nim ludzie i kamienice po bokach, wyglądało, jakby straciło pion.

Bezkształtne cienie wypełzały z mrocznych zakamarków świszczącego powietrza i oblepiały twarz Sarah niby podmuchy zimnego wiatru. Czuła, jak wypełnia ją strach, i szeroko otworzyła oczy. Chciała krzyczeć, otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Zobaczyła, jak ktoś odłącza się od tłumy na placu i biegnie w stronę karuzeli z taką lekkością, jakby nagle zniknęła siła ciężenia. Był to chłopiec w pięknych szatach. Za każdym obrotem karuzeli był coraz bliżej. Farah rozpaczliwie próbowała gestami zwrócić mu uwagę, że musi się zatrzymać, bo inaczej zostanie roztrzaskany przez wirujące z oszałamiającą prędkością krzeselka karuzeli, ale on był coraz bliżej i bliżej.

Zaczął krzyczeć z całych sił, ale chłopiec nic sobie z tego nie robił. Kiedy ona pędziła z krzeselkiem w jego stronę, uniósł prawą rękę i tupiąc nogą, sprawił, że ożyły przymocowane do niej dzwoneczki. Uderzając frontalnie w ciało chłopca, Farah wydała z siebie przeraźliwy okrzyk



śmiertelnego prerażenia.

Nie miała pojęcia, w jaki sposób wydostała się z wirującego piekła. Wiedziała tylko tyle, że stoi na placu mocno wtulona w Joshuę. Czuła jego dłonie obejmujące jej plecy. Dygotała i szlochała jak dziecko, które właśnie obudziło się z koszmaru. Jednocześnie wiedziała, że to, co właśnie się dzieje, jest prawdziwe.

– Już wszystko dobrze – usłyszała głos Joshui. – Już po wszystkim.

Delikatnie ujął jej głowę w dłonie i zmusił, by na niego spojrziała.

Wiedziała, że musi zrobić kilka rzeczy, żeby odzyskać spokój. Po pierwsze musiała zaakceptować, że Joshua ją obejmuje, kiedy szli przez plac i przechodzili przez ulicę. Po drugie musiała mu pozwolić zanieść się na górę po stromych drewnianych schodach. Po trzecie zgodzić się na wszystko, co potem zrobi.

Pozwoliła na to, żeby ostrożnie położył ją na łóżku. Usłyszała dźwięk wody z prysznicy. Potem zdjął jej buty. Usłyszała jego szept:

– Zaufaj mi.

Pozwoliła, żeby ściągnął jej spodnie. Potem pomógł jej wstać. Uniósł jej ramiona, żeby zdjąć jej bluzkę z koronkowymi rękawami. Zaniósł ją pod prysznic, postawił w bieliźnie pod strumieniem ciepłej wody, cały czas ją podtrzymując. W milczeniu pozwalała na wszystko. Jedyne, co teraz robiła samodzielnie, to oddychanie. Wdech i wydech. Wdech i wydech.

Znowu zaczęła płakać, była bezradna wobec strumienia łez. Bardzo ją to rozzłościło. Objęła Joshuę i jej półotwarte usta przesunęły się po jego twarzy, szukając jego ust. Słodkie podniecenie wzięło górę nad gorzką rozpaczą.

Nagle zobaczyła siebie samą, jak stoi, zupełnie jakby wyszła z własnego ciała i mogła zobaczyć siebie z pewnej odległości. Półnagą, przytuloną do nieznanego, ale bosko całującego inspektora, pod prysznicem we własnym domu. Przypomniała sobie, jak zeszłej nocy David zaniósł ją na rękach do sypialni, i nagle znalazła się z powrotem we własnym ciele. Gwałtownie wyrwała się z objęć Joshui.

– Przepraszam, ja tak... ja tak nie chciałam. Już mi lepiej.

Wyglądał, zupełnie jakby dostał od niej w twarz.

– Przepraszam, nie chciałem – powiedział po chwili, a ona wiedziała, że mówi prawdę. – Przepraszam.

– Ja też cię przepraszam – powiedziała Farah. – A teraz musisz już sobie pójść.

– A co z tobą?

– Musisz już wyjść, Joshua. Naprawdę.

Aż się uśmiechnęła, patrząc, jak dostojnie wycofuje się z łazienki. Zupełnie jakby właśnie był na audiencji u królowej.

– Joshua?

– Tak?

– Wszystko w porządku.

– Okay. To ja już sobie pójdę.

Stała w tej samej pozycji, w przemoczonej koronkowej bieliźnie tak długo, aż usłyszała, że zamknęły się drzwi jej mieszkania. Dopiero wtedy się poruszyła. Narzuciła na siebie wielki płaszcz kąpielowy, poszukała komórki i wybrała numer szpitala WMC. Czekając, aż ktoś odbierze, stanęła przy otwartym oknie, przez które lekka bryza przyniosła do jej mieszkania zapach zwietrzałego piwa i grillowanego mięsa.

Kiedy zobaczyła, jak Joshua, idąc przez plac, spogląda w jej stronę, od razu się odwróciła. Stała tak na środku pokoju, gdy przełączono ją na intensywną terapię, i usłyszała to, czego obawiała się już po ataku paniki na karuzeli.

Daniëlle szukała po omacku komórki, gdy sygnał w postaci ćwierkania ptaków wyrwał ją ze snu. Snu, w którym w całkowitych ciemnościach biegła przez sięgającą jej kolan trawę, słysząc za sobą krzyki dzieci, zagłuszane hukami wybuchających granatów.

Kiedy półprzytomna z rozszalała wreszcie wyjęła komórkę spod sterty ubrań, miała wrażenie, jakby jakiś rój ptaków w ślepej panice obijał się o świeżo pomalowane ściany przestronnego wynajmowanego mieszkania w dzielnicy Amsterdam-Noord.

Wychrypiała ciche „halo” i usłyszała przejęty głos Mariski, pielęgniarki z oddziału intensywnej terapii, którą prosiła o telefon, gdyby były jakiegokolwiek problemy.

– Chłopiec miał nieoczekiwany spadek ciśnienia.

Daniëlle zareagowała instynktownie.

– Podać sól fizjologiczną!

Zerwała się z łóżka i zapaliła lampkę na nocnym stoliku.

– Już zrobione.

– Jaką ma gazometrię?

– Słuchaj, Daniëlle, i tak już przekroczyłam uprawnienia, dzwoniąc do ciebie.

– Wieźcie go na tomografię! – zawołała Daniëlle, sięgając po dzinsy.

– Już nie wolno ci się nim zajmować. Wiesz przecież, że to działka naczelnego traumatologa!

– Zaraz tam będę!

Mariska miała oczywiście rację, bo jeśli trzymać się przepisów, Daniëlle nie miała już nic w tej sprawie do powiedzenia, ale postanowiła, że będzie przy chłopcu, gdy tylko zajdzie taka potrzeba. Kiedy zbiegała po schodach przez głowę przelatowały jej wszelkie możliwe przyczyny jego obecnego stanu. Czego nie zauważyła, co powinna widzieć? W ciągu paru minut pędziła już sto pięćdziesiąt na godzinę przez Amstardamse Ring w kierunku WMC.

O tej porze Ring był praktycznie pusty. Po kilku kilometrach znowu usłyszała w torebce ćwierkanie ptaków. Zjechała na prawo do wyasfaltowanej zatoczki i nacisnęła hamulec. Zostawiła silnik na luzie i gorączkowo grzebała w torebce leżącej na siedzeniu pasażera. Kiedy wreszcie znalazła komórkę, było już za późno – sygnał ucichł.

Za sobą usłyszała ponagląący klakson ciężarówki, która też skręcała na prawo. Czyżby nie włączyła świateł awaryjnych? Cholera, w tym pośpiechu zupełnie zapomniała. Szybko nacisnęła ikonkę „ostatnie połączenia”, jednocześnie ruszając gwałtownie, tak że ciężarówka nie zdążyła się jeszcze niebezpiecznie zbliżyć.

Kierując lewą ręką, prawą przyciskała telefon do ucha. Odebrała Mariska, która poinformowała ją, że dyżurny chirurg natychmiast zabrał chłopca na tomografię z podejrzeniem uszkodzenia śledziony.

Daniëlle dała upust swojej frustracji. A więc to było to, co przeoczyła: pęknięcie śledziony okazało się poważniejsze, niż wcześniej przypuszczała. Objawiło się dopiero wówczas, kiedy jego ciśnienie wróciło w ciągu dnia do normy. W chwili, gdy śledziona znalazła się pod

normalnym ciśnieniem, musiało dojść do rozdarcia.

– Który to chirurg? – spytała.

– Radder – odpowiedziała Mariska.

W oczach Daniëlle pojawiły się łzy bezsilności. Akurat Radder. Na pewno wykona piętnastocentymetrowe cięcie w lewym podżebrzu, żeby usunąć całą śledzionę. Jej ciało aż skurczyło się z rozpaczy.

– Zadzwoń do mnie, jak tylko będzie wiadomo, że to na pewno śledziona. Nie wolno dopuścić, żeby Radder wykonał splenektomię! W żadnym razie.

– Zobaczą, co się da zrobić – powiedziała Mariska, ale nie zabrzmiało to zbyt przekonująco. Daniëlle wiedziała, że żadna pielęgniarka nie ma ochoty zadzierać z Radderem. Ale do czasu, kiedy ona jeszcze była w drodze i nie mogła sama rozmówić się z Radderem, nie miała innego wyboru, jak spróbować to załatwić przez Mariskę.

– Jeśli to śledziona, to chłopcu od razu trzeba zrobić angiografię – powiedziała z naciskiem. – Nie wolno go od razu operować. Trzeba skonsultować sprawę z radiologiem. Śledzionę trzeba wypełnić specjalną siateczką, nie wolno dopuścić, żeby została od razu usunięta!

– Wiesz dobrze, że nie mam tu nic do gadania i ty też – powiedziała wymijająco Mariska. – Wszystkim kieruje Radder.

Daniëlle zdawała sobie sprawę, że Mariska ma rację. Sama musi to załatwić.

– Przełącz mnie proszę na operacyjny.

– Okay – powiedziała Mariska. W jej głosie słychać było ulgę.

Daniëlle zdążyła już minąć dwa zjazdy z Ringu, nawet tego nie zauważając. W skroniach jej huczało i była cała spocona. Właśnie opuściła odrobinę szybę, gdy usłyszała głos Gaby, asystentki, która pomagała jej w czasie, gdy operowała chłopca.

– Gaby, mówi Daniëlle. Dostaliście już zgłoszenie pacjenta?

– Tak. Krwotok śledziony.

– To ten chłopiec! – krzyknęła Daniëlle. – Ten sam chłopiec, którego operowałyśmy zeszłej nocy. Radder na pewno będzie chciał zrobić splenektomię, ale ja chcę najpierw konsultacji z radiologiem.

– Powiem doktorowi Radderowi, że dzwoniłaś z tą sugestią.

– Kategorie sugestię! – skorygowała ją Daniëlle.

– Ale więcej w tym momencie nie mogę niestety zrobić.

– Wiem, rozumiem. Czy możesz go poprosić, żeby zaraz do mnie zadzwonił? Jestem już niedaleko.

Jej ciało było zupełnie pozbawione czucia. Chociaż kurczowo zaciskała ręce na kierownicy, dłonie miała kompletnie zdrętwiałe. Zupełnie nie miała pojęcia, z jaką siłą naciska pedał gazu. Równie dobrze mogłaby teraz naciskać poduszkę. Pęd powietrza na twarzy nawet przy stu pięćdziesięciu na godzinę wydawał jej się leciutkim powiewem.

W oddali pojawiły się zarysy WMC. Miotła się między poczuciem wszechmocy a strachem. Nie zmniejszając prędkości, zjechała z Ringu, mijając dwa skrzyżowania na pomarańczowym. Coraz wyraźniej uświadamiała sobie, że Radder wcale do niej nie zadzwoni. Pójdzie za swoim rzeźnickim instynktem, ślepy na wszelkie alternatywne rozwiązania i głuchy na najszuszniejsze nawet sugestie.

Przy wjeździe do podziemnego garażu ze zdenerwowania nie mogła znaleźć karty do otwierania szlabanu. Wykrzyczała do interkomu, kim jest i że przyjechała do nagłego przypadku. Pognała do służbowej windy. Chwilę później w szatni błyskawicznie przebrała się w strój

chirurgiczny, wsunęła na stopy drewniaki, po drodze wkładając czepkę i maseczkę.

– Jakiś obcy, który z pewnością zabłądził – rzucił Radder, nie podnosząc nawet wzroku, kiedy wtargnęła do sali.

Daniëlle zobaczyła bezradne spojrzenie Gaby, która stała obok niego.

– Tylko bardzo proszę, nie splenektomia – powiedziała Daniëlle błagalnie. – Jeśli pan to zrobi, dramatycznie wzrośnie ryzyko zapalenia płuc albo innej infekcji. Jego organizm nie zniesie drugiej operacji w ciągu zaledwie dwóch dni! A nawet jeśli przeżyje, to przez całe życie będzie narażony na wszelkiego rodzaju infekcje. Może uda się ją scalić siateczką.

– Ta siateczka to jakiś krzyk mody ostatnio – rzucił zgryźliwie Radder. – Ale widzę tu tkanekę, która jest w dużej części popękana. W zasadzie nie da się tego załatać.

– Ale tylko w zasadzie – wpadła mu w słowo Daniëlle. – Bardzo proszę, niech pan oceni, czy wchodzi w grę inne możliwości!

– Nie ma na to czasu – prychnął Radder. – Nie mogę dopuścić, żeby pacjent całkowicie się wykrwawił. Przykro mi, Bernson.

Można było odnieść wrażenie, że ta sytuacja sprawia mu przyjemność. Autorytarna wyniosłość, z jaką poprosił o skalpel, który Gaby podała mu na otwartej dłoni, była dla Daniëlle czymś nie do wytrzymania. Miała ochotę wykrzyknąć mu to w twarz, ale powstrzymała się.

Stanęła po przeciwnej stronie stołu i starała się za wszelką cenę nie stracić panowania nad sobą.

– Wie pan równie dobrze jak ja, że ryzyko, jakie niesie ze sobą życie bez śledziona, nie jest jeszcze do końca zbadane. A ten chłopiec ma przed sobą całe życie.

– Niekoniecznie – stwierdził Radder zniecierpliwiony. – A jeśli nie pośpieszę się z zabiegiem, to na pewno nie.

Daniëlle nie miała innego wyjścia, jak bezsilnie patrzeć, jak Radder wykonuje cięcie i odsłania uszkodzoną śledzionę.

Gaby odessała krew, podczas gdy Radder oceniał uszkodzenia.

– W zasadzie to mało budujące, że pęknięcie wyszło na jaw dopiero później. – Radder mówił głosem sędziego ogłaszającego wyrok śmierci.

– Wydawało mi się, że to krwiak podtkankowy.

– Po prostu nie wzięła pani pod uwagi zmienionego ciśnienia – skorygował ją nieprzyjemnym tonem. – Takie są skutki przeprowadzania operacji na własną rękę, bez uwzględnienia mojej wyraźnej wskazówki. Sama pani widzi.

Powiedział to z tak nieskrywanym triumfem w głosie, że Daniëlle zrobiło się od tego niedobrze.

– Bardzo chciałabym to naprawić – usłyszała swój głos.

Słowa te wypowiedziała całkowicie odruchowo, ale nieoczekiwana zmiana jej postawy przyniosła natychmiastowy efekt. Radder spojrzał na nią i Daniëlle zobaczyła, że jego wzrok nie jest już taki zimny. Trwało to zaledwie ułamek sekundy, ale widziała to na pewno.

Radder zbadał śledzionę ze wszystkich stron i na koniec powiedział:

– Niewykluczone, że część uda się uratować.

Daniëlle miała ochotę krzyczeć z radości. Najwyraźniej Radder uznał, że nie nadweręży to jego autorytetu, tylko raczej doda mu rzekomej ważności.

– Proszę, niech pani spojrzy. – Wykonał gest zapraszający ją do spojrzenia w otwartą jamę brzuszną.

– Ten kawałek musimy usunąć – powiedział, wskazując na najbardziej uszkodzony fragment

śledziony. – To pęknięcie pośrodku jest nie do zamknięcia. Ale części po lewej i po prawej może uda się zachować.

Daniëlle milczała, potakując tylko posłusznie ruchami głowy. Zdawała sobie sprawę, że musi do samego końca przekonująco odgrywać rolę zapatrzonej w mistrza uczennicy. W interesie chłopca musiała pozwolić Radderowi grać pierwsze skrzypce.

– Ponieważ te części są nienaruszone, możemy je do siebie przycisnąć i opleść ładnie siateczką. Co pani na to, Bernson?

– Znakomite rozwiązanie.

– Też tak myślę. I można mieć tylko nadzieję, że po jakimś czasie fragmenty się zrosną.

Radder powiedział to z wielkim samozadowoleniem, na które najwyraźniej miał wyłączność, i rozpoczął resekcję uszkodzonego fragmentu śledziony.

Niecałe pół godziny później obydwie połówki śledziony zostały dociśnięte do siebie siateczką z samorozpuszczalnego tworzywa.

– Skoro już tu jesteś, Bernson, to możesz go zamknąć – burknął Radder.

Kiedy jakiś czas później szła przy łóżku chłopca przez pusty korytarz szpitala w stronę OIOM-u, czuła się lekka jak piórko. W sali pomogła Marisce podłączyć chłopca do aparatury.

– W poczekalni czeka ktoś do niego – powiedziała Mariska. – Ta sama kobieta, co wczoraj rano.

Daniëlle znowu poczuła napięcie. Sposób, w jaki dziś wieczorem Farah dała jej do zrozumienia, że nie może na nią liczyć, jeśli zależy jej na upublicznieniu sprawy chłopca, całkowicie zbił ją z tropu. A to dlatego, że Farah wyglądała na bardzo zaangażowaną i naprawdę szczerze chciała mu pomóc, a jednocześnie wzbraniała się przed wykorzystaniem własnej profesji do opisania niegodziwości, której padł ofiarą, jako obiekt handlu dziećmi.

– Musisz podchodzić do tego z dystansem, Daniëlle – poradziła jej Mariska. – Nie wpadaj w obsesję. Nic dobrego z tego nie wyniknie ani dla ciebie, ani dla niego.

Popatrzyła na chłopca i uświadomiła sobie, że Mariska ma rację. Właśnie przez zbyt wielkie zaangażowanie przy pierwszej operacji postawiła mylną diagnozę. Lekarz mniej zaangażowany emocjonalnie z pewnością nie dopuściłby się takiego przeoczenia.

Może to błąd, że chce poprzez tego chłopca zrealizować swoje plany? Jeszcze niecałe pół roku wcześniej zostawiła przerażone dzieci na łóżkach, żeby ratować własne życie. Czy nie jest przypadkiem tak, że zajmując się sprawą tego chłopca, chce udowodnić, że nie jest tchórzem? Że to wszystko po to, żeby pozbyć się wyrzutów sumienia?

– Ty do niej dzwoniłaś? – spytała Mariskę.

– Do kogo?

– Do tej dziennikarki.

– To ona jest dziennikarką?

– Tak, pisuje w „AND”.

– Nie. A niby dlaczego, na miłość boską, miałabym dzwonić do gazety?

– To skąd ona wie, że coś się dzieje?

– Nie mam pojęcia. Sama ją o to spytaj.

Daniëlle wyszła z sali. Potarła dłońmi pulsujące skronie. Kiedy zobaczyła sylwetkę Farah Hafiz w poczekalni, po plecach przeszedł ją dreszcz.

Po raz drugi w ciągu zaledwie dwudziestu czterech godzin Farah patrzyła z piątego piętra szpitala na nocny Amsterdam. Myślała o tym chłopcu, jakby był jej dzieckiem. Dzieckiem, o które się nie prosiła, a które wtargnęło w jej życie tak gwałtownie, że już nie potrafiła zachować dystansu.

Myślała też o Daniëlle i jej pragnieniu nagłośnienia całej sprawy. Daniëlle była lekarzem, złożyła przysięgę Hipokratesa, ale teraz chciała posunąć się dalej, niż nakazuje przysięga. Chciała pokazać, że nie musi chodzić tylko o to, żeby uratować jego życie, tylko żeby zapobiec temu, by coś takiego było konieczne. Trzeba coś zrobić z samą przyczyną tego stanu rzeczy, żeby już żadne dziecko nigdzie nie zostało pozostawione na śmierć.

Po zastanowieniu się Farah uznała, że jej cel wcale się tak bardzo nie różnił od celu, który przyświecał Daniëlle, jeśli chodzi o chłopca. Tyle tylko, że drogi, jakimi chciały go osiągnąć, były zupełnie różne. Ze względu na swoje zaangażowanie Daniëlle chciała pójść drogą najkrótszą. Jednak ten rodzaj pośpiechu bardzo łatwo mógł się skończyć kataklizmem. Nigdy nie wiadomo, jakie siły się rozpęta nieprzemyślanym upublicznieniem jakiejś sprawy. Farah jednak nie widziała nic o życiu i wyborach, jakich dokonywała kiedyś Daniëlle.

Usłyszała za sobą przytłumione kroki. W szybie zobaczyła odbicie kobiety w chirurgicznym kitlu. Odwróciła się.

– Cześć, Daniëlle. Co mu teraz było?

– Miał pękniętą śledzionę, którą trzeba było częściowo usunąć. Jego stan jest stabilny. Na razie.

Farah słyszała rezerwę w jej głosie i zobaczyła, że Daniëlle patrzy na nią badawczo.

– Skąd wiedziałaś, że coś złego się dzieje?

– Nie wiedziałam. Zadzwoiłam, bo... – Farah zawahała się. Uznała, że jednak lepiej będzie nie wspominać całej tej sprawy z karuzelą. Dystans między nią a Daniëlle za bardzo zwiększył się od ich ostatniego spotkania, żeby mogła opowiedzieć jej całą prawdę.

– Któraś z pielęgniarek do ciebie zadzwoniła? – spytała Daniëlle podejrzliwie.

– Nie.

– No to skąd wiedziałaś?

– Sama zadzwoniłam. Mówiłam już.

– Dlaczego?

– Czy to jakieś przesłuchanie?

– Po prostu chcę wiedzieć, dlaczego zadzwoniłaś. To wszystko.

– Chciałam się dowiedzieć, jak on się czuje.

– Po północy? – Usta Daniëlle zacisnęły się w wąską szparkę, oczy się zwęziły, a głos zrobił o kilka tonów wyższy. – Akurat w momencie, kiedy mu się pogorszyło, tak po prostu pomyślałam sobie: zadzwonię?

– Nie będę z tobą rozmawiać w taki sposób – stwierdziła Farah spokojnie.



– Zwyczajnie chcę się dowiedzieć, kto cię zawiadomił o tym, co się dzieje.  
– Okay. Ale najpierw ja cię o coś spytam. I chciałabym, żebyś potraktowała to pytanie poważnie. Czy coś poszło nie tak, kiedy go operowałaś?  
Zobaczyła, że Daniëlle blednie.  
– Tego nie miałaś prawa wiedzieć.  
– Mam takie mocne przeczucie i chciałabym się upewnić, czy to prawda.  
Twarz Daniëlle unów poszarzała.  
– Co ty mi tu próbujesz wmówić? Musiałaś z kimś rozmawiać. Po co robisz z tego taką tajemnicę?

W kobiecie, którą miała teraz przed sobą, Farah nie widziała nic z tamtej spokojnej, systematycznej lekarki, która uratowała życie chłopca. Ta kobieta wręcz zionęła podejrzliwością.

– To proste. Zobaczyłam go przed sobą. Zdarzyło się to dwukrotnie. Po raz pierwszy zeszłej nocy, kiedy pojechałam do lasu, żeby zobaczyć miejsce, gdzie został potrącony. Mniej więcej pół godziny po tym, jak zawiozłam go na salę operacyjną. Nagle pojawił się przede mną. Stał w swoich szatach tancerki. Ze wszystkimi tymi ozdobami. Tak rzeczywisty, jak to tylko możliwe.

Zobaczyła niedowierzanie na twarzy Daniëlle. Wbrew zdrowemu rozsądkowi postanowiła mówić dalej.

– Dziś w nocy zdarzyło się do samo. Tyle że było jeszcze bardziej realistyczne. Zupełnie jakbym to ja go potrąciła.

Niedowierzanie na twarzy Daniëlle ustąpiło miejsca strachowi.

– Może to głupio zabrzmie, ale wydaje mi się, że chłopiec chciał się ze mną skomunikować – stwierdziła Farah z wahaniem. – Nie wiem, co to było i nie umiem tego wyjaśnić. Zdaję sobie sprawę, że coś takiego musi brzmieć dziwnie w ustach dziennikarki.

Miała uczucie, że całkowicie obnażyła się przed Daniëlle. Miała tylko nadzieję, że mimo wszystko zostanie przez nią potraktowana poważnie. Już bardziej szczerą bowiem być nie mogła.

– „Dziwnie” to nie jest właściwe słowo – powiedziała Daniëlle drżącym głosem. – Powiedzmy sobie, że raczej „dziwacznie”. Wiesz, czego w tym wszystkim nie rozumiem? Nie jesteś z nim spokrewniona, a mimo wszystko za każdym razem się przy nim pojawiaasz. Jesteś dziennikarką, a nie chcesz o nim napisać. Czemu właściwie tutaj jesteś? Co chcesz osiągnąć?

– Za pierwszym razem to był przypadek. Ale teraz wydaje mi się, że on może chce mi, a może nam, coś powiedzieć. Może to, żebyśmy mniej myślały o sobie, a bardziej o nim? Nie mam pojęcia.

Daniëlle patrzyła na nią przenikliwie.

– Kim ty jesteś? Po co zawracasz mi głowę tymi bezsensownymi opowieściami?

– Miałam nadzieję, że... – Farah nie zdążyła dokończyć zdania.

– Oszczędź mi już może tej całej newage’owej gadki. Jedź już do domu. Nic dla niego nie możesz zrobić. Nawet nie chciałabym, żebyś cokolwiek dla niego robiła. Wyrażam się jasno?

Farah widziała, że nie ma sensu wdawać się z nią w jakąkolwiek dyskusję.

– Niezależnie od tego, co o tym sądzisz, mam nadzieję, że z nim będzie dobrze – powiedziała łagodnie. – Zrobiłaś dla niego wielką rzecz. Uratowałaś mu życie. Ale to, co chcesz zrobić teraz, Daniëlle, jest bardzo niebezpieczne, bo może się obrócić przeciwko tobie.

Odchodząc korytarzem, czuła na plecach wzrok jasnowłosej lekarki.

**W** podziemnym garażu Daniëlle wyjęła kluczyki od samochodu, ale chociaż próbowała na wszystkie strony, nigdzie nie usłyszała stuku otwieranego zamka centralnego. Została przy chłopcu godzinę dłużej. Przez cały ten czas tliło się gdzieś w jej głowie ostrzeżenie wypowiedziane przez Farah, że upublicznienie sprawy może nieść ze sobą niebezpieczeństwo. Że wyjście ze sprawą chłopca do prasy może się obrócić przeciwko niej.

Coraz bardziej narastało w niej przekonanie, że to nie było ostrzeżenie, tylko zawołowana groźba. W tym momencie nie miała już do Farah za grosz zaufania. Patrząc na to zdroworozsądkowo, to nie mógł być przypadek, że Farah pojawiła się w izbie przyjęć dokładnie w tym samym momencie, kiedy przywieziono chłopca. Musi o tym powiedzieć tym śledczym, którzy zajmują się sprawą.

Chodziła nerwowo po parking, szukając samochodu, kiedy nagle usłyszała za sobą odgłos otwierania drzwi na parking. Aż się wzdrygnęła, bo ostatnio tak właśnie reagowała na każdy niespodziewany dźwięk – trzask zamykanych drzwi, dzwonek telefonu, kliknięcie automatycznego zamka. Nawet kiedy sama zamykała drzwi.

Zanim wsiadła do samochodu, odruchowo rozejrzała się wokoło. To też stale już robiła od czasu powrotu z Afryki. Przymus sprawdzenia wzrokiem otoczenia, zanim gdzieś wejdzie, czy to do windy, czy to do lokalu, czy do samochodu. Nikogo nie zobaczyła, ale mimo wszystko miała wrażenie, że ktoś jednak jest w garażu. To uczucie było podsycane strachem, który na stałe zagnieżdżył się w jej głowie. Strachu, który potrafił rozprzestrzenić się jak wirus.

Na Ringweg w stronę Amsterdam-Noord patrzyła prosto przed siebie, powtarzając swoją codzienną „nakręcającą” mantrę. Słowa, które miały jej pomóc nie wpaść w panikę.

„Jestem tutaj. Jestem odważna. Jestem bezpieczna”.

Zaledwie kilka miesięcy temu uciekała przez wysoką do kolan trawę, żeby przeżyć. Ale wewnątrz nadal uciekała, wciąż na granicy utraty tchu, wciąż oglądając się za siebie, żeby sprawdzić, czy śmierć nadal depta jej po piętach. Dzieci w obozie wciąż wykrzykują jej imię, i dzieje się tak nie tylko w jej snach. Słyszy ich krzyki także na jawie.

Wciąż przemawiała do siebie, powtarzając pocieszające słowa: „Jestem tutaj. Jestem odważna. Jestem bezpieczna”.

W samolocie, którym wracała do Holandii, przypomniała sobie nagle wiersz van Eycka o ogrodniku i śmierci. Wczesnym rankiem, pracując w ogrodzie, ogrodnik widzi Śmierć i w panice ucieka konno do innego miasta w mylnym przekonaniu, że dzięki temu przeżyje kosztuchę. Tymczasem zdumiona Śmierć zastanawia się, jak to możliwe, że spotkała w tym miejscu tak wczesnym rankiem człowieka, którego przecież ma zabrać wieczorem w zupełnie innym mieście.

W czasie nocnego lotu do Holandii Daniëlle zadała sobie nagle pytanie, czy może wobec niej Śmierć także pozwala sobie na brzydki żart. Uciekła przed nią, ale może jest tak, że ona czeka na nią spokojnie tysiące kilometrów dalej, w hali przylotów lotniska Schiphol.

Ta myśl była pierwszym sygnałem neurozy, która od tej pory ją dręczyła. Był to również moment, w którym po raz pierwszy poczuła prawdziwy strach. I strach ten już od miesięcy wychylał swoją obrzydliwą głowę w najmniej oczekiwanych chwilach.

Trzy razy musiała objechać okolicę swojego mieszkania, zanim udało jej się zaparkować. Zanim wysiadła, znowu rozejrzała się dokoła. Zmusiła się, żeby nie puścić się biegiem do domu. Mimo walącego jak oszalałe serca starała się iść możliwie najspokojniej do drzwi budynku. Słyszała samochód, powoli zbliżający się w śmiertelnej ciszy w jej stronę, kiedy szukała kluczy w torebce. Dygocąc z przerażenia, weszła do budynku, zanim jeszcze samochód ją minął.

W korytarzu stała przez kilka minut oparta o ścianę, żeby odzyskać oddech. Koniecznie musi coś zrobić. Tutaj już nie było mantry, która by jej pomogła. Musi zacząć działać, coś zrobić, żeby jakoś przewyciężyć ataki paniki. Ruszyła schodami na górę do salonu, zapaliła wszystkie światła i nalała sobie whisky. Postanowiła, że od następnego ranka znowu zacznie biegać. Robiła to nawet w Afryce. Była wysportowana, a jogging zawsze dobrze jej robił. Ucieszyła się z tej spontanicznej decyzji. To już jakiś początek.

Po trzech łykach whisky przestała tak bardzo dygotać. Opadła wycieńczona na poduszki skórzanej kanapy i włączyła dawno nieoglądaną telewizję. Skakała między nic jej niemówiącymi programami, aż trafiła na *De Headlines Show*, prowadzony przez Cathy Marant, siedzącą przy mikrofonie w błyszczącej bluzce z wielkim dekoltem. Szybko się zorientowała, że to powtórka wieczornego programu. Cathy Marant ze współczuciem godnym hieny informowała o incydencie w czasie gali sztuk walki w teatrze Carré, gdzie według kilku źródeł doszło do ciężkiego nokautu jednej z zawodniczek.

Ku swemu zdumieniu Daniëlle zobaczyła na ekranie, jak ta sama kobieta, która próbowała ją przekonać w szpitalu, że miała paranormalny kontakt z ciężko rannym chłopcem, zasypuje ciosami bezbronną przeciwniczkę leżącą na macie. Cathy Marant patrzyła w tym czasie z ekranu z udawanym współczuciem, informując po chwili, że ofiara Farah Hafiz czuje się już całkiem nieźle, jak na okoliczności, ale że nie powinno to pozostać bez konsekwencji, że dziennikarka, która notabene przekonuje, że wszyscy imigranci przebywający nielegalnie w Holandii powinni być objęci powszechną abolicją, publicznie dopuszcza się ciężkiego uszkodzenia ciała na bezbronnej przeciwniczkę, a ponadto w sposób nieodpowiedni odnosi się do kolegów i koleżanek dziennikarzy, proszących o komentarz na temat tego incydentu.

– Tu nie może być mowy o żadnym pobjaźaniu ani abolicji – zapewniała Marant. – Ani tym bardziej powszechnej abolicji, szanowna Farah Hafiz! Co z zasadami obowiązującymi w naszym praworządnym państwie, jeśli będziemy tolerować coś takiego?

Zdumienie Daniëlle wzrosło jeszcze bardziej, kiedy w dalszej części programu zobaczyła tego samego inspektora, który poprzedniego dnia rano w szpitalu tak dobitnie nakazywał jej powściągliwość w informowaniu o sprawie, jak wparowuje w samym środku telewizyjnego show, żeby aresztować prowadzącego, Dennisa Fabera, i wyprowadzić go jak jakiegoś pospolitego bandytę. Z komentarza Cathy Marant wynikało, że bezpośrednim powodem aresztowania było podejrzenie, że małżeństwo Faberów jest bezpośrednio zamieszane w sprawę potrącenia nieletniego chłopca w Lasku Amsterdamskim.

Marant skrytykowała jaskrawą niezdarność tej „policyjnej akcji”. Sprawa jest tym bardziej bulwersująca, że przeprowadzający ją policjant był przypuszczalnie pod wpływem alkoholu. Świadcowie zeznali, że czuli od niego dziwny zapach. Na szczęście policja szybko zrozumiała swój niewybaczalny błąd i natychmiast zwolniła popularnego prezentera i jego żonę, kiedy wyszło na jaw, że pani Faber tylko przypadkowo znalazła chłopca na drodze i natychmiast

zadzwoiła na numer alarmowy.

Daniëlle zobaczyła, jak Dennis Faber i jego żona schodzą po schodach komendy policji. Oczyszczeni z podejrzeń. Przestraszeni i znękani celebryci, skuleni pod ciężarem powszechnego zainteresowania.

W tym właśnie momencie Daniëlle rozjaśniło się w głowie. Jej myśli uspokoiły się, a plany przybrały konkretny kształt. Małżeństwo Faberów będzie kluczem, dzięki któremu świat zainteresuje się losem chłopca. A główną rolę odegra w tym wszystkim Cathy Marant.

Poczuła w sobie budzącą się bojowość, o której myślała przez te wszystkie miesiące, jakie minęły od jej powrotu z Afryki, że już bezpowrotnie ją utraciła.

„Jestem tutaj. Jestem odważna. Jestem bezpieczna”.

David był człowiekiem myślącym w przyszłość, przewidującym i wierzącym w obietnice. Farah też chciałaby tak potrafić, lecz obietnice wciąż były dla niej bańkami mydlanymi, które w każdej chwili mogły pęknąć. Kłamstwo i śmierć czyhały nieprzerwanie.

Dojeżdżała do zjazdu, w który musiała skręcić, żeby dotrzeć do domu Davida. Powiedział, że dom będzie na nią czekał. „Obojętnie o której to będzie, skarbie”, powiedział i wspomniał o „niespodziewanym przełomie”, który chciałby z nią świętować. Mijając zjazd, próbowała sobie wmówić, że w tym momencie nie ma nic do powiedzenia na temat roli przeznaczenia w swoim życiu.

Dawna sterówka emanowała ciepłym, zapraszającym światłem. Drewnianą kładką dotarła na pokład metalowego statku typu tjalk i usłyszała przytłumione dźwięki jazzowego komba, a kiedy zapukała, kroki bosych stóp na drewnianych stopniach. Nie okazując nawet śladu zaskoczenia, w otworze drzwi pojawił się Joshua Calvino.

– Przepraszam, że cię tak napadam... – zaczęła, zdając sobie sprawę, że mówi bardziej do siebie. – Normalnie nie jestem...

– Nie wierzę w normalność – przerwał jej Joshua i ruszył przodem po schodach do części mieszkalnej na dolnym pokładzie, z podłogą wyłożoną błyszczącymi deskami. W wielu miejscach wisiły na ścianach obrazy przedstawiające chmury.

– Jestem miłośnikiem chmur – wyjaśnił Joshua, nalewając jej kieliszek wina. – Ale nie chodzę z głową w chmurach. Zdrówko.

Stuknęli się kieliszkami. Farah upiła łyk, odstawiła kieliszek, wyjęła kieliszek z jego rąk, przyciągnęła go do siebie i zaczęła intensywnie całować. Chociaż najchętniej zerwałaby z niego ubranie, powstrzymała się jednak i zamiast tego starannymi ruchami rozpięła mu koszulę, a potem spodnie. Cały czas była powolna w działaniu, żeby utrzymać w ryzach własne pożądanie. To ona była inicjatorką i chciała tę swoją inicjatywę przeżyć maksymalnie świadomie i z pełną szczegółowością.

Jednym ruchem ściągnęła sweter, rozpięła biustonosz i w ciasnej przestrzeni między ich ciałami jego dłonie dotknęły jej piersi, pocierając brodawki sutkowe. Pchnęła go w tył, a on najpierw zaczął pieścić językiem jej piersi, a potem zsuwać się coraz niżej, aż jego głowa znalazła się między jego nogami, a ona poczuła w środku jego język.

Zespół Johna Coltrane’a grał *A Love Supreme* z winylowej płyty, a Joshua klęczał przed nią, jakby czcząc półnągą madonnę. Farah pozwoliła się czcić. Poczuła się uwolniona przez niego z przypominających senne koszmary zwid i w zapamiętaniu mocno chwyciła go obiema rękami za włosy, kiedy wreszcie doprowadził ją językiem do orgazmu.

Potem wczuwała się w siebie, długo całując się namiętnie z Joshua. Wreszcie wzięła go za rękę i poprowadziła do łóżka, gdzie położyła się na plecach, wciągnęła go na siebie i miłosnymi

podpowiedziami skłoniła go, by wnikał w nią jak najgwałtowniej.

W jej oczach pojawiły się łzy, gdy opierając się obiema rękami na materacu miał w niej wytrysk przy akompaniamencie chrapliwego okrzyku, który zdawał się wydobywać z głębi jego trzewi.

Nie chciała go wypuścić z objęć, tylko leżeć z nim tak nawet całą noc, czując jego wstrząsane spazmem ciało na swoim. Położył się obok niej, z oczami wbitymi w sufit. Farah leżała na boku, pieśczośliwie przesuując dłonią po jego ciele. Lecz na jej ustach błąkał się uśmiech zwątpienia, bo w tym momencie chłopiec czołgał się gdzieś przez szyby wentylacyjne jej podświadomości i wiedziała, że wcześniej czy później znowu się pojawi. I nie stanie się to tak spokojnie, jak to było z Raylanem Chappelle'em, który dzisiaj w południe po prostu pojawił się przy niej, tylko będzie to niespodziewane i gwałtowne. Tak jak niespodziewanie pojawił się przed nią, gdy była na karuzeli, sprawiając, że uderzyła w niego z impetem.

– Joshua?

– Tak?

– Boję się.

Uniósł się i odwrócił w jej stronę.

– Nie potrzebnie. Jestem przy tobie.

Igła gramofonu zataczała nieskończone kręgi w rowku płyty długogrającej. Farah usiadła i czuła zawrót głowy.

Joshua położył jej dłoń na ramieniu.

– Co się dzieje?

– Już od pierwszej chwili, kiedy zobaczyłam tego chłopca, działa się coś niewiarygodnego, patrzyłam na niego, jakby, przepraszam, jeśli zabrzmi to głupio, ale patrzyłam na niego, jakby był częścią mnie, zapomnianą częścią mnie. Zupełnie jakbym to ja była znów w jego wieku i odkryła w nim brata, którego nigdy nie miałam, ale o którym marzyłam.

Joshua stanął przy niej. Mimowolnie przypomniał jej się obraz polany w lesie, gdzie pomógł jej wstać. Joshua uklęknął obok.

– Pamiętasz jeszcze, jak wyglądała ta zapomniana część ciebie? – spytał miękko.

Pomyślała o dzisiejszym dniu i poczuła pieczenie w oczach. Długo patrzyła na Joshuę i pomyślała, że być może dlatego tu do niego przyszła, że kiedy pojawiły się te niespodziewane zjawy i echa z przeszłości, chciała zwierzyć się komuś, dla kogo będzie to być może zdumiewające.

– Właściwie, to nie – powiedziała. – Nie mam pojęcia, które fragmenty mojego życia w Kabulu są fantazją, a które rzeczywistością.

– Ile miałaś lat, gdy przyjechałaś do Holandii?

– Pewnie z dziewięć. Ale podałam inną datę urodzin.

– Czemu?

Farah przełknęła kilka razy, zanim odpowiedziała.

– Bo się bałam. Moim ojcem był Aadel Gailani. Przez trzy lata był ministrem spraw wewnętrznych w gabinecie prezydenta Daouda. Kiedy w kwietniu 1978 roku komuniści przypuścili samolotami i czołgami szturm na pałac prezydencki, mój ojciec został zamordowany razem z prezydentem i kilkunastoma innymi członkami rządu.

Farah mówiła powoli, jakby musiała przekonać samą siebie, że tak było naprawdę.

– Moja matka była adwokatem. Nazywała się Helai. Helai Durani. Komuniści ją też schwytali w czasie puczu, ale ostatecznie jednak wypuścili. Była torturowana. Uciekłyśmy razem parę

miesiący po tym, jak do Afganistanu weszli Rosjanie. To było pod koniec 1979 roku. Najzimniejsza zima, jaką kiedykolwiek przeżyłam.

– Co się stało z twoją matką?

– Nie przeżyła ucieczki. Ona... Ale nie chcę o tym mówić, wiesz?

Pogłaskał ją.

– Czy to znaczy, że byłaś sama, kiedy dotarłaś do Holandii?

– Na koniec można tak powiedzieć. Najpierw była nas niewielka grupka. Rodzina z dwójką dzieci. Nie znałam ich, ale byłam niejako ich trzecim dzieckiem. Oni zostali w Niemczech. Ja pojechałam dalej, do Holandii.

– A potem? Gdzie przebywałaś?

– W ośrodku dla imigrantów w Drenthe. Tam się rozchorowałam. Bardzo ciężko. Obustronne zapalenie płuc. Zostałam umieszczona w szpitalu, gdzie przeleżałam dwa miesiące. Lekarze powiedzieli, że mało brakowało. Pewnego dnia odwiedził mnie starszy pan z małżonką. On był lekarzem, znajomym jednego z lekarzy pracujących w tym szpitalu. Nie mieli dzieci. Gdy mi się polepszyło, bardzo chciałam u nich mieszkać. Zupełnie jakby te miesiące spędzone w szpitalu były kwarantanną, w czasie której udało mi się przyzwyczać do życia tutaj i do języka. Od kiedy mi się polepszyło, zaczęłam czytać. Książki o różnych bohaterach, jak powieści Tonke Dragt *Tajemnice dzikiego lasu* i *List do króla*, Hectora Malota *Bez rodziny* czy *Bracia Lwie Serce* Astrid Lindgren.

Pokazała mu zdjęcie, które zawsze miała przy sobie w torebce: dziewczynka o jasnobrązowej skórze i zaskakująco niebieskich oczach. Gęste, ciemne włosy, sięgające poniżej ramion. Silna budowa ciała. Emanująca zdecydowaniem. Z tyłu było napisane: „Farah, lat 12”.

– Byłam bardzo bojaźliwym dzieckiem.

– Nie widać tego po tobie.

– Ukrywałam to przed wszystkimi. Nawet przed sobą samą.

Wstała. Nago przeszła po drewnianej podłodze do uchylonego bulaja.

– Nieważne, gdzie akurat byłam – powiedziała łagodnie. – Czasami zdarzało się to w szkole. W ciągu dnia. Czasami przy kolacji w domu. I bardzo często w nocy, w łóżku. Czułam się wtedy tak, jakbym została wyrwana z rzeczywistości i znalazła się w kinie, gdzie musiałam patrzeć na najbardziej przerażające sceny. Wpadałam wtedy w panikę. Bo cokolwiek bym robiła, film nadal trwał, a ja musiałam na niego patrzeć. Tyle tylko, że ja wiedziałam, że to wcale nie jest film. Zawsze było to coś, co działo się naprawdę.

Wyczerpało ją to opowiadanie, ale nie potrafiła przestać.

– Od chwili, kiedy mój ojciec został zamordowany, a matka złapana, aż do chwili, kiedy dotarłam do Holandii, brałam udział w tylu rzeczach, których nie pojmowałam, że nawet nie umiałam znaleźć słów, żeby to komukolwiek opowiedzieć. Jedyne, co mogłam zrobić, to próbować o nich zapomnieć.

Joshua długo na nią patrzył. Jego twarz wyrażała smutek.

– Co jeszcze chciałabyś sobie przypomnieć?

– Mojego ojca, który w ogrodzie pokazywał mi wschodnie sztuki walki. Matkę, która na pikniku odziana w piękne szaty recytowała wiersz Dżalaluddina Rumiego: „Ze słodyczą w sercach, przemierzamy, nauczając, świat. I oczarowuje nas wszystko wokół”.

Tu przerwała. Zaczęła szukać jego ust, jego języka. Szukała w nim wszystkiego, co mogło ugasić jej pragnienie.

Do późna w noc Marouan siedział jak przymurowany przy pokerowym stoliku, owładnięty żądzą wygranej i oszołomiony przegraną. Kiedy wreszcie wytoczył się na dwór, był drobnym posiadaczem wielkiego długu. Z najwyższym trudem powstrzymał się, żeby nie cisnąć butami w Rembrandta, który współczującym wzrokiem spoglądał na niego z marmurowego cokołu.

Przeszedł przez most Blauwbrug z jednym tylko marzeniem. Żeby się rozpuścić. Żeby zniknąć. Na dobre. Zwolnił kroku i gapił się na rzekę. Człowiek składa się w większości z wody. Mógłby skoczyć tutaj do Amsteli. W asyście pary łabędzi odpłynąłby w zapomnienie. Ryby i kraby oderwałyby na początek najbardziej miękkie części jego twarzy. Skóra by mu się pomarszczyła i zrobiła tak cienka, że wreszcie mógłby się jej pozbyć. A kiedy zaczęłyby się w końcu zbierać w nim gazy, jego napuchnięte ciało wypłynęłoby na powierzchnię gdzieś w Kanale Morza Północnego. Przepływałyby nad nim wycieczkowce, jachty i barki, podczas gdy węgorze wwierałyby się w dziury w jego ciele.

Zamiast skoczyć, wrócił na wybrukowany kocimi łbami plac przed Oude Kerk. Wmówił sobie, że czas się zatrzymał. Że wcale nie przechodził tędy wcześniej. Że za niczym się nie rozglądał. Że tu się zatrzymał. Z pewnej odległości patrzył na młodszą wersję Aishy, która wciąż jeszcze stała w stringach i biustonoszu w wielkim oknie, wabiąc mężczyzn uśmiechem, puszczaniem oczka i drobnymi gestami dłoni.

Miała wystarczająco dużo chętnych. Wszyscy chcieli ją mieć. Tak samo jak wszyscy mężczyźni w wiosce chcieli Aishy. Ale dostał ją on. On, Marouan Diba. Zdobył najbardziej pożądaną dziewczynę w wiosce obietnicą, że ich dzieci będą dorastały w nowym świecie.

Była zima, kiedy razem z nią wyszedł z hali przylotów lotniska Schiphol. Myślał, że będzie pod wrażeniem, tak jak on, kiedy po raz pierwszy tu wylądował. Ale ona milczała. Początkowo interpretował to milczenie jako niemy podziw. A nie jako wyraz potulnego pogodzenia się z losem, jak okazało się później.

Nie miał pojęcia, kto nauczył ją żyć tak, jak jej nakazano. Aisha nie żyła tak, jak chciała, tylko tak, jak od niej oczekiwano. Jak oczekiwał jej ojciec, jej rodzina, Allah. Ona sama nigdy się w tej opowieści nie pojawiała. Tak jak nie było jej opowieścią małżeństwo z policjantem, tylko opowieścią jej rodziców.

W noc poślubną Aisha po raz pierwszy odrzuciła wstydlivość i była mu posłuszna we wszystkim. Zaślepiony pożądaniem wziął jej posłuszeństwo za namiętność.

Gdyby posłuszeństwo Aishy wynikało z jej woli, być może ich wspólna opowieść byłaby inna. Jej posłuszeństwo brało się jednak z obawy przed zejściem ze ścieżki, jaką wybrała dla niej rodzina. Aisha wyszła za mąż ze strachu, nie z miłości. Z tego samego strachu urodziła Marouanowi dwójkę dzieci i wychowała je. Było już za późno, kiedy zauważył, że Chahid i Jamila nie buntują się dlatego, że są w okresie dojrzewania, ale z potrzeby uwolnienia się od strachu.

Zaczął bić. Żonę i dzieci. Bił wszystkich troje, tak jak robił to jego ojciec, i przestał dopiero



wtedy, kiedy pewnego dnia Chahid mu oddał. Wtedy było już za późno na żal i zadawanie sobie pytania, dlaczego to wszystko. Wszelkiego rodzaju żal i wszelkie odpowiedzi były już dawno przeterminowane.

W końcu wrócił do podziemnego garażu po swoją corollę i przez jakiś czas jeździł bez celu po mieście. Kiedy parę godzin później skręcił na Ring, przednią szybę oświetlały już promienie porannego słońca,

Aisha i Chahid już wstali, gdy parkował samochód przed domem. Obudził Jamilę, bez słowa wziął walizki i torby stojące w korytarzu i upchał je w bagażniku. Oceniał, że będzie duża dopłata za nadbagaż. W milczeniu pojechali na lotnisko Schiphol. Jamila słuchała przez słuchawki muzyki z iPhone'a, a Chahid bez cienia zainteresowania patrzył przez szybę. Aisha siedząca obok niego patrzyła prosto przed siebie.

Przy odprawie Marouan zapłacił gotówką za cały nadbagaż. Dał bilety Chahidowi i poszedł razem z nimi aż do stanowiska kontroli dokumentów. Każdy krok odczuwał jak ukłucie bólu. Powiedział, że będzie codziennie dzwonił.

Zobaczył, jak znikają w wielkiej hali. Żadne się nie obejrzało.

Kiedy Farah się obudziła, Joshuy już przy niej nie było. Przypomniała sobie, jak ją obejmował, podczas gdy woda kanału chlupotała łagodnie o burtę statku. Drobne ruchy ich ciał. Gładził jej blizny, całował je, nie pytając, skąd się wzięły. I przy wtórze szeptanych przez niego uspokajających słów powoli zamknęły się jej oczy. Łagodny timbre jego szepczącego głosu.

– Śpij spokojnie. Jestem przy tobie.

Włożyła T-shirt i przeszła obok cyfrowej stacji pogodowej, na której migotały zielone symbole i czerwone cyferki. Mimowolnie pomyślała o monitorach na OIOM-ie w szpitalu WMC, gdzie leżał chłopiec. Zeszłej nocy zostawiła tam swój numer, ale na wyświetlaczu nie było żadnych nieodebranych połączeń przychodzących.

Zastała Joshuę przykucniętego na tylnym pokładzie. Kilka łabędzi zebrało się półkolem wokół niego jak grupka uczniów. Przemawiał do nich czule, jednocześnie je karmiąc, a łabędzie wyglądały tak, jakby naprawdę go słuchały. Kiedy jednak któryś z nich dostrzegł Farah, czar prysł. Joshua odwrócił się. Jego uśmiech zdradzał, że już od dawna wiedział, że za nim stoi. Dał jej znak, żeby podeszła bliżej.

– Nic mi nie zrobią? – spytała niepewnie.

– Ależ skąd. Pod warunkiem że nie zaczniesz im pokazywać ciosów *pencak silat*.

– Też coś – powiedziała kpiąco. – Nie masz zielonego pojęcia o *pencak silat*.

Delikatnie przyciągnął ją do siebie. Nie stawiała oporu, pozwalając, by jego dłoń powędrowała pod T-shirt do jej piersi, podczas gdy palce drugiej bawiły się paseczkiem stringów biegnącym między pośladkami. Zamknęła oczy i z największą przyjemnością odpowiedziała by pocałunkiem na pocałunek, gdy nagle owładnęło ją nieprzyjemne uczucie, że są obserwowani.

Na moście po drugiej stronie kanału stał mężczyzna, kierował teleobiektyw aparatu w ich stronę. Wyglądał jak wyjęty prosto z reklamy papierosów Marlboro i wcale się nie spieszył, kiedy się zorientował, że Farah na niego patrzy. Pstryknął jeszcze szybko kilka fotek i oddalił się wielkimi krokami, gdy zauważył, że Farah jest gotowa za nim pobiec.

Joshua przytrzymał ją łagodnie.

– Niemal każdy cudzoziemiec traktuje centrum miasta jak jakiś skansen, którego jesteśmy elementem – powiedział ze spokojem w głosie. – Już do tego przywykłem.

– No, ale on teraz ma na zdjęciach to, co przed chwilą robiliśmy...

– I będzie je sobie oglądał w domu z kolegami na dowód, że z własnego doświadczenia może powiedzieć, jakie to rozwiązłe życie prowadzą Holendrzy w swojej Sodomie i Gomorze. Niech sobie turyści mają swoje złudzenia. Czy może mam go aresztować?

– Mam wrażenie, że to wcale nie był turysta – powiedziała Farah niepewnie.

Joshua wzruszył ramionami.

– Na pewno Amerykanin. Pewnie przypląnął którymś z wycieczkowców i wybrał się na poranny spacer po zabytkowym centrum miasta. Nawet nie wiesz, jak często jestem fotografowany przez Chińczyków, Arabów, Amerykanów, żeby wymienić tylko parę nacji.

Nawet o tym nie wiedząc, jestem przypuszczalnie sławny na całym świecie.

W ciasnej kabinie prysznicowej Farah próbowała splukać z siebie nieprzyjemne uczucie, słysząc, jak Joshua krząta się po kuchni i nuci do dźwięków koncertu skrzypcowego Vivaldiego. Kiedy piętnaście minut później wyszła z powrotem na pokład, o mało nie przysiadła z wrażenia. Na wielkim rozkładanym stole stała odświętna kolekcja japońskich miseczek, w których był bulion, płatki zbożowe, sałatki z ogórków, dżem, imbir oraz zupa miso z kapustą chińską i cytryną.

Wszystko to było zbyt cudowne. Zbyt łatwe. Zbyt beztroskie. Sygnał komórki i pojawienie się na wyświetlaczu nazwiska Edwarda przywróciły jej poczucie grawitacji. Gestem pokazała Joshui, że za parę minut będzie z powrotem, i poszła na tylny pokład.

– Hafiz? Musisz być w południe na konferencji prasowej – powiedział Edward, kiedy odebrała.

– Też ci mówię dzień dobry, Ed. W południe jestem w Hadze. W Drugiej Izbie ma być debata w sprawie abolicji dla imigrantów.

– Hafiz, czasem odnoszę wrażenie, że dobry Pan Bóg specjalnie zesłał cię na ziemię, żeby mnie zdręczyć. Czy to prawda, że odmówiłaś komentarza po tym, jak pobiłaś tę Rosjanę tak, że aż zabrali ją do szpitala?

– A kto tak powiedział?

– Marant wczoraj wieczorem w czasie *De Headlines Show*.

– To było też w telewizji?!

– Ależ oczywiście. Jeśli Marant koniecznie chce o czymś powiedzieć, to robi to zarówno na łamach „*De Nederlander*” jak i w swoim *De Headlines Show*. U niej zawsze dostaje się dwa w jednym za tę samą cenę.

– Po walce pojechałam do szpitala zobaczyć, jak tamta zawodniczka się czuje, ale wtedy nagle przywieźli tego chłopca.

– Dobrze wiedzieć. Bo musimy na razie zostawić sprawę chłopca na boku. Inaczej wszyscy zaczną te sprawy wiązać. A musimy zapobiec sytuacji, żeby Marant zwietrzyła sprawę naszego śledztwa. Czy jeśli przesunę konferencję na piątą po południu, to zdążysz?

– Naprawdę muszę, Ed? Czy to nie może poczekać?

– Mam przeczucie, że Marant coś szykuje. Ta kobieta naprawdę robi wszystko, żeby tylko obrzucić nas błotem. Chciałbym zdusić te próby w zarodku. Zwłaszcza że wchodzimy w to śledztwo. Czy ja naprawdę słyszę, to co słyszę? Jesteś nad wodą?

– Yyy... muszę wrócić do śniadania, Ed.

– Przecież nie jadasz śniadań, Hafiz.

– Zajmij się lepiej swoimi sprawami. To na razie.

– Jeszcze jedno: Paul. Masz czas do namysłu do dziś w południe. Jeśli nie potrafisz się zdecydować, zrobię to za ciebie. Zadzwonisz?

Na moment czas zastygł w miejscu. Uświadomiła sobie, że nie może odwlekać decyzji w nieskończoność. Jej przeszłość potrzebowała długiego rozbiegu, by wykonać trójskok, dzięki któremu miała szansę ją dogonić. Paul był tym, który miał obudzić zmarłych do życia.

Chciała powiedzieć Edwardowi, że jeszcze nie jest gotowa, a raczej, że nigdy nie będzie na to gotowa.

– Odezwę się do ciebie, ty męczyduszo.

Wyłączyła się i nagle poczuła, jak dopada ją znowu znajomy smutek. Lekkość, jaką odczuwała jeszcze niedawno, zniknęła.

- Złe wieści? – spytał Joshua zatroskany.
- Mój szef. – Uśmiechnęła się z przymusem. – Chce zwołać konferencję prasową z powodu mojej wczorajszej walki, ze względu na komentarz w „De Nederlander”. Jego zdaniem zamierzają zrobić na mnie nagonkę.
- Kto to są ci „oni”?
- „De Nederlander” i IRIS TV. Tak naprawdę nie chodzi tutaj o mnie, tylko ogólnie o pewien rodzaj wendety wobec „AND”. Tak mi się przynajmniej wydaje.
- Czegoś nie łapię. Co ma wspólnego gala sportów walki z wendetą wobec gazety, w której pracujesz?
- Farah wypija łyk herbaty.
- Właścicielem IRIS TV jest Armin Lazonder.
- Ten potentat na rynku nieruchomości?
- Zgadza się. Dwa lata temu ostrzył sobie zęby na „AND”. Chciał mieć w swoim koncernie medialnym poważną gazetę. Jednym z najzagorzalszych przeciwników tego przejęcia był mój szef, Edward Vallent. Prowadził ostrą kampanię przeciwko temu pomysłowi, zarówno w redakcji, jak i w mediach. Za wszelką cenę starał się nie dopuścić, żeby „jego gazeta” „AND”, jedna z niewielu niezależnych gazet na poziomie, jakie jeszcze zostały, dostała się w łapska człowieka, którego uważał za najbardziej nieuczciwego magnata na rynku nieruchomości w całej historii Holandii. Ed oczywiście lubi dodać dramatyzmu sprawom, którymi się zajmuje, ale tak naprawdę to tylko dzięki jego wysiłkom dyrektorka „AND” wycofała się z rozmów i sprzedaż nie doszła do skutku. Lazonder kupił wtedy gazetę „De Nederlander”. Od tego czasu próbuje podkupić naszych najlepszych ludzi i atakuje nas w tej gazecie za każde potknięcie. Nigdy jednak nie posunęli się dotychczas tak daleko, żeby atakować konkretną osobę. Najwyraźniej mają zamiar zrobić to teraz po raz pierwszy, wykorzystując incydent z moim udziałem w czasie gali w teatrze Carré. Zamierzają wmówić swoim czytelnikom, że w sposób świadomy zmasakrowałam przeciwniczkę. Stawiając mnie w złym świetle, zamierzają publicznie podkopać wiarygodność wszystkich dziennikarzy pracujących w „AND”.
- I coś takiego może się udać? Ludzie naprawdę są w stanie uwierzyć w takie idiotyzmy?
- Wiele osób dosłownie je Cathy Marant z ręki. Ona może im wmówić wszystko.
- Spojrzała na przygotowane przez Joshuę śniadanie. Talerzyki i miseczki sprawiały na niej wrażenie pochodzących z innego świata. Zupełnie jak cały ten statek, na którym poczuła się nagle zupełnie nie na miejscu.
- Siedzieli w milczeniu naprzeciwko siebie. Żadne z nich nic nie jadło. Zobaczyła pytające spojrzenie Joshuy i poczuła, jak robi jej się smutno.
- Dla ciebie też kawy? – spytała z wahaniem.

Asystentka redakcji, do której przełączono Daniëlle, była tak samo miła i bezpośrednia, jak wszystkie inne osoby z IRIS TV, które wcześniej miała na linii. Kosztowało ją dużo wysiłku, żeby zachować spokój, ponieważ bez przerwy od nowa musiała wyjaśniać, że dzwoni w związku ze sprawą Dennisa i Angeli Faberów.

- Czy pani jest z policji?
- Nie, jestem lekarzem.
- Co w takim razie ma pani wspólnego z tą sprawą?
- Wszystko.
- Czy można prosić konkretniej?
- Mam ważne informacje.
- Jakiego rodzaju?
- Poufne. Będę rozmawiać wyłącznie z osobą decyzyjną.
- Chwileczkę.

Mainstreamowy przerywnik muzyczny. Terror audio.

- Jessica, słucham.
  - Kto?
  - Jessica Zomer z *De Headline Show*. Z kim mam przyjemność?
  - Daniëlle Bernson. Jestem traumatologiem w szpitalu WMC i...
  - Bardzo panią przepraszam, ale czy to ma jakiś związek z tematyką dzisiejszego wydania naszej audycji?
  - Yyy, no tak, bo ja...
  - Czy mogłaby pani mówić konkretniej?
- Daniëlle nie wytrzymała i wybuchła.
- Słuchaj no, Jessica, masz mnie natychmiast połączyć z redaktorem odpowiedzialnym!
  - Chwileczkę.

Daniëlle była już napięta jak struna i w dodatku zdenerwowana z powodu świadomości, że to, co zamierzała właśnie zrobić, jest w zasadzie moralnie godne potępienia. Ale nie widziała innej drogi.

- Alexandra Mons, redaktor odpowiedzialna *De Headlines Show*. W czym mogę pomóc?

Energiczny głos kobiety nawykłej do tego, by robić dziesięć rzeczy naraz. Pewnie przy każdym uchu miała inny telefon, a na kolanach dwa laptopy i do tego jeszcze siedziała w reżyserce, obserwując, co dzieje się na ośmiu monitorach.

- Witam. Z tej strony Daniëlle Bernson. Dzwonię do pani w związku ze sprawą niezidentyfikowanego chłopca potrąconego przez samochód w Lasku Amsterdamskim oraz aresztowaniem Dennisa Fabera. Jestem lekarką, która przewiozła chłopca z miejsca wypadku do szpitala.

Zamilkła. Na drugim końcu linii usłyszała szybkie stukanie w klawisze laptopa, wydane

głosem polecenie wykonania zbliżenia oraz instrukcję co do zmiany harmonogramu. Wszystko to zostało zwieńczone zdawkowym „Słucham dalej” rzuconym pod adresem Daniëlle.

– Pani Faber została aresztowana pod zarzutem potrącenia samochodem chłopca.

– Pani Faber została uwolniona od wszelkich zarzutów – rzuciła Alexandra Mons sucho.

– Zgadza się. Przeoczono jednak fakt, że to dzięki zawiadomieniu złożonemu przez panią Faber udało się uratować życie chłopca.

Stukanie po drugiej stronie ustało. Jakaś niewyraźna wymiana zdań w tle. Daniëlle usłyszała, jak Alexandra Mons zakrywa dłonią słuchawkę i mówi do kogoś „za chwileczkę, dobrze”, a potem zwraca się do niej z wyraźnym zainteresowaniem w głosie.

– Proszę mówić dalej, pani Bernson.

– Nieodpowiedzialna akcja policji nadszarpnęła reputację kilku osób. Wydaje mi się, że należy to naprawić.

– Jak pani sobie to wyobraża?

– Nie znam się na mediach. Jestem lekarką. Ale mogę na przykład umożliwić państwu Faberom dostęp do chłopca na oddziale intensywnej terapii. Mogłaby im towarzyszyć ekipa z kamerą. Można by zrobić krótki materiał o tym, że pani Faber spełniła swój obywatelski obowiązek i dzięki temu, że zadzwoniła na numer alarmowy, udało się uratować życie chłopca. Chłopiec nie ma żadnej rodziny.

Na chwilę zapanowała cisza, a potem Alexandra Mons zapytała prosto z mostu:

– A jaki jest w tym pani interes?

– Mój interes w tym jest taki, że zależy mi na tym, żeby cała prawda wyszła na jaw. Czy słyszała pani kiedyś określenie *bacha bazi*?

– Nie. Czy to ma coś wspólnego z tym chłopcem?

– Chłopiec był prawdopodobnie seksualnie wykorzystywany przez starszych panów. To pewien rodzaj tradycyjnego afgańskiego rytuału. Chłopiec jest przypuszczalnie ofiarą handlarzy dziećmi. Pyta pani, jaki jest w tym mój interes. Otóż chodzi mi właśnie o to, żeby cała ta sprawa przedostała się do opinii publicznej.

– I uważa pani, że w ten sposób upiecze pani dwie pieczenie przy jednym ogniu? A więc Angela i Dennis Faberowie zostaną zrehabilitowani, a pani będzie mogła przedstawić swoje podejrzenia?

– Właśnie tak.

– Okay, pani Bernson. Jeśli o mnie chodzi, sprawa jest jasna. Za kwadrans mam odprawę redakcyjną na temat wieczornej audycji. Przedstawię pani propozycję. Kiedy tylko będę wiedziała coś więcej, zaraz do pani oddzwonię. Powinno to być do południa. Zgodna?

W głowie Daniëlle zakotłowało się.

– Ponieważ inne stacje też wyraziły wstępne zainteresowanie, bardzo proszę o szybką decyzję – zablofowała.

Nie minęło piętnaście minut, kiedy zadzwoniła jej komórka.

– Doktor Bernson? Mówi Cathy Marant. Chciałabym omówić z panią kilka spraw i złożyć kontrpropozycję.

Joshua Calvino wjechał za carrerą Farah do lasu i idąc za jej przykładem zaparkował na prawym poboczu, w tym samym miejscu, gdzie zostawiła samochód poprzedniego dnia. Miał do siebie żal, że nie wrócił tutaj wcześniej. Ale wszystkie te wczorajsze wydarzenia, aresztowanie małżeństwa Faberów, zamieszanie, które z tego powodu wybuchło, nadgodziny i papierkowa robota sprawiły, że ta część śledztwa się opóźniła.

Dzisiejszej nocy nie zmrużył oka. Nie dlatego, że nie mógł, tylko dlatego, że nie chciał. Chciał wykorzystać każdą sekundę, kiedy mógł na nią patrzeć. Na jej ciało, które ani przez minutę nie potrafiło pozostać w tej samej pozycji. Chciał nasłuchiwać jej nieregularnego, czasem wręcz spazmatycznego oddechu. Zupełnie jakby pokonywała fragmenty swojego snu w krótkich odcinkach, to wolniej, to znów pośpiesznie. Czuł, jak się uspokaja, gdy przysuwał się do niej bliżej i delikatnie kładł na niej rękę. A kiedy tak leżał, uświadomił sobie, że nie ma co żywić żadnych złudzeń. Wszystko mu mówiło, że Farah Hafiz to kobieta, która zatrzymała się przy nim tylko na chwilę.

Zobaczył, że wysiada z wozu, i zrobił to samo. Poranne słońce przebijało się między drzewami. Nie było żadnego ruchu. Przeszedł przez jezdnię kilka kroków za nią. W milczeniu, ale z głową pełną chaotycznych myśli i błyskawicznych decyzji. Jedną z najistotniejszych podjął dla własnego bezpieczeństwa. Mianowicie nie wolno mu się zatracić w związku, z którego wyjdzie z piętnem porzuconego. Nie wolno mu się zatracić w uczuciu do kobiety, która wchodziła do lasu kilka kroków przed nim. Musi się uzbroić i zachować autonomię. Jeszcze bardziej, niż robił to dotąd przy podobnych okazjach.

Farah odwróciła się.

– Stąd wczoraj do ciebie dzwoniłam.

Nagle poczuł się tak, jakby zmierzał w stronę nieuniknionego końca, w stronę punktu, w którym wszystko od momentu ich pierwszego spotkania aż do tej chwili będzie musiało być wymazane z jego myśli, aby mógł powrócić do swego dawnego, przewidywalnego ja.

Kiedy wczoraj zobaczył ją w tym okrągłym namiocie i ona do niego podeszła, zdumiało go własne zachowanie, jego otwartość i bez troska. Była to jedna z tych zagadkowych chwil, co do których Einstein z pewnością wymyśliłby jakąś teorię. Czas, siła ciężenia i energia bawiły się jego kosztem. Wszystkie jego pozytywne cechy skupiły się w jedno i dzięki temu wzniósł się ponad siebie samego.

Jego wrodzona potrzeba kontrolowania swoich poczynań w zasadzie nie dopuszczała takich rzeczy. Zaskoczenia i niespodzianki najczęściej wykluczał ze swojego codziennego życia, wierzył w logiczny ciąg przyczynowo-skutkowy. Wielkie, wywracające wszystko do góry nogami emocje nie były mile widziane. Samokontrola pozwalała mu zachować ostrość widzenia. Dlatego był tak dobry w swoim fachu: doskonale umiał analizować sytuację.

A więc ten potrącony przez samochód chłopiec był tamtej nocy nie tylko w tym miejscu. Da się to jakoś wyjaśnić. W bezwzględnie logiczny sposób. I on to zrobi, chociaż jeszcze nie znalazł

ostatecznego wyjaśnienia. Ledwie dobiegł do tego miejsca, że samochód kombi z dwoma ciałami w środku, a potem pojawiła się ta kobieta, o której natychmiast wiedział, że przewróci jego życie do góry nogami. Nie potrafił dostrzec żadnej logiki w tym, co wydarzyło się między nimi od tamtej chwili.

Zatrzymała się.

– To było tutaj.

– Jesteś pewna?

– Jak najbardziej.

Wyjął chusteczkę i zawiązał ją na wysokości oczu wokół gałęzi, żeby zaznaczyć miejsce, gdzie znalazła kolczyk.

Wydawało mu się, że dostrzega ślad z połamanych gałęzi. Na kolczyku była krew. Albo ktoś wyrwał mu kolczyk z płatka ucha, albo zrobiła to gałąź. Tak, tak właśnie musiało być. Chłopiec biegł. Kolczyk zahaczył o jakąś gałąź i został wyrwany z ucha. Chłopcy z medycyny sądowej powinni znaleźć tu ślady krwi.

Nagle uświadomił sobie, jak nieprzemysłana jest ta ich poranna ekspedycja. Pomijając już fakt, że w tym momencie z punktu widzenia techniki policyjnej „zanieczyszczają” swoimi śladami obraz wydarzeń w terenie, przez który najprawdopodobniej przebiegał chłopiec, to jeszcze będzie w którymś momencie zobowiązany wyjaśnić, w jaki sposób zdobył kolczyk. Znajdując kolczyk, Farah stawała się oficjalnym świadkiem w sprawie, a do tego była jeszcze dziennikarką. Nie chciał, żeby w ten sposób została wciągnięta w sprawę. Trzeba temu jakoś zapobiec, chociaż w tym momencie nie wiedział jeszcze, jak to zrobić.

– Z tego miejsca widać willę.

Podążył wzrokiem na jej wyciągniętą ręką. Pomiędzy liśćmi dostrzegł ponure kontury starego budynku z zamkniętymi okiennicami.

– Pamiętasz może, którą dokładnie szłaś w tamtą stronę?

Farah skinęła głową. Na szczycie wzniesienia, mniej więcej pięćdziesiąt metrów od willi, znowu się zatrzymała. Wzdrygnęła się.

– Co się dzieje?

– Nie czujesz?

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Idź dalej sam – powiedziała. – Ja tam już byłam. Wolę się nie zbliżać.

Poszedł więc sam, powoli, uważnie rozglądając się wokoło. Miał się na baczności. Z przodu willi było patio wyłożone czarno-żółtymi płytkami. Czy dobrze widzi? Przykucnął. Ślady wleczenia z kawałkami zakrzepłej krwi. Wycofał się ostrożnie, żeby nie zostawić na patio swoich śladów. Na pokrytej drobnym żwirem części zobaczył, że ślady skrzyżowały się z innym śladem, ciągnącym się od boku willi. W miejscu, gdzie ślady się zbiegały, żwir był skotłowany. Joshua domyślił się, że to miejsce, w którym stał samochód. Tutaj zapakowano do bagażnika dwa ciała.

Przed oczami stanął mu w technikolorze obraz płonącego kombi. Spojrzał w stronę Farah, która stała w pewnej odległości od niego, i kiwnął jej głową. Przed chwilą dała mu do zrozumienia, że wyczuwa mroczną atmosferę wokół tego budynku. Może miała jakiś specjalny dodatkowy zmysł, którym wyczuwała rzeczy niezauważalne dla normalnego człowieka? Z takim darem, w połączeniu z jego analitycznym umysłem, mogłaby stanowić dla niego idealną partnerkę w śledztwie. Natychmiast porzucił jednak tę myśl i wrócił do miejsca, gdzie na niego czekała.



– Ktoś został wywleczony z budynku na zewnątrz – powiedział. – Ktoś ranny. W którymś momencie druga ofiara upadła. Obie zostały załadowane do samochodu.

– Tamto kombi?

– Jest kilka śladów kół. Jedne z nich mogą należeć do kombi.

– Czy to ma coś wspólnego z chłopcem? – spytała.

– Na to wygląda – powiedział Joshua, rozglądając się dokoła. – Muszę tu zorganizować parę rzeczy.

– Jakich?

– Ludzie z medycyny sądowej muszą przeczesać teren. Trzeba też wejść do środka. Moim zdaniem tutaj aż roi się od śladów.

– Czy będę ci jeszcze potrzebna?

O tak, chciał odpowiedzieć. Nie tylko teraz, ale zawsze. Zamiast tego zdobył się jedynie na suche:

– Nie, chwilowo nie.

– W takim razie już sobie pójdę – powiedziała, a on miał wrażenie, jakby oczy jej zmatowiały.

– Mam jeszcze do przejechania kawał drogi.

Bardzo chciał coś zrobić, coś powiedzieć, czym mógłby jej dać do zrozumienia, że wcale nie chce, żeby odchodziła. Albo po prostu pójść razem z nią i zostawić tę przeklętą wilę w diabły. Ale ona go uprzedziła.

– To jest o wiele większa sprawa, niż nam się wydaje, zgadza się?

Nie wiedział, czy mówi teraz o tym, co się zdarzyło między nimi, czy o sprawie.

– Najprawdopodobniej masz rację. W każdym razie w raporcie będę musiał wspomnieć, że to ty znalazłaś kolczyk.

– Oczywiście – odpowiedziała z beztroską, która potwierdziła jego przypuszczenia, że przez cały czas zdawała sobie z tego sprawę.

– Będzie to oznaczało, że policja będzie cię musiała oficjalnie przesłuchać na okoliczność tego, dlaczego się tutaj znalazłaś i co tu robiłaś – dodał poważnym głosem.

– Czy to naprawdę konieczne?

– To standardowa procedura – objaśnił z ociąganiem.

– A więc to jest wasz sposób powiedzenia „dziękujemy za pomoc”.

Poczuł, jak napinają się wszystkie mięśnie jego ciała. Dlaczego nic nie powiedział wczoraj podczas rozmowy z Tomasoą? To był impuls. A przy okazji głupie uchybienie. Przemilczał fakt, że w sprawę zamieszana jest dziennikarka i że właśnie ona znalazła istotny dowód. Dostanie teraz od niego po głowie. Diba go wtedy nie wsypał, ale jeśli przyjdzie co do czego, to nie wiedział, czy na pewno może na niego liczyć.

Czuł się zagrożony i wiedział, skąd się to wzięło. Normalnie zawsze panował nad sytuacją i wiedział, co robi. Od kiedy jednak tamtej nocy w sposób dosłowny podał pomocną dłoń przemoczonej dziennikarce, przestał być sobą. Jeszcze wczoraj, gdy byli u jej szefa, zgrywał wyluzowanego gliniarza w okularach od Gucciego. Była to wybujała forma efekciarstwa, którą grzeszył jako nastolatek, ale żeby teraz? Jako dorosły człowiek i inspektor policji? Pod pretekstem współczucia zaniósł ją wczoraj pod prysznic. Ale jej smutki zupełnie go nie interesowały. Chciał tylko jednego: jej, i tylko jej.

Carrera pędziła sto trzydzieści kilometrach na godzinę po A4 w kierunku Hagi. Farah włączyła tempomat. Myślała o Joshui Calvinie i zastanawiała się, czy on ma kogoś. Nie spytała go o to. W ogóle o tyle rzeczy go nie spytała. Właściwie zupełnie nic o nim nie wiedziała, nawet tego, co do niej czuje. Jeśli wszystko to miałyby być tylko mieszkanką współczucia i pożądania, to jeśli o nią chodzi, nie widziała u siebie współczucia, tylko raczej podziw. A co do seksu, to sama go zainicjowała. Jedyne, co mogłaby mu zarzucić, to fakt, że tak idealnie się do niej dostosował.

Zbijało ją z tropu, że ten właściciel znakomicie urządzonego mieszkania na wodzie i mający wielką wyobraźnię kochanek był też człowiekiem, który potrafił jej słuchać, zupełnie jakby był jej powiernikiem. Nigdy wcześniej się z czymś takim nie spotkała. Przypomniało jej to pierwsze spotkanie z Paulem, trzydzieści lat temu, tyle że w intensywniejszej formie. Była wtedy dzieckiem, ale doskonale pamiętała, jak intensywne było jej zdumienie.

Paul był pierwszym chłopcem, na którego temat miała erotyczne fantazje. Jej myśli i emocje skupiły się po tamtym spotkaniu w wielkie elektryczne wyładowanie. Całe jej dziewczęce ciało płonęło, każdy ruch sprawiał ból. Trzy dni i noce leżała w gorączce. Lekarz myślał, że złapała jakiegoś wirusa. Matka siedziała przy niej, robiąc jej mokre kompresy na czoło i nadgarstki. Farah wciąż pamiętała jej pełne rozpaczę spojrzenie i słowa, które szeptała do niej pierwszej nocy: „*To kho ne bachem, ami tu kho ne*”. Tylko nie ty, kochanie. Tylko nie ty. Farah nie miała pojęcia, co chciała przez to powiedzieć, ale w słowach tych pobrzmiwało wielkie cierpienie. Potrzebowała całego tygodnia, zanim całkowicie doszła do siebie i mogła dołączyć wczesnym rankiem do ćwiczącego pod jabłonią ojca. Postanowiła, że nie zdradzi rodzicom prawdziwej przyczyny swojej „choroby”, ale odnosiła wrażenie, że jej matka z niewiadomej przyczyny zna prawdę. Mówiło o tym jej spojrzenie. Spojrzenie, w którym była wiedza.

Z rozmyślań wyrwał ją sygnał komórki. David. Odebrała natychmiast, by w nagłym przyływie emocji wyznać mu wszystko, co wydarzyło się tej nocy.

– Gdzie się podziewałaś wczoraj wieczorem? – Jego głos brzmiał szorstko.

– Przepraszam cię, że tak wyszło – powiedziała, czując wyrzuty sumienia.

– Coś ci przez to umknęło. Klamka zapadła. Mamy zielone światło na Projekt Verne!

Bogu niech będą dzięki, pomyślała. Żadnych natarczywych pytań, żadnego ściemniania ani ckliwości.

– To wspaniale, kochanie – zareagowała z przymusem, starając się nadać głosowi pełne entuzjazmu brzmienie. – Gratulacje!

– Co się dzieje?

– Nie rozumiem?

– Masz jakiś zmieniony głos.

Przejrzał ją. Stworzył okazję, wystarczyło tylko, żeby podjęła wyzwanie. Powiedz mu. Powiedz to!

– Mało spałam. – Przynajmniej nie było to kłamstwo.

- Dlaczego? Masz wyrzuty sumienia? – Wciąż jeszcze słychać był w jego głosie urazę.
- Prawie pół nocy spędziłam w szpitalu. Chłopiec miał kolejną operację.
- Och, to przykra sprawa. A teraz? Jedziesz gdzieś?
- Tak, do Hagi. W związku z posiedzeniem parlamentu.
- Tylko jedź ostrożnie, dobrze? Koniecznie chcę, żebyś była dzisiaj u mnie wieczorem cała i zdrowa. Pójdziemy to uczcić. Za trzy miesiące zamierzam wyruszyć. Musimy zapiąć wszystko na ostatni guzik, podjąć ostateczne decyzje, będziesz mogła teraz już na pewno zrezygnować z mieszkania. Wyjeżdżamy!
- Jeszcze nigdy nie słyszała, żeby David tyle mówił. Skarbie, pomyślała, muszę ci o czymś powiedzieć. Dzisiaj w nocy pieprzyłam się z innym facetem i było bosko.
- Mam jeszcze dzisiaj konferencję prasową z Edwardem. Nie mam pojęcia, ile to potrwa.
- Kochanie, wszystko będzie dobrze – powiedział zadowolony. – Bogowie nas pobłogosławili. Jedyne, co się teraz liczy, to to, żebyśmy podjęli właściwe decyzje, ty i ja. Informuj mnie, gdzie jesteś. I jeszcze coś. Farah?
- Tak?
- Tak bardzo za tobą tęskniłem. Jestem uzależniony od Farah. I chcę żyć w takim zamroczeniu przez resztę życia. – Zaśmiał się żywiołowo.
- Ja też cię kocham – powiedziała machinalnie i zakończyła rozmowę. Nagle docisnęła pedał gazu tak mocno, jak tylko się dało, i mknąc po szosie, wyprzedzała wszystko i wszystkich, pędziła szybciej od dźwięku, szybciej od światła, żeby tylko dotrzeć gdzieś, gdzie nie będzie już żadnych wspomnień, żadnych słodkich pokus, a przede wszystkim żadnej zdrady.

## Część 2

# DUCH

Wszystko wokół niego wydawało się wirować, podczas gdy on stał nieruchomo w środku. Ale może to było tylko złudzenie.

Przez jakiś czas było zupełnie ciemno i bardzo cicho. Miał takie poczucie, jakby leżał w jakiejś olbrzymiej dłoni, która łagodnie kołysała go to w jedną, to w drugą stronę, gdzieś, gdzie nikt nie miał do niego dostępu. Gdzieś między niebem a ziemią. Ale jeszcze nie umarł. Przez jakąś niewidzialną szczelinę w ciemnościach przedostawały się do środka odgłosy.

Z początku były odległe i zniekształcone, zupełnie jakby dochodziły z cicho grającego radia: odgłosy jarmarku, nawołujący się ludzie, płaskanie dłoni piorących ubrania w rzece, silnik starej dieslowskiej ciężarówki, która zakopała się w błocie. Odgłosy stawały się coraz wyraźniejsze. Głosy ludzi mówiących w jakimś obcym języku. Komenderujący mężczyźni, suche rozkazy, mieszające się z kobiecymi głosami, które brzmiały zdecydowanie, a czasem pytająco.

Potem zaczął dostrzegać twarze, zupełnie jakby jego oczy stopniowo przyzwyczajały się do ciemności. Na początku były to tylko nieostre głowy z rozmywających się plam i mające pozbawione życia oczy. Przez chwilę myślał, że może widzi siebie samego, że to są jego oczy. Ale oczy znajdowały się w twarzy kobiety, która stała nago przed lustrem, patrząc na niezliczone małe blizny na swoim ciele.

Pomyślał: skoro poznaję własne oczy w czyjejś twarzy, to znaczy, że wciąż widzę. Skoro myślę, to znaczy, że wciąż mam myśli.

Potem pojawiły się gwiazdy, ukryte wcześniej za chmurami. Zobaczył je z okna samochodu, który wiozł go przez deszcz. I widział własne odbicie w zaparowanej szybie. Jego oczy znajdowały się tym razem w twarzy dziewczynki, która wyglądała jak jego siostra bliźniaczka. Dziewczynka miała czarne kontury wokół oczy i tłustą szminkę na ustach. Przesunął palcami po ustach i dziewczynka zrobiła to samo. Dziewczynka pociągnęła ręką koleczyk w kształcie półksiężyca, a wtedy on poczuł ból w uchu.

Sandały z cekinami uciskały mu palce. Z każdym niepewnym krokiem w nieznanym domu czyjaś dłoń silniej zaciskała się na jego ramieniu. Dłoń popychała go dalej i dalej, przez drzwi i pokoje, w których panowała śmiertelna cisza.

Człowiek, który wyłonił się z cienia, miał oczy jego ojca. Jego pistolet błyszczał, tak jak i jego czarny garnitur. Usłyszał głośnie uderzenie i mężczyzna, który prowadził go przez korytarze upadł na podłogę obok niego. To uderzenie było uderzeniem jego serca. Człowiek w czarnym garniturze złapał go i wybiegł z nim z domu. Bicie serca w jego piersi i dyszący oddech mieszały się z odgłosami wystrzałów, pękającego szkła, krzyków i wreszcie metalicznego uderzenia, kiedy dotknęło go białe światło.

Unosił się w tym świetle. Coś stało się z jego ciałem, nie mógł się poruszać. Jasnowłosa kobieta cały czas pochylała się nad nim. Było mu zimno. Dokuczał mu ból. Oczy mu się

zamknęły. Z ciemności wyłoniła się kobieta, którą widział stojącą nago przed lustrem. Jej oczy były niebieskie. Nie mówiła w innym języku, tak jak wszyscy tamci ludzie. Mówiła w języku, który rozumiał.

*Powiedziała, że przyjedzie po niego tato. Tylko musi trochę poczekać. Aram bash bachem. Oe ale miyaya. Tylko spokojnie, kochanie. On niedługo przyjdzie.*

*Chciała też wiedzieć, jak się nazywa, ale on był tak zmęczony, że samo szukanie słów to było dla niego za wiele. To, co mówiła, sprawiało, że ból był mniejszy. Może naprawdę umarł. A ona była jego aniołem. Pięknym aniołem śmierci.*

*– Ma peshet mebasham – powiedziała. Zostanę przy tobie.*

**W** centrum Johannesburga było aż gęsto od trąbiących klaksonami minibusów. Dzieci w szkolnych mundurkach biegły grupkami po chodnikach przy wysokich blokach, w których mieszkali imigranci, masowo przybywający z całej Afryki do Egoli, Złotego Miejsca, jak w języku zulu nazywał się Johannesburg.

Pomimo dużej liczby firm, policji i daleko idącej przebudowy, która powinna uczynić to miejsce dostępnym dla każdego, widziało się głównie czarne twarze. Pojawienie się białego w Muggers Paradise wciąż jeszcze było proszeniem się o kłopoty, o czym Paul Chapelle doskonale wiedział, ale w ciągu tych trzech lat, które już spędził tutaj jako niezależny dziennikarz, jakoś dopisywało mu szczęście.

Większość jego artykułów ukazywała się w „Citizen”, jednej z niewielu południowoafrykańskich gazet, które nie uległy pokusie, by na pierwszej stronie epatować zdjęciami z krwawych morderstw. Paul uważał, że ciągle wyliczanie morderstw bez szerszego kontekstu jest pozbawione sensu. Chciał pisać artykuły, które dawały wgląd w tło wydarzeń. Na łamach „Citizen” miał taką szansę.

Wprowadził się do czarnej dzielnicy Alexandra, aby żyjąc pośród pięciuset tysięcy czarnych mieszkańców, pisać reportaże o codziennej nędzy, ostro kontrastującej z życiem w sąsiednim Sandton, bogatym i przeważnie białym centrum biznesowym Johannesburga. Mandela powiedział kiedyś, że mieszkańcy Republiki Południowej Afryki to „tęczowy naród”, ale Paul widział przede wszystkim czarno-biały kontrast między dzielnicami nędzy a biurowcami ze szkła i stali. Afrykański Kongres Narodowy niewątpliwie wiele zmienił, jeśli chodzi o warunki życia wielu biednych czarnych, ale jednocześnie polepszyły się też warunki życia mieszkańców RPA z klasy średniej, tak że przepaść dzieląca bogatych i biednych w tęczowym narodzie Mandeli, ogólnie rzecz biorąc, pozostała dokładnie ta sama, co przedtem. W Sandton widać było nawet całkiem sporo czarnych, którym się powiodło, pośród bogatych białych, jednak dla ogromnej większości biednych to miejsce zamieszkania i możliwość przemieszania się z białymi stanowiły niemożliwy do osiągnięcia ideał.

To właśnie powodowało wzbierającą frustrację i narastającą nienawiść nie tylko wobec żyjących w dobrobycie białych, ale też niektórych polityków Afrykańskiego Kongresu Narodowego, których podejrzewano o wzbogacenie się. Tylko czekano, żeby pojawił się populistyczny przywódca o zdolnościach demagogicznych, który będzie umiał zmobilizować obóz niezadowolonej czarnej ludności, by pociągnąć w przepaść chwiejną demokrację RPA.

Niebezpieczeństwo takie bezustannie wisiało w powietrzu, lecz mimo wszelkich problemów i przeciwności Paul lubił Johannesburg z jego pulsującym ruchem ulicznym, bezustannym rykiem klaksonów, pokrzykiwaniami i gorączkowym pośpiechem. Miasto było jak mikser, w którym dzień w dzień w coraz bardziej bezwstydnym sposób mieszały się ze sobą nadzieja i nienawiść, świetlane wizje i twarda rzeczywistość, kłamstwo i prawda.

Już z daleka zobaczył właściciela kiosku, który na jego widok podniósł do góry

międzynarodowe wydanie „Algemeen Nederlands Dagblad”, ukazujące się co piątek.

– *Same as usual, mister Chapelle?*

– *Same shit as usual* – odparł z uśmiechem.

Chwilę później, trzymając pod pachą „AND”, „Guardiana” i „New Yorkera” wchodził już do Stella’s Coffeebar, gdzie mieszał swoje macchiato z podwójnym espresso i zaczynał lekturę od przeglądania „AND”. Gazeta cały czas trzymała kurs wyznaczony przez jego wuja, Edwarda Vallenta, i Paul musiał przyznać, że wciąż była wiodąca na rynku prasy. Edwardowi udało się zebrać w drużynie grupę młodych wilków, pracujących z energią i wytrwałością.

Dziś jednak nie udało mu się skupić uwagi na lekturze. Jego oczy prześlizgiwały się po drukowanych tłustym drukiem nagłówkach i czarnych zdjęciach na stronie tytułowej, ale jego mózg nie rejestrował treści. Jego myśli wciąż odpływały w stronę pustego miejsca, które powstało w jego życiu kilka miesięcy temu. Nadal nie udało mu się tego miejsca od nowa wypełnić i za nic nie potrafił zaprzestać starań, by to się jednak stało. Było z tym zupełnie tak samo jak z językiem, który nieustająco sam z siebie dotyka dziury w zębie.

Jeszcze pół roku temu Paul mieszkał w Johannesburgu dokładnie na tych samych zasadach, na jakich poprzednio mieszkał w Istambule, Atenach, Paryżu i Amsterdamie: rozglądał się wokół i wszędzie widział materiał na artykuł.

Paul odziedziczył geny po ojcu, a więc także uporczywą podejrzliwość wobec autorytetów, instytucji rządowych i międzynarodowych koncernów. Kiedy tylko nadarzała się okazja napisania czegoś w tym duchu, Paul wgryzał się w temat z siłą i determinacją białego rekina.

O ile przedstawiane przez siebie tematy traktował bardzo dogłębnie, o tyle w miłości był powierzchowny. Zawsze były jakieś kobiety, ale nigdy nie na długo. Paul odchodził, najczęściej zanim jeszcze kolejna partnerka przejrzała jego brak potrzeby intymności. I zanim któraś z nich mogła zacząć znaczyć na tyle dużo, aby sprawić mu ból, gdyby sama odeszła.

Tego stylu życia trzymał się konsekwentnie aż do chwili, gdy w pewien duszny wieczór wpadł na Susanne. I to dosłownie. Paul miał w zwyczaju trzy razy w tygodniu przebiegać dziesięć kilometrów i regularnie robił to ulicami Alexandry, zazwyczaj z hordą depczących mu po piętach dzieciaków, zachęcających go entuzjastycznymi okrzykami. Tego wieczoru zatrzymał się na jakimś skrzyżowaniu w nieznanym sobie części dzielnicy, ponieważ zgubił drogę. Wtedy zobaczył Susanne, jak stoi w obłoku kurzu, mając za sobą własną czeredkę. Sytuacja była tak komiczna, że aż posłał jej uśmiech. Ruszyła dalej z niezadowoloną miną. Paul ruszył także i biegł teraz równoległe z nią. Musiał mówić bardzo głośno z powodu krzyków goniących za nimi dzieciaków.

– *Where you’re from?*

– *None of your business.*

– *Where is that?*

– *Where is what?*

– *The place called None of your business.*

Zatrzymała się gwałtownie.

– *Are you mocking me?*

– Nie, po prostu mnie zaciekawiaś. A poza tym zgubiłem drogę – powiedział w języku afrikaans. Spojrzała na niego zdumiona. – No i szczerze mówiąc, nie co dzień zdarza mi się widzieć białą mieszkankę RPA uprawiającą jogging w czarnej dzielnicy – dodał z najbardziej szarmanckim uśmiechem, na jaki było go stać.

Uśmiechnęła się ironicznie.

- Patrzcie państwo.
- Nie będziesz miała nic przeciwko temu, żebym pobiegł z tobą?
- Jeśli nadążysz.

I pobiegła przed siebie.

Wieczorem tego samego dnia, kiedy popijali lodowate piwo w kawiarnianym ogródku, opowiedziała mu o swoich doświadczeniach z pracy w fundacji Be Aware, w ramach której od pół roku zajmowała się dziećmi w dzielnicy Alexandra, które ze względu na warunki życia narażone były na podwyższone ryzyko zachorowania na gruźlicę. Susanne stała się jego partnerką w biegach, jego powierniczką, jego kumpelą od piwa oraz – *thank heaven for running girls* – niedługo potem jedną z najbardziej żywiołowych kochanek.

W tym samym okresie Paul prowadził śledztwo w sprawie południowoafrykańskiego ministra obrony Jacoba Nkoane, który przypuszczalnie za grube miliardy skupował broń. Dostawy szły z Ukrainy i docierały do Johannesburga przez Egipt. Co najmniej dwa zarejestrowane na Ukrainie samoloty przywiozły tą trasą po trzydzieści ton broni każdy. Minister zamieszany był też w kilka innych podejrzanych transakcji. Część pieniędzy pochodzących z budżetu jego ministerstwa zniknęła w firmach należących do Nkoane. Wyciągi z kont wskazywały na to, że duże kwoty przelewano stale na kilka zagranicznych rachunków bankowych.

Źródła, którymi dysponował Paul, były na tyle wiarygodne, że „Citizen” mógł sobie pozwolić na wydrukowanie jego artykułu na pierwszej stronie. Rzecznik ministerstwa z miejsca określił materiał jako pomówienie, ale żadnych kroków prawnych przeciwko gazecie nie podjęto. W odpowiedzi na artykuł Nkoane udzielił telewizyjnego wywiadu, w którym stwierdził, że jeśli w Południowej Afryce występują jakieś problemy, to powinni je rozwiązywać sami obywatele RPA, a nie obcy.

Wzmocniony gwałtownymi zaprzeczeniami i reakcjami Paul urósł do roli Dawida, niezłomnego dziennikarza, który podjął się walki z wielkim Goliatem z szeregów niepodzielnie rządzącego w RPA Afrykańskiego Kongresu Narodowego. Bez wątplenia byli też inni członkowie rządu, którzy wykorzystali swoją władzę, by się wzbogacić. Kosztem własnych wyborców.

Śledztwo w sprawie machinacji finansowych członków rządu całkowicie go pochłonęło. Nareszcie miał szansę pisać historię i tym samym pójść w ślady swojego sławnego ojca, Raylana Chapelle’a. Skupiał się wyłącznie na tej sprawie, chodząc z jednego tajnego spotkania na drugie, podczas gdy Susanne po codziennej pracy w dzielnicach nędzy tęskniła za nim, ale rzadko kiedy zastawała go w domu.

Niedługo potem Susanne usłyszała, że fundacja Be Aware wypowiada jej pracę ze skutkiem natychmiastowym. Rządząca partia cofnęła subsydlum na zatrudnienie lekarki, która związała się z dziennikarzem publikującym wrogie wobec państwa artykuły. Postawiono ją przed wyborem: on albo praca.

Paul wpadł we wściekłość. Jeszcze tego samego dnia walnął pięścią w biurko redaktora naczelnego „Citizen”, kiedy usłyszał, że w związku ze zbliżającymi się wyborami, powinien zacząć dostarczać bardziej pozytywne teksty. Teksty, które będą podkreślały „ducha transformacji”. Innymi słowy, nmaczelny dał mu do zrozumienia, że żadne więcej artykuły Paula na temat łapownictwa i machlojek nie będą publikowane.

– Nie pozwolę, żeby mi ktoś tego zabronił! – wybuchnął Paul wieczorem w rozmowie z Susanne. – Nikomu nie pozwolę!

– Słyszałeś, co przed chwilą powiedziałam, Paul? Straciłam pracę.



– No, wiem, współczuję. Ale nie miałaś wyboru.

– Oczywiście, że miałam wybór! – zawołała wściekła. – Nic do ciebie nie dociera? Jak ja się z tym czuję? Że zostałam zmuszona zostawić moje dzieciaki tylko dlatego, że ty koniecznie musisz kontynuować swoją krucjatę?

Paul nienawidził szantażu i gardził jego najbardziej podłym wariantem: szantażem emocjonalnym.

– Przepraszam, ale nie wiedziałem, że tu chodzi tylko o ciebie. Czy też może o „twoje dzieciaki”. Nie jesteś żadną pieprzoną Matką Teresą!

Jej oczy ciskały gromy.

– Nie, tu nie chodzi o mnie. Tu chodzi o ciebie. O twoje życie w pogoni za upiorami, które cię dręczą. Ledwie się budzisz, już o nich myślisz. A w nocy ci się śnią. Już o niczym innym nie potrafisz myśleć. Dopóki nie znajdziesz czegoś, czym mógłbyś je przygwoździć. A dlaczego? Bo chcesz naprawić świat? Czy może tylko dlatego, żeby pokazać, że jesteś równie fantastycznym dziennikarzem, jak twój ojciec?

Pozwolił jej się wygadać. Na zewnątrz wyglądał na bardzo spokojnego, ale w środku aż gotował się z wściekłości. Ta kobieta nie miała zielonego pojęcia, kim on jest i o co chodzi w tym świecie.

– A ty oczywiście nie zamierzasz dalej żyć z upiorem. Czy o to chodzi?

– Czego ty chcesz, Paul?

Jej reakcja była wiele mówiąca. Nie miała zamiaru sama podjąć decyzji. On musiał to zrobić za nią.

– Chcę, żebyś wiedziała, kim jestem – powiedział możliwie najspokojniej. – To bardzo proste. Bez mojej pracy jestem nikim. Osobą pozbawioną celu. A bez takiego celu nie ma dla mnie życia.

– A beze mnie? – spytała ze łzami w oczach. Ech, te związki. Zupełnie jak z opium. Najpierw szczęśliwe oszołomienie, potem kac i nieunikniona samotność.

– Bez ciebie jakoś przeżyję.

Nie dała znaku życia przez tydzień. Dzwonił do niej. Przepraszał. Ale odzywała się tylko automatyczna sekretarka. Któregoś razu w środku nocy, gdy nie mógł zasnąć, a wiedział, że ona jest w domu, stanął nawet pod jej drzwiami, żeby zasypać ją wszelkimi obraźliwymi zarzutami, jakie potrafił wymyślić.

Potem ktoś do niego zadzwonił z wiadomością, że Susanne została zamordowana we własnym mieszkaniu w czasie napadu rabunkowego. W Hillbrow, samym centrum Johannesburga, tam gdzie mieszkała, dawne hotele i apartamenty dla *upper middle class* zamieszkiwała teraz ludność z terenów wiejskich oraz z krajów sąsiednich. Nie było policji, a ona nie miała w domu psa ani pistoletu, ani nawet solidnego zamknięcia sypialni. Została napadnięta we śnie, zgwałcona i zamordowana. Jedno z wielu niewyjaśnionych morderstw w Johannesburgu.

Dręczony poczuciem winy Paul był zbyt rozbity, żeby chociaż próbować ustalić fakty. Zupełnie jakby znalezienie morderców mogło cokolwiek zmienić. Jedyne pocieszenie znajdował, angażując się w nielegalne walki, a zarobione pieniądze przepijając. Jego śledztwo w sprawie skorumpowanego ministra leżało odłogiem.

Aż do chwili, kiedy któregoś wieczoru zadzwonił do niego nieznany mężczyzna o subtelnym, kulturalnym głosie, bez wątplenia należącego do wyższych sfer, mówiąc, że może dostarczyć

Paulowi informacji, które będą przełomowe dla sprawy i definitywnie wykażą istnienie powiązań Nkoane z rosyjską mafią.

Nagle w Stella's Coffeebar zrobiło się tłoczno. Macchiato Paula było już letnie, a nagłówki gazet wciąż tańczyły mu przed oczami. Po śmierci Susanne przychodził tu już w samotności niezliczoną ilość razy, tak jak miał to w zwyczaju, zanim ją poznał. Wciąż jednak nie potrafił się opanować i spoglądał na drzwi, gdy tylko ktoś je otwierał.

Przeklinał się za głupią nadzieję, że to będzie ona. Że podniesie się z miejsca, otoczy ramionami jej sprężyste, wysportowane ciało. Błyskawicznie wylądują potem w jego łóżku, gdzie będą się kochać, jęczeć z rozkoszy, złani potem, gryźć się nawzajem i bezustannie trzymać w objęciach. A potem będą leżeć obok siebie z otwartymi oczami i nasłuchiwać odgłosów miasta.

Spojrzał na zegarek i uświadomił sobie, że przyszedł za późno na umówione miejsce spotkania z nieznanym informatorem, wobec czego zapłacił i wyszedł szybko z lokalu, machając od razu na jeden z autobusów. Minie jeszcze wiele czasu, zanim wielkie puste miejsce w jego wnętrzu znowu się zapełni. Wciąż jeszcze miał Susanne w głowie, we krwi, w całym ciele. A to bolało.

Ukryta za wielkimi okularami przeciwsłonecznymi i kwiecistą chustą na głowie Angela Faber pierwsza wysiadła z samochodu przy wejściu dla personelu szpitala WMC.

Kiedy Daniëlle ją zobaczyła, od razu zaczęła mieć poważne wątpliwości co do planu, który przygotowała wspólnie z Cathy Marant. Ale nie mogła się już wycofać. Nie teraz.

Za Angelą Faber wysiadł Dennis Faber, również w okularach przeciwsłonecznych. Zrobił to jakimś dziwnym ruchem, zupełnie jakby był przymocowany gumą do wnętrza samochodu i w każdej chwili miał być wciągnięty z powrotem do środka. Bez przyklepionego do twarzy telewizyjnego uśmiechu był prawie nie do poznania. Wyglądał na zdezorientowanego i kurczowo trzymał się żony, która rozpaczliwie rozglądała się na wszystkie strony sponad krawędzi monstrualnych okularów.

Nie każdego dnia zdarzało się, żeby małżeństwo Faberów anonimowo wysiadało z samochodu przy tylnym wejściu do szpitala.

Trzecia, nieznana jej osoba, która wysiadła z samochodu, była wyposażona w aparat fotograficzny i walizczkę z obiektywami i jako jedyna z całego towarzystwa domyśliła się, że trzeba wejść do środka.

Mężczyzna wyciągnął rękę do Daniëlle, która odpowiedziała mocnym uściskiem.

– Eric Sanders, fotograf.

– Proszę, niech pan tu poczeka.

Podeszła do Angeli Faber, która bezradnie kręciła się wokół własnej osi, i przywitała się z nią.

– A, pani doktor Bernson. To pani uratowała mu życie! – W jej ustach zabrzmiało to tak, jakby komplementowała Daniëlle za wybór tuszu do rzęs, kolor włosów albo krój lekarskiego kitla.

– Doktor Bernson?

Daniëlle odwróciła się i spojrzała w szare oczy Cathy Marant. Ledwie widoczny, ale perfekcyjnie wykonany makijaż. Czerwone botki z wąską cholewką pod džinsy, jasnoszara sztruksowa marynarka, wyglądająca na piekielnie drogą torebka i przenikliwe spojrzenie, które mówiło: ja tu dowodzę.

– Mów mi Daniëlle.

Była to z jej strony próba natychmiastowego przełamania lodów. Kobiety takie jak Marant działały szybko, ale lubiły zachować dystans, a Daniëlle musiała na jakiś czas zdobyć jej sympatię. Uścisk jej dłoni był niejako przypieczętowaniem paktu, który zawarły już w czasie rozmowy telefonicznej.

Dzisiaj rano Daniëlle szybko się zorientowała, że plan, który przedstawiła jej Marant, jest o wiele bardziej realistyczny od tego, co ona sobie wyobrażała. Myślała, że będzie to materiał telewizyjny, w którym osoby Angeli i Dannisa Faberów będą tylko pretekstem, a główną rolę odegra ona, opowiadając o wykorzystywaniu seksualnym dzieci. Cathy Marant od razu jednak zwróciła uwagę na pewne trudności. Po pierwsze nie chciała posyłać ekipy z kamerą na oddział

intensywnej terapii. Za dosłowne, za jednoznaczne, za dużo z tym roboty. Od razu zaproponowała zręczną alternatywę, będącą kombinacją gazetowego i telewizyjnego newsa. W końcu reprezentowała nie tylko *De Deadlines Show*, ale miała też swoją niezwykle popularną rubrykę *Headlines* w gazecie „De Nederlander”.

Cathy Marant krótko wyłożyła swój dwufazowy plan. Faza pierwsza składała się z rehabilitacji Faberów w gazecie. Pod nagłówkiem w rodzaju „Była gwiazda oper mydlanych ratuje życie porzuconego dziecka” mogłaby zaserwować swoim stałym czytelnikom chwytający za serce materiał uzupełniony zdjęciami Angeli i Dennisa Faberów przy łóżku chłopca. Artykuł byłby o tym, jak to Angela widzi chłopca w środku nocy leżącego na drodze i ma na tyle przytomności umysłu, by go ominąć i natychmiast zadzwonić pod numer alarmowy, dzięki czemu natychmiast przyjechała karetka i lekarze skutecznie zoperowali chłopca, ratując mu życie. Potem sprawa nieodpowiedzialnego inspektora policji, który podejrzewając obydwój biedaków, że to oni potrącili chłopca samochodem, aresztował ich i przywiózł do komendy w celu przesłuchania. Tragiczny i szokujący artykuł, ale z happy endem. Chłopiec uratowany, wywiad na wyłączność z Faberami jako demaskacja błędów policyjnych śledczych. A to wszystko już jutro w porannym wydaniu „De Nederlander”.

Potem faza druga. Artykuł o ciężko rannej ofierze, znalezionej w środku nocy na leśnej drodze. Sprawę referuje lekarka, która uratowała życie chłopca, ponieważ sama ofiara wciąż przebywa na oddziale intensywnej terapii i nie jest w stanie mówić. Będzie to reportaż o handlu dziećmi, seksualnym wykorzystywaniu małych afgańskich chłopców przebieranych za tancerki, i o zagadce, skąd chłopiec wziął się w Holandii. Kim jest? Reportaż będzie pokazany wyłącznie w *De Headlines Show*. Daniëlle podpisze umowę, w której zagwarantuje show wyłączność, odmawiając udzielania jakichkolwiek wywiadów innym mediom.

Daniëlle od razu się zgodziła. W pierwszym odruchu z czystego braku doświadczenia postawiła na dziennikarkę Farah Hafiz, która jednak z niewiadomych powodów odmówiła zajęcia się sprawą. Na szczęście Cathy Marant patrzyła na sprawę dokładnie tak samo jak ona, jako na tragiczną opowieść dla szerokiej publiczności. Kiedy się tak teraz zastanawiała, to odmowa Farah była prawdziwym szczęściem od Boga.

I oto stała teraz przy wejściu dla personelu i z jakiegoś powodu nie do końca była przekonana, czy postępuje słusznie, ale składała to na karb zdenerwowania i braku doświadczenia w pracy z mediami. Nie poinformowała o całej akcji nikogo z zespołu. Nikt z kierownictwa nie został wtajemniczony. Wiedziała aż za dobrze, że nigdy nie dostałaby na coś takiego pozwolenia, miała więc tylko nadzieję, że zostanie to ze zgrzytaniem zębów zaakceptowane po fakcie, ze względu na niezwykle pozytywny wydźwięk materiału, zwłaszcza dla samego szpitala.

– Czy możemy to wszystko zrobić szybko i sprawnie? – spytała Cathy Marant, spoglądając jednocześnie na wyświetlacz komórki. – Za chwilę mam następne spotkanie. Sprawa jest omówiona, każdy wie, co ma robić.

Ja nie wiem, pomyślała Daniëlle i powiedziała:

– Proszę za mną.

Poprowadziła całą czwórkę do służbowej windy. Angela Faber teatralnym gestem przyłożyła chusteczkę do ust i nosa.

– Och, co za powietrze! – wykrzyknęła. – Tutaj wręcz czuje się chorobę!

Jej małżonek zareagował bardzo konkretnie:

– To przecież szpital, skarbie, czego się spodziewałaś?

– No, dobrze, rozumiem – prychnęła. – Ale czy tu musi być tak czuć?

Stali ściśnięci w windzie. Angela Faber rozsiewała woń perfum Joy, Dennis Faber rozsiewał woń alkoholu.

Kiedy drzwi windy się otworzyły, Daniëlle powiedziała do Cathy Marant to, co właśnie wymyśliła, a mianowicie, że dyrekcja szpitala upoważniła ją do przerwania całej akcji, gdyby całość groziła wymknięciem się spod kontroli.

Na Cathy Marant nie zrobiło to większego wrażenia.

– Za kwadrans się wynosimy, Daniëlle.

Gdy Angela Faber weszła do sali i zobaczyła chłopca leżącego na łóżku, rzuciła się do niego w operowym stylu i zaczęła jęczeć i skomleć. Eric zaczął pstrykać zdjęcia i polecił Dennisowi Faberowi, żeby stanął po drugiej stronie łóżka i trzymał żonę za rękę, kiedy razem z nią będzie się pochylał nad chłopcem. Był to najbardziej tandetny melodramat, jaki Daniëlle widziała w swoim życiu, a świadomość, że to ona to wszystko zainicjowała, wypełniła ją obrzydzeniem do samej siebie.

Nie wzięła pod uwagę robót drogowych na A4 z Amsterdamu do Hagi, przez co łatwo tworzyły się tu korki. Chociaż Farah najchętniej docisnęłaby gaz do dechy, to jednak chwilami mogła jechać nie szybciej niż pięćdziesiąt na godzinę. Jednym słowem spóźni się na pierwsze spotkanie z człowiekiem, którego znała z czasów dzieciństwa w Kabulu. Chociaż nie był dla niej rodziną, mówiła o nim *kaka*, wujek, często dodając do tego słówko *jan*. Znaczyło to „kochany”, ale także „dusza” oraz „siła życia”.

Parwaiz Ahmad, bo tak nazywał się jej *kaka jan*, mieszkał w Holandii już ponad dziesięć lat. Dzisiaj Druga Izba parlamentu miała przegłosować ustawę o imigrantach i ubiegających się o azyl, którzy od lat przebywali w Holandii nielegalnie, grzęznąąc w różnych procedurach formalnych i sądowych, co umożliwiłoby to im za jednym zamachem otrzymanie zezwolenia na pobyt. Gdyby tak się stało, Parwaiz nareszcie mógłby uzyskać status obywatela Holandii. Farah napisała niedawno duży artykuł na jego temat i dzisiaj artykuł mógłby mieć uroczyste ukoronowanie.

W latach sześćdziesiątych Parwaiz był dyrektorem Muzeum Narodowego w Kabulu. Jako mała dziewczynka Farah razem ze swoją uwielbiającą sztukę matką całe godziny spędzała w otoczeniu skarbów sztuki. Jeśli tylko było to możliwe, dostojny i pełen galanterii Parwaiz starał się dotrzymać im towarzystwa. Przypominała sobie, że zawsze miał na podorędziu jakąś ciekawą anegdotę, pokazując im figurkę z kości słoniowej, starodawny obraz czy antyczną wazę.

Kiedy zimą 1979 roku do Afganistanu wkroczyli Rosjanie, Parwaiz był wysoko postawionym inicjatorem marszu protestacyjnego, który ruszył w stronę pałacu prezydenckiego. Na czele pochodu niesiono siedmiometrowej szerokości transparent z podobizną Malalai, mitycznej bohaterki afgańskiego oporu przeciwko najeźdźcom. Jak głosi legenda, pasterka Malalai przynosiła wodę afgańskim żołnierzom przygotowującym się dwudziestego siódmego lipca 1880 roku do bitwy z brytyjskimi wojskami kolonialnymi pod Maiwandem. Wyglądało na to, że Brytyjczycy rozgromią oddziały afgańskie ostrzałem z artylerii. Kiedy Malalai zobaczyła, że jeden żołnierz niosących chorągiew został zabity, chwyciła ją, zaczęła nią powiewać i krzyknąć ze szczytu wzgórza do będących w rozsypce żołnierzy afgańskich, mobilizując ich do nowego wysiłku i ostatecznego zwycięstwa.

Przesłanie, jakim była podobizna Malalai na transparencie niesionym podczas marszu protestacyjnego, było jednoznaczne. Aby je dodatkowo wzmocnić, Parwaiz przemawiał do demonstrantów słowami: „Suwerenny Afganistan jest i na zawsze pozostanie własnością Afgańczyków”. W konsekwencji Parwaiz został aresztowany przez poległą KGB afgańską służbę bezpieczeństwa KhAD i przez długi czas więziony i przesłuchiwany. Wszyscy wiedzieli, że „przesłuchanie” przez KhAD było eufemistycznym synonimem tortur.

Parwaiz był przetrzymywany przez wiele dni i nigdy potem nie chciał powiedzieć ani słowa o tym okresie swojego życia. Farah jednak dowiedziała się z wiarygodnych źródeł, że jeden ze słynnych rosyjskich archeologów osobiście wstawił się za Parwaizem, doprowadzając do jego

uwolnienia. Dzięki jego interwencji Parwaiz nie tylko wrócił na stanowisko dyrektora muzeum, ale też miał okazję zorganizować radziecko-afgański zespół naukowców, którzy zajmowali się opisywaniem niezwykłych skarbów z grobowców w Tillya Tepe, zdeponowanych w Muzeum Narodowym w Kabulu.

Przez dziesięć lat Parwaiz chronił skarby kultury Afganistanu w swoim muzeum, pośrednio dając Afgańczykom do zrozumienia, że powinni być dumni ze swojego dziedzictwa kulturowego. Nie wszyscy jednak doceniali jego misję. Ci, którzy nadal walczyli z radziecką okupacją, widzieli w nim zdrajcę pierwszej wody. Parwaiz był w ich oczach strusiem, który chował swoją naiwną głowę w skarbach sztuki, żeby nie widzieć, jak Rosjanie w czasie swojej dziesięcioletniej okupacji zabijają dwa miliony Afgańczyków, niszczą gospodarkę kraju i plądrują muzea w innych miastach, takich jak Hadda czy Dżalalabad.

Wszystko się zmieniło, kiedy w roku 1989 Rosjanie opuścili Afganistan. Mudżahedini triumfalnie wkroczyli do Kabulu, lecz zamiast stworzyć w braterskiej zgodzie nowy rząd, wychodząc z założenia, że wszyscy wspólnie wypędzili Rosjan, poszczególni dowódcy zaczęli się nawzajem zwalczać.

Bratobójcze walki prowadzono za pomocą granatów, moździerzy i czołgów, z Kabulem jako główną widownią działań zbrojnych. W ciągu kilku miesięcy całe to historyczne miasto zostało obrócone w ruinę. Parwaiz kazał potajemnie przewieźć ogromną liczbę dzieł sztuki z muzeum do kryjówki w pałacu prezydenckim. Samo muzeum zostało trafione rakietą i stanęło w płomieniach. Zawalił się dach, niszcząc salę pełną fresków. Muzeum zostało potem splądrowane, a Parwaiz oficjalnie oskarżony przez mudżahedinów o współpracę z radzieckim najeźdźcą. Dzięki ogólnemu chaosowi i panującej wszędzie anarchii udało mu się uciec. Razem z żoną szczęśliwie opuścił kraj i znalazł schronienie w Holandii.

Władze holenderskie wyznawały zasadę, że każdy uchodźca, który w czasie radzieckiej okupacji pracował dla afgańskiego rządu, jest potencjalnym zbrodniarzem wojennym, a ponieważ Parwaiz jako dyrektor muzeum znajdował się na liście płac rządu afgańskiego, odmówiono mu prawa pobytu w Holandii.

Wujek Parwaiz i zbrodniarz wojenny. To zupełnie tak, jakby oskarżyć Gandhiego o propagowanie użycia bomby atomowej.

Kochający pokój Parwaiz postanowił rzucić wyzwanie losowi i pozostać w Holandii, licząc, że kiedyś zatriumfuje sprawiedliwość. W ojczystym kraju pochował obydwu synów. Jeden zginął od kul z radzieckiego karabinu maszynowego, drugiego zabił pocisk z amerykańskiej bazooki. Już w Holandii jego żona zmarła na serce, a pogrążony w żałobie Parwaiz musiał oglądać w telewizji, jak talibowie wysadzają w powietrze kilkudziesięciometrowej wysokości posągi Buddy w Bamianie.

Mimo wszystko nadal miał nadzieję na lepszą przyszłość zarówno dla siebie w Holandii, jak i dla ludzi w jego ojczystym kraju. Działał aktywnie w ramach afgańskiej wspólnoty, regularnie prowadził odczyty w szkołach na temat dziejów kultury Afganistanu, a nawet uczestniczył w organizacji wielkiej wystawy afgańskiej sztuki dawnej i współczesnej. Właśnie w dniu otwarcia tej wystawy Farah natknęła się na niego po latach.

Parwaiz był co najmniej tak samo zdumiony jak ona. Ze łzami w oczach zamknął ją w ramionach, nazywając ją *dokhtar jan*, co było niezwykle serdecznym zestawieniem słów „dziewczynka” i „córka”. Farah była przeszczęśliwa.

*Kaka* Parwaiz przez wszystkie te lata był jedynym, który wiedział, kim Farah jest naprawdę. Ale jej tajemnica była u niego bezpieczna. On też jako jedyny wiedział, że Farah musiała puścić

rękę matki na ośnieżonej przełęczy na granicy turecko-irańskiej. Parwaiz był jednym ogniwem łączącym Farah z jej przeszłością.

Zaparkowała carrerę tuż pod wejściem. Kiedy spojrzała w górę, ujrzała na balkonie jego szczupłą sylwetkę. Parwaiz stał z rozpostartymi ramionami i przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby zamierzał poszybować w jej stronę.



W drodze powrotnej z lotniska Schiphol Marouan bez chwili wahania skręcił w stronę komendy. Z pewnością czekała go tam jeszcze seria upokorzeń w związku z wczorajszą akcją w studiu telewizyjnym. Wszystkie je przełknie.

Poranny upał wciskał się do wnętrza samochodu. Marouan włączył klimatyzację na najzimniejszy stopień i pomyślał o tym pierwszym razie, kiedy wszedł do komendy holenderskiej policji, jako gorliwy osiemnastolatek. Z godną Belmonda brawurą i drzeniem kolan wytrzymał podejrzliwe spojrzenie dyżurnego policjanta za kontuarem.

– Po co tu przyszedłeś? Donieść na samego siebie?

– Jestem Marokańczykiem, a wy szukacie Marokańczyków. Proszę. – Wyjął wycięte z gazety ogłoszenie i położył przed dyżurnym, który nasadził na nos okulary do czytania i pochylił się nad tekstem. Pięć minut później Marouan był już z powrotem na ulicy z plikiem formularzy do wypełnienia w rękę i słowami policjanta wyrytymi w pamięci: „Czekając, aż wszyscy wyniesiecie się z powrotem do swojego kraju, musimy jednak mieć paru, którzy rozumieją ten bełkotliwy język. A więc jeśli nie brzydzisz się chodzenia w mundurze ani włożenia czapki na głowę i zdecydujesz się dać z siebie wszystko, to – niestety! – możesz zostać wzięty pod uwagę jako kandydat do pracy w policji”.

Im bardziej osoby z otoczenia Marouana próbowały go przekonać, że źle wybrał, tym mocniej był przekonany, że wybrał właściwy kierunek w życiu. Przez lata spędzone w szkole policyjnej niejednokrotnie siedział do późna w noc w swoim pokoju i zakuwał. Miał nadzieję, że pewnego dnia jego ojciec okaże, że jest z niego dumny. Cokolwiek by powiedział, świetnie wyglądał w mundurze.

Był przystojnym, młodym i ambitnym policjantem patrolującym głównie te dzielnice, gdzie spotykał się z podejrzliwymi spojrzeniami swoich pobratymców.

Również jego holenderscy koledzy uważnie mu się przyglądali.

Jak zwykle tak i dzisiaj Marouan z trudem oparł się pokusie, żeby w podziemnym garażu wyjechać na pełnym gazie w ścianę, prosto do służbowej windy. Ale któregoś dnia tak właśnie po prostu zrobi. Będzie to ostateczna oda na cześć Belmonda. Z wielkim cygarem w ustach i z szerokim uśmiechem wysiądzie z dymiącego wraku, zbierając nie tylko gorący aplauz wszystkich kolegów, ale też przy okazji wymówienie. Nie mógł się doczekać, kiedy nadejdzie ów wielki dzień.

Przy automacie do kawy w holu kłębił się większy tłum niż na całym Ringweg w Amsterdamie. Ponad dziewięćdziesiąt procent wszystkich paradujących tu w niebieskich mundurach było uzależnionych od kofeiny. Marouan stanął na końcu kolejki z wielkim kubkiem w dłoni, kiedy pojawił się przy nim pierwszy żartowniś, podsuwając mu pod nos zdjęcie Dennisa Fabera w dekoracjach *The Game of Love*, na którym za pomocą Photoshopa zamieniono jego twarz na twarz Marouana.

– Szkoda, że nas opuszczasz i przechodzisz do mediów, Diba – kpił żartowniś. – Czeka na

ciebie milionowy kontrakt. I sława na cały kraj. Moja teściowa już chce od ciebie autograf.

Powszechne uśmieški. Jeden z kolegów przy akompaniamencie głośnego aplauzu wszystkich powiesił na ścianie ten sam fotomontaż, który widział przed chwilą Marouan.

W kieszeni marynarki zawibrował telefon. Dzwonił Calvino. Pewnie jeszcze świętował powitanie słońca na górnym pokładzie swojego mieszkalnego statku albo łapał algi w Amstelveense Plas, żeby dodać je do sałatki.

– Cześć, Cal. Gdzie jesteś?

– W lesie. Ta dziennikarka pokazała mi miejsce, gdzie znalazła kolczyk chłopca. Przy okazji odkryłem to i owo.

W tym czasie Marouan podszedł do przyklejonego do ściany zdjęcia, oderwał je i oddalił się od automatu do kawy w poszukiwaniu spokojniejszego miejsca. Był do głębi oburzony tym, co usłyszał.

– Co to, zaciągnąłeś Miss Afganistanu do lasu?

– Słuchaj no, odpuść sobie ordynarne uwagi, dobra?

– Trudno było nie zauważyć, że wpadła ci w oko.

– Odwal się, Diba. Po prostu robię swoją robotę.

– Swoją robotę? Gdybyś naprawdę chciał robić swoją robotę, to bylibyśmy teraz razem! Słyszysz mnie, partnerze? Powinienem tam być razem z tobą!

– Byłeś zajęty wyprawianiem rodziny na wczasy.

– Mogłeś spokojnie poczekać. Mogłeś tu przyjechać i wtedy wybralibyśmy się tam razem! Co znalazłeś?

– Starą willę. Zamkniętą na głucho. Ale wychodzą od niej ślady, jakby kogoś wleczono po ziemi. A od przodu jest drugi podobny ślad. Ponadto ślady krwi. Zawiadomiłem Tomasoę, żeby przysłał tu chłopaków z medycyny sądowej. No i trzeba będzie tyralierą przeczesać las.

Marouan poczuł, jak zaczyna się pocić. Nie z wściekłości, tylko ze strachu. Był między młotem a kowadłem i robiło się tam coraz mniej miejsca. Najwyraźniej cała ta sprawa z chłopcem była bardziej śmierdząca, niż mu się wydawało.

– Niech cię szlag, Cal – wybuchnął. – Wszystko załatwiasz za moimi plecami. Zapomniałeś, że jesteśmy partnerami i że takie rzeczy robimy razem!

– Tak? To co powiesz o wczorajszym aresztowaniu? – odparował Calvino. – To dopiero była wzorowa współpraca! Zastanów się, Diba. Wyobraź sobie, że jesteś na moim miejscu, widzisz dwa ślady z dwóch różnych kierunków. Kończą się nagle, bo w tym miejscu musiał stać samochód. Chyba też by ci się wtedy zapalił przed oczami neonowy napis „Samochód kombi”, prawda? Czy może nie? Nie wypadek drogowy, tylko likwidacja dwóch osób, jeśli chciałbyś znać moje zdanie. I chłopak najprawdopodobniej był świadkiem.

Marouan oparł się o framugę drzwi, patrząc, jak wielkimi krokami zbliża się do niego Tomaso.

– Normalnie cię powieszę, Cal.

Tomaso popatrzył na Marouana tymi swoimi oczyma Yula Brynnera.

– Dobra robota – powiedział poważnym tonem. Ani śladu cynizmu, cienia ironii. Wyglądało na to, że mówi serio. – Calvino wszystko mi przekazał. Będzie krótka odprawa w sali konferencyjnej. I dostaniecie tych ludzi, o których prosiliście.

Marouan nawet nie ruszył się z miejsca, taki był zdumiony. Skoro rzeczywiście zrobił jakąś dobrą robotę, to jednak wolałby wiedzieć, co to takiego było. I o jakich ludzi prosił. I do czego? Ale Tomaso już sobie poszedł, doganiając po drodze Dicka Parka, szefa techników medycyny

sądowej. Zaczęły mu się roić jakieś teorie spiskowe. Co ten Calvino naopowiadał za jego plecami?

Gdziekolwiek spojrzał, na ścianach wisiały jego podobizny. To samo przerobione zdjęcie w dekoracjach z *The Game of Love*. W garniturze Dennisa Fabera było mu bardzo do twarzy, nie da się zaprzeczyć. Poza tym był dzięki temu nieco szczuplejszy. Tyle że głowa wyszła za duża. Partacka robota. I jak zwykle nikt się nie przyzna. Wszystko, żeby tylko koledzy mogli się z niego pośmiać. Zdjęcie pojawiło się na tablicach informacyjnych w korytarzu, na drzwiach poszczególnych pokoi, jedno znalazł też przyklejone do ekranu swojego monitora. Takie coś potrafi skutecznie popsuć humor.

Popijając kawę, Marouan przeglądał żółty skoroszyt opisany na wierzchu odręcznie przez Calvina. Wszystkie protokoły z wczorajszych przesłuchań zostały już wciągnięte do akt. Widać było wyraźnie, że Calvino niebawem się do tej sprawy przyłożył. A Marouan daremnie wyęczał mózg, w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie: dlaczego.

Dobrze cię znowu widzieć, *kaka jan* – powiedziała Farah miękko, patrząc Parwaizowi w oczy i trzymając jego wychudzoną twarz w obu dłoniach.

Spoglądał na nią poważnym wzrokiem.

– Czyżby życie znowu zbiło cię z tropu, *bachem*?

Czuła się przyłapana. Przed wujkiem Parwaizem nie dało się nic ukryć.

– Nawet więcej, kochany wujku. Wszystko stanęło na głowie.

– To dobrze – powiedział Parwaiz z zagadkowym uśmiechem. – A więc przed tobą jeszcze wiele ciekawych rzeczy.

Poprowadził ją przez dwupokojowe mieszkanie, zavalone książkami o sztuce, na wpół skończonymi gwaszami i rysunkami robionymi węglem. Salon miał tylko podstawowe wyposażenie: stół, krzesło i wielki, ręcznie tkany dywan z Buchary. Stół był kiedyś warsztatem. Farah przywiozła go kiedyś z nieczynnej fabryki w belgijskich Ardenach. Trudno było powiedzieć, czy służył kowalowi czy rzeźnikowi, ale nie miało to żadnego znaczenia, bo poorany blat równie dobrze mógł nosić ślady wojny. Warsztat stał na piekielnie ciężkich metalowych nogach i miał dwie wielkie szuflady, w których Parwaiz przechowywał swoje szkice i resztę swojego artystycznego dobytku.

Cała jedna ściana była poświęcona czemuś, co Parwaiz nazywał „dziełem swojego życia w stanie tworzenia”. Wszystko, na co natrafił w gazetach i czasopiśmie, a co było w jakikolwiek sposób związane z Afganistanem, Parwaiz wycinał, przyklejał, opatrywał komentarzami, zabezpieczał, a czasem zamasyżuje coś na tym pisał. W ten sposób stopniowo powstawała historyczna panorama, sięgająca chronologią do czasów Aleksandra Wielkiego i dochodząca do momentu lądowania Amerykanów. Szczątki eksplodujących posągów Buddy dosłownie świstały człowiekowi koło uszu. Obojętnie o jakie wydarzenie z dziejów jego kraju chodziło, Parwaiz zawsze znalazł jeszcze dla niego odpowiednie miejsce na tym panoramicznym tableau.

Pili herbatę i pogryzali daktyle, które Farah kupiła w tureckim sklepie za rogiem. Farah ostrożnie wyjęła pakunek, w którym był jej prezent dla Parwaiza.

– Szczególny dzień wymaga szczególnego prezentu – powiedziała z niepewnym uśmiechem.

Patrzyła, jak jego piękne długie palce gładzą prezentowy papier.

– Tylko odpakowuj to ostrożnie, *kaka jan*, bo to delikatne – powiedziała pełna oczekiwania.

Odwiązał wstążkę, odpakował papier i wpatrywał się w papierowego motyla, jakby to był najcenniejszy na świecie diament.

– Aha. Motyl szczęścia. – Przesunął palcami po skrzydłach, potem po papierowym ciele owada i uśmiechnął się lekko, patrząc na ogromne czułki na jego głowie. – Umieszczę go w tej samej przegródce mojego serca, w której jesteś już ty, *dokhtar jan*.

Kilkakrotnie ucałował jej dłoń.

– Denerwujesz się przed dzisiejszym posiedzeniem? – spytała, żeby ukryć jakiś wzruszenie.

– Dziś jest szczególny dzień, a szczególne dni doskonale nadają się do drażnienia nerwów –

powiedział z uśmiechem. – Ale ja z wielką chęcią usłyszałbym coś o tobie, *bachem*. Mało spałaś, a dużo robiłaś – powiedział, przyglądając się jej uważnie. – Twoja nienaturalna wesołość budzi moją troskę.

Patrzyła przez chwilę w podłogę, trzymając szklankę herbaty nieruchomo w dłoniach. W końcu podniosła na niego wzrok.

– *Kaka jan, co wiesz o bacha bazi?*

– Niewiele o tym wiem. – Nawet jeśli zdumiało go, że Farah o to pyta, nie dał tego po sobie poznać. – Jest mnóstwo prastarych tradycji, które powstały na terenach wiejskich. Wskutek surowych islamskich zasad obyczajowych kobiety były niemalże nieosiągalne dla mężczyzn. Obydwie płcie aż do chwili małżeństwa żyły ściśle odseparowane od siebie. Mężczyźni jednak musieli gdzieś dać upust swoim żądzom. Podobne zjawisko występuje też w społecznościach klasztornych, w więzieniach, w zasadzie wszędzie tam, gdzie mężczyźni zmuszeni są do życia bez kobiet. W tych społecznościach niejednokrotnie zdarza się, że niektórzy mężczyźni zmuszani są do przejęcia roli kobiety. Im młodszy i bardziej kobiecy jest taki osobnik, tym większy stanowi przedmiot pożądania dla innych.

Wypił łyk herbaty i włożył do ust daktyla.

– Chłopcy pozbawieni jeszcze zarostu – mówił lekko niewyraźnie. – Chłopcy o dziewczęcych rysach twarzy. Raz uczestniczyłem w tego rodzaju wydarzeniu. Nie wiedziałem, co to będzie. Zostałem zaproszony. I wtedy pojawiła się ona. Mówię „ona”, ponieważ tak ten chłopiec wyglądał. Wymalowany bez gustu przez innych mężczyzn i obwieszony ozdobami chłopiec. Wyszedłem stamtąd. Było to obrzydliwe. Czy mogę wiedzieć, dlaczego mnie o to pytasz?

– Wczoraj wystrojonego podobnie chłopca znaleziono w Lasku Amsterdamskim.

Tym razem Parwaizowi nie udało się ukryć zdumienia. Patrzył na nią z niedowierzaniem w oczach.

– To niemożliwe – wymamrotał. – Niemożliwe.

A potem dodał coś, co Farah zapamiętała na zawsze jako zapowiedź wszystkiego, co od tej chwili miało ją jeszcze spotkać:

– Żyjemy w świecie, w którym wcześniej czy później zawsze dopadnie nas piekło naszej przeszłości.

Tomasoa rozpoczął odprawę od podniesienia w górę przerobionego Photoshopem zdjęcia Dennisa Fabera.

– Ciekawa próba, chłopaki, ale na razie jeszcze nie odstępujemy inspektora Diby telewizji. Razem ze swoim partnerem Joshuą Calvino odwalił dzisiaj rano kawał dobrej śledczej roboty w sprawie potrąconego przez samochód chłopca. A wszystko to w czasie, kiedy większość z was jeszcze smacznie spała.

W sali powstało małe zamieszanie. Marouan nie wierzył własnym uszom. Albo stał się przedmiotem jakiegoś idiotycznego zbiorowego żartu, do którego przyłączył się nawet Tomaso, albo koledzy dosypali mu coś do kawy i ma halucynacje. Dzisiaj rano, po nieprzespanej, spędzonej na hazardzie nocy, odwiózł na lotnisko żonę i dzieci. Skąd więc jakaś dobra śledcza robota?

Tomasoa jednak ciągnął niewzruszenie dalej.

– W sprawie tej pojawiły się mocne przesłanki, że jest to coś więcej niż wypadek drogowy. W bezpośrednim otoczeniu miejsca potrącenia chłopca znaleziono ślady, pozwalające przyjąć hipotezę o podwójnym morderstwie. Niedaleko starej willi, znajdującej się kilkaset metrów od miejsca zdarzenia, odkryto ślady krwi i wleczenia ciał. Po szczegółowych konsultacjach z prokuratorem i sędzią śledczym dostaliśmy zielone światło na szeroko zakrojone poszukiwania śladów w bezpośrednim otoczeniu willi i w środku budynku. Celem naszego działania będzie zabezpieczenie śladów i zrekonstruowanie na ich podstawie przebiegu wypadków, a także określenie, czy chłopiec mógł być ich świadkiem.

Zamieszanie ustąpiło miejsca imponującej ciszy. Tomaso wykorzystał ten czas, żeby potraktować swoich ludzi jednym ze swoich słynnych nieprzeniknionych spojrzeń.

– Dodatkowym elementem komplikującym całą sprawę jest fakt, że inkryminowana willa stanowi własność Grupy Dorado. Jak być może niektórzy z was wiedzą, ta operująca miliardami firma operuje zasadniczo w trzech sferach: nieruchomości, przemysł stoczniowy oraz media. Głównym udziałowcem tego koncernu jest nie kto inny, jak Armin Lazonder, właściciel między innymi gazety „De Nederlander”, telewizji IRIS i stojący też za projektem New Golden Age.

Wymieniając nazwę IRIS TV, Tomaso spojrział wymownie na Marouana. Nikt nie odezwał się ani słowem.

– Fakt, że będziemy zmuszeni objąć śledztwem jedną z nieruchomości Lazondera, z pewnością wywoła szum medialny – kontynuował Tomaso. – Dlatego wydaję niniejszym ścisłe polecenie unikania wszelkich kontaktów z prasą. Nasz dział prasowy zajmie się wydawaniem odpowiednich komunikatów i obsługą wszelkich zapytań ze strony mediów.

Człowiek, który przy automacie z kawą podsunął Marouanowi przerobione zdjęcie, podniósł rękę do góry.

– Czyli chwilowo żadnych aresztowań przed kamerami, tak?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Teraz Tomaso podniósł rękę w górę. Niewielki gest, ale

wystarczająco wymowny, żeby śmiechy ucichły, jak nożem uciął.

– Wyjaśnijmy sobie jedno. Dennis Faber został aresztowany w związku z podejrzeniem współudziału w ukrywaniu materiału dowodowego w sprawie o potrącenie chłopca. Na podstawie wystarczających do podjęcia decyzji przesłanek prokurator wydał zgodę na jego aresztowanie. Akcja inspektorów Calvina i Diby była więc w pełni usprawiedliwiona.

W taktycznej ciszy, jaka po tych słowach zapadła, Marouan poczuł się przez chwilę mocno zmieszany. Patrzył na swojego szefa i za wszelką cenę starał się nie okazać żadnej reakcji na jego wywód.

– Wczoraj odbyłem rozmowę z obydwoma śledczymi – podjął Tomaso. – Obydwaj przyznali, że wybór miejsca i sposobu aresztowania był błędem. – Tu ponownie podniósł w górę zdjęcie z Marouanem jako prowadzącym *The Game of Love*. – Tak więc, jeśli ktoś z obecnych ma jeszcze w tej sprawie coś do dodania albo wymodził gdzieś na kuchennym stole jeszcze inne dzieło sztuki niż to, bardzo proszę, żeby się teraz zgłosił i dał nam okazję do śmiechu. Skoro nikogo chętnego nie ma – dokończył, rzucając wymowne spojrzenie na zebranych – sprawę incydentu z Dennisem Faberem uznaję za zamkniętą.

Pewnie mniej więcej taki sam wzrok miał Mojżesz, kiedy zmusił wody Morza Czerwonego, żeby się rozstały, pomyślał Marouan.

– A wracając do spraw dnia dzisiejszego – ciągnął Tomaso. – Jak wspomniałem, toczą się dwa odrębne śledztwa. Technicy medycyny sądowej przeczesały teren wokół willi, ponadto przez las przejdzie tyraliera, poczynając od budynku aż do miejsca, gdzie został potrącony chłopiec. W ten sposób chcemy ustalić, czy chłopiec rzeczywiście wyszedł z tej willi, zanim wybiegł na drogę. Tym śledztwem pokieruje inspektor Diba. Poprosił o grupę ochotników do wykonania tego zadania, których ja teraz w pełni demokratycznie wyznaczę.

Marouan wpatrywał się w ziemię. Wśród wymienianych teraz nazwisk było kilku kolegów, którzy w przeszłości z różnych powodów zaleźli mu za skórę. Trudno.

– Oczekuję, że zważywszy na charakter tego śledztwa, wszyscy optymalnie wykonają przydzielone im zadania – powiedział Tomaso po podaniu ostatniego nazwiska. – Są jeszcze jakieś pytania? Uwagi?

Jeden z obecnych podniósł rękę w górę.

– Czy istnieje możliwość, że zdarzenia w pobliżu willi oraz potrącenie chłopca przez samochód pozostają w jakimś związku ze sprawą spalonego samochodu kombi, który jest teraz badany?

– Chwilowo są to jeszcze zbyt daleko idące spekulacje. Taką tezę będzie można postawić dopiero, gdy będziemy mieli wszystkie wyniki badań. W tej fazie śledztwa jednak niczego wykluczyć nie można.

Wśród obecnych wyczuwało się narastające podniecenie. Do wszystkich zaczęło docierać, że najprawdopodobniej za tym, co wyglądało początkowo jak zwykły wypadek drogowy, może kryć się coś naprawdę dużego i mrocznego. Ludzie, których Tomaso wyznaczył, żeby udali się razem z Marouanem do lasu, zebrali się w grupę. Marouan wiedział, że przebieg odprawy niewiele mógł zmienić w ich nastawieniu do jego osoby, ale byli jednak wystarczająco profesjonalni, żeby jak najlepiej wykonać swoją robotę niezależnie od tego, kto będzie wydawał im polecenia.

Tomaso pokazał Marouanowi gestem, żeby do niego podszedł.

– Trzymaj ich w ryzach. Jeśli byłyby jakieś problemy, to chcę o tym wiedzieć bezpośrednio od ciebie, jasne?

– Oczywiście, szefie.

Marouan słyszał siebie, jak wypowiada te słowa, ale jedyne, co w tym momencie sobie tak naprawdę uświadamiał, to nieprawdopodobny i wciąż narastający chaos w jego życiu.



Choć powietrze za oknem było przesycone blaskiem letniego słońca, do mieszkania Parwaiza zakradła się czarna chmura. Farah bardzo żałowała, że opowiedziała o chłopcu wykorzystanym w rytuale *bacha bazi*. Postanowiła, że odłoży na bok własne problemy i postara się być dla Parwaiza tylko i wyłącznie Jan. Niech to będzie jego dzień. Widać jednak było po niej, że jest czymś przejęta, a Parwaiz był człowiekiem wrażliwym, przed którym trudno było ukryć emocje, nawet jeśli bardzo się tego chciało. Wiedziała więc, że ta chmura nie zniknie tak po prostu.

– Jak go spotkałaś, *bachem*?

Farah aż się przestraszyła, bo przez moment myślała, że Parwaiz pyta o Joshuę. Parwaiz wprawdzie miał wiele nadzwyczajnych umiejętności, ale jednak daru czytania w myślach nigdy u niego nie stwierdziła.

– Byłam w szpitalu, kiedy go przywieziono, *kaka Jan*.

– Co tam w ogóle robiłaś? Chorujesz? – spytał z niepokojem w głosie.

– Nie, nie, ja... – Uświadomiła sobie, że Parwaiz nie czyta przecież holenderskich bulwarówek i nie ogląda telewizji, darowała więc sobie informowanie go o incydencie na gali sztuk walki. – Byłam na izbie przyjęć w sprawie innej osoby, kiedy chłopiec został tam przywieziony. Był ciężko ranny. Potrącenie przez samochód. Próbowałam tłumaczyć mu pytania lekarzy na język dari.

– Czy zdołał ci coś powiedzieć?

– Nie, był nieprzytomny. Musieli go operować. Operacja przebiegła pomyślnie. Ale zeszłej nocy o mało nie umarł z powodu nagłych komplikacji. Do tej chwili nikt się po niego nie zgłosił. Mam wrażenie, że jest ofiarą handlu dziećmi.

– Wszystko na to wskazuje – potwierdził Parwaiz. – *Bacha bazi* nigdy nie jest dobrowolne. To forma wymuszonej prostytucji.

– Przepraszam, że w ogóle zaczęłam o tym mówić, *kaka Jan* – usprawiedliwiła się Farah.

– Dobrze zrobiłaś, nie wolno dusić w sobie przykrych rzeczy, *dokhtar Jan* – odpowiedział Parwaiz z uśmiechem. A potem pochylił się do niej i poprosił szeptem: – A teraz opowiedz mi o wszystkim.

W tym momencie Farah nie mogła już dłużej powstrzymać łez. Pierwsze, co powiedziała, to że jest jej tak strasznie przykro, bo bardzo chciała, żeby to był dla niego odświętny dzień. I że teraz wszystko popsuka. Lecz Parwaiz otarł jej łzy, jak przystało na troskliwego wujka, i powiedział, że spokojnie może mu opowiedzieć wszystko od początku. Że chce się dowiedzieć o wszystkim.

I wtedy zaczęła nieskładnie opowiadać. O tym, jak dramatycznie wkroczył w jej życie ten przebrany za tancerkę chłopiec, i o swoim konflikcie z Daniëlle. Parwaiz uważnie słuchał jej nader złagodzonej oczywiście wersji spotkania z Joshuą Calvinem, słuchał o tym, jak pojawił się przed nią duch Raylana Chappelle'a i o tym, że znowu ma się zobaczyć z Paulem, prawie trzydzieści lat po ich pierwszym spotkaniu w ogrodzie motyli w Kabulu.

– Niektórzy ludzie powiadają, że przyszłość kryje przed nami najróżniejsze tajemnice – powiedział, z wielkim uczuciem gładząc motyla szczęścia. – Ale tak długo, jak długo nie poznamy tajemnic przeszłości, nie możemy się tak naprawdę zwrócić ku przyszłości.

– Kiedy ja nie wiem, co robić, *kaka jan*. Co mam wybrać?

– W głębi serca doskonale wiesz, jakiego dokonać wyboru, *bachem*. Idź za głosem serca.

– Nawet jeśli napęlnia mnie to strachem?

– Zwłaszcza wtedy, jeśli napęlnia cię to strachem. Niewiele ci już w tym będę mógł pomóc, drogie dziecko. Jestem starym, schorowanym człowiekiem. Niewiele mi zostało życia.

– Nie wolno ci tak mówić, *kaka jan* – powiedziała, uśmiechając się przez łzy. – Wygląda na to, że jako oficjalnie już nowy Holender masz prawo do całkiem nowego życia. I mogę się założyć, że tak właśnie będzie.

– To miłe z twojej strony, Farah, ale wiesz, moje dawne życie jest dla mnie bardzo cenne. Wciąż myślę i śnię w języku dari. Chociaż jestem dumny, że zostałem Holendrem, w głębi serca zawsze będę już Afgańczykiem.

– Doskonale to rozumiem, *kaka jan*.

Jego usta ułożyły się w grymas poważnego uśmiechu.

– *Dokhtarem*, zawsze podchodziłaś do mnie z otwartym sercem. Zawsze darzyłaś mnie zaufaniem. Zobaczenie się z tobą było dla mnie zawsze darem, twoje wsparcie pomogło mi przetrwać trudne okresy w moim życiu. I podobnie jak dzisiaj, zawsze szczerze opowiadałaś mi o tym, co się u ciebie dzieje. To znacznie więcej niż to, czym ja ci się odpłacałem. Niektóre rzeczy, które wydarzyły się w moim życiu, tak jak okres aresztowania w Kabulu, zawsze przed tobą ukrywałem, ponieważ wciąż nie potrafię mówić o tych wszystkich niewyobrażalnych rzeczach, których człowiek potrafi dopuścić się wobec drugiego człowieka. Nawet tobie nie umiem tego zawierzyć. Nadszedł jednak czas, żeby odpłacić ci szczerością za szczerść i wyjawić ci tajemnicę, którą już zbyt długo przed tobą ukrywałem.

Zamilkł, szukając właściwych słów. Farah czuła, jak serce podchodzi jej do gardła.

– Znam kogoś, kto jest mi bardzo wdzięczny, że obiecałem zachować tę tajemnicę tak długo, jak uznam, że jest to konieczne – podjął po chwili. – Miałem ci ją wyjawić dopiero wówczas, gdy przyjdzie odpowiedni czas. I ten czas właśnie nadszedł.

Parwaiz z trudem podniósł się z miejsca i podszedł do warsztatu, gdzie wysunął górną szufladę i wyjął z niej paczuszkę wielkości pięści, zapakowaną w bibułę i obwiązaną postrzępionym sznurkiem.

Farah pomyślała o matce i ojcu. Czyżby któreś z nich coś dla niej zostawiło?

Parwaiz wciąż jeszcze stał odwrócony do niej plecami, z głową pochyloną do przodu i zatopiony w myślach patrzył na trzymaną w rękach paczuszkę. Potem odwrócił się powoli.

– Proszę cię, *doktharem*, abyś nie osądzała zbyt szybko tego, co tutaj odkryjesz. A to dlatego, że w swoich poszukiwaniach rzeczywistej prawdy ludzie wkraczają niekiedy na ścieżki, na które być może woleliby nie wkraczać...

– Mówisz samymi zagadkami, *kaka jan*.

– Ale ty przecież zawsze lubiłaś zagadki, Farah *jan*? – powiedział, idąc w jej stronę z przekornym uśmiechem. – Wiesz, niektórzy ludzie poświęcają swoje polityczne ideały, by chronić sztukę, tak jak ja to kiedyś zrobiłem...

– Jak najbardziej usprawiedliwione postępowanie – powiedziała Farah, by dodać mu otuchy.

Stał teraz tuż przed nią. Miała wielką ochotę wyciągnąć rękę po paczuszkę, ale opanowała się.

– Bardzo bym chciał, abyś z taką samą wolą przebaczenia pomyślała o swojej matce Helai,

gdy zobaczysz to na własne oczy.

Kiedy Parwaiz wymienił imię jej matki, przeszła ją fala smutku. Nie mogła wydobyć z siebie słowa.

– Helai przeżyła więcej zwątpień w poszukiwaniu prawdy w swoim życiu, niżby chciała.

– Cokolwiek zrobiła, cokolwiek czuła, ja na pewno nigdy nie będę jej osądzać, *kaka jan*. Czy to, co mam zobaczyć, jest bolesne?

– Jej historia pod wieloma względami przypomina to, co ty opowiedziałas mi o sobie – odrzekł Parwaiz z wahaniem.

Nagle Farah pomyślała o czymś innym. Czymś prawie nie do pomyślenia. Wyrzuciła to z siebie, zanim zorientowała się, co robi:

– *Kaka jan*, chyba nie chcesz mi powiedzieć, że ty i mama...

Parwaiz pokręcił głową zaszokowany jej podejrzeniem.

– Nie, twoja matka powierzyła mi swoją tajemnicę, ponieważ zdecydowała się na ucieczkę razem z tobą – rozpoczął stanowczym głosem. – Poza tym jednym nie odgrywam w tym żadnej roli. Dała mi tylko to ze słowami: „Skoro potrafiłeś uchronić przed bombami bezbronne dzieła sztuki, z tym też sobie poradzisz”. Powiedziała mi, czego się z tego dowiesz. Ale nie wolno mi przekazać ci treści. Ty sama musisz ją odkryć. Wszystko w nadziei, że wtedy bardziej zrozumiesz, dlaczego takie, a nie inne rzeczy zdarzyły się w twoim życiu.

Przekazał jej paczuszkę, która zaczęła palić ją w rękach, bo wiedziała, że jeśli tylko odpakuje bibułkę, zapomni o otaczającym ją świecie i całkowicie zatopi się w jej zawartości. Musi się opanować. Ten dzień ma być dniem Parwaiza i taki też będzie. Spojrzała na niego z uśmiechem wdzięczności.

– Bardzo bym chciała, żebyś jeszcze przez chwilę przechował dla mnie tę paczuszkę w tym samym miejscu. Nie możemy się spóźnić. Kiedy wrócimy, zabiorę ją ze sobą do domu. A teraz czas wychodzić.

Parwaiz odłożył paczuszkę z powrotem do szuflady i podszedł do drzwi balkonu, żeby je zamknąć. Kiedy zobaczyła go, jak tam stoi, smukła sylwetka na tle słońca, poczuła niespodziewanie, jakby nadszedł moment, by się z nim pożegnała.

– *Kaka jan!* – powiedziała z lekką paniką w głosie.

– Co się stało? – Parwaiz podszedł do niej zatroskany i położył jej dłonie na ramionach.

– Bardzo... bardzo cię kocham – powiedziała przygnębiona.

– Wiem o tym, *bachem*. Ja też cię kocham.

Marouan Diba pomyślał o wschodzącej gwiazdce, jaką kiedyś był. Pomimo przeszkód, a może raczej dzięki przeszkodom, jakie stwarzali mu koledzy. Był Marokańczykiem i niech o tym wiedzą, zarówno w samej jednostce, jak i poza nią. Został przydzielony do rejonu Amsterdam-Oost, ponieważ znał tamtejszych chłopaków, którzy włóczyli się po ulicach. Brał ich za kłapy i zmuszał do mówienia. Bo do niego czuli szacunek, z nim nie mogli się bawić w chowanego. A jak zaczynali pyskować, to mógł im spuścić manto. A wtedy taki jeden biadał z rozkwaszonym nosem albo spuchniętą wargą.

– Złóż doniesienie o nadużyciu środków przymusu – mówił wtedy. Bo wiedział, że nawet do głowy im to nie przyjdzie. Złożyć doniesienie na policję, to dla nich było to samo, jakby poskarżyli się mamusi albo tatusiowi. Najgorsze z możliwych upokorzenie. W ten sposób przegrywali. Jeden po drugim.

Z szacunku.

Szacunek to dzisiaj była rzadkość. Można go było spotkać równie rzadko, jak wczorajsze położenie mu ręki na ramieniu przez Calvina, tuż przed tym, jak Tomaso miał ich zdeptać na miazgę.

Marouan był mocno zbity z tropu gestem Calvina. Wchodzi na szafot, a tu ktoś przyjacielskim gestem kładzie mu dłoń na ramieniu. Czyżby Calvino zrobił to ze źle pojętego współczucia? Marouan nie wyobrażał sobie czegoś takiego. Jego zmieszanie jeszcze wzrosło, kiedy ten na wprost Włoch w czasie rozmowy z Tomasoą zapewnił szefa, że to on, a nie Marouan zasugerował konieczność aresztowania Dennisa Fabera. Calvino był szczwanym lisem. Jak nikt inny wiedział, że jeśli tylko Marouan zostanie obwiniony o pomyłkę, to opinia nieudacznika przylepi się też do niego.

Ludzie zawsze już kojarzyliby Calvina z tą sprawą. Każdy by mówił: „Zaraz, zaraz, czy to nie ty byłeś partnerem tego skompromitowanego Marokańczyka przy nierozwiązanej sprawie potrąconego przez samochód chłopca?” Calvino, który myślał tylko o odnoszeniu sukcesów, nie mógł oczywiście czegoś takiego ryzykować. Bez wątpienia wymyślił jakiś plan, żeby temu zapobiec.

Tylko co to był za plan? Trzeba to przemyśleć. Przeanalizować. Co Calvino zrobił? Co powiedział? A co przemilczał?

Przypomniał sobie Calvina przygryzającego wargi, gdy Tomaso pod koniec swojego monologu spytał, czy są jeszcze jakieś rzeczy, o których powinien wiedzieć. I jego bardziej niż sprytną odpowiedź: „Nic takiego, z czym nie dalibyśmy sobie rady, szefie”.

Prawdziwie po mistrzowsku umieszczone w jednym i tym samym zdaniu potwierdzenie i zaprzeczenie. Nikt nie mógłby się potem do Calvina przyczepić. Faktem jednak było, że zataił przed Tomasoą fakt, że niecałą godzinę później mieli dostać kolczyk ze śladami DNA. Marouan spytał oczywiście Calvina, czemu to przemilczał. „To nie byłby najlepszy PR u szefa, gdyby się dowiedział, że coś takiego odbyło się z udziałem dziennikarki”, usłyszał w odpowiedzi.

– Ale jak to potem do cholery załatwisz? – przypierał go do muru Marouan. – Zamierzasz to zupełnie przemilczeć?

– Coś tam wymyślę – usłyszał w odpowiedzi. I była to najgłupsza odpowiedź, jaką w ogóle można wymyślić. Bo śledczy nie są od wymyślania, oni są od zajmowania się faktami. A fakty umieszczali w raporcie zgodnie ze stanem faktycznym, dokładnie tak, jak te fakty wyglądały. A jeśli śledczy zaczynali coś w tej kwestii kombinować, nie mówiąc już o przemilczaniu faktów, to dopuszczali się fałszerstwa na piśmie. Znaczyłoby to, że ich protokoły przesłuchania są wysane z palca. I wszystko wskazywało na to, że Calvino zamierza pójść w tym kierunku.

Czyżby dziś rano za jego plecami Calvino dał szefowi do zrozumienia, że to Marouan znalazł kolczyk?

Czy to to była ta „dobra robota”, za którą Tomaso go pochwalił? W sumie był to najbardziej logiczny scenariusz, jaki potrafił sobie wyobrazić.

Jeśliby sprawy tak właśnie się miały, a jak na razie nic nie wskazywało na to, by mogły się mieć inaczej, oznaczałoby to, że Calvino jest zwykłym dwulicowym obłudnikiem. Co zresztą Marouan już od dawna brał pod uwagę. Z Italiańcami nigdy nic nie wiadomo. Nawet jeśli mają połowę krwi holenderskiej, to jednak zostaje w nich wystarczająco dużo komórek zainfekowanych mafijnymi genami.

Wszystko wskazywało na to, że Calvino pod płaszczykiem partnerstwa zamierza maksymalnie dużo robić na własną rękę. Bo jak inaczej wytłumaczyć, że wczesnym rankiem, nie przychodząc nawet najpierw do komendy i nie powiadamiając o niczym partnera, jakby nigdy nic jedzie do lasu z tą Hafiz?

Nich to szlag, o mały włos dałby się nabrać. Calvino poszedł na współpracę z Hafiz. To dlatego zależało mu, żeby trzymać go w bezpiecznej odległości od wszystkiego. Oczywiście musi zachować pozory, że ciągle działają jako partnerzy, więc sprytnie przekazuje wiadomość dla Tomaso, że Marouan proponuje przeczesanie lasu tyralierą. Zupełnie jakby Marouan sam tam był. Łajdak myślał pewnie, że w ten sposób upiecze dwie pieczenie przy jednym ogniu. Z jednej strony udaje przed nim, że robi wszystko dla dobra ich partnerstwa, a za plecami perfidnie go oszukuje.

Na twarzy Marouana pojawił się zły uśmiech. Oczywiście Calvino nie miał pojęcia o jego podwójnej grze. Musi to wszystko rozgrywać jeszcze sprytniej. Musi zadbać, żeby Calvino nie zorientował się, że on się czegoś domyśla. Jednocześnie musi szukać szansy, żeby przyłapać Calvina na gorącym uczynku z Hafiz, i potem rozegrać to po mistrzowsku jako swój atut. Bo skoro Tomaso tak wyraźnie dał im do zrozumienia, żeby pracować nad tą sprawą „pod wiatr”, czyli unikać jak ognia mediów, to będzie niezłe zdziwiony, kiedy się dowie, że inspektor Calvino kombinuje z jakąś dziennikarką. A to, że to kombinowanie nie ogranicza się tylko do miejsca zdarzenia, rozumiało się samo przez się.

I znów dotarło do Marouana, że po raz nie wiadomo który, zostaje sam. Zupełnie jakby nie miał wystarczająco dużo innych problemów.

Dzisiejsza akcja zabezpieczania śladów w sposób poważny zagrażała jego tajnemu zadaniu. Marouan wybrał numer na swojej komórce na kartę. Niejako w ramach przygrywki do czekającej go rozmowy jego serce zaczęło szybciej pompować krew.

Głos po drugiej stronie linii brzmiał tak samo nosowo i posepnie jak zawsze.

– Diva, witam. Masz minutę.

Słowiański akcent, łamana angielszczyzna i śmiertelna pewność siebie rozmówcy sprawiły, że dłonie i czoło Marouana pokryły się lepkiem potem.

– To nie jest dobry moment na żarty – usłyszał własny głos.  
– Ja sobie nie robię żartów – rozległo się w słuchawce. – Żarty nie są dla Arabów, Diva. Masz dokładnie pięćdziesiąt sekund.  
– Będą przeszukiwać las w poszukiwaniu śladów.  
– Życzę im powodzenia. Czterdzieści pięć sekund.  
– Przewrócą całą willę do góry nogami.  
Na chwilę zapadła cisza, pomijając odgłos lodowatego oddechu.  
– Jak wpadli na trop willi?  
– Ile mam jeszcze sekund? – spytał Marouan zuchwale.  
– Do jasnej cholery, nie prowokuj mnie, pieprzony owcojebco! Gadaj, co masz do powiedzenia.

Marouan przełknął ślinę.

– W środku nocy na drodze samochód potrącił dziecko, które z pewnością nie spadło tam z nieba, bo inaczej znaleźliby pewnie spadochron albo anielskie skrzydełka – oznajmił, nie mogąc się powstrzymać od ironii.

– Powinieneś występować w stand-upach, Diva. Czyli nie wiedzą, skąd dzieciak się tam wziął. No i co z tego?

– To z tego, że zarządzono poszukiwanie śladów w okolicznym lesie – odrzekł Marouan. – Będą tam technicy medycyny sądowej od zabezpieczania śladów krwi do analizy DNA. I możesz teraz zgadywać, co wykryją.

Marouan próbował blefować, żeby pokryć własny strach, ale sądząc po reakcji rozmówcy, nie do końca mu się to udało.

– Twoim zadaniem jest w tej chwili opóźnić całą sprawę. Zrozumiałeś: o-póź-niać.

– Nie obilo ci się przypadkiem o uszy, że policja ma organizację hierarchiczną? Jeśli mój szef ustali coś z sędzią śledczym, to myślisz, że będą słuchali jakiegoś tam śledczego, który domaga się odłożenia akcji z powodu upałów?

– Masz ich odsunąć jak najdalej od willi.

– Nie mam takiej możliwości! Jak, do cholery, miałbym sprawić, żeby sprawa utknęła, skoro ciągle zwalasz mi na głowę ten sam shit! Nie dam rady tak pracować, żeby bez przerwy być o krok za faktami. Jeśli mam coś opóźnić, to do cholery jasnej, muszę wiedzieć, co mam opóźnić!

– Słuchaj no, ty *parsziwaja skatina*, bydlaku jeden. Twoje zadanie polega na tym, że masz być moimi oczami i uszami. Za to ci w końcu płacę. Skoro ci mówię, że masz opóźnić sprawę, to nagle zaczyna cię to przerastać? Będziesz mi teraz mówił, że tak nie możesz pracować, ty bezwartościowy pętaku?

Marouan był zdruzgotany.

– Zadałem ci pytanie, gnoju!

– Ja nie... – wyjąkał Marouan.

– Nie? Co „nie”?

– Nie to miałem na myśli.

– Czego nie miałem na myśli.

– Dobra, nieważne.

– Ja decyduję, co jest ważne, a co nie. Masz robić to, co ci każę. A ja kazałem ci opóźnić sprawę. Poza tym dawno przekroczyłeś limit czasu.

Zaraz potem połączenie zostało przerwane. Marouan, wrzeszcząc i przeklinając na cały głos, cisnął komórkę jak najdalej od siebie, jednocześnie za ciasno wszedł w ostry zakręt, wskutek

czego wylądował na zarośniętym mchem poboczu.

Marouan przez długi czas nie mógł dojść do siebie. Tarł kostkami palców o kierownicę aż do krwi, otworzył drzwi samochodu, chodził tam i z powrotem, klnąc, na czym świat stoi, aż wreszcie zaczął walić otwartą dłonią w dach samochodu.

Tak długo, aż przestał odczuwać jakikolwiek ból.

Wciąż mając jeszcze Susanne w głowie, we wszystkich naczyniach krwionośnych i w ogóle w każdej komórce ciała, Paul śpieszył w stronę Ponte City, cylindrycznego, zdewastowanego wieżowca tuż przy Highlands Hill. Zbudowany w latach siedemdziesiątych jako luksusowy apartamentowiec dla białych, po zniesieniu apartheidu popadł niemalże w ruinę. Tam właśnie, na pięćdziesiątym piętrze, miał się spotkać z informatorem, mającym mu opowiedzieć coś więcej na temat nowego człowieka, którego nazwisko pojawiło się w toku prowadzonego przez Paula śledztwa, mianowicie rosyjskiego oligarchy Walentina Ławrowa.

Po rozpadzie Związku Radzieckiego Ławrow został znaczącym graczem na międzynarodowym rynku wydobywczym oraz eksploatacji gazu, wpompowując swoje miliardowe zyski w niemożliwy do przejrzania system bankowości międzynarodowej. Koncern AtlasNet Ławrowa został zbudowany na sieci niezwykle wpływowych kontaktów sięgających najwyższych kręgów biznesowych i rządowych.

W czasie oficjalnej trzydniowej wizyty w RPA kilka miesięcy temu rosyjski prezydent Potanin zapowiedział intensyfikację współpracy między obydwojma krajami. Miało chodzić głównie o wymianę paliwa technologii nuklearnych na potrzeby przyszłych projektów z zakresu energetyki jądrowej. Przy tej okazji odbywały się też zakulisowe rozmowy funkcjonariuszy rządowych pod przewodnictwem ministra Nkoane z przedstawicielami AtlasNetu z Ławrotem na czele. Rozmowy dotyczyły możliwości budowy na terenie RPA nowych kopalni uranu. Prawa do eksploatacji miał kupić AtlasNet od rządu RPA.

Paul wiedział, że przy sprzedaży koncesji na wydobycie surowców naturalnych przez zagraniczne koncerny w grę wchodziły niebotyczne kwoty. Nie było najmniejszych wątpliwości, że przy tej okazji część opłat koncesyjnych wyląduje na prywatnym koncie Nkoane. Dlatego tak wiele spodziewał się po czekającej go rozmowie. Wiedział tylko, że będą to informacje z najściślejszego kręgu wtajemniczonych, które pozwolą mu to i owo udowodnić.

Otwarta pozostawała tylko kwestia, czy w ogóle dojdzie do rozmowy. Paul nienawidził się spóźniać i przeklinał ten czas, który zmarnował na rozmyślaniach w Stella's Coffeebar. Człowiek, który miał mu pomóc swoimi informacjami na temat Nkoane, prawdopodobnie już sobie poszedł.

Kiedy wreszcie dotarł do opuszczonego wieżowca, od razu zwrócił uwagę na piętrzącą się na okrągłym wewnętrznym dziedzińcu wielometrowej wysokości górę połamanych mebli i różnego rodzaju śmieci. W nozdrza uderzył go smród rozkładu, a w zamkniętym ścianami kolistym szybie odbijały się echem odgłosy miasta, mieszając się z czymś, co przypominało krzyk. Dochodził on gdzieś z góry. Paul podniósł wzrok i zobaczył, że na niektórych z wyższych pięter brakowało okien i całych ścian. Zdrowy rozsądek nakazywał odwrócić się na pięcie i jak najszybciej się stąd oddalić. Ponieważ jednak Paul uważał, że dziennikarz nie może kierować się wyłącznie zdrowym rozsądkiem, udał się do jednej z niewielu czynnych jeszcze wind, która szarpiąc i trzeszcząc, zawiozła go na pięćdziesiąte piętro.



Kiedy tam dotarł, odgłosy miasta przycichły, zamieniając się w stłumiony jednostajny szum, zupełnie jakby w złowrogiej ciszy słyszał krew krążącą w swoich żyłach. Przez dziury w ścianach widział dużą część pogrążonego w cieniu piętra, ale nie zauważył żadnego ruchu. Nagle całkiem niedaleko usłyszał jakiś odgłos, zupełnie jakby ktoś upadł na betonową posadzkę i próbował się szybko odczołgać. Paul zastygł w bezruchu i nasłuchiwał w skupieniu, aż usłyszał ten odgłos ponownie. Dochodził zza metrowej szerokości filara, oddalonego od niego o jakieś dziesięć metrów.

Kiedy tam zajrzał, zobaczył po drugiej stronie ciemnoskórego człowieka, prowizorycznie, ale skutecznie przywiązanego do filara i usiłującego za wszelką cenę uwolnić się z więzów. Człowiek ten był nie do rozpoznania, ponieważ jego twarz stanowiła jedną krwawą miazgę. Choć był jeszcze przytomny, nie mógł wydobyć z siebie słowa, ponieważ usta miał zaklejone czarną taśmą. Oczy miał rozszerzone śmiertelnym przerażeniem.

Paul ruszył w jego stronę, żeby go uwolnić, gdy usłyszał za plecami szereg poleceń wydanych po rosyjsku. Zanim się zorientował, spadł na niego grad kopniaków i ciosów trafiających w miejsca, co do których nawet nie miał pojęcia, że potrafią tak boleć. Nie miał też jak dotąd pojęcia, że człowiek tak długo może coś takiego wytrzymać. Ciosom nie było końca. Mężczyźni, którzy go tak obrabiali, dokładnie wiedzieli, co robią, wiedzieli, jak daleko mogą się posunąć, jakim crescendo ciosów zmienić człowieka w miazgę, a kopniakami połamać mu kości, tak aby wszystko to od początku do końca przeżył przy pełnej świadomości.

Zza filara wyszedł krępy łysy mężczyzna z kozią bródką. Miał na sobie białą koszulę z krótkimi rękawami, spod których wytatuowane pająki maszerowały w stronę gwiazd wytatuowanych na jego przedramionach. Jego łysa głowa świeciła od potu, a na haczykowatym nosie miał wielkie przeciwsłoneczne okulary z lustrzanymi szklami. Sześćdziesięciolatek o budowie gladiatora wyglądał trochę jak kondor.

Kiedy stanął przed Paulem, wyjął inhalator, zrobił głęboki wdech i na kilka sekund wstrzymał oddech, a Paul zobaczył w szklach jego okularów dwóch goryłowatych oprychów, którzy przed chwilą go skatowali. Z głębokim westchnieniem kondor wypuścił z płuc powietrze, nonszalanckim ruchem wskazał nieszczęśnika miotającego się przy filarze i zwrócił się z pytaniem do Paula:

– Czy zna pan tego człowieka, Chappelle?

Mówił ociężałym angielskim, pozostawiającym po sobie posmak bimbru. Paul był zdumiony, że tamten zna jego nazwisko, i pokręcił przecząco głową w odpowiedzi.

– Mam wrażenie, że był pan z nim umówiony – powiedział cichym szeptem kondor, pochylając się jeszcze bliżej niego. – A nie wygląda mi pan na miłośnika randek w ciemno.

Zaczął nucić jakąś melodię, coś z muzyki klasycznej. Podszedł do przywiązanego do filara człowieka, stanął tuż przed nim na szeroko rozstawionych nogach i odwrócił swoją łysą głowę w stronę Paula.

– Oczywiście o muzyce klasycznej nie ma pan zielonego pojęcia. Pewnie jest pan bardziej miłośnikiem jazzu, tak jak pański ojciec. Nawet pan nie wie, ile pan traci, panie Chappelle. Mozart, do jasnej cholery! *Don Giovanni*!

Zanucił kilka taktów, wymachując przy tym teatralnie rękami, co spowodowało, że mężczyzna przy filarze instynktownie zaczął się jeszcze bardziej szamotać.

– *Pentimento, pentimento*. Żałuj, żałuj! Żal za grzechy. Lecz żal przychodzi przeważnie za późno. Popatrz. – Kondor pokazał mu pendrive, który zaraz potem schował z powrotem do kieszeni na piersi. – Ten skurwiel miał zamiar ci to dać. A wiesz dlaczego? Ponieważ zapomniał,

co to umowa. Człowiek nie umawia się po to, żeby o tym zapomnieć. Bo jak się zapomni, to nie można jej dotrzymać. – Uśmiechnął się. – Umowy. Umowy są jak zakłady. Złamanie umowy, to jak przegranie zakładu. Czy może być coś prostszego? Byle dureń to zrozumie. – Skinął głową w stronę człowieka pod filarem. – A ten *balbies* po prostu zapomniał!

Kondor pstryknął od niechcenia palcami i podczas gdy jeden z goryli skutecznie trzymał Paula w uścisku, drugi odwiązał czarnoskórego mężczyznę od filara i powłókł go na skraj pomieszczenia, gdzie nie było już ściany.

– Na miłość boską, dlaczego? – jęknął Paul, który już wiedział, co się zaraz stanie. Wraz ze słowami na jego ustach pojawiła się krew.

– Za przegranie zakładu grozi kara, Chapelle.

Zaraz potem rzucił jakieś polecenie po rosyjsku i związany mężczyzna został zepchnięty z krawędzi jak worek śmieci. Kilka sekund później Paul usłyszał głucho uderzenie ciała o stertę śmieci jakieś sto metrów niżej.

Łysa głowa z równo przyciętą bródką i lustrzanymi okularami na nosie znów pochyliła się nad Pauliem, który prawie tracił oddech. Mężczyzna niemal pieścizotliwym ruchem przesunął dłońią po jego czole, potem wzdłuż policzka aż do mokrej od potu szyi. Paul aż się wzdrygnął, gdy kondor złowieszczym szeptem powiedział mu wprost do ucha:

– To fascynujące zobaczyć, jak synowie idą w ślady ojców. Zupełnie jakby stanowiło to jakąś biologiczną zasadę.

Znowu sięgnął po inhalator, łąpczywie wciągnął tlen do płuc, a potem ujął twarz Paula w obie dłonie, zupełnie jakby miał zamiar ścisnąć ją z całej siły.

– Bardzo lubię konkretne umowy, Chapelle. Twój ojciec coś o tym wiedział. A kiedy gdzieś coś zaczyna dzwonić, to od razu wiem, że w powietrzu wisi zdrada. Dlatego powtórzę jeszcze tylko raz. Żadnej pisaniny na temat spraw, które gównem powinny cię obchodzić.

Paul nie był zdolny do żadnego ruchu. Jeden z goryli trzymał jego tułów od tyłu z mocą hydraulicznych cęgów, a jego głowa tkwiła w dłoniach kondora. Gdy dłonie nagle go puściły, w tym samym momencie poczuł błyskawicę bólu w plecach, zupełnie jakby jakaś stalowa ręka chciała przebić się przez jego kręgosłup. Osunął się na ziemię jak szmaciana lalka, spazmatycznie łapiąc ustami powietrze. Znowu poczuł przenikliwy ból, tym razem w górnej części pleców. Nie mógł złapać tchu i cały świat wokół zaczął wirować.

Został podniesiony z ziemi i spadła na niego nowa seria ciosów i kopnięć z impetem pociągu towarowego w pełnym pędzie. Kiedy podeszwa buta trafiła go prosto w twarz, usłyszał złowieszcze chrupnięcie, a potem spadła na niego zbawcza ciemność.

Farah i Parwaiz przyglądali się z dużej odległości rozkołysanym latawcom nad centrum Hagi. Małe krwawoczerwone, kanarkowe i jadowicie zielone latawce bojowe z małymi ogonkami pomykały w różne strony. Farah znała je z dzieciństwa. Jeden z chłopców z jej sąsiedztwa w Kabulu robił takie z bibuły i bambusa. Te tutaj były już jednak nowoczesne, wykonane ze specjalnych folii, o ramkach z elastycznego włókna szklanego.

Jechali teraz przez Prinsessewal wzdłuż Ogrodów Pałacowych i Farah patrzyła z boku na Parwaiza. Jego naznaczone starością oblicze zmieniło się w twarz zachwyconego widokiem chłopca. Z otwartymi ustami i zachłannością w oczach wpatrywał się w kolorowe latające obiekty. Farah czuła wzruszenie, widząc, jak bardzo jest wrażliwy. Mimo tych wszystkich strasznych rzeczy, jakie Parwaiz przeszedł w swoim życiu, wciąż jeszcze potrafił się zachwycać. Niektórzy nazwaliby to naiwnością. Szczerłość uczuć była jej zdaniem bardziej właściwym określeniem.

Ostrożnie manewrowała swoją carrerą pośród innych pojazdów na Lange Vijverberg i starała się jechać jak najwolniej, żeby Parwaiz mógł się napatrzeć na budynki parlamentu.

– Wspaniałe, wspaniałe! – powiedział. – I w tych przepięknych budynkach od wieków mieszka demokracja!

Demokracja, dobre sobie, pomyślała Farah. Znowu wzięła ją złość, kiedy sobie pomyślała, w jaki sposób holenderski rząd od lat traktuje uchodźców takich jak Parwaiz. Najpierw zostają napiętnowani jako przypuszczalni zbrodniarze wojenni, a następnie odmawia im się jakiegokolwiek szansy na uczciwy proces. W normalnym systemie prawnym człowiek jest niewinny dopóty, dopóki nie udowodni mu się czegoś przeciwnego. Tymczasem Służby Imigracyjne i Naturalizacyjne rządziły się innymi zasadami. Jeśli ktoś w ich rozumieniu bez żadnej rozprawy zostanie uznany za przestępcę, to taka osoba na własną rękę musi udowodnić, że tak nie jest! Prawo postawione na głowie. Aż trudno o tym mówić.

W wyniku narastającej w niej złości Farah wjechała do podziemnego garażu z tak wielką szybkością, że Parwaiz wydał z siebie okrzyk przerażenia i odruchowo złapał ją za ramię.

– Przepraszam, *kaka jan* – powiedziała ze skruczą. Zaparkowała, pomogła mu wysiąść, wsiedli do windy i zanim się spostrzegli, stali już w sierpniowym słońcu u stóp pomnika Wilhelma Orańskiego, gdzie jej wzburzenie powoli opadło.

Przez kilka minut przypatrywali się otoczonemu drzewami placowi, pełnemu entuzjastów puszczania latawców, demonstrantów i patrzących na to wszystko ze zdumieniem turystów. Panował nieomal odświętny, pełen podniecenia nastrój.

Farah zobaczyła, jak Parwaiz mimo starczej kruchości swego ciała lekko jak piórko podbiega do jednego z puszczających latawce. Mężczyzna ten był opasany kilkoma skórzanymi rzemieniami, które ze swej strony łączyły się z linkami latawców.

– Spójrz! – zawołał Parwaiz w zachwycie i Farah podążyła wzrokiem za jego wyciągniętym w górę palcem. Wtedy dostrzegła wielkie płótno unoszące się wysoko nad placem: replikę starego

obrazu, na którym młoda kobieta powiewa afgańską flagą.

– Malalai! – Parwaiz na całe gardło wykrzyczał jej imię, zupełnie jakby niespodziewanie spotkał od lat niewidzianą znajomą.

Farah знаła ten obraz z Malalai z czasów, kiedy jako mała dziewczynka przychodziła do Muzeum Narodowego w Kabulu. I nagle przypomniała sobie przepowiednię, którą Parwaiz szepnął jej wtedy do ucha.

– *Dar ayenda to mesle oe mashoor khahad shodi.* Pewnego dnia będziesz tak samo sławna jak ona.

Wracając myślą do dawnych czasów i widząc wielkie płótno szybujące w powietrzu nad placem, nagle znowu poczuła się małą, onieśmieloną dziewczynką z tamtych czasów, i poczucie to stało się jeszcze silniejsze, gdy nagle długie ramiona Parwaiza zamknęły ją w ojcowskim uścisku.

– Dziękuję ci, *dokhtarem*, za to wszystko – powiedział wzruszony.

– Nie, nie, nie musisz mi za nic dziękować, wujku. *Tashakor az shoma!* To ja jestem ci winna podziękowania! – wyjąkała.

– Czy możesz sobie wyobrazić – spytał, kiedy jakiś czas potem szli spacerkiem przez plac – że w latach sześćdziesiątych Kabul był nazywany Paryżem Wschodu? W powietrzu unosiła się nadzieja. Nie ma już ludzi, którzy by to pamiętali, ale tak właśnie było. – Popatrzyl za siebie. – Ludzie, którzy dzisiaj to zorganizowali, z pewnością muszą o tym wiedzieć.

Znaleźli się u wejścia do parlamentu. Farah spojrziała na otaczający ich tłum młodych przeważnie kobiet i mężczyzn. Większość z nich była Afgańczykami. Wielu synów i córek afgańskich ojców, którzy w czasie radzieckiej okupacji kraju pracowali w kręgach władzy. Tak samo jak Parwaiz. Ojców, którzy wraz z rodzinami poprosili o azyl w Holandii i zostali uwikłani w najróżniejsze procedury prawne. Tak samo jak Parwaiz.

Zastanawiała się, jakim przeżyciem musiało być dla dziecka, kiedy jego ojciec był napiętnowany jako zbrodniarz wojenny. Miała nadzieję, że ci młodzi dorośli, których widziała wokół siebie, wciąż są dumni ze swoich ojców, tak samo, jak ona była dumna ze swojego. Czcila go we wspomnieniach jak wielkiego bohatera.

Z rozmyślań wyrwało ją gwałtownie pojawienie się przed nią jasnowłosego operatora kamery, który mrużąc lewe oko, prawym patrzył przez obiektyw, żeby zrobić dobre ujęcie jej i Parwaiza. Za nim stał postawny dźwiękowiec, z głową łysą jak kula bilardowa. Umieszczonym na długiej tyczce i owiniętym w szary plastik mikrofonem nagrywał odgłosy otoczenia. Farah uśmiechnęła się do kamery, a potem spojrziała na zdezorientowanego Parwaiza. Była ciekawa, jak ona i *kaka jan* będą wyglądali w tym uroczystym dniu. Może nawet pojawią się w wieczornych wiadomościach.

Nagrawszy ujęcie, operator okręcił się niczym zawodowy tancerz wokół własnej osi, ugiął nieco kolana i oddalił się od nich, niknąc w tłumie, przy czym kamera przez cały czas spoczywała w niezmięnionej pozycji na jego ramieniu.

Zobaczyła, że ekipa telewizyjna zmierza w tym samym kierunku, co większość zebranych, zupełnie jakby przyciągał ich jakiś niewidzialny magnes. Jednocześnie zauważyła, że przez tłum niczym powiew wiatru przechodzi narastające podniecenie. Przy wejściu do budynku parlamentu powstało zbiegowisko wokół czterdziestolatka o chłodnych niebieskich oczach i szerokiej szczęce, który w swoim idealnie dopasowanym, szytym na miarę granatowym garniturze w prążki wyglądał, jakby przybył prosto z pokazu mody. Farah od razu rozpoznała w nim polityka Vincenta Coronela, budzącego najwięcej kontrowersji członka opozycji w Drugiej Izbie

parlamentu, jako przywódca Demokratycznej Partii Holandii jednoznacznie opowiadający się przeciwko abolicji dla imigrantów. Wokół niego zebrało się kilka ekip z kamerami i mnóstwo fotografów, podczas gdy on, mając po bokach dwóch masywnych ochroniarzy, elokwentnie przemawiał do podsuwanych mu mikrofonów. Farah słyszała, jak większość obecnych próbuje buczeniem i skandowaniem różnych haseł zagłuszyć jego słowa, Coronel jednak niewzruszenie mówił dalej, podkreślając swoje słowa wymownymi gestami. Cokolwiek by powiedzieć, Coronel na pewno nie był tchórzem. Nie zamknął się w zacisznej salce prasowej ani nie wybrał tylnego wejścia, stał tutaj, jak sam obwieścił „w samym sercu demokracji na placu, na którym Wilhelm Orański, Ojciec naszej Ojczyzny zmuszony jest przyglądać się wypełnionymi smutkiem oczami, jak zwolennicy wielokulturowości trwonią nasze dziedzictwo narodowe!”

Dla Farah zachowanie Coronela świadczyło nie tyle o odwadze, ile o bezgranicznej arogancji i chęci prowokacji, miała więc nadzieję, że ludzie zebrani wokół niej będą umieli się pohamować. Wystarczyłby teraz ktoś w gorącej wodzie kąpany, żeby dać Coronelowi asumpt do rozgłaszania po całym kraju, „jak pozbawiona szacunku dla naszych holenderskich norm i wartości jest większość przedstawicieli obcych narodowo kręgów”.

Zauważyła, że Parwaiz zaczyna źle się czuć w tym tłumie, i postanowiła wrócić z nim na znacznie luźniejszy plac. Kiedy właśnie do niego dochodzili, Parwaiz niespodziewanie złapał ją za ramię. Od razu zorientowała się dlaczego: zbliżający się srebrnego koloru bentley. Wóz w żadnym razie nie jechał szybko, ale robił to w sposób, w jaki za jej dzieciństwa po ulicach Kabulu jeździły radzieckie czołgi: pod żadnym pozorem nie mając zamiaru się zatrzymać.

– *Bachem*, wystarczy uważać.

Zobaczyła, że za kierownicą bentleya, który dostojnie przejechał obok nich, siedzi szofer w ciemnoszarej liberii. Ojcowski uścisk Parwaiza zmienił się nagle w bolesny rozpaczliwy chwyt. Z wyrazem obrzydzenia na twarzy wpatrywał się w nieznanego jej mężczyznę na tylnym siedzeniu. Nagle obiema rękami chwycił się za pierś, jakby zamierzał rozerwać sobie koszulę na piersi, i wydał z siebie niemalże zwierzęcy krzyk, który przejął Farah dreszczem.

Osuwając się na kolana, zrobił się biały jak kreda i zaczął charczeć. Wyglądał, jakby był zdjęty panicznym przerażeniem, i kiedy Farah złapała go w ostatniej chwili, chroniąc przed upadkiem, poczuła, że jest tak kruchy jak szklany posążek, który zaczyna pękać od środka. Udało jej się ostrożnie położyć go na płytach, którymi wyłożony był plac. Leżał, wijąc się z bólu, a po chwili zacząć wymiotować.

Ułożyła go na boku, żeby nie zadławił się własnymi wymiocinami. Jego brązowa twarz zrobiła się była biała jak kreda, nie mógł w ogóle mówić. Farah otarła mu wymiociny z twarzy i podłożyła rękę pod głowę. Wyprostowała się i zawołała najgłośniejszym głosem, jak mogła, żeby ktoś wezwał karetkę.

Z powodu tłoku długo jeszcze nie do każdego dotarło, co się dzieje. Orkiestra na placu dalej grała wesołe melodie, a latawce tańczyły w powietrzu.

Parwaiz ledwie oddychał. Próbował przyciągnąć ją do siebie. Pochyliła się nad nim i przysunęła ucho jak najbliżej jego ust, z których wydobywały się niezrozumiałe dźwięki.

– Nic nie mów, *kaka jan*, nic nie mów.

On jednak znów przyciągnął ją do siebie i chrypliwie wyszeptał jej do ucha:

– Mi-cha-łow.

Niemalże bez emocji, jak stwierdzenie. Zupełnie jakby te trzy dźwięki stanowiły wystarczające wyjaśnienie dla tego, co się stało.

– Michałow? *Kaka jan*, co to ma znaczyć?

Patrzył na nią, nie reagując. Oczami, w których nie było już życia.

W ostatnich promieniach zachodzącego słońca Paul zobaczył, jak czyjaś zakrwawiona dłoń pojawia się nad krawędzią podłogi pięćdziesiątego piętra. Po chwili pojawiła się też druga ręka, a zaraz potem patrzył prosto w oczy człowieka o zmasakrowanej twarzy.

Jego krzyk zaalarmował nocną pielęgniarką, która wbiegła do pokoju, gdzie leżał Paul podłączony rurkami i kablami do pikającej aparatury.

Kiedy znowu otworzył oczy, był już wczesny ranek i przy jego łóżku stał młody ciemnoskóry mężczyzna w białej koszuli i patrzył na niego takim wzrokiem, jakby właśnie usłyszał od niego głupi dowcip.

Mężczyzna przedstawił się jako Elvin Dingane, inspektor wydziału kryminalnego. Był ciekaw, czego Paul szukał w zrujnowanym wieżowcu Ponte City.

Paul nie miał pojęcia, czy może mu ufać, chociaż tamten swoją postawą sprawiał wrażenie, jakby był na wskroś uczciwym i sumiennym śledczym. Takim, który przywykł zmierzać prosto do wytkniętego celu. Człowiekiem emanującym pewnością siebie i z widoczną w oczach nieskrywaną empatią – czymś, co rzadko się widuje u ludzi wykonujących niewdzięczny zawód śledczego kryminalnego.

– Thaba Zhulongu. Coś panu mówi to nazwisko? – spytał Dingane.

– Słucham?

– Thaba Zhulongu, wysoki urzędnik w Ministerstwie Obrony.

Elvin Dingane wyjął z brązowej skórzanej teczki czarno-białe zdjęcie. Widać na nim było kulturalnego czarnego mężczyznę, który patrzył w obiektyw z przyjaznym uśmiechem.

– To właśnie Zhulongu? – spytał Paul.

– Kiedy był jeszcze w dobrym stanie – odpowiedział Dingane. – Osierocił młodą żonę i trójkę dzieci. To, co z niego zostało, znaleźliśmy na górze śmieci w Ponte City.

Paul poczuł znowu panikę wypełniającą jego ciało i w głowie zaczęło mu huczeć.

– Jednostka „Skorpion” nie uważa pana za podejrzanego, panie Chapelle – uspokoił go chłodno Dingane. – Zdajemy sobie sprawę, że wdepnął pan w tę sprawę przypadkiem, i może pan mówić o szczęściu, że pan przeżył.

Jednostka „Skorpion” była znana jako zespół najbardziej efektywnych policjantów do zwalczania ciężkich zbrodni w całej RPA. Paul raz jeszcze przyjrzał się badawczo Dingane i zdecydował się nie bawić się z nim w chowanego.

– Jeśli to ten mężczyzna – powiedział Paul, spoglądając na zdjęcie – to nie za wiele z niego zostało już wtedy, kiedy zobaczyłem go przywiązanego do filara. – Z trudem zaczerpnął powietrza. – Był torturowany. Potem zrzucili go na dół, żeby mi pokazać, co robią z tymi, którzy węższą wokół ich spraw.

– To był Zhulongu – potwierdził Dingane. – Zidentyfikowaliśmy go na podstawie uzębienia. W rezultacie tego zabójstwa otrzymaliśmy polecenie przeprowadzenia intensywnego śledztwa w ministerstwie Jacoba Nkoane.

– A niech to – powiedział Paul i uśmiechnął się. *It's getting better all the time.*

– Większość członków rządu Afrykańskiego Kongresu Narodowego to ludzie godni zaufania, panie Chappelle, którzy krok po kroku dążą do tego, żeby korupcja na najwyższych szczeblach władzy była wykrywana i zwalczana. Mniej dobra wiadomość jest taka, że nie możemy panu zapewnić ochrony. Manto, które panu spuścili w Ponte City, było jedynie ostrzeżeniem. Jeśli nadal będzie pan węszył, to po kolejnym pańskim artykule znajdziemy pana gdzieś w jakimś zaułku, pod mostem albo na wysypisku śmieci. I mogę pana zapewnić, że będzie pan wówczas daleko mniej żywy niż teraz.

– Jednym słowem namawia mnie pan, żebym zaprzestał śledztwa.

– Jednym słowem namawiam pana, żeby od tej chwili pozostawił pan to śledztwo nam.

– Muszę to przemyśleć – powiedział Paul ponuro, opadł na miękkie poduszki i zamknął oczy.



Takie kroczenie w jednej linii wymagało optymalnego skupienia uwagi i czegoś w rodzaju widzenia tunelowego. Człowiek skupiał się wyłącznie na kilku metrach kwadratowych bezpośrednio przed sobą, szukając czegoś zwracającego uwagę. Policjanci uformowali tyralierę i powoli szli od strony willi przez las w stronę drogi. Powolny marsz milczących mężczyzn patrzących pod nogi, oddalonych jeden od drugiego nie dalej jak na wyciągnięcie ręki, szukających wzrokiem ewentualnych zmian kolorów, nietypowych form i odcisków stóp. Wszystkiego, co mogłoby wskazywać na to, że właśnie tędy biegł, ratując się ucieczką, chłopiec w orientalnym stroju, przebrany za tancerkę.

Joshua Calvino szedł po prawej stronie Marouana Diby i miał trudności w skupieniu uwagi. W ciągu zaledwie jednej doby bowiem Diba ze zgorzkniałego wprawdzie, ale lojalnego partnera zmienił się w przygaszony i niepokojąco ponury znak zapytania. Z dnia na dzień Diba stał się cieniem śledczego, jakim kiedyś był.

Od pierwszej chwili, kiedy zaczął z nim pracować, Joshua wiedział, że musi mieć skórę słonia. Musi się nauczyć znosić humory Diby i przywyknąć do zagrożenia, jakie niosła ze sobą gotująca się w jego wnętrzu wściekłość. Mimo wszystko jako młody wówczas aspirant był zdecydowany wiele znieść od cieszącego się sporą sławą inspektora Marouana Diby, który rzeczywiście osiągał znakomite wyniki na wielu frontach.

Reputacja Diby mówiła sama za siebie. Jeszcze jako policjant zwrócił na siebie uwagę pokaźną liczbą bezwzględnie przeprowadzonych aresztowań wśród młodych amsterdamskich Marokańczyków. Widocznym efektem takiego działania było to, że cieszył się wśród nich coraz większym szacunkiem. W końcu udało mu się zostać ich powiernikiem. Kiedy coś się szykowało, dowództwo wysyłało do akcji Dibę. I w dziewięciu na dziesięć przypadków udawało mu się po raz kolejny zapobiec otwartemu konfliktowi między elementem napływowym a mieszkającymi tu od dawna grupami.

Kilka lat później już jako inspektor zdobył nawet ogólnokrajową sławę. W sobie tylko znany sposób wytropił na lotnisku Schiphol jedenaście podejrzanych beczek ukrytych w samolocie cargo z Karaibów.

Szacowana wartość uliczna sześciuset kilogramów kokainy ukrytej w beczkach wynosiła głupie czterdzieści milionów euro. Tym samym inspektor Marouan Diba stał się bohaterem największego przejęcia transportu narkotyków w dziejach lotniska Schiphol. Nic więc dziwnego, że Joshua chciał mieć taką policyjną ikonę przez jakiś czas za mentora, godząc się znosić wszelkie związane z tym niedogodności, jak choćby fakt, że Diba coraz częściej rozpoczynał służbę w oparach alkoholu, że pocił się jak norka, a jego obyczaje i zachowanie przy jedzeniu przypominały nawyki świni. Joshua uparcie wierzył w szczerą intencję kryjącą się za tymi szorstkimi, a niekiedy wręcz odstręczającymi zwyczajami jego dawnego bohatera.

W końcu jednak nawet Joshua musiał przyznać przed samym sobą, że najlepsze czasy Diby to już przeszłość. Marouan stał się człowiekiem, który wyglądał na zaplątanego w sieć

depresyjnego zgorzknienia. Joshua widział to w jego oczach, słyszał w jego głosie, rozpoznawał to nawet po jego sposobie chodzenia. Diba chodził bowiem zgięty pod ołowianym ciężarem dźwiganego brzemienia.

Za plecami Diby gwałtownie spekulowano na temat zawartości tego brzemienia. Uzależnienie od alkoholu, wypalone małżeństwo, depresja maniackalna i grożące mu wypalenie zawodowe to zaledwie kilka wariantów tematu. Pomimo tych wszystkich spekulacji nikt jednak z Dibą o tym nie rozmawiał, nawet Joshua. Rozmawianie o tego rodzaju problemach nie było przyjęte w tej grupie zawodowej. Zagryzało się zęby i pracowało dalej.

Z tych czy innych względów powolny upadek Diby budził u Joshui poczucie moralnego obowiązku, żeby jak długo się da, chronić swojego partnera. Już choćby z tego względu zależało mu na jak najszybszym rozwiązaniu sprawy tego potrąconego przez samochód chłopca. Miał nadzieję, że Diba zdąży jeszcze wejść na pokład samolotu lecącego do Marrakeszu, żeby zacząć jakże potrzebny mu urlop.

Tyraliera doszła tymczasem do miejsca, które Joshua już rano zaznaczył jako to, gdzie Farah znalazła kolczyk. Policjanci w milczeniu kroczyli dalej. Słychać było tylko szelest nisko rosnących gałęzi ocierających się o ich spodnie i trzask gałązek pękających pod butami, podczas kiedy za ich plecami rozlegały się od czasu do czasu pokrzykiwania techników, którzy rozpracowywali teren wokół willi.

Nagle jeden z policjantów z lewej strony tyraliery podniósł rękę w górę. Na zwisającej gałęzi wisiał strzęp błękitnego materiału przetykanego złotą nitką. W celu zaznaczenia miejsca, obwiązał pień drzewa kawałkiem policyjnej taśmy.

Joshua słyszał ciężki oddech Diby, ale opanował pokusę popatrzenia na niego. Zamiast tego potajemnie omiatał wzrokiem nie tylko teren przed sobą, ale też obszar zarezerwowany dla Diby. Dzięki temu dodatkowemu poszerzeniu zakresu poszukiwań dostrzegł kątem oka, że na ziemi leży coś jasnoczerwonego, na wpół skrytego w ciemniejszym mchu. Spodziewał się, że Diba też to zobaczy, w końcu to coś leżało wprost przed nim. Diba jednak przeszedł nad tym jak lunatyk. Dając w tej sytuacji znak do zatrzymania, Joshua zobaczył w oczach Diby coś jak błysk rozpacz. A może to była tylko złość?

Joshua opuścił tyralierę i ominął Dibę, zmierzając w stronę czerwonego przedmiotu, który najbardziej przypominał urwany pasek od klapka lub sandała. Kawałkiem policyjnej taśmy oznaczył to miejsce. Spojrzał w stronę miejsca, w którym weszli do lasu, i w myślach zobaczył zygzakowaty ślad, jaki zostawił za sobą uciekający chłopiec. Gdy tyraliera znowu ruszyła, Joshua nie potrafił uwolnić się od pytania, czy Diba naprawdę niczego nie zauważył?

Kiedy skończyli, na podstawie oznaczonych punktów można było zrekonstruować najbardziej prawdopodobną trasę ucieczki chłopca, co pozwalało teraz na bardziej systematyczne poszukiwanie bardziej konkretnych śladów. Otwarte pozostawało pytanie, czy chłopiec był przez kogoś ścigany. Ważne byłoby znalezienie odcisków stóp, ale leśne podłoże było niestety przeraźliwie suche. Przez ostatnie tygodnie nie było prawie żadnych opadów, a ten ostatni deszcz był niewystarczający do rozmiękczenia gruntu, dzięki czemu miałyby szansę pozostać na nim jakieś odciski stóp.

Joshua raz jeszcze przeszedł tę trasę razem z technikiem kryminalistycznym, który robił zdjęcia i rozkładał markery na potrzeby badań, które miały zostać przeprowadzone o późniejszej porze dnia. Przez cały czas zastanawiał się nad jedną rzeczą: co się stało z Dibą?

Technicy w białych kombinezonach wciąż jeszcze byli zajęci zabezpieczaniem śladów na patio i wokół willi. Joshua zobaczył, jak Diba pustym wzrokiem patrzy na to wszystko, stojąc za taśmą odgraniczającą. Trudno było o większy kontrast z obrazem człowieka, który jeszcze nie tak dawno wyklócał się jak wściekły ze strażakami przy wraku kombi.

Jeden z techników zawołał do siebie pozostałych, że znalazł coś pod dębem jakieś piętnaście metrów od willi. Joshua pomyślał, że może chodzić o łuskę pocisku. Nie miał pojęcia, czy mu się wydaje, czy Marouan naprawdę klnie przez zaciśnięte zęby.

– Co się dzieje, partnerze? – spytał z udawaną obojętnością.

– Jak to się tutaj mówi? – odpowiedział Diba, nawet nie zadając sobie trudu, żeby na niego spojrzeć. – Dużo krzyku nie wiadomo po co, czy jakoś tak?

– Nie słyszę, żeby ktoś tu krzyczał.

– Zachowaj te dowcipne uwagi dla siebie, Cal. Ilu ludzi tu zatrudnili? I czym każą się zajmować dorosłym facetom, takim jak ty i ja? Bezsensownym przeczesywaniem lasu. Dobrze, że jeszcze nie kazali trzymać się za rączki. A dlaczego? Bo tobie zachciało się tu przyłączyć rano z tą twoją cizią, a potem nie chciałeś tego nikomu powiedzieć.

– Co ty pieprzysz, Diba?

– A co powiedziałaś dzisiaj do Tomaso? – spytał Marouan jadowicie. – Że byłeś tutaj ze mną?

Joshua popatrzył na niego z zawziętą miną.

– A ty co? Powiesz mi może, że niczego tam przed chwilą nie widziałaś?

– Powiem ci, co widzę – powiedział Diba wściekle. – Pod samym nosem. Widzę hipokrytę, który słucha się tylko swojego italiańskiego fiuta!

Joshua musiał się opanować, żeby się na niego nie rzucić.

– No i co, zatkało cię, co, palancie? – Głos Diby wszedł na wysokie tony. Ciężko dyszał.

W tym momencie pod willą pojawił się sędzia śledczy, który zezwolił Dickowi Parkowi, szefowi techników, na otwarcie willi i zabezpieczenie w niej śladów. Joshua od razu pomyślał o tym, co Farah powiedziała mu dzisiaj rano: „To jest o wiele większa sprawa, niż nam się wydaje”. Odwrócił się i zobaczył, że Diba zdążył się oddalić i zmierza w stronę lasu. Postanowił pójść za nim.

Diba wyglądał na zatopionego w myślach, zupełnie jakby roztoczył wokół siebie niewidzialny pancerz. Joshua próbował skłonić go do zatrzymania się.

– Posłuchaj, Diba. Wczoraj nic nie powiedziałem w czasie rozmowy z Tomasoą, ponieważ nie miałem pewności, czy Farah Hafiz rzeczywiście coś dla nas ma. I oczywiście martwił mnie fakt, że ona jest dziennikarką. Ale umówiłem się z nią, że zgłosi się na komendę i złoży oświadczenie. Więc jeśli będziesz chciał ją przesłuchać, to proszę bardzo. I żeby było jasne, to oświadczam ci, że w moim raporcie będzie wszystko poza informacją, że mój partner nie chciał zobaczyć leżącego na ziemi dowodu w sprawie, chociaż praktycznie się o niego potknął.

– Na miłość boską, Cal! – ryknął Diba jak dżgnięte czymś ostrym zwierzę. – Zamknij tę swoją wredną mordę i zostaw mnie wreszcie w spokoju!

Podczas kiedy Diba szedł coraz głębiej w las, Joshua zatrzymał się przestraszony, rozglądając się, czy przypadkiem ktoś niepowołany nie widział ich albo nie słyszał. Byli jednak całkiem sami i poza zasięgiem uszu pozostałych. Nieraz już widział wściekłego Dibę, ale jeszcze nigdy nie wyglądał on na tak wyprowadzonego z równowagi, tak zapędzonego w kozi róg i do tego stopnia niepanującego nad sobą. W miarę jak zarysy tego, co się wydarzyło, stawały się dla Joshui coraz bardziej ponure i przytłaczające, coraz bardziej zagadkowa zaczęła mu się też

wydawać rolę, jaką odgrywał w tym wszystkim Marouan Diba.

Minęło już ponad pięć godzin od czasu, kiedy sanitariusz z karetki łagodnie, ale zdecydowanie odsunął Farah od ciała Parwaiza. Policjant zadał jej kilka pytań. Chciał wiedzieć, kim jest, co łączyło ją ze zmarłym i co jej zdaniem się stało. Farah nic nie powiedziała o przejeżdżającym samochodzie. Nie wyobrażała sobie, żeby mógł istnieć jakikolwiek związek między tymi dwiema sprawami. Nie było możliwości, żeby nieznanymi czterdziestolatek na tylnym siedzeniu Bentleya mógł się przyczynić do ataku serca starego Afgańczyka. Za to znów przypomniała sobie jego słaby szept: „Mi-cha-łow”. I znów poczuła silny uścisk na ramieniu.

Gwałtownie ocknęła się z rozmyślań, bo czerwone światła samochodów przed nią zaczęły się zbliżać ze złowieszczą prędkością. Parę sekund później tkwiła już na amen w korku. Z roztrzęsionymi rękami, wysuszonym na popiół gardłem i żyłami na skroniach grożącymi pęknięciem.

Przez ostatnie godziny nie dała sobie szansy poczuć, co śmierć Parwaiza z nią zrobiła. Jasnowłose operator kamery i jego dźwiękowiec zaoferowali, że pojedą za karetką i zawiozą ją do szpitala. Farah jednak przestawiła się na tryb praktyczny. Miała nadzieję, że jeśli będzie działać, to uda jej się odsunąć od siebie panikę i smutek.

Pojechała do szpitala, gdzie zaprowadzono ją do zimnego, wyłożonego kafelkami pomieszczenia kostnicy. Parwaiz leżał tam jak woskowa podobizna samego siebie. Powiadomiła pracownika szpitala, że zmarły był muzułmaninem i dostała numer specjalistycznego zakładu pogrzebowego. Uprzejma kobieta po drugiej stronie linii zapewniła ją, że ciało Parwaiza już dzisiaj wieczór zostanie odebrane w celu dokonania rytualnego obmycia.

Potem pojechała do jego mieszkania. Parwaiz dał jej wcześniej klucz, mówiąc, że to „na nieprzewidziane okoliczności”. Teraz po raz pierwszy z niego korzystała. Otworzyła drzwi w cichej nadziei, że zastanie go siedzącego w ulubionym fotelu chesterfield. On wstanie zdziwiony, a ona, biorąc go w ramiona, będzie wiedziała, że to, co zdarzyło się dzisiaj w południe, było jedynie złudzeniem.

Lecz fotel był pusty, a w mieszkaniu zalegała ponura cisza.

Podeszła do wielkiego biurka i ostrożnie wysunęła górną szufladę. Papierowy motyl leżał na owiniętej w bibułkę paczusce, którą chciał jej niedawno przekazać Parwaiz. Wyjęła motyla i trzymała go w dłoniach tuż przy twarzy, w ten sam sposób, w jaki zrobiła to wczoraj na północnym brzegu rzeki IJ.

Spoglądała na papierowe skrzydła i czuła, jak narasta w niej rozpacz. Z wolna, ale niepowstrzymanie ogarniała całe jej ciało. Każdy ruch, każde działanie przychodziły jej z najwyższym trudem. Ale musiała to wytrzymać.

Oszołomiona, przez dłuższy czas chodziła po mieszkaniu. A potem zrobiła coś, czego nie robiła już od bardzo dawna. Na środku dywanu z Buchary padła na kolana i skłaniając się ku wschodowi, zaczęła się modlić. „O, Allahu, pewnie wątpisz we mnie czasami, tak jak ja czasami wątpię w Ciebie, lecz zechciej przyjąć Parwaiza *jana* do swego rajy”. Potem usiadła przy

solidnym biurku, wzięła ołówek do szkicowania i na czystej stronie arkusza papieru z jakimś rysunkiem zrobiła listę wszystkich praktycznych rzeczy, które musi jeszcze dzisiaj zrobić. Poszukała papierów z ubezpieczenia w szufladach, i faktycznie je znalazła, zadzwoniła do administracji domu, żeby powiadomić o zgonie lokatora i konieczności wstrzymania czynszu, spisała stan licznika wody oraz gazomierza i przekazała je telefonicznie do odpowiednich instytucji z prośbą o wyłączenie instalacji.

Zawartość dwóch wielkich szuflad biurka umieści w pudłach i zabierze do domu. Stary fotel, biurko i dywan każe przewieźć do siebie do domu. Były to najbardziej dotykalne pamiątki po Parwaizie. Resztę jego skromnego umeblowania, firanki oraz lampy postanowiła przekazać Armii Zbawienia.

Zamknęła mieszkanie i poszła do samochodu. Zrobił się duszny upał, kiedy od zachodu zaczęły nadciągać szare jak popiół chmury. A teraz tkwiła w wielokilometrowej długości korku i nagle nie miała już nic do zrobienia, co pomogłoby jej odsunąć od siebie świadomość tego, co się stało. Całe jej ciało zaczęło dygotać, a gardło zdawało się być ciasno zasznurowane.

Z nieba spadły pierwsze ciężkie krople. Otworzyła gwałtownie drzwi, przebiegła między stojącymi samochodami na pobocze, przechyliła się przez barierkę i zaczęła wymiotować.

Nie miała pojęcia, jak dużo czasu tam spędziła, gdy usłyszała za sobą głośne trąbienie klaksonów. Kiedy się odwróciła, zobaczyła że jej carrera jako jedyny wóz stoi na środkowym pasie trzypasmowej szosy. Kilku kierowców, którzy zmuszeni byli ją omijać, wykonało w jej kierunku niedwuznaczne gesty. W połączeniu z szumem spadających kropli deszczu powstała kakofonia klaksonów i wściekłych wyzwisk rzucanych przez opuszczone szyby.

Farah wzięła głęboki wdech. Wyciągnęła obie ręce w górę i pomachała nimi gwałtownie, dając samochodom najbardziej jednoznaczny z możliwych znak do zatrzymania się, a potem weszła na jezdnię. W świetle reflektorów zatrzymujących się samochodów wskoczyła do carrery. Silnik zaskoczył natychmiast. Farah nacisnęła pedał gazu i wjechała w ulewę.

Dochodziła piąta po południu, gdy Marouan Diba niechętnie zapukał do gabinetu szefa, żeby – jak na swoje wyczucie – nieco zbyt długo czekać na dobiegające ze środka „wejść”.

Kiedy wszedł do gabinetu, miał wrażenie, jakby przerwał tajne posiedzenie. Joshua Calvino, Dick Park oraz Tomaso popatrzyli na niego, jakby właśnie o nim rozmawiali, ale jeszcze nie skończyli, albo jakby mieli zamiar w następnej chwili wysmarować go smołą i wytarzać w pierzu, żeby obwieść go taczka po rynku czy ewentualnie zrobić to zaraz po odprawie.

– Weź sobie krzesło, Diba – rzucił Tomaso. – Jak wiesz, poprosiłem sędziego śledczego, żeby przekazał do laboratorium medycyny sądowej, że wszystko, czego dostarczą im dzisiaj chłopcy Dicka, zrobili w trybie priorytetowym.

Na początek Tomaso chciał usłyszeć, co przyniosło przeczesanie lasu tyralierą. Marouan zobaczył zawzięte spojrzenie Calvina, który dał mu znak głową: ty opowiedz.

Marouan zastanawiał się, co tu jeszcze robi w tym towarzystwie. Od kiedy dzisiaj rano jego tajemniczy zleceniodawca o słowiańskim akcencie zrugął go przez telefon, miał to samo przeczucie, jak trzydzieści lat temu, gdy wsiadał do autobusu z Tangeru do Marrakeszu, żeby odwiedzić do domu swojego najmłodszego brata, beniaminka rodziny. Marouan wsiadł z nim wtedy do autobusu, chociaż wszystko w nim krzyczało, żeby za nic tego nie robił. Zignorował wtedy to ostrzeżenie, które było tego samego rodzaju, co ostrzeżenia, które płynęło dziś rano ze słów jego zleceniodawcy, nakazujących mu opóźnić śledztwo, chociaż on całym sobą czuł, że nie będzie w stanie tego wykonać. Oczywiście jak najbardziej chciałby móc zaciągnąć hamulec ręczny, ale go po prostu nie było. A nawet gdyby był, to i tak by nie zadziałał. Tak jak nie zadziałały hamulce tamtego autobusu.

To był impuls, kiedy dzisiaj rano w lesie udał, że nie zauważył dowodu. Impuls, który niespodziewanie nabrał rangi zdrady stanu, gdy Calvino dał znak do zatrzymania i oznaczył taśmą czerwony fragment paska od sandałów. Po konfrontacji w lesie Marouan przez cały dzień starał się unikać swojego partnera. Po części z zawstydzenia swoim małostkowym zachowaniem, a po części dlatego, że Calvino z pewnością musiał już mieć jakieś podejrzenia, że prowadzi podwójną grę.

Calvino kaszlnął. Marouan wzdrygnął się, wyrwany z rozmyślań, i zorientował się, że tamci trzej patrzą na niego ze zniecierpliwieniem.

– Znalezione trzy obiekty – wymamrotał. – Kolczyk ze śladami krwi. Kawałek materiału pochodzącego ze stroju chłopca oraz pasek sandała.

Tomaso obejrzał zdjęcia trzech obiektów, które szef techników osobiście wykonał na miejscu znalezienia.

Marouan spojrzał z naciskiem na Calvino. Teraz ty. Powiedz im, kutasie! Calvino odwrócił wzrok.

Ciszę przerwał Park.

– Laboratorium potwierdziło, że grupa krwi na kolczyku zgadza się z grupą krwi chłopca.

Zbieżności DNA jeszcze nie potwierdzono.

– Jakież szczególne okoliczności?

– Co do tego kolczyka, szefie, to... – zaczął z wahaniem Calvino – nie my go znaleźlimy.

– To w takim razie kto? – Tomaso spojrział na niego w taki sposób, jakby już wiedział, że odpowiedź mu się nie spodoba. Ten to potrafi zajrzeć człowiekowi do mózgu, pomyślał Marouan.

– Przez pewną dziennikarkę – odpowiedział Calvino tonem ministranta, który zabrudził komżę. – Dziwnym zbiegiem okoliczności to ta sama osoba, którą wczoraj wieczorem widział pan na gali sztuk walki w teatrze Carré.

– Kobieta-żuraw?

– Tak, właśnie ona.

Bingo, pomyślał Marouan, nie mówiąc tego na głos.

– A co ona ma wspólnego z tą sprawą? – spytał Tomaso lodowatym tonem.

– To długa historia, szefie. Była akurat w szpitalu na izbie przyjęć, chcąc odwiedzić znokautowaną przez siebie przeciwniczkę, kiedy przywieziono tego chłopca. Ona jest Afganką. Tłumaczyła dla lekarzy. Potem pojechała do miejsca, gdzie znaleziono chłopca, szła przez las i natknęła się na kolczyk.

– To znaczy, że była tam przed wami? – spytał Tomaso wyraźnie już zdumiony.

– Zgadza się. Zadzwoiła do nas, znaczy do mnie, potem, żeby przekazać swoje znalezisko i od razu do niej pojechaliśmy.

– My? Calvino? Czy to jakiś *pluralis majestatis*, czy raczej...?

– Chciałem powiedzieć Diba i ja.

– Jasne. I kiedy tam u niej byliście?

– Wczoraj po południu.

– A skąd wiedzieliście, gdzie dokładnie znaleziono kolczyk?

Na moment zapadła cisza. Calvino spojrział na Marouana i tym razem tamten odwrócił wzrok.

– Dziś rano pojechałem z nią do tego miejsca, które wskazała – powiedział Calvino zgnębiony.

Tomaso popatrzył na każdego z osobna.

– Dziś rano? A mnie się wydawało, że byliście tam razem. A mówiąc „razem”, miałem na myśli was dwóch.

– Bo ja też z nimi byłem – usłyszał Marouan własne, wypowiedziane na głos kłamstwo. – Potem przyjechałem do komendy.

Marouan zignorował zdumione spojrzenie Calvina.

Tomaso odłożył na bok zdjęcia i zaczął gorączkowo szukać czegoś w swoich papierach.

– O ile dobrze rozumiem – powiedział, ciągle szukając – to sądząc po stroju, ozdobach i makijażu, możemy założyć, że chłopiec został wykorzystany do czegoś, co nazywa się...

– *Bacha bazi* – podsunął mu Calvino.

– Afgański chłopiec przebrany za tancerkę – wyjaśnił dodatkowo Marouan.

– Inaczej – powiedział Tomaso, pośpiesznie czytając znaleziony właśnie dokument – młodocianą prostytutkę.

Nikt nie zareagował. Wszyscy nawykli do używania daleko grubszych określeń, ale kiedy taki termin padał z ust Tomaso, to brzmiało to, jakby ktoś przeklął w kościele.

– Czy to dlatego ta dziennikarka tak się w to zaangażowała?

– Bez wątpienia tak – potwierdził Marouan.



– Ale muszę to usłyszeć bezpośrednio od niej – rzucił Tomaso. – Kiedy zostanie przesłuchana?

– Najszybciej, jak się da, szefie.

– W takim razie jutro – zdecydował Tomaso. – Ani dnia później. – Znowo spojrzął w dokument. – Nowe zjawisko. To nasuwa pytanie, co takiego działo się wokół willi i w jej środku.

– Z licznych śladów opon, których odlewy wykonaliśmy, można wnioskować, że willa mogła służyć jako miejsce spotkań – powiedział Park, który najwyraźniej dobrze się przygotował. – Na tym etapie nie mamy jeszcze ani jednego dowodu, że może chodzić o coś takiego jak dziecięca prostytutka, zdecydowanie możemy jednak przyjąć, że w okolicach willi sprawy wymknęły się spod kontroli, kiedy spotkały się tam jakieś dwie strony. Zarówno w willi, jak i na zewnątrz doszło do strzelaniny. W obydwu lokalizacjach znaleziono łuski, krew i ślady wleczenia ciała. Anatomopatolog na podstawie łusek potwierdził kaliber pocisków, które znaleziono w czasie sekcji w mostku jednego z mężczyzn znalezionych w spalonym wraku kombi. W przypadku drugiej ofiary ciało zostało przeszyte dwiema kulami, a porównanie otworów wlotowych z kalibrem łuski również potwierdziło identyczność kalibrów.

– Czy na tej podstawie możemy przyjąć, że obydwie osoby, których ciała wydobyto z wraku kombi, padły ofiarą tej samej strzelaniny? – spytał Tomaso.

– Taki scenariusz jest nawet bardziej niż prawdopodobny – potwierdził Park.

Tomaso wyprostował się w swoim fotelu – typowa poza Yula Brynnera – i spojrzął w stronę Marouana, który w coraz większym stopniu zaczynał się czuć jak bezsilny pasażer pędzącego autobusu, ku któremu pędziła z prawej strony kołysząca się na wszystkie strony ciężarówka z asfaltem.

– Spróbujmy to zrekonstruować. – Tomaso przeniósł wzrok na Calvina. – Nieznana liczba osób przybywa samochodami do willi. Chłopiec stanowił przypuszczalnie jeden z elementów spotkania. Następnie coś idzie nie tak. Co, na razie nie wiemy. Dochodzi do strzelaniny. Część ma miejsce wewnątrz willi. Tam zostaje zabita najprawdopodobniej co najmniej jedna osoba. Także na zewnątrz dochodzi do wymiany strzałów. Tu również mamy jedną ofiarę. W środku całego tego zamieszania chłopcu udaje się uciec. – Na koniec Tomaso przeniósł wzrok na Parka. – Jedna z ofiar zostaje potem wywleczona z willi na zewnątrz. Druga, zastrzelona przed willą, też jest wleczona po ziemi. Obydwie ofiary zostają załadowane do samochodu i kilka godzin później znalezione w podpalonym samochodzie kombi, parę kilometrów dalej w lesie. Co wiemy o samochodzie?

Park zaczął grzebać w swoich papierach i w końcu wyciągnął jedną kartkę, którą podał Tomaso.

– Na podstawie numeru podwozia ustalono, że samochód jest produkcji rosyjskiej, dostarczony przez wytwórcę do Odessy, przez firmę importową, która wyleasingowała samochód od jakiejś firmy krzak bez konkretnego właściciela.

– A więc ślepy zaułek – skonstatował Tomaso.

Marouanowi zrobiło się sucho w ustach, kiedy przypomniał sobie ostatnie sekundy przed tym, jak ciężarówka uderzyła w autobus. Pamiętał, że objął brata rękami i osłonił własnym ciałem.

Tomaso wiercił się niespokojnie w fotelu.

– W tym miejscu dochodzę do punktu, w którym czuję się, jakbym błądził po omacku. A mogę was zapewnić, że nie jest to moje ulubione uczucie. Tak więc panowie, oświećcie mnie! – Zaczął nerwową bębnić palcami o blat biurka, zupełnie jakby to była przygrywka zapowiadająca jakiś cyrkowy numer. – Czemu tak blisko? Czemu nie podpalono tego samochodu gdzieś daleko,

w miejscu, którego nie dałoby się tak łatwo powiązać z willą?

– Najprawdopodobniej cała sprawa została zaaranżowana w najwyższym pośpiechu – powiedział Calvino, robiąc małą przerwę, żeby sprawdzić, czy udało mu się na tyle zainteresować Tomasoę, że warto mówić dalej.

– Mów dalej – powiedział Tomaso, machnąwszy ręką.

– Założmy, że był tylko jeden człowiek – zaczął Calvino.

Marouan o mało nie podskoczył. Już dzisiaj rano zakiełkowało w nim to samo podejrzenie.

– Jeden człowiek? – zdziwił się Tomaso.

– Toby wiele wyjaśniało. – Calvino spojrział w stronę Parka. – Rozumiem, że znaleziono dwa ślady krwi?

– Zgadza się – potwierdził Park.

– Założmy, że nasz człowiek też został ranny w czasie wymiany ognia. Jeśli był sam... To znaczy, że to zawodowiec. On wie, że jeśli ofiary zostaną zidentyfikowane, ślady mogą zaprowadzić do niego. Wykorzystuje samochód kombi do tego, żeby uniemożliwić ustalenie ich tożsamości. Nie chce tego jednak robić przy willi, bo tym samym wskazałyby nam główne miejsce zbrodni. Dlatego podpala go gdzie indziej. Nie ma jednak szans zrobić tego jakoś bardzo daleko od willi, bo musi przecież do niej wrócić. Tu zostawił swój samochód.

Marouan był zdumiony precyzją analizy wydarzeń przedstawionej przez Calvina. Teraz już rozumiał, dlaczego już od dawna widział w nim zagrożenie dla siebie. Calvino miał cechy charakteryzujące śledczego, który ma szansę wyjść poza rzeszę średniaków przez całe życie robiących tylko swoje. Opanował swoje rzemiosło jak mistrz szachowy szachownicę. Myślał z wyprzedzeniem, analizował wszelkie możliwe ruchy i dokonywał wyborów.

Marouan musiał przyznać przed samym sobą, że Calvino już dawno go wyprzedził. I zrobił to nie z jakimś specjalnym hukiem, tylko w sposób prawie niezauważalny. Marouan nawet się nie zorientował. A teraz nie pozostało mu już nic innego, jak tylko siedzieć i słuchać, jak Calvino rozwija swoją błyskotliwą hipotezę.

– Nasz człowiek wiezie obydwie ofiary samochodem kombi na miejsce oddalone od willi o kilka kilometrów. Odkręca tablice rejestracyjne, pozbawia ofiary sygnetów, zegarków i wszelkich innych rzeczy osobistych, oblewa samochód benzyną i rzuca zapaloną zapałkę. Pufff!

Marouanowi robi się niedobrze. Po ponad trzydziestu latach nadal dokładnie czuje, jak autobus przechyla się na bok, kiedy ciężarówka się w niego wbija. Po raz kolejny słyszy ogłuszający zgrzyt rozrywanego metalu, brzęk pękających szyb i krzyki pasażerów, wylatujących jak żywe pociski z wirującego wokół własnej osi autobusu. Wśród nich jest jego brat.

– Wszystko w porządku, Diba? – Tomaso przyglądał mu się uważnie.

– Tak, tak, szefie – skłamał.

– A potem – ciągnął Calvino – nasz człowiek musi wrócić. I naprawdę nie może w tym celu wezwać taksówki.

– A więc dlatego, twoim zdaniem, zaaranżował to wszystko stosunkowo blisko willi – mruknął Tomaso.

Calvino z zapalem pokiwał głową.

– Właśnie. I to jest też powód, dlaczego znaleźliśmy stosunkowo dużo śladów. Kiedy nasz człowiek wraca do willi, jest już ciemno, na drodze robi się ruch z powodu znalezienia potrąconego przez samochód chłopca, a on sam jest ranny. Nie ma możliwości, czasu ani siły, żeby odpowiednio dokładnie zatrzeć wszystkie ślady.

Marouan mógłby im dokładnie powiedzieć, gdzie powinni szukać, żeby zweryfikować słuszność słów Calvina. Odruchowo chciał podać nazwisko człowieka, którego postać pojawiła się w jego głowie. Człowieka, który z upodobaniem nosił garnitury od Armaniego, nosił osobliwą kitle, zupełnie jakby wyszedł prosto z klasztoru Shaolin, i mówił po angielsku ze słowiańskim akcentem. W tej samej chwili jednak Marouan uświadomił sobie, że gdyby tylko zdradził tożsamość tego człowieka, to ofiarą tej szczerości padłby on sam. Podanie tego nazwiska miałyby dokładnie taki sam impet, jak impet, z jakim trzydzieści lat temu tamta ciężarówka uderzyła w autobus.

Tomasoa przez cały czas uważnie słuchał słów Calvina i najwyraźniej był pod dużym, wrażeniem. Marouan pomyślał, że pewnego dnia Calvino zajmie miejsce Tomasoy. Ale Tomaso nie wyglądał na takiego, który by się tego obawiał. Tylko prawdziwi mistrzowie szanują się nawzajem, dostrzegając talent i umiejętności przeciwnika, pomyślał Marouan i zorientował się, że Tomaso kolejną raz patrzy na niego badawczo.

– Czy sprawa potrącenia chłopca przez samochód może mieć jakiś związek ze strzelaniną, Diba? – spytał Tomaso.

Marouan sam był zdumiony, że tak szybko udzielił odpowiedzi.

– Gdyby ktoś chciał specjalnie rozjechać tego chłopca, to nie byłoby śladów hamowania – powiedział. – A nawet gdyby, to na pewno nie zostawiłby go na drodze.

– Tak czy inaczej – podsumował Tomaso – ten biedny chłopaczyna w krótkim czasie ze skromnej ofiary wypadku drogowego awansował do rangi świadka koronnego w porachunkach przestępczych. A to oznacza, że śledztwo w sprawie potrącenia chłopca nie ma szans toczyć się osobno.

– Co to oznacza dla nas, szefie? – spytał Marouan, w zasadzie znając już odpowiedź, której się obawiał.

– Że sprawę trzeba będzie powiązać z podwójnym morderstwem rozpracowywanym przez osobny zespół – objaśnił Tomaso. – I że najprawdopodobniej zostaniecie do tego zespołu przydzieleni.

Bingo, pomyślał Marouan. Uświadomił sobie, co dla niego oznacza ta odpowiedź. Zostanie niniejszym zasznurowany w gorset ściśle zhierarchizowanego zespołu, w którym na rozkaz będzie mógł co najwyżej podawać pracującym tam ekspertom kawę z odpowiednią ilością mleka. Nie będzie miał nic do powiedzenia w żadnej z prowadzonych przez nich akcji. Każdy ruch, każde działanie odbiegające od obowiązujących procedur natychmiast rzuci się w oczy. Będzie miał związane nogi i ręce, a to oznacza, że straci jakąkolwiek wartość dla swojego zleceniodawcy.

Marouan otarł pot z czoła. Uświadomił sobie, że jego życie niewiele się zmieniło od momentu, gdy jako jedyny żywy wyczołgał się z wraku autobusu jadącego do Marrakeszu.

**P**uszka mrożonej kawy, dwie tortille z humusem i paczka słodkich marchewek i dwie puszki napoju energetyzującego Golden Power to rezultat wypadu Farah do pierwszej z brzegu stacji benzynowej, jaką napotkała po drodze. Właśnie czekała w kolejce do kasy z tym ładunkiem energii w rękach, kiedy jej spojrzenie padło na czarno-białe zdjęcie na tytułowej stronie gazety „De Nederlander” wyeksponowanej w kiosku. Zobaczyła na nim mężczyznę, którego niejasno skądś kojarzyła, oraz kobietę z wielkim bukietem kwiatów w ręku. Stali po obu stronach szpitalnego łóżka i pełni rezygnacji, smutno patrzyli w obiektyw.

Serce podeszło Farah do gardła, gdy rozpoznała leżącego na łóżku chłopca. Patrzył na nią tak samo jak wtedy, kiedy wniesiono go do izby przyjęć. Oczami osoby uwięzionej we własnym koszmarze.

Sięgnęła po gazetę, zapłaciła za wszystko, pośpiesznie wróciła do samochodu i niecałą minutę później siedziała w środku z gazetą rozpostartą na kierownicy. Wbijając zęby w pierwszą tortillę, przebiegała oczami emocjonalną relację o Angeli Faber w artykule obok zdjęcia z wielkim nagłówkiem „Dzień w policyjnej celi”. Angela Faber opowiadała, jak to w nocy znalazła na środku drogi ciężko rannego, przebranego za dziewczynkę orientalnej urody chłopca i uratowała mu życie, dzwoniąc natychmiast pod numer alarmowy.

Farah czytała dalej o „katastrofalnej pomyłce śledczych”, który niedługo potem aresztowali ją jako główną podejrzaną o potrącenie chłopca.

Ale to jeszcze nie było wszystko.

Pod nagłówkiem „Cena popularności” mąż Angeli Faber, Dennis Faber, przedstawiony jako „gwiazda i ikona IRIS TV”, opowiadał z kolei, jak w czasie nagrywania programu *The Game of Love* na oczach kamer został „zakuty w kajdanki i wyprowadzony jak jakiś bandyta”. W opinii Fabera było to „traumatyczne przeżycie”, ponieważ zarzucono mu współudział, chociaż, jak powiedział, nawet nie było go na miejscu wypadku. Faber nawet nie usiłował ukrywać swojego oburzenia na postępowanie śledczych. „W takich razach człowiek naprawdę zadaje sobie pytanie, dokąd zmierza nasz kraj, skoro dwóch naturalizowanych inspektorów policji może bezkarnie ośmieszać nasz wymiar sprawiedliwości swoim prymitywnym niby-holenderskim zachowaniem”. „Ciężko doświadczone małżeństwo” oświadczyło w dalszej części artykułu, że „oczywiście” zaskarży policję z tytułu bezprawnego ograniczenia wolności. A „bardzo emocjonalna Angela Faber” podkreślała, że „największą ofiarą całej tej afery” jest oczywiście potrącony przez samochód chłopiec. „Dlatego całkowicie odsunęliśmy na bok własne cierpienia, żeby dzisiaj być tutaj wyłącznie dla niego”. Na co Dennis Faber „z wielkim współczuciem” zaznaczył, że nie mogli nic więcej zrobić dla „biednego chłopczyka”, jak tylko „modlić się za niego i mieć nadzieję, że wyzdrowieje”.

Oprócz tego, że z artykułu na kilometr zalatywało hipokryzją, Farah zadawała sobie pytanie, jak to w ogóle możliwe, żeby akurat Cathy Marant nagle zajęła się sprawą chłopca. Czyżby wiedziała o udziale Farah w sprawie i starała się w ten sposób pokazać ją w złym świetle? Od

razu znalazła odpowiedź na to pytanie, gdy otworzyła następną stronę i spojrzała na jej środek. Na widok zdjęcia Daniëlle wszystkie elementy układanki w jednej chwili ułożyły się w całość. Bez wątpienia artykuł ukazał się z inicjatywy Daniëlle. To ona musiała mieć ten znakomity pomysł, żeby wykorzystać relację o Faberach do własnych celów. Gdyby nie to, że Daniëlle była lekarzem, zawsze mogłaby spróbować w sektorze public relations.

Jak informowała Daniëlle, „ciężko rannym chłopcem z wielkim zaangażowaniem i fachowością zaopiekowano się na oddziale intensywnej terapii szpitala WMC”. Brakowało tylko, żeby podała godziny odwiedzin. Jak można być tak głupią? Zwłaszcza że zaraz potem oświadczyła z naciskiem, że chłopiec „padł ofiarą bezwzględnej bandy handlarzy dziećmi, która pozostawiła go w lesie na pewną śmierć”.

Czy ona naprawdę nie zdaje sobie sprawy, że to tak, jakby rozłożyła czerwony dywan na przyjęcie „bezwzględnych” typów, żeby mogli ostatecznie zamknąć chłopcu usta? Prawdziwy szok przeżyła jednak wówczas, kiedy na końcu artykułu przeczytała, że dziś wieczorem Daniëlle osobiście zda „mrozącą krew w żyłach relację z akcji ratowania chłopca” w programie *De Headlines Show*.

Złość na samowolne działania Daniëlle wzięła górę nad smutkiem z powodu śmierci Parwaiza. Pomyślała o tym, co powiedziała do niej Daniëlle. „Teraz sprawa jest świeża. Wszyscy się na tym skupiają. Od momentu, kiedy aresztowano tę telewizyjną parę, to już na pewno. Jutro może się wydarzyć coś innego i zainteresowanie opadnie”.

Farah nie mogła zareagować na te słowa inaczej, niż zareagowała. Przecież dokładnie wyjaśniła Daniëlle, dlaczego nie może i nie chce jej pomóc w ten sposób. Czyżby coś przeoczyła? Może powinna jeszcze dobitniej uświadomić Daniëlle, jak nierozsądne jest ściąganie tak wielkiego zainteresowania opinii publicznej na tę sprawę?

Tak czy inaczej, odmówiła uczestniczenia w realizacji pomysłu Daniëlle. A teraz poczuła się wykorzystana. Jej odmowa wróciła do niej jak bumerang.

Uświadomiła sobie ponadto, że przez występ Daniëlle w programie *De Headlines Show* sprawa chłopca stanie się dla mediów o wiele bardziej interesująca, niż należałoby sobie tego życzyć, skoro ma prowadzić własne śledztwo. Jej szef Edward chce, żeby pracowała w sposób nierzucający się w oczy. Czy będzie teraz chciał całkiem zrezygnować ze śledztwa?

Gapiła się przed siebie zmęczona jak pies, żując kolejne marchewki, których smaku w ogóle nie czuła, i opierając się na kierownicy, tak że pod naciskiem jej łokci gazeta powoli rozdarła się na pół. Za wszelką cenę starała się znaleźć jakieś logiczny powód. Jakies zadowalające wyjaśnienie dla tego pozornie bezsensownego zbiegu dziwnych okoliczności.

Znowu przypomniała sobie ten moment, kiedy chłopiec popatrzył na nią po przebudzeniu z narkozy. Znowu poczuła, jak dłoń Parwaiza kurczowo wpija się jej w ramię. Obydwie twarze nasunęły się na siebie. Twarz chłopca walczącego o życie i twarz Parwaiza, który się z życiem żegna.

I nagle uświadomiła sobie, na jakiej zasadzie ona sama stanowi ogniwo łączące te dwa, pozornie niemające ze sobą nic wspólnego wydarzenia.

Spojrzała na zegarek. Straciła wszelkie poczucie czasu. Zrobiła się już czwarta. Jeśli się pośpieszy, ma jeszcze szansę zdążyć na konferencję prasową i potem próbować przekonać Edwarda o konieczności dalszego prowadzenia śledztwa za wszelką cenę. Nawet jeśli miałyby to oznaczać, że współpraca z Paulem jest nieunikniona.

Jedną ręką Daniëlle manipulowała kranem baterii termostatycznej, podczas gdy drugą trzymała pod strumieniem wody, aby w ten sposób ustalić najbardziej odpowiednią temperaturę do kąpieli.

Dzisiejsza poranna operacja nie przebiegła zupełnie bez komplikacji, tak jak miała na to nadzieję. Spytała Mariskę, czy Angela Faber będzie mogła na moment odwiedzić chłopca.

– Ale tylko minutkę!

Wahanie Mariski przerodziło się w stanowczą odmowę, gdy zobaczyła, kto wchodzi na OIOM za Angelą Faber.

– Będę miała przez to kłopoty. Tak naprawdę nie wolno! – zawołała Mariska, kiedy Daniëlle pośpiesznie wprowadziła znamienite towarzystwo do salki, w której leżał chłopiec. – Posuwasz się za daleko, Daniëlle. Wyprowadź stąd tych ludzi albo wezwę ochronę.

Na widok chłopca Angela Faber znieruchomiała i nie potrafiła zdobyć się na nic więcej, jak tylko na patetyczne:

– O Boże, Boże, co oni ci zrobili?

Daniel Faber nie wytrzymał.

– No, co? Uratowali mu życie, to mu właśnie zrobili! – wybuchnął. – I nie mieszaj do tego Boga, bo on nie ma z tym nic wspólnego.

W tym czasie na korytarzu Mariska demonstracyjnie głośno dzwoniła po ochronę.

Szybka akcja zamieniłaby się w kompletne fiasko, gdyby nie Cathy Marant, która wydała Faberom polecenie, żeby ustawili się po obu stronach łóżka i jak rutynowani aktorzy przez chwilę patrzyli smutnym wzrokiem w obiektyw.

Cathy szybko wcisnęła jeszcze Angeli bukiet kwiatów, a fotograf Eric ustawił oboje tak, żeby chłopiec znalazł się na zdjęciu dokładnie między nimi. Daniëlle wiedziała, że chodzi tutaj o chłopca, ale w tym reportażu z głównego bohatera stał się on niemającym głosu statystą w trzeciorzędnym dramacie odgrywanym przez dwójkę celebrytów, którym się wydawało, że zdołają w ten sposób ukryć przed światem nieczyste sumienie i wypalone małżeństwo.

Na szczęście udało się skończyć wszystko błyskawicznie. Zaraz po przybraniu nakazanej pozy przy łóżku Dennis Faber wyszedł z salki, nie zaszczycając chłopca ani jednym spojrzeniem. Cathy Marant złapała chlapiącą już na potęgę Angelę Faber pod rękę i najszybciej, jak się dało, wyprowadziła ją na korytarz.

– A teraz ty – powiedział Eric do Daniëlle i ustawił ją na tle aparatury podtrzymującej wszelkie funkcje życiowe chłopca.

– Naprawdę musimy już wyjść – powiedziała Daniëlle do Erica, który bez przerwy naciskał spust migawki.

Daniëlle zobaczyła karcące, ale przede wszystkim pełne rozczarowania spojrzenie Mariski, kiedy wyszła z Erikiem z pomieszczenia.

– Później ci to wyjaśnię, Maris – próbowała się jeszcze tłumaczyć, ale nie miało to większego

sensu. Twarz Mariski wyrażała dezaprobatę i niechęć. Daniëlle z Erikiem weszli do prawej windy w tym samym momencie, kiedy otworzyły się drzwi windy po lewej i wyszli z niej dwaj ochroniarze.

– O mały włos – powiedział z uśmiechem Eric, stojący naprzeciwko niej w jadącej na dół windzie.

Daniëlle pomyślała o chłopcu. Miała takie poczucie, jakby go zdradziła.

Odetchnęła dopiero wtedy, gdy zobaczyła, jak Cathy Marant ze swoją świtą odjeżdża przed wejścia dla personelu. Kiedy wróciła na oddział intensywnej terapii, Mariska właśnie rozmawiała z dwoma ochroniarzami.

– Już po sprawie. Odjechali – rzuciła do niej pojednawczo Daniëlle i weszła do pomieszczenia, w którym leżał chłopiec.

Tam pochyliła się nad nim i pogłaskała go po ciemnych włosach. Patrzył na nią wzrokiem, który był gdzieś bardzo daleko.

– Bardzo cię przepraszam, ale musiałam to zrobić. Pewnego dnia ci to wyjaśnię i mam nadzieję, że mnie zrozumiesz.

Miała o wiele większe poczucie winy, niż się spodziewała. Zaczęła wątpić, czy jej intencje rzeczywiście są tak uczciwe, jak wcześniej myślała. Ale tą szybką akcją zasłużyła sobie na wieczorny występ. A w czasie występu opowie, co ma do powiedzenia. On nie może mówić, ale ona jak najbardziej.

A więc przemówi jej głosem.

Wydawało się, że minęła wieczność od momentu, kiedy stała przy jego łóżku. Zaraz po południu, kiedy wyjechała z podziemnego garażu, kupiła egzemplarz „De Nederlander”. W domu z bijącym sercem przeczytała artykuł i z ulgą stwierdziła, że wszystko wyszło dokładnie tak, jak sobie wyobrażała. W zasadzie odstawiłam niemalże cyrkowy numer, pomyślała i aż się uśmiechnęła. Najpierw ustawiła w świetle reflektorów oboje Faberów, a potem nieoczekiwanie wspięła się na ich ramiona i ściągnęła całą uwagę na siebie.

Wanna była już niemal pełna i Daniëlle wlała do niej grube krople energetyzującej pianki z żeń-szeniem, wciągnęła do nozdrzy jej różany zapach i zaczęła się rozbierać.

Usłyszała ćwierkanie ptaków, które było sygnałem jej komórki, wygrzebała telefon spod złożonych na taborecie ubrań i zawahała się, widząc, że to dzwoni Farah, ostatecznie jednak odebrała.

Farah wyglądała na spanikowaną.

– Daniëlle, właśnie przeczytałam ten artykuł w „De Nederlander”. Czy tobie naprawdę o to właśnie chodziło?

– Tak, o to właśnie mi chodziło – odpowiedziała chłodno.

– Ale to jest nieodpowiedzialne wykorzystywanie tego chłopca! Co ty z tego będziesz miała?

– Co ja z tego będę miała? – odpowiedziała Daniëlle. – A to, że będę mogła powiedzieć ośmiuset tysiącom widzów, że historia tego chłopca symbolizuje przerażający los milionów innych dzieci, które nie mogą się nawet poskarżyć.

– Czy na pewno ustaliłaś to z Cathy Marant?

– Czemu pytasz?

– Bo Cathy Marant kompletnie nie jest zainteresowana tego typu historiami. Dla Marant liczy się tylko sensacja, rozwody celebrytów, dawni idole, którzy wylądowali w rynsztoku, albo

dziennikarki, którym zdarzy się ciężko znokautować rywalkę na macie. Jeśli idzie o dzieci, to interesują ją tylko łzawe opowieści o dzieciach celebrytów, albo jeśli takie dziecko same jest już celebrytą. Czy ty tego nie rozumiesz? Wierząc jej, popełniasz wielki błąd.

– To co mam zrobić? Uwierzyć tobie? Ty mi nie chciałaś pomóc. A Marant tak.

– A pomyślałaś o bezpieczeństwie chłopca? Albo o swoim? Czemu ty to robisz? Co chcesz udowodnić?

– Nie mam najmniejszego obowiązku się przed tobą usprawiedliwiać. Mogłyśmy to zrobić razem. Ale ty nie chciałaś. No to teraz zostałaś z pustymi rękami.

– Daniëlle, ty nawet nie zdajesz sobie sprawy z konsekwencji takiego postępowania. Nie rób tego. To się może obrócić przeciwko tobie.

– Wiesz co, Farah, chyba już się na tobie poznałam. Jesteś zupełnie taka sama jak inni. Myślisz głównie o sobie. Na pewno nie wymienię dzisiaj twojego nazwiska, więc nie musisz się niczego obawiać. Ten wieczór jest przeznaczony dla tamtego chłopca. Nareszcie ludzie poświęcą mu uwagę, na jaką zasługuje. Zrobię wszystko, żeby tak właśnie było. Do widzenia.

Zakończyła rozmowę, owinęła się ręcznikiem, wyszła do pokoju i zorientowała się, jak wielkie przez tych parę minut owładnęło ją napięcie. A jeśli Farah rzeczywiście ma rację? Jeśli rzeczywiście naraziła w ten sposób bezpieczeństwo chłopca? Przypomniała sobie, jak w środku nocy uciekała przez wysoką do kolan trawę, ratując sobie w ten sposób życie. Znowu słyszała za sobą krzyki dzieci. Cokolwiek będzie robiła, gdziekolwiek się znajdzie – zawsze będzie je słyszeć. Tamta chwila już na zawsze pozostanie w jej głowie.



Edward Vallent jako szef z dużym upodobaniem chlubił się zdolnością do empatii, ale teraz, kiedy Farah próbowała go dogonić w drodze do ruchomych schodów, trudno byłoby coś takiego dostrzec.

– A więc, jeśli dobrze zrozumiałem, twój przyszywany wujek dzisiaj po południu nagle i niespodziewanie odszedł z tego świata, i to był dla ciebie wystarczający powód, żeby nagle zniknąć całkowicie z radarów i teraz nagle znowu się objawić? Nawet do mnie nie zadzwoniłaś!

– No, jeszcze czego! – nie wytrzymała Farah. – Jakby moim pierwszym odruchem, gdy ktoś umiera w moich ramionach miał być telefon do Eda!

– Nie musi to być pierwszy odruch, ale drugi albo od biedy trzeci powinien być. Jezu, niechby był nawet dziesiąty, ale powinnaś zadzwonić! Wpadasz sobie tutaj, jak gdyby nigdy nic, na parę minut przed rozpoczęciem konferencji, nie mogę nic z tobą przygotować, a kiedy próbuję ci przedstawić, co mamy zrobić, to próbujesz mnie zakrzyczeć tą idiotyczną opowieścią, że śmierć tego człowieka też ma coś wspólnego z potrąceniem tego chłopca od *bacha bazi*! Skąd ty bierzesz takie rzeczy, Hafiz?

– Jasna cholera, Ed, kiedy tak do tego podchodzisz, to oczywiste, że to wszystko brzmi, jakbym sobie robiła jaja.

Edward stanął jak wryty i odwrócił się do niej, wkurzony.

– Bo to są jaja!

Przez chwilę stali naprzeciwko siebie bez ruchu, jak gladiatorzy. Potem kolos ruszył dalej przed siebie, a Farah za nim.

– Niewątpliwie wszyscy jesteśmy ze sobą połączeni I Chingami, jin i jangami czy innymi feng shuami, a wszystkie istoty żywe tworzą wielką kosmiczną sieć przyczynowo-skutkową, ale to nie jest coś, czym powinna się zajmować wytrawna dziennikarka, która aż kipi talentem! A jeśli rzeczywiście chcesz iść tą drogą, to wsiadaj do pierwszego lepszego samolotu, który zawiezie cię na najwyższy szczyt Himalajów i wyżywaj się w jakimś buddyjskim klasztorze na wszystkich misach dźwiękowych, jakie tam mają. Ale tu, w rzeczywistym świecie, wciąż jeszcze opieramy się na faktach i opiniach. Fakty i opinie, Hafiz. Słyszałaś o czymś takim?

Chciał iść dalej, ale Farah go zatrzymała.

– Słuchaj, Ed, dzisiaj umarł w moich ramionach człowiek, którego kochałam jak ojca, łajdaku jeden! To, że ty potrafisz lubić tylko swoją pracę, a nie ludzi, którzy cię otaczają, nie daje ci jeszcze prawa, żeby mnie tak traktować!

Zobaczyła, jak furia w oczach Edwarda nagle gaśnie.

– Okay, uspokój się, Hafiz.

Chciał ruszyć dalej, ale Farah dumnie zastąpiła mu drogę. Czowała się tak, jakby stała przed przyśpieszającym hummerem.

– Domagam się zaufania i szacunku – powiedziała. – Bez tego nie mogę prowadzić tego śledztwa, a bardzo bym chciała, Ed. Chociażby dlatego, żeby wepchnąć ci z powrotem do gardła

tę zasraną niesprawiedliwość.

– *I love it when you talk dirty to me, Hafiz* – powiedział Edward z krzywym uśmiechem – ale na razie czas zjechać na dół i tam musimy mówić jednym głosem! Nawet jeśli tylko dla pozorów. Potem możemy jeszcze pogadać. Chodź.

Odwróciła się i poczuła, jak Edward kładzie dłoń na jej pośladku – gest z poprzedniego stulecia, który mężczyźni wciąż jeszcze regularnie stosowali wobec kobiet, dając im w ten sposób do zrozumienia, że są one jak dzieci, którymi trzeba kierować.

Kiedy dotarli do ruchomych schodów, usłyszeli dobiegający aż na górę z głównego holu gwar głosów zebranych tam dziennikarzy i fotoreporterów.

– W każdym razie umówmy się przynajmniej co do jednego, Hafiz: ty się zachowujesz, a ja mówię – zaproponował Edward.

– Rób swoje, grubasku – odpowiedziała.

Gdy tak schodzili po schodach obok siebie i dotarli już na trzecie piętro, Ed pochylił się w jej stronę i powiedział szeptem do ucha:

– Uważam, że podle się dzisiaj zachowałeś. I przepraszam za to, co było potem.

Udała, że tego nie słyszy, i dalej patrzyła prosto przed siebie.

– Dzięki ci, Ed – powiedziała, kiedy po zjechaniu schodami w dół udało jej się definitywnie powstrzymać od łez.

**D**obry wieczór, panie i panowie! – zawołał Edward jowialnie, zupełnie jakby zamierzał postawić kolejkę dziennikarzom i fotoreporterom zebranych przed wielkim ekranem w holu głównym „AND”. W duchu przeklinał się za swoją zdolność nastawiania przeciwko sobie akurat tych, do których miał słabość. Dopiero kiedy Farah na niego napadła, uświadomił sobie, jak bardzo jest przywiązany do tej kobiety. Może zresztą to był główny powód, dlaczego wciąż szukał konfrontacji z nią. Być może robił to dlatego, żeby po raz kolejny poczuć, jak pod grubym pancerzem jego oddania pracy i zawodowego autyzmu, jego małe serce tak bezwarunkowo bije dla niej.

Przez cały dzień martwił się, gdy Farah nie odpowiadała na jego SMS-y. Tak jak uważna była w swoich codziennych zajęciach, tak skrupulatnie normalnie odpowiadała na wiadomości. Później usłyszał od jednego z korespondentów politycznych w Hadze, że tuż przed rozpoczęciem debaty w Drugiej Izbie jakaś osoba spośród pikietujących pod budynkiem parlamentu została odwieziona karetką. Odczuł wtedy dziwną i nieodpartą potrzebę skontaktowania się z Farah i zostawił jej kilka wiadomości głosowych.

Niežnośna była dla niego myśl, że się niepokoi, nie wiedząc tak dokładnie dlaczego, i niepokój ten narastał coraz bardziej, w miarę jak kolejne jego wiadomości głosowe pozostawały bez odpowiedzi. Na koniec doszło wręcz do tego, że nie mógł się skupić na pracy. A kiedy wreszcie wpadła do jego gabinetu, wołając od progu „przepraszam, przepraszam”, był tak zdenerwowany, że potraktował ją patriarchalnym gładzeniem, chociaż tak naprawdę miał ochotę po prostu ją przytulić.

Czemu Farah Hafiz tak na niego działa?

Ponad dziesięć lat temu po raz pierwszy wpadła do jego gabinetu. Też spóźniona i w granicznym z histerią pośpiechu.

Kiedy ją zapytał, kto lub co skłoniło ją do zajęcia się dziennikarstwem, wymieniła nazwisko osoby, będącej dla niej wielką inspiracją.

Raylan Chapelle.

Ze wzruszeniem słuchał pełnej fascynacji opowieści Farah na temat jego nieżyjącego szwagra. Jak twierdziła, zwłaszcza sposób, w jaki Raylan Chapelle pisał o wojnie wietnamskiej a potem o przyczynach rewolucji sauryjskiej w jej dawnej ojczyźnie, Afganistanie, świadczył w jej rozumieniu o wielkiej znajomości rzeczy i wielkiej odwadze.

– Bez znajomości rzeczy i odwagi niewiele można osiągnąć – dodała. Na co Edward zadał pytanie, co też takiego chciałyby swoją znajomością rzeczy i odwagą osiągnąć w „AND”. Odpowiedź ciemnowłosej idealistki o cudownych niebieskich oczach wcale go nie zdziwiła.

– Chciałabym, żeby obywatele zrozumieli, jak wielką mają władzę. Zadaniem nas, dziennikarzy, jest ciągle przypomnianie, że nasi przywódcy i instytucje społeczne wokół nich skupione mogą istnieć tylko dlatego, że my dajemy na to przyzwolenie.

– Czy rozważałaś kiedyś przejście do polityki? – spytał wtedy Edward z pobłażliwym

uśmiechem.

– Zostałam dziennikarką, żeby mieć na oku wszelkiego rodzaju autorytety, a więc także polityków – usłyszał w odpowiedzi.

Zatrudnił ją wtedy i jak tylko mógł, starał się pomagać jej w łączeniu przenikliwej intuicji z przejrzystą analizą, chociaż swoimi apodyktycznymi uwagami często osiągał efekt przeciwny od zamierzonego. Farah miała rację, domagając się od niego przed chwilą zaufania i szacunku. Musiał szczerze sobie powiedzieć, że jako szefowi redakcji strasznie trudno przychodziło mu się pogodzić z faktem, że wciąż tak niewielki ma wpływ na jej sposób pracy.

W sprawie potrąconego chłopca pokazała, że ma wszelkie atuty bramkostrzelnego napastnika. Musiał jej nie tylko zaufać i ją uszanować, ale też zapewnić jej swobodę w prowadzeniu śledztwa tak, jak ona chce, a nie w sposób nakazany przez niego. Edward już raz popełnił ten błąd w przypadku Paula, co ostatecznie kosztowało go utratę najbardziej utalentowanego ucznia.

Pytanie nie brzmiało zatem, czy Farah jest gotowa do tego wielkiego zadania, tylko raczej czy on jako jej szef temu podoła. Spojrzał na nią, jak siedzi obok niego przy wielkim stole obok dużego ekranu, najwyraźniej całkowicie rozluźniona. Ani śladu stresu, który okazywała jeszcze dziesięć minut temu. Ani śladu smutku, jaki widział w jej oczach, gdy opowiadała mu o śmierci swojego wujka.

Położył jej na moment dłoń na ramieniu i zwrócił się do barwnego tłumku dziennikarzy gazetowych, fotoreporterów i zupełnie niespodziewanie także ekipy z IRIS TV.

– Chciałbym wykorzystać tę okazję i przedstawić państwu Farah Hafiz – zaczął poufałym tonem. – Farah pracuje u nas już od ponad dziesięciu lat i oprócz dziennikarstwa ma też drugą pasję, a mianowicie szlachetną sztukę walki *pencak silat*. Ma w tej dziedzinie tak wielkie zasługi, że w tym roku przypadł jej w udziale zaszczyt stoczenia finałowej walki wieczoru w czasie wielkiej gali sztuk walki w teatrze Carré.

Edward wypił łyk wody ze szklanki.

– Dlaczego zwołaliśmy konferencję prasową na temat tej właśnie gali? Żeby odpowiedzieć na to pytanie poproszę państwa o obejrzenie materiału, jaki na temat gali wyemitowano wczoraj w *De Headlines Show* – kontynuował, a następnie nacisnął przycisk play na pilocie zdalnego sterowania.

Na wielkim ekranie pojawiła się Cathy Marant w swojej fioletowej połyskującej bluzce.

„*Pencak silat* to sztuka walki pochodząca z Indonezji” – rozpoczęła z należnym patosem, co od razu zapowiadało, że zaraz wydarzy się coś strasznego – lecz dzisiejszego wieczoru to nie indonezyjski wojownik ściągnął na siebie uwagę wszystkich, lecz afgański, a mianowicie Farah H., na co dzień dziennikarka „*Algemeen Nederlands Dagblad*”, która do tego stopnia zmasakrowała swoją przeciwniczkę na macie, że ta z ciężkimi obrażeniami ciała musiała zostać przewieziona do szpitala”. – Marant zrobiła znaczącą przerwę i spojrzała przenikliwie w obiektyw kamery. – A teraz zobacz państwo sami, jak do tego doszło”.

Obraz na nagraniu był rozedrgany i gruboziarnisty, nakręcony z dużej odległości. Mimo wszystko miał w sobie duży ładunek dramatyzmu i Edward wiedział dlaczego – nagranie było zmanipulowane. Pierwotnie był to porządnie nagrany, niemalże nieruchomy plan ogólny, który w czasie montażu przerobiono na coś, co wyglądało jak nielegalne nagranie z telefonu komórkowego kogoś z trybun. Dzięki temu nie było też widać tych wszystkich niedozwolonych rzeczy, które zrobiła przeciwniczka Farah. Kiedy natomiast Farah zaczęła zadawać ostatnie ciosy i kopnięcia, pokazano już obraz z drugiej kamery, która rejestrowała walkę z bliska.

Było coś jeszcze, co Edward sygnalizował już wcześniej. Kiedy prawy prosty Farah dotarł do

szczęki rywalki, z niewiadomego powodu słycać było wyraźnie głucho uderzenie. Gdy lewa pięść Farah wylądowała na żebrach przeciwniczki, dał się słyszeć trzask, jakby coś się łamało. A kopnięciu, którym Farah posłała przeciwniczkę na matę, towarzyszył obrzydliwy dźwięk przypominający dźwięk topora, który uderza z wysoka w kawał mięsa. Ponadto każdy cios i każde kopnięcie pokazano w zwolnionym tempie.

– Jak państwo z pewnością zauważyli – powiedział Edward – większa część walki została pokazana z kamery pracującej w ujęciu ogólnym. To, co państwo zobaczą teraz, to oryginalne ujęcia z kamery pracującej w zbliżeniu. W przeciwieństwie do tego, co oglądali państwo poprzednio, to nagranie nie jest przemontowane, obrobione ani opatrzone dodatkowymi efektami dźwiękowymi.

Znowu nacisnął przycisk odtwarzania i teraz aż nazbyt wyraźnie było widać, jak przeciwniczka łapie Farah za głowę, ciągnie ją po macie za włosy i w momencie, kiedy Farah zakłada jej dźwignię na łokieć, z całej siły gryzie ją w łydkę, tak że widać tryskającą krew, kiedy Farah krzyknęła z bólu.

Edward nacisnął przycisk pauzy w chwili, gdy na ekranie widać było sędziego, rozdzielającego obie zawodniczki.

– To nagranie zostało dzisiaj pokazane online członkom Międzynarodowego Związku *Pencak Silat* – powiedział rzeczowym tonem – i na tej podstawie przeciwniczka Farah Hafiz została zdyskwalifikowana i otrzymała co najmniej dwuletni zakaz występowania we wszelkich krajowych i międzynarodowych turniejach.

Ponownie napił się wody, zignorował zdumione spojrzenie Farah i na zakończenie pokazał końcówkę walki bez żadnych dodatkowych efektów akustycznych. I chociaż nadal nie był to zbyt przyjemny widok, kiedy przeciwniczka bezwładnie ląduje na macie, to jednak wyglądało to już daleko mniej szokująco niż w wersji pokazanej w *De Headlines Show*.

– Związek jednogłośnie uznał, że Farah Hafiz wygrała ten pojedynek zgodnie z regulaminem – ciągnął Edward, podnosząc w górę krytykowany artykuł z „De Norderlander”. – Pani Cathy Marant natomiast nagle staje się ekspertką w dziedzinie sztuk walki, ponieważ jej zdaniem była to, tu cytując „bezpardonowa zemsta Afganki Farah H.”

Edward specjalnie się teraz wyprostował, prezentując swój niebagatelny wzrost, aby rzucić na szalę nie tylko swój autorytet, ale też posturę.

– Zadaję sobie pytanie – powiedział, podnosząc lekko głos – dlaczego dziennikarka, która jest bezsprzecznie pochodzenia afgańskiego, ale która od najwcześniejszego dzieciństwa ma holenderski paszport, nagle staje się „Afganką”. I dlaczego z Farah Hafiz nagle robi się „Farah H.”? Proste. Podawanie tylko pierwszej litery nazwiska stosuje się w przypadku przestępców!

Zauważył, że nawet jemu udzieliło się wzburzenie, jakie podane przez niego informacje wzbudziły wśród zgromadzonych przedstawicieli prasy. Zanim przeszedł do konkluzji, zawiesił na chwilę głos.

– Sposób relacjonowania tej walki zarówno w gazecie „De Norderlander”, jak i w programie *De Headlines Show* jasno pokazuje naszym zdaniem, że Cathy Marant nie tylko manipuluje faktami, lecz potem używa ich do formułowania fałszywych zarzutów pod adresem naszej dziennikarki i oskarżania ją o działania przestępcze!

Edward patrzył gniewnie w obiektyw kamery ekipy IRIS TV. Przypomniał sobie, jak kilka lat temu, po imprezie dla pracowników gazety, odwoził do domu pijaną w sztok Cathy Marant, która wtedy pracowała jeszcze w „AND”. Ponieważ nie mogła ustać na nogach, wziął ją na ręce i położył na łóżku. Zanim się zorientował, co ona robi, rozpięła mu zamek błyskawiczny

rozporka i wydyszała do ucha: „Chcę cię w sobie poczuć, teraz!” Gdy jednak Edward ją od siebie odsunął, zobaczył, jak od razu z lubieżnej dziwki przemienia się w ziejącego ogniem smoka. „A więc to jednak prawda, co o tobie mówią, że jesteś ciotą!”

Kiedy Edward wypowiedział ostatnie słowa, atmosfera zrobiła się burzowa.

– Pani Marant zadaje sobie pytanie, co stanie się z zasadami obowiązującymi w naszym państwie prawa, jeśli będziemy tolerować takie zachowania, jak zachowanie „Afganki Farah H.”? Ja natomiast zadaję sobie pytanie, co z zasadami obowiązującymi w zawodzie dziennikarskim, jeśli będziemy tolerować takie wypowiedzi i sposoby oczerniania, jakie stosuje Cathy Marant?

Reporter z IRIS TV podniósł rękę w górę.

– Marc Combrée dla IRIS TV – powiedział z naciskiem. – Mam pytanie do pani Hafiz.

Edward spojrzał krótko na Farah, która kiwnęła głową, że się zgadza.

– Skoro pani rzeczywiście jest takim pacyfistycznym aniołkiem, jak przedstawia panią pani szef – zaczął Marc Combrée – to dlaczego nie przedstawiła pani po prostu swojej wersji wydarzeń, kiedy Cathy Marant panią o to poprosiła? Czemu nie zadała pani sobie nawet tyle trudu, żeby zaprzeczyć, jakoby zrobiła pani coś złego?

Edward poczuł lekki przypływ paniki. W myślach już widział Farah frunącą nad stołem, jak szykuje się do zadania kopnięcia biednemu Marcowi.

– Znam sposób pracy Cathy Marant – powiedziała Farah opanowanym tonem. – O ile wiem, została zwolniona z naszej gazety, ponieważ nie przywiązywała zbytnej wagi do weryfikacji swoich źródeł, że pozwolę sobie to tak dyplomatycznie określić. Cathy Marant ma bowiem gotowe konkluzje, zanim jeszcze przystąpi do zbierania materiału. Nie jest w ogóle zainteresowana tym, co naprawdę mają do powiedzenia ludzie, o których pisze, wykorzystuje wyłącznie to, co potwierdza jej tezy. Nie miałam ochoty służyć jej na jedno skinienie, gdy się do mnie zwróciła o opinię. Tylko dziennikarze respektujący normy etyczne naszego zawodu zasługują na to, żeby ich obsługiwać na pierwsze skinienie.

Edward nie wierzył własnym uszom. Ta sama kobieta, która jeszcze kilka godzin temu była kompletnie roztrzęsiona, bo trzymała w ramionach konającego człowieka, teraz była niewzruszona jak skała.

– I co pan zrobi dalej z tymi zarzutami, panie Vallent? – spytał Combrée tonem insynuacji.

– Nasz dział prawny wystąpi o zamieszczenie sprostowania zarówno do gazety „De Nederlander” jak i programu *De Headlines Show*. Jeśli nasze żądanie nie zostanie uwzględnione, wystąpimy do sądu z oskarżeniem o oszczerstwo – powiedział Edward z udawanym spokojem, starając się, żeby w jego głosie nie pojawiły się triumfalne nuty. – Jeśli o nas chodzi, to byłoby już wszystko. Dziękuję państwu za uwagę.

Tu wykonał majestatyczny gest w stronę zebranych dziennikarzy na znak, że naprawdę nie ma sensu wykrzykiwać pytań w powstałym zamieszaniu. Ruszyli razem z Farah w stronę ruchomych schodów i pojechali w górę, nie patrząc na siebie.

– Czy Marant wie o naszym śledztwie w sprawie chłopca? – spytał Edward, gdy dotarli na górę. – Innymi słowy, czy wie, że jesteś w to włączona?

Farah spojrzała na niego zdumiona. Edward uśmiechnął się.

– Ja też czytuję gazety.

– Nie mam pojęcia, ile Daniëlle jej powiedziała.

– A co Daniëlle w ogóle wie?

– Wczoraj wieczorem po operacji wymieniliśmy się informacjami. Ona wyjaśniła mi kwestie

medyczne i swoją teorię, w jaki sposób chłopiec został potrącony. Ja z kolei opowiedziałam jej o moich podejrzeniach dotyczących handlu dziećmi.

– I to wszystko?

– Wszystko.

– To po co ona robi ten cały szum?

– Bo ona chce coś upublicznić.

– Co mianowicie?

– Daniëlle Bernson przez wiele lat pracowała jako lekarz na afrykańskich obszarach objętych wojną i moim zdaniem wróciła z traumą. Nagle widzi nocą w Lasku Amsterdamskim ciężko rannego orientalnego chłopca i nagle całe to cierpienie nagromadzone przez ostatnie lata wraca do niej jak bumerang. Chłopiec staje się dla niej symbolem cierpienia wszystkich dzieci, z jakimi się zetknęła. Powiedziała mi dosłownie: „Chciałabym, żeby możliwie dużo ludzi dowiedziało się w końcu, co dzieje się z tymi dziećmi”.

– A więc Daniëlle uważa, że będzie mogła o tym wszystkim opowiedzieć w programie Cathy Marant? To niech lepiej od razu zapisze się na kurs „Jak się samemu nie robić w konia”. Przecież Marant kompletnie nie obchodzi jakiegoś tam dzieci z Trzeciego Świata. Chyba żeby chodziło o jakąś ogólnonarodową akcję zbierania funduszy, taką z wielkim zadęciem i mnóstwem celebrytów.

Zdążyli już dojść do gabinetu Edwarda. Zamknął za sobą drzwi, przełknął ślinę i próbował nadać swojemu głosowi ton współczucia.

– A teraz powiedz mi, jak ty się trzymasz.

– Wiesz co, trochę to głupie, kiedy nagle próbujesz udawać, jakbyś miał jakiegokolwiek uczucia – powiedziała Farah, ale po jej uśmiechu widział, że tylko się z nim drażni.

– Zadałem ci zwykłe pytanie – odparł usprawiedliwiająco. – No bo czasem trudno coś znieść.

– Dam radę, Ed, przecież wiesz. Dużo się dzieje, ale dam radę.

– Oczywiście, że wiem – powiedział ciepło.

– Odwołasz wszystko?

– Co mam niby odwołać?

– No, to śledztwo.

– Czemu, na miłość boską, miałbym odwoływać śledztwo?

– No, z powodu tego całego szumu medialnego, Cathy Marant i w ogóle.

– A jak myślisz, po co była ta konferencja prasowa? Niczego nie odwołuję, Hafiz. Kosztowało mnie mnóstwo trudu i zachodu, żeby dostać zgodę i pieniądze na to śledztwo! Teraz twoja kolej. Co postanowiłaś?

– Kupuję bilet w jedną stronę na najwyższy szczyt Himalajów i idę do klasztoru.

– Pytam poważnie, Hafiz.

– Zgadzam się na Paula – powiedziała chłodno. – A teraz mogę już iść?

– Pod warunkiem że będziesz mnie informować, gdzie jesteś i co właśnie wywijasz – zauważył Edward z uśmiechem.

– Czyżbyś chciał mi założyć elektroniczną bransoletkę na kostkę?

– Nie mam takiego prawa. Przyślij mi pocztówkę z uśmiechniętymi mnichami.

Dumnym krokiem opuściła jego gabinet. Edward patrzył nieruchomo przed siebie i zastanawiał się nad swoim planem. Był on w zasadzie skazany na niepowodzenie, ale mimo wszystko chciał spróbować. Jedyne, na co miał nadzieję, to że Farah nigdy się nie dowie, jakie były prawdziwe motywy jego postępowania.

**B**ardziej dzięki odrobinie szczęścia niż rozumu Farah udało się zaparkować porsche tuż przy ceglany murze dawnej zajezdni De Hallen w Amsterdam-West. Był to kompleks budynków, w którym kiedyś zostawały na noc wszystkie tramwaje jeżdżące po mieście. Poza salą kinową oraz muzeum fotografii miały tutaj swoje siedziby różne firmy graficzne i audiowizualne.

W czasie konferencji prasowej Farah myślała głównie o tym, co wydarzyło się w Hadze. Wciąż od nowa widziała przejeżdżającego obok bentleya i za każdym razem przypominała sobie przerażenie w oczach Parwaiza.

Aż przypomniała sobie coś jeszcze. Tak bardzo była przejęta udzielaniem pomocy Parwaizowi, że zapomniała o ekipie telewizyjnej z kamerą, krążącej po placu. Po wyjściu z gabinetu Edwarda zadzwoniła do operatora kamery, Sander, i spytała, czy mogłaby obejrzeć nagrania. Usłyszała, że będzie bardziej niż mile widziana.

Weszła do budynku De Hallen i pomyślała o impulsie, który poprzedniego dnia rano kazał jej się udać do Lasku Amsterdamskiego. Czuła wtedy, że coś znajdzie, podobnie jak teraz była przekonana, że coś tu na nią czeka.

Światło wpadało do środka przez sufitowe świetliki ze zbrojonego szkła. Wzdłuż dawnych torów tramwajowych zrobiono alejkę ze sztucznych platanów. Na jej końcu czekał na nią Sander. Zabrał ją do przyległej hali, przechodząc obok panoramicznego dzieła sztuki z kolorowych szpul i kółek, nieustannie obracających się ze skrzypieniem i turkotem.

– To stare szpule po taśmie filmowej połączone ze sobą – powiedział Sander ironicznie. – Jest to oda do zawodu filmowca. Bardzo staroświecko pojmowanego, bo dzisiaj wszystko robimy cyfrowo. Ta konstrukcja przypomina, że to, co robimy, nie zna odpoczynku.

Farah pomyślała o śmierci i uśmiechnęła się cierpko.

– To ktoś z rodziny? – spytał Sander.

– Poniekąd. Coś jakby wujek.

– Pewnie tym bardziej przygnębiające.

Dotarli do wielkich pomarańczowych drzwi, na których widniały odręcznie napisane czarne kapitałki, układające się w napis CHŁOPAKI.

– To znaczy Tom i ja – objaśnił Sander, wprowadzając ją do niewielkiej hali, gdzie Tom przypominający łysego kolosa wyskoczył zza barku z nierdzewnej stali i podszedł do niej z rozpostartymi ramionami.

– Cześć, dziewczyno – przywitał ją, a ona była do tego stopnia zaskoczona serdecznością, z jaką to powiedział, że bez oporu zainkasowała dwa potężne całusy.

– Czego się napijesz? – zapytał.

– A co macie tu najmocniejszego? – spytała ku własnemu zdziwieniu.

– Mogę ci przygotować batidę – powiedział z uśmiechem.

– Tom to nasz mistrz caipirinhi – uzupełnił Sander.

– A więc poproszę caipirinbę dla dziewczyny – odparła Farah nieco wymuszenie.



Kiedy się rozejrzała, jej wzrok padł na metalową ścianę, wyglądającą, jakby była wyłożona białymi kafelkami, w której znajdował się rząd pięciu różnokolorowych bulajów, od największego, do najmniejszego. Całość sprawiała wrażenie burty fantazyjnej łodzi podwodnej.

– Proponuję, żebyśmy sobie usiedli tam – powiedział Sander, prowadząc ją w przeciwny kąt pomieszczenia, gdzie stała drewniana przyczepa kempingowa z wielkim panoramicznym oknem. W środku zarówno podłoga, jak i trzy ściany obciążone były grubą, pomarańczowoczerwoną tkaniną. Na blacie z mahonią stały dwa płaskie monitory, konsoleta mikserska, a po bokach dwa wielkie czarne głośniki. Na ścianie wisiała reprodukcja przedstawiająca płaczącego cygańskiego chłopca pędzla Bragolina.

– W tym momencie czujemy się tak jak on – powiedział Tom, wchodząc do środka z trzema dużymi szklankami caipirini. – Też mamy ochotę na coś mocniejszego po takim dniu – uzupełnił, podając jej szklankę. – Cieszymy się, że wpadłaś.

Farah poczuła, jak kilka łez spływa jej po policzkach, chociaż nawet nie zaczęła tak naprawdę płakać. Tak się jakoś stało samo z siebie.

– Też bym mogła znaleźć się u was na ścianie – zażartowała, uśmiechając się słabo. – No to za chłopaków.

Wypiła pierwszy łyk i poczuła jak kombinacja limonki, cachaçy, kruszonego lodu i trzcinowego cukru spływa jej do gardła, dając upragnione pocieszenie.

– Dla którego programu robiliście ten materiał?

– To miały być migawki do wiadomości o ósmej – powiedział Tom. – Kiedy już pojechaliście do szpitala, kręciliśmy dalej i zrobiliśmy jeszcze parę wywiadów i ujęć ogólnych.

– Mamy zostać, czy wolisz obejrzeć sama? – spytał Sander, ładując pierwszy obraz.

Farah bardzo polubiła tych dwóch. Sądząc po zdjęciach rozwieszonych po tej hali, zjeździli już pewnie z pół świata, ale nie utracili delikatności wobec drugiego człowieka. Oczywiście, że chciała, żeby zostali.

– Bardzo bym chciała, żebyście zostali – odpowiedziała. – To miłe z waszej strony, że zapytaliście.

Sander nacisnął przycisk odtwarzania i zaraz potem Farah zobaczyła siebie, jak idzie obok Parwaiza przez zalany słońcem plac. Aż się wzdrygnęła. Dzisiaj widziała go po raz ostatni w kostnicy. Kiedy teraz zobaczyła go na ekranie, przez moment miała wrażenie, jakby w makabryczny sposób sobie z niej zakpił.

– Zatrzymaj na moment – powiedziała, a łzy znowu popłynęły jej po policzkach. Wzięła duży łyk caipirini, zakrztusiła się i poczuła, jak Tom delikatnie klepie ją po plecach.

– Mocna rzecz, nie? – powiedział, uśmiechając się. Zrozumiała, o co mu chodzi, kiwnęła głową i pokazała Sanderowi, żeby puścił nagranie dalej.

Teraz była już lepiej przygotowana. Kiedy unieruchomiony na stop-klatce Parwaiz znowu ruszył przed siebie, zauważyła, że już wtedy musiał nie czuć się najlepiej. Patrzyła też na siebie. To był moment tuż po tym, jak zobaczyła wielki latający portret Malalai, i jej twarz promieniała. Kiedy zobaczyła kamerę, uśmiechnęła się do obiektywu, teraz ten uśmiech wydał jej się naiwny, był to uśmiech kobiety przepełnionej szczęściem, która nie bardzo wie, co się wokół niej dzieje.

Kamera odjechała w bok, szukając ciekawych twarzy w tłumie zebranych przed gmachem parlamentu.

– To surówka – powiedział Sander.

– Chciał powiedzieć, że to jeszcze niezmontowany materiał – objaśnił Tom.

Farah widziała śmiejące się i poważne twarze. Kamera zrobiła najazd na twarz dziewczynki

jedzącej loda. Orkiestra na placu była wyraźnie słyszalna w tle i nagle Farah usłyszała, jak Tom coś krzyczy poza kadrem, na co kamera zrobiła natychmiastowy zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Zobaczyła plecy Parwaiza, osuwającego się na ziemię. Kamera zbliżyła się, podrygując, i zarejestrowała jeszcze, jak Farah delikatnie łapie go, chroniąc przed upadkiem na ziemię. Wyglądało to tak, jakby obydwójce długo ćwiczyli ten ruch. Zobaczyła w kadrze mikrofon na kiju, trzymany przez Toma, ale kamera nadal była skierowana na nią, i zobaczyła siebie pochyloną nad Parwaizem.

Nagle kamera znowu odjechała w bok i zobaczyła tył bentleya, który jechał wolniutko pomiędzy osobami stojącymi na placu, z których żadna nie zorientowała się, co właśnie zaszło. A potem ekran zrobił się czarny, jakby kamera upadła na ziemię.

Wypiła zawartość szklanki jednym haustem.

– Możesz jeszcze raz puścić samo zakończenie? – spytała głupio.

Sander przewinął obraz z ogromną prędkością do momentu, kiedy było widać dziewczynkę jedzącą lody i wszystko zaczęło się od początku. Hologramy, na żądanie raz za razem odtwarzające te same zdarzenia... Jak to się wszystko zmieniło. Nagle zrozumiała, czemu fotoreporterzy i filmowcy pracujący na terenach objętych wojną potrafią wszystko zarejestrować pomimo zagrożenia. Patrząc przez obiektyw, ma się złudne poczucie bezpieczeństwa.

Ponownie zobaczyła, jak Tom biegnie w stronę Parwaiza i klęka przy nim. Wiedziała, co zobaczy, kiedy kamera zaraz się odwróci, i dy to nastąpiło, zawołała od razu:

– Stop!

Pokazała na bentleya.

– Możesz to powiększyć? – spytała.

– To cyfrowy obraz – objaśnił Sander. – Można powiększać tak długo, aż będzie widać same piksele.

Zaczął coś tam robić przy konsolcie mikserskiej i na ekranie pokazał się kadr z mocno powiększonym bentleyem.

– Czego szukasz? – spytał Tom.

– Tablicy rejestracyjnej – odpowiedziała Farah z napięciem w głosie.

– Ale czad – powiedział Sander z uśmiechem i wykadrował tablicę rejestracyjną, którą potem powiększył na cały ekran. Już w połowie było widać same piksele, przez co numer był nie do odczytania.

– Poczekajcie – powiedział Tom i wyszedł na chwilę, żeby zaraz wrócić z lupą, którą postawił przed ekranem, podczas kiedy Sander z powrotem pomniejszył tablicę do wielkości, przy której dało się jeszcze odczytać, co na niej jest.

– Zapisuj – polecił Tom, przyglądając się obrazowi przez lupę i odcytując kolejne cyfry i litery.

Kiedy Farah zapisała numer, zapadła cisza. Patrzyła na zbiór cyfr i liter i powoli powtórzyła ostatnie słowa Parwaiza.

– Mi-cha-łow.

– Co mówisz?

– To słowo, które mój wujek wypowiedział szeptem tuż przed śmiercią – wyjaśniła.

– Mogę zgadnąć, co ty o tym sądzisz? – spytał Tom z lekkim uśmiechem. – Ty sądzisz, że ten facet na tylnym siedzeniu bentleya to niejaki Michałow. Mam rację?

Uśmiechnęła się słabo.

– Chcesz jeszcze jedną caipirinę zanim rzucimy się do Google'a? – spytał Tom bojowo.

– Na razie się wstrzymam – powiedziała Farah. – Mogę przejść do drugiego pomieszczenia i zadzwonić?

– Proszę bardzo, mamy co robić – powiedział Sander, który już wpisał nazwisko Michałowa do wyszukiwarki na laptopie.

Farah przeszła do sąsiedniego studia i gdy Joshua odebrał, powiedziała bez żadnych wstępów:

– Potrzebuję twojej pomocy, Josh.

Zezłościła ją cisza, która zapadła.

– Joshua?

– Pomocy w czym?

Najkrócej, jak mogła, zreferowała, co zaszło dzisiaj w Hadze.

– Wyglądał zupełnie tak, jakby zobaczył ducha – zakończyła.

– I ten „duch” siedział na tylnej kanapie samochodu z szoferem, tak? Czemu nie zgłosisz tego na policję?

– Bo wtedy wydawało mi się to zbyt absurdalne, żeby o tym mówić. Po prostu nie mogłam uwierzyć, że jedno z drugim ma jakiś związek.

– Ale jak widać to się zmieniło?

Farah zawahała się.

– Nadal uważam to za absurdalne, ale coraz częściej o tym myślę. Przecież człowiek nie dostaje tak bez niczego zawału, prawda? Coś musi być powodem?

– Znasz powiedzenie, „gdyby spojrzenie mogło zabijać”? – spytał Joshua. – To taka przenośnia. Spojrzenie nie może zabić. Nawet robiono takie doświadczenia, w jednej z tajnych jednostek armii amerykańskiej. Kazano żołnierzom tak długo patrzeć na kozy, żeby te padły martwe. Ale tak naprawdę spojrzenie nie może zabić. Ktoś siedzący na tylnej kanapie samochodu nie może zabić drugiego człowieka spojrzeniem, jasne? Więc nawet gdybym wytropił tego człowieka, to co by ci to dało?

– Nie mam pojęcia. Ale chcę wiedzieć, kto to jest.

Joshua milczał przez chwilę. Słyszała jego oddech zmieszany z biciem własnego serca.

– Okay, to podaj mi te numery – powiedział w końcu swobodnym tonem. – Ale jeśli zechcesz coś o tym napisać, to już teraz się umawiały, że tej rozmowy nigdy nie było.

– To się nazywa ochrona źródła informacji, Joshua – powiedziała uspokajająco, przesyłając mu jednocześnie SMS-em numery.

– Odezwe się niedługo – powiedział rzeczowo i rozłączył się.

Wróciła do drewnianej przyczepy w hali, gdzie Tom i Sander zawzięcie szukali informacji w Internecie.

– Dziewczyno, nawet nie wiesz ile mamy trafień – powiedział Tom z szerokim uśmiechem. – Proszę: doktor Abraham Michałow, cykolog, sorry, specjalista od korekcji biustu z Ohio. Ale jest też Lauren Michałow, redaktor w „Rockland Jewish Reporter”.

– A co powiecie na to? – Sander odwrócił ekran laptopa, tak że mogli zobaczyć wideoklip piosenkarza, który ochoczo wyśpiewywał słowa „Doom, da da-di da-di, doom, da da-di da-di”, a potem: „Everybody’s gonna love today, Gonna love today, gonna love today!”

– *Mika love today!* – wykrzyknął Sander z entuzjazmem.

– Jest też paru Michałowów z „f” na końcu – rzucił Tom. – Patrzcie tutaj: *10 Historical Documents & Family Trees with Mikalof*.

– Michałowów jak krowów – zażartował Sander.

Zadzwoniła jej komórka. Joshua. Rzeczowo i z dystansem.

– Bentley z numerami, które mi podałaś, jest zarejestrowany na firmę Elitedrive. Wypożyczają samochody z kierowcą.

– To mi niewiele daje – stwierdziła Farah. – Ja chcę wiedzieć, komu firma Elitedrive wypożyczyła ten wóz.

– Oczywiście, że chcesz to wiedzieć, ale teraz nie mogę tego powiedzieć. Nie przez telefon.

– Dlaczego?

– Bo muszę ci też powiedzieć parę dodatkowych rzeczy. Czy mogłabyś podjechać do Double Tree Hotel? To jest nad rzeką. Może za kwadrans?

Farah westchnęła ciężko.

– No dobra, będę.

Tom i Sander kompletnie wsiąkli w swoje internetowe poszukiwania. Prawie jej nie usłyszeli, gdy powiedziała, że musi już iść.

– Czyli że nie masz czasu na powtórkę? – spytał Tom, unosząc w górę pustą szklanę.

– Teraz nie, ale wiem, gdzie was szukać – odpowiedziała Farah z uśmiechem.

– Nie będzie ci przeszkadzało, jak jeszcze trochę poszperamy? – zapytał Tom jak najbardziej serio.

– Ależ oczywiście, że nie – uspokoiła go Farah. Podeszła do niego i objęła go. – Dziękuję za wszystko.

– Dobra, dziewczyno. To na razie i zgłaszaj się.

Widziała, że jest wzruszony. Udało jej się rozbroić olbrzyma.

– Masz jakiś adres mailowy? – spytał Sander, który odprowadził ją aż do wyjścia, obok wiecznie obracających się szpul filmowych i przez alejkę sztucznych platanów. – Na wypadek, gdybyśmy znaleźli coś istotnego.

Farah podała mu swój adres gazetowy i wyciągnęła rękę na pożegnanie, którą on po krótkim wahaniu uścisnął. Wsiadła do samochodu i odjechała. We wstecznym lusterku widziała go, jak stoi przed wejściem do budynku, szeroko się uśmiecha i trzyma w górę obydwa kciuki. Zahamowała, zawróciła, podjechała do niego, wysiadła i dała mu dwa całusy. Potem wsiadła z powrotem do wozu i przycisnęła gaz do dechy.

Joshua Calvino szedł wzdłuż swojego odbicia w wielkiej szklanej ścianie oddzielającej Double Tree Skylounge od ciemniejszego nieba nad śródmieściem Amsterdamu. W każdą środę wieczorem przychodził do tego postmodernistycznego szklanego budynku pełnego bajkowego sztucznego światła, gdzie można było zjeść trendy lunch, brunch albo kolację w kręgu będących równie trendy jak on klientów. Elektryczność była znakomitym sposobem na oszukanie pełzającej depresji.

Calvino uwielbiał te rytuały, którymi starał się nadać swojemu życiu jakiś sens. Wiedza o przepowiadaniu pogody. Pewność, że jeśli co kwadrans napije się łyk źródlanej wody, to będzie miał w ciele stale te swoje osiemdziesiąt procent jej zawartości. Pewność, że może cały czas zachować pozytywne emocje, jeśli tylko będzie się uśmiechał. Pewność, że w ostatecznym rozrachunku rozwiąże najtrudniejsze nawet sprawy, jeśli będzie bezustannie stymulował korę mózgową.

Mimo wszechobecnego negatywizmu w ludziach i sprawach, którymi się zajmował, wciąż jeszcze żywił przekonanie, że ma duszę. A ta dusza pragnęła obecności Farah Hafiz i pragnęła rozszyfrowania jej tajemnicy.

Usiedli, a ona krótkim „Mam mało czasu, Joshua” rozwiła jego marzenia.

– Rozumiem, sporo się u ciebie dzisiaj działo – powiedział, jakby potrafił w ułamku sekundy zgłębić jej duszę.

– Czemu chciałeś się tutaj umówić? – Farah niecierpliwym gestem odesłała zbliżającego się kelnera.

– Chciałem cię ostrzec.

– Przed czym?

Joshua wyjął wydruk listy samochodów z kierowcą, które wynajęła dzisiaj firma Elitedrive. Numer bentleya, którego Farah widziała dzisiaj w Hadze, był obwiedziony kółkiem. Spojrzał na nią znacząco i odczytał na głos nazwę firmy, która wynajęła wóz.

– AtlasNet. Rosyjski koncern energetyczny, który rocznie dostarcza do Holandii trzy miliardy osiemset milionów metrów sześciennych gazu ziemnego. Od niedawna siedziba ich firmy mieści się na czwartym piętrze gmachu De Bazel, w dawnym biurze Holenderskiej Izby Handlowej w Amsterdamie.

– Dlaczego akurat Holandia?

– Z różnych powodów. AtlasNet jest zainteresowany pustym polem naftowym w północnej Holandii, które chce zamienić w jeden z największych magazynów gazu w Europie. Komisarz królowej do spraw północnej Holandii wraz z władzami prowincji się temu sprzeciwiają. Taki międzynarodowy rosyjski koncern budzi oczywiście poważną nieufność. Ludzie od razu myślą o powiązaniach z mafią i praniu pieniędzy. Oficjalny adres w tak prestiżowym miejscu akurat w Amsterdamie może pomóc.

– A jakie są te inne powody? – spytała Farah niecierpliwie.

– Między innymi powody podatkowe. Holenderski system podatkowy pozwala międzynarodowym firmom na przesyłanie zysków przez biura w Amsterdamie do rajów podatkowych, takich jak choćby Kajmany czy terytorium Sint-Maarten na Małych Antylach. AtlasNet niewątpliwie też zechce z tego skorzystać.

Przesunął w jej stronę kartkę papieru.

– Takie przedsiębiorstwo na pewno nie będzie się obojętnie przyglądać, gdy jakaś dziennikarka zacznie grzebać w jego sprawach administracyjnych, jeśli domyślasz się, o czym mówię.

– Hm. Czy wiadomo, kto siedział w samochodzie?

– Niewątpliwie jakaś gruba ryba z AtlasNetu. – Zobaczył jej gniewne spojrzenie. – Wyglądasz na rozczarowaną.

– Joshua, po tym wszystkim, co się dzisiaj wydarzyło, ściągasz mnie w to miejsce i dajesz mi karteczkę z nazwą rosyjskiego koncernu gazowego. Przecież równie dobrze mogłeś mi to wszystko powiedzieć przez telefon.

– Owszem, mogłem, zgadza się. Ale chciałem się też z tobą zobaczyć. – W jej oczach zobaczył coś, jakby chwilowe złagodnienie albo przynajmniej zmniejszenie dystansu. – Może się jednak czegoś napijesz?

Nie czekając na jej odpowiedź, skinął na kelnera.

Farah poprosiła o herbatę miętową, on zamówił kolejny kieliszek wytrawnego białego wina.

– Czy mogłabyś przyjść jutro do komendy? – spytał z wahaniem.

– Nie, Joshua. Nie czytałeś gazet? – Po jego pytającym spojrzeniu zorientowała się, że nie. – W „De Nederlander” jest artykuł o tym uroczym małżeństwie, które ty i twój uroczy partner wczoraj aresztowaliście. Dziś rano zjawili się w szpitalu, gdzie zrobiono zdjęcia. Każdy teraz wie, gdzie leży chłopiec, a Daniëlle Bernson za niecałą godzinę obszernie opowie o całej sprawie w programie *De Headlines Show*.

– Sorry, ale trochę za szybko mówisz – stwierdził zdumiony.

– Może po prostu ty jesteś zbyt wolny. Chyba rozumiesz, Joshua, że nie mam teraz czasu szczegółowo ci opowiadać, co mi się dzisiaj przytrafiło, podczas gdy życie tego chłopca być może jest zagrożone. Czy dałoby się załatwić mu jakąś ochronę?

– To możliwe, ale dość trudne, ponieważ nie ma żadnego konkretnego zagrożenia.

– Chłopiec został rozjechany prawie na śmierć! Czy to jeszcze za mało konkretne?

Gwar rozmów przy sąsiednich stolikach ucichł na chwilę. Goście popatrywali w ich stronę z zaciekawieniem. Joshua nie zwracał na to uwagi. Patrzył na Farah i ku swemu niezadowoleniu uświadomił sobie, że ona znowu ma rację. Tomaso też już to powiedział: fakt, że chłopiec mógł być świadkiem likwidacji dwóch osób, a jeszcze żyje, oznacza, że jego życie może być w niebezpieczeństwie. Czemu więc wszystko idzie tak powoli? Dlaczego Farah Hafiz jest taka szybka? To ona znalazła kolczyk, co doprowadziło do przeszukania willi i jej otoczenia.

Okazało się to przełomowe. A teraz w tym modnym hotelu daje mu do zrozumienia, że chłopcu trzeba dać ochronę. Powinien być jej wdzięczny, i nawet był, gdzieś w którymś z zacisznych zakamarków swojej kory mózgowej, przede wszystkim jednak miał poczucie klęski, ponieważ znowu zepchnęła go na pozycję pierwszego lepszego policjanta, podczas gdy on chciał się widzieć jako błyskawicznie działającego śledczego.

– Jakie były wyniki dzisiejszego śledztwa? – spytała Farah zniecierpliwionym tonem, dmuchając na filiżankę, żeby trochę schłodzić herbatę.

Joshua westchnął.

– Dobrze wiesz, że nie wolno mi rozmawiać na temat trwającego postępowania.

– Daj spokój, Joshua, pomogłam wam, więc teraz wy moglibyście pomóc mnie. Wiesz przecież, jak to działa.

– Nie, nie wiem, jak to działa. Opowiedz mi o tym. – Poczł się urażony, więc odczuł potrzebę odpłacenia tą samą monetą.

– Powiedz mi, jak to jest duże – nalegała.

– Bardzo. Willa jest własnością Grupy Dorado Armina Lazondera. A więc duże. Tak duże, że śledztwo zostało przekazane na zewnątrz.

– Temu samemu zespołowi, który bada sprawę spalonego kombi?

Potwierdził skinieniem głowy.

– A więc jest jednak jakiś związek?

– Więcej nie mogę powiedzieć, Farah.

– Tak czy nie, Joshua.

Joshua upił łyk wina, ostrożnie odstawił kieliszek i spojrzał na nią, postanawiając, że tym razem nie da się sprowokować i nie odpowie w tym samym obraźliwym tonie. Na jego milczenie odpowiedziała podniesieniem się z miejsca. Szmer rozmów przy sąsiednich stolikach znowu ucichł.

– Kiedy cię znowu zobaczę? – spytał tak obojętnie, jak tylko potrafił.

– Nie wiem.

– A od czego to zależy?

– Od mnóstwa rzeczy. Za dużo, żeby wszystkie wymienić. Czemu nie możesz mi powiedzieć, co znaleźliście?

– Naprawdę nie wolno rozmawiać na temat trwającego postępowania.

– No to w takim razie niewiele mamy już sobie nawzajem do powiedzenia. – W jej oczach był smutek. Joshua nie wiedział, czy to z powodu tego, co stało się w Hadze, czy też może była to jego wina. Wyglądało to na kombinację jednego i drugiego.

– Najwyraźniej na to wygląda.

Nieoczekiwanie pochyliła się w jego stronę i pogładziła go po policzku.

– Nie rób tak – rzucił. – Nie rób, proszę.

Myśl o chłopcu go nie opuszczała. W całej tej sprawie było coś nieuchwytnego. Wydawało się, że człowiek widzi już dokładne jej zarysy, lecz w tle ciągle poruszały się jakieś cienie, zaciemniające tylko i mączące cały widok. Od samego początku nie doceniał wagi sprawy tego chłopca. Nawet teraz, kiedy pojawił się wyraźny związek ze sprawą spalonego kombi i chłopiec został uznany za możliwego świadka, nie uświadamiał sobie, jak zasadnicze znaczenie ma przydzielenie mu ochrony.

Zatopiony w myślach Joshua przeszedł przez jezdnię na moście, nie zwracając uwagi na poruszające się nią pojazdy. O mało co nie został przewrócony przez kobietę na rowerze, w której – jak mu się wydawało – rozpoznał jasnowłosą lekarzkę ze szpitala WMC.

Śledczy Elvin Dingane właśnie wszedł do pokoju Paula w St. Helen Joseph Hospital i nalał mu kubek wody, podczas gdy Paul studiował w lusterku swoją opuchniętą twarz, częściowo oklejoną plastrami.

– Nosiwoda to bardzo szlachetny zawód – wyseplenił Paul, odbierając kubek z rąk Dingane. – Gaszą pragnienie biednych pisarzy na pustyni, którzy nigdy nie zostaną wysłuchani.

– Może pan i jest biedny, ale na to, że nikt pana nie słucha, nie ma pan prawa narzekać – powiedział Dingane z uśmiechem.

– Nie mogę tak czekać. – Paul z głośnym stukiem odstawił szklanekę na nocnym stoliku. – Opowiedz mi, jak mnie znaleźliście.

– Ponte City jest pilnowane przez grupę współpracującą z lokalną policją – odpowiedział Dingane. – Mówi się o nich De Stockbroke Boyz. W tym budynku mieszka mnóstwo nielegalnych Afrykańczyków.

– A gdzie ich nie ma – wymamrotał Paul.

– Zmuszeni są płacić lichwiarskie czynsze gangom, które włamały się na poszczególne piętra budynku. De Stockbroke Boyz organizują tam patrole. I jeden z nich właśnie widział, jak jakiś człowiek został zrzucony z pięćdziesiątego piętra.

– Powinienem im podziękować – zauważył Paul. – Gdyby do mnie nie przyszli, to pewnie by mnie znaleźli leżącego na Zhulongu.

– Mordowanie zagranicznych dziennikarzy to niedobra strategia. Za dużo szumu, zaraz się tym zajmują politycy, ministrowie biją na alarm, no i ci wszyscy solidarni koledzy po fachu, którzy zaraz chcą wszystko wywęszyć. To było tylko ostrzeżenie, Paul. I chciałbym usłyszeć coś o człowieku, który ci to ostrzeżenie dał.

– Ach. *El condor pasa!* – powiedział Paul, uśmiechając się.

– Sprawdziliśmy pański opis w naszych bazach danych – poinformował go Dingane – i trafiliśmy na profil Arsenija Wakurowa.

– Okay, i kto to taki?

– Wakurow to prawa ręka Walentina Ławrowa.

– Ławrow – wymamrotał Paul. – No to Zhulongu musiał mieć przy sobie coś naprawdę ważnego. Ale coś po drodze spała, bo ktoś wiedział o naszym spotkaniu.

– Z pewnością – potwierdził Dingane. – Co wiesz o Ławrowie?

– Że to rosyjski oligarcha mający na koncie co najmniej dwadzieścia miliardów euro. Przyjechał do RPA z łopatą i kupą nielegalnego szmalu, bo bardzo chciałby tu szukać uranu. Na ten temat właśnie prowadzi tajne negocjacje z Nkoane.

– A informacje, które miał dla ciebie Zhulongu?

– Najprawdopodobniej dotyczyły tego dealu, który obydwaj panowie zawarli w powyższej sprawie. Dealu, który miał być korzystny nie tylko dla Ławrowa.

Zapadła chwilowa cisza.



– My nie ścigamy Ławrowa – odezwał się w końcu Dingane.

– Domyślam się – powiedział Paul, z uwagą śledząc, jak Dingane krąży po pokoju. Miał wrażenie, że zaraz usłyszy coś więcej.

– Słyszał pan kiedyś o Grigoriju Michałowie?

– Michałow to postać historyczna – zareagował Paul. – Został odznaczony Medalem Złotej Gwiazdy. Ktoś, kto dostał to odznaczenie, automatycznie miał tytuł Bohatera Związku Radzieckiego. W czasach, kiedy jako chłopiec mieszkałem w Kabulu, była rewolucja sauryjska. Był to pucz komunistycznych wojskowych, wspieranych przez głównie lewicowych studentów uniwersytetów. Rosjanie potrzebowali Afganistanu jako strefy buforowej. Ameryka miała wtedy w kręgu swoich wpływów Iran i Rosjanie bali się, że ta sama sztuka uda im się z Afganistanem, a wtedy Związek Radziecki byłby otoczony. Mówiono, że to Grigorij Michałow był tym radzieckim geniuszem, który wymyślił i przeprowadził przewrót. Wiem o tym wszystkim tak dokładnie, bo w tamtym czasie mój ojciec prowadził na ten temat szczegółowe śledztwo.

– Raylan Chapelle, słynny amerykański korespondent z wojny wietnamskiej.

– Widzę, że odrobił pan lekcje – powiedział Paul, uśmiechając się. – Ale co Michałow może mieć wspólnego z Ławrowem?

– Grigorij Michałow to ogniwo łączące Ławrowa z Wakurowem – wyjaśnił Dingane. – Wakurow służył kiedyś w radzieckiej 40. Armii. Była to legendarna armia, po raz pierwszy sformowana w czasie drugiej wojny światowej i uczestnicząca w operacjach wyzwolenia terenów ZSRR spod niemieckiej okupacji. Po raz drugi armia ta została sformowana w grudniu 1979 roku w Turkiestańskim Okręgu Wojskowym przy granicy z Afganistanem. Jej dowódcą został generał Grigorij Michałow. Wakurow był jego prawą ręką. Po powrocie z Afganistanu Michałow natychmiast wykorzystał swój gwiazdorski status i razem z grupą swoich politycznych i mafijnych przyjaciół doprowadził do upadku Gorbaczowa. Zawsze gdzieś w pobliżu niego kręcił się Wakurow, zawsze na drugim planie, jako ktoś w rodzaju głównego rozprawczącego w wyścigach kolarskich. Kiedy Michałow zginął w wyniku zamachu bombowego w centrum Moskwy, Wakurow udał się na poszukiwanie nowego szefa. Wiemy, że został nim o wiele młodszy Walentin Ławrow. Skoro Wakurow osobiście pojawił się w Ponte City, oznacza to, że Zhulongu rzeczywiście musiał mieć mocno obciążające informacje, i to obciążające nie tylko Ławrowa, ale też Jacoba Nkoane.

Paul patrzył przed siebie. Przypomniał sobie moment, kiedy kondor w lustrzankach stał przed nim na pięćdziesiątym piętrze Ponte City, i usłyszał echo wypowiedzianych przez niego słów. Wymamrotał je do siebie pod nosem:

– „Bardzo lubię konkretne umowy”.

– Słucham?

– Tak do mnie powiedział.

– Kto?

– Wakurow. „Bardzo lubię konkretne umowy”, powiedział. Baty, które dostałem, świadczą o tym, że mówił poważnie. – Paul westchnął. – A poza tym znał mojego ojca.

– Kto taki?

– No, kondor, czyli Wakurow.

Elvin Dingane stanął w nogach łóżka Paula, obejmując dłońmi stalową ramę.

– Zostaw tę sprawę nam. Wyjedź na trochę z Johannesburga. Nie zostawaj w RPA. Teraz masz wroga nie tylko w Nkoane, ale też w osobie bajecznie bogatego Rosjanina, który ma na usługach osławionego płatnego mordercę.

– Najpierw chciałeś, żebym przestał robić to, co robię, a teraz na dodatek każesz mi stąd wypieprzać.

– Decyzja należy do ciebie, Paul.

– Tak, na pewno! W takim razie zajmij się swoimi sprawami.

Dingane zachował zdumiewający spokój.

– Twoje życie tutaj może być zagrożone, Paul. Poza tym najważniejsze gazety w tym kraju straciły zainteresowanie twoimi artykułami. – Zawahał się na moment, a potem ruszył w stronę drzwi. – W takim razie życzę zdrowia.

– Akurat.

Dingane zatrzymał się i spojrzał na Paula, jakby ten dopuścił się wobec niego rażącej niesprawiedliwości.

– A żebyś wiedział – rzucił i wielkimi krokami wyszedł z pokoju. Paul zawołał za nim, żeby wrócił.

– Nigdy nie idź do polityki – powiedział, kiedy twarz Dingane pojawiła się w otworze drzwi.

– A to dlaczego?

– Jesteś za uczciwy.

Dingane uśmiechnął się lekko. A potem jego twarz zniknęła z powrotem za odrapaną szpitalną ścianą.

Daniëlle stała na pokładzie promu, który przewoził ją z północnego brzegu rzeki Ij, na śródmiejski. Patrzyła na wielki, półokrągły dach ze szkła, przykrywający perony Centraal Station, z wielkim napisem AMSTERDAM, ułożonym z czerwonych liter.

Po rozmowie telefonicznej z Farah Daniëlle zostawiła wodę w wannie swojemu losowi, przebrała się w sportowy strój i wyszła pobiegać. Był to jedyny sposób, żeby uspokoić jakiś chaos w głowie. Biegając, rozważała wszystkie za i przeciw. Na ile zagrozi to bezpieczeństwu chłopca, jeśli opowie jego historię? Czy czekający ją za chwilę występ w mediach da się pogodzić z przyjętą przez nią zasadą, aby mierzyć się z problemami jako lekarz, a nie jako naprawiaczka świata pchać się przed kamery, czy wręcz na barykady? Czy na pewno ma czyste sumienie, jeśli chodzi o chłopca, czy też próbuje go wykorzystać głównie jako próbę zrehabilitowania siebie po ucieczce z Afryki?

Mniej więcej, kiedy dotarła z powrotem pod drzwi mieszkania, już wszystko wiedziała.

Było mgliście i duszny wiatr zawiewał od strony rzeki na stare miasto. Prom przybił do brzegu i Daniëlle pomknęła rowerem nabrzeżem rzeki IJ, żeby po chwili, przejechawszy obok nowego Double Tree Hotel i przez szeroki most, minąć średniowieczną wieżę Schreierstoren. W pośpiechu omal nie zderzyła się z nieoczekiwanie przechodzącym przez jezdnię mężczyzną. Przez moment miała wrażenie, że rozpoznaje w nim drugiego ze śledczych, którzy złożyli jej wczoraj wizytę w szpitalu WMC.

Minąwszy wielki hotel Victoria, skręciła w Haarlemmerstraat i pojechała na wprost do dawnych budynków gazowni Westergas. Tam właśnie znajdowały się studia IRIS TV. Tuż za zwodzonym mostem przed jej rower wyskoczyła jakaś kobieta. Daniëlle wyhamowała, klnąc, na czym świat stoi, i sekundę później zorientowała się, że to zziązana Farah trzyma jej kierownicę.

– Obiecuję, że ci pomogę, jeśli tego nie zrobisz – wydyszała Farah.

– A jak ty mi byś mogła pomóc?! – krzyknęła Daniëlle. – Myślisz, że mogę się teraz wycofać? Że było mi przyjemnie patrzeć, jak tych dwoje niedorobionych celebrytów pochyła się nad chłopcem? Z tym ich tak zwanym współczuciem? Myślisz, że mnie to bawi, że wystąpię w takim programie, jak ten? Nie ma już dla mnie odwrotu, Farah. Nie po tym, co się stało dzisiaj rano. Gdybym to zrobiła, to widzowie zobaczyliby tylko Dennisa Fabera z rozhisteryzowaną małżonką i ich łzawą opowieścią, a ja zostałabym z pustymi rękami!

Farah już trochę ochłonęła.

– Mylisz się, Daniëlle.

– Może. Ale przynajmniej czegoś próbowałam!

– Tylko czy na pewno jesteś w stanie przewidzieć konsekwencje?

– Nie, nie jestem, tak samo zresztą jak ty. A teraz mnie puść, bo i tak jestem spóźniona.

– Poczekaj. Mam propozycję.

– Za późno, muszę już jechać.

– Portret twojej osoby, pobudki twojego działania, doświadczenia, niegodziwości, które widziałś.

– I teraz mi z czymś takim wyjeżdżasz? Puszczaj.

Farah puściła kierownicę, kręcąc smutno głową.

– Mam nadzieję, że wszystko dobrze pójdzie, Daniëlle. Życzę powodzenia. Jak najbardziej serio.

Przy drzwiach do hali wejściowej napadła na nią kolejna osoba, tym razem młoda, znerwicowana do szczytu dziewczyna.

– Pani Bernson?

– Bardzo się późniłam? – spytała, ciężko dysząc Daniëlle i zamykając rower na łańcuch.

– Bogu niech będą dzięki! – wykrzyknęła dziewczyna z patosem. Miała tak białe włosy, że wyglądały, jakby ktoś wylał na nie całe opakowanie jogurtu. – Nie mieliśmy pojęcia, gdzie się pani podziewa. Wysłaliśmy kilka SMS-ów. Podała pani zły numer, czy pani tego nie umie? To znaczy, SMS-ować?

Daniëlle przypomniała sobie, że po wcześniejszej rozmowie z Farah wyciszyła sygnał komórki. Szlag, szlag, szlag.

Dziewczyna wyciągnęła rękę na powitanie.

– Jestem Karlijn – powiedziała – pani asystentka na dzisiejszy wieczór. Pozostali zaproszeni są tu już od dawna!

Kolejna rzecz, z której Daniëlle nie zdawała sobie sprawy. W programie *De Headlines Show* zawsze siedziało przy stole więcej gości, przeważnie ze świata polityki, kultury i rozrywki. Ona nie wywodziła się z żadnego z tych kręgów i zaczęła się zastanawiać, jakie jeszcze czekają ją tu niespodzianki. Niewiele jednak miała czasu, żeby się tym zamartwiać, ponieważ Kajlijn w swoich botkach na wysokim obcasie już pognęła przed nią i wchodząc do studia, w którym zebrała się już cała armia operatorów, oświetleniowców, dźwiękowców i personelu pomocniczego, i zawołała:

– Już jest!

Podczas gdy wszyscy jak jeden mąż odwrócili się w jej stronę, Daniëlle starała się na nikogo nie patrzeć, błędząc wzrokiem po plątaninie grubych kabli, po kamerach wyglądających jak miniaturowe czołgi i wielkich lampach nad jej głową.

– Daniëlle! Świetny artykuł, nie sądzisz? – Niespodziewanie zobaczyła przed sobą Cathy Marant, która wyskoczyła, nie wiadomo skąd, jak diabeł z pudełka. Wyciągnęła do Daniëlle dłoń i zasypała ją stereotypowymi zdaniami w rodzaju: – Wspaniale, że stworzyłaś nam tę szansę. Świetnie, że już jesteś. Trzymam kciuki za występ!

I tyle ją Daniëlle widziała.

Zaraz potem Karlijn pociągnęła zdezorientowaną Daniëlle do małego pokoiku, gdzie zmęczona charakteryzatorka miniaturową gąbeczką naniosła brązowy podkład na jej zmęczoną twarz. W tym czasie Daniëlle oglądała na małym monitorze bez dźwięku przekaz z bałaganiarskiej próby kamerowej. Wszędzie panował niebywały chaos.

– To zawsze tak wygląda? – spytała.

– Co, że tak nerwowo? – upewniła się charakteryzatorka, nakładając żel na włosy Daniëlle. – Zupełnie niepotrzebnie. Przecież to nic trudnego siedzieć przy stole i coś mówić. Zupełnie jakby pani siedziała ze znajomymi w kawiarni.

Tak, z tą tylko różnicą, że tutaj milion widzów patrzy mi na usta, pomyślała Daniëlle. W tym

momencie najchętniej poszłaby za radą Farah, wybiegła ze studia, wskoczyła na rower i jak najszybciej popędziła do domu, żeby oprzeć się wygodnie na poduszkach kanapy i patrzeć, jak ten program na żywo potoczy się bez niej.

– Tuż przed nagraniem jeszcze raz panią sprawdzę – powiedziała charakteryzatorka, kiedy zrobiła już wszystko przy Daniëlle, która wyglądała teraz, jakby właśnie wróciła wprost ze skromnego rejsu wycieczkowcem z Karaibów.

– Kim są pozostali goście? – spytała niepewnie Daniëlle. Karlijn wymieniła jakieś nazwisko, które zabrzmiało jak „DJ Maestro” i który jej zdaniem „zaliczył niebywały come back”. Kolejnym gościem była fotomodelka i dawniej piłkarka, która przez całe lata była w domu maltretowana przez męża ćwiczącego na niej ciosy i kopnięcia.

Kiedy przed wejściem do studia, nagle nadziały się na ochroniarza ze słuchawką w uchu, Karlijn zatrzymała się nagle. Za ochroniarzem Daniëlle zobaczyła atrakcyjnego czterdziestolatka w modnym garniturze w prążki. Miała wrażenie, że gdzieś go już widziała. Miał ten sam sztuczny brąz na twarzy, co i ona.

– Pan też został zaproszony? – spytała zakłopotana.

– Tak, tak, też. – W jego odpowiedzi pobrzmiwało nieomal poczucie winy, gdy wyciągnął do niej dłoń na powitanie.

– Vincent.

– Daniëlle.

W samym studiu nie było tymczasem najmniejszego śladu po chaosie z próby kamerowej. Chaos pozostał jedynie w głowie Daniëlle. Wchodząc na podwyższenie, na którym stał stół, czuła się tak, jakby wchodziła na szafot. Z przeraźliwym szumem w uszach zajęła miejsce wskazane przez realizatora, podczas gdy dźwiękowiec bez pytania zaczął manipulować przy jej bluzce, żeby przymocować do niej miniaturowy mikrofon. Kiedy to robił, Daniëlle wstrzymywała oddech, ponieważ technikowi śmierdziało z ust, i rozglądała się niespokojnie, czując się okropnie nieswojo. W pewnym momencie zobaczyła, jak Vincent Coronel rozmawia o czymś z Cathy Marant i obydwójce co chwila popatrują w jej stronę.

Kiedy usłyszała głos realizatora, wołającego „jedna minuta”, przypomniała sobie nagle, gdzie już widziała wcześniej Vincenta: na mównicy Drugiej Izby parlamentu, kiedy to nie zostawiał suchej nitki na projekcie ustawy o imigrantach.

Daniëlle zeszywniała, zupełnie jakby siedziała w samolocie, który z rykiem silników szykuje się do startu. Skojarzenie nie wzięło się znikąd. Uświadomiła sobie bowiem, że jej lęk nie ogranicza się tylko do latania, ale też dopada ją, kiedy zmuszona jest wypowiadać się publicznie.

Ocierając grzbietem dłoni pierwsze krople potu z czoła, patrzyła w chłodne niebieskie oczy Vincenta Coronela, siedzącego naprzeciwko niej, i powtarzała swoją mantrę, że już nigdy przed nikim nie będzie uciekać.

Zaraz po spotkaniu z Joshuą w Skylounge Farah pośpieszyła do studiów IRIS TV w budynkach starej gazowni Westergas. Miała nadzieję, że jeszcze bardziej ukonkretniając swoją najnowszą propozycję, uda jej się zapobiec ewentualnemu nieszczęściu, jakie Daniëlle może sprowadzić na całą sprawę. Chciała jej zaproponować artykuł, w którym Daniëlle zostałaby sportretowana jako lekarka mająca doświadczenia w pomaganiu w różnych afrykańskich krajach objętych wojną, z głównym naciskiem na niesprawiedliwość, jaka spotyka przy tej okazji dzieci. Dzięki skupieniu się na Afryce bezpośrednio nawiązanie do potrąconego przez samochód chłopca przesunie się na drugi plan. Nie spodziewała się jednak u niej aż takiego nieprzejednania.

Zdruzgotana patrzyła za nią, jak odchodzi, a następnie poszła ochłonać do Grand Café IRIS, gdzie mogła śledzić na wielkich telewizyjnych ekranach przebieg programu *De Headlines Show*. Zamówiła wodę mineralną i kanapkę z tuńczykiem i przejrzała otrzymane wiadomości. Jej iPhone poinformował ją, że dostała maila od operatora Sanderera.

*Cześć, Farah, trochę jeszcze pogrzebaliśmy w Internecie w sprawie tego Mi-cha-ł-o-wa i może coś dla ciebie mam. Zajrzyj do załącznika. Cześć, Sander. Daj znać, czy na coś ci się to przyda.*

Farah zajrzała do załącznika. Był to artykuł z Wikipedii o Grigoriju Michałowie, urodzonym dwudziestego trzeciego października 1943 roku w Saratowie i zmarłym w roku 1996 w wyniku zamachu bombowego przed jego moskiewskim loftem, kiedy to wyleciał w powietrze razem z limuzyną, która go wiozła.

I co mi po tym, pomyślała zdziwiona Farah i już chciała zamknąć załącznik, gdy nagle zrozumiała, czemu Sander przysłał jej materiał o tym właśnie Michałowie. Wyglądało na to, że Michałow był jednym z wysoko postawionych weteranów wojny afgańskiej i otrzymał mnóstwo oznaczeń za swoje „zasługi” jako naczelny dowódca KhAD, znienawidzonej służby bezpieczeństwa z czasów komunistycznych rządów w Afganistanie w latach 1979–1989.

Parwaiz mógł więc w sposób mało przyjemny zetknąć się z nim swego czasu w Kabulu. Ale nawet jeśli tak było, to dlaczego wyszeptał nazwisko akurat tego człowieka? Co nazwisko martwego Rosjanina miało wspólnego z człowiekiem, jadącym bentleyem przez Hagę?

Farah doskonale wiedziała, jak mogą się objawiać duchy przeszłości. Są przez cały czas, unoszą się niewidzialne wokół człowieka, żeby w najbardziej niespodziewanym momencie przybierać ludzkie imiona z dawnych czasów i napędzać człowiekowi niemałego strachu. Byłoby jednak absurdem zakładać, że Parwaiz zobaczył ducha człowieka, który go przesłuchiwał w Kabulu, na tylnym siedzeniu przejeżdżającej limuzyny.

Był już najwyższy czas poinformować Edwarda o nieudanej akcji powstrzymania Daniëlle i o powiązaniach sprawy chłopca z AtlasNetem, o których dowiedziała się od Joshuy.

Od razu do niego zadzwoniła.

– Powiedz mi, jak ty to robisz, Hafiz? – spytał po wysłuchaniu tego, co miała mu do

powiedzenia.

– Co masz na myśli?

– Nawet pomijając fakt, że udaje ci się tak skołować śledczego, żeby przekazał ci poufne informacje, to nagle zaczynasz mówić o AtlasNecie. A przecież jak się mówi AtlasNecie, to mówi się Walentin Ławrow, a jak się mówi Walentin Ławrow, to mówi się...?

Nagle Farah zobaczyła przed sobą kolejny element układanki.

– Armin Lazonder!

– Doskonała odpowiedź, Hafiz. I nawet zmieściłaś się w czasie. Dziesięć punktów! – rzucił Edward ze śmiechem. – Ławrow jest głównym inwestorem w projekcie New Golden Age Lazondera. Nie mam pojęcia, jak ty to wszystko robisz, ale mam wrażenie, jakbym znalazł się razem z tobą w wagoniku rollercoastera. A ja nigdy do czegoś takiego nie wsiadam, bo robi mi się niedobrze!

– Ale to jeszcze nie wszystko – powiedziała Farah i poinformowała go o mailu Sandera.

Edward gwizdnął cicho przez zęby.

– Michałow był ostatnim radzieckim żołnierzem, który opuścił Afganistan. Wiedziałas o tym? Na oczach międzynarodowej prasy ostentacyjnie przeszedł z Afganistanu do Rosji przez Most Pokoju na Amu-darii. Michałow był zaciekłym przeciwnikiem wycofania wojsk, ale nie mógł nic zrobić, bo rozkaz wydał sam prezydent Gorbaczow. Raylan Chappelle mocno mu się wtedy naraził po rewolucji sauryjskiej. Raylanowi udało się bowiem udowodnić, że to Związek Radziecki stoi za puczem i że afgańscy oficerowie i ich oddziały tańczą tak, jak Michałow im zagra.

– Ale przecież Michałow nie żyje – zauważyła Farah. – Czeczeni wysadzili go w latach dziewięćdziesiątych razem z samochodem.

– Zgadza się. Tak więc on już naprawdę nie rozbija się nigdzie bentleyem – zawyrokował Edward.

– Mimo wszystko musi być jednak jakiś powód, dla którego Parwaiz wypowiedział jego nazwisko tuż przed śmiercią. A więc musimy wyjść z założenia, że to był on.

– Aż trudno o tym wszystkim mówić, takie to dziwne – przyznał Edward. – Mamy afgańskiego chłopca, którego znaleziono na wpół żywego, nic więcej o nim nie wiemy, a jednak przy tej okazji trafiamy na nazwiska z kompletnie innego końca skali. Rosyjski miliarder o międzynarodowych powiązaniach, holenderski potentat w handlu nieruchomościami o światowych ambicjach oraz martwy naczelny dowódca radzieckiej armii, który, gdyby nie to, że zginął w zamachu bombowym, przypuszczalnie i tak załamałby się pod ciężarem wszystkich wojskowych oznaczeń, jakie mu przyznano. Ale niezależnie od tego, co to wszystko może znaczyć, nie dajmy się zwariować, Hafiz.

– Toteż się nie daję, Ed.

– Doskonale. Gdzie teraz jesteś?

– Grand Café IRIS, niedaleko studia telewizyjnego. Czekam na to, co nam dzisiaj zaserwują w *De Headlines Show*.

– Nie mam pojęcia, co planuje Marant, ale tę Bernson to chyba czeka mocno zimny prysznic.

– Mam nadzieję, że też będziesz oglądał?

– Będę, będę, możesz być tego pewna.

– Zadzwoń do ciebie po programie, okay?

Po zakończeniu rozmowy Farah poczuła się nagle, nie wiadomo dlaczego, osamotniona. Pojawiła się czołówka programu *De Headlines Show*, ale ona wciąż widziała przed sobą oczy

Parwaiza, z których uszło wszelkie życie.

Te oczy na zawsze wryły jej się w pamięć.

– Mi-cha-łow.

Po mailu od Sandera te trzy grupy liter już w ogóle nie chciały wyjść jej z głowy.



Edward Vallent chodził nerwowo po przestronnej części mieszkalnej z otwartym kominkiem pod szerokimi drewnianymi belkami, od wielu pokoleń podtrzymującymi dach starego wiejskiego domu. Kiedyś trzymano tu krowy, lecz szwagier Edwarda Raylan Chapelle w sposób wręcz dosłowny zerwał z tradycją i przebudował dawną oborę w przepiękny dom, tak jak to obiecał swojej żonie Isobel, gdy po rewolucji sauryjskiej wyjechali z Kabulu. Dom, w którym mieli się oboje zestarzeć, dom, w którym miał dorastać ich syn Paul i w którym miały współistnieć ich obydwaj światy. Świat Isobel, który przedstawiała na melancholijnych panoramicznych płótnach, pokrywanych czerwienią i złotem, i świat wojen i politycznych konfliktów, który wycierał z reportaży Raylana.

Edward spoglądał przez jedno z małych okienek na rozciągające się za szybą poldery, gdzie wieczorne słońce wyglądające spoza chmur krwawym pędzlem malowało kontury odległego Amsterdamu. Postanowił wyjść na powietrze.

Spacer w świetle ostatnich promieni słonecznych, z aromatem kwitnących wiciokrzewów i maków w nozdrzach sprawiał, że chociaż na chwilę spadał z jego barków spoczywający na nich ciężar. Jakiś czas temu wniósł swoją siostrę Isobel wąskimi schodami na górę i położył do łóżka, kiedy z wyczerpania zasnęła w atelier. Isobel za ciężko pracowała. Od śmierci Raylana w 1979 roku Isobel rzuciła się w wir pracy, aby niejako odtworzyć ich wspólne lata spędzone w Kabulu. Jej pracownia stała się miejscem bezustannych spotkań przeszłości z teraźniejszością, podczas których marzenia zakochanej młodej kobiety zderzały się z przerażającą samotnością starzejącej się wdowy.

Dla Isobel stało się to skutecznym sposobem na to, by jej samotna rzeczywistość stała się bardziej znośna. Powracając w swoich obrazach do czasów, kiedy Raylan jeszcze żył, odnajdowała nie tylko niezbędne pocieszenie, ale też zapewniała sobie niebagatelne zarobki, ponieważ jej melancholijne płótna miały na całym świecie stale rosnącą rzeszę miłośników.

Edward pomyślał, jakie to wszystko niesprawiedliwe. Podczas gdy Isobel coraz bardziej wycofywała się do swojego atelier, zamykając się w swoich coraz bardziej idealizowanych wspomnieniach, jej syn włóczył się po świecie, marnując swoją przyszłość tylko dlatego, że zachowywał się jak tania podróbka własnego ojca, jeśli w ogóle. A to dlatego, że Raylan, wprawdzie podobnie jak jego syn był człowiekiem temperamentnym i regularnie zdarzało mu się objawiać swoją wybuchową naturę, zawsze mógł jednak polegać na swoim ciętym języku i ostrej dziennikarskiej przenikliwości, co pozwalało mu wybrnąć z każdej, nawet najbardziej trudnej sytuacji. A właśnie to było coś, co jego synowi w ostatnich czasach z rzadka się tylko udawało.

Edward ze smutkiem obserwował upadek Paula. Propozycja, jaką zamierzał mu złożyć, będzie zarazem ostatnia. Koło ratunkowe opakowane jak obietnica. Bo Paul nie akceptował kół ratunkowych.

Wrócił do środka i przełączył telewizor na *De Headlines Show*. Cathy Marant, która znowu wyglądała tak, jakby jej biust miał zaraz wyskoczyć z bluzki, właśnie przedstawiała swoich

gości. Edward usłyszał, jak mówi o DJ Maestro, który podobno przeżywa niesamowity come back po niedawnym wypadku na Ibizie, który omal nie zakończył się fatalnie. Obok niego siedziała dawna top modelka Vera Hilbrand, która – sądząc po identycznym biuście jak u Cathy Marant – musiała być klientką tego samego chirurga plastycznego, ale która wyglądała trochę mniej kwitnąco, ponieważ przez lata była maltretowana przez męża. W trzecim gościu Edward rozpoznał populistycznego prawicowego polityka Vincenta Coronela, przywódcę Demokratycznej Partii Holandii. Było publiczną tajemnicą, że prowadzącą, Cathy Marant, łącząc z nim nie tylko polityczne sympatie, co dla większości oglądającej telewizję i czytającej bulwarówki publiczności było mile widzianą kombinacją. Edward nie bardzo rozumiał, co Coronel robi w tym akurat programie, bo mógł tu co najwyżej powiedzieć, że jest wielkim przeciwnikiem ustawy o powszechnej abolicji dla nielegalnych imigrantów, której wprowadzenie rozważa Druga Izba.

Na koniec Edward zobaczył kobietę, o której wiele już słyszał i która według zapowiedzi Cathy Marant „dzięki zaangażowaniu Angeli Faber uratowała życie chłopcu w przebraniu dziewczynki, który uległ wypadkowi samochodowemu”. Wszystko to brzmiało tak prymitywnie, jak reklama gabinetu osobliwości na wiejskim jarmarku.

Obrzydzenie Edwarda przybrało wręcz spektakularne rozmiary dopiero wówczas, kiedy usłyszał własne nazwisko.

– Edward Vallent, redaktor naczelny „Algemeen Nederland Dagblad”, popisał się dzisiaj szybką reakcją na nasz program wyemitowany wczoraj wieczorem. Zajęliśmy się w nim postępowaniem jednej z pracujących w jego gazecie dziennikarek, która pobiła do nieprzytomności inną kobietę.

A więc już nie chodziło o incydent na gali w teatrze Carré, tylko o „pracującą w jego gazecie dziennikarkę”.

– Popatrzmy, co ma do powiedzenia pan Edward Vallent – zaanonsowała Cathy Marant i zanim Edward zorientował się, co się dzieje, zobaczył na ekranie samego siebie, jak z nabiegniętą krwią twarzą patrzy bez ruchu w obiektyw kamery ekipy IRIS TV.

– „Zadaję sobie pytanie co z zasadami obowiązującymi w zawodzie dziennikarskim, jeśli będziemy tolerować takie wypowiedzi i sposoby oczerniania, jakie stosuje Cathy Marant?” – usłyszał własne wściekłe słowa. Ktoś musiał w czasie montażu majstrować przy obrazie, ponieważ jego twarz wyglądała okropnie: nalana, czerwona i jeszcze ta ślina bryzgająca z wykrzywionych wściekłym grymasem ust.

Zaraz potem na ekranie znów pojawiła się Cathy Marant.

– No cóż, pewnie zadają sobie państwo pytanie, czym pan Vallent tak się denerwuje. Jest faktem niepodważalnym, że Farah Hafiz bez najmniejszego powodu pobiła inną kobietę tak dotkliwie, że ta wylądowała w szpitalu. Ale na tym nie koniec.

Edwarda aż zatkało. Za plecami Cathy Marant pojawiło się ostre jak brzytwa zdjęcie Farah, która w biały dzień próbuje zaatakować sanitariusza karetki.

– Może to i przypadek – wykrzyknęła Marant z udawanym zdziwieniem – ale to ta sama Farah Hafiz! Dziennikarka, o której już wiemy, że aż nazbyt chętnie rozdziela ciosy na prawo i lewo. To zdjęcie wykonał dzisiaj jeden z obecnych na placu w Hadze, podczas demonstracji zorganizowanej w Hadze przez nielegalnych imigrantów z Afganistanu. Jak widać, pani Hafiz ma chyba jakiś problem ze szpitalami. Tutaj mamy konflikt z sanitariuszem karetki, który próbuje wykonywać swoją pracę, w której pani Hafiz najwyraźniej próbuje mu przeszkodzić. Apeluję z tego miejsca do pani Hafiz: wystarczy, że masakruje pani swoje przeciwniczki na

macie! Niech się pani trzyma z daleka od sanitariuszy z karetek!

Edward cisnął pilotem o ścianę z taką siłą, że rozleciał się na kawałki. Wypadł z domu i ponownie wybrał numer Farah.

Zawsze kiedy Farah była smutna albo wściekła, automatycznie przełączała się na swój ojczysty język. Smutek, wściekłość i triumf wyrażała zawsze w języku dari. Nic na to nie mogła poradzić, i co więcej, nawet nie chciała. Była to część jej natury.

Cathy Marant pod wieloma względami przypominała przeciwniczkę, którą Farah sponiewierała przedwczoraj w czasie gali w teatrze Carré. Zaprawiony w bojach sęp, złakniony krwi swojej zdobywczy i dla sensacji gotowy do najpodlejszych sztuczek, byle tylko dostać to, czego chce.

Zobaczyła na wyświetlaczu wibrującego iPhone'a zdjęcie Edwarda i od razu wiedziała, co zaraz nastąpi.

- Myślałam, że mamy pogadać po programie? – odezwała się swobodnym tonem.
- Czego mi nie powiedziałaś o dzisiejszym dniu, Hafiz?
- Nie miałam pojęcia, że ktoś robił dzisiaj zdjęcia.
- Ktoś robił i przed chwilą je widziałas, więc natychmiast mi powiedz, co tam się działo!
- Długo reanimowałam wujka... a kiedy przyjechała karetka, żeby go zabrać, już nie żył. Nie pozwolili mi z nim jechać... Trochę mnie poniosło, to prawda, ale nawet nie tknęłam tego faceta, Ed.

– A więc jej się udało – westchnął Ed. – Ta kobieta doprowadziła do tego, że nawet ja przestaję ci ufać. Czego ona tak naprawdę chce?

W tym momencie zobaczyli na ekranie tę właśnie Cathy Marant zwracającą się do Daniëlle:

- A teraz przechodzimy do nierozwiązanej jeszcze sprawy potrąconego przez samochód chłopca, którego poprzedniej nocy znalazła na środku szosy dawna gwiazda seriali Angela Faber – zaczęła Marant patetycznie. – To dzięki jej interwencji chłopca mogła uratować lekarz traumatolog Daniëlle Bernson. – Ożywione brawa. – Daniëlle, w jaki sposób twoim zdaniem chłopiec znalazł się w Holandii?

- Niestety nie mogę powiedzieć wszystkiego, co wiem – zaczęła wyraźnie zdenerwowana Daniëlle – ponieważ są to częściowo informacje zastrzeżone. Istnieją jednak mocne przesłanki pozwalające postawić tezę, że chłopiec jest ofiarą międzynarodowego gangu handlarzy dziećmi.

- Powiedziałaś, że „istnieją mocne przesłanki” – drążyła Marant. – Co miałaś na myśli?

Daniëlle zawahała się.

- Sposób, w jaki chłopiec był ubrany, był dość niecodzienny – powiedziała w końcu. – Miał na sobie tradycyjne wschodnie szaty i ozdoby i był umalowany jak kobieta.

- Co się czuje, widząc tak ciężko ranne dziecko? – spytała Cathy Marant z wystudiowanym patosem, podczas kiedy kamera pokazała zbliżenie twarzy Daniëlle, która wyraźnie się pociła.

- To wstrząsające – powiedziała Daniëlle, z trudem wydobywając głos.

Cathy Marant zrobiła drobną pauzę, pozwalając Daniëlle napić się wody. Jej dłoń drżała.

- Porozmawiamy jeszcze przez chwilę o wyglądzie chłopca – zaczęła Cathy Marant możliwie wyrozumiale. – Wydaje się bowiem, że chłopiec był ubrany zgodnie ze starą afgańską tradycją,

która najwyraźniej zawitała już w nasze strony.

– Tak, to prawda – powiedziała Daniëlle już z większą pewnością w głosie. – *Bacha bazi*, tak nazywa się ten rytuał. Mali chłopcy są przebierani za dziewczynki i zmuszeni do tańca przed starszymi panami.

– I co się z nimi dzieje potem? – spytała Marant, efektownie zawieszając głos.

– Potem są wykorzystywani seksualnie.

Marant znowu zrobiła niewielką przerwę, a realizator pokazał przebitki, na których widać było zaszokowane twarze osób z publiczności. Potem kamery znowu pokazały stół prezenterki, przy którym Cathy Marant przybrała dziennikarską pozę.

– Posiadanie na własność takiego tańczącego chłopca jest w Afganistanie symbolem statusu – zaczęła. – Niezliczona masa chłopców siedmio-, ośmio- i dziewięcioletnich wystawiana jest na sprzedaż wprost na targowiskach i ulicach. Kiedy chłopcy osiągną wiek osiemnastu lat albo wcześniej przestają być atrakcyjni, zaczyna im grozić wielkie niebezpieczeństwo. Nie są pewni dnia ani godziny, ponieważ wiedzą, którzy z niejednokrotnie wysoko postawionych mężczyzn w najgłębszej tajemnicy całymi latami wykorzystywali ich seksualnie. Niejednokrotnie już znajdowano ich z poderżniętymi gardłami. Mimo oficjalnego zakazu rytuał *bacha bazi* rozprzestrzenia się w szybkim tempie.

Po tych słowach Marant demonstracyjnie zwróciła się do Vincenta.

– Jestem zaszokowany, dokładnie tak samo, jak wszyscy tutaj – odpowiedział natychmiast Coronel. – Widzę w tym rezultat naszej naiwności, z jaką patrzymy na wielokulturowość. Chodzi mi o to, że zważywszy liczbę nielegalnie przebywających na terenie Holandii Afgańczyków, trudno się dziwić, że przemycają oni do naszego kraju swoje barbarzyńskie zwyczaje i tradycje kulturowe.

Nagle Farah pojęła, w jakim kierunku pójdzie rozmowa. Daniëlle będzie zmuszona bezsilnie przyglądać się, jak jej słowa służą jedynie jako pretekst do tego, by pozwolić Vincentowi Coronelowi na obszernie wypowiedzenie się na temat zjawiska masowej imigracji.

Z ust Farah wyrwało się przekleństwo. Oczywiście w języku dari.

Marouan Diba szedł wzdłuż szeregu jednoręcznych bandytów ustawionych przy wejściu do niewielkiej kawiarni, która była Mekką garstki królów przegranej. Odgłos dzwigni, opuszczanych w różnorodnym rytmie przypominał dźwięk ładowania i odryglowywania karabinów.

Marouan słyszał brzęk wypadających monet, co jeszcze bardziej umacniało w nim wstręt przed czekającą go przegraną, jednocześnie jednak wzmagając pokusę drażnienia się z losem.

Podjechał do centrum, zaparkował swoją toyotę i następnie wstąpił do Tante Roosje przy placu Rembrandta, gdzie usiadł przed automatem, żeby niby-znudzone ruchem wrzucać do niego kolejne monety, ze szklanką piwa w rękę i niedopałkiem papierosa w prawym kąciку ust. W tym czasie w jego głowie myśli robiły dokładnie to samo, co symbole owoców w automacie – wirowały bezustannie bez szans na pojawienie się w jednym wspólnym rządku, tak aby wyniknęła z nich jakaś spektakularna inspiracja, złoty pomysł czy zbawcze natchnienie. Oczywiście nie miałyby nic przeciwko temu, żeby skończyło się na deszczu monet, brzęku wygranej, metalicznej ejakulacji.

Co chwila na pierwszy plan wybijała się myśl o tym, jak beznadziejnie się dzisiaj zachował, jak unikał Calvina, jak skurczył się do rozmiarów Tomcia Palucha w rozmowie z Tomasoą, Parkiem i tymże Calvinem. Lecz myśl o człowieku ze słowiańskim akcentem dominowała nad wszystkim. W jaki sposób uzmysłowić mu, na Boga, że jeśli znajdzie się w zewnętrznym zespole śledczych, to ma spętane ręce i nogi?

W tym momencie zobaczył na ekranie telewizora Daniëlle Bernson. Jej wypowiedź zagłuszał stuk automatów i sporadyczny brzęk monet. Wyciągnął rękę w stronę telewizora i podgłośnił dźwięk.

– „Sposób, w jaki chłopiec był ubrany, był dość niecodzienny – usłyszał jej głos. – Miał na sobie tradycyjne wschodnie szaty i ozdoby i był umalowany jak kobieta”.

Marouan przejechał dłońmi po twarzy. Był to jego spontaniczny gest, który pojawiał się, kiedy Marouan widział pojawiające się problemy, które zaczynały rzucać cień większy od jego cienia. *Gra, hadchi chhal mqouad!* Szlag jasny, co to, kurwa, jest! Ale tak naprawdę dobrze wiedział. To on właśnie wyszedł na ostatniego fiuta, na tego, co go gryzą psy, na urodzonego nieudacznika. Jeśli ktoś powinien powstrzymać Daniëlle Bernson, która właśnie informowała holenderską opinię publiczną, jak bardzo śmierdząca jest sprawa potrąconego przez samochód chłopca, to właśnie on.

Holenderska *hmara*, cipa po studiach medyczny, która właśnie wsącza opinii publicznej wiadomość o niewinnym chłopcu, przemycnym przez granicę.

Daniëlle Bernson była zwykłą *bint el zenqa*. Dziewką uliczną! Świadomość własnej bezradności wzbudziła w Marouanie wściekłość. Kopnął automat, zaczął w niego walić na płask dłońmi, szarpać na wszystkie strony i o mały włos nie walnąby go z byka. Wszystko dlatego, żeby jakoś dać upust własnej wściekłości i samemu najbardziej przy tym ucierpieć.

Udało mu się jednak jakoś powstrzymać i zostawił wszystko za sobą: swoje piwo, zdumioną

klientelę kawiarni i zdradę w telewizorze. Wyszedł na ulicę, wyjmując z kieszeni telefon na kartę i naciskając klawisz szybkiego wybierania, żeby zadzwonić do człowieka, którego z głębi serca nienawidził.

Gdy tylko Joshua Calvino dotarł na oddział intensywnej terapii szpitala WMC, wykorzystał dogodny moment, by porozmawiać w cztery oczy z pielęgniarką Mariską.

– Terez nie jestem z tego powodu szczęśliwa – stwierdziła szczerze Mariska – ale miałam z Daniëlle umowę, której mieć nie powinnam, a mianowicie, że jeśli tylko coś się będzie działo z chłopcem, to mam ją natychmiast powiadomić.

– A co w tym złego? – zdziwił się Joshua.

– To wbrew przepisom. Jeśli pacjent znajdzie się na naszym oddziale, to w pełni odpowiadamy za niego tylko my.

– To skąd taka umowa z Daniëlle?

– Znam trochę przeszłość Daniëlle i widziałam, jak bardzo przejmuje się chłopcem. Kiedy dzisiaj w nocy pojawiły się komplikacje i zaczęliśmy podejrzewać pęknięcie śledziony, natychmiast do niej zadzwoniłam. Po moim telefonie natychmiast przyjechała i wbrew przepisom weszła na salę operacyjną, gdzie osobiście przekonała dyżurnego traumatologa, żeby nie usuwał całej śledziony chłopca.

– To musiało wymagać nie lada odwagi – stwierdził z podziwem Joshua.

– W naszym zawodzie rzadko kiedy spotyka się takie zaangażowanie. Dlatego gdy dziś rano poprosiła, żebym przykneła oko, kiedy wprowadzi do chłopca na moment Angelę Faber, to pomyślałam... no, dobrze, niech już będzie.

– Ale...?

– Gdy zobaczyłam Dennisa Fabera i jeszcze fotografa, no i tę kobietę z telewizji, jak ona się nazywa...

– Marant, Cathy Marant.

– ...no właśnie, no to wtedy od razu zmobilizowałam cały mój autorytet i powiedziałam, że to wykluczone.

– A jaka była jej reakcja?

– Daniëlle w ogóle się nie posłuchała. Miała zdesperowane spojrzenie osoby, która gotowa jest za wszelką cenę postawić na swoim. Kiedy to zobaczyłam, wezwałam ochronę. Ale to duży szpital i zanim ochroniarze się pojawili, cały ten cyrk właśnie się skończył. Była to prawdziwie błyskawiczna akcja. Krótka, ale gwałtowna.

– Wystarczająca jednak, żeby powstał artykuł w „De Nederlander” – skonstatował Joshua.

– No właśnie, gdy to zobaczyłam, od razu powiadomiłam przełożonych o tym, co się stało – oznajmiła Mariska.

– Dopiero wtedy? – zdziwił się Joshua.

– Wie pan, panie Calvino, dla mnie to bardzo smutne widzieć, jak ktoś taki jak Daniëlle, która tak krótko u nas pracuje i jest taka oddana sprawie, sam pakuje się w kłopoty. Więc, tak, zwlekałam z informowaniem o sprawie, zwłaszcza że początkowo myślałam, że to taki incydent. Ale kiedy tylko zobaczyłam ten artykuł, od razu sobie uświadomiłam, jaka byłam naiwna.



– Bardzo chciałbym porozmawiać z pani przełożonym – powiedział Joshua. – Chłopiec musi dostać ochronę. Najlepiej już dzisiaj wieczorem.

Mariska podała mu numer telefonu do przełożonej oddziału intensywnej terapii. Odebrała bardzo konkretna kobieta, która oznajmiła, że już miewała pod drzwiami OIOM-u ludzi w kamizelkach kuloodpornych i pod bronią, więc jest do tego przyzwyczajona. Po otrzymaniu od niej zapewnienia, że postara się maksymalnie wspomóc operację ochrony chłopca, Joshua rozłączył się. Od razu zadzwonił do swojego szefa Tomaso, żeby zdać mu sprawę z rozwoju sytuacji.

Tomaso na szczęście lubił krótkie zdania i szybkie decyzje. Równie sprawnie jak przyspieszył poszukiwania wokół willi, tak i tutaj od razu przystąpił do działania. Normalnie musiałyby najpierw ocenić stopień zagrożenia świadka. Polegałoby to na sprawdzeniu, czy rzeczywiście istnieje poważne ryzyko i na ile jest prawdopodobne, że zagrożenie może rzeczywiście wystąpić. Po informacji od Joshuy Tomaso postanowił jednak obejść całą tę procedurę, poprzedzając przyznanie mu ochrony przymiotnikiem „natychmiastowy”. Dzięki temu, po krótkiej konsultacji z komendantem, zdecydowano się postawić pod drzwiami oddziału intensywnej terapii brygadiera w granatowym mundurze. Gdyby okazało się, że po wieczornej audycji w IRIS TV niebezpieczeństwo wzrosło, Tomaso nie zawaha się postawić tam dodatkowo strzelca z karabinkiem automatycznym heckler & koch.

Uspokojony tym szybkim i energicznym podejściem do sprawy Joshua wyruszył na poszukiwanie telewizora. Wreszcie, posłuchawszy rady Mariski, znalazł takowy w świetlicy, gdzie musiał najpierw przekonać garstkę zdezorientowanych pacjentów do konieczności przełączenia programu z gwiazdami tańczącymi na lodzie na emitowaną na żywo audycję *De Headlines Show*, w której polityk Vincent Coronel właśnie kończył swój wywód na temat niebezpieczeństw, jakie niesie ze sobą życie w społeczeństwie wielokulturowym.

Niewiele było potrzeba, żeby Joshua przekonał się, że i w tej kwestii Farah Hafiz miała rację. Policyjne dochodzenie, które miało się odbywać możliwie dyskretnie i w medialnej ciszy, nagle zostało za pomocą telewizyjnego ekranu wprowadzone do świadomości milionów Holendrów, zyskując dodatkowo dość ponury polityczny wymiar z powodu udziału Vincenta Coronela. Joshua zobaczył, jak pot występuje na czoło Daniëlle, która ledwie potrafiła wydobyć z siebie słowa, próbując zareplikować Coronelowi.

– Pan nam tu mówi o barbarzyńskich zwyczajach i tradycjach, które przedostają się do naszego kraju, a tymczasem ja mówię o losie dziecka, proszę pana, o losie dziecka! Czy pan to pojmuje?!

Daniëlle wyglądała tak, jakby zaraz miała się rozpłakać.

– Droga pani – odpowiedział Coronel bagatelizującym tonem – ja rozumiem, że pani uratowała życie temu chłopcu, co jest tyleż godne pochwały, co należy do standardowych obowiązków lekarza, ale nie łudźmy się. Ten chłopiec nie jest sprawą jednostkową. To nie jest incydent.

– W jakim sensie?

– Będzie ich coraz więcej, droga pani. Pani to wie, ja to wiem i publiczność też to wie.

– Skąd panu to przyszło do głowy?! – krzyknęła Daniëlle załamującym się głosem.

O ile dwie noce temu Joshua widział, jak jest zdecydowana i pewna w działaniu, gdy zajmowała się chłopcem, tak teraz wyglądała na kompletnie bezradną i miotaną emocjami. Daniëlle pojawiła się ze swoim idealizmem w miejscu, gdzie trzeba podbić publiczność chwytliwymi powiedzonkami i dowcipnym wywodem. Chcąc być uczciwa, Daniëlle Bernson

przegrała swoją potyczkę na telewizyjnej arenie, zanim jeszcze tak naprawdę ją rozpoczęła.

Daniëlle widziała, jak rozmowa zmierza w zupełnie inną stronę, niż tego chciała, i usłyszała w myślach, jak Farah woła: „To się może obrócić przeciwko tobie”. Uświadomiła sobie nagle, w jaką wpadła pułapkę. Wydawało jej się, że będzie mogła opowiedzieć to, na czym jej zależało, a tymczasem zorientowała się, że jest po prostu pretekstem, by stworzyć możliwość Vincentowi Coronelowi wypowiedzenia słów krytyki pod adresem ustawy o imigrantach.

Coronel właśnie z wielką werwą z tego pretekstu korzystał.

– Nie wolno nam spokojnie się przyglądać, jak do naszego życia społecznego próbuje się importować się wszelkiego rodzaju zagraniczne zwyczaje, a zwłaszcza zwyczaje barbarzyńskie – słyszała, jak wylicza w rytmie staccato. – Nie wolno nam beczynnie patrzeć, jak afgańscy zbrodniarze wojenni zaczynają być brani pod uwagę jako kandydaci do uzyskania azylu w naszym kraju. Czy wiecie państwo, że w Holandii przebywa aktualnie trudna do określenia liczba byłych ministrów, gubernatorów, a także generałów i funkcjonariuszy osławionej afgańskiej służby bezpieczeństwa KhAD? Najważniejszych przedstawicieli dawnego komunistycznego reżimu, który przez długie lata terroryzował Afganistan? Znalezienie tego afgańskiego chłopca w stroju tancerki świadczy o tym, że mamy do czynienia z całą armią afgańskich kryminalistów, którzy dzięki genewskiej ustawie o imigrantach oraz naiwności holenderskiego rządu zdążyli się już zainstalować w naszym kraju!

Daniëlle nie mogła się już dalej opanować i wybuchnęła.

– A czy pan wie, ile holenderskich dzieci ląduje corocznie w szpitalach w wyniku przemocy domowej? Dzieci, maltretowanych przez Holendrów?! – krzyknęła zapalczywie.

– Zupełnie nie rozumiem zasadności tego pytania.

Coronel mówił spokojnie, ale widać było, że jest wyprowadzony z równowagi. Daniëlle nie czekała, aż dokończy odpowiedź.

– Prawie sto tysięcy! – zawołała. – Sto ty-się-cy! I czy ktokolwiek spytał kiedyś te dzieci, jak to jest być bitym, maltretowanym czy zgwałconym?

Popatrzyła po obecnych i zobaczyła pełne wyczekiwania twarze zebranych w studiu osób. Zrobiło się cicho jak makiem zasiał i Daniëlle nagle zapomniała o swoim lęku przed publicznymi wystąpieniami.

– Dziś wieczorem miałam państwu opowiedzieć o chłopcu, który nie ma nawet dziesięciu lat i który został przemycony do naszego kraju przez międzynarodową bandę handlarzy dziećmi. Ale ten chłopiec równie dobrze mógł być zwykłym holenderskim dzieckiem albo z RPA. Dziecko to po prostu dziecko. Prawdziwe zło to członkowie gangów, którzy go tutaj przemycili. Pan jednak w swoim pędzie do zbitcia politycznego kapitału posuwa się wręcz do tego, żeby wykorzystać handel dziećmi i zjawisko ich molestowania do napiętnowania jako bandytów i kryminalistów wszystkich imigrantów i osób ubiegających się o azyl w naszym kraju. Najwyraźniej jest pan gotów posunąć się do wszystkiego, co przyniesie panu dodatkowe głosy. Ale ja z tego miejsca mówię panu, że molestowanie dzieci nie ma nic wspólnego z polityką, nic wspólnego z

imigracją, a przede wszystkim nic wspólnego z pańskimi odrażającymi kalkulacjami!

Coronel odparował te zarzuty zadziwiająco słabo. Unikał patrzania na Daniëlle, przenosząc spojrzenie to na Cathy Marant, to znów na byłą modelkę.

– W swojej naiwności pani Bernson nie chce dostrzec, że uratowała życie chłopca, który został przywieziony tutaj ze swojej odległej o dziesięć tysięcy kilometrów ojczyzny tylko dlatego, że w naszym kraju żyje grupa jego pobratymców. To właśnie są ci ludzie, którym się wydaje, że wolno im na dużą skalę wprowadzać w naszym kraju swoje barbarzyńskie zwyczaje.

– Jedno nie ma z drugim nic wspólnego – skontrowała go trafnie Daniëlle i zwróciła się bezpośrednio do prowadzącej: – Szanowna pani Marant, a może należałoby się raczej zwracać do pani szanowna pani manipulatorko? Powinna się pani wstydzić. Zwabiła mnie pani tutaj pod fałszywym pretekstem!

– Pani Bernson, przypominam, że przyszła pani tutaj z własnej nieprzymuszonej woli – odparowała Cathy Marant wyniośle.

– Tak, to prawda, tak samo, jak teraz z własnej i nieprzymuszonej woli stąd wyjdę – powiedziała Daniëlle i bezzwłocznie wcieliła swoje słowa w czyn, wstając i wychodząc ze studia.

– Robimy teraz przerwę na reklamy, a potem wracamy do naszego programu – usłyszała jeszcze za plecami wypowiedziane do kamery lodowatym tonem słowa Cathy Marant.

Czekając w napięciu, aż jego rozmówca odbierze, Marouan z telefonem przy uchu mijał oblegane tłumnie ogródki baru Rembrandt oraz Royal Café De Kroon. Bezrefleksyjnie wszedł na tory tramwajowe, co wywołało za jego plecami gwałtowny zgrzyt hamulców i hałaśliwy dzwonek tramwaju linii 9. Marouan ledwie zwrócił na to uwagę.

Mijając grupkę grających rutynowo swoją muzykę meksykańskich mariachi, uświadomił sobie nagle, że coraz więcej ludzi zatrzymuje się z uśmiechem i patrzy na niego, zupełnie jakby szedł z rozpiętym rozporkiem. Kiedy się odwrócił, zobaczył, co jest tego przyczyną. Otóż tuż za nim podążał człowiek przebrany za Charliego Chaplina, który dokładnie naśladował jego postawę, mimikę i sposób poruszania się. Marouan wykonał ręką ruch, jakby go odpędzał, na co uszmkowany na biało Charlie pociesznie odchylił swoje wygimnastykowane ciało, jakby odepchnięty podmuchem, kiedy jednak Marouan się odwrócił, natychmiast ruszył ponownie za nim, wciąż przedrzeźniając jego ruchy.

Zanim jeszcze ktoś zdążył odebrać, Marouan przerwał połączenie, odwrócił się gwałtownie i z okrzykiem „Policja!” podstawił Charliemu pod nos swoją legitymację służbową, na co Charlie z miejsca odegrał scenkę mimiczną, jak bardzo złamało mu to serce. Zwiększający się coraz bardziej tłumek gapiów, dla których wyglądało to na znakomicie przygotowany występ, zaczął bić brawo. Charlie zrobił smutne oczy, padł na kolana i wyciągnął obie ręce w stronę Marouana na znak, że może zakuć go w kajdanki. Jedynym ratunkiem dla Marouana było jak najszybciej uciec z placu, podczas gdy komediant ku ogólnej wesołości zebranych jeszcze przez kilkadziesiąt metrów szedł za nim, imitując jego ruchy.

Niedaleko budynku Stoperi Marouan po raz drugi nacisnął przycisk szybkiego wybierania na swojej komórce na kartę. Usłyszawszy mówiący po angielsku słowiański głos, zaczął swoją żalną spowiedź na temat nowego problemu, jaki się pojawił. Poinformował mianowicie swojego rozmówcę o telewizyjnym wystąpieniu jasnowiącej lekarki, co wywołało dłuższą chwilę szumiącej ciszy w słuchawce.

– O ile sobie dobrze przypominam, mieliśmy umowę, że tego rodzaju problemy sam rozwiązujesz – usłyszał wreszcie wyniosły głos z tym obrzydliwym akcentem. – Po to, żeby twoje problemy nie stawały się moimi problemami. Jaki masz więc pomysł, żeby ten problem znowu jak najszybciej stał się twoim problemem, Diva?

– Nie mam pojęcia – powiedział Marouan takim głosem, jakby miał nagłe bóle żołądka.

– I to jest chyba zasadnicza sprawa, pacanie. Ty po prostu ciągle nie masz pojęcia.

Marouan doskonale wiedział, że nie ma innego wyjścia, jak tylko wysłuchać tych impertynencji opakowanych w pseudofilozoficzny wywód i mieć cichą nadzieję, że wszystko dobrze się dla niego skończy.

– Wszystko zaczyna się od fascynacji, Diva. Fascynacji. Coś cię porwie. Jakaś idea. Jakieś zadanie. Cel. Coś, co nada ci kierunek. Co spowoduje, że się rozwijasz. Fas-cy-na-cja. Dzięki temu sam stawiasz przed sobą wyzwania. A ty? Co ty robisz? Ty tylko rozczarowujesz.

- Bardzo przepraszam.
  - Wracaj do domu i czekaj, aż do ciebie zadzwonię.
- Kliknięcie. Koniec rozmowy.

Marouan nie wiedział, co powinien teraz czuć – ulgę czy strach. Idąc w stronę samochodu, próbował przewyciężyć strach. Czekanie w domu na dzwonek telefonu było dla niego teraz mizernym eufemizmem czekania na nieuniknioną katastrofę.

Zupełnie jakby nagle stał się wczorajszą gazetą, którą nieliczące się z niczym anioły zemsty podetrą sobie tyłki.

Farah akurat zdążyła dotrzeć do hali wejściowej, żeby zobaczyć, jak Daniëlle wypada ze środka, a jakaś dziewczyna o białych jak mleko włosach i w psychodelicznej bluzce usiłuje zastawić jej drogę. Daniëlle odepchnęła ją na bok i nie oglądając się na nic, poszła w stronę roweru.

Kiedy zobaczyła Farah, z miejsca na nią naskoczyła.

– Na pewno wszystko widziałas. Tylko nie próbuj mi mówić, że miałas rację. Nic mnie to nie obchodzi!

– Nic z tych rzeczy! Miałaś odwagę powiedzieć to, co chciałaś powiedzieć. Odpłaciłaś im pięknym za nadobne.

Daniëlle nie zareagowała. Pochyliła się, żeby odpiąć łańcuch i kiedy tak w milczeniu majstrowała przy zamknięciu, a dziewczyna o białych włosach szła w ich stronę, Farah usłyszała, że tamta szlocha. Dziewczyna zdążyła już do nich dojść i stając między nimi, wydyszała, że jeszcze nigdy nie widziała czegoś takiego. Daniëlle wyprostowała się z wykrzywioną złością twarzą i wrzasnęła na nią, żeby spieprzała w podskokach. Farah objęła Daniëlle pocieszająco ramionami i dała sygnał dziewczynie, żeby już dała spokój, bo sprawa jest poważna.

– Ja chcę stąd iść – chlipała Daniëlle przez łzy. – Byle dalej od tej wiedźmy. Co za suka! Muszę zobaczyć chłopca.

– Chodźmy – powiedziała Farah. – Zostaw ten rower. Zawiozę cię.

Niedługo później Farah zaparkowała swoje porsche w podziemnym garażu szpitala. Zobaczyła, że wysiadając, Daniëlle rozgląda się trwożnie wokół siebie.

– Co jest?

– Nic, nic.

W windzie stały w milczeniu naprzeciwko siebie.

– Już dobrze?

– Nie.

W holu oddziału intensywnej terapii wyszła do nich Mariska, ale Daniëlle wyminęła ją bez słowa i weszła do pokoju, gdzie leżał chłopiec.

– Nie powinna tam wchodzić – odezwała się Mariska, kręcąc z dezaprobatą głową.

– Jest rozbita – usprawiedliwiła ją Farah. Zobaczyła, jak Mariska wchodzi za Daniëlle do pokoju chłopca i cicho zamyka za sobą drzwi. Wkrótce rozległy się stamtąd szlochania Daniëlle. Farah usłyszała za sobą czyjeś kroki i kiedy się obejrzała, zobaczyła Joshuę Calvina, jak wchodzi do holu, rozmawiając z jakimś policjantem.

Joshua ledwie okazał zdziwienie, że ją widzi. Popatrzył na zamknięte drzwi pokoju, gdzie leżał chłopiec, zza których dochodziło coraz cichsze chlipanie, i spytał Farah, kto tam jest.

Chwilę później wyszły stamtąd dwie kobiety. Mariska obejmowała Daniëlle ramieniem, a ta próbowała otrzeć sobie oczy wierzchem dłoni.

– Przepraszam – powiedziała, a łzy cały czas lały jej się po policzkach. – Strasznie

przepraszam.

– Najlepiej będzie, jak pójdzie pani teraz do domu – oznajmił Joshua przyjaźnie. – Mamy wszystko pod kontrolą.

– Zadzwoń po taksówkę? – spytała Mariska.

– Nie trzeba. Sam odwiozę panią Bernson do domu. – Joshua skinął głową policjantowi, który przedstawił się Marisce i razem z nią poszedł w stronę pokoju chłopca.

– Bardzo ci dziękuję – powiedziała Daniëlle do Farah, kiedy obok niej przechodziła. Poszła z Joshuą do windy. Farah patrzyła za nimi do chwili, aż zamknęły się drzwi windy. Została sama na korytarzu.

Joshua nie zaszczycił jej nawet jednym spojrzeniem.



Kiedy za oknem samochodu migały zarysy budynków i światła miasta, Daniëlle myślała o tym, co jej się przydarzyło w ciągu tych zaledwie dwóch dni, jakie upłynęły od momentu znalezienia potrąconego przez samochód chłopca. Jeszcze do niedawna żyła w przeświadczeniu, że zostawiła już za sobą wszystko, co zdarzyło się w Afryce i może zacząć nowe życie. Ale wszystko to, o czym chciała zapomnieć, ciągnęło się za nią jak jakiś bezkształtny cień i teraz znowu miało ją w swojej mocy.

Chciała zapomnieć. Zapomnieć o tym, że nie uda jej się uciec. Zapomnieć, że była ślepa na własne nieszczęście, zapomnieć, że jej naiwność obróciła się przeciwko niej.

Spojrzała w górę w czyste niebo i mimo kopuły sztucznego światła rozciągniętej nad miastem udało jej się dostrzec kilka gwiazd. Dziwna była dla niej świadomość, że być może widzi światła, które już dawno temu zgasły. Gwiazdy, które mimo że dawno umarły, to jeszcze lata świetlne później wydają się wciąż żywe. Sama tak właśnie się czuła. Żywa, ale martwa w środku. Spojrzała na mężczyznę, który w milczeniu siedział obok, prowadząc samochód.

– Pan jest wierzący, inspektorze? – spytała.

Spojrzał na nią zdumiony.

– Wierzę we wszystko, pod warunkiem że istnieje i funkcjonuje – odpowiedział, a kiedy zobaczył jej zdziwione spojrzenie, spróbował to doprecyzować. – Wierzę w przyrodę, w kosmos i silnik tego samochodu.

– Chodziło mi bardziej... czy wierzy pan w coś bardziej abstrakcyjnego... na przykład w zaświaty? – spytała niepewnie.

– Wierzę, że potrafię panią bezpiecznie dowieźć do domu. I wierzę, że ma pani rację. Bardziej abstrakcyjnie jak dla mnie już się niestety nie da.

Zauważyła, że kąciki jej ust wbrew sile ciężenia wędrują do góry, układając się w uśmiech.

– Komplementarz z pana, panie Calvino.

– Czy dla pani komplementarzem jest od razu ktoś, kto mówi, że wierzy w szczerłość?

No i wyszłam na idiotkę, pomyślała i znowu spojrzała w gwiazdy, nie próbując nawet odpowiedzieć.

– Nie wolno pani rezygnować, pani doktor – odezwał się Calvino po chwili. – Niech się pani prześpi, a jutro rano wszystko będzie wyglądać zupełnie inaczej.

I w tym właśnie problem. Może i będzie wyglądać inaczej, ale pod tą pozorną zmianą wszystko zostanie po staremu. Te same lęki, te same demony, te same błędy, które wciąż od nowa się popełnia.

Wjechali w jej ulicę i kierowany przez Daniëlle Calvino zatrzymał się tuż pod jej drzwiami. Zanim wysiadła, podziękowała mu.

– Nie tylko za podwiezienie, ale też za załatwienie ochrony.

– Nie ma za co.

Zdziwiła się tym, jak na nią popatrzył. Zupełnie jakby oczekiwał od niej czegoś więcej,

pomyślała nagle. Niezgrabnie wysiadła z samochodu i trochę za szybko ruszyła w stronę drzwi wejściowych, grzebiąc przy tym w torebce w poszukiwaniu kluczy. Przez cały czas słyszała cichy pomruk silnika i kiedy z dużym trudem znalazła klucze i otworzyła drzwi, miała wrażenie, że słyszy, jak on wysiada z samochodu. Pot wystąpił jej na czoło i w odruchu strachu obejrzała się za siebie. Zobaczyła, że Joshua siedzi pochylony nad kierownicą i patrzy w jej stronę. Szybko weszła do środka i zatrzasnęła drzwi za sobą, czując, jak serce bije jej w piersi jak oszalałe.

Stała, oddychając ciężko, oparta plecami o drzwi. Pozwoliłam, żeby zobaczył, gdzie mieszkam, pomyślała i od razu uświadomiła sobie absolutną śmieszność tej myśli, bo przecież przywiózł ją inspektor policji, człowiek wyglądający na opanowanego i godnego zaufania, a przede wszystkim ktoś, kto z własnej inicjatywy załatwił ochronę dla chłopca.

Usłyszała, jak z wolna odjeżdża, i dopiero kiedy odgłos silnika ucichł zupełnie, odważyła się wyjrzeć przez okienko na ulicę. Począł, aż bezpiecznie wejdzie do domu, i dopiero wtedy odjechał. Jak mogła podejrzewać, że za jego profesjonalną troskliwością kryje się coś innego?

Nogi jej dygotały, gdy wchodziła po schodach do salonu. Pierwsze, co zrobiła, to odkręciła kran nad wanną i wyciszyła komórkę. Pośpiesznie zaciągnęła zasłony i zapaliła tylko absolutnie niezbędne światła. Postanowiła sama napić się whisky, żeby się odrobinę odprężyć, podczas gdy woda nalewa się do wanny. Miała wrażenie, że to właśnie ten bardzo domowy odgłos w połączeniu z whisky zdumiewająco szybko ją uspokaja.

Chociaż próbowała sobie to potem przypomnieć, to jednak nie miała pojęcia, w którym momencie oczy same jej się zamknęły.

Zanim się spostrzegła, została porwana przez ciepłą falę zapomnienia.

Opuszczając teren szpitala przez wyjazd dla karettek i pędząc z dużą prędkością ulicą prowadzącą do West Ring, Farah próbowała zostawić za sobą chłodne spotkanie z Joshuą Calvinem.

Gwałtowność nocy spędzonej z Joshuą przypomniała jej pewną wcześniejszą miłość. Jako czternastolatkę ciągnęło ją do ludzi znajdujących się na marginesie życia, bo sama się za taką uważała. W każdym razie zakochała się na zabój w najbardziej wyszczekanym chłopaku ze swojej klasy, który przez cały rok chodził w kaloszach i szmirowatych ciuchach. Bez przerwy się ze wszystkimi bił, był cały posiniaczony i bez przerwy rozglądał się jak zagonione zwierzę. Ale przy niej uspokajał się, zmieniał się w delikatnego i czułego kochanka obdarzonego nieskończoną cierpliwością oraz dłońmi, które potrafiły rozpalić jej ciało.

Pewnego dnia, idąc za jakimś odruchem, chwyciła jego scyzoryk i zrobiła szybkie nacięcie na wewnętrznej stronie jego przedramienia, prosząc go, żeby jej zrobił to samo. Kochali się potem, a ich krew mieszała się ze sobą. Była to najbardziej zwariowana kombinacja bólu i miłości, krwi i namiętności, z jaką się kiedykolwiek zetknęła. Blizny na jej przedramionach, udach i brzuchu były tego wyczuwalnym wspomnieniem.

Pomyślała o swoich późniejszych związkach, w których zawsze to ona była stroną dominującą, kapitanem statku. Z tą różnicą, że zgodnie ze zwyczajem kapitanowie opuszczali statek jako ostatni, podczas gdy ona zawsze robiła to pierwsza. A wszystko dlatego, że w żadnym z tych związków Farah nie potrafiła odkryć w sobie emocji, choćby odrobinę przypominających te, które towarzyszyły tamtej pierwszej miłości.

Za dziesięć minut usłyszy chrzęst żwiru na podjeździe domu nad Amstelveense Plas. Wiedziała, że zobaczy sylwetkę Davida w drzwiach. Miał w sobie specjalny zmysł, którym wyczuwał jej obecność, tak że bardzo często stał w drzwiach, czekając na nią, nawet kiedy nie zapowiedziała wcześniej swojego przybycia. Nigdy nie wychodził jej naprzeciw, tylko stał, czekając. Dzięki temu miała poczucie, że warto iść w jego stronę po drobnym żwirze. Pragnęła tej chwili, kiedy stawała przed nim a on brał ją w objęcia, jakby właśnie wróciła z podróży dookoła świata.

Uświadomiła sobie, jakie to wyjątkowe, że podczas trwającego pół roku związku z Davidem, nie sypiała z innymi mężczyznami. Joshua był pierwszym i jeśli o nią chodzi, zarazem ostatnim wyjątkiem. Tego rodzaju przygody już nie pasowały do jej życia. Miała nadzieję, że zdoła to wytłumaczyć Davidowi. Wyobraziła sobie, jak on zareaguje, zobaczyła, jak patrzy na nią dzikimi, niedowierzającymi oczyma, chodzi tam i z powrotem i zadaje pytanie dlaczego i czy to z jego winy, bo może coś zrobił nie tak?

Nie, skarbie, nic nie zrobiłeś nie tak, to moja wina, to wszystko tylko moja wina!

Pozwoli mu odreagować, zbliży się do niego bardzo ostrożnie, potem dotknie go koniuszkami palców, topiąc jego opór z wolna sięgnie po jego ręce. Aż wreszcie, wreszcie David ze wzruszającą szczerością powie, że nie ma remedium na jego uczucia wobec niej, więc żeby już

więcej tak go nie krzywdziła. I to będzie ta chwila, gdy szeptem przyrzeknie mu wierność i zaraz potem oznajmi, że postanowiła pojechać z nim w wielką podróż w ramach Projektu Verne. Jeśli będzie taka potrzeba, poświęci dla niej swoją karierę. Zrobi, czego tylko zażąda, żeby wszystko naprawić. Żeby tylko wszystko znowu było tak jak dawniej.

David kochał ją w prawdziwie wyjątkowy sposób, ponieważ widział w niej coś, czego ona sama nie chciała, czy może raczej nie miała odwagi w sobie dostrzec. Bo ona dostrzegała głównie swoją waleczność i ambicje. Jako dziecko przybranych rodziców w tym płaskim, deszczowym kraju mlekiem i miodem płynącym, bardzo szybko zorientowała się, że żadna inna znana jej dziewczynka czy chłopiec nie mieli ojca, który został rozstrzelany przez pluton egzekucyjny, ani matki, która zginęła w wiecznych śniegach górskiej przełęczy. Wszystko w niej było inne. Jej wygląd, jej wnętrze i jej przeszłość. I nie było nikogo, z kim czułaby coś wspólnego. Każdy dzień w szkole i poza nią oznaczał dla niej walkę z szyderstwami, docinkami i pomówieniami ze strony rówieśników, ich rodziców, a nawet nauczycieli. Miała nadzieję, że kiedyś dotrze do punktu, w którym zaakceptuje tę nieznaną, subtelną część siebie. I David jej w tym pomoże.

Kiedy niedługo potem wjeżdżała na podjazd, ze zdziwieniem stwierdziła, że David nie stoi w drzwiach i na nią nie czeka.

Przed wejściem do St. Helen Joseph Hospital panował kompletny chaos. Cały personel pielęgniarski blokował dostęp do szpitala, demonstrując w ten sposób przeciwko brakowi podwyżek, które zostały wprawdzie obiecane przez rząd, ale nigdy nie weszły w życie. „Amandla” skandowała kobieta. Paul rozpoznał w niej nocną pielęgniarkę, która troskliwie się nim opiekowała. „Awethu, krzyczeli przywódca strajku. *Power! To the people!*”

Policjanci próbowali przecinać kłódki, którymi protestujący przypięli się do bramy szpitala, ale od razu rzucili się na nich z krzykiem pozostali pielęgniarze i pielęgniarki. W odpowiedzi policja użyła armatki wodnej.

Paul przelazł przez płot i idąc skrajem chodnika, na próżno próbował zatrzymać machaniem któryś z minibusów. Właśnie zaczynał się zastanawiać, czy może stosuje jakiś nieodpowiedni sygnał, gdy uświadomił sobie, że żaden z kierowców wypełnionych czarnymi pasażerami minibusów nie ma ochoty zabierać białego, który z opuchniętą twarzą, podbitym okiem, opatrunkiem na nosie i dwudziestoma czterema szwami na lewej brwi musi dla nich wyglądać jak szukający zaczepki łobuz.

Trochę dalej zobaczył kobietę wysiadającą z taksówki i zaczął gwałtownie machać. Kiedy zobaczył, jak kierowca mierzy go spojrzeniem, podbiegł do niego, wykrzywił twarz w uśmiechu i spróbował przełamać lody, mówiąc, że wcale nie jest taki zły, na jakiego wygląda, i że mieszka przy Park Street 15 w centrum miasta, co oznaczało dla niego całkiem przyzwoitą trasę. Kierowca pokazał mu, żeby wsiadał, i chwilę później mknęli wzdłuż wysokich murów otaczających osiedla mieszkalne, zaopatrzonych u góry w zasieki z drutu, na których było napisane „9000 woltów”.

Paul popatrzył na identyfikator dyndający przy przedniej szybie i zobaczył, że człowiek za kierownicą nazywa się Mosi Siluthu. W tym czasie zobaczył też, że wzdłuż ulicy piętrzą się góry śmieci. Mosi zobaczył spojrzenie Paula i domyślił się, że ten nic nie wie o najnowszej sytuacji.

– Wszędzie jest to samo. Wszyscy domagają się podwyżek płac. Śmieciarze chcą piętnaście procent. Dopóki tego nie dostaną, nie ruszą palcem.

Rezultat strajku to chodniki Johannesburga zawałone stosami potłuczonego szkła, starych gazet, niewiarygodnych ilości odpadów plastikowych, puszek, gnijących resztek jedzenia i do tego stada szczurów biegających po tych górach śmieci i drażących tunele. W niektóre dni ich liczba niemal przekraczała liczbę nielegalnych imigrantów. Przez służby oczyszczania miasta Johannesburg stał się rajem dla szczurów.

– Afrykański Front Narodowy, proszę pana, rządzi w imieniu wielkiego kapitału – powiedział kierowca, patrząc na Paula w lusterku wstecznym. – I sam pan widzi, czym to się kończy: uciskiem mas pracujących. Wczoraj śmieciarze, dzisiaj personel szpitali, jutro robotnicy budowlani, pojutrze urzędnicy, potem robotnicy fabryczni. Trzeba panu wiedzieć, że cały kraj już strajkuje. *Amandla!*

– *Awethu* – odpowiedział Paul.

– I wszystko przybiera na sile – ciągnął Mosi. – Pewnie też dlatego Jacob Nkoane zgłosił swoją kandydaturę w wyborach prezydenckich.

– Co takiego?! – wykrzyknął Paul przerażony.

– Czy oni pana trzymali w jakiejś izolatce w tym szpitalu? – spytał Mosi i nie czekając na odpowiedź, paplał dalej. – AFN zrobił z walki z ubóstwem główny temat kampanii wyborczej! Ale niedoczekanie. To hańba, żebyśmy w czymś takim mieli brać udział!

– Od kiedy Nkoane kandyduje? – spytał Paul wciąż lekko zaszokowany.

– Od dzisiaj – powiedział Mosi poważnym tonem i Paul zobaczył, że znów przygląda mu się we wstecznym lusterku. Wiadomość na temat Nkoane podziałała na Paula jak cios w żołądek. Uświadomił sobie, jak wielkie musiały być naciski, żeby uniemożliwić mu śledztwo w sprawie korupcji, i jak zwielokrotniony nacisk będzie teraz wywierany na jednostkę „Skorpion”.

Ale z drugiej strony Dingane nie wyglądał na takiego, który łatwo ugina się pod naciskiem, jak stwierdził w duchu Paul.

Kierowca w milczeniu jechał dalej w stronę Park Street. Po przybyciu na miejsce Paul dał Mosiemu ekstra napiwek, który ten przyjął, mamrocząc coś niezrozumiałego pod nosem, odjechał.

Tymczasem zaczęło padać. Krople deszczu wydawały różnej wysokości dźwięki, uderzając w plastikowe worki, pogniecione puszki i inne śmieci.

Z głową pełną chaotycznych myśli i groźnych obrazów przedstawiających wzbijające się w powietrze kondory, wyciągające się w jego stronę ręce i zamienione w krwawą breję twarze Paul otworzył skrzypiące drzwi do swojego mieszkania. Już od pół roku wisiła w nim ponura atmosfera, właściwa dla miejsca zamieszkania „zdesperowanego samotnego mężczyzny”. Paul miała nadzieję, że gdy zamknie drzwi, pozostawi za sobą tamten chaos, lecz poczucie beznadziejności i brak wyjścia nadal szczyrzyły się do niego jak demony, które najwyraźniej postanowiły mu towarzyszyć przez resztę życia.

Podszedł do okna, za którym gwałtowny deszcz mącił światła miasta, zmieniając je w cienkie pionowe paski, kiedy odezwała się jego komórka. Paul przypomniał sobie, co trajkotał Mosi, wioząc go wzdłuż mokrych od deszczu stosów śmieci.

To już nie jest mój świat, pomyślał, odbierając telefon.

Edward spoglądał na przydomowy ogródek pełen bakłażanów, cukinii i niemal już dojrzałych dyni. Pośród drzew owocowych nieco dalej widział przestraszone cienie w półmroku, patrzące w jego stronę. Poszedł w stronę części, gdzie były przyprawy, zebrał trochę zielonej mięty i włożył do ust parę świeżych listków, przeżuując je następnie powoli, z zamkniętymi oczami. Wszystko po to, by odsunąć w czasie tę chwilę. Wszystko po to, by nie wybrać numeru w Johannesburgu.

Czekając na nadejście tej nieuchronnej chwili, szedł dalej przez ogród, wzdłuż grządek pełnych maków, przywrotników pospolitych i krwawnika, w stronę wiekowych dębów, pilnujących krańca gospodarstwa jak sękaci strażnicy. Pomyślał o tych latach, kiedy co tydzień spotykał się tutaj z człowiekiem, do którego miał teraz zadzwonić. Człowieka, który wtedy był zaledwie chłopcem.

Edward dostrzegł wówczas nieokiełznaną ciekawość dojrzewającego Paula i doradził mu prowadzenie dzienniczka, w którym będzie zapisywał wszystko, co napotka na drodze. Myśli, poglądy, wyrwane zdania z gazet czy kawałki rozmów zasłyszanych w radiu lub w telewizji, zdjęcia wycięte z gazet i czasopism. Zachęcał Paula do szukania związków pomiędzy poszczególnymi elementami tego zbioru i dociekania wyjaśnień, mając nadzieję obudzić w swoim siostrzeńcu potrzebę wyrobienia sobie własnego zdania. Zdania, które następnie da się obronić. W szesnaste urodziny Paula Edward umówił się z nim, że każdego tygodnia będą się spotykali, by bezkompromisowo wymienić poglądy na dowolny temat, jaki przyjdzie Paulowi do głowy.

W każdą sobotę Edward pojawiał się w tym domu. Zimą siadywali przy kominku i w czasie, gdy oni zażarcie dyskutowali, Isobel przygotowywała dla nich jakieś jedzenie: carbonadę wołową z musem jabłkowym i do tego ciasto imbirowe, albo purée ziemniaczane z czerwoną kapustą, które nazywała „wspominkami z dawnych czasów”. Latem siadywali naprzeciwko siebie jak walczące koguty w ogrodzie przed domem, a Isobel przynosiła im mrożoną herbatę i pieczone przez siebie cytrynowe ciasteczka. Edward brał wtedy na siebie rolę zatwardziałego konserwatysty, który patrzył na politykę światową z punktu widzenia zaspokajania potrzeb człowieka, a Paul wychodził z młodzieńczo naiwnego przekonania, że człowiek po to jest na ziemi, żeby naprawić to, co zepsuły poprzednie pokolenia. Paul zrzucał przy okazji na Edwarda odpowiedzialność za wszystkie możliwe okropności. Wyzywał go od „populistycznych idiotów” albo „pozbawionych sumienia kapitalistów” czy „perorujących reakcjonistów”. Im bardziej przykre padały określenia, tym bardziej odczuwalna dla Edwarda stawała się narastająca bliskość między nimi. Z przyjemnością patrzył, jak Paul stopniowo zmienia się z zapalczego chłopaka, który z trudem potrafił powstrzymać agresję, w mającego własne zdanie młodego człowieka, który coraz sprawniej potrafi wyrazić swoje poglądy. Edward i Isobel zauważyli, że te cotygodniowe spotkania stanowią idealny wentyl bezpieczeństwa dla młodego człowieka szukającego sposobu na wyładowanie swojej agresji wobec życia, które odebrało mu

największego idola, jakiego kiedykolwiek miał, a mianowicie ojca.

Przez te ważne lata Edward nauczył Paula nie tylko kierowania się impulsami jego intuicji, ale też wiary w pewność precyzyjnej analizy. „Połącz jedno z drugim, a zostaniesz wielkim dziennikarzem”, powtarzał mu bez przerwy.

Stał teraz pomiędzy dwoma potężnymi dębami, cierpliwie czekając, aż usłyszy głos tak wielce obiecującego kiedyś dziennikarza, który najwyraźniej dawno już zagubił gdzieś zdolność łączenia ze sobą wspomnianych dwóch elementów.

W ciszy, jaka panowała przez chwilę, kiedy Paul odebrał telefon, Edward usłyszał w tle deszcz.

– Jesteś na dworze?

– Nie, stoję przy otwartym oknie.

Edward nagle pomyślał, że Paul być może chce skoczyć i oczyma duszy już widział go, jak leży na ulicy w deszczu. Ranny, zakrwawiony i nieprzytomny. Siedem czy osiem pięter niżej.

– Bez obaw – powiedział Paul, który najwyraźniej z odległości tysięcy kilometrów wyczuł niepokój Edwarda.

– A powinienem mieć jakieś obawy?

– Kto wie. Gdybyś mnie teraz zobaczył. – Paul uśmiechnął się ponuro.

– Co się stało?

– Nic istotnego.

– Wszystko, co się z tobą dzieje, jest dla mnie istotne – powiedział Edward rozdrażniony, jak ojciec przywołujący do porządku krnąbrnego syna.

– Poprzestańmy na tym, że wszystko już ze mną w porządku – powiedział Paul. – I na razie to wszystko na ten temat.

Paul umilkł. Edward słyszał uderzające o parapet krople południowoafrykańskiego deszczu i odruchowo spojrzał w górę, zanim oznajmił:

– Mam dla ciebie zadanie. Coś, na czym możesz połamać sobie zęby.

– Brzmi nieźle. Mów dalej.

– W Lesie Amsterdamskim znaleziono afgańskiego chłopca, przebranego za dziewczynkę, według rytuału *bacha bazi*. Cała sprawa wydaje się mieć jakiś związek z Arminem Lazonderem i jego rosyjskim łącznikiem Walentinem Ławrowem.

Na linii znowu zapadła cisza. Edward na próżno czekał na jakąś reakcję.

– Słucham dalej – odezwał się w końcu Paul.

– Chciałbym, żebyś pracował nad tą sprawą z Farah Hafiz.

– To nie jest doświadczona dziennikarka śledcza.

– Dlatego chcę, żeby to robiła z tobą. Właśnie z nią rozmawiałem i do sprawy doszło trzecie nazwisko, cokolwiek by to miało znaczyć.

– Jak to mówią, do trzech razy sztuka, Ed. Wał śmiało.

– Grigorij Michałow.

– Od kiedy to „Algemeen Nederlands Dagblad” zagląda do kostnicy?

– Nie rozumiem?

– No przecież Michałow od lat nie żyje.

– Tyle wiem, ale jeśli wierzyć ostatnim informacjom, to nawet jako zombi dalej zabija. Jedna z dawnych ofiar KhAD-u podobno go rozpoznała.

– Prawdziwy Trójkąt Bermudzki: Lazonder, Ławrow i nieumarły Michałow.

– Uprzedzałem, że możesz sobie na tym połamać zęby.



– A więc jeśli w to wejdę, to będę pracować wspólnie z Hafiz?  
– Możesz mi wierzyć, Paul, że jest dobra.  
– Z czego to wnosisz?  
– Nie pamiętasz, że rozpoznałem talent na pierwszy rzut oka?  
– Chyba kapuję, co ci się roi – powiedział Paul. – Robiąc z nas duet, masz nadzieję zapewnić mi come back, a jej dać kopa w górę.  
Tym razem to Edward milczał.  
– Co tam u mamy?  
– Położyłem ją do łóżka. Właśnie śpi.  
W Johannesburgu przestało padać.  
– Paul?  
– Jeszcze się odezwę.  
Edward z pustką w głowie słuchał ciągłego sygnału w telefonie, kiedy Paul się rozłączył. Cienie poruszały się leniwie w purpurowym blasku wieczoru. W oddali zobaczył nad miastem zbierający się front niżowy i usłyszał słaby pomruk nadciągającej burzy.

W łazience było ciemno, kiedy Daniëlle z przestachem otworzyła oczy. Woda była letnia. Czyżby zasnęła? Nie mogło to trwać zbyt długo. Była jednak pewna, że gdy wchodziła do łazienki, światło było zapalone.

Wyprostowała się w wodzie, poczuła zawrót głowy i przytrzymała się mocno brzegów wanny. Potem zaczęła szukać ręcznika, ale nie mogła go znaleźć, wyszła więc z wanny i ruszyła po omacku w stronę włącznika światła. W tym momencie poczuła dłoń w rękawiczce zatykającą jej usta, zanim zdążyła krzyknąć. Dłoń przycisnęła ją do ciała muskularnego mężczyzny. Czuła zapach skóry, mięty i wody po goleniu o aromacie piżma. Mężczyzna ten, mówiący po angielsku z rosyjskim akcentem, powiedział jej do prawego ucha złowrogim szeptem:

– To niebezpieczne, zasypiać w wannie. Sporo ludzi topi się w ten sposób. Ale to przyjemna śmierć. Człowiek tonie, nawet o tym nie wiedząc. Chcesz tego?

Dłoń w rękawiczce połuźniła chwyt, żeby Daniëlle mogła zareagować. Pokręciła przecząco głową.

– Całkiem rozsądna decyzja. A teraz musisz mi powiedzieć, co wiesz – mówił mężczyzna dalej ochryplym szeptem. – Musisz mi powiedzieć, co wiesz o chłopcu. To, czego nie powiedziałaś w telewizji, powiesz teraz mnie.

Znowu poczuła, jak dłoń przy jej ustach rozluźnia chwyt. Miała możliwość zaczerpnięcia oddechu i próbowała znaleźć odpowiednie słowa.

– To *bacha bazi*. – Z jej gardła z trudem wydobył się dźwięk.

– Tyle to wiem. Ale skąd się tu wziął?

Daniëlle poczuła, jak ogarnia ją panika.

– Ja... ja tego nie wiem.

Poczuła, jak mężczyzna ją podnosi i wrzuca z powrotem do wanny, tak że uderzyła głową o jej brzeg. Zaraz potem została wepchnięta pod wodę i poczuła, jak druga dłoń mężczyzny przytrzymuje jej wierzgające nogi. Próbując za wszelką cenę zaczerpnąć powietrza, opła się wody. Kiedy dłoń niespodziewanie wyciągnęła jej głowę na powierzchnię, zaczęła się krztusić.

Mężczyzna bezustannie sączył jej do ucha kolejne słowa:

– Ja nie muszę tego robić, zrozum. Wystarczy, że powiesz mi, co wiesz. A więc spytam jeszcze raz. Jak chłopiec się tutaj znalazł?

– Ja... nie wiem... – powiedziała z płaczem.

Dłoń mężczyzny znowu wepchnęła ją pod wodę. Tym razem druga dłoń ścisnęła ją brutalnie między nogami, na co Daniëlle otworzyła usta do krzyku i znowu opła się wody. Czuła, że zaczyna tracić przytomność.

W tym momencie znowu została wyciągnięta na powierzchnię, mężczyzna wyjął ją z wody i znowu stała przyciśnięta do muskularnego męskiego ciała. Dłonie przesunęły się po jej mokrych włosach, zjechały po plecach w dół i złapały ją za pośladki, podczas gdy ona, pochlipując, usiłowała wydobyć z siebie jakieś słowa.

– On nie mówi. Ten chłopiec... jest nieprzytomny.

Dłonie znów wróciły do jej głowy i przytrzymały ją w uścisku. Poczowała zapach mięty, kiedy jego twarzy zbliżyła się do jej twarzy jak ciemna plama.

– Posłuchaj mnie – odezwał się mężczyzna. – To, co przed chwilą z tobą zrobiłem, to nic. Nic w porównaniu z tym, co zrobią z tobą tamci. Oni posuną się dalej. Tak daleko, że nie będziesz w stanie tego opowiedzieć. Kapujesz?

– Ja nie jestem właściwą osobą. – To było jedyne, co potrafiła odpowiedzieć.

– O, nie. To ty jesteś osobą, która uratowała mu życie. Dlatego teraz ja uratuję twoje.

Odwrócił ją.

– Połóż dłonie na ścianie.

Posłuchała.

– Zamknij oczy.

Zamknęła oczy.

– Zaczynaj powoli liczyć do sześćdziesięciu.

Zacząła liczyć. Kiedy doszła do pięciu, przerwał jej.

– Wolniej... Jeśli będziesz liczyć powoli, zostawię cię przy życiu.

Zacząła liczyć od nowa. Od jednego. Bardzo powoli. Zupełnie jakby była gwiazdą, która się wypaliła. Gdy dotarła do sześćdziesięciu, nie przestała liczyć. Umieranie było jak liczenie do nieskończoności.

Zanim jeszcze dotarła do drzwi wejściowych, otworzyły się gwałtownie i wyszedł z nich David, zmierzając w jej stronę energicznym krokiem.

– Kłamstwa! – wykrzyknął z przejęciem, łapiąc ją za ramiona, tak jakby chciał nią gwałtownie potrząsnąć. – Można je ignorować, ale kiedyś trzeba coś z nimi zrobić! Jestem pewien, że będziesz umiała jakoś z tego wyjść! Że razem jakoś z tego wyjdziemy! Masz mi wszystko opowiedzieć! Wszystko, rozumiesz?!

– Zaraz, David – powiedziała zaskoczona. – Daj mi chwilę.

Objął ją ramieniem i zaprowadził do środka, gdzie na podłodze poniewierały się książki Verne’a, na stole stała opróżniona w trzech czwartych butelka single malt whisky, a w powietrzu unosił się zapach kolacji, którą ugotował w zasadzie dla nich dwojga.

– Powinnaś uprzedzić tę lekarkę, zanim poszła wygadać się do Marant – stwierdził.

W tym momencie zorientowała się, skąd to jego zdenerwowanie. Najwidoczniej David też oglądał dzisiejsze *De Headlines Show*.

– Tak właśnie zrobiłam, kochanie.

– I ona cię nie posłuchała? Co za głupota!

Farah nigdy by nie pomyślała, że będzie kiedyś czuła do siebie taką odrazę jak teraz, gdy stała przed nim, pragnąc jak najszybciej wypowiedzieć się ze swojej tajemnicy, żeby wszystko mogło wrócić do poprzedniego stanu, który był dla niej ważniejszy, niż sobie dotąd zdawała z tego sprawę.

– Może byś tak usiadł?

– A ty? Nie chcesz nic jeść? Co ci nalać?

– Czy możesz usiąść i przez chwilę mnie posłuchać? – poprosiła błagalnym tonem.

Przestraszył się. Chwycił szklanekę whisky i opadł ciężko na twardą skórzaną kanapę w stylu włoskim.

Szukała odpowiednich słów w przeciągającej się ciszy, podczas kiedy David kręcił się niespokojnie na kanapie i niecierpliwie marszczył brwi.

– Pamiętasz, jak żyłam, zanim cię poznałam, prawda? Pamiętasz? – spytała czule.

– Domyślam się mniej więcej. Więcej nie muszę wiedzieć. Jasna sprawa.

– Nie chcę więcej takiego życia. Już nie.

– To doskonale. To wszystko? – David już chciał się podnieść.

– Nie. Jeszcze nie wszystko ci powiedziałam. To znaczy, jeśli chodzi o wczorajszą noc.

– Byłaś do późna w szpitalu.

– Tak, ale potem poszłam do kogoś. Do mężczyzny. I zostałam u niego. Przez całą noc.

– U kogo? Znam go?

– Po co ci to wiedzieć? Czy dzięki temu będzie to mniej straszne?

– Mówisz, że zostałam na noc. Czy to znaczy, że się pieprzyliście?

– To się już nigdy więcej nie powtórzy, David. Ja...

– Nie – powiedział David, wstając tak gwałtownie, że aż się przestraszyła. – Bo już się stało!

Zaczął chodzić tam i z powrotem. Już to znała. Robił tak zawsze, ilekroć szukał rozwiązania problemu. Najczęściej z pochyloną głową, szukając pomysłu, który przywróci mu spokój, wynikający ze zrozumienia.

– Czy to dlatego, że tak często wyjeżdżam? Że zostawiam ci za dużo swobody? Jestem naiwny, czy jak?

Zobaczyła, że jest coraz bardziej zły i instynktownie odsunęła się od niego.

– Nie wiem tak do końca, ale może masz rację. – Tak, powinna mu przyznawać we wszystkim rację, to go uspokoi. – Stało się. I nie chcę, żeby kiedykolwiek więcej stało się ponownie.

David zatrzymał się, popatrzył na nią ostro i zaczął mówić przy akompaniamencie kanciastych gestów, podczas gdy słowa wylewały się z niego niepowstrzymane i gwałtowne, jak fale jesiennego przyboju.

– Okay, a więc stało się i chcemy uwierzyć, że nigdy się nie powtórzy... to możliwe, ale skąd mam mieć pewność, że to było tylko ten jeden raz, a więc że ty nie... To znaczy, że nie zdarzyło się to już wiele razy?

– Możesz mi wierzyć.

– Wierzyć? Wierzyć tobie? Po tym, co mi właśnie tak bez ogródek powiedziałaś?

Człowiek, którego miała przed sobą, to nie był ten David, jakiego znała. Stał przed nią ktoś zupełnie inny. Jego rozwścieżony brat bliźniak.

– Co za nikczemna podłość, Farah! – wybuchnął. – Najpierw stoisz tu pod prysznicem i zanosisz się płaczem, idziesz ze mną do łóżka i kochasz się tak, jakby od tego zależało twoje życie, potem znikasz. Co się z tobą dzieje? Co ty wyprawiasz? Dopiero co wróciłem z Indii, załatwiłem wielki międzynarodowy deal, a ty zamiast się razem ze mną cieszyć, oznajmiasz mi, że pieprzysz się za moimi plecami z innymi i właśnie doszłaś do wniosku, że chcesz z tym skończyć... A ty dokąd się wybierasz?

Pytanie skierowane było do Farah, która słysząc jego tyradę, wykonała taki ruch, jakby miała wyjść.

– Do domu. Wrócę, jak się trochę uspokoisz.

– To nawet nie wolno mi zareagować na to, co właśnie usłyszałem? Oczekujesz, że wepnę ci kwiat we włosy i natychmiast wybaczę?

– Niczego już od ciebie nie oczekuję, David.

– A powinnaś, moja droga. Ale ty odważnie swoje. Taka już jesteś. Nikomu nie dać do siebie dostępu. Przez cały czas iść tylko własną drogą i pozostać nieprzystępna. Zwłaszcza dla tych, którzy cię kochają. Pozwalasz mi się ludzić, że jesteś dla mnie, kiedy tymczasem jesteś wyłącznie dla siebie samej. Pozwalasz mi się ludzić, że jesteś tu u siebie, podczas gdy tak naprawdę jesteś zupełnie gdzie indziej! Nigdy tak na prawdę nie jesteś tu u siebie, zawsze jesteś „gdzieś”, tyle że nikt nie może wiedzieć, gdzie to jest.

– To nieprawda. Jestem tutaj i tutaj chcę być. Kocham cię.

– Myślisz, że te obłudne słowa, to właśnie to, na co czekam?

– Na co w takim razie czekasz?

– Żebyś odeszła, ale tak całkiem. Bo odejdziesz. Czy tego chcesz, czy nie.

– Ale ja nie chcę odchodzić.

– Może i tak, ale to nie ty stawiasz tu warunki. Nie masz już żadnego prawa do stawiania warunków, to ja je stawiam, rozumiesz? To mój dom, a w moim domu ja stawiam warunki! Więc albo zostaniesz i dasz mi się wściekać, albo wypierdalasz stąd w tej chwili, a ja odeślę ci

rzeczy.

– Powiedziałałam ci przecież, że jest mi bardzo przykro i że cię kocham.

– Ale na tym właśnie polega problem, że wcale nie jest ci przykro, a jeśli chodzi o twoją deklarację, że mnie kochasz, to co mi po niej, kiedy pieprzysz się z innymi?! Co w takim razie, na miły Bóg, znaczy „kocham cię”? Ja ci to powiem. Otóż, gównno znaczy!

Po tych jego słowach Farah z mokrymi od łez oczami wyszła na korytarz, pchnęła drzwi i ruszyła po wrogo chrzęszczącym żwirze do swojej carrery. Odjeżdżając, widziała jeszcze w drzwiach jego postać. Kontury nagłego końca.

### Część 3

## BURZA

*Jakie to uczucie, kiedy człowiek jest martwy? Wiele razy zadawał już sobie to pytanie. Jego dziadek opowiadał mu, że wtedy otworzą się przed nim bramy niebios. I że rozpocznie wieczne życie, bez bólu i głodu. Będzie wiedział, że jest już w niebie, bo wszyscy tam chodzą w białych szatach i słyszać wieczny śpiew. Dziwne było tylko to, że w ostatnim czasie widział wprawdzie mnóstwo ludzi w bieli, ale nikt nie śpiewał. I że nie widział tylko jednej otwierającej się bramy, lecz wiele. Różne bramy, przez które go przenoszono. Dziadek nic też nie mówił o tym, że niebo składa się z wielu sal i korytarzy pełnych jaskrawego światła.*

*Dziadek umiał opowiadać wspaniałe historie, ale zdarzało mu się robić porównania, jak poecie. A on nie lubił wierszy.*

*Lubił za to zabawy. Zwłaszcza Aaqab, zabawę w orła. Zrozumiał samo przez się, że wtedy to on był orłem; siedział na zrobionej przez siebie skale, którą udawał stos ułożony z drewna, opon samochodowych i kamieni. Pozostali chłopcy się chowali, a kiedy potem pojawiali się, udając gołębie, on sfruwał ze skały żeby ich gonić i każdego dotknąć, i robił to tak długo, aż wyłapał wszystkich. Miał nadzieję, że obojętnie, gdzie teraz był, czy w niebie, czy też nie, będzie mógł niedługo znowu być orłem.*

*Przede wszystkim jednak miał nadzieję, że znowu przyjdzie ta kobieta. Kobieta o długich, czarnych włosach, niebieskich oczach i łagodnym głosie. Kobieta, która mówiła w jego języku i która trzymała go za rękę. Była jak anioł, tyle że w czerni. I to też było dziwne, bo przecież w niebie nikt nie nosi się na czarno.*

*Jakaś twarz zbliżyła się do jego twarzy. To była ta jasnowłosa kobieta, którą zobaczył po raz pierwszy, kiedy pochłonęło go światło. Mówiła coś do niego. Ale on nic a nic nie rozumiał. Jedyne, co do niego dotarło, to słowo „salam”.*

*Powtórzyła je chyba ze trzy razy i patrzyła przy tym na niego smutnym wzrokiem. Pocałowała go w czoło. Pocałunek był mokry. A on zastanawiał się, czy wszyscy w niebie są tacy smutni i czy ich pocałunki też są mokre.*

*Potem nagle wszyscy zaczęli głośno mówić jeden przez drugiego i poczuł dym pożaru. Całe niebo było w ogniu i wszyscy śpieszyli się, żeby tylko uciec. Obok niego w kłębach dymu pośpiesznie kręcili się ludzie i patrzyli na niego zatroskani, a kiedy przewieziono go przez przezroczyste drzwi, wsunięto go do chłodnej kabiny z przyciemnionym światłem. Usłyszał eksplozję, gdzieś bardzo blisko. Zupełnie jakby był rakieta, w której zapalono silniki. Cała kabina zaczęła dygotać, rozległ się brzęk jakby pękającego szkła i głuchy huk. Znowu zaczęło być czuć pożarem.*

*Przez cały czas leżał w metalowym kokonie. Przywiązany do łóżka. Bezbronny. Ale co dziwne – nie czuł strachu. Ostatni raz, kiedy się bał, to gdy biegł między drzewami. W momencie, kiedy wpadł w białe światło, strach zniknął.*

*Było mu tylko smutno, że nie mógł się pożegnać z aniołem o niebieskich oczach i łagodnym głósie.*



## 1

Mówiło się o tej części miasta, że to amsterdamski Manhattan, luksusowe penthouse'y przy Oosterdok, gdzie Sasza Kowaliow spoglądał ze swojego tarasu na historyczne centrum miasta, popijając proteinowego shake'a.

Mięśnie Saszy były boleśnie zmaltretowane po nieudanej wizycie na siłowni wieczorem. Zazwyczaj przez trzy kwadranse wykonywał różne zestawy dynamicznych ćwiczeń, z szybkimi zmianami zapewniającymi mikropauzy. Od kiedy jednak w lesie kula drasnęła go w lewą stronę klatki piersiowej, wciąż jeszcze odczuwał bóle. Szrama na piersi sprawiała, że każdy ruch przy pompkach czy przy wyciskaniu powodował bolesne reakcje, tak że z Sasza z wielkim trudem wykonał zaledwie dwie trzecie normalnych ćwiczeń. Kiedy dziś wieczorem przechodził od przyrzędu do przyrzędu, to przy swoich czterdziestu dwóch latach bardziej nadawał się do kącika dla emerytów niż do części dla wyczynowców, w której przy wzroście metr dziewięćdziesiąt dwa i obwodzie klatki piersiowej wynoszącym metr czterdzieści pięć normalnie ćwiczył.

Nie tylko ciało Saszy było zmaltretowane, ale też w głowie czuł nieprzyjemne napięcie. Jego długie, farbowane na czarno włosy, były luźno rozpuszczone. Codzienny koński ogon był dla niego zbyt nieprzyjemnie bolesny.

Oficjalnie Sasza już od lat pracował jako freelancer jako specjalista od wystroju wnętrz w AtlasNeta. Na tym stanowisku dbał o to, aby wszystkie siedziby firmy na całym świecie miały awangardowy wystrój z naciskiem na sztukę. A to dlatego, że big boss AtlasNetu, Walentin Ławrow, miał fioła na punkcie sztuki.

Lecz Ławrow był przede wszystkim genialnym strategiem biznesowym, mającym makiaweliczny instynkt władzy. Stosował różne wyszukane strategie, by tę władzę coraz bardziej poszerzać. Podczas negocjacji Ławrow życzył sobie mieć przy sobie zawsze milczącego, a przy tym budzącego podskórny lęk sekundanta. A Sasza miał wyjątkowy talent, by bez jednego słowa czy gestu sprawiać wrażenie wyjątkowo groźnego. Bardzo szybko został więc faworytem Ławrowa, jeśli chodzi o spotkania biznesowe, i podróżował jego prywatnym odrzutowcem na kolejne negocjacje. W ten sposób Sasza stopniowo zaczął nabierać coraz większej orientacji w interesach swojego pracodawcy.

To, że te interesy miały też swoją ciemną stronę, było oczywiste. Bo Ławrow przywykł zawsze dostawać to, czego chciał. Ci, którzy próbowali mu w tym przeszkadzać lub otwarcie występować przeciwko niemu, mogli się spodziewać jego nieoczekiwanej gwałtownej reakcji. Ale to był zazwyczaj dopiero początek. Sasza prześwieślał ich pod kątem najsłabszych punktów i kiedy już je znał, bardzo szybko wmanewrowywał ich szantażem w taką sytuację, że musieli tańczyć tak, jak im Ławrow zagrał, czy mieli na to ochotę, czy też nie.

Najczęściej szantażował przeciwników swojego szefa seksem. W ten sposób na przykład postawił pod ścianą przewodniczącego Dyrekcji Generalnej do spraw Konkurencji Komisji Europejskiej Nicolasa Anglade, który kierował komisją dochodzeniową zajmującą się interesami AtlasNetu w Europie, stając się w krótkim czasie jednym z najbardziej zniechęconych

wrogów Ławrowa.

Sasza uświadamiał sobie jednak coraz bardziej, że jego wiedza na temat szemranych interesów dokonywanych pod przykrywką AtlasNetu zaczyna być niebezpieczna dla niego samego. Czuł, że nieodwołalnie zbliża się dzień, kiedy Ławrow uzna, że jego wierny asystent wie więcej, niż powinien. Sasza nie byłby pierwszy, toteż od pewnego czasu pracował już nad strategią przeżycia.

Podszedł do skraju swojego wielkiego tarasu na dachu budynku. Wiedział, co się mówi. Że pycha poprzedza upadek. Ale tym, co płaćtało mu figle, była nie tyle pycha, ile jego impulsywność. Lubił widzieć w sobie genialnego szachistę, który w przeciwieństwie do innych potrafił ustalić końcówkę partii jeszcze przed zrobieniem pierwszego ruchu i który nigdy nie pozwalał, by przebieg gry zależał od przypadkowo powstających możliwości.

Lecz tym razem chyba tak właśnie zrobił.

Stało się to w momencie, gdy zobaczył tego afgańskiego chłopca w podzwaniającej biżuterii wysiadającego ze stojącego w lesie na wygaszonych światłach samochodu kombi. Widok tego chłopca był jak trafienie gromem. Dziecko, które było tak bezbronne, tak słodkie i przede wszystkim piękne. Sasza wiedział, że jego plan nie będzie pełny, jeśli nie uwzględni tego chłopca. Z tą świadomością musiał w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin przejrzeć wszystkie figury na szachownicy i zdecydować, jak kilkoma ruchami wymusić zakończenie gry, jeśli miał swoim impulsywnym manewrem wyrwać się z lasu. Wrócił do środka i nawiązał połączenie przez Skype'a z Goa, w Indiach.

Człowiek, który pojawił się przed nim na ekranie, mówił po angielsku z tym jakże erotyzującym dla Saszy hinduskim akcentem.

– *You made it very difficult, you know* – powiedział mężczyzna z wyrozumiałą intonacją w głosie.

– Bikram, *my dear* – odrzekł Sasza. – *I'm so sorry.*

– Nie mów tak do mnie. To zbyt poważna sprawa. Dobrze wiesz, że znalazłeś się w strefie zagrożenia. Jak najszybciej tu przyjedź.

– Nie mogę go tak zostawić.

Sasza usłyszał westchnienie Bikrama. Było to westchnienie rezygnacji. Po raz pierwszy usłyszał je w czasie amsterdamskiej wystawy Art Fair. Bikram stał przed trzymetrowej wielkości drewnianym posągami Alkyoneusa, najpotężniejszego ze wszystkich gigantów w mitologii greckiej i patrzył na niego swoimi hinduskimi oczami o ciemnej oprawie. Obydwaj snuli się po salach, co chwila natykając się na siebie, i obydwaj nie mogli powstrzymać się od śmiechu na widok nadzwyczajnych rozmiarów obrzezanego penisa greckiego bohatera.

Z tego wspólnego śmiechu dwóch nieznajomych dla siebie mężczyzn zrodziła się nienasycona miłość, stopniowo przechodząca w nowy wymiar, w którym górę wzięła wzajemna wyłączność dla siebie i w którym ich ideały przybrały formę konkretnego planu, by wspólnie rozpocząć gdzieś zupełnie nowe życie.

Bikram miał w tym czasie jako giełdowy trader bliskie stosunki biznesowe z potentatem na rynku nieruchomości Arminem Lazonderem. Lazonder był awanturnikiem, który rozpoczynał karierę w firmie swojego ojca, Johna Lazondera, fabrykanta i dystrybutora studyjnych magnetofonów King Vox. Po przejęciu firmy młody Lazonder założył też własną firmę płytową, firmę producencką oraz laboratorium oprogramowania. Wszystko pod nazwą Dorado Media. Ale tak naprawdę wielki stał się wtedy, gdy po upadku muru berlińskiego w szybkim tempie przejął sporą liczbę sprywatyzowanych hut. Drobnymi akcjonariuszami tych przedsiębiorstw nie mieli

zielonego pojęcia, ile te firmy są tak naprawdę warte. Za to Lazonder tak. I sprzedał je z ogromnym zyskiem podmiotom trzecim. Z tak zarobionymi pieniędzmi wszedł na holenderski rynek nieruchomości, kupił dużo luksusowych nieruchomości w Amsterdamie i zaczął realizować swoje marzenie, czyli projekt New Golden Age.

Bikram opracował drobiazgowy i skomplikowany plan inwestycyjny i zdołał przekonać Lazondera, żeby ulokował część osobistego kapitału w udziałach zagranicznych. Lazonder przelał sto milionów euro na konto zarządzane przez Bikrama, który dawał mu gwarancję zysku w wysokości czterdzieści do pięćdziesięciu procent w skali półrocznej.

Istota planu polegała na tym, że Bikram wcale nie kupował żadnych udziałów, tylko potajemnie rozdysponował sto milionów euro Lazondera na tajne zagraniczne konto, które otworzył wspólnie z Saszą. Żeby utrzymywać Lazondera w przekonaniu, że Bikram rzeczywiście dokonuje zyskowych zakupów, przekazywał mu regularnie sfałszowane dowody transakcji.

Bikram dodatkowo rozdysponował część pieniędzy Lazondera, pozostawiając mnóstwo poplątanych i niemożliwych do rozwikłania śladów, co miało sprawić, że na koniec Lazonder stanie oko w oko z faktem, że stracił dwa razy więcej niż wynosiła kwota, którą – jak mu się wydawało – zainwestował za granicą. Ale miało się to stać dopiero wówczas, gdy do drzwi Lazondera zaczną pukać urzędnicy skarbowi, upominając się o tzw. wezwanie do uzupełnienia depozytu.

Ze względów bezpieczeństwa Bikram już dwa miesiące temu pojechał pociągiem do Goa, gdzie osiedlił się pod nowym nazwiskiem. Sasza miał dołączyć później, żeby nikt nie dopatrzył się żadnych związków między zniknięciem ich obydwu. Na Saszę również czekała już nowa tożsamość i luksusowa willa przy dziewiczej plaży.

Bikram westchnął po raz drugi.

– Te pieniądze nie są nic warte, jeśli nie będę mógł się nimi z tobą podzielić. Zarezerwowałem dla ciebie karetkę lotniczą. Samolot może czekać na ciebie jutro wieczorem na lotnisku Schiphol. Ale tylko wtedy, jeśli przyjedziesz razem z nim.

Sasza ponownie związał włosy w koński ogon i uśmiechnął się.

Daniëlle liczyła tak długo, aż straciła przytomność. Kiedy się ocknęła, leżała na podłodze łazienki. Ciało miała lodowate, zupełnie jakby leżała pod warstwą śniegu.

Pogrążona w mroku łazienka kołysała się wokół niej, gdy doszła na czworakach do muszli klozetowej, żeby zwymiotować. Klęcząc, próbowała się potem wyprostować, wspierając się dłońmi o muszlę. Mając zamknięte oczy, kilkakrotnie nabrała głęboko powietrza. Nudności ustąpiły, świat powoli przestał wirować.

Podniosła się, czepiając się rur, i po omacku doszła do umywalki, żeby odkręcić kran.

Kiedy się pochyliła, żeby napić się wody, nudności wróciły. Włożyła głowę pod kran, strumień wody obmywał jej kark. Po jakimś czasie zakręciła kran i poczuła na wargach sól, jaką pozostawiły łyż. W lustrze zobaczyła ciemny zarys kobiecej sylwetki, która obudziła się z pozornej śmierci i wciąż jeszcze nie mogła uwierzyć, że żyje.

Nie zapalała światła, bo oślepiłoby ją jak raptowna błyskawica. Wiedziała, gdzie leży paracetamol w łazienkowej szafce. Wycisnęła trzy pastylki z blistera i połknęła jedna po drugiej. Potem owinęła się wielkim kąpielowym ręcznikiem i wolno przeszła do pokoju, gdzie opadła na poduszki kanapy.

Wtedy pozwoliła sobie na gniew, który był większy niż lęk przed śmiercią i bardziej dotkliwy niż wstyd poniżenia. Przede wszystkim jednak była wściekła na to, do czego doprowadziła, nie słuchając ostrzeżeń Farah Hafiz. Farah do samego końca robiła wszystko, żeby ją powstrzymać. Złożyła jej nawet nową propozycję: „Portret twojej osoby, pobudki twojego działania, doświadczenia, niegodziwości, które widziałas”.

Daniëlle przypomniała sobie swoją gniewną reakcję: „I teraz mi z czymś takim wyjeżdżasz? Puszczaj”.

Była wściekła na samą siebie za niecierpliwość, za swoją wieczną destrukcyjną niecierpliwość.

Farah usadowiła się na środku pokoju na swoim staroświeckim perskim pufie. Postanowiła, że tę noc spędzi na czuwaniu i wspomnieniach o Parwaizie. W ostatnich latach coraz wyraźniejsza stawała się u niej myśl, że któregoś dnia go zabraknie. Kiedy to się stanie, odejdzie z tego świata ostatni świadek jej dzieciństwa, ostatnie ogniwo łączące ją z rodziną i jej przeszłością. Przez długi czas było to dla niej coś niewyobrażalnego, ale teraz w niewiarygodnie nagły sposób stało się faktem dokonanym.

Jakby sama z siebie rozbrzmiała w jej uszach melodia pieśni o nieznanym granic czasu pragnieniach. Nuciała ją w ciszy swojego mieszkania, podczas gdy z wielkiego placu za oknami dochodziły odgłosy sprawnego i fachowego demontażu jarmarcznych atrakcji.

Nie wiem, do kogo miałabym się uśmiechać. Nie wiem, przed kim mogłabym się wypłakać.

Potem wzięła paczuszkę z listami, którą wręczył jej Parwaiz. Było to w zasadzie kartonowe pudełeczko, do którego przyklejony był czerwony aksamit pokryty złotymi i fioletowymi motywami, z których część poodpadała. Pudełeczko było związane dwiema połączonymi tasiemkami z jedwabiu. Żeby je dodatkowo zabezpieczyć, Parwaiz owinął je bibułką i jeszcze raz związał całość tasiemką.

Farah rozłożyła list, który dołączył do paczuski Parwaiz.

*Moje drogie dziecko, nasza przeszłość skrada się za nami jak cień. Musisz jednak wiedzieć, że nawet w największych ciemnościach można odkryć światełko, nawet jeśli bywa ono tak malutkie, że trudno je dostrzec gołym okiem. Można je dostrzec dopiero, kiedy wzrok przywyknie do ciemności. Lecz kiedy je już dostrzeżesz, zyskujesz pewność, że odnalazłaś moc przebaczenia. To ona tkwi w tym małym punkciku światła. Pomyśl o tym, gdy będziesz czytała te listy, których Twoja mama tak się wstydziła, że właściwie chciała je spalić. Miłość jednak nie zna wstydu. Nawet jeśli przekracza granice moralności. Tuż przed waszą ucieczką. Twoja mama wręczyła mi ten pakiecik na przechowanie, do czasu aż będzie już bezpieczna z Tobą w innym kraju. Po jej śmierci przechowywałem go przez cały czas aż do chwili, kiedy uznam, że nadszedł czas, aby Ci go przekazać. Nie chciałem zatajać przed Tobą tej miłości, ponieważ jest to głos serca Twojej mamy.*

Farah spojrzała na datę pierwszego listu. Dwudziesty drugi sierpnia 1977 roku. Trzydzieści lat temu. List nie był napisany przez jej matkę, lecz stanowił odpowiedź na to, co ona napisała. Pretekstem był cytat z jej ulubionego poety, czternastowiecznego perskiego mistyka Hafeza, którego nazwisko przyjęła Farah po przybyciu do Holandii.

*O, grajku, wyśpiwaj mi przychylny los.*

*Oblicze mej ukochanej odbija się na dnie dzbana.*

*Jakże więc mógłbyś pojąć, czemu w uścisku go trzymam.*

*Nie umrze już ten, którego serce zbudziło się do miłości.*

Potem głos zabrał sam wielbiciel jej matki, pisząc energicznym pismem słowa na liniowanym papierze:

*Ukochana, tylko wielki poeta, potrafi sprawić, by tak pięknie przemówiło jego serce. Ja mogę Hafiza co najwyżej cytować, w nadziei, że w ten sposób zdołam przekazać Ci blask mojego szczęścia. Szczęścia, że dane mi było Cię poznać, i szczęścia, że wolno mi Cię kochać.*

Farah nie potrafiła dłużej czekać i odwróciła list, żeby spojrzeć na podpis autora.

*Raylan Chapelle*

Całą wieczność patrzyła na te dwa słowa.

Znów ujrzała przed sobą obraz matki, która przez trzy dni i trzy noce czuwała nad nią, kiedy Farah leżała w gorączce po spotkaniu z Pauliem.

Słyszała jej strwożony szept.

„Tylko nie ty, kochanie. Tylko nie ty”.

Podniosła się z miejsca i zaczęła chodzić po mieszkaniu. Przez otwarte okno patrzyła, jak robotnicy demontują porozstawiane na placu urzędnia jarmarku. Także staroświecki namiot z barwnymi witrażami zniknął panel za panelem, a karuzela z czerwonymi krzeselkami leżała bez ducha na boku. Wokół placu stały grupki Chińczyków, niemogących się doczekać, kiedy zaczną montować swoje kramiki, namioty i podesty. Następnego dnia rano plac wypełnią tańczące smoki, świętujący Chińczycy i podziwiający to wszystko turyści.

Nagle jeden z Chińczyków pokazał w górę. Rozległy się zdumione okrzyki i na bezchmurnym nocnym niebie Farah ujrzała ognisty ślad spadającej gwiazdy, który powoli przygasał.

To właśnie ty, wujku, pomyślała. To właśnie ty.

Kiedy Marouan wszedł do kawiarni jazzowej Casablanca przy Amsterdamse Zeedijk, właśnie grało na żywo jakieś combo. Jednym spojrzeniem ogarnął podejrzaną klientelę i ruszył prosto do Saszy Kowaliowa. Wpatrując się w blond saksofonistkę w błyszczącym czarnym smokingu, która właśnie wykonywała szaleńcze solo, Kowaliow objął Marouana swoim potężnym ramieniem, zupełnie jakby witał starego przyjaciela.

– Czego się napijesz, przyjacielu? – spytał w swoim brzmiącym po słowiańsku angielskim.

– Słuchaj no, Kowaliow, nie przyszedłem tutaj, żeby z tobą gawędzić czy popijać drinki. Przejdźmy od razu do rzeczy – rzucił Marouan z zawziętością w głosie.

– Wiesz, co jest w tym wszystkim najzabawniejsze? – ciągnął niewzruszenie Kowaliow. – Mieszkasz tutaj jako alochton, czy jak tam was nazywają, robisz, co w twojej mocy, żeby dorzucić swój kamyczek do rozwoju gospodarczego kraju, a tymczasem widzisz, że coraz więcej osób naokoło ciebie wolałoby, żebyś wrócił do swojego kraju. Postanawiasz się przystosować. Przejmujesz ich język, ich zwyczaje i próbujesz się też zachowywać jak prawdziwy Holender: przejdźmy od razu do rzeczy i tak dalej. Ale nie łudź się, Diva. Nie jesteś Holendrem. Tak samo, jak ja nie jestem. Możemy się tylko pocieszać, że tak naprawdę nigdy nie będziemy. A tak w ogóle to wciąż nie powiedziałeś, czego się napijesz.

Marouan milczał. Kiedy barman rzucił mu pytające spojrzenie, zamówił wodę mineralną z plasterkiem cytryny.

– Lubisz jazz, Diva? – Kowaliowowi sprawiało przyjemność patrzeć, jak Diba stara się nie okazywać po sobie rozdrażnienia. – Pytałem, czy lubisz jazz.

Marouan od dawna wiedział, że jego odpowiedzi są dla Kowaliowa wyłącznie pretekstem do popisywania się kolejnymi dwuznacznymi.

– Tylko w dobrym towarzystwie.

Kowaliow wybuchnął głośnym śmiechem. Publiczność zaczęła oklaskiwać saksofonistkę, która właśnie skończyła solo i kłaniała się tak nisko, że przed Marouanem nagle roztoczył się panoramiczny widok na jej brązowe piersi. Kowaliow zagwizdał na palcach i odwrócił się z powrotem do Marouana.

– No, nie zapominaj się, przyjacielu. Takie solo może i wydaje się łatwe, ale tak naprawdę wymaga nie byle jakich umiejętności, jeśli chcesz wiedzieć! W tym zespole masz tylko takich, którzy naprawdę potrafią improwizować.

– I możliwie nisko się kłaniać – rzucił Marouan sucho.

Kowaliow przyciągnął Marouana do siebie i nieomal miłośnie zaczął szeptać mu do ucha:

– Popatrz na mnie, *durak*, ty i ja, tak się jakoś składa, też stanowimy zespół, kapujesz?

Nic nie mówiąc, Marouan pociągnął łyk wody i śledził ruchy saksofonistki.

– Stanowimy zespół, Diva. Do jasnej cholery, słuchaj, co do ciebie mówię: doszliśmy właśnie do miejsca, kiedy trzeba zacząć improwizować. Słyszysz, co do ciebie mówię?

– Tak, tak, słyszę – przytaknął Marouan.

– To świetnie. Bo właśnie musisz wykonać solo. A ja będę wspomagającą cię sekcją rytmiczną. Zablýsniesz. Nadeszła twoja wielka chwila. Zbliża się finał.

Marouan wyprostował się.

– Wiesz, co się o was, Ruskich, mówi, Kowaliow? Że jesteście kłamcami.

– O, naprawdę, Diva?

– Tak. Ale to nie do końca prawda. Bo wy okłamujecie tylko określone kategorie ludzi: autorytety, swoich i Holendrów. Przed chwilą udowodniłeś mi, że nie jestem prawdziwym Holendrem, z pewnością nie jestem dla ciebie jednym ze swoich, a z autorytetu mam tylko auto. A i ono wymaga gruntownego remontu. Więc w tej sytuacji powiedz mi wprost, jak się ma sprawa z moim wielkim solo.

Uśmiech Kowaliowa stał się w tym momencie tak szeroki, że wyglądał zupełnie, jakby połknął wieszak.

– Ty i ja, Diva, pozostajemy w czymś w rodzaju relacji. I tego ci właśnie potrzeba, *bliad*, dobrych relacji, a wtedy bez niczego dostaniesz, *krugowuju poruku*, czyli wsparcie.

– Nie przyszedłem tutaj, żebyś mi dawał lekcje rosyjskiego, Kowaliow.

– Jutro po Amsterdamie będzie krążył pewien *musor*, czyli szczur, z pistoletem zastawa M57. I możesz mi wierzyć, że facet jest tak skory do pociągania za spust, że nawet odlewa się salwami. Dostajesz go ode mnie. Możesz go aresztować.

– I co mam z nim potem zrobić?

– Zatrzymać. Przesłuchać. Przydeptać mu to jego ruskie gardło. Skąd ja mogę wiedzieć, co taki inspektor jak ty robi z aresztantami? Przede wszystkim masz zrobić dobre wrażenie u szefów.

– Aresztując jakiegoś gościa tylko za to, że łązi po mieście z bronią?

Kowaliow podniósł do ust szklanke, kostki lodu zadzwoniły o jego przednie zęby. Marouan wręcz słyszał myśli Kowaliowa: trzymam tego marokańskiego fiuta w garści. Wyciągnąłem go z rynsztoka z tym jego uzależnieniem od hazardu i trochę doprowadziłem do ładu, więc powinien się mnie słuchać, a tymczasem ten owcojeb zaczyna pokazywać zęby?

Marouan uznał, że trzeba iść na ustępstwa.

– Śpieszy się z tym?

– Czy się śpieszy? To ma być turboszybko, Diva.

– Kto jest celem faceta?

– Tańczący chłopiec.

– A niech to szlag!

– Trzeba go jak najszybciej zabrać ze szpitala.

– I tobie się wydaje, że ja to, ot tak, załatwię?

– Kiedy cię zainspiruję, jesteś w stanie dokonać cudów, Diva. Jak na przykład ni stąd, ni zowąd znaleźć sześćset kilogramów kokainy w luku bagażowym kolumbijskiej maszyny, pamiętasz jeszcze? Czyżby inspektor Diva miał jakieś specjalne dojścia? Ależ oczywiście, Diva ma mnie! Jeśli uda ci się przekonać przełożonych, że chłopcu grozi niebezpieczeństwo i że masz ten cynk dokładnie z tego samego źródła, z którego dowiedziałeś się o kokainie, to wszystkie drzwi staną przed tobą otworem, znajdziesz się znowu w świetle reflektorów i w centrum zainteresowania wszystkich! Diva, będzie powtórka ze sławy!

– Gdzie chłopiec ma być przewieziony?

– To bez znaczenia. Musi zniknąć stamtąd, gdzie teraz jest. Bo nawet z obstawą nie jest bezpieczny. Jak będzie trzeba, to wysadzą cały szpital, żeby się go pozbyć. Przenieś go, a w



zamian dostaniesz ode mnie zawodowego zabójcę ze znakomitymi powiązaniem. Powiązaniem, które mogą zdemaskować całą organizację, jak się to dobrze rozegra. Ale musimy grać razem, Diva. To będzie duet. Nasza wspólna końcówka.

Marouan wypił swoją szklankę duszkiem, z hukiem odstawił ją na kontuar i popatrzył na Kowaliowa w sposób, w jaki popatrzył na swojego nauczyciela Koranu, kiedy pewnego dnia rozkrwawił mu nos.

– Kowaliow, już jako dziecko nauczyłem się, że nic na świecie nie dzieje się przypadkiem.

– Albowiem Wielki Stwórca decyduje i przesądza – stwierdził Kowaliow z uśmiechem.

– No właśnie. Przypadek nie istnieje i wszystko się ze sobą wiąże. Dlatego też myślę sobie, że te dwa anonimowe trupy w kombi oraz afgański chłopiec w jakiś sposób wiążą się z twoją osobą.

Kowaliow spojrzał na niego zimnym wzrokiem.

– Czy wiesz, co to oznacza, Diva, jeśli pogodzisz się z myślą, że człowiek jest produktem Stwórcy?

– Oświeć mnie, wszechmądry Buddo.

– To oznacza, że jedyne, co człowiek może zrobić, to bezradnie tańczyć, tak jak mu nakazuje Jego Wola. To bardzo proste, Diva. Ty nie dyktujesz nic Allahowi. To on dyktuje wszystko tobie. Uznaj mnie za tajnego agenta w Jego służbie. Jeśli tylko przestanę cię osłaniać, to z miejsca zdemaskują cię jako debila i idiotę i odeślą z powrotem do tych twoich gór Rif w Maroku, gdzie do końca życia będziesz siedział na rozpalonych kamieniach dymany przez owce. A co wtedy z twoją rodziną? Jak myślisz, w jaki sposób twoja córeczka będzie musiała odpracować cały ten szmal, który zdążyłem w ciebie wpompować w ciągu twojego nędznego żywota? A więc rób, co do ciebie należy, Diva, i nie zwracaj mi głowy swoimi dziecinnymi pytaniami i mądrościami. To ostatnia rzecz, którą wykonasz.

– A potem?

– *Que será será* – powiedział Kowaliow, kładąc na barze plik banknotów euro i klepiąc Marouana po ramieniu. – *The future is not ours to see.*

Kiedy niedługo potem Marouan, idąc przez Zeedijk, manewrował w tłumie włączających się tam nocnych marków, był już tego pewny: Kowaliow we wszystkim miał fatalny gust.

Nawet w doborze piosenek. Z towarzyszeniem tej mało pocieszającej myśli i właściwą dozą odrazy skręcił na plac za Oude Kerk.

Okno dziewczyny o twarzy i ciele młodej Aishy było zasłonięte, wskutek czego w szybie z obrzydliwą wyrazistością odbijała się jego smutna postać. Po raz pierwszy przestraszył się zaniechanego i otyłego mężczyzny, którego przed sobą ujrzał.

Z głową pękającą od myśli na temat wszelkich możliwych spisków tułał się po ulicach, aż znalazł się przy Nieuwmarktplein, gdzie robotnicy demontowali właśnie wczorajszy jarmark, wyklócając się ze zniecierpliwionymi Chińczykami, którzy koniecznie chcieli już rozstawić z kolei swoje świątynki.

Była piąta nad ranem, gdy zaczął walić do drzwi mieszkalnego statku Joshuy.

Z wyczerpania zasnęła na kanapie. Kiedy obudziła się z przestraciem, ręcznik kąpielowy, którym była opatulona, leżał zmięty na podłodze. Wciąż było jej zimno. Instynktownie dotknęła guza z tyłu głowy. Powoli usiadła i przez jakiś czas siedziała w tej pozycji, czekając, aż dudnienie w jej głowie trochę ucichnie. Wszystko, co się wydarzyło, było taki nierzeczywiste. Przez moment nawet pomyślała, że po prostu tylko lunatykowała i wszystko jej się wydawało.

Powłokła się do kuchni, gdzie wypila dużą szklankę wody i zażyła kolejne trzy paracetamole. Nie było jej już niedobrze i nie kręciło jej się w głowie, była za to śmiertelnie zmęczona. Wlała do miski pół litra chudego mleka, wsypała pół paczki płatków, zmieszała to wszystko z miodem i głośno siorbiąc, zaczęła zajadać tę mieszankę. Po wzięciu na przemian zimnego i gorącego prysznicza weszła nago do pokoju. Nie wiedziała, czy powinna zadzwonić do inspektora, który przywiózł ją tu dziś wieczorem. Ostatecznie zdecydowała, że tego nie zrobi.

Nagle zobaczyła na stole dziwną czarną teczkę. Ktoś musiał ją tam dzisiaj położyć. Serce znowu zaczęło jej głośno bić. Wzięła teczkę i usiadła z nią na kanapie. Otworzyła ją i zobaczyła leżący na wierzchu jakichś dokumentów bilet lotniczy klasy business z lotniska Schiphol do Toussaint Louverture Airport na Haiti. Bilet był wystawiony na jej nazwisko.

Oprócz biletu był tam też list ze szpitala Saint-Michel w Port-au-Prince z prośbą o bezpośredni kontakt. Pod wpływem impulsu od razu sięgnęła po telefon. Kiedy zadzwoniła pod wskazany numer i powiedziała, kim jest, człowiek, który odebrał, natychmiast przybrał ciepły ujmujący ton.

– Bardzo się cieszymy, że zechciała pani do nas zadzwonić, doktor Bernson. Pani sława dotarła już nawet tutaj.

– Czyżby? – spytała zaskoczona.

– Dzięki pani otrzymamy pieniądze, które według stanu na dziś, wystarczą na opłacenie przez pięć lat dwóch dyplomowanych lekarzy i zapoczątkowanie dużego projektu zdrowotnego dla najbiedniejszych dzieci w regionie. Zważywszy, że pieniądze zostaną wypłacone pod warunkiem, że potwierdzi pani swoje przybycie, z dość dużym napięciem, jak się pani domyśla, czekaliśmy na chwilę, gdy nawiąże pani z nami kontakt.

– Czyli, yyy, na tę teraz. – Musiała dokładać ogromnych starań, żeby jej zaskoczenie nie było za bardzo widoczne.

– Zebrała pani ogromne doświadczenie w czasie pracy w Afryce – kontynuował rozmówca – doskonale więc pani wie, co to znaczy bieda. Tu na Haiti, większość mieszkańców jest tak biedna, że za nic nie może sobie pozwolić na wizytę u lekarza. Nasza fundacja jest całkowicie zależna od pieniędzy sponsorów. Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, aby darowizna była tak hojna.

– No, pewnie nie – przyznała Daniëlle po chwili niezręcznej ciszy.

Czuła się tak, jakby zmieniła się w zupełnie inną osobę i nagle otworzyła się przed nią możliwość rozpoczęcia całkiem nowego życia. Daleko od tej rzeczywistości, w której od dzisiejszej nocy była zagrożona śmiercią.

– To kiedy mogłaby się pani u nas pojawić? – spytał mężczyzna po drugiej stronie linii. Wręcz słyszała, jak robi wszystko, żeby ukryć niecierpliwość, zupełnie tak samo, jak ona próbowała opanować swoje kompletne zaskoczenie.

Spojrzała na lokalny czas przybycia do Toussaint Louverture Airport, podany na bilecie. Aż jej się zakręciło w głowie. Myślami była już w Port-au-Prince podczas gdy fizycznie wciąż jeszcze w opłakanym stanie tutaj.

– Pozwoli pan, że niedługo do pana oddzwonię?

Nie czekając na odpowiedź, rozłączyła się i zaczęła się zastanawiać, czy znów ma to zrobić, czyli z dnia na dzień zacząć nowe życie gdzie indziej. Już raz to zrobiła, przenosząc się z Afryki do Holandii. Okazało się to fatalne w skutkach.

Aż się wzdygnęła, słysząc sygnał swojej komórki w formie ćwierkania ptaków. Serce stanęło jej w gardle, gdy rozpoznała głos mężczyzny, który napadł ją tej nocy.

– Widziałeś, co dla ciebie zostawiłem?

– Tak, widziałam.

– To ci uratuje życie, wierz mi.

Miała takie poczucie, że on mówi prawdę, ale mimo to spytała, czemu miałaby mu wierzyć.

– Wcale nie musisz – odrzekł spokojnie. – To twój wybór.

I przerwał połączenie.

Podniosła się z miejsca. Wielkie okno, do którego przyłgnęła całym ciałem, było chłodne. Nie mogła zebrać myśli. Słyszała tylko szum w uszach. Miała wrażenie, że to szum morza w Gonâve, rozległej zatoce, nad którą leży Port-au-Prince.

**K**iedy tego ranka Paul Chappelle jak najciaśniej zapiął pasy przed lotem do Amsterdamu, usłyszał zapowiedź drugiego pilota, wzywającą wszystkich pasażerów do opuszczenia boeinga 717, ze względu na właśnie odkryty drobny defekt techniczny.

To wystarczyło, żeby natychmiast obudzić głęboko zakorzenioną w jego umyśle klaustrofobię. Próbuąc opuścić samolot jako pierwszy spośród prawie pięciuset pasażerów, roztrącał ludzi, którzy pośpiesznie wstawali z miejsc, żeby wyjąć bagaż podręczny ze skrytek nad głowami. Dotarłszy do drzwi samolotu, kompletnie wyczerpany, czując zawroty głowy, oparł się ciężko o ścianę. Miał szeroko otwarte usta, ale i tak prawie nie udawało mu się zaczerpnąć oddechu. Oczy wychodziły mu z orbit. Miał wrażenie, że zaraz się udusi. Czyjaś dłoń przycisnęła mu otwór papierowej torebki do ust. Paul automatycznie złapał torebkę i zaczął wydychać do niej powietrze.

Spojrzał na kobietę, która mu pomogła. Rozpoznał jej twarz, jej morskiego koloru oczy, prosty nos i wargi ułożone w ten sam uspokajający uśmiech, jak dwadzieścia minut wcześniej, kiedy znalazł swój fotel. Siedziała w tym samym rzędzie, po drugiej stronie środkowego przejścia.

– Znakomicie byś się sprawdził w drużynie rugby – rzuciła, puszczając do niego oko, zupełnie jakby chciała nadać jego rozpaczliwej próbie dostania się do drzwi wymiar czegoś heroicznego.

– Nie ma o czym mówić – wydyszał Paul. – Po prostu za dużo się kiedyś naoglądałem Strusia Pędziwiatra.

Spróbował się uśmiechnąć.

– Masz fart, że stewardesy nie zostały przeszkolone w unieszkodliwianiu pasażerów. Chodź, zanim się jeszcze rozmyślą i będą cię chciały zrewidować.

Nie czekając na jego odpowiedź, pociągnęła go za sobą w stronę poczekalni dla pasażerów, najspokojniej w świecie wsuwając mu rękę pod ramię. Świadomość, że wygląda jak odprowadzany gdzieś niegrzeczny chłopiec, wywołała na jego twarzy krzywy uśmiech. Jeszcze raz się jej przyjrzał swojemu nieustraszonemu aniołowi stróżowi o ciemnoblond włosach i klasycznym profilu. Miała na sobie cienki czarny żakiet, śnieżnobiałą bluzkę i wysokie szpilki pod wycieranymi džinsami, dzięki czemu wyglądała na tego samego wzrostu co Paul. Szła pewnym i pełnym gracji krokiem obok niego pod białym zadaszeniem na czarnych kolumnach, i jeśli chodzi o Paula, to nie miałyby nic przeciwko temu, żeby obeszli w ten sposób cały port lotniczy. Ale właśnie w tym momencie jego towarzyszka zatrzymała się raptownie.

– Mój notebook, moja komórka, wszystko zostało w samolocie.

– Moje rzeczy też – powiedział, gdy odwróciła się w jego stronę. Kiedy tak nagle stanęli naprzeciwko siebie, jakby mieli się zaraz pocałować, Paul odniósł wrażenie, jakby mieli już za sobą nie wiadomo jak długą wspólną podróż. Spojrzała na niego z przyjemną mieszaniną ironii i pewności siebie.

– Załatwię to – powiedziała i już jej nie było. Został tylko stukot szpilek po posadzce.

Paul patrzył za nią przez chwilę, a potem podszedł do jednej z długich ławek w poczekalni, skąd widać było pas startowy.

Zazwyczaj doskonale się czuł na lotnisku. Były to miejsca, gdzie skupiały się najróżniejsze ludzkie losy, gdzie ludzie nieśli ze sobą nie tylko swój bagaż, ale także swoją przeszłość. Od dawna robił sobie rodzaj sportu z wymyślania historii dla obserwowanych przez siebie osób. Ale teraz nic go nie interesowało, oprócz własnej historii.

Aż się wzdrygnął, gdy znowu stanęła przed nim. Miała ze sobą jego bagaż podręczny oraz plastikowy kubek z wodą. Usiadła obok.

– Wiesz... normalnie tak się nie zachowuję – wymamrotał.

– Tak też sobie pomyślałam.

Wyciągnęła do niego dłoń.

– Sandrine.

Wypuścił kubeczek z rąk.

– Bardzo przepraszam. Paul.

– Może wreszcie przestaniesz?

– Co przestanę?

– Co chwila mówić do mnie przepraszam.

– Okay. Przepraszam. – Zdobył się na drugi uśmiech. Ten był już odrobinę lepszy od poprzedniego. Sandrine patrzyła na niego poważnym wzrokiem.

– Nie za dobrze to wygląda – powiedziała, marszcząc brwi.

– To długa historia – odparł Paul.

Kiwnęła głową.

– Tak przeważnie zawsze jest.

**B**udzenie nigdy nie było w przypadku Farah leniwe i powolne. Najczęściej wyskakiwała z łóżka, gdy tylko otworzyła oczy, wskakiwała w strój do joggingu, biegała przez trzy kwadransy brzegami kanałów, po powrocie wchodziła pod zimny prysznic, wrzucała do blendera grejpfruty z bananem, ubierała się, wypijała espresso i już była za drzwiami.

Tym razem jednak nie spała całą noc.

Zapakowała z powrotem listy miłosne Raylana Chapelle'a. Rzuciły one cień na jej wspomnienia o Parwaizie.

Kiedy pojawiło się pierwsze nieśmiałe światło brzasku, poszła do łazienki i natarła całe ciało solą morską i wyciągiem z kokosa. Nie zrobi żadnej subtelnej kreski na górnej powiece, nie użyje tuszu do rzęs ani nawet cieniutkiej warstewki naturalnej pomadki do ust. Reguły zabraniały wszelkiej formy makijażu na pogrzebie.

Wiedziała, jak bardzo Parwaiz cenił sobie wrodzoną kobiecą elegancję i wyjęła z szafy sukienkę bez rękawów. Była smoliście czarna i sięgała jej za kolana. Pod nią włożyła jasnoszarą bluzkę i szerokie czarne spodnie. Czarny szal posłużył jej za nakrycie głowy.

Wyobraziła sobie, z jaką dumą Parwaiz spoglądałby w jej stronę, uśmiechając się lekko, tak jak to robił zawsze, kiedy go odwiedzała.

Poranne wiadomości z telewizora wypełniały mieszkanie. Dużo uwagi poświęcano deszczowi meteorytów, jaki był widoczny tej nocy nad Holandią. Jeden z korespondentów zagranicznych informował o wyborze nowego prezydenta Turcji, jedenastego w historii tego kraju. Potem pojawiła się wiadomość o śmierci Nicolasa Anglade'a, francuskiego przewodniczącego Dyrekcji Generalnej do spraw Konkurencji Komisji Europejskiej. Najprawdopodobniej Anglade targnął się na życie, kiedy jedna z bulwarówek opublikowała materiały dotyczące jego pedofilskiej przeszłości.

Farah zaintrygowana weszła do pokoju. Wkładając do ucha kolczyk, usłyszała, że Anglade kierował oficjalną komisją dochodzeniową zajmującą się zarzutami monopolistycznymi wobec AtlasNetu. Koncern był podejrzewany o stosowanie nieuczciwej konkurencji i sztuczne zawyżanie cen. Gdyby zarzuty się potwierdziły, firma musiałaby zapłacić grzywnę w wysokości dziesięciu procent rocznych obrotów. Wskutek śmierci Anglade'a śledztwo odwlecze się o całe miesiące. Następnie pojawił się prezenter pogody, informujący o potężnym froncie burzowym zbliżającym się do Holandii znad Atlantyku.

Farah słyszała już dobiegające z oddali odgłosy występu smoków. Chciała stąd wyjść, zanim plac na dole zniknie w kłębach dymu ze sztucznych ogni i wybuchających petard. Szybko włożyła do torebki wydrukowane zdjęcie Ławrowa i pośpiesznie zeszła na dół. Kiedy otworzyła drzwi wejściowe, w nozdrza uderzył ją zapach zupy wonton, pasztecików i bułeczek gotowanych na parze. Pośpiesznie szła przez plac do miejsca, gdzie czekał antracytowy saab Edwarda, kiedy nagle zderzyła się z jakimś młodzieńcem. Przestraszyła się, bo ubrany całkiem na czarno chłopak gapił się na nią pozbawionym emocji wzrokiem. Miał bladą wychudzoną twarz z brzydką blizną

na lewym policzku. Przez moment miała ochotę coś mu powiedzieć, ale rozmyśliła się i szybko poszła dalej. Niektórzy ludzie noszą w oczach swoją śmierć. Skontaktowanie się z nimi może grozić, że człowiek się nią zarazi.

Gdy tylko wsiadła, Edward ruszył. Farah daremnie próbowała pozbyć się obrazu tego młodego człowieka w czerni, patrzącego na nią zimnym wzrokiem.

O trzeciej w nocy, po długim locie z Moskwy, airbus linii Moscow Fly wylądował na lotnisku w Monachium. Dimitrij był jednym z pasażerów. Bez trudu przeszedł przez kontrolę ze swoim fałszywym paszportem. W umówionej wcześniej wypożyczalni samochodów odebrał kluczyki do czarnego volkswagena touarega z – jak miał nadzieję – załadowanym pistoletem zastava M57 z tłumikiem pod fotelem kierowcy. Dimitrij podziwiał precyzję całej operacji. Anonimowa sieć współpracowników jego wuja Arsenija była idealnie działającą maszynką. Dimitrij czuł się ogromnie wyróżniony, że wuj uznał go za wystarczająco dobrego, by powierzyć mu indywidualną akcję.

Ruszył do Amsterdamu. Wszystko musi pójść perfekcyjnie. Debiutuje się tylko raz. Przygotował całą operację do ostatniego szczegółu, studiując plan holenderskiej stolicy. Znał najważniejsze miejsca na pamięć. I miał na sobie nowe ubranie. Czarne dżinsy. Szary podkoszulek. Antracytowy długi płaszcz.

Zanim się ubrał, spryskał ciało wodą toaletową Schogun od Alaina Delona. Miało to wartość bardziej niż symboliczną, był to wręcz rytuał inicjacyjny. Dzięki swojemu wujowi Arsenijowi miał osiągnąć ten sam status, co francuski aktor. Film *Samuraj* z Delonem w roli głównej oglądał już ponad dziesięć razy. Najbardziej zapamiętał z tego filmu samotność płatnego mordercy, ukrywającego się w zapuszczonych mieszkaniach, gdzie wszystko było tak mroczne i szare, że można było odnieść wrażenie, że film jest czarno-biały. Tylko żółty kanarek, jedyny towarzysz samuraja, skaczący apatycznie po klatce, był dowodem, że tak nie jest.

Samuraj Delon każdego dnia wyjmował z krzywej szuflady nową śnieżnobiałą koszulę. Nawet ta rutynowa czynność odbywała się z kliniczną precyzją, z jaką wykonywał swoje zadania. Precyzja była też znakiem rozpoznawczym zabójcy, którym miał się stać dzisiaj Dimitrij.

Odruchowo przesunął dłonią wzdłuż poziomej blizny na lewym policzku. Był to efekt bójkki w moskiewskim nocnym klubie Poor People. Dimitrij był tam stałym bywalcem, ale co więcej, był siostrzeńcem Arsenija Wakurowa, a to nazwisko u każdego budziło respekt i lęk. Z wyjątkiem tych trzech przystojniaczków, którzy pewnego wieczoru przyszli do klubu zaszczerpanować świeżo zdobytym bogactwem, przy okazji drwiąc sobie z jednego z gości, który przypadkiem mówił z prowincjonalnym akcentem. Dmitri zmasakrował wszystkich trzech, ale jednemu z nich udało się rozciąć mu policzek obtłuczoną butelką.

Wuj Arsenij powiedział, że jak tak dalej pójdzie, to ta impulsywność może go kiedyś kosztować głowę.

– Każdy głupi potrafi kogoś zamordować. Musisz się najpierw nauczyć kontrolować swoje „ja” i wszystkie łączące się z tym emocje. Tylko wtedy będę pewien, że mogę na tobie polegać.

Dimitrij zrobił wszystko, żeby wuj mógł się przekonać, że może na nim polegać. Asystował, uczył się, ćwiczył ciało, i właśnie teraz wuj zaufał mu, zlecając mu pierwsze zagraniczne zadanie. Bez asysty. Dimitrij solo. *Master of control*.

Ze średnią prędkością stu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę pędził niemiecką



autostradą. Musiał być dokładnie o czasie na porannym spotkaniu w centrum Amsterdamu.

Zostawił touarega w podziemnym parkingu. Ruszył wzdłuż kanału w stronę, skąd dobiegały złowrogie dźwięki zbliżających się bębnow.

Dimitrij przypomniał sobie, co powiedział mu wuj, kiedy do niego zadzwonił:

– To indywidualne zlecenie. Twoje pierwsze. Nie zawieź mnie.

Był wprawiony w zabijaniu. Jego trening zaczął się w dniu, kiedy pozwolono mu uczestniczyć w tym, co jego wuj lubił najbardziej: zmuszać do mówienia ludzi, którzy chcieli oszukać kogoś z organizacji, zdradzili albo próbowali organizację okradać. Wuj Arsenij opowiadał mu o cudownej sprężystości ludzkiej skóry i demonstrował mu jak z chirurgiczną precyzją można z niej obdzierać. Używał do tego żywej skóry osób podejrzewanych przez niego o sprzeniewierzenie się organizacji, próbę jej okradania i inne przewinienia. Dla Dimitrija było to coś fascynującego, pomijając wrzaski ofiar. Najczęściej jednak Arsenij zaklejał im usta kawałkiem taśmy, gdy nadziewał ich nago na rzeźnicki hak, by po chwili skupić się na jakiejś określonej części ciała, którą starannie obrabiał skalpelem.

Po zakończeniu zabiegów Dimitrijowi wolno było ich dobić jednym strzałem.

Następnym krokiem w jego treningu było polowanie. Gdzieś, w jakimś lesistym terenie, wypuszczano osoby, na które organizacja wydała wyrok. Dimitrij musiał je tropić, a następnie zastrzelić od przodu, w żadnym razie nie strzałem w plecy, i w dodatku z maksymalnie bliskiej odległości. Śmiertelnie. Jednym jedynym strzałem. To było znakomite ćwiczenie zręczności. Zupełnie co innego niż zwykłe ćwiczenia na strzelnicy. Ekstremalną formą treningu było zastrzelenie w warunkach miejskich uzbrojonego przeciwnika, którego uprzedzono, że Dimitrij się zbliża.

Dimitrij przeszedł wszystkie te poziomy, a teraz znalazł się tu, w stolicy Holandii. Miał wykonać zadanie i szybko się ulotnić, zanim cokolwiek wyjdzie na jaw.

Ktoś go potrafił. Jakaś modnie ubrana orientalna piękność o niebieskich oczach. Odwróciła się w jego stronę, a potem poszła szybko dalej.

W tym czasie roilo się już od Chińczyków. Odpalano pierwsze sztuczne ognie. Skręcił na wycucie w wąską uliczkę i chwilę później znalazł się przed przypominającą pagodę budowlą. Gapił się właśnie na znaki obcego pisma na żółtej ścianie, gdy usłyszał za sobą głęboki głos mówiący do niego w czystym rosyjskim:

– Wybierasz się na pogrzeb, chłopcze?

Dimitrij odwrócił się gwałtownie i spojrzał w stalowe oczy wysokiego mężczyzny o napompowanych sterydami mięśniach, którego jasnoszary włoski garnitur sprawiał wrażenie, jakby miał zaraz od tego zacząć puszczać w szwach. Lewą rękę miał na temblaku. Jego głowa była na skroniach wygolona na łyso. Czarne jak smoła włosy rosnące na czubku jego głowy, były spięte w koński ogon, wskutek czego miał w sobie coś z syberyjskiego mnicha biegłego w sztuce karate.

– Zostałem zobowiązany przez twojego wuja, abym wyciągnął cię tutaj z bagna twojej niewiedzy.

Dimitrij poczuł wielką dłoń Końskiego Ogona trącającą go w ramię na znak, że ma iść przed siebie.

– Twój pierwszy cel to chłopiec. Leży w szpitalu i najprawdopodobniej ma ochronę. Nie mam żadnych konkretów. Mały, typ orientalny, ciemne włosy. Jak już go załatwisz, masz zostać na

oddziale.

Pokazał mu zdjęcie drugiego celu. Dimitrij zobaczył przed sobą zgrabną trzydziestoparolatkę o pewnych sobie, szaroniebieskich oczach. Jej krótkie blond włosy sterczały modnie na wszystkie strony. Wyobraził sobie jej ciało, które musiało być równie sprężyste. O piersiach w kształcie jabłek, które nie potrzebowały stanika, płaskim brzuchu i gładkich udach, między którymi niewątpliwie przyjemnie byłoby się znaleźć. Z miejsca poczuł, że te fantazje uruchomiły w nim niebagatelną porcję testosteronu.

– Lekarka, której trzeba pomóc.

Dimitrij ponownie spojrzął na zdjęcie. Zastanawiał się, co też musiała zrobić ta holenderska lekarka, że ściągnęła na siebie gniew organizacji.

– Dlaczego musi umrzeć?

Człowiek z końskim ogonem nabrał głęboko powietrza i westchnął głośno, co dało mu jednoznacznie do zrozumienia, że właśnie palnął jakąś bzdurę.

Dimitrij poczuł rozdrażnienie.

– To znaczy, że nie musi umrzeć? Mam ją wydymać do nieprzytomności, czy jak?

Mężczyzna z końskim ogonem uśmiechnął się wyrozumiale.

– Ile masz lat, chłopcze?

– Osiemnaście. – Dimitrij wzruszył ramionami i dodał możliwie aroganckim tonem. – Wiem, po co tu jestem.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Jest w tobie coś ze śmierci, chłopcze. Widzę to. Ubrany też chodzisz jak śmierć. I to w biały dzień!

Objął Dimitrija ramieniem – pozornie przyjacielski gest, którego ten wcale w ten sposób nie odebrał. Stałowy uścisk, jaki poczuł chwilę potem, powiedział mu wyraźnie, że tamtem mógłby go zmiażdżyć jak kota.

– Twój wuj przysłał cię tutaj w celu załatwienia paru spraw. Ale będziesz je załatwiał na moim terenie, a więc musisz to zrobić według moich zasad. Najpierw chłopiec. Szybko, z kliniczną precyzją, jeśli wiesz, o czym mówię. Następna w kolejności jest ona. Ta lekarka. Jak ją dorwiesz, możesz z nią zrobić, co chcesz. Jasne? Ale najpierw chłopiec.

Nawet nieogolony i wyrwany ze snu Calvino i tak wyglądał jak dziecko szczęścia. Marouan zobaczył zdumioną twarz swojego partnera w bulaju, po kilkuminutowym waleniu w drzwi jego mieszkania na wodzie.

– Chłopiec zostanie zabity. – To były pierwsze słowa, jakie powiedział do Calvina, kiedy ten mu otworzył. – To się stanie jutro.

Już w momencie, kiedy to mówił, zrozumiał, że to mylna informacja. Bo „jutro” oznaczało „dzisiaj”. Była przecież piąta rano.

– Skąd informacja?

– Z tego samego źródła, z którego dowiedziałem się wtedy o kokainie na lotnisku Schiphol. Więcej nie mogę ci powiedzieć, poza tym, że to się ma stać dzisiaj i że będzie to indywidualna akcja jakiegoś młodego Ruska.

– Wczoraj wieczorem załatwiłem ochronę – powiedział Calvino.

– Policjant przed drzwiami.

– Zgadłeś.

– Trzeba koniecznie zweryfikować stopień zagrożenia.

– Zaraz, zaraz, partnerze. Chcesz mi powiedzieć, że mamy włączyć antyterrorystów? Że po oddziale intensywnej terapii mają paradować faceci z automatami i w kuloodpornych kamizelkach?

– Nie! Właśnie tego nie wolno nam zrobić.

Marouan patrzył na Calvina chłodnym wzrokiem. Z powodu niewyspania był jeszcze mniej odporny na wszelkiego rodzaju cyniczne żarty.

– Chcę dorwać tego pacana żywcem, kapujesz? Żebyśmy mogli go przesłuchać. Z kulą w głowie niewiele będzie miał do powiedzenia na temat tego, kto go przysłał. A ja chcę, żeby gadał. Mam wrażenie, że jak go przyciśniemy, to uda nam się szybko wyjaśnić sprawę tego spalonego kombi.

Calvino spojrział na niego nagle zupełnie innym wzrokiem.

– Coś mi się wydaje, że wiesz dużo więcej, niż chcesz powiedzieć, co? – powiedział z krzywym uśmiechem.

Pół godziny później siedzieli już w kuchni u Tomasoy. Tomaso nalał wszystkim kawy. W ciągu tych trzydziestu minut, jakie upłynęły między telefonem od Calvino a trwającą właśnie rozmową, wymyślił dla nich dwóch nowy status.

– Będziecie częścią zewnętrznego zespołu, ale pozostaniecie zespołem wewnątrz zespołu. Od tej chwili odpowiadacie za wszystko, co ma bezpośredni związek z chłopcem. I składacie raporty wyłącznie mnie. Jasne?

Marouan poczuł się jak feniks, który właśnie powstał z popiołów.

- Jaki masz plan, Diba? – spytał Tomaso.
  - Zasadzka, szefie – odparł Marouan. – Pułapka, czy jak to sobie nazwiemy. Policjant pozostanie przy drzwiach. Może też jacyś dodatkowi szpitalni ochroniarze przy wejściach. Musi to wyglądać tak, jakby chłopiec miał standardową ochronę z niskim priorytetem. W rzeczywistości szpital będzie otoczony ciasnym kręgiem uzbrojonych ludzi, gotowych zareagować, gdy okaże się to konieczne.
  - Czyli policjant przy drzwiach będzie przynętą.
  - Tak jest.
  - Ryzykowny plan, Diba, bo co będzie, jeśli naszemu człowiekowi mimo wszystko uda się unieszkodliwić chłopca?
  - Nie ma takiego ryzyka, ponieważ chłopiec zostanie wcześniej potajemnie przetransportowany w inne miejsce, a my tylko będziemy udawać, że jest w tej sali. Jeśliby naszemu człowiekowi jakimś cudem udało się do niej wedrzeć, to zastanie puste łóżko.
- Tomasoa przez całą wieczność wpatrywał się w Marouana swoimi oczami Yula Brynnera. Tymczasem zrobiło się już wpół do siódmej.

Kiedy Marouan ponownie spojrzął na zegarek, było to w gabinecie kierownika oddziału intensywnej terapii szpitala WMC i było już po siódmej. Za chwilę zaczynała pracę dzienna zmiana oddziału. Adrenalina nieomal ciekła mu uszami. Czuł się jak nowo narodzony.

– Bardzo mi przykro – usłyszał głos Calvina, który swoim uwodzicielskim tonem zawiadamiał przełożoną oddziału intensywnej terapii o najnowszych planach – ale to bardzo ważne, aby chłopiec ze względów bezpieczeństwa został jak najszybciej przewieziony do innego szpitala.

Kwadrans później dyżurna pielęgniarka zaczęła dzwonić do różnych szpitali i Marouan bardzo szybko uświadomił sobie, że właśnie znaleźli się w ślepej uliczce. Wskazówki zegarów przesuwają się nieubłagane, tymczasem coraz bardziej oczywiste stawało się, że nie znajdą szpitala, który będzie gotów przyjąć pacjenta, który z medycznego punktu widzenia nie nadaje się do transportu i w dodatku stanowi cel jakiejś bandy kryminalistów.

Podczas gdy lekarze i asystenci krążyli kontrolnie po korytarzach, a pielęgniarki z dziennego dyżuru powiadamiano o obecności trzech antyterrorystów przebranych w stroje lekarskie, Marouan zaczął sobie coraz wyraźniej uświadamiać, że jeśli nie będzie jakiegoś ważnego medycznego powodu, to chłopiec nie zostanie nigdzie przewieziony.

Tymczasem jego partner Calvino usadowił się naprzeciwko ściany monitorów centrali ochrony. Stamtąd utrzymywał kontakt ze wszystkimi szpitalnymi ochroniarzami. Mimo że przez całe rano nie zaobserwowano żadnego podejrzanego ruchu ani nie pojawił się żaden podejrzanym odwiedzający, Marouan z każdą chwilą stawał się coraz bardziej nerwowy. Za radą jednego z policjantów z oddziału specjalnego włożył na siebie biały lekarski fartuch i razem z Mariską oraz dwiema pielęgniarkami zrobił obchód.

Zrobiła się już dwunasta, kiedy okazało się, że są jakieś drobne komplikacje ze zoperowaną śledzioną chłopca. Mariska wyjaśniła mu, że narządy dzieci będących jeszcze w wieku dorastania reagują inaczej niż narządy osób dorosłych i że chłopiec wymaga w zasadzie specjalistycznej opieki pediatrycznej. To był klucz, niezbędny do tego, żeby stworzyć możliwości przewiezienia chłopca. Ze względu na brak w szpitalu WMC odpowiedniego personelu, niezbędnego dla zapewnienia chłopcu właściwej opieki, zachodzi konieczność przewiezienia go na OIOM szpitala pediatrycznego.

W ciągu pół godziny znaleziono nowe miejsce dla chłopca w Maaspoort Hospitaal w Rotterdamie. Marouan odetchnął z ulgą i spytał, jak szybko da się załatwić karetkę, gdy nagle pojawił się nowy problem. Zwykła karetka nie wystarczała. Ze względu na swój ciężki stan chłopiec nadawał się do przewiezienia wyłącznie w specjalnych warunkach. Była już godzina trzecia po południu, kiedy Mariska zadzwoniła do centrali, żeby taki transport załatwić. Już pięć po trzeciej Marouan o mało nie wyskoczył ze skóry z wściekłości, gdy usłyszał, że jeszcze trzy inne szpitale zamówiły taki transport, w związku z czym na chłopca przyjdzie kolej dopiero pod wieczór.

Nadszedł czas, żeby włączyć we wszystko Tomasoę.

Słońce wysyłało swoje proste promienie przez okna meczetu, rzucając długie cienie na zwyczajną drewnianą trumnę, w której spoczywało obmyte rytualnie ciało Parwaiza, owinięte w biały lniany całun.

Muła wystąpił naprzód, żeby odprawić modły.

– *Inna lillahi wa inna ilayhi raji'un*. Zaprawdę, do Allaha należymy i do Niego powrócimy.

Farah rozejrzała się wokół siebie. Wszystkie kobiety w jej otoczeniu były ubrane na szaro lub czarno. Miały białe lub szare chusty na głowach, a na ich twarzach nie było śladu makijażu. Siedziały zebrane po jednej stronie przejścia – po drugiej siedzieli mężczyźni. Farah cieszyła się, że Edward siedzi mniej więcej na wysokości jej miejsca. Zauważyła, że ciągle się jej przygląda.

Po ostatniej wspólnej modlitwie kilku mężczyzn zaniósł trumnę na miejsce pochówku. Kobiety szły w należytym odległości za nimi, tak że nie pozostawały w bezpośredniej bliskości trumny. Zgodnie z zaleceniami Koranu w ten sposób unikały niebezpieczeństwa poniesienia uszczerbku emocjonalnego. Farah pamiętała z czasów dzieciństwa w Afganistanie, że z tego właśnie powodu kobietom wolno było nawet w ogóle nie uczestniczyć w pogrzebie i odwiedzić grób dopiero w kilka dni po ceremonii pochówku.

Kondukt zatrzymał się przy otwartym grobie, by odmówić ostatnie modlitwy. W odróżnieniu od tego, co działo się w meczecie, tym razem modlono się na stojąco. Było to dozwolone, ponieważ inaczej holenderska ziemia zbrukałaby żałobne stroje zebranych. Wszyscy obecni podnieśli dłonie aż do brody, złączyli ze sobą opuszki palców i powiedzieli na głos „*Amin*”, a na koniec przesunęli dłońmi po twarzach. Trumna powoli zjechała do grobu.

Wtedy muła dał jej umówiony znak. Farah z przejęciem wyszła do przodu, nabrała głęboko powietrza i ku zdumieniu wszystkich obecnych zaintonowała pieśń. Była to pieśń, którą przypomniała sobie dzisiaj w nocy.

– *Namidanam baruy ki bekhandam. Namidanam baray ki begirayaam...* „Nie wiem, do kogo miałabym się uśmiechać. Nie wiem, przed kim mogłabym się wypłakać”.

Kiedy dotarła do pierwszego refrenu, usłyszała w tle kilka kobiecych głosów, które zaczęły śpiewać razem z nią. Bardzo się wzruszyła, gdy usłyszała, jak dołącza do nich kilka męskich głosów.

Kilka osób stojących wokół otwartego grobu, słuchając pieśni zamknęło oczy, większość jednak miała je szeroko otwarte i strumieniami łały się z nich łzy. Osoby te płakały nie tyle z powodu człowieka, który leżał w trumnie, ile raczej z powodu własnych wspomnień, które z wolna bladły i rozmywały się jak stare fotografie.

– *Za shahram rafta noor arzo ha. Za bamam morgh dil chonin parida*. Z mego życia zniknęły wszelkie marzenia. Próżno już szukać szczęścia w moim sercu.

Farah w myślach raz jeszcze szła za rękę z Parwaizem przez marmurowe sale Muzeum Narodowego w Kabulu. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła kilka grobów dalej mężczyzną z wycelowanym w jej stronę teleobiektywem.

Z miejsca rozpoznała w nim człowieka, który stał na moście nieopodal mieszkalnego statku Joshuy.

Nie pozwoliła się zbić z tropu, znowu zamknęła oczy i śpiewała dalej.

Kiedy spojrzała w tamtą stronę ponownie, fotograf zniknął, tak że przez moment wydawało jej się nawet, że to było przywidzenie.

Na znak dany przez mułkę, wysypała łopatkę brunatnej ziemi na trumnę. Spadające grudki wybijały głuchy werbel na drewnianym wieku. W tym momencie Farah nie potrafiłaby sobie wyobrazić bardziej posępnego odgłosu, więc tylko z całych sił chciała wierzyć, że się myli w swoich nihilistycznych poglądach na niebiański raj. Pragnęła, aby Parwaiz połączył się tam z żoną i dwoma synami i żeby dostał od Przedwiecznego posadę dyrektora Niebiańskiego Muzeum Sztuki Anielskiej.

– Widziałś go? – spytał Edward ze zdumieniem malującym się na twarzy, kiedy do niego podeszła. Za nimi dało się słyszeć pochlipywanie kobiet.

– Kogo?

– Erica Sandersa. Co ten paparazzo tutaj robi? Czemu nie siedzi w Saint-Tropez i nie fotografuje półnagich celebrytek na jachtach?

Pochlipywanie kobiet za ich plecami powoli przechodziło w regularny żaloszny płacz.

– Coś mi się wydaje, że on jest tu z mojego powodu.

– Z twojego powodu?

– Tak. Już wczoraj robił mi zdjęcia. – Farah westchnęła. – Kiedy byłam razem z Joshuą Calvinem.

– A co ty wczoraj robiłaś z inspektorem Calvinem?

Farah uśmiechnęła się bezwiednie, kiedy przypomniła sobie, jak Edward próbował zrobić wrażenie na Joshui w czasie spotkania w siedzibie „AND”.

– Staliśmy na pokładzie jego mieszkalnego statku.

– To było spotkanie służbowe? – spytał Edward podejrzliwie.

– Zależy, jak na to spojrzeć.

– Jezusie miłosierny! Jeszcze tego brakowało! Hafiz Pożeraczka Serc znowu w akcji! David o tym wie?

– Wie – przyznała przygnębiona.

– Złamane serce, urażone ego, i co dalej? – spytał Edward.

– I jeszcze zaciśnięta pięść – odrzekła Farah. – Odeszłam.

– Założę się, że to w jakiejś mierze sprawka tej Marant.

– Ale dlaczego?

– Obawiam się, że właśnie zaczęła kontrofensywę. Innego wyjaśnienia na to nie mam.

Dołączyli do pozostałych. Częstowano wszystkich afgańską chałwą, robioną na bazie podsmażanej mąki, zawiniętą w chleb.

– To w nadziei, że dzięki temu duch zmarłego nie pójdzie do nieba zgorzkniały, tylko słodki – wyjaśniła Farah Edwardowi, który przeżuwał podany mu kawałek z nieszczęśliwie wykrzywioną twarzą.

Zaczęli podchodzić do nich mężczyźni i kobiety, by podziękować jej za pieśń. Farah wyjęła z torebki wydruk ze zdjęciem Ławrowa i pokazała im.

– Czy znacie tego człowieka?

Ludzie nie reagowali, odwracali się w milczeniu. Atmosfera uległa zmianie. Zaczęły się tworzyć grupki, w których o czymś gorączkowo rozprawiano, pokazując w jej stronę. Nagle

podszedł do niej jakiś człowiek.

– Jak śmiesz! – wykrzyknął rozeźlony. Wyrwał jej zdjęcie z rąk, splunął na nie i podarł na kawałki. – To był diabeł!

Młody mułła, który próbował załagodzić incydent, odciągnął mężczyznę na bok. Farah stała jak ogłuszona.

– Wielebny mułło – zaczęła z szacunkiem, gdy znów do niej podszedł. – Zupełnie nie rozumiem, co ja takiego zrobiłam?

Mułła spojrział na nią karcącym wzrokiem.

– Czemu przychodzisz tutaj ze zdjęciem człowieka, który niektórych z moich wiernych nieomal zamęczył na śmierć?

– Strasznie mi przykro – powiedziała Farah szczerze. – Nie powinnam była tego zrobić. Ale przecież to musi być jakieś nieporozumienie. Człowiek, którego zdjęcie przed chwilą pokazałam, to młody dyrektor wielkiej rosyjskiej firmy. Człowiek, których ich torturował dawno nie żyje.

– Mimo wszystko poproszę cię, abyś wyszła – odezwał się mułła surowo.

– Czy w taki sposób dziękuje się tutaj za pieśń wykonaną nad grobem? – spytał Edward opryskliwie. – Myślałem, że wasz Bóg też stawiał na przebaczenie, ale najwyraźniej się pomyliłem.

– Bardzo przepraszam, jeśli ton mojej wypowiedzi wydał się panu nieodpowiedni – powiedział mułła.

– Daj spokój – poprosiła Farah. – To moja wina. Nie powinnam była tego robić. Dziękuję mułło za pochówek.

Podążyła Edwardowi ramię i razem poszli w kierunku parkingu. Gdyby się teraz obejrzała, zobaczyłaby mężczyznę, jak niesie jej niezłałatwioną przeszłość z sercami pełnymi nienawiści.



Przez pierwszą godzinę lotu do Amsterdamu Paul był zbyt napięty, żeby prowadzić z Sandrine zwyczajną rozmowę. Chwilowo brakowało mu całego arsenału niezbędnych do tego właściwości – spontaniczności, energii, otwartości i bez troski, żeby wymienić choć kilka słów. Czegoś, czego Sandrine najwyraźniej miała pod dostatkiem.

Z ożywieniem opowiadała o swojej działalności w radzie miejskiej Amsterdamu i o swojej wizycie u pierwszej kobiety-burmistrza Johannesburga, Ashley McLeod. Nie mogła się nachwalić walki McLeod z AIDS, korupcją i przemocą wobec kobiet i dzieci. Paul doskonale znał brutalną rzeczywistość Johannesburga i z pewnym rozbawieniem słuchał entuzjastycznych opowieści Sandrine, zdumiewając się jednocześnie zmysłowością jej twarzy i szybkością, z jaką jej pewne siebie spojrzenie potrafiło przybrać melancholijny wyraz.

Bardzo szybko jednak znowu ogarnęło go zmęczenie. Sandrine dopytywała się, co się stało z jego twarzą, on jednak zbył ją wymijającą odpowiedzią i sięgnął po laptopa, próbując jakoś pozbyć się strachu, który od momentu lania, jakie dostał w Ponte City, zagnieździł się w jego ciele. Wpadał w panikę, gdy tylko zamykał oczy. Pisanie od zawsze było u niego sprawdzonym środkiem na przynajmniej chwilowe odpędzenie neurotycznych myśli, goryczy porażki, a nawet fizycznego bólu.

– Ładny.

– Co takiego?

– Wygaszacz ekranu na twoim laptopie.

Było to kolorowe zdjęcie obrazu. Na pierwszym planie zatłoczonej ulicy dwaj kupcy rozwijali ognistoczerwony dywan. Po obu stronach ulicy wisały wielkie płótna w łagodnych barwach, a w tłumie przechodniów i żywo gestykulujących sprzedawców szedł mężczyzna w dżinsach z jasnowłosą kobietą w niebieskim kaftanie, a pomiędzy nimi mały chłopiec.

– To jakieś istniejące miejsce? – spytała Sandrine.

– Bazar Char Chatta w Kabulu – odrzekł Paul i wskazując chłopczyka, dodał: – A to ja.

– Naprawdę? Ale super. Kto to namalował?

– Moja mama – powiedział, pokazując teraz na wysoką blondynkę. – Pod koniec lat sześćdziesiątych przyjechała do Kabulu z Amsterdamu autobusem pełnym hipisów.

– W takim razie to musi być twój ojciec. Przypomina Jamesa Deana, tylko z dłuższymi włosami.

Paul uśmiechnął się. Lubił, kiedy ludzie mówili w ten sposób o jego ojcu.

– Był korespondentem wojennym.

– Ciekawa kombinacja. Korespondent wojenny i hipiska.

– Myślę, że to tak jak z tymi przeciwieństwami, które się przyciągają. Moja matka kręciła się po tym bazarze, podczas gdy niedaleko policja rozpędzała demonstrację studencką. Zderzyła się z człowiekiem, który zapewnił jej wtedy schronienie. To był właśnie Raylan, mój tata.

– Bardzo romantyczna historia.

- Byli zresztą ze sobą bardzo szczęśliwi.
- Byli?
- Mój ojciec nie żyje już od ponad trzydziestu lat.

Paul wykonał nieokreślony gest ręką i przerwał rozmowę. Oczywiście miał ochotę o tym wszystkim opowiedzieć, ale wstydził się swojej niepewności. Niezadowolony z siebie patrzył gdzieś w dal.

**K**iedy Ed w ciągu niecałych dziesięciu sekund przyśpieszył swojego antracytowego saaba 900 do prędkości 120 kilometrów na godzinę i popędził w stronę Amsterdam-Noord, Farah pomyślała o mężczyźnie, który przed chwilą podarł zdjęcie Ławrowa, ponieważ wziął młodego dyrektora generalnego AtlasNetu za oficera armii radzieckiej, który zginął w zamachu bombowym w połowie lat dziewięćdziesiątych, za Michałowa. Dopiero teraz Farah pojęła ogrom zaskoczenia Parwaiza. Michałow. On rzeczywiście zobaczył ducha.

Niedługo potem Farah siedziała w redakcji przed monitorem, jeszcze raz czytając wszystko, co udało jej się zebrać na temat Michałowa. Miała nadzieję, że może coś przeoczyła, jakiś szczegół, który pozwoli jej uzyskać odpowiedź na pytanie, jak to możliwe, że między nim a Walentinem Ławrowem jest tak uderzające podobieństwo.

Żadnej odpowiedzi jednak nie uzyskała.

Na datowanym na rok 1994 klipie widać było nieco już starszawego Michałowa, kiedy jako minister obrony odpowiadał na pytania tłumu dziennikarzy, tuż przed rosyjską inwazją na Czeczenię. „Dajcie mi pułk spadochroniarzy, a zdobędę Grozny w ciągu dwóch godzin”. Historia pokazała, że to, co miało być wykonaną z zaskoczenia dwugodzinną akcją, przerodziło się w trwającą ponad dwa lata wojnę, w której życie straciły tysiące młodych rosyjskich żołnierzy, a dziesiątki tysięcy cywilnych obywateli Czeczenii stało się ofiarami masowych zbrodni i dywanowych bombardowań zarządzonych przez Michałowa. Zamach bombowy z lutego 1996 roku, który zakończył żywot Michałowa, samozwańczego Bohatera Związku Radzieckiego, był bez wątpienia dziełem czeczeńskich bojowników.

Farah podniosła wzrok i zobaczyła przed sobą Edwarda.

– Właściwie powinny być teraz uroczyste fanfary – powiedział do niej z uśmiechem. – Uważam, że coś ci się należy za dzisiejszy występ. Gotowa? Mama dla ciebie niespodziankę.

– Jeśli to weekendowa wycieczka po polderach z grupą innych właścicieli podstarzałych saabów, to bardzo dziękuję za zaszczyt – zareagowała z uśmiechem Farah.

– Zdaję sobie sprawę, że czegoś takiego nic nie jest w stanie przebić, ale to, co mam ci do zaoferowania, też nie jest złe, a może nawet całkiem niezłe: indywidualne spotkanie z Walentinem Ławrowem.

– Co? Jak ci się udało to załatwić?

– Dzięki sztuce – stwierdził Edward, uśmiechając się łobuzersko. – Sztuka i Ławrow, to taka sama jedność jak Kościół katolicki i grzech pierworodny. Jedno nierozzerwalnie związane z drugim. Za sześć tygodni nasza gazeta planuje wydanie specjalnego dodatku o sztuce międzynarodowej i szukaliśmy specjalnego gościa do tego dodatku. Najprawdopodobniej będzie nim właśnie Ławrow.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Ed, mówisz poważnie?

– Najbardziej serio wyglądający pretekst, żeby jak najszybciej dotrzeć do tego człowieka, jak

mi się zdaje. Bo tego chyba chcemy?

– I kiedy to by miało być?

– Co byś powiedziała na dziś?

– Nie mówisz poważnie.

– Najpoważniej w świecie.

– Nie mam pojęcia o sztuce, Ed, od razu mnie zdemaskuje.

– W takim razie musisz się jak najszybciej podszkolić – oznajmił Edward, kładąc na jej biurku bogato ilustrowany album z reprodukcjami, wielki jak płyta chodnikowa. – Oceniam, że tak z pięćdziesiąt procent tego, co tu zobaczysz, znajduje się w prywatnej kolekcji Ławrowa, rozproszonej po muzeach i biurach na całym świecie.

Farah przekartkowała album. Był tam między innymi portret Walentina Ławrowa. Ten dyrektor generalny jednego z największych koncernów energetycznych świata został wzięty za radzieckiego kata, który kilka dziesięcioleci wcześniej torturował ludzi w lochach Kabulu. Myśl, że dzisiaj się z nim spotka, przejęła ją dreszczem.

Dawna główna siedziba Holenderskiej Izby Handlowej była monumentalnym gmachem – dziesięć masywnych pięter z klinkieru i granitu. Po obu stronach wejścia stały dwa wielkie posągi kobiet, symbolizujące Europę i Azję. Przez marmurowy hol i pokrytą weneckim stiukiem klatkę schodową weszła na czwarte piętro.

Dokładnie pół roku temu Ławrow odkupił to prestiżowe dyrektorskie piętro od potentata rynku nieruchomości Armina Lazondera. Klasycznym wnętrzem nadał wystrój świadczący o nieskrępowanej fantazji. Antyczne biurka z indyjskiego palisandru mieszały się z wielkimi stołami, na które zużyto drewno z odzysku, a boazeria podobnie jak ściany była pobielona, aby stworzyć miejsce na kolekcję współczesnych obrazów i obiektów plastycznych.

W recepcji, gdzie zgłosiła się Farah, stała armatka, która raz dziennie wystrzeliwała ładunek czerwonej farby na specjalnie w tym celu spreparowaną ścianę. Wyglądało to tak, jakby miała tu miejsce jakaś masowa egzekucja. Antyczne żyrandole, wiszące niegdyś w całym budynku, zachowano tutaj najwyraźniej jako ukłon w stronę kraju, który dał firmie gościnę, ale uzupełniono je o bukiety ze szklanych butelek po mleku wypełnionych oślepiającym światłem halogenów.

Recepcjonistka odprowadziła ją do niewielkiego foyer, gdzie Farah zajęła miejsce w jednym z okrągłych foteli z wysokimi bambusowymi oparciami.

Za drzwiami gabinetu Ławrowa dobiegał głos jakiegoś mężczyzny, najwyraźniej mocno podenerwowanego. Był to jeden długi kipiący złością monolog. Zaraz potem drzwi otworzyły się gwałtownie i w wychodzącym Farah od razu poznała inicjatora projektu New Golden Age, a zarazem szefa IRIS TV Armina Lazondera. Z gradową miną przeszedł obok Farah, nie zaszczycając jej ani jednym spojrzeniem. Popatrzyła za nim. Ciekawe, co go tak zezłościło, i to w dodatku w obecności Ławrowa?

Podeszła do niej recepcjonistka, która ją tu przyprowadziła.

– *Mister Ławrow is ready to receive you now.*

Farah podniosła się z miejsca i poczuła podchodzący do gardła lęk. Przede wszystkim uważała za niewłaściwe, że przychodzi na spotkanie z oligarchą Ławrowem w stroju pożegnalnym, przygotowanym specjalnie z myślą o Parwaizie. Zarazem jednak zdawała sobie sprawę z symbolicznej wymowy tego faktu. Człowiek, który zatrudniał na całym świecie ponad trzysta tysięcy osób, był też przypuszczalnie tym, który – oczywiście całkowicie nieświadomie – przyczynił się do śmierci Parwaiza.

Człowiek w szytym na miarę garniturze z niebieskiego kaszmiru w paski, który wyszedł jej naprzeciw, wyciągając dłoń na powitanie, był niewątpliwie zatrwająco podobny do dawnego radzieckiego dowódcy, który pod koniec lat osiemdziesiątych, jako ostatni opuścił okupowany przez ZSRR kraj.

Ławrow był wyprostowany i miał kanciastą twarz o szerokich szczękach, wąskich ustach i szarzielonych oczach. W pewnym sobie uścisku jego dłoni wyczuła dziką energię. Był od niej

o dobrą głowę wyższy i patrząc na jego modnie przystrzyżone blind włosy z przebłyskami siwizny, oceniała go na nieco ponad czterdziestkę.

– Holandia wciąż nie przestaje mnie zaskakiwać, łaskawa pani Hafiz – powiedział nienagannym angielskim z akcentem oksfordzkim.

– W jakim sensie?

– Zsyła mi dziennikarkę z zamiłowaniem do sztuki, wyglądającą, jakby zstąpiła prosto z Pól Elizejskich. Czemu tak długo się pani przede mną ukrywała?

– My w Holandii cenimy sobie brak ostentacji – odpowiedziała, starając się ukryć jakoś swoje skrepowanie i przyglądając się z zainteresowaniem wystrojowi gabinetu. Tutaj o braku ostentacji na pewno nie mogło być mowy.

Uwagę przyciągały przede wszystkim dwa ogromne panele przymocowane do ścian. Jeden z nich był pokryty wielocentymetrowej grubości maźnięciami białej i niebieskiej farby olejnej i usiany okruchami potłuczonej terakoty. Na drugim panelu namalowany niebieską farbą nagi mężczyzna z mieczem balansował, stojąc na dwóch kolumnach, a wokół niego widniały resztki czegoś, co kiedyś musiało być zapewne wiktoriańską zastawą stołową. Szybko przeczytała nazwisko autora, widniejące na tabliczce: „Julian Schnabel”.

– Widzę, że od razu zachwyciły panią moje dwa ostatnie nabytki.

– Jestem miłośniczką dzieł Schnabla. – Odwróciła się z powrotem do Ławrowa, posyłając mu promienny uśmiech w nadziei, że zakamufluje tym swoje zdenerwowanie. – Uwielbiam też *action painting*. A tak w ogóle to proszę mi mówić Farah.

Ławrow skinieniem głowy zasygnalizował zgodę.

– Tylko pod warunkiem, że pani będzie się do mnie zwracać Walentin.

W tym momencie Farah dostrzegła w wyeksponowanej niszy niewielki obrazek przedstawiający filigranową kobietę w przezroczystej szacie, ledwie skrywającej duże okrągłe piersi i cienką talię, przechodzącą w rozłożyste biodra. Farah poczuła, jak serce nieomal przestaje bić jej w piersi.

– Śarada – wyszeptała, jak zahipnotyzowana podchodząc do obrazu – bogini rzek.

– Uwielbiam kontrasty. A większego kontrastu wobec męskiego rozmachu Schnabla nie potrafię sobie wyobrazić – usłyszała głos Ławrowa.

– Ze skarbów Begramu, pierwszy wiek naszej ery – ciągnęła Farah, starając się wyjść z szoku. Obraz, który prawie trzydzieści lat temu Parwaiz pokazał jej w Muzeum Narodowym w Kabulu, znajdował się teraz w amsterdamskim gabinecie rosyjskiego oligarchy. Musi coś mówić, żeby jakoś opanować gniew i oburzenie.

– Wie pan, że ten obrazek wywodzi się w zasadzie ze sztuki buddyjskiego państwa Gandhara?

– Nie, wiem – odparł Ławrow zaciekawiony.

– Podobne obrazy znaleziono w dolinie rzeki Swat w północnym Pakistanie – kontynuowała z przejściem. – Te same szeroko otwarte oczy. Jak się pan dobrze przyjrzy, zobaczy pan nawet źrenice.

Ławrow stanął obok niej i pochylił się, tak że niemal dotknął twarzą obrazka. Poczuła jego zapach, mieszaninę mięty, lawendy i bergamotki.

– Ma pani rację – stwierdził z podziwem.

Za nic nie chciała, żeby zapadła cisza. Musi cały czas mówić.

– Zna pan opowieść o żołnierzu i bogini rzeki?

– Nie, ale coś mi mówi, że zaraz ją od ciebie usłyszę. I już bez „pan”, poproszę. Inaczej będę się czuł bardzo staro.

- Absolutnie nie było to moim zamiarem – powiedziała z uśmiechem.
  - Doskonale, w takim razie słucham.
  - Historia mówi o tym, że wieki temu najmłodszy żołnierz wojsk Aleksandra Wielkiego stanął na brzegu rzeki Amu-darii dokładnie w tym momencie, kiedy na powierzchni ukazała się bogini tej rzeki. Od razu się w sobie zakochali. Młodzieniec wskoczył do wody, żeby być przy niej. Oszałały z miłości zapomniał jednak, że nie umie pływać.
  - I utonął?
  - Bogini rzeki pozwoliła mu utonąć.
  - Dość okrutna decyzja bogini.
  - Ale zarazem jedyna, żeby mogli być razem.
- Ławrow wykonał zapraszający gest, prosząc ją, by usiadła na modernistycznej kanapie projektu Ludwiga Mies van de Rohe.
- Czy morał z tej historii ma być taki, że wyższe cele uświęcają niekiedy okrutne środki?
  - Wprost przeciwnie – odrzekła Farah. – Raczej taki, że miłość doskonale kwitnie w świecie zmarłych.
- Siedzieli obok siebie. Mówić, cały czas mówić, powtarzała sobie w myślach. Żeby tylko nie zapadła cisza.
- Pewnie wiesz, że ten obrazek znajdował się w zbiorach Muzeum Narodowego w Kabulu?
  - Nie, nie wiem. Kupiłem go od prywatnego kolekcjonera. Skąd masz tę informację?
- Nie wiedziała, co odpowiedzieć, kompletnie zbita z tropu.
- O, przepraszam, zupełnie zapomniałem zaproponować coś do picia – przypomniał sobie Ławrow.
  - Wodę poproszę – powiedziała Farah z ulgą.
- Ławrow zamówił przez interkom wodę mineralną. Przez chwilę stał jeszcze zadumany przez obrazkiem, a potem ponownie usiadł.
- Jak zapewne wiesz, prowadzę w Indonezji projekt energetyczny, który ma zapewnić temu krajowi niezależność.
  - Nie. Nic mi o tym nie wiadomo – stwierdziła zaskoczona.
- Przerwało im wejście recepcjonistki z tacą, na której były dwie szklanki wody mineralnej.
- A więc za naszą współpracę – wzniósł toast Ławrow. W jej uszach rozbrzmiał krystaliczny dźwięk uderzających o siebie szklanek.
  - Ile lat minęło, od kiedy po raz ostatni byłeś w ojczyźnie? – spytał niespodziewanie Ławrow.
- Farah zeszywniała. Właśnie chciała zapytać, skąd on wie, że nie urodziła się w Holandii, ale zaraz uświadomiła sobie, że z pewnością przestudiował jej dossier. Nikt nie miał prawa tu wejść, zanim nie został gruntownie prześwietlony.
- Tak dużo, że prawie tego nie pamiętam.
  - Ale obraz jednak zapamiętałaś?
  - Ten z boginią wód? – spytała, próbując się opanować. – Tak, jego zapamiętałam. Byłam wtedy młoda. Bardzo młoda. – Spojrzała na niego, czując się całkowicie obnażona i zdemaskowana. Zupełnie jakby siedziała nago obok mężczyzny zakutego w zbroję. – Ale nie spotkaliśmy się przecież po to, żeby rozmawiać o mnie. Przejdźmy może do kwestii dodatku o sztuce.
  - Ależ oczywiście. Słucham – powiedział Ławrow, odchylając się swobodnie na oparcie kanapy.
  - Sześć razy w roku nasza gazeta wydaje międzynarodowy luksusowy magazyn lifestylowy,

do którego redagowania zaprasza się prominentne osobistości, aby zdecydowały o treści i formie. Oczywiście w porozumieniu.

– Bardzo holenderskie to „w porozumieniu”. – Ławrow zaśmiał się.

– Chodzi o to, żebyś wybrał kilka tematów z wyraźnym naciskiem na sztukę współczesną i lifestyle. Ty decydujesz, my pomagamy.

– Kiedy ma się ukazać ten dodatek?

– Za sześć tygodni.

– To jakby na ostatnią chwilę. Ale na pewno musi się tam znaleźć sprawozdanie z otwarcia specjalnej wystawy w Muzeum Puszkina z okazji wizyty waszego premiera pojutrze w Moskwie.

– To dopiero jest na ostatnią chwilę – stwierdziła Farah.

– Kilku współczesnych artystów rosyjskich przygotowało swoje impresje na temat klasycznych dzieł malarstwa niderlandzkiego, jak *Straż nocna* Rembrandta, *Ogród rozkoszy ziemskich* Hieronima Boscha czy *Dziewczyna z perłą* Vermeera. Coś mi się wydaje, Farah, że nie masz innego wyboru, tylko jak najszybciej udać się do Moskwy. Na mój koszt oczywiście. Czy może będzie to naruszenie dziennikarskiej neutralności? – spytał z żartobliwym uśmiechem.

– Wydaje mi się, że jeśli chodzi o sztukę, nie da się być neutralnym. *You either love it or you hate it*. Oczywiście muszę to najpierw skonsultować z szefem. Tak to już jest w Holandii.

– Co kraj, to obyczaj. – Ławrow odstawił szklanekę. – Muszę cię niestety przeprosić, ale czeka mnie kolejne spotkanie.

Powiedział to oczywiście z niezbędną uprzejmością, ale czuło się w tym zaskakująco niedwuznaczną sugestią szybkiego zakończenia rozmowy.

– Oczywiście, rozumiem – powiedziała i podniosła się z kanapy. Za szybko. Zakręciło jej się w głowie.

– W porządku? – spytał zdawkowo.

– Tak, tak, chciałabym spytać... – Spojrzała na niego tak, jakby właśnie coś sobie przypomniwała. – Czy to możliwe, żebym wczoraj widziała cię w Hadze?

– W Hadze? – Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– W srebrnym bentleyu, o ile się nie mylę.

Jego spojrzenie stało się kłujące, kiedy cofnął się o krok.

– Musiałbym sprawdzić w terminarzu – odparł z wymuszonym uśmiechem. – W ostatnich dniach odwiedzałem mnóstwo różnych miejsc.

– Rozumiem – skwitowała, pozwalając się odprowadzić do drzwi. Stojąc w progu, odwróciła się jeszcze w jego stronę.

– Aha, i jeszcze coś.

– Coś, co nie może poczekać?

– Chodzi o to uderzające podobieństwo.

– Czyje?

– Między tobą a dawnym radzieckim dowódcą Grigorijem Michałowem. Widziałam jego zdjęcie z roku 1989. Jak dwie krople wody.

Chociaż stał tuż przy niej, czuła dzielący ich lodowaty dystans.

– Załóżmy, że ten młody żołnierz Aleksandra Wielkiego z twojej zabawnej opowieści mógłby wykonać zdjęcie bogini rzeki. I załóżmy, że ja bym to zdjęcie potem zobaczył. Wtedy bez wątplenia musiałbym pomyśleć, że to Śarada we własnej osobie weszła właśnie do mojego biura.

– Podał jej dłoń na pożegnanie. – Powiadom jak najszybciej moją sekretarkę, kiedy przylecisz do



Moskwy, żebym mógł kazać wszystko przygotować.

- Dobrze – powiedziała Farah z napięciem w głosie. – Dziękuję za rozmowę.
- Nie, to ja dziękuję, Farah – odparł Ławrow niby się uśmiechając, ale w jego oczach nie było uśmiechu.

Dimitrijowi niezbyt spodobał się Amsterdam. Trzy krzyże w miejskim herbie oznaczały w jego rozumieniu Ciasny, Załoczony i Niechlujny. Na wodzie tarasowały sobie drogę niezliczone łodzie, na ulicach rowery groziły rozjechaniem zabłąkanych turystów, wszyscy taksówkarze byli Arabami, oszukującymi swoich pasażerów, a motorniczowie tramwajów prowadzili swoje pojazdy jak czołgi. Na szczęście w oddali już rysowały się wysokie budynki WMC.

Był zbliżającą się śmiercią i nikt nie spodziewał się jego nadejścia. Zorientują się dopiero, kiedy już go nie będzie. Zatrzymując się przed szpitalem, zobaczył nadciągający od zachodu wał atramentowoczarnych chmur. Na dachu szpitala lądował właśnie helikopter. Idący przed siebie ludzie, świadomi własnej śmiertelności, spoglądają nagle z szacunkiem w górę. Tak to właśnie się dzieje, pomyślał Dimitrij. Kiedy człowiek ma poczucie, że śmierć zaczyna deptać mu po piętach, od razu wznosi oczy do góry.

Coś mu się w tym wszystkim nie podobało. Miał jakieś przeczucie. Nie dałby jednak głowy. Nie dlatego, że będzie to pierwsze zabite przez niego dziecko. Wuj nauczył go patrzeć na sprawy obiektywnie. Tu nie chodzi o życie, niezależnie od tego, jak młode. Tu chodzi o wyższy cel. Eliminowanie celów miało za zadanie umożliwienie realizacji innych obiektywnych celów. A obiektywne cele nie potrzebowały emocji.

Przed wejściem z wielkimi obrotowymi drzwiami stał potężnie zbudowany Murzyn ze słuchawką w uchu. Trudno o bardziej rzucającego się w oczy ochroniarza. Teraz jeszcze tylko włożyć mu czarną bermycę Gwardii Królewskiej i niech sobie maszeruje tam i z powrotem z karabinem na ramieniu, pomyślał Dimitrij. Zwykła pokazówka.

Z promiennym uśmiechem Dimitrij wyciągnął dłoń w stronę staruszki, która z trudem poruszała się o lasce, dźwigając sfatygowaną torbę. Staruszka z wdzięcznością wzięła go pod rękę, zaczęła coś mamrotać w tym ich dziwacznym języku i pozwoliła mu nieść torbę. Murzyn ze słuchawką w uchu uśmiechnął się do nich. Głupi kutas, pomyślał Dimitrij. Gdy tylko weszli do holu szpitala, bez wahania zostawił staruszkę własnemu losowi.

Nienawidził szpitali, zwłaszcza ich powietrza, tego ciężkiego, przesyconego zarazkami powietrza będącego mieszaniną zapachu potu i środków odkażających. Patrzył na tabliczki z niezrozumiałymi napisami i wszedł do jednego z bocznych skrzydeł, mijając kolejne wahadłowe dni, i w końcu znalazł się w toalecie dla personelu. Tam zamaskował bliznę na policzku cielistego koloru plastrem, dokleił sobie cienki wąsik nad górną wargą i włożył na nos studenckie okulary. Szybkie działania powodujące natychmiastową metamorfozę.

Tego ranka Daniëlle długo chodziła nerwowo po mieszkaniu, rozmyślając o slumsach Port-au-Prince. Wyjęła z szafy swoje ulubione podkoszulki, bieliznę, dżinsy, niewielką ilość kosmetyków, których używała. Przy każdej rzeczy, którą wyjmowała i pakowała, czuła na przemian oszołomienie i smutek, ulgę i lęk. Pełna skala emocji na usługach najbardziej pierwotnego zachowania, jakie dyktuje człowiekowi instynkt samozachowawczy: ucieczki.

Nagle znów z ćwierkaniem zerwały się do lotu ptaki, które Bogu dzięki przez cały ranek zachowywały się cicho. Głos jej przełożonej brzmiał poważnie. Konieczna była pilna rozmowa. Padło pytanie, czy może zaraz przyjechać do szpitala. Daniëlle zdecydowała, że pojedzie, ale było to z zupełnie innego powodu. Ostatnią rzeczą, którą w pośpiechu zapakowała, były klapki. Bilet włożyła na samo dno torebki.

W ciszy pożegnała się ze swoim mieszkaniem.

Właśnie zamierzała zapukać do drzwi z tabliczką „Kierownik oddziału traumatologii”, gdy zobaczyła inspektora Calvina, idącego korytarzem w jej stronę.

– Wielkie dzięki, że pani tak szybko przyjechała. – Sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Kiedy wyciągnął do niej rękę na powitanie, przyjrzał się jej uważnie. – Wszystko dobrze?

– Źle spałam. – Odruchowo przejechała dłonią po bolesnym guzie na potylicy. – Co z chłopcem? – spytała nerwowo.

– Powiedziano mi, że z medycznego punktu widzenia jego stan jest stabilny. Więcej nie umiem powiedzieć. Zaraz się sami przekonamy – odparł z przepaszającym uśmiechem. – Pozwoli pani?

Kiedy weszli do gabinetu, bezpośrednia przełożona Daniëlle, Alexandra Plein, zdenerwowana podniosła się zza biurka.

– Ujmę rzecz krótko – oznajmiła opanowanym głosem. – Jak zapewne wiesz, zaraz po wczorajszym programie *De Headlines Show* inspektor Calvino zarządził ochronę chłopca. Najważniejsze jednak, że wszystko to byłoby zupełnie niepotrzebne, gdyby nie pojawił się w gazecie artykuł o tobie i gdybyś nie pojawiła się w telewizji.

– Rozumiem – powiedziała Daniëlle. Nie miała zamiaru się bronić.

– Posłuchaj mnie – ciągnęła Alexandra. – Doskonale wiem, jak bardzo jesteś zaangażowana w swoją pracę, ale to jeszcze nie powód, abyś będąc na dyżurze w zespole karetki, bez zastanowienia przystępowała do operowania ofiary wypadku. Przez ciebie zespół przez prawie godzinę nie mógł wyjeżdżać. Zmusiłaś też kolegę Raddera, żeby siedział beczynnym w sali operacyjnej, kręcąc młynka palcami, zamiast robić to, do czego jest uprawniony jako chirurg traumatolog, a mianowicie przeprowadzić operację zamiast ciebie! Że nie wspomnę już o tym, jak wprowadziłaś w błąd pielęgniarkę z OIOM-u, przemycając na oddział parę celebrytów. No i jeszcze na koniec to, że bez porozumienia ze swoimi przełożonymi wystąpiłaś w tym żalonym

programie telewizyjnym.

Daniëlle usłyszała, jak Calvino odchrząkuje.

– Pozwoli pani, że pani na chwilę przerwę, pani Plein? Nie chciałbym się wtrącać w wewnętrzne sprawy personalu. Jestem tu tylko po to, żeby panią poinformować, że zagrożenie dla chłopca jest o wiele większe, niż się początkowo wydawało. Jego życie jest w bezpośrednim niebezpieczeństwie. W tej chwili opracowujemy plan jak najszybszego ewakuowania go do innego szpitala.

– Ale... To chyba nie jest oskarżenie pod moim adresem? – spytała Daniëlle zdezorientowana.

– Przecież ja mu uratowałam życie.

– I na tym polega twoja praca, Daniëlle. Na ratowaniu życia. Za to ci płacimy. A nie za prowadzenie kampanii medialnych!

– Pani doktor Bernson – powiedział Calvino pojednawczym tonem. – Bardzo bym chciał, aby nadal wykonywała pani swoją pracę możliwie najlepiej i możliwie bez przeszkód. I nie mam wątpliwości co do pani kwalifikacji zawodowych. Jednocześnie mam jednak nadzieję, że rozumie pani, że szukając rozgłosu, poważnie naraziła pani bezpieczeństwo chłopca.

– Szpitale nie powinny się znajdować w centrum zainteresowania mediów – dołączyła się Alexandra Plein. – W żadnym razie. Jesteśmy tu po to, by pomagać ludziom wracać do zdrowia, a nie po to, by robić z nich celebrytów.

– To w żadnym razie nie był mój cel – odcięła się Daniëlle szorstko.

– Obojętnie, jaki był twój cel, będziesz miała okazję wypowiedzieć się na ten temat w toczącym się śledztwie. Do tego czasu jesteś zawieszona, Daniëlle.

Tego się nie spodziewała. W końcu przecież to, co zrobiła, było w jakiś sposób usprawiedliwione. Zrobiła to po zastanowieniu. Wszystko, co zrobiła, służyło konkretnemu celowi. Tyle tylko, że chybiła celu. Chociaż nie przysłała tutaj na rozmowę z Alexandrą, to jednak nie miało sensu protestować przeciwko jej decyzji czy też wdawać się w jakąkolwiek dyskusję.

– Czy mogłabym się jeszcze z nim zobaczyć? Skoro ma zostać ewakuowany, bardzo chciałabym się z nim pożegnać.

– Od wczoraj wieczór wstęp do niego ma wyłącznie personel oddziału intensywnej terapii – odparła Alexandra chłodno.

– Zapewniam panią – odezwał się Calvino tonem usprawiedliwienie – że chłopiec jest w najlepszych rękach i nie musi się pani o niego martwić. Mam nadzieję, że to panią uspokoi.

Zanim wyszedł z pokoju, podał jej dłoń na pożegnanie, odrobinę zbyt natarczywie patrząc jej w oczy. Naprawdę liczy na coś więcej, pomyślała Daniëlle. Formalny ton, jaki przybrał w tej rozmowie, był tylko pozorem. Z dziwnym uczuciem stała teraz twarzą w twarz z Alexandrą, która zupełnie niepasującym do tej sytuacji jowialnym tonem powiedziała do niej, odprowadzając ją do drzwi:

– Nie przejmuj się. Wyjedź gdzieś.

Żebyś wiedziała, że tak zrobię, pomyślała Daniëlle, wychodząc z gabinetu.

W pewnej odległości zobaczyła czekającego na nią inspektora Calvina.

– Pani Bernson, czy umie pani dochować tajemnicy? – spytał konspiracyjnym szeptem.

Zupełnie przypadkiem Dimitrij odkrył pomieszczenie gospodarcze, gdzie na drewnianych regałach leżały równo złożone ubrania robocze. Minutę później siedł w białym kitlu wśród suszarek bębnowych i automatycznych pralek, które były tak wielkie, że spokojnie dałoby się do nich wpakować nawet takich dwóch ochroniarzy, jak ten Murzyn przed wejściem. Rutynowym ruchem chwycił jeden z metalowych wózek z wypraną pościelą i spokojnie wyjechał z nim na korytarz. Wraz z grupką kobiet w wymiętych białych strojach poszedł do windy dla personelu, gdzie wśród metalowych guzików z numerami pięter znalazł literki OIOM.

Przy wejściu na oddział intensywnej terapii ochroniarz zaczął grzebać w pościeli na wózku. Zupełnie, jakbym był taki głupi, żeby tam coś schować. Spróbuj mnie zrewidować, fiucie, pomyślał Dimitrij, a wtedy zobaczymy, kto pierwszy sięgnie po mój pistolet, ty czy ja. Ale ochroniarz, nawet nie patrząc na niego, machnął tylko ręką, że może przejść.

W korytarzu zauważył przed drzwiami do jednego z pokoi policjanta, przypominającego dobrotliwego strażnika w muzeum. Cel zlokalizowany. To wszystko jednak niezbyt mu się podobało. Ochroniarze amatorzy, fajtlapowaty policjant przy drzwiach, odrobinę za długo patrzący na niego facet za kontuarem recepcji, wyglądający, jakby siedział tam po raz pierwszy – wszystko wyglądało tak, jakby go tu wręcz zapraszano. Czy może tylko tak mu się wydaje?

Idąc dalej ze swoim wózkiem, wszedł przez szerokie drzwi do jakiegoś pomieszczenia magazynowego. Rozejrzawszy się dokoła, stwierdził z zadowoleniem, że dobrze trafił. Wuj Arsenij opowiadał mu kiedyś o teorii chaosu i powiedział, że chaos i ład to dwie strony tego samego medalu. Chaos to pozorny nieład. Pozorny ponieważ tak naprawdę wywołany jest w sposób precyzyjny przez tak zwane atraktory. A dzisiaj takim atraktorem będzie Dimitrij. Za pomocą zapalniczki marki Zippo, wózka pełnego szpitalnej pościeli i cylindrycznych butli z tlenem wywoła chaos absolutny.

Musiałem się tak brzydko zachować w gabinecie pani przełożonej – usprawiedliwił się Calvino. – Widziałem, co pani zrobiła dla tego chłopca. Zaprowadzę panią do niego. W końcu uratowała mu pani przecież życie.

Chwilę później Daniëlle pochylała się nad chłopcem. Wiedziała, że oczywiście nie może jej zrozumieć, ale bardzo chciała mu powiedzieć, że będzie bezpieczny, bardziej bezpieczny, niż gdyby został tu z nią.

– Mam nadzieję, że będziesz żył długo i szczęście i może, kto wie... – Zamilkła. Chciała mu powiedzieć coś w rodzaju „Kto wie, może jeszcze kiedyś się spotkamy”, ale uświadomiła sobie, że już nie ma mowy o ponownym zobaczeniu się. W jego miejsce przyjdą nowi chłopcy i nowe dziewczynki. Tak samo pozbawione miejsca na ziemi, biedne i zagrożone. A potem one zrobią miejsce dla jeszcze innych. Port-au-Prince nie będzie jej ostatnim przystankiem.

Kiedy pocałowała go w czoło, kilka jej łez spłynęło na jego twarz.

– Musimy już iść – odezwał się Calvino cicho.

Stali w milczeniu w windzie, gapiąc się każde na czubki swoich butów. Tuż zanim Calvino wysiadł z windy na parterze, Daniëlle pocałowała go szybko w policzek. Wyszło prawie tak samo niezręcznie, jak kiedy po raz pierwszy pocałowała się z chłopakiem na szkolnym boisku. Calvino tak wolno wysiadał z windy, że omal nie zaklinował się w drzwiach. Zobaczyła jego zdumiony uśmiech, gdy się odwrócił, gdy drzwi z wolna zaczęły się zasuwać.

W porywie serca Daniëlle miała wielką ochotę sięgnąć do guzika „stop”. Oczyma wyobraźni już wyraźnie widziała, co się stanie. Jak drzwi otwierają się ponownie, a ona rzuca się Calvinowi na szyję i gorączkowo opowiada mu o tym, co zdarzyło się w nocy.

– Obroń mnie – wyszeptała na głos. – Obroń mnie.

Drzwi rozsunęły się i patrzyła na oświetlony neonowym światłem podziemny garaż. Nie ruszała się z miejsca. Była jak sparaliżowana. Drzwi zamknęły się. Znowu otworzyły. I znowu zamknęły. W tym momencie rozbrzmiał sygnał alarmu pożarowego.

Biegła w ciemności. Rozlegały się strzały z karabinów. Szelest wysokiej po kolana trawy. Głośne krzyki dzieci, które zostawiła.

– Obroń mnie.

Wyszła z windy do podziemnego garażu, oślepiona neonowym światłem i ogłuszona sygnałem alarmu, który przenikał wszystkie włókna jej ciała. Nie mogła wrócić. Ucieczka była jej jedyną obroną. Ogarnięta paniką wyjęła kluczyki i naciskała przycisk otwierania zamka centralnego przy każdym samochodzie, który mijala.

Sygnał alarmu atakował jej bębenki niczym serie z cekaemu. Słyszała krzyki biegających w panice ludzi. Stała między dwoma samochodami i pochyliła się, żeby zwymiotować, ale jakoś nie mogła. Przez chwilę stała oparta o maskę jakiegoś kabrioletu, potem kilkakrotnie nabrała głęboko powietrza i naciskała przycisk zamka centralnego, kierując kluczyki we wszystkie możliwe strony. W pewnej chwili nieoczekiwanie usłyszała kliknięcie i odwróciła się. Tuż za nią

stał jej czerwony fiat.

Wsiadła, najszybciej jak się dało, silnik zaskoczył natychmiast. Mocno docisnęła pedał gazu i pognęła w stronę wyjazdu. Wielki van nadjeżdżający z lewej, zahamował z piskiem opon. Czarny volkswagen touareg o mało w nią nie uderzył. Ze względu na jaskrawe światło reflektorów nie widziała kierowcy. Wykonała przeproszający gest ręką. Kierowca touarega zamrugał światłami, żeby jechała.

Wyjeżdżając z garażu, zauważyła, że czarne jak smoła chmury nieomal całkowicie pokrywały niebo, zabierając praktycznie całe światło. Zupełnie jakby wieczór zapadł o pół dnia za wcześnie. Kiedy opuszczała teren szpitala, zobaczyła nadjeżdżające z naprzeciwka trzy jednostki straży na sygnale, ale ona oddychała już spokojnie.

Wiedziała, że prawie wszystko ma już za sobą.

Marouan kontrolował całą sytuację. Wiedział, gdzie zajęli pozycje antyterrorystów w strojach lekarzy: jeden zainstalował się za ladą recepcji, drugi przez cały czas niby kontrolował monitory pacjentów. Jedynym, który od razu rzucał się w oczy, był umundurowany policjant przy drzwiach pokoju chłopca. Takie zresztą było jego zadanie. Musiał się niezłe pocić w kamizelce kuloodpornej pod mundurem.

Każdy miał w uchu słuchawkę. Przez cały czas porozumiewali się ze sobą. Przez pierwsze godziny nawet dość regularnie. W ciągu tej ostatniej już trochę rzadziej. Żadnych podejrzanych wydarzeń. Żadnych zwracających uwagę odwiedzających, jeśli nie liczyć jasnowłosej lekarki, która weszła na oddział razem z Calvinem. Marouan zobaczył, że płacze. Wyglądało na to, że chciała jeszcze zobaczyć chłopca. Marouan dał jej minutę na wyniesienie się.

W tym czasie przywieziono jakiegoś niedoszęłego samobójcę. Po minucie Calvino wyszedł z lekarką i skierował się do windy. Przeszedł jakiś studenciak z wózkiem pościeli na zmianę. Pacjent z sali numer trzy doznał wstrząsu septycznego. Marouan miał kontrolę nad wszystkim, co działo się w strefie chronionej.

W ciągu ostatniej godziny coraz bardziej zaczynał wątpić w przepowiednię Kowaliowa. Zasygnalizował mu, że wysłano zabójcę, ale było to równie pewne, co prognoza pogody. Młody, z rzucającą się w oczy blizną na lewym policzku, ubrany na czarno. Typ egzystencjalisty. Trudno jednak oczekiwać, żeby facet próbował wpakować się na oddział, pykając fajeczkę i rzucając na prawo i lewo cytatami z Jeana-Paula Sartre'a.

Chwilę potem przez słuchawkę zgłosił się Calvino, który z powrotem zainstalował się w centrali ochrony, i właśnie usłyszał, że za dziesięć minut ma przyjechać specjalistyczna karetka. Chodziło o to, żeby Marouan jak najszybciej zszedł na wewnętrzny dziedziniec szpitala, żeby dopilnować przeniesienia chłopca, a w tym czasie Calvino przekaże koordynację ochrony jednemu z kolegów.

Marouanowi niezbyt się to podobało.

– Nie możemy poczekać z transportem, dopóki nie złapiemy naszego gościa?

– Rozumiem, o co ci chodzi, partnerze – zapewnił go Calvino – ale nasze instrukcje są wyraźne. Ty i ja odpowiadamy za chłopca i będziemy towarzyszyć karetkę w drodze do Rotterdamu. Reszta zespołu zdejmie Ruska, gdy tylko się pokaże.

Marouan dałby wszystko, żeby już mieć za sobą tę sprawę w szpitalu. Razem z Mariską zjechał windą na dół. W ogóle nie czuło się prędkości, zdradziło ją dopiero nieprzyjemne uczucie w uszach. Marouan poczuł też lekkie ukłucie w żołądku, jak zawsze, kiedy miał wrażenie, że coś wymyka mu się z rąk i już wiedział, że nie uda mu się tego z powrotem chwycić. Zatkał sobie nos, żeby odetkać uszy. Czy coś przeoczył? Nic nie przychodziło mu do głowy. Była ochrona szpitalna, był policjant, byli uzbrojeni antyterrorystów.

Można powiedzieć – sytuacja całkowicie pod kontrolą.

Może to całe zamieszanie z karetką na dziedzińcu sprawiło, że jego niepokój wzrósł.



– Główny wjazd dla karetek jest za mały dla tej konkretnej karetki – powiedziała Mariska, wyczuwając jego zdenerwowanie. – Dlatego zawsze wjeżdża tutaj.

Marouan kiwnął głową. W tym momencie usłyszał alarm. Najpierw pomyślał, że to może syrena nadjeżdżającej karetki. Ale Mariska spojrzała nerwowo w górę.

– Co to?

– Alarm pożarowy na jednym z oddziałów – odpowiedziała.

W tym momencie Marouan już wiedział, że czegoś nie dopatrył i że przypuszczalnie jest już za późno, żeby to naprawić.

Pożar.

Czemu nie pomyślał o tej możliwości?

– Zajmij się karetką! – krzyknął do Mariski i wbiegł z powrotem do budynku.

Niezgrabne buciory ze stalowymi noskami, które miała pod strojem sanitariuszki, zawsze sprawiały, że Vera Hendrix czuła się jak robotnik na budowie. Ale były niezbędne, ponieważ nosze na kółkach używane przy tych specjalnych przewozach ważyły razem z przymocowaną do nich aparaturą grubo ponad sto kilo i nie byłoby wskazane najechać sobie którymś z kółek na palce.

Specjalistyczna karetka do przewozu pacjentów z intensywnej terapii był to kontener o wadze dwunastu ton, zabudowany na podwoziu ciężarówki volvo i wyposażony jak OIOM na kółkach. Zapewniał przewozy między szpitalami. Razem z kierowcą Haroldem Jacobsem i specjalistą od intensywnej terapii Ewaldem Jongiem Vera stanowiła zespół, który miał przewieźć chłopca.

Rzadko się zdarzało, żeby w ostatnim momencie zmieniano grafik i osobiście przekazywano im zlecenie wyjazdu. Tym razem miało miejsce i jedno, i drugie. Planowane na dziś przewozy zostały zmienione. Koordynator poinformował ich, że chodzi o chłopca lat mniej więcej siedmiu, potrąconego przez samochód. Potrzebne były dwa zabiegi operacyjne w celu powstrzymania krwotoków wewnętrznych, unieruchomienia złamania miednicy i jednej z kończyn dolnych, usunięcia części śledziony, zaopatrzenia urazu głowy, urazu płuca i innych narządów. Stan chłopca jest już na tyle ustabilizowany, żeby można go było przewieźć na pediatryczną intensywną terapię w Maaspoort Hospitaal w Rotterdamie. Cała operacja miała się odbyć z zachowaniem tajemnicy.

Po odprawie od razu wsiedli do karetki. Normalnie zawsze sprawdzali jeszcze przedtem całą aparaturę, ale ze względu na pilność zlecenia postanowili, że zrobią to w drodze do szpitala WMC. Vera sprawdziła nosze na kółkach, do których przymocowana była cała aparatura, żeby się upewnić, czy akumulatory są dostatecznie naładowane. Była to zasadnicza kwestia, ponieważ przez czas wywozu pacjenta z jednego szpitala, do czasu dostarczenia go do drugiego wszystkie urządzenia podtrzymujące czynności życiowe musiały pracować bez zarzutu. Vera przypomniała sobie sytuację, kiedy na ponad półtorej godziny utknęli w windzie, ponieważ nosze okazały się za ciężkie. Akumulatory wyładowywały się w przerażającym tempie, ale gdy ich wreszcie uwolniono, co trwało w ich odczuciu niemal wieczność, pacjent nadal był stabilny, ponieważ w momencie przyjazdu akumulatory były naładowane do pełna.

Po sprawdzeniu okazało się, że akumulatory mają sześćdziesiąt procent mocy. Spojrzała na Ewalda niezdecydowanie.

– Dopuszczalne ryzyko – usłyszała.

Była innego zdania, ale w sytuacji takiej, jak ta, nie było sensu dyskutować. Automatyczny cykl sprawdzający, jaki respirator przeprowadzał sam na sobie, pokazał, że wszystko inne jest w porządku.

Ponieważ między kabiną kierowcy a wnętrzem karetki zamontowano grubą ścianę, ona i Ewald mogli kontaktować się z kierowcą wyłącznie przez interkom. Dzięki zamontowanej na zewnątrz kamerze widzieli drogę na monitorze. Vera bardzo szybko dostawała choroby morskiej,

jeśli nie patrzyła co jakiś czas na drogę.

Harold powiadomił ich, że dotrą do WMC za jakieś dziesięć minut i że po załadowaniu chłopca będą eskortowani przez dwóch policjantów. Gdy dotarli do szpitala, okazało się, że wjazd blokują im dwie jednostki straży pożarnej na sygnale.

– Co tam się dzieje?! – zawołał Ewald przez interkom, kiedy usłyszeli, jak Harold gorączkowo rozmawia przez komórkę z kimś z WMC.

– Pożar na intensywnej terapii! – usłyszeli w odpowiedzi.

Sasza Kowaliow wysiadł tuż przy dużym placu, gdzie stał szpital WMC. Nad jego głową zbierały się groźnie czarne chmury.

Przywykł już, że nigdzie nie jest tak naprawdę u siebie. Przez całe życie wszędzie przebywał za krótko, żeby móc się tam tak naprawdę zadomowić. Bardzo mu to odpowiadało. Jak nikt inny doświadczył tego, do jakiego stopnia luksusowe może być takie życie nomady, nieznające granic ani barier czasowych. Zbyt często spoglądał przez okienko prywatnego odrzutowca Ławrowa na świat w dole, odpędzając od siebie kuszącą myśl, że jest półbogiem panującym nad czasem i przestrzenią i panem własnego losu. Absolutne złudzenie, oczywiście. Ludzie byli stworzeni do tego, żeby doznawać niepowodzeń. Sztuka polegała jedynie na tym, żeby ze wszystkich sił starać się jak najczęściej takim niepowodzeniom zapobiegać.

Tak jak tym razem.

Zanim pół godziny wcześniej wyszedł ze swojego mieszkania, po raz ostatni spojrzął na panoramę Amsterdamu, wiedząc, że na Goa czeka go anonimowe życie. Życie w jednym i tym samym miejscu. Tyle że będzie to życie we trójkę.

W tym życiu będą sobie spacerowali po plaży, Bikram i on. A między nimi tamten chłopiec. Będą go obaj trzymali za ręce. Chłopiec będzie znowu chodził. Na początek trochę niepewnie, ale będą mieli czas. Chłopiec z ociąganiem wejdzie do płytkiej wody przy brzegu. Będą się trzymali blisko niego, po obu stronach, tak żeby mogli go podtrzymać, gdyby nagle się przestraszył.

Sasza nigdy w życiu by nie przypuszczał, że kiedykolwiek znajdzie upodobanie w tego rodzaju wyobrażeniach. Było to bardzo zagadkowe odkrycie. Zupełnie jakby przez całe lata był dla siebie kimś obcym i dopiero teraz pojął, o co tak naprawdę chodzi w życiu. Rozbuchane fantazje o panowaniu nad przestrzenią i czasem z wielką chęcią zamienił na iluzję prostego rodzinnego życia.

Zostawił kluczyki w stacyjce i ruszył przez plac. Zobaczył podjeżdżające pełnym gazem trzy wozy strażackie na sygnale. Ludzie w hełmach i maskach tlenowych wpadli do głównego holu. Sasza spokojnie ruszył wzdłuż bocznego skrzydła w stronę wewnętrznego dziedzińca.

Winda dla personelu była zablokowana albo przeciążona. Marouan zdecydował się wejść po schodach. Na trzecim piętrze poczuł, że zaczyna mu brakować tchu, a serce podchodzi do gardła, i to nie tylko z powodu jego słabej kondycji. Z wyższych pięter spływały na dół kłęby szarego dymu. Po schodach zbiegali w panice ludzie. Krzyczeli i popychali się nawzajem. Ktoś się przewrócił, inni padali na niego.

Całe piętro oddziału intensywnej terapii zasnuwała gorąca mgła, wypełniona krzykiem i biegającymi w różne strony cieniami. Marouan usiłował znaleźć obydwu antyterrorystów. Zderzył się z łóżkiem z nieprzytomnym pacjentem, które dwóch pielęgniarzy w maskach tlenowych pchało w stronę zablokowanej windy. Bezsensowny wysiłek.

Nagle zobaczył policjanta leżącego na ziemi przy drzwiach pokoju, którego miał pilnować. Jeden z pielęgniarzy klęczał przy nim, podejmując rozpaczliwe próby przywrócenia mu przytomności. Marouan zobaczył ślady po kulach. Podwójne trafienie na wysokości serca. Zrobił kilka kroków w głąb pokoju i z przerażeniem zobaczył, co zrobiła reszta kul.

Pościel, w którą owinięte były butle z tlenem, stłumiły eksplozję. Tlen spowodował, że ogień rozprzestrzenił się z błyskawiczną prędkością. Natychmiast zrobiło się tyle dymu, że w ciągu paru minut widoczność na oddziale spadła prawie do zera, co spowodowało wybuch paniki. Krzyki pielęgniarek były głośniejsze od alarmu. Dimitrij patrzył na to z zadowoleniem. Teraz mógł o sobie powiedzieć, że jest prawdziwym *master of chaos*.

W korytarzu skupił uwagę na policjancie, który poderwał się ze swojego miejsca, kiedy ktoś zaczął wzywać pomocy. Dimitrij natychmiast wśliznął się do pokoju i oddał z bliska dwa strzały w stronę leżącego nieruchomo chłopca. Jeden w głowę i jeden w serce. Tłumik w zasadzie nie był mu do niczego potrzebny ze względu na hałas na korytarzu.

Kiedy się odwrócił, dostrzegł w drzwiach policjanta, który krzyczał do niego jakieś niezrozumiałe polecenie i trzymał w rozdygotanej dłoni skierowany w jego stronę pistolet. Dimitrij błyskawicznie wpakował mu dwie kule w pierś. Policjant upadł na plecy w gęsty dym, zupełnie jakby ktoś szarpnął go w tył. Wszędzie słychać było przeraźliwe krzyki.

Dimitrij pośpieszył w stronę schodów, gdzie rozpętało się pandemonium przepychających się z krzykiem i wrzaskiem ludzi, z których każdy chciał pierwszy znaleźć się na dole. Czuł, jak szarpia go i popychają na wszystkie strony. Trzymał się przy samej ścianie i spokojnie schodził w dół. Pośród przepychających się w panice ludzi zobaczył tego arabskiego lekarza, który wcześniej siedział za kontuarem recepcji oddziału intensywnej terapii. Lekarz próbował dostać się na górę, przepychając się przez tłum na schodach.

Dimitrij pozwolił, by tłum niósł go ze sobą w dół, lawina paniki, która w końcu wypłuła go w holu. Tam szybko skręcił na schody prowadzące do podziemnego parkingu.

Uruchomienie silnika touarega oznaczało zakończenie jego pierwszej misji. Nagłe hamowanie, żeby nie zderzyć się z czerwonym fiatem, okazało się ku jego zdumieniu początkiem misji drugiej, ponieważ w jasnowłosej kobiecie za kierownicą, która nerwowym gestem przeprosiła go za zajechanie drogi, Dimitrij rozpoznał swój drugi cel.

Kiedy otworzyli tylne drzwi, sygnał alarmu pożarowego dotarł do nich z pełną mocą. Vera razem z Ewaldem jak najszybciej podjechali noszami na kółkach do rampy. Na polecenie lekarki, która przedstawiła się jako Mariska, wjechali na górę windą towarową. Na tyle, na ile się dało, zasięgnęli informacji na temat aktualnego stanu chłopca. Podobno rano wystąpiły lekkie problemy ze zoperowaną śledzioną.

Zasłaniając sobie usta dłońmi, czekali, aż otworzą się drzwi windy na oddziale intensywnej terapii i popchali nosze korytarzem przez dym i chaos ewakuacji. Na oddział wpadli strażacy w maskach tlenowych. Na końcu korytarza zobaczyli płomień buchające z pomieszczenia gospodarczego. Jeden ze strażaków wrzucił do pomieszczenia bombę gaśniczą. Zaczęto rozwijać węże, w holu postawiono wielki wentylator.

Dołączył do nich jakiś człowiek o marokańskim wyglądem w lekarskim fartuchu.

– Policja, proszę za mną.

Dotarli za róg korytarza, gdzie natknęli się na człowieka w masce tlenowej i z automatem gotowym do strzału.

– Wszystko w porządku – usłyszeli głos towarzyszącego im policjanta. – Transport dla chłopca!

Następnie Marouan zwrócił się do Very i Evalda:

– Dzisiaj rano przenieśliśmy go na wszelki wypadek tutaj – powiedział, z trudem łapiąc oddech. – I Bogu dzięki okazało się, że to dobry pomysł.

– Jak to?

– Ktoś wtargnął do pokoju, gdzie wcześniej leżał chłopiec, i wpakował dwie kule w medycznego manekina, który tam leżał zamiast niego.

Front burzowy wisiał teraz dokładnie nad nią, a Daniëlle już na tyle doszła do siebie, że zaczęła się zastanawiać, czy burza będzie miała wpływ na wyloty z lotniska Schiphol. Była gotowa na kolejną podróż. Przez całe swoje życie stale tylko wyjeżdżała. Stale przejazdem. Nikt lepiej od niej nie potrafił palić za sobą mostów. Holandia też była już w zasadzie zamkniętym etapem w jej życiu.

Patrzyła na drogę przed sobą i zastanawiała się, co zostawia. Życie bez przyjaciół, składające się prawie wyłącznie z pracy. Niewielką czerpała przyjemność z nowych mebli z Ikei i używanego fiata punto. Przyziemne sprawy, którymi nie miała czasu się cieszyć.

Usłyszała ćwierkanie ptaków. Nie potrafiła powstrzymać ciekawości i odebrała. Mężczyzna po drugiej stronie linii sprawiał wrażenie bardzo zdenerwowanego.

– Daniëlle Bernson?

– Tak, to ja.

– Dzwonię do pani, bo... Widziałem panią w telewizji i wiem coś więcej o chłopcu z lasu.

– O chłopcu? Skąd pan ma mój numer?

– Ze szpitala.

– Co pan wie o chłopcu?

– Nie mogę powiedzieć. Nie przez telefon.

– Czemu nie zadzwoni pan na policję?

– Powiem pani, jak się zobaczymy.

– Nie mogę się z panem spotkać.

– Musi się pani ze mną spotkać. Wiem, co się stało.

Daniëlle zawahała się.

– Musi pan zadzwonić do kogo innego. Do pewnej dziennikarki. Nazywa się Farah Hafiz. Pracuje w „AND”.

– Ma pani do niej numer?

– Nie. Musi pan sam znaleźć.

W tym samym momencie Daniëlle zorientowała się, że z przyzwyczajenia jedzie na północ, w stronę swojego mieszkania. Przyzwyczajenia też będzie musiała zostawić za sobą. Przerwała połączenie i na najbliższym rozjeździe zjechała z obwodnicy. Musi przejechać na drugą stronę Ringu i wjechać na jego odcinek prowadzący na południe, w stronę lotniska Schiphol. Kiedy czekała na jednym ze świateł, zobaczyła we wstecznym lusterku podjeżdżającego blisko czarnego touarega. Był to ten sam wóz, który widziała w podziemnym garażu.



Vera zręcznie podprowadziła nosze na kółkach do łóżka chłopca. Razem z Ewaldem zaczęła go odłączać od szpitalnej aparatury i podłączać do aparatury przy noszach. Najpierw respirator. Potem monitory do sprawdzania pracy serca i ciśnienia krwi. Na prześcieradle przesunęli w końcu chłopca na nosze.

Droga z powrotem była ryzykowna. Chociaż aparatura medyczna była bardzo zaawansowana, to w tym chaosie wszystko mogło się zdarzyć. Ogień w tym czasie już opanowano, ogromny wentylator w holu rozpędził kłęby dymu, ale panika wciąż jeszcze była wielka. Ludzie biegali po korytarzach we wszystkie strony. Nieoczekiwany przystanek albo, co gorsza, zderzenie z czymś mogły spowodować u chłopca powstanie urazu. Każdy metr tego korytarza to było o metr za dużo.

Dołączył do nich drugi policjant. Razem ze swoim starszym kolegą poprzedzali teraz nosze, z rękami przy kaburach pistoletów. Człowiek z pistoletem automatycznym szedł tuż za nimi, rozglądając się na prawo i lewo.

W windzie towarowej Vera dowiedziała się, co się stało. Ze względu na realne zagrożenie zamachem chłopca przewieziono w inne miejsce już rano. W jego dawnym łóżku ułożono jako dublera medycznego manekina o ciemnym kolorze skóry i czarnych włosach, z maską tlenową na twarzy. Vera widziała taki manekin na kursie i pamiętała, jak realistycznie są wykonane. Policja rzeczywiście zrobiła wszystko, żeby zwabić zabójcę w pułapkę, aż po antyterrorystów z bronią przebranych za lekarzy. Nie przewidziała jednak chaosu, jaki powstanie w wyniku pożaru na oddziale.

Młodszy z inspektorów powiedział, że kompletnym bezsensiem było obsadzenie ochroniarzami wszystkich wejść i wyjść. W tej chwili połowa ludzi ze szpitala pędziła na dół. Próba powstrzymania takiej masy uciekających ludzi pociągnęłaby za sobą ofiary w ludziach i przyczyniła się tylko do zwiększenia paniki. Najważniejsze było teraz przewiezienie chłopca w bezpieczne miejsce.

Kiedy na dziedzińcu, ochraniani przez antyterrorystę z automatem, podjechali wreszcie do kontenera, Vera odetchnęła z ulgą. Najszybciej, jak się dało zamocowali nosze w środku pojazdu. Drzwi się zamknęły i chwilę później wyjeżdżali już z dziedzińca, żeby dotrzeć do wyjazdu z podziemnego parkingu, gdzie mieli już na nich czekać w samochodzie obaj inspektorzy.

Vera skupiła się na oddechu chłopca i właśnie patrzyła na monitor serca, kiedy wóz gwałtownie zahamował. Na ekranie pokazującym drogę zobaczyła mężczyznę w czerni podbiegającego do ich ambulansu. Nigdzie nie było widać inspektorów. Przez interkom usłyszała odgłos otwierania i zamykania drzwi w kabinie kierowcy. Jakiś męski głos wydawał polecenia po angielsku.

– Co tam się dzieje, Harold?! – zawołała przez interkom. Nie doczekała się odpowiedzi. Ambulans znowu ruszył. – Harold?! Wszystko w porządku?!

Wyjęła komórkę, wybrała numer Harolda i zaklęła, słysząc automatyczną sekretarkę. Popatrzyła na ekran i zobaczyła, że już wjechali na Ring. Nigdzie nie było widać samochodu inspektorów. Wtedy usłyszała przez interkom głos nieznanego mężczyzny. Mówił po angielsku z silnym wschodnioeuropejskim akcentem.

– Jeszcze jeden telefon i będziesz mogła zbierać ze ścian mózg kierowcy.

Kiedy zaczęli przyśpieszać, Vera poczuła wzbierający w niej taki sam strach jak wtedy, gdy utknęli z pacjentem w windzie.

Po przejechaniu świateł Daniëlle co chwila spoglądała w lusterko wsteczne, obserwując zachowanie czarnego touarega, który też wjechał na wiadukt. Na końcu wiaduktu ustawiła się na lewym pasie. Touareg zrobił to samo jak cień. Tuż przed zjazdem skręciła nagle na prawo i dodała gazu, zjeżdżając w stronę Lasku Amsterdamskiego.

Serce podeszło jej do gardła, kiedy znowu zobaczyła w lusterku czarnego touarega. Wcisnęła gaz do dechy i popędziła wąską asfaltową drogą wijącą się brzegiem szerokiego kanału.

Kiedy po którymś z kolei zakręcie zobaczyła ciemną leśną drogę odchodzącą w prawo, od razu w nią skręciła. Po przejechaniu stu metrów zahamowała gwałtownie, wyłączyła silnik i zgasiła światła. Wstrzymując oddech, patrzyła we wsteczne lusterko, w którym zobaczyła jak touareg przejeżdża w pełnym pędzie.

Poczekala, aż oddech się jej trochę uspokoi i położyła dłonie na kierownicy. Dygotała, jakby nagle zrobiło się o kilka stopni chłodniej. W oddali rozległ się stłumiony pomruk nadciągającej burzy.

Włączyła silnik i nie zapalając świateł, wróciła na wstecznym do asfaltowej drogi. Tuż zanim zdążyła skręcić, z naprzeciwka wyłonił się czarny touareg. Prawą ręką wrzuciła jedynekę i z całej siły nadepnęła pedał gazu. Jechała już osiemdziesiąt na godzinę, kiedy zobaczyła, że leśna droga się kończy i zbliża się do niej ściana lasu. Skręciła kierownicę w prawo tak szybko, że jej fiat przekoziółkował, obracając się dwukrotnie wokół własnej osi, zanim ponownie stanął na kołach.

Dym. Syk. Zgrzyt metalu. Zawartość pękniętej poduszki powietrznej wypełniała jej nos i usta. Poczula zapach wylewającej się benzyny. W ustach słonawy smak krwi, ciekącej z rany na czole. Narastające nudności. Otworzyła drzwi samochodu, wytoczyła się z samochodu i próbowała się podnieść. Udało jej się stanąć i zataczając się, ruszyła w głąb lasu. Błyskawice w oczach ograniczały jej pole widzenia. Drzewa nagle zaczęły ukośnie zagradzać jej drogę. Gałęzie stały się ramionami ośmiornic. Korzenie łapały ją za nogi.

Utkwiła spojrzenie w światłach pasa startowego w oddali i wmawiała sobie, że to będzie koniec tego śmiertelnego pościgu. Zgubi go. Te światła uratują jej życie. Wyjdzie z tego cało.

Wpadła prosto na niego.

Zupełnie jakby przez cały czas tu na nią czekał.

Farah lubiła zapach skóry, który uderzał ją w nozdrza za każdym razem, gdy otwierała drzwi porsche carrery. Uwielbiała głęboki pomruk chłodzonego powietrzem silnika, kiedy dodawała gazu, i czuła moc, kiedy opony szukały zaczepienia na asfalcie. Jak nikt inny rozumiała, czemu ludzie wsiadali do samochodu, gdy coś ich trapiło. Im ostrzej nadepnęła na ogon swojemu klasykowi szos, tym bardziej rozjaśniało jej się w głowie.

Gnała przez Ringweg, mając na uwadze jeden tylko cel, a mianowicie jechać tak długo i tak szybko, aż poukłada sobie we właściwym świetle wszystkie zagadki wokół wizyty u Walentina Ławrowa. Najbardziej intrygowało ją oczywiście, w jaki sposób obrazek z boginią rzeki znalazł się w gabinecie Ławrowa, i to na tak poczesnym miejscu, pośród tych wszystkich współczesnych bohomazów. Ławrow wiedział, kim ona jest. Nie mógł oczywiście mieć pojęcia o jej emocjonalnych więzach łączących ją z tym obrazkiem, a więc fakt, że tam się znajdował, musiał być przypadkiem. Były jednak trzy rzeczy, w które Farah nie wierzyła, a mianowicie małżeństwo, niebo i przypadek.

Świadomie nie poruszyła sprawy samobójstwa Anglade'a, przemilczała rolę Armina Lazondera, jaką musiał odgrywać w sprawie potrąconego chłopca, będąc właścicielem podejrzanej willi w Lesie Amsterdamskim, ale co takiego poruszyła, pytając Ławrowa o bentleya? Co kryło się za sposobem, w jaki Ławrow na nią popatrzył, kiedy wspomniała o jego uderzającym podobieństwie do dawnego radzieckiego dowódcy Michałowa? Mogłaby sobie jeździć całe dnie, ale tym razem odpowiedzi i tak nie pojawiłyby się same z siebie. Będzie musiała pojechać po nie do Moskwy. Musi wykorzystać chwilowe zaufanie, jakim cieszyła się u Ławrowa.

Popatrzyła na licznik, który wskazywał właśnie prędkość sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę i poczuła potrzebę zadzwonienia do Davida. Normalnie dzwoniła do niego, gdy tylko zdarzyło się jej coś osobliwego albo czymś się martwiła. David potrafił słuchać jak nikt inny i był prawdziwą skarbnicą inspirujących rad. Ale brakowało jej go nie tylko z tego powodu. Nie mogła znieść, że półroczny intensywny związek nagle rozpląnął się w powietrzu, i to z powodu jednego, jedyne błędu, jaki popełniła.

Kwadrans później dojeżdżała już do krytej strzechą posiadłości nad Amstelveense Plas. Drzwi wejściowe otworzyły się i kiedy nagle zobaczyła, że staje w nich David, nonszalancki jak zawsze, kiedy na nią czekał, ogarnęło ją ciepło i poczucie winy zarazem. Wyobraziła sobie, że wystarczy jeszcze kilka budzących smutek słów i trochę wymijających odpowiedzi, zanim znowu odważą się dotknąć siebie nawzajem. Ostatecznie jednak będzie mogła zamknąć go w ramiona i pchnąć schodami w górę, w stronę sypialni.

Natychmiast zrezygnowała z tych zamiarów, gdy podeszła do niego bliżej. Sposób, w jaki na nią patrzył, zdradzał, że jego agresja jeszcze wzrosła. Tyle tylko, że była jeszcze zamknięta, zupełnie jak rozżarzony uran powstrzymywany jest przez sarkofag ze zbrojonego betonu.

– Chodź – powiedział, nawet jej nie dotykając. – Coś ci pokażę.

Poszła za nim. W przelocie zobaczyła kilka stojących w holu kartonów. Na środku stołu leżał dzisiejszy numer gazety „De Nederlander”. David wziął ją do ręki i otworzył na stronie, gdzie Eric Sanders pozostawił swoje ostatnie ślady. Nad zdjęciem, na którym widać ją było przy grobie Parwaiza, krzyczał wielkimi literami tytuł: FARAH H. ŚPIEWA NA POGRZEBIE ISLAMSKĄ PIEŚŃ BOJOWĄ. Obok widniało inne jej zdjęcie, na który widać, jak całuje się z Joshuą na pokładzie jego pływającego domu, i komentarz, którego słowa odbijały się echem w jej głosie. „W czasie wolnym Farah H. niezbyt przejawia się zasadami islamu. Ubrana tylko w podkoszulek spędziła dzisiejszy ranek na mieszkalnym statku przystojnego inspektora policji, dla którego rzuciła niedawno znanego dokumentalistę, Davida van Rhijna”.

– Jak długo to już trwa? – spytał David.

– Ta kampania nienawiści? Od paru dni.

– Nie, Farah! Pytam o to! – David przebił palcem zdjęcie, przedstawiające sielankę na pokładzie. – Jak długo to już trwa? Te potajemne spotkania z panem inspektorem.

– Wierzysz w to, co tu jest napisane?

– Czyżby to była nieprawda? To zdjęcie to fotomontaż?

– Zdarzyło się to tylko raz.

– I akurat przy tym jednym razie całkiem przypadkiem był fotograf, tak?

Widać było, jak buzuje w nim długo powściągnięta wściekłość.

– Dlaczego nie chciałaś, żebym poszedł z tobą na pogrzeb? – spytał nieoczekiwanie.

– Po tym, co się wczoraj stało?

– Wymyśliłem doskonały nagłówek dla tego, co się wczoraj stało – wyszczał. – „Kobieta przyznaje się do permanentnej zdrady, mężczyzna wybucha gniewem, na co kobieta ucieka, żeby wypłakać się w ramionach kochasia”.

– Dobrze wiesz, że tak nie było. Uszanuj moją godność, bardzo cię proszę.

– A czy ty mnie uszanowałaś? – spytał ostro, wymachując gazetą, swoim ostatecznym dowodem.

– To bardzo proste, David. Wszystko zależy od tego, czy wierzysz w tego rodzaju kłamstwa, czy też wierzysz mnie.

– Naprawdę, takie proste?

– Tak jest. Takie proste.

– Zupełnie tak samo, jak proste było zapakowanie twoich maneli do pudeł – powiedział sucho.

– Stoją w holu. Zabieraj je i spadaj stąd.

Nagle czuła już tylko współczucie dla tego mężczyzny, który stał przed nią. Ale nie był to ten rodzaj współczucia, który potrafi oznaczać nowy początek. Ona po prostu nie potrafiła zrozumieć, jak mogła się tak pomylić co do tego człowieka, ciepłego, inteligentnego, o wielkim poczuciu humoru, który teraz zagubił się we własnej zawziętości i desperacko trzymał się frustracji.

Wróciła do holu i rzuciła okiem na pudła. Były w nich jej džinsy, adidasy, spodnie, staniki, t-shirty, kosmetyki do makijażu i książki. Po krótkim wahaniu wzięła pierwsze z brzegu pudło i zaniósła do carrery.

Może to rzeczywiście takie proste, pomyślała, nosząc do samochodu kolejne pudła. Zakończenie związku zmateriałizowane w postaci kilkunastu kartonowych pudeł. Tak samo jak całe życie człowieka kończy się w drewnianym pudle.

Kiedy boeing 747 linii KLM lecący z Johannesburga dotknął kołami pasa na lotnisku Schiphol w Amsterdamie, Paul był całkowicie pochłonięty oddychaniem do papierowej torebki, którą podała mu Sandrine. Dwadzieścia minut później stali naprzeciwko siebie przy taśmie bagażowej. Ona ze swoją walizką, on wciąż jeszcze z pustymi rękami.

– Bardzo ci dziękuję.

– Nie ma za co – odpowiedziała Sandrine. – Powodzenia, Paul.

Próbował się uśmiechnąć, ale wyszło to tak, jakby był drugorzędnym aktorem w filmie pozbawionym budżetu. Poglądziła go po ramieniu i pocałowała w policzek.

Kiedy zniknęła za matowymi szklanymi drzwiami hali przylotów, znowu dopadła go samotność. Złapał torbę, która właśnie pojawiła się na taśmie, i minął matowe szklane drzwi, przechodząc obok celnika, który patrzył przed siebie, demonstracyjnie omijając go wzrokiem. Był z powrotem w Holandii. W domu. Ale wcale tak tego nie odczuwał. W wielkiej hali patrzył w pełne wyczekiwania twarze witających.

Jako chłopiec też tutaj stał, razem z matką, czekając na powrót ojca, który miesiąc wcześniej poleciał do Kambodży. Całymi tygodniami każdego ranka zapalał w domu świeczkę pod obrazkiem tajskiego aniołka z ręką płasko wysuniętą przed siebie. Potem razem z matką zjadali śniadanie i za każdym razem obiecywała mu, że natychmiast odbierze go z lekcji, jeśli tylko dostanie informację, kiedy wróci ojciec. I z każdym kolejnym mijającym dniem widział, jak nauczyciele coraz bardziej się o niego troszczą, a koledzy starają się, jak mogą, żeby być dla niego miłsi niż zwykle. W czasie cotygodniowych meczów koledzy z drużyny zadziwiająco często podawali mu piłkę na czystą pozycję strzelecką. W czasie tych tygodni, gdy tęsknił za ojcem, Paul był najlepszym strzelcem w swojej drużynie.

W środowe popołudnie, kiedy był już w domu, podjechał wóz. Czarny chevrolet na numerach CD. Korpus Dyplomatyczny. Zobaczył jak oficer w mundurze otwiera tylne drzwi wozu i wysiada wysoki mężczyzna w okularach i ciemnym garniturze. Mężczyzna patrzył nieruchomym wzrokiem na ich dom, podczas gdy z drugiej strony z samochodu wysiadła młoda kobieta z dużą teczką. Razem podeszli do drzwi.

Matka otworzyła w milczeniu i nie odezwała się też ani słowem w czasie urywanego monologu mężczyzny w okularach. Regularnie zdejmował je z nosa, żeby je przetrzeć szmatką, ale Paul rozumiał, że to tylko taki pretekst, który ma pozwolić matce i jemu przetrwanie usłyszaną właśnie informacji.

Znaleziono szczątki. Gdzieś w jakimś odosobnionym miejscu na północ od stolicy Kambodży Phnom Pehn. Identyfikacja była praktycznie niemożliwa, ale może pani Chappelle uda się rozpoznać elementy odzieży, torbę na ramię, notatnik z zapiskami? Matka przytaknęła w milczeniu. A potem rozbrzmiało jej złowieszcze pytanie.

– Kiedy wróci?

Mężczyzna nałożył okulary.

– Jeszcze dziś wieczorem.

Wtedy Paul po raz pierwszy w życiu widział ołowianą trumnę. Matka wpadła w panikę, gdy usłyszała, że trumny nie da się już otworzyć.

– Proszę zrozumieć, pani Chapelle, że zanim znaleziono ciało pani męża, to ono przez dość długi czas... Będzie chyba lepiej, jeśli zapamięta go pani takim, jaki był, kiedy widziała go pani po raz ostatni.

Paul przycisnął dłoń do piersi, a potem wyciągnął ją, żeby dotknąć zimnego ołowiu trumny w nadziei, że w ten sposób obudzi ojca z powrotem do życia. Ale czy to z powodu pochlipywania matki, współczujących spojrzeń wojskowych, czy też niewystarczającej siły przekonywania nic się nie stało. Żadnej światłości. Żadnego zmartwychwstania. Tylko przygniatająca pustka.

Za każdym razem, kiedy znalazł się na lotnisku Schiphol, od razu przychodziły do niego tamte wspomnienia. Tam, gdzie ludzie machali do siebie na krótsze lub dłuższe pożegnanie, albo witali się, padając sobie w ramiona, on nie mógł myśleć o niczym innym, jak tylko o swoim ojcu, z którym nigdy nie było mu dane się pożegnać.

W tym momencie usłyszał, jak ktoś woła jego imię.

Dimitrij do dziś pamiętał, jak nazywała się ta gaska, która uciekła i którą złapał jako mały chłopiec: Snieguroczka. Broniła się, sycząc, chciała go uszczypnąć. Ale kiedy tylko mocniej ją ścisnął, jedną dłonią za szyję, a drugą obie nogi, zamarła jak zaczarowana. Wiedział, że była to instynktowna reakcja, przekazana przez mózg wszystkim grupom mięśni, informująca, że nie da się uwolnić z tego chwytu i lepiej zapaść w rodzaj pozornego snu i czekać na jego osłabienie, co pozwoli znowu myśleć o walce.

Z tą kobietą, która, jak widać, wytoczyła się z rozbitego samochodu i chwiejnym krokiem uciekła do lasu, było tak samo. Zatoczył koło, zupełnie jakby wytyczał wyimaginowaną granicę. Zrobił to bardzo spokojnie, uważając przy tym na gałęzie i korzenie, które potrafiły być zdradliwe, gdy szło się zbyt pośpiesznie, tak jak ona. Kiedy usłyszał, jak się zbliża, znieruchomiał, czekając na moment, gdy będzie tuż przed nim. Zderzyła się z nim. Zupełnie jakby był przyciągającym ją magnesem.

Spoczywała teraz pozornie bezbronna w jego ramionach, kiedy wynosił ją z lasu. I chociaż gdzieś głęboko w podświadomości musiało jej świtać, że w tym momencie ucieczka jest niemożliwa, doskonale wiedział, że jeśli tylko poluźni chwyt, natychmiast wszystkie instynkty, mięśnie i narządy w jej ciele zaczną ze sobą współpracować w celu wymuszenia ostatecznej ucieczki.

Położył ją na masce touarega i dotknął rany na jej czole. Usłyszał, jak zaczyna cicho pojękiwać. Otworzyła oczy, patrząc na niego jakby z bardzo daleka. Uśmiechnął się do niej, rozpinając jej bluzkę i przejechał językiem po strużce krwi, która ściekała jej z czoła przez brodę na prawą pierś.

Zaczęła coś szeptać. Nie rozumiał, co mówi. Szeptała w swoim języku. Była obca, a jednak jakby ją znał. Potem zaczęła szeptać po angielsku. Usłyszał słowo „boy”. Zabrzmiało czule, zupełnie jakby chciała go uspokoić. Pochylił się do przodu, zaczął lizać i gryźć jej sutki, które zaraz stwardniały, a ona zaczęła jeszcze więcej szeptać po angielsku. Zrozumiał „please” i już wiedział, że się poddała. Kiedy sięgnął jej pod spódnicę i jednym ruchem zerwał majtki, czuł napięcie ciała gęsi, która wie, że ma umrzeć.

Jej ciało wyprężyło się jak rażone prądem, kiedy się w nią wbił. Starał się opanować i poruszać biodrami w sposób kontrolowany. Przy każdym ruchu słyszał, jak jej ciało pod jego ciałem głucho uderza o blachę maski. Czuł jej szukające ramiona wokół siebie i przycisnął twarz do jej piersi.

W momencie, kiedy miał w niej wytrysk, wyprostował się majestatycznie w ekstazie. W tym samym momencie usłyszał odgłos wystrzału z własnego pistoletu i piekący ból w prawym ramieniu. Impet odrzucił go od niej, jakby trafił go piorun, i krwawiąc, upadł na plecy, a jej ciemna sylwetka zaczęła zlewać mu się w oczach z czernią lakieru touarega.



Ostatni raz kiedy Edward widział swojego siostrzeńca płaczącego, było to na pogrzebie Raylana. Przypomniawszy sobie, jak w tamtej chwili stał przy Isobel, podtrzymując ją. Ale Isobel była w tamtej chwili w zupełnie innym świecie. W takim, gdzie próbowała płynąć pod prąd czasu w nadziei, że ponownie spotka człowieka, który był jej miłością, i zdoła przywrócić go do życia. Mały Paul stanął przy nich i chwycił matkę za rękę i tak we trójkę z wolna znieruchomieli w wyrazie żalu i pragnienia.

Edward przypomniał sobie, jak z Isobel i siedmioletnim Paulem machali Raylanowi na pożegnanie, gdy odlatywał do Kambodży, trzydzieści lat temu, i zastanawiał się, czy jego szwagier gdzieś w głębi duszy wiedział już, jakie wiezie ze sobą przeznaczenie, kiedy przechodził odprawę celną i całkowicie wbrew swoim zwyczajom odwrócił się raz jeszcze i długo patrzył w ich stronę, nic nie mówiąc ani nie machając, jak żywy posąg, zupełnie jakby chciał po raz ostatni objąć wszystko wzrokiem, a potem odwrócił się i zniknął na zawsze.

Po tych wszystkich latach Paul stał teraz pośród tych wszystkich ludzi w hali przylotów lotniska Schiphol tak samo zagubiony jak jego ojciec w momencie wylotu. To samo napięcie rysów twarzy, która nawet tak pokiereszowana i zmęczona wciąż była pociągająca, mimo że nieogolona i poszarzała. Jaki ojciec, taki syn.

Energicznym krokiem Edward podszedł do Paula, wziął go w ramiona i mocno przycisnął do siebie. Paul z niejakim trudem uwolnił się z jego uścisku i otarł rękawem łzy.

– Naprawdę nie masz nic lepszego do roboty, jak tylko doprowadzać do łez faceta, który ma za sobą dwanaście godzin lotu?

– Gdybym wiedział, że taki z ciebie teraz mięczak, tobym ci tu zorganizował basen z piłeczkami. Do twarzy ci z tym opatrunkiem. I z tymi szwami. Co się stało?

– Później, Ed.

– To wszystko, co masz? – spytał Edward, wskazując niewielką torbę Paula.

– Zabrałem też siebie. To największy ciężar.

**O**d chwili kiedy tamten chłopak położył ją na masce touarega, Daniëlle nie potrafiła już myśleć ani reagować. Potrafiła się już tylko poddać. Znalazła się w stanie dziwnego odurzenia, w którym potrafiła już tylko błagać szeptem o litość. A kiedy przywarł swoim mocnym, umięśnionym ciałem do jej ciała, mogła już tylko słabo go od siebie odpychać.

Nie miała pojęcia, jak to się stało, ale nagle poczuła w kieszeni jego kurtki metal i objęła go dłonią. Zebrała wszystkie siły, jakie jeszcze miała i strzeliła w stronę cienia, który pochylał się nad nią dysząc. Impet odrzucił go od niej w tył i Daniëlle osunęła się po masce samochodu na ziemię. Pistolet wypadł jej z rąk.

Oszołomiona ruszyła chwiejnie w stronę lasu. Nie potrafiłaby powiedzieć, ile razy o mało się nie przewróciła. Nie miało to żadnego znaczenia. Musi zniknąć między drzewami. Zwieszające się gałęzie drapały jej twarz, ale ona starała się po prostu iść dalej wyprostowana, mimo wszystko mając nadzieję, że jest jeszcze dla niej ratunek.

Aż w pewnym momencie zobaczyła, jak przewracają się przed nią drzewa, i uświadomiła sobie, że to ona sama upadła.

Na wielkim ekranie w hali głównej lotniska Schiphol leciał na żywo program *De Headlines Show*. Paul zobaczył zdjęcia młodej, atrakcyjnej kobiety o orientalnej urodzie, stojącej w czarnej chuście na głowie przy grobie.

– O, nie – usłyszał sapanie Edwarda, który stał obok niego. – Tylko nie to. Dobry Boże, tylko nie to...

Przez halę przylotów niósł się głos prezenterki o czerwonych jak wiśnie ustach.

– „A oto zupełnie inne oblicze Farah H., oblicze, którego jeszcze nie znaliśmy – mówiła triumfalnym tonem. – Widzimy tutaj, jak na pogrzebie śpiewa islamską pieśń bojową”.

– Twoja nowa partnerka – powiedział Edward głucho, ruchem głowy wskazując ekran.

– Co? Ta lampucera z dekoltem?

– Nie. Ona. – Edward ponownie pokazał głową na ekran, na którym widać było tę samą kobietę co na pogrzebie, ale ubraną teraz tylko w podkoszulek, jak stoi na pokładzie statku mieszkalnego i całuje się z mężczyzną, który wyraźnie trzyma rękę między jej nogami.

– Jezusie Nazareński... – wymamrotał Edward. – Nie miałem pojęcia, że to takie zdjęcie.

– O co tu chodzi? – spytał Paul.

Na ekranie ponownie pojawiła się prezenterka.

– „W czasie wolnym Farah H. niezbyt przejmując się zasadami islamu. Tu widzimy ją w innym wcieleniu, mianowicie jako pożeraczkę męskich serc”.

– To materiał o Farah – objaśnił Edward. – Takie właśnie błoto teraz na nią wylewają. Nie pytaj mnie dlaczego. Też byłem wczoraj na pogrzebie. Niemal wszyscy się popłakali, kiedy zaśpiewała tamtą pieśń. W jakich my żyjemy czasach, na Boga?

– W czasach szybkiej i wszechobecnej sensacji, Ed – odrzekł Paul. – I mnóstwo mediów na to stawia.

Zafascynowany wpatrywał się w zdjęcia Farah. Dziewczynka z ogrodu motyli w Kabulu została dziennikarką w Holandii. I choć całe życie robił wszystko, by powiększyć swój świat, jedno zrzęcenie losu sprawiło, że znowu stał się on tak mały, że po prawie trzydziestu latach znowu stanął naprzeciw niej.

– Powinna tu być. – Edward rozejrzał się dokoła. – Ale pewnie coś jej wypadło. Miała dzisiaj spotkanie z Ławrowem. Udało nam się znaleźć doskonały pretekst. Ławrow będzie współpracował z nami przy specjalnym dodatku o sztuce.

– Odważne – powiedział Paul, popatrując z boku na ekran, gdzie prezenterka w studiu nawiązała połączenie wideo z premierem Holandii, który wraz z ministrem gospodarki Lombardem i niewielką świtą renomowanych biznesmenów właśnie wybierał się z pięciodniową wizytą do Rosji.

– „Panie premierze, jakie są pańskie oczekiwania” – usłyszał jeszcze jej pytanie, gdy przez obrotowe drzwi wychodzili z hali.

Na wielkim placu czuło się gwałtowne uderzenia wiatru. W pewnej odległości zobaczył

groźnie zbliżający się wał czarnych jak atrament chmur.

– Jak tam z mamą? – spytał Paul.

– Potrzebuje cię.

W tym momencie Paul dostrzegł Sandrine, czekającą na postoju taksówek.

– Poczekaj chwilkę, Ed.

Zawołał jej imię. Najpierw wyglądało, jakby go nie słyszała, ale potem odwróciła się i patrzyła, jak do niej podchodzi.

– Nie ma czegoś takiego jak przypadek. – Paul sam zdawał sobie sprawę, że trochę głupio to zabrzmiało, ale nic innego nie przyszło mu do głowy.

– Oczywiście, że jest – odpowiedziała przytomnie. – Wszystko zależy tylko od tego, kto go organizuje.

– Możemy cię podzucić?

– Nie, nie, zaraz moja kolej. Poradzę sobie. Ale wielkie dzięki. Za propozycję.

– No to powodzenia – powiedział z nieco smutną intonacją w głosie, po czym szybko się odwrócił i odszedł. Spoglądając w górę, zobaczył jak czarne jak sadza chmury błyskawicznie zasnuwają niebo.

Dmitri musiał na chwilę stracić przytomność. Kłujący ból w miejscu, gdzie kula weszła w ciało, przywrócił mu świadomość. Przycisnął dłonią miejsce, w którym z rany lała się krew i na czworakach szukał na ziemi pistoletu. Kiedy go znalazł, podciągnął się w górę na masce samochodu i zaczął się rozglądać w poszukiwaniu kobiety.

Zobaczył niewyraźny zarys jej sylwetki chwiejnie poruszającej się między drzewami. Zmrużył oczy w wąskie szparki, żeby móc wycelować.

Kiedy padł strzał, od razu osunęła się na ziemię. Zupełnie jakby jej nogi były cienkimi gałązkami, które nagle złamały się pod jej ciężarem. Leżała na trawie, wijąc się z bólu. Podeszedł w jej stronę i kiedy stanął nad nią, ona patrzyła na niego błagalnie.

– *Please...*

Dimitrij nienawidził, kiedy kobiety błagały. Błaganie było sygnałem pokoju, którego nie uznawał.

Kiedy skierował lufę pistoletu w jej stronę, aż dygotał z wściekłości. Przez to, że się z nią zapomniał, pozwolił się podejść, i to doprowadzało go do szału. Teraz musi poczekać, aż się uspokoi i wszelkie emocje znowu ulegną zamrożeniu. Musi się odgrodzić od wszelkich hałasów, które zaburzają ten moment, gdy ostatecznie odbierze jej życie. Chciał ją zabić w jedyny właściwy sposób: z idealną precyzją. Tak jak chirurg wycina wrzód ze zdrowej tkanki.

Słyszał monotonny szum dochodzący z odległej autostrady, przede wszystkim jednak słyszał coraz bliższe pomruki nadciągającej burzy. Z czarnego jak smoła nieba spadały krople deszczu, ciężkie jak płynny ołów.

Zobaczył, jak kobieta szeroko otwiera usta, stając się tubą, przez którą w niepowstrzymanej erupcji wydobył się z jej trzewi śmiertelny krzyk. Całe jej ciało zadygotało od tego krzyku.

Cisza, jaka zapadła, kiedy wystrzelał do niej cały magazynek, była tak przemożna, jakby jej śmierć pochłonęła wszystkie dźwięki.

Dimitrij stał chwiejnie na nogach, rękę wciąż trzymał wyciągniętą przed siebie. Jego palec wskazujący nadal raz za razem naciskał spust, a na ręce pojawiły się grube czerwone krople. Jego wyciągnięte ramię całe było nimi pokryte.

Kiedy Paul, który zaoferował się, że poprowadzi saaba, wyjeżdżał z lotniska na obwodnicę Amsterdamu, zadzwoniła Farah i Edward przełączył rozmowę na głośniki. Głos miała przygnębiony, ale Paul nadal wyczuwał w nim dawną przekorę małej dziewczynki.

– Przepraszam, że się spóźniłam – usłyszał. – Wszystko już jest w „De Nederlander”, Ed.

– Było też już w *De Headlines Show* – poinformował ją Edward. – Jak teraz wiem, mam w zespole dziennikarkę nimfomankę, która z upodobaniem wykonuje islamskie pieśni bojowe. Dobrze wiedzieć przed następną imprezą integracyjną.

– Wcale nie jest mi do śmiechu, Ed.

– Mnie też nie. Marant najwyraźniej idzie na całość.

– Ale dlaczego?

– Obawiam się, że bardzo niedługo się tego dowiemy.

Powietrze przecięła błyskawica. Echo uderzenia dało się słyszeć w głośnikach przekazane przez telefon Farah. W tym samym momencie Paul dostrzegł w mijającej ich taksówce smutno patrzącą przed siebie Sandrine.

– Gdzie teraz jesteś? – spytał Edward.

– W drodze na lotnisko, liczyłam na to, że lot Paula będzie spóźniony. Jest już z tobą?

– Siedzi obok. Nie mógł się powstrzymać i od razu chciał dosiąść saaba. I zapomnij, co ci mówiłem o jego przystojnej twarzyczce – powiedział Edward i uśmiechnął się. – Nie wygląda za dobrze.

– Cześć, Paul – rozległo się w głośnikach.

Paul długo wahał się z odpowiedzią.

– Zabawne znowu cię usłyszeć, Farah. Po tych wszystkich latach – rzekł w końcu.

– Zabawne? Poczucie humoru masz zupełnie jak twój wuj.

Paul westchnął. No tak, nic się nie zmieniła, tak samo cięta w języku jak dawniej.

– Jak poszło z Ławrowem? – zapytał Ed niecierpliwie.

– Dziwna sprawa, Ed. Będę musiała polecieć do Moskwy.

– Do Moskwy?

Druga błyskawica przecięła powietrze, zaraz potem rozległ się rozdzierający grzmot. Paul usłyszał w głośnikach okrzyk przestrochu Farah.

Wszystkie wozy przed nimi włączyły migacze i zmniejszyły prędkość ze względu na grubą zasłonę deszczu ograniczającą widoczność. Niektóre samochody zaczęły wykonywać nieoczekiwane manewry, co tylko powiększało chaos. Paul ustawił wycieraczki na najszybszy bieg, ale i to niewiele pomogło. Wpatrując się w to, co dzieje się przed nim, zmniejszał prędkość, ale wciąż posuwał się do przodu. Gdyby się teraz nagle zatrzymał, od razu najechałoby na niego ci z tyłu.

Połączenie z Farah zostało najwyraźniej przerwane. Jednostajny szum głośników coraz bardziej tonął w narastającym crescendo uderzeń ołowianych kropel deszczu o dach samochodu.

**D**imitrij z trudem wsiadł do touarega. Krew bezustannie lała się z rany na ramieniu, był już cały mokry. Czuł się tak, jakby miał wysoką gorączkę. Pocił się na całym ciele. Ból ogromnymi falami przenikał cały jego tułów, a w głowie tak mu dudniło, jakby za chwilę miały mu pęknąć skronie. Wszystko, na co patrzył, przesłaniała delikatna jak wata mgiełka, a najmniejszy ruch, taki jak przekręcenie kluczyka w stacyjce, wywoływał ból nieomal nie do zniesienia.

Zdał się na swoje instynkty, skupił się na krętej, wąskiej drodze przez las, którą miał przed sobą, i miał nadzieję, że doprowadzi go ona do autostrady.

Ledwie udawało mu się patrzeć przed siebie, w ostatniej chwili uniknął zderzenia z drzewem i z włączonymi wycieraczkami wyjechał na asfaltową drogę, prowadzącą przez szeroki betonowy most, skąd skręcił na wjazd na autostradę.

Na autostradzie napotkał chaos wściekle trąbiących samochodów i oślepiających świateł, które wydawały się pędzić wprost na niego. Pod wpływem bólu Dimitrij wcisnął gaz do deski.

W miarę wzrostu prędkości i pojawienia się większej dawki adrenaliny we krwi, wróciły myśli. Musi wyjaśnić wujowi Arsenijowi, co się stało. Ale jednak uratował całą misję. Nagle zobaczył przed sobą wielkie jasne światło. Miał wrażenie, jakby jechał przez tunel i właśnie dotarł do jego wylotu, gdzie światło było tak jaskrawe, że aż go oślepiło.

**A**mbulans jakby się zapadł pod ziemię. Nawet z centrali nie można było nawiązać z nim łączności. Wszystkie połączenia były martwe. Nikt z załogi nie odbierał komórki. Ale przynajmniej dzięki nadajnikowi GPS można go było zlokalizować: ambulans jechał autostradą A9 w stronę lotniska Schiphol.

Marouan wyciskał ze swojej corolli siódme poty. W ciągu paru minut wypadli na A9. W powietrzu pojawiały się sypiące iskrami pasma wyładowań elektrycznych. Skłębione masy czarnych chmur definitywnie przesłoniły już całe niebo. Kiedy dostrzegli ambulans, z niewiadomych powodów zasłona deszczu nad Ringweg nagle rozbłysła jaskrawym światłem.

Marouan w ostatniej chwili zobaczył, jak wielka cysterna, która jechała przed ambulansem, próbuje wykonać manewr wyprzedzania i nagle gwałtownie hamuje. Usłyszał huk zderzenia z innym pojazdem i zaraz potem zobaczył czarnego SUV-a przelatującego przez barierkę ochronną. Na przeciwnym pasie ruchu samochód spadł na dach jadącej taksówki.

Cysterna zaczęła szorować po asfalcie i w deszczu iskiei przebiła barierkę i sunęła w stronę środkowego filara wiaduktu. Marouan zahamował, odbił w prawo na pobocze i krzyknął do Calvina, żeby się skulił.

Kilka sekund później usłyszał odgłos uderzenia cysterny w filar wiaduktu i zaraz potem potężną eksplozję.

Kiedy Marouan znowu się wyprostował i rozejrzał dookoła, miał wrażenie, że gniewny Bóg zupełnie nieoczekiwanie rozpętał na Amsterdamse Ringweg biblijny Armageddon.



Na dwupasmowej jezdni po przeciwnej stronie Paul zobaczył, jak wielka cysterna, która właśnie zaczęła wykonywać manewr wyprzedzania, daje sygnały światłami i donośnym buczeniem.

Po lewej stronie, jadąc pod prąd, przemknął pod wiaduktem czarny touareg, pędząc wprost na cysternę. Za cysterną widać było niebieskie światła wielkiego ambulansu.

Paul usłyszał huk, z jakim touareg zderzył się czołowo z cysterną i został wykatapultowany poza środkową barierkę. Cysterna zaczęła tańczyć na asfalcie i w morzu iskier pędziła w poprzek jezdni w stronę wiaduktu. Zatrzymała się dopiero po uderzeniu w środkowy filar.

Moment później nastąpiła eksplozja.

Przez kilka następnych chwil Paul nie mógł się ruszyć, ale widział wszystko z nadzwyczajną ostrością. Płomienie wystrzeliwujące z cysterny, najeżdżające na siebie samochody. Pasażerów, którzy ogłuszeni wyczołgiwali się z samochodów albo oniemiała gapili się przez wybite szyby przed siebie, podczas gdy z nieba cały czas padały grube krople deszczu.

Widział to wszystko, nic nie słysząc, zupełnie jakby znajdował się pod szklanym kloszem. Był w stanie przyjemnego oszołomienia, które pozwoliło mu chłonąć to wszystko bez cienia paniki. Z całkowitym spokojem obejrzał zakrwawioną głowę Edwarda, który leżał nieprzytomny na siedzeniu obok, obsypany drobnymi kawałkami szyby. Paul pochylił się nad nim, żeby sprawdzić, czy Edward jeszcze oddycha. Odpiął pasy i próbował wymacać puls.

Kiedy Edward otworzył niespodziewanie oczy, patrzył na Paula, jakby wrócił z bardzo dalekiej podróży. Paul nie rozumiał, co Edward usiłuje powiedzieć, położył mu tylko palec na ustach i powiedział mu szeptem do ucha:

– Nie ruszaj się, Ed, czekaj, aż przyjedzie karetka.

Dopiero wtedy Paulowi wróciło czucie własnego ciała. Zauważył nieregularność oddechu i poczuł zbliżający się atak paniki. Wszystko, co wydarzyło się przed samym wypadkiem, wróciło teraz do niego we fragmentach.

Przypomniawszy sobie, jak nagle zaczęło padać, i w świetle pierwszych błyskawic dostrzegł wyprzedzającą ich taksówkę z Sandrine. A potem czarnego touarega, który przeleciał w powietrzu i spadł z góry na dach taksówki.

Nagle wrócił mu też słuch.

Paul otworzył gwałtownie drzwi samochodu i rzucił się biegiem.

Siła eksplozji roztrzaskała przednią szybę ambulansu i Harold ledwie zdążył zanurkować pod kierownicę. Zobaczył jeszcze, jak okruchy szyby wbijają się w twarz siedzącego obok mężczyzny, a fala uderzeniowa eksplozji rzuca nim o metalową ścianę kabiny. Mężczyzna, który przez ostatnie minuty trzymał go pod lufą pistoletu, zmuszając do jazdy na lotnisko Schiphol, był znokautowany.

Harold natychmiast wziął jego pistolet. Krzyknął przez interkom, że znów ma sytuację pod kontrolą, i zaczął cofać ambulans na pobocze, ale podczas wykonywania tego manewru zauważył, że mężczyzna z twarzą naszpikowaną odłamkami szyby zaczyna odzyskiwać przytomność. Harold zatrzymał ambulans, nie gasząc silnika, i wycelował w niego pistolet.

– *Out!* – wrzasnął, przekrzykując hałas.

Mężczyzna popatrzył mu prosto w oczy.

– *You don't shoot* – powiedział mężczyzna i nie zabrzmiało to jak stwierdzenie, tylko raczej jak rozkaz.

– *You don't shoot!*

Harold poczuł stalowy uścisk mężczyzny na swojej dłoni i wypuścił pistolet. W następnej chwili na jego twarzy wylądował potężny cios pięścią, który rzucił nim o boczne drzwi. Mężczyzna wypluł kilka przekleństw po rosyjsku i kopniakiem wypchnął go z kabiny.

Harold leżał na mokrym asfalcie nie dłużej niż parę sekund, ale kiedy otworzył oczy, zobaczył jak mężczyzna siedzący już teraz za kierownicą, kieruje w jego stronę lufę pistoletu.

Harold usłyszał strzał.

Był zdumiony, że śmierć może być czymś tak prostym i szybkim.

**P**odczas kiedy ulewny deszcz coraz mocniej bębnił o dach carrery, Farah skręciła w pierwszy możliwy zjazd. Postanowiła zaparkować niedaleko wiaduktu i przeczekać burzę.

W oddali usłyszała klakson ostrzegawczy jakiegoś dużego pojazdu. Tuż przy wiadukcie uderzył chyba piorun, bo zaraz potem rozległ się potworny huk, zupełnie jakby spadł co najmniej samolot. Farah instynktownie skuliła się za kierownicą.

Wskutek eksplozji zrobiło się przez moment jasno jak w dzień.

Kiedy podniosła głowę, zobaczyła w pewnej odległości ogromne płomienie strzelające w górę. Wysiadła i dygocąc na całym ciele, zaczęła biec. Z każdym krokiem, który przybliżał ją do wiaduktu, czuła coraz większe gorąco i zapach płonącej benzyny. Płomienie pochodziły z cysterny, która właśnie uderzyła w środkowy filar wiaduktu.

Z trudem potrafiła zorientować się w chaosie, który zobaczyła. Jakiś czarny SUV leżał na asfalcie, zupełnie jakby spadł skądś z wysoka. Kilka metrów dalej widziała taksówkę, która przekoziołkowała i leżała na dachu w poprzek pobocza. Z wielkiego ambulansu wypadł z kabiny kierowca.

Patrzyła na to wszystko jak sparaliżowana, gdy nagle poczuła pierwszy wstrząs, jaki przeszedł przez wiadukt. Wiadukt chwiało się i wyglądało na to, że zaraz się zawali.

Na drugiej jezdni zobaczyła człowieka w opatrunku na twarzy, który biegł w stronę chwiejącego się wiaduktu, jakby chciał, żeby ten go pod sobą pogrzebał. Krzyczała do niego, ale on jej nie słyszał.

Paul nie zwracał uwagi na jakiegokolwiek przeszkody. Nie zauważył nawet, że część wiaduktu, pod którą przebiegał, grozi zawaleniem. Nie czuł strachu. Wszystko w nim było skupione na tym, co ma zrobić za chwilę.

Koła taksówki obracały się bez celu w powietrzu. Paul, ciężko dysząc, przyklęknął przy jednych z drzwi i wsunął tułów przez rozbite okno, żeby się rozejrzeć. Zobaczył zmasakrowane ciało mężczyzny za kierownicą.

A potem zobaczył Sandrine. Podtrzymywana przez pas bezpieczeństwa wisiała głową w dół z tylnego siedzenia. Paul wczłogał się do środka przez zdeformowane okno. Odłamki szyby raniły jego ciało.

Usłyszał, jak ktoś krzyczy coś niezrozumiałego. Jakaś ręka wsunęła się przez powyginane drzwi. Paul instynktownie sięgnął po to, co podała mu czyjaś ręka. Był to otwarty scyzoryk.

Zaczął przecinać pasy, w które była zaplątana Sandrine, ale scyzoryk wyglądał na tępy i nawet nie zadrasnął taśmy pasów.

Twarz Sandrine zabarwiła się na czerwono, kiedy wybuchł zbiornik paliwa w touaregu i pojawiły się płomienie. Strumyk wyciekającej benzyny, w którym widać było małe niebieskie płomyki, zmierzał prosto w stronę taksówki i było jasne, że dotrze do niej w ciągu kilku sekund.

W tym momencie pasy puściły.

Sandrine uderzyła Paula głową w żołądek. W tym samym czasie, ktoś próbował wyciągać go za nogi z taksówki, ale ze względu na ciężar leżącej na nim Sandrine było to niewykonalne. Okruchy szkła wrzynały mu się głęboko w ciało. Paul krzyknął z bólu. Starał się ułożyć Sandrine w pozycji wzdłuż, żeby można było wciągnąć ją po jego ciele z samochodu.

– Najpierw kobieta! – zawołał. – Najpierw kobieta!

Jej głowa leżała na jego piersi, kiedy poczuł, jak ciało Sandrine powoli zsuwa się z jego ciała, wciągane na zewnątrz. Z chwilą, gdy zsunęła się całkowicie, opuściły go wszelkie siły. Nie było już dręczącego gorąca, nie było powietrza, którego nie sposób było wdychać, nie było już ciała do uratowania. Tylko otulający go spokojem, cichy mrok.

**M**arouan wyskoczył z corolli i pognął w stronę ambulansu, oddalonego o jakieś sto metrów od wiaduktu i stojącego w poprzek pasa między innymi samochodami, mającymi powybijane szyby i rannych pasażerów. Pierwsze, co zobaczył, to kierowcę, który został wyrzucony z kabiny i oszołomiony leżał na asfalcie. A potem Marouan pomyślał, że ma przywidzenie, kiedy zobaczył groźną postać Kowaliowa, który pojawił się w drzwiach ambulansu z pistoletem w ręce.

Marouan nie wierzył w przywidzenia. Z miejsca zrozumiał, że oto nadarza się okazja, o jakiej marzył od dawna.

Wyjście z jego beznadziejnej sytuacji.

Jego całe życie skupiło się w tym jednym momencie. Wszystkie dotychczasowe porażki i poniżenia scaliły się w jedno, jak atomy uranu w reaktorze. Zatkane dotąd żyły zwiększyły swój przekrój, by przepuścić kłębiący się w nich żar, a mięśnie przystąpiły do działania napędzane nagromadzoną w nim przez lata nienawiścią.

Czynnością, za pomocą której Marouan uwolnił się z krępujących go więzów, było naciśnięcie palcem wskazującym języka spustowego. Bardzo dokładnie wycelował swojego walera P5 w prawo od środka klatki piersiowej Kowaliowa i wystrzelił. Impet uderzenia pocisku sprawił, że Kowaliow padł na asfalt jak szmaciana lalka i znieruchomiał.

Z wiaduktu Farah zobaczyła, że człowiek z opatrunkiem na twarzy wyłonił się spod walącego się betonu i biegnie dalej. Potem usłyszała strzał, jak ostre uderzenie w perkusyjny talerz, wyróżniający się w piekielnej kakofonii wszelkich dźwięków.

Zobaczyła inspektora Dibę z pistoletem w dłoni, pochylającego się nad nieruchomym ciałem jakiegoś mężczyzny. Kierowca, którego widziała wcześniej, jak wypada z kabiny, podniósł się z ziemi. Nastąpiła krótka wymiana zdań między nim a Dibą, który pokazał gestem, że ambulans ma jechać dalej. Chwilę później ambulans zawrócił na poboczu i ruszył z powrotem w kierunku, z którego przyjechał, lawirując między porozstawianymi chaotycznie samochodami.

Wtedy zobaczyła też Calvina. Biegł oszołomiony przez jezdnię. Wykrzykiwała jego imię i machała jak oszalała rękami, ale Calvino ani jej nie widział, ani nie słyszał.

Człowiek z opatrunkiem zdążył tymczasem dotrzeć do przewróconej taksówki, ukląkł przy niej i usiłował zajrzeć do środka. Musiał tam zobaczyć coś lub kogoś, ponieważ zaczął teraz za wszelką cenę próbować wczołgać się do środka.

Farah nie chciała tylko stać i biernie się przyglądać. Chciała działać. Najszybciej, jak mogła, pobiegła z powrotem do carrery, odjechała kilkaset metrów od wiaduktu i zawróciła.

Wrzuciła bieg i jedną nogą wcisnęła sprzęgło, a drugą pedał gazu. Wskazówka obrotomierza skoczyła gwałtownie do góry i wtedy Farah puściła sprzęgło.

Betonowa konstrukcja, do której dojechała w ciągu dziesięciu sekund, osiągając ponad sto kilometrów na godzinę, zaczęła się osuwać w stronę cysterny.

Kiedy carrera z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę dotarła do środkowej części wiaduktu, konstrukcja zawaliła się całkowicie.

Podczas kiedy Marouan patrzył za znikającym ambulansem, w jego polu widzenia pojawił się idący na chwiejnych nogach Calvino. Wyglądało na to, że nie jest jeszcze w stanie pojąć ogromu tej apokalipsy. Marouan zażądał przez krótkofalówkę natychmiastowego wsparcia. W tym czasie spoglądał na Kowaliowa, człowieka, który przez całe lata pomagał mu realizować jego uzależnienie od hazardu w zamian za różne „przysługi”, a teraz leżał bez życia i był już całkowicie niegroźny. Marouan nigdy by nie pomyślał, że zastrzelenie kogoś sprawi mu kiedyś taką przyjemność. Wyglądało na to, że tym jednym strzałem nie tylko pozbył się wszelkich dotychczasowych długów, ale też w jednej chwili nadał swojemu życiu całkowicie nowy kierunek. Czuł, jak w jego żyłach płynie zupełnie nowa krew.

Nagle zaczęły do niego docierać najdrobniejsze nawet dźwięki z całego otoczenia. Z krystaliczną ostrością rejestrował każdy ruch w tym otaczającym go chaosie. Jak na przykład odgłosy butów ludzi biegających po jezdni czy sylwetkę człowieka z opatrunkiem na twarzy, który po drugiej stronie bariery próbował wczołgać się do przewróconej na dach taksówki.

Marouan wykrzyczał do Calvina kilka poleceń i, najszybciej jak się dało, przeszedł przez podwójną barierkę na przeciwne pasmo autostrady. We wraku touarega dostrzegł ubranego na czarno kierowcę. Pogięty metal uwięził go we wnętrzu samochodu, wokół którego unosił się zapach wyciekającej benzyny. Dla niego nie było już ratunku. Wyciekająca z baku touarega benzyna cienką strużką płynęła w stronę taksówki. Marouan podążył jej śladem, przykucnął i zobaczył w środku pojazdu zarys ciała kobiety wiszącej w pasach głową do dołu z tylnego siedzenia, podczas gdy człowiek z opatrunkiem na twarzy robił wszystko, żeby ją uwolnić. Marouan wyjął z kieszeni scyzoryk i rękojeścią do przodu wsadził go przez zdeformowane okno do środka. Mężczyzna tak gwałtownie wyrwał mu go z ręki, że rozciął mu nadgarstek. Z okrzykiem bólu Marouan cofnął zakrwawioną rękę.

Klęcząc na mokrym asfalcie, próbował się zorientować, co dzieje się w środku samochodu. Zobaczył, jak kobieta wypada z przeciętego pasa i upada na mężczyznę. Obiegł taksówkę dookoła, żeby ją wyciągnąć. Wsadził ręce do środka i skaleczył się w drugą rękę, próbując osłonić głowę kobiety przed okruciami szyby, jakie zostały jeszcze w obramowaniu okna. Musiał sobie rozciąć jakieś naczynie krwionośne. Krew, która się polała, zaczęła mieszać się z deszczem.

Marouan wziął kobietę na ręce, wstał i zaczął się rozglądać za jakąś pomocą. Ale jedyne, co widział naokoło, to ludzie biegający w ślepej panice po jezdni.

Carrera przeleciała nad ziejącą pośrodku walącego się wiaduktu dziurą. Po drugiej stronie Farah najszybciej, jak mogła, zjechała na jezdnię przechodzącą pod wiaduktem i zygzakując między samochodami, starała się dotrzeć do taksówki. Nie umiała sobie wyjaśnić, dlaczego to robi. Wiedziała tylko, że musi.

Kiedy podjechała do taksówki, ku swemu zdumieniu zobaczyła inspektora Dibę, niosącego na rękach ciężko ranną kobietę. Zahamowała, wyskoczyła z samochodu, otworzyła drugie drzwi złożyła oparcie fotela do przodu, wyrzuciła ze środka kartonowe pudła i pomogła Dibie ostrożnie położyć kobietę na tylnym siedzeniu.

Potem pobiegła razem z nim do taksówki, w której wielkie błękitne płomienie tańczyły już na desce rozdzielczej.

Wspólnie zaczęli ciągnąć każde za jedną nogę uwięzionego w środku mężczyzny, ale jego ciało ani drgnęło. Taksówka zajęła się w tym czasie ogniem i w każdej chwili mogła eksplodować. Farah czuła coraz gorętsze powietrze i ze wszystkich sił ciągnęła mężczyznę za nogę, aż wreszcie zupełnie niespodziewanie wynurzył się on ze zdeformowanego otworu drzwi, niczym jakiś przerażający płód, i przerażonym wzrokiem wpatrywał się w twarze dwójki swoich wybawców.

Przez chwilę wszystko widział tylko w zarysach, ale po chwili jego oczy skupiły się na jej twarzy.

– Farah?!

Patrzyła na niego nic nierozumiejącym wzrokiem.

– To ja, Paul.

Farah nadal nie potrafiła wydobyć z siebie słowa. Paul złapał ją za ramiona i spytał:

– Gdzie ona jest?

Diba pomógł mu się podnieść i podtrzymywał go, kiedy Paul kuśtykał w stronę carrery. Zniecierpliwionym tonem nakazał Farah siadać za kierownicą i uderzył płaską dłonią w dach.

– Nie ma co czekać na karetkę. Proszę jechać prosto do WMC!

Farah ruszyła slalomem między porzuconymi samochodami. Mężczyzna obok niej przechylił się w stronę kobiety leżącej na tylnej kanapie i trzymał ją za rękę.

Dopiero w tym momencie uświadomiła sobie, kto obok niej siedzi. Jej krzyk przebił się przez wszechobecny hałas.

– Paul Chapelle!

Na jego zdeformowanej twarzy zobaczyła uśmiech, którego nie widziała przez trzydzieści lat, a który mimo to poznałaby wśród wszystkich innych.

W oddali wyłoniły się kontury szpitala WMC. Z naprzeciwka pędziły wozy straży pożarnej i karetki pogotowia.

Farah czuła, że nie może złapać oddechu. Skup się. Myśl o oddechu. Spokojnie.

Niecałe trzy minuty później zatrzymała się pod drzwiami izby przyjęć, gdzie razem z Paulem



wydobyła nieprzytomną kobietę z samochodu. Wbiegła do środka i zobaczyła lekarzy i pielęgniarki szykujących się na spodziewaną falę rannych. Popatrzyli zdumieni, kiedy potykający się i krwawiący Paul wniósł do holu nieprzytomną kobietę.

**D**iba krzyknął do niego, żeby pilnował ciała zastrzelonego mężczyzny. Zanim Joshua zrozumiał do końca, o co mu chodzi, zobaczył, jak jego ociężały kolega lekko jak piórko pokonuje podwójną barierkę rozdzielającą jezdnię i bieżnię w stronę przewróconej taksówki.

Joshua rozejrzał się bezradnie. Zupełnie nie był przygotowany na ten chaos. Panika, jaka wybuchła w czasie pożaru w szpitalu, była w porównaniu z tym piekłem zaledwie łagodną przygrywką. W dodatku to nie widok strzelających w górę płomieni, rannych wytaczających się z samochodów, przerażonych ludzi wołających o pomoc zbijał go z tropu. Najgorsza była dla niego kompletna nieobecność tego, co nadawałoby sens ludzkiemu życiu, tego, co sprawiało, że człowiek każdego dnia rano jednak wstawał, by nadal robić coś ze swoim życiem.

I w samym środku tego bezsensu jego zdumiewająco ożywiony nagle partner wydaje mu polecenie pilnowania trupa? Zupełnie jakby nie było wystarczająco dużo żywych, którzy w tym momencie mogliby potrzebować jego pomocy. Spojrzał na zastrzelonego mężczyznę i zdziwił się brakiem krwi z rany postrzałowej. Tylko twarz mężczyzny krwawiła, pocięta okruchami szkła. Joshua pochylił się nad leżącym i w tej samej chwili przerażony odskoczył.

Trup otworzył oczy i spojrzał mu prosto w twarz.

## Część 4

# UPADEK

Mgła wokół niego zaczęła się przerzedzać. Zdumiało go, że znowu może chodzić. Czuł się zadziwiająco szczęśliwy i lekki. Zupełnie jakby nic się nie stało. Był z powrotem na dziedzińcu sierocińca. Chłopcy rozbiegali się na wszystkie strony, żeby się przed nim ukryć. Na dziedzińcu weszło dwóch mężczyzn. Przychodzili tu dosyć często, potem rozmawiali o czymś z niektórymi chłopcami i czasem zabierali jednego ze sobą. Mówiono, że idzie do nowych rodziców, i wtedy wszyscy mu zazdrościli.

Teraz mężczyźni znowu przyszli. Rozglądali się, rozmawiali ze sobą, a potem pokazali na niego. Podszedł do niego dyrektor sierocińca.

– Pakuj rzeczy, Sekandar, wyjeżdżasz.

Chciał się dowiedzieć, dokąd ma wyjechać, ale dyrektor nic nie odpowiedział, tylko cały czas powtarzał:

– Pakuj rzeczy, Sekandar.

Przy pożegnaniu dyrektor miał łzy w oczach. Nie wzruszało go to. Nie lubił facetów, którzy płaczą. Sam był przecież dopiero chłopcem, a przecież nigdy nie płakał.

Mężczyźni zabrali go do samochodu, który miał czarne skórzane siedzenia i do którego cały czas wiało chłodne powietrze. Kiedy auto ruszyło, miał wrażenie, jakby unosił się w powietrzu. Usłyszał śpiew kobiety, który dobiegał jakby ze wszystkich możliwych stron auta, a mężczyźni przemawiali do niego czule, głaskali go po głowie, a jeden z nich cały czas na niego patrzył i uśmiechał się, i powtarzał, że ładny z niego chłopiec

Nie miał odwagi zapytać, dokąd jadą. Byłoby to niegrzeczne, a w sierocińcu bardzo często powtarzano im, że nigdy nie wolno być niegrzecznym wobec dorosłych, kiedy go stąd zabiorą.

Jazda samochodem trwała bardzo długo, a gdy znaleźli się przed wielkim domem, słońce prawie już zachodziło. Przejechali przez bramę pilnowaną przez dwóch mężczyzn, którzy zaraz ją za nimi zamknęli. Wtedy dostał coś do jedzenia. Od dawna już nie widział mięsa, zjadł więc tyle, że aż rozbolał go brzuch.

Zastanowiło go, że w całym domu nie ma ani jednej kobiety, ale nie miał odwagi zapytać, czy to tutaj będzie od teraz mieszkał. Miał nadzieję, że nie, bo chociaż dom sam w sobie był ładny, to czuł się w nim jak w więzieniu. W żadnym razie nie wolno mu było z niego wychodzić.

Wtedy jeden z mężczyzn powiedział, żeby z nim poszedł. Musiał się rozebrać i stanąć pod lejącą się wodą, choć nie chciał tego zrobić. Wtedy po raz pierwszy został uderzony. Uderzenie w twarz bardzo go zabolowało, bo wielki sygnet na palcu mężczyzny uderzył go w czoło. Kiedy w końcu stał już pod strumieniem wody, mężczyzna, który go uderzył, też się rozebrał. Stanął obok niego i namydlił go całego mydłem. Czuł dłonie mężczyzny na swoim ciele i w myślach odfrunął gdzieś daleko od tego miejsca w którym stał. Daleko od strachu i narastającego bólu.

Z góry miasto wyglądało na strasznie ciemne. Nie miał odwagi gdzieś wylądować, chciał

*zostać taki zawieszony wysoko w powietrzu. Ale podmuch wiatru wytrącił go z równowagi, skrzydła przestały go nieść i został ściągnięty w dół, prosto przez kraty z powrotem do pokrytego kafelkami pomieszczenia.*

*Coś dziwnego stało się z mężczyzną, który stał razem z nim pod strumieniem wody. Jego oczy błyszczały, kiedy go wycierał, a potem smarował olejkami pachnącymi kokosem, i przemawiał do niego jeszcze łagodniej niż przedtem, i powiedział, że był bardzo miłym i grzecznym chłopcem.*

*Potem pokazał mu jego nowe ubranie.*

*Był to strój kobiety. Znał coś takiego z filmów w telewizji, bo właśnie w takich strojach tańczyły tam promienne kobiety, śpiewające wysokimi głosami o miłości, spoglądając jednocześnie na mężczyzn, którzy wtedy szczyrzyli swoje bielutkie zęby, odpowiadając im uśmiechem. Teraz on sam miał być taką kobietą, nie tylko ze względu na strój, ale też dlatego, że ten mężczyzna pomalował mu powieki czarną kredką i nałożył czerwoną szminkę na usta, a potem obwiesił go różnymi ozdobami, na których były małe dzwoneczki.*

*– Jesteś teraz dziewczynką, piękną tancerką, popatrz, jaki jesteś piękny – powiedział mężczyzna i podstawił mu lustro.*

## 1

Sasza Kowaliow leżał na mokrym asfalcie. Uderzenie pocisku wystrzelonego przez Dibę w kamizelkę kuloodporną było tak potężne, że tego wieczoru po raz drugi w życiu stracił przytomność. Teraz otworzył oczy. Jakiś nieznany mężczyzna stał nad nim z pistoletem w ręku. Zaczęła docierać do niego kakofonia dźwięków. Poczuł ostry ból pociętej okuchami szyby twarzy, znowu zobaczył czarnego touarega przelatującego nad barierką i cysternę uderzającą o środkowy filar wiaduktu. Eksplozja rzuciła nim o tylną ścianę ambulansu. To była jego pierwsza utrata przytomności od lat.

Miał urywany oddech. Człowiek z pistoletem krzychał coś do niego po niderlandzku. Sasza usłyszał wycie syreny, zapiszczały hamulce. Dwóch policjantów poderwało go w górę, skuli mu ręce kajdankami i zrewidowali. Nagle pojawił się przy nim Diba. Miał zakrwawione ręce. Trochę za bardzo zgrywał twardziela, jak na średniaka, jakim w rzeczywistości był.

– A ty kto, kurwa, jesteś? Jakiś pieprzony nieśmiertelny Rasputin, czy jak?

Deszcz przestał padać, ale cały czas było ciemno jak w grobie. Sekcja strażaków zaczęła polewać pianą płonąca cysternę. W powietrzu zaroilo się od helikopterów pogotowia ratunkowego. Diba brutalnie wepchnął Saszę do radiowozu, specjalnie waląc jego głową o słupki drzwi.

Sasza zagryzł zęby, żeby opanować piekący ból poranionej twarzy, walczył z uciskiem w piersiach i narastającą wściekłością na własną nierozwagę. Szary na twarzy Diva siedział obok niego ze ściągniętymi strachem rysami i ścisnął w zakrwawionych rękach odbezpieczonego walthera P5 z odwiedzionym kurkiem. Jego lufa skierowana była w prawą skroń Saszy. Wystarczyłaby drobna nierówność na drodze i kula „niechcący” mogła przebić się na wskroś przez jego mózg. Policjanci zaczęli protestować i doszło do gwałtownej wymiany zdań między nimi a Dibą. Bogu dzięki po chwili jego pistolet zniknął z powrotem w kaburze.

Sasza spoglądał w wodną mgiełkę nad mokrym asfaltem.

Trybiki w jego głowie pracowały ze zdwojoną szybkością. Musiał pozostawić chłopca swojemu losowi. Bikram miał rację. Nie wolno mu się kierować czymś tak niekonkretnym, jak emocje. Przez to właśnie znalazł się w takiej sytuacji, jak ta teraz. Na tylnym siedzeniu nerwowo przyśpieszającego radiowozu, obok policjanta, który przez całe lata był jego kanapowym pieskiem, a teraz nagle zachowuje się jak doberman.

Na pogotowiu lekarz zrobił mu zastrzyk przeciwbólowy. Skóra jego twarzy sprawiała wrażenie nadętego świńskiego pęcherza, po którym delikatnie przesuwają się palce chirurga, robiącego skalpelem mikronacięcia i wyjmującego pęsetą drobne okruchy szkła. Wychodząc, Sasza zobaczył swoje odbicie w szklanych drzwiach.

Pokój przesłuchań w komendzie był tak pusty i przygnębiający, jak wnętrze bunkra. Przypięli go do stołu kajdankami. Czekanie na śledczych trwało wieczność. Środki przeciwbólowe powoli

przestawały działać.

Hinduscy lekarze, których wynajął Bikram, nie będą wiecznie czekać w hangarze na ambulans. Samolot karetki z Goa musiał już pewnie odlecieć bez pasażera. Gdyby wszystko poszło według planu, byłby już teraz gdzieś wysoko nad Europą, głaszcząc uspokajającym gestem czoło chłopca.

– *It's all over now. You're safe.*

Na tę myśli znowu wściekłość przeniknęła całe jego ciało. Zadzwończy kajdanki, stół zadygotał. Goa było dalej niż kiedykolwiek dotąd.

Po jakimś czasie do pomieszczenia wszedł mężczyzna, który trzymał go na muszce, kiedy Sasza leżał na asfalcie. Na jego młodej twarzy oprócz porządnego zmęczenia widać też było niedwuznaczne zdecydowanie. Za nim pojawił się Diba, z twarzą jak śmiertelna maska i z zabandażowanymi obiema dłońmi, tak że wyglądał, jakby w środku lata nosił grube rękawiczki. Mimo całej sytuacji Sasza nie mógł się nie uśmiechnąć, kiedy to pomyślał.

Młody policjant włączył magnetofon, powiedział do mikrofonu parę słów po niderlandzku, usiadł naprzeciwko Saszy i przedstawił się po angielsku.

– *Italian?* – spytał Sasza.

Calvino zignorował pytanie i skinął do Diby, który ze swoją przypominającą maskę twarzą i dłońmi w zimowych rękawiczkach w milczeniu usiadł w kącie pomieszczenia.

Sasza spojrział na Divę, zobaczył furię w jego oczach i lekko się uśmiechnął.

Pomyślał, że Diva musi teraz bardzo żałować, że nie celował w głowę.

– W czasie aresztowania pouczono pana o przysługujących mu prawach – zaczął Calvino.

– Bardzo możliwe, tyle że ja nie rozumiem po niderlandzku – odrzekł Sasza.

– Przydzieliliśmy panu adwokata.

– Którego nie przyjąłem.

– Poinformowałem o tym prokuratora.

– To znakomicie.

– Dostałem od niego pozwolenie, żeby pana przesłuchać.

– No to zaczynajmy – rzucił Sasza z uśmiechem.

– Panie Kowaliow, jest pan oskarżony o uprowadzenie i próbę zabójstwa. Jako podejrzany nie musi pan odpowiadać na pytania. Czy pan zrozumiał?

Sasza przytaknął ruchem głowy. Z jakiegoś powodu polubił tego Italiańca. Miał styl.

– Dobrze, panie Kowaliow – powiedział Calvino na znak, że przechodzi do rzeczy. – Trochę to trwało, zanim mogliśmy zacząć to przesłuchanie, ponieważ musieliśmy poczekać na wyniki ekspertyzy, przeprowadzonej w związku z zamachem na policjanta w szpitalu WMC. Wygląda na to, że pociski, które go trafiły, nie pochodzą z broni, którą zabezpieczono przy panu.

Sasza spojrział na Calvina, a potem na Divę, który unikał jego wzroku. Od razu się domyślił, że coś musiało pójść nie tak. Nieopierzony debiutant z Moskwy musiał więc być w szpitalu, ale najwyraźniej pułapka nie zatrzasnęła się na czas i udało mu się uciec. Diva zaważyła sprawę. *What else was new?*

– Nic nie wiem o żadnym policjancie. Nie było mnie w tym szpitalu.

– A więc zaprzecza pan, jakoby miał pan coś wspólnego z podpaleniem na oddziale intensywnej terapii?

– Podpalenie? Panie inspektorze, nie jestem piromanem, a już na pewno nie zabójcą policjantów. Zaprzeczam, jakobym miał z tym jakkolwiek bezpośredni związek.

– Jakkolwiek bezpośredni związek?

– Tak właśnie powiedziałem.

– A pośredni?

Sasza znowu spojrzął na Diveę, który nerwowo wiercił się na krześle.

– Wiele osób jest zainteresowanych chłopcem, inspektorze Calvino.

– Ma pan na myśli, poza panem i mną?

– Tak jest. I nie wszyscy mają wobec niego miłe zamiary.

– A pan tak?

– Bardzo chętnie to panu wyjaśnię, inspektorze. Ale najpierw poproszę o szklanekę wody i aspirynę. Bo to dosyć długa opowieść.

Calvino spojrzął na Dibę, który wstał z ociąganiem i opuścił pomieszczenie, jakby odchodził na emeryturę. Kiedy niedługo potem wrócił, to oczywiście z pustymi rękami. Ten owcojeb naprawdę lubował się w pozornych działaniach. Calvino chodził tam i z powrotem po pomieszczeniu jak tygrys w klatce. Albo nie był specjalnie wybitnym przesłuchującym, albo tylko udawał. Jeśli to drugie, to był naprawdę znakomitym aktorem.

– Szczerze mówiąc, na razie nie mam nic przeciwko temu, żeby pan nic nie mówił, Kowaliow – zaczął Calvino. – Kiedy ktoś milczy, daje mi to dodatkowo do myślenia. A wtedy sobie myślę, że to z powodu chłopca. Tu musi chodzić o chłopca. O chłopca i o nic innego. I wtedy sobie myślę, czy to nie wspaniałe? – Calvino zatrzymał się i pochylił nad Saszą. – Bo nam też chodzi właśnie o niego.

– A więc mamy tu zbieżność interesów – powiedział Sasza z krzywym uśmiechem.

Do pomieszczenia wszedł policjant z butelką wody i opakowaniem aspiryny, które dał Calvinowi. Calvino nalał wody do plastikowego kubka, wycisnął jedną tabletkę musującą z blistera i wrzucił ją do środka, przysuwając kubek w stronę Saszy, który miał wystarczającą swobodę ruchów, żeby spętanymi rękami chwycić go i jednym ruchem wlać sobie do gardła jego zawartość.

– Proszę mi powiedzieć, panie Kowaliow, kiedy po raz pierwszy zobaczył pan chłopca?

Sasza z westchnieniem ulgi odstawił kubek z powrotem na stół. Po brodzie ściekała mu strużka wody. Poczul zapach lasu, kiedy pomyślał o tej chwili, gdy po raz pierwszy go zobaczył, przed trzema dniami. Świecił jasny księżyc i pośród drzew wciąż jeszcze snuło się ciepło upalnego dnia. Z kombi wysiadła młoda dziewczynka orientalnej urody. Spojrzała Saszy prosto w oczy i w tym samym momencie poczuł, że coś pękło w nim gdzieś głęboko w środku, coś, co nigdy się już nie zasklepi. Jeszcze nigdy nie czuł takiego przerażenia na widok oczu dziecka. Zupełnie jakby spojrzął na same dno własnej duszy.

– Zobaczyłem go dwie noce temu.

– Gdzie?

– W Lesie Amsterdamskim, przy starej willi.

– Co pan tam robił?

– Organizowałem spotkanie.

– Z kim?

– Spotkanie dziecka z... kimś drugim. Miejscem spotkania była willa.

– Z kimś drugim? O kim mówimy?

– O mężczyźnie w sztywnym na miarę garniturze, lekko otyłym, jak na swój wiek, mężczyźnie, który bez wątplenia był czyimś ojcem i mężem. Mężczyźnie, którego postawa świadczyła o tym, że czuje się nietykalny. Kimś przyzwyczajonym do władzy, ale pozbawionym moralności.

– To osobliwe, panie Kowaliow. Ja pana pytam, kim był mężczyzna, który miał się spotkać z

chłopcem, a pan mi tu cytuję opis jakby wzięty żywcem z powieści dla kobiet.

– Wszystko dlatego, że próbuję panu coś wyjaśnić, panie inspektorze. Mówimy o człowieku, przekraczającym w swoim upojeniu władzę granice, o których istnieniu ani pan ani ja nie mamy nawet pojęcia. O człowieku, który odkrył władzę jako ostateczną formę przyjemności. Dla tego człowieka nie ma większej przyjemności niż decydowanie o osobie bezbronnego dziecka.

W pomieszczeniu zapanowała złowieszcza cisza.

– Kim był ten człowiek? – spytał Calvino ochryłym głosem.

– Zanim to panu zdradzę, pozwól pan, że przedstawię panu w skrócie wydarzenia, które poprzedziły to spotkanie.

Calvino spojrział na niego zdziwiony, przesunął dłońmi po twarzy, a potem uśmiechnął się złośliwie.

– Mam jeszcze lepszy pomysł. Zrobimy sobie drobną przerwę na odpoczynek. Przejdziemy się gdzieś po jakimś bulwarze, poleniuchujemy na jakiejś plaży, przemyślimy swoje grzechy i jak już będziemy opaleni i wypoczęci, najemy się i opróżnimy parę piwniczek wina, spokojnie wrócimy do sprawy. – Mówiąc to, wyjmował z teczki kolejne zdjęcia i szybkimi ruchami rozkładał je na blacie stołu. – Albo może ustalimy po prostu chronologię wydarzeń.

Sasza spojrział na zdjęcia. Były na nich opatrzone ponumerowanymi tabliczkami miejsca w środku willi i w jej otoczeniu, zakrwawiony kolczyk na zbliżeniu i na wpół zakopany w ziemi dziecięcy kłapek.

– Zarówno w samej willi, jak i na zewnątrz padły strzały – powiedział Calvino. – W obydwu miejscach znaleziono puste łuski, krew i ślady ciągnięcia ciała. Czy może mi pan teraz opowiedzieć, co się wydarzyło, czy będzie chciał pan wrócić do tego dopiero później? Po wakacyjnej przerwie?

Sasza popatrzył na Calvina ze stoickim spokojem i raz jeszcze przeżył tę chwilę, kiedy wszedł do willi za chłopcem i pilnującymi go mężczyznami. Z wyciągniętym pistoletem, ale bez planu. W pierwszym etapie wszystko przebiegało jeszcze dość gładko. Przykręcił tłumik do pistoletu, czekając aż chłopiec znajdzie się poza linią strzału, i pociągnął za spust.

– Wszedłem do środka i unieszkodliwiłem pierwszego z mężczyzn.

– A potem?

– Potem wyszedłem z chłopcem na zewnątrz.

– Co poszło nie tak?

– Wszystko. Użyłem tłumika, ale człowiek stojący na zewnątrz musiał coś usłyszeć. Czekał na mnie. Kula drasnęła mnie w pierś.

– I zupełnie przypadkiem nie miał pan na sobie kamizelki kuloodpornej.

Sasza westchnął. Taki ładunek cynizmu to było za dużo nawet dla niego.

– A chłopiec?

– Uciekł do lasu. Tak jak mu kazałem.

– Zakładam, że wszystko to wydarzyło się, jeszcze zanim jeszcze pojawił się ten człowiek, którego nazwiska wciąż nie chce pan zdradzić?

– Podczas wymiany ognia widziałem, jak podjeżdża jego samochód. Oczywiście natychmiast zawrócił. Już go nie było, kiedy unieszkodliwiłem drugiego z mężczyzn. I wtedy usłyszałem tamto uderzenie. – Sasza zamilkł i nabrał głęboko powietrza. – To bez znaczenia, jak małe czy jak chude jest ciało, nawet kiedy potrąci się zająca to huk zawsze jest ogromny. Od razu wiedziałem, że chodzi o chłopca.

– Poszedł pan sprawdzić?



– Zbiegłem po zboczach do lasu w stronę drogi. Byłem może w połowie odległości, gdy usłyszałem odgłos hamowania drugiego samochodu, zakończony głuchym uderzeniem. Kiedy zbliżałem się do drogi, zobaczyłem kobietę krzyczącą coś w panice do komórki, podczas gdy wysiadała z samochodu, który zatrzymał się na drzewie. Chłopiec leżał nieruchomo na drodze.

– Czemu pan do niego nie podszedł.

– Ponieważ myślałem, że nie żyje.

Calvino spojrzał na niego zdziwiony.

– Co było potem?

Sasza milczał. Szukał odpowiednich słów, by opisać ten moment, ale jakoś nie mógł ich znaleźć. Widać po prostu nie było słów na oddanie tego, co czuł, kiedy zobaczył tamtego chłopca leżącego nieruchomo na asfalcie.

– Może zdołam panu pomóc – powiedział Calvino i Sasza wyczuł, że tym razem Calvino rzeczywiście ma taki zamiar. – W willi leżało ciało martwego mężczyzny, drugie przed willą, a na drodze ciało martwego dziecka. Zdawał pan sobie sprawę, że w krótkim czasie pojawią się tam radiowozy i karetka. Jedyne, co w tym krótkim czasie mógł pan jeszcze zrobić, to zatrzeć możliwie dużo śladów w willi i w jej otoczeniu. Mam rację?

Sasza przytaknął skinieniem głowy. Zaciągnął ciała obydwu mężczyzn do samochodu kombi, pojechał z nimi na leśną polanę, odkręcił numery rejestracyjne, oblał samochód benzyną z kanistra i podpalił. Płomienie buchające z palącego się kombi oświetliły pierwszą część jego drogi z powrotem.

Pojawiła się druga seria zdjęć, równie energicznie rozłożona przez Calvina na blacie, co pierwsza. Sasza zobaczył wypalony wrak kombi. Potem zdjęcia z miejscowego gabinetu okropności: dwa zwęglone ciała na chromowanym stole sekcyjnym.

– Na podstawie łusek znalezionych w pobliżu willi ustalono, że zgadzają się one z kalibrem pocisków znalezionych w kości mostkowej jednego z mężczyzn ze spalonego kombi.

– Doskonała robota, inspektorze.

– Myślę, że krąg zamknie się ostatecznie, kiedy porównamy łuski z nabojami do pistoletu, który miał pan dziś przy sobie.

Sasza nie mógł się powstrzymać i spróbował bić brawo dłońmi zakutymi w kajdanki.

Calvino patrzył na niego niewzruszony.

– Jednego jednak za nic nie potrafię zrozumieć, panie Kowaliow. Skąd u pana taka skłonność do współpracy?

Sasza uśmiechnął się lekko.

– Próbowałem ratować dziecko i zabiłem przy tym dwóch facetów, dla których ludzkie życie znaczyło nie więcej niż gruby stos dolarowych banknotów. Czy warto robić z tego tajemnicę?

– Absolutnie nie – przyznał Calvino, – Podobnie zresztą, jak nie ma co robić tajemnicy z nazwiska mężczyzny, dla którego przeznaczony był chłopiec.

– Tak jak już powiedziałem, bardzo chętnie je panu zdradzę. Wydaje mi się jednak, że najpierw musimy doprecyzować nasze wzajemne oczekiwania.

– Nie wiedziałem, że takowe mamy.

– W większym nawet stopniu, niż się panu wydaje. Mam dla pana nie tylko jedno nazwisko, ale kilka. I dysponuję informacjami. Cennymi informacjami.

– Na ile cennymi?

– Jak na warunki holenderskie, wystarczającymi do tego, by doprowadzić do rozpadu rządu. Jak na warunki międzynarodowe, wystarczające, by postawić w podejrzanym świetle obracający

miliardami koncern. A więc wystarczająco cennymi.

– Skąd mam wiedzieć, że pan nie blefuje? – spytał Calvino.

– Organizacja, dla której pracuję, już wie, że tutaj siedzę, z pewnością też znany jest jej powód. Nie ma chyba potrzeby mówić, że nie będzie zbyt zadowolona z powodu tego, co zamierzam zrobić. Zwłaszcza jeśli miałyby się okazać, że chcę wywlec na światło dzienne jej brudy. Od dzisiaj wieczór żyję na wypożyczonym czasie, inspektorze Calvino. Z pewnością nie jest to sytuacja, w której wskazane byłoby blefowanie.

– Domyślam się, że oczekuje pan czegoś w zamian za swoje informacje.

– Tak. Objęcia międzynarodowym programem ochrony świadków.

Siedzący w kącie Diba po raz pierwszy wydał z siebie jakiś dźwięk. Najbardziej przypominało to stłumiony okrzyk człowieka, którego poraził prąd z gniazdka.

– Panie Kowaliow – powiedział Calvino z pozorną obojętnością w głosie. – Nawet jeśli udałoby się nam umieścić pana w takim programie, nadal jest pan jeszcze naszym podejrzanym i wciąż jeszcze musi pan zostać osądzony i ukarany za to, co pan zrobił.

– Absolutnie w to nie wątpię – odparł Sasza – ale jeśli wysłucha pan, co mam do powiedzenia, wymiar kary obniży się jeszcze gwałtowniej niż dzisiejszy kurs euro.

– Jeśli pańskie informacje rzeczywiście miałyby być tak cenne, panie Kowaliow, to naprawdę musi pan dać nam coś więcej niż to, co pan powiedział dotychczas. Widzi pan, będzie pan musiał przekonać określonych ludzi, mających władzę decyzyjną, że istotnie opłaca się objąć pana programem ochrony świadków. A taką próbę mogę podjąć tylko wówczas, jeśli otrzymam konkretne i niepodważalne informacje, a nie jakąś czczą gadaninę, że ma pan wiedzę, która może doprowadzić do rozpadu rządu. Bo jest wielu Holendrów, którym wydaje się tak samo.

– Mogę panu powiedzieć, kto jest moim zleceniodawcą i jak wielkie, potężne i zgniłe moralnie jest jego międzynarodowe imperium.

– O jakim zatem zleceniodawcy i o jakim koncernie mówimy, panie Kowaliow?

– O Walentinie Ławrowie, dyrektorze generalnym AtlasNetu.

– Proszę dalej.

– Mogę panu powiedzieć, którzy holenderscy biznesmeni i politycy zostali przekupieni przez mojego zleceniodawcę.

– Poproszę nazwiska.

– Armin Lazonder.

– Niech pan wyjaśni.

– Projekt New Golden Age to szeroko zakrojona akcja prania brudnych pieniędzy uruchomiona przez Ławrowa, która miała mu zapewnić otrzymanie koncesji na budowę największego zbiornika gazu ziemnego w Europie. Nicolas Anglade natrafił na ten wątek w toku swojego śledztwa i nie żyje.

– Anglade popełnił samobójstwo.

– To właśnie mogliśmy przeczytać w gazetach i usłyszeć w telewizji, zgadza się. Ale w przypadku samobójstwa, jak wynika z samej nazwy, trzeba mieć swój duży udział własny. Tymczasem w przypadku Anglade’a udział miały przede wszystkim inne osoby.

– I może pan to udowodnić?

– Oczywiście, że mogę to udowodnić. Ach, przy okazji, chciał pan chyba wiedzieć, dla kogo był przeznaczony ten chłopak?

– Dla kogo? – spytał Calvino, który powoli zaczynał już tracić cierpliwość. – Kto to taki?

Sasza wymienił nazwisko.

Calvino popatrzył na niego z takim wyrazem twarzy, jakby zobaczył ducha.

W czasie przesłuchania Marouan starał się zachowywać w sposób jak najbardziej opanowany. Z najwyższym trudem udawało mu się powściągnąć wściekłość, ale jego żądza zemsty buzowała podskórnie dalej. Wbrew rozsądkowi nadal wierzył w jakiś cud, jakiś nagły napad mentalnego otępienia u Kowaliowa, który utrzyma się już przez całe życie, ostry atak serca albo jakaś fatalna odmiana epilepsji. A jeśli już to wszystko by zawiodło, to w jakąś rękę Boga, która niespodziewanie zaingeruje w to wszystko, żeby jakoś pomóc jemu, Marouanowi, mimo wszelkich jego ludzkich słabości.

Lecz wobec swobodnej otwartości, z jaką Kowaliow zaczął o sobie opowiadać, trudno było o jakąkolwiek nadzieję. W swoich zeznaniach wykreował się nieomal na wybornego pogromcę przestępców. To, co opowiadał, brzmiało niemal jak epos bohaterski. *Nawrócony bandyta odstrzeliwuje dwóch przemytników dzieci, próbując uwolnić z ich szponów bezbronne dziecko.*

Ponadto dawał tym do zrozumienia, że jest gotów iść na współpracę. Po mistrzowsku dawał w zawołany sposób do zrozumienia, jakie jeszcze asy ma w rękawie i jak cenne ma informacje. Całe to przesłuchanie było jak przyspieszony kurs na temat „jak szybko i pewnie wkręcić się do klubu świadków objętych ochroną”.

A Calvino szedł na jego lep z otwartymi oczami.

Marouan był tylko o jeden krok od zdemaskowania jako uzależniony od hazardu policjant, który dzięki finansowemu wsparciu kryminalisty Kowaliowa przez całe lata mógł prowadzić podwójne życie, wodząc za nos swoich kolegów i przełożonych.

To nie może się stać, to nie może się stać, to wcale nie musi się stać.

– Ja słuchałem uważnie – powiedział Marouan nerwowo, kiedy wyłączyli magnetofon i wyszli na korytarz, nie bardzo wiedząc, co dalej. – Chociaż jeden z nas dwóch powinien to robić, prawda?

– O czym ty mówisz?

– Ten facet łąże ci w żywe oczy. Kowaliow to kłamliwy bandzior, który próbuje ratować dupę, opowiadając nam historyjki o tym, jakie to ma dla nas ważne informacje. Ale tak naprawdę nie ma żadnych. On tylko udaje, że ma. Chce zyskać na czasie.

Calvino popatrzył mu prosto w oczy.

– Wy się znacie?

– Co masz na myśli?

– Ten sposób, w jaki na siebie patrzycie. I mówisz o nim tak, jakbyś go znał nie od dziś.

– Co ty znowu pieprzysz?

– Na autostradzie zacząłeś gadać do niego po angielsku.

– Przecież to, kurwa, Rusek, zapomniałeś?

– A ty skąd to wiedziałeś? Miał w ręku ruską flagę czy jak?

– Nie słyszałeś, co powiedziałem? Ten facet łąże w żywe oczy i jak słyszę, udało mu się osiągnąć już tyle, że zaczynasz uważać swojego partnera za kłamcę.

– Czemu nazwałeś go „pieprzonym Rasputinem”?

– Strzeliłem do niego. Powinien już nie żyć.

Zapadła chwila ciszy. Joshua spojrział na niego badawczo.

– Dlaczego powinien już nie żyć?

Marouan trochę się przestraszył. Musi bardziej uważać na to, co mówi do Calvina.

– Nie łap mnie za słówka, Cal, bardzo cię proszę. Nie łap mnie za słówka. Strzeliłem mu w pierś. To trwało sekundę.

– Jeszcze o tym pogadamy, okay?

– O czym mamy jeszcze pogadać? Za tymi drzwiami siedzi facet, który chciał zastrzelić kierowcę ambulansu, a ty patrzysz w niego jak w obraz. Może lepiej o tym pogadamy, co?

– Daj mi chociaż jeden powód, Diba, jeden wystarczający powód, dla którego twoim zdaniem ten facet nie nadaje się na świadka koronnego? Wszystko, co powiedział na temat strzelaniny przy willi, o samochodzie z ciałami, wszystko to zgadza się co do joty. Poza tym jego koneksje z AtlasNetem, jego wiedza na temat samobójstwa Anglade’a, i jeśli się okaże, że to, co powiedział, jest prawdą, to za chwilę będziemy mieli dymisję ministra gospodarki. Tak, tak, Kowaliow wciąż jeszcze jest podejrzanym, ale jak dla mnie, to także mocny kandydat na świadka koronnego.

– Sam to teraz powiedziałaś, Cal: jeśli. Jeśli to prawda, co mówi. Ale to nie jest prawda, powtarzam. To zwykła mało wiarygodna gadanina. Pozbawiony sumienia kryminalista oczarowany małym afgańskim chłopcem? Co to ma być, jakiś film Disneya czy jak?

– Gadanina czy nie gadanina, jak tylko Tomaso klepnie sprawę, przekazujemy naszego rosyjskiego przyjaciela do zespołu od świadków koronnych.

Calvino ruszył sprężyć się korytarzem, zatrzymał się nagle, odwrócił i spytał:

– Mam to sam załatwić?

– Rób, co chcesz. Ja tu zostanę. Nie wierzę facetowi za grosz.

– Jak sobie chcesz.

Joshua poszedł korytarzem dalej. Marouan patrzył przez chwilę za nim, a potem wrócił do pokoju przesłuchań i poprosił siedzącego tam policjanta, żeby przyniósł mu kawy. Kiedy policjant wyszedł, Marouan zamknął drzwi i stanął na wprost Kowaliowa, który uśmiechnął się ponuro.

– Mało się nie zersasz, co, Diva?

– Nie rozumiem.

– Aż robisz w gacie na myśl o tym, co się stanie, kiedy zacznę tak naprawdę gadać. Czy może myślisz, że cię oszczędzę? Taką masz nadzieję? W takim powiedz mi, dlaczego miałbym ci dać taką nadzieję, po tym jak do mnie strzeliłeś.

Marouan podszedł do stołu i przechylił się nad nim.

– Bo jestem twoim jedynym ratunkiem. Dlatego.

Marouan sięgnął do kieszeni, wyjął z niej kluczyk od kajdanek, poruszając nim to w jedną, to w drugą stronę, jak ksiądz prezentujący wiernym hostię przed przystąpieniem do komunii świętej.

– Możemy tak zrobić, żeby to wyglądało na walkę.

Kowaliow gapił się na niego nieruchomo. Najpierw z niedowierzaniem, ale szybko zmieniło się ono w ponurą niechęć.

– Miałem zniknąć z tym chłopcem, rozumiesz? Zniknąć. Wtedy miałbyś mnie z głosu. A ja ciebie. Mieliśmy improwizować, ty i ja. Nasza ostatnia współpraca. Miałeś mieć swoje solo. Pamiętasz jeszcze, głupi bucu? Miałeś zrobić furorę, załatwiając tego lubiącego sobie postrzelać

chłoptasia z Moskwy, którego podałem ci na srebrnej tacy. A ty dałeś mu uciec! Zastrzelił policjanta, a ty dałeś mu uciec!

Marouan poczuł, jak krew odpływa mu od głowy. Cisnął kluczyk w kąt pomieszczenia i stanął przy samej krawędzi stołu. Kowaliow perorował wściekle dalej.

– Powiem ci, kim jesteś, Diva. Jesteś jak pies, zwykły zapchlony kundel, który nie umie nawet złapać kości, którą ktoś mu rzuci. Chciałeś mnie zastrzelić. Postaram się, żeby cię spuścili w kiblu jak kupę gówna, ty głupi kundlu!

Marouan aż sam się zdumiał powolnością, z jaką – mimo szalejącej w nim wściekłości – okrążył stół i podszedł do Kowaliowa. Kiedy to zrobił, zobaczył nagle w oczach tamtego coś, czego przez wszystkie te lata nigdy dotąd w nich nie widział.

Strach.

Śmiertelny strach, mówiąc dokładniej.

Marouan widział, że Kowaliow doskonale zdaje sobie sprawę, co go czeka w tym zamkniętym pokoju przesłuchań.

Co za pieprzony syf – powiedział Tomaso wyrażnie zdenerwowany, kiedy już usiadł i bardzo się starał, żeby od razu nie poderwać się z powrotem z miejsca. Joshua Calvino nigdy wcześniej nie widział swojego szefa w takim stanie.

– Musimy wypuścić sprawę z rąk i oddać ją Korpusowi Policji Krajowej, oni mają specjalny zespół do świadków koronnych. Przejmą od nas przesłuchania. Nam już nie wolno.

– Czemu nie możemy tego zrobić sami, szefie? – Joshua nie potrafił ukryć frustracji.

– Słyszałeś, co powiedziałem. Już nam nie wolno. Po prostu nie i już. Tamci sprawdzą dokładnie wszystko, co powie Kowaliow. Benedyktyńska praca, której ani ty, ani ja nie bylibyśmy w stanie wykonać, wierz mi. Dopiero kiedy skończą sprawdzanie tych wszystkich brudów, które wyrzuci z siebie nasz rosyjski przyjaciel, zawrą z nim układ. Do tego czasu my możemy tylko stać z boku i się przyglądać. Trójka nie zawsze bywa tylko szczęśliwa, Calvino, czasem trójkami chodzą też nieszczęścia. O mało nie straciliśmy w szpitalu policjanta, pozwoliliśmy, żeby sprawca uciekł, a teraz musimy oddać naszego podejrzanego, który pewnie zostanie świadkiem koronnym. Miewałem już lepsze chwile.

– Prawdopodobnie jest jeszcze coś, szefie – zaczął Calvino z wahaniem.

– Jeszcze jakieś nieszczęście?

– Już od dłuższego czasu to za mną chodzi.

– Jeśli to ma coś wspólnego z emocjami, to musisz się z tym wybrać gdzie indziej, sam wiesz.

Nie mam tutaj kozetki, żebyś mógł się wypląkać.

– Mam wrażenie, że Diba go zna.

– Kogo?

– Kowaliowa. Sposób, w jaki ci dwaj porozumiewają się ze sobą bez słów. Oni się znają. Jestem tego pewien.

Tomasoa nic nie powiedział. Wstał z miejsca bardzo powoli, zbyt powoli jak na siebie, i stanął przy oknie bez ruchu, z rękami w kieszeniach.

– Rozumiem, że zdajesz sobie sprawę, co teraz robisz, Calvino? – spytał w końcu.

– Jak najbardziej.

– I jesteś pewien, że to nic osobistego?

– Oczywiście, że to coś osobistego. Przez lata podziwiałem tego człowieka. Marzyłem, żeby z nim pracować. Ale w którymś momencie coś musiało pójść z nim nie tak. I każdego dnia widzę, że jest coraz gorzej. Od dzisiejszego wieczoru nie mam już ochoty dłużej go kryć.

Tomasoa odwrócił się. Joshua zobaczył głębokie bruzdy na jego twarzy i gniewną minę.

– A fakty, Calvino? Czy oprócz własnego rozczarowania masz jeszcze jakieś fakty?

– Od kiedy Diba dziś w nocy zapukał do mnie do domu i oznajmił, że wie ze stuprocentową pewnością, że będzie dzisiaj zamach na chłopca, a do tego nie chciał mi zdradzić źródła informacji, wiedziałem, że coś musi być nie tak. Bo kto ukrywa swoje źródła informacji przed partnerem? Podczas przesłuchania Kowaliowa nagle zobaczyłem odpowiedź na to pytanie. Nie

musiałem nawet pytać wprost.

Tomasoa wciąż jeszcze stał bez ruchu, słuchając, co mówi Joshua, a potem ruchem ręki nakazał mu, żeby kontynuował.

– Kiedy Kowaliow zaczął mi opowiadać, jak próbował ratować chłopca w tej willi, jak najpierw myślał, że on nie żyje, a potem dowiedział się z mediów, że to jednak nieprawda, to już wiedziałem, o co w tym chodzi. Cały ten szum w mediach skłonił do działania wiele osób, którym sprawa była nie na rękę. I Kowaliow przed nimi właśnie chciał ochronić chłopca, dając Dibie cynk o planowanym zamachu.

Wyglądało na to, że cała nerwowość opuściła Tomasoę, ustępując miejsca ciężkiemu jak ołów fatalizmowi, który ponownie wbił go głęboko w jego skórzany fotel.

– Kiedy tak wyobraziłem sobie cały ten scenariusz – ciągnął Joshua – to nagle stało się dla mnie jasne, skąd Kowaliow mógł wiedzieć o tajnym transporcie chłopca.

– No dobrze – mruknął Tomaso. – Jeśli masz rację, to oznacza, że mamy u siebie kreta. Wydaje mi się wskazane, żebyś teraz wrócił do pokoju przesłuchań i przepytał Kowaliowa na tę okoliczność. A wcześniej powiedz Dibie, żeby do mnie przyszedł.

Joshua zawahał się.

– Czy mogę prosić, żeby na razie pan nie mówił, skąd ma informacje, szefie?

Tomasoa przytaknął.

Z ciężką od myśli głową Joshua wrócił przez kantinę, gdzie wbrew wszelkim swoim zwyczajom wziął sobie espresso z automatu. Wypił łyk, po czym natychmiast wyrzucił kubek razem z zawartością do śmieci.

W drodze do pokoju przesłuchań usłyszał męski głos mówiący coś z przejęciem przez krótkofalówkę. Jakiś policjant wybiegł ze środka blady jak ściana. Joshua wszedł przez drzwi. Białe opatrunki na dłoniach Diby były czerwone od krwi, która sączyła się z zabandażowanej głowy Kowaliowa, tworząc na blacie stołu wielką kałużę.

– Próbowałem go powstrzymać – mówił przerywanym głosem Diba. – Nagle ni stąd, ni zowąd zaczął walić głową w stół. Próbowałem go powstrzymać...

Joshua przyłożył dwa palce do tętnicy szyjnej Kowaliowa i wydawało mu się, że wyczuwa słabutkie tętno.

Kiedy podniósł wzrok, Diby już nie było.



Farah stała na pustej o tej porze promenadzie widmowego mola na betonowych filarach, wychodzącego daleko w morze. Kilkanaście metrów pod nią ze złowieszczym spokojem szumiało czarne morze, którego fale leniwie uderzały o filary.

Każdy ruch, jaki wykonywała po tamtej katastrofie na Ringu, sprawiał na niej wrażenie, jakby wymagał pokonania zwielokrotnionej siły ciężenia. Nawet jej myśli płynęły teraz wolniej niż normalnie. Ale nie był to tylko wynik tamtej katastrofy i wszystkiego, co potem nastąpiło. To był też wynik wszystkiego tego, co poprzedziło katastrofę przez wcześniejsze dni.

Jeszcze godzinę temu siedziała w gabinecie zabiegowym u węzłowia kozetki, na której leżał na brzuchu Paul, podczas gdy pielęgniarka systematycznie wyciągała mu z pleców okruchy szkła i dezynfekowała rany. Paul udawał silniejszego, niż był w istocie, zadając Farah mnóstwo pytań na temat spotkania z Ławrowem i nieomal z dumą opowiedział jej, w jaki sposób nabawił się w Ponte City pozostałych obrażeń widocznych na jego ciele. Chłopiec zawsze pozostanie chłopcem. Poszła z nim na oddział, gdzie zajmowano się Edwardem, który miał problemy z drogami oddechowymi i zaburzenia rytmu serca.

Lekarze zdążyli już zrobić mu prześwietlenie płuc i EKG, ale Edward miał zostać przez noc na obserwacji w szpitalu.

Znalazłszy wolniejszą chwilę, Farah poszła na oddział intensywnej terapii, kompletnie nieprzygotowana na to, co tam zastała. Od Mariski usłyszała, co się stało. Pożar, zamach, postrzelony policjant, transport chłopca. Chłopiec dotarł podobno bezpiecznie na pediatryczny oddział intensywnej terapii w Maaspoort Hospitaal w Rotterdamie.

A potem miała ten telefon.

– Pani Hafiz? Lekarka powiedziała, że muszę do pani zadzwonić.

– Jaka lekarka?

– Doktor Bernson. W sprawie tego potrąconego chłopca.

– To znaczy?

– Ja wiem, o co w tym chodzi... jak to się stało.

– Słucham pana.

– Nie przez telefon. Wykluczone. – Głos mężczyzny sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego. Budzący niepokój timbre.

– Kiedy możemy się spotkać? – spytała.

I oto właśnie stała tutaj, czekając na niego. Późnym wieczorem spoglądała z pustego mola na światła kąpieliska Scheveningen.

– Pani Hafiz?

Farah odwróciła się i zobaczyła przed sobą mężczyznę, którego twarzy pewnie już jutro nie będzie pamiętała, tak bardzo była powszednia. Wszystko w tym człowieku, jego postawa, wygląd i ubranie, emanowało dystansem, lecz nie był to dystans, jaki potrafili stwarzać wokół siebie ludzie z elity. Dystans tego człowieka był wynikiem jego uniżoności. Człowiek, którego

miała przed sobą, był jakby stworzony do tego, aby w szary deszczowy dzień stać bez ruchu na zatłoczonym chodniku, nie zwracając niczyjej uwagi.

– Znam panią z telewizji – powiedział głosem zdradzającym dwie paczki papierosów dziennie.  
– To była pani, wtedy na gali, tak?

– Jeśli ma pan na myśli galę w teatrze Carré, to owszem, to byłam ja.

– Mówiła pani komuś, że mamy się spotkać?

– Mój szef jest poinformowany.

– Widzi pani, chciałbym uniknąć jakiegokolwiek zamieszania. Ja chcę tylko wszystko naprawić. Nikt nigdy nie miał żadnych podejrzeń. Nawet moja żona.

– O jakich podejrzaniach pan mówi?

– Co do podwójnego życia, jakie prowadzę. Od wielu lat.

Mężczyzna sprawiał wrażenie znerwicowanego. Fajtlapa, który nie ma się komu zwierzyć ze swoich zmartwień.

– Czego dotyczy to podwójne życie?

Wyglądało na to, że w ogóle jej nie słucha. Zbyt zajęty był tym, co chce z siebie wyrzucić.

– W obydwu moich życiach byłem lojalny, trzeba pani widzieć. Ale przychodzi taki moment, że trzeba dokonać wyboru. Jeśli samemu tych wyborów nie dokonamy, ktoś dokona ich za nas. Chciałbym, żeby udało mi się tego dokonać wcześniej. A teraz już za późno. Posłuszeństwo jest najwyższą cnotą. Tak powtarzał mi zawsze ojciec. Tak zostałem wychowany. W wielkim szacunku dla autorytetów. Wierzyłem, że ludzie dostają w życiu to, na co zasługują, kiedy są posłuszni.

– Teraz już pan w to nie wierzy?

– Wiara jest czymś, na czym może oprzeć się człowiek, proszę pani. Jeśli zaczynamy wątpić, upadamy. Ja już w nic nie wierzę. Po tym co się wydarzyło z tamym chłopcem, już nie.

Mężczyzna odwrócił wzrok, zawstydzony, i przez jakiś czas spoglądał w milczeniu na niespokojny taniec fal.

– Zawsze byłem ciekaw, co się pod nią kryje. Pod wodą, znaczy się. Ale nie jestem nurkiem. Bałem się wejść do wody nawet z rurką do oddychania. W domu mam kilka akwariów. Kiedy moja żona ogląda telewizję, ja patrzę, co dzieje się pod wodą.

Jego smutne, podbiegnięte krwią oczy popatrzyły na nią ponownie. Wyjął z kieszeni paczkę Marlboro.

– Będzie pani przeszkadzać? – spytał.

Farah pokręciła przecząco głową. Mężczyzna zakaszłał i popatrzył na nią z przeproszającym uśmiechem.

– Lekarz twierdzi, że dawno już powinienem przestać. No cóż, nasze wybory. – Wydmuchnął dym przed siebie. – Wszyscy mamy coś do ukrycia, proszę pani. Albo próbujemy przed czymś uciec. Dopóki to coś nas nie dopadnie.

Farah spojrzała na niego badawczo. Nie bała się. Ten człowiek nie emanował zagrożeniem. Czuła wręcz lekkie zaintrygowanie jego szarą zwyczajnością. Ale z drugiej strony doskonale wiedziała, że najwięksi psychopaci bardzo często potrafią być kompletnie nierzucającymi się w oczy osobami. Siedzieli zatrzaśnięci w swojej drobnomieszczańskości i wyrwali się z niej tylko na czas popełniania potworności, które chociaż po części oddawały im utraconą kiedyś tożsamość. Ten człowiek idealnie odpowiadał temu opisowi.

– Musi pani wiedzieć, proszę pani, że działałem pod przymusem. To nie było z własnej woli. Ale nie chciałbym, żeby moja żona stała się ofiarą. Nie chciałbym, żeby coś jej się stało.

Oszczędzałem. Są odłożone dla niej pieniądze. Mam nadzieję, że ona mi wybaczy, że nigdy nie opowiadałem jej o moim drugim życiu. Ale z drugiej strony nie wydaje mi się, żeby to zrobiła. To nie pasuje jedno do drugiego.

Znowu umilkł. Farah nie potrafiłaby ocenić, czy sprawiało mu to przyjemność, czy po prostu starał się odsunąć od siebie chwilę, kiedy wyrzuci z siebie to, co chce powiedzieć, z czystego strachu przed spełnieniem tej potrzeby.

– Jest pani wierząca? – spytał.

– Staram się, jak mogę – odpowiedziała wymijająco Farah.

– Człowiek wie, że potem niczego nie ma, dlatego chce w coś wierzyć – oznajmił mężczyzna.

– Zadzwoił pan do mnie – odparła Farah chłodno. – Chciał mi się pan z czegoś zwierzyć. O czym zatem chce mi pan opowiedzieć?

Kilkanaście metrów pod nimi fale leniwie uderzały o filary mola. Mężczyzna tak mocno chwycił się balustrady, jakby się bał, że zaraz upadnie.

– Wożę go już od trzech lat, znaczy mojego szefa. Kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy, to myślałem przez chwilę, że to kanclerz Niemiec, jak on się nazywał, a, no tak, Kohl, Helmut Kohl. Wielki i gruby, i nawykły do rozdawania orderów. O takim człowieku myśli się, że zna się na rzeczy. Inaczej nie zajmowałby tak wysokiego stanowiska. Takiemu człowiekowi jest się posłusznym. Byłem zobowiązany do zachowania tajemnicy służbowej. Znam zasady mojego zawodu. Z czasem relacja staje się bardzo osobista. Lojalność i obowiązek zachowania tajemnicy to nie było dla mnie nic trudnego. Lombard był człowiekiem, który tak sam z siebie do tego zmuszał.

– Mówi pan o Lombardzie, ministrze gospodarki?

– Bardzo chciałem dla niego pracować. Jako ktoś więcej niż tylko kierowca, który przewozi go z miejsca na miejsce. Chciałem być dla niego kimś, na kim będzie mógł polegać. Stanowiliśmy doskonały duet, Lombard i ja. Ale oczywiście zawsze z zachowaniem należącego dystansu. Nie zostaliśmy przyjaciółmi. Nawet tego zresztą nie chciałem. To by tylko dodatkowo zagmatwało całą sprawę.

Zapalił drugiego papierosa i zaciągnął się. Zupełnie jakby szukał w tym odwagi, by mówić dalej.

– Za pierwszym razem, kiedy zadzwonił po mnie o późnej godzinie, uprzedził, żebym nie zapominał o swoim przyrzeczeniu. „Przyrzeczenie zobowiązuje”, powiedział. Zastanawiałem się, dlaczego tak dobitnie mi o tym przypomina. Skoro wożę go już od miesięcy. Kazał mi zawieźć się do parku. Pamiętam to miejsce, stały tam takie drzewa z długimi, zwisającymi gałęziami, nie wiem, jak się nazywają.

– Wierzby płaczące – podpowiedziała Farah i pomyślała: jak bardzo to pasuje.

– Kazał mi zaczekać. Chwilę później wrócił razem z jakimś chłopcem, takiej orientalnej urody, bardzo młodym.

– Jak młodym?

– Bardzo młodym. W każdym razie na pewno nieletnim. „Przejeżdż się wolno po okolicy”, powiedział do mnie Lombard i ruszyłem przed siebie, ale w lusterku wstecznym doskonale widziałem, co się dzieje, co tam ze sobą robią.

Mężczyzna zaciągnął się kilka razy głęboko i zaczął strasznie kaszleć.

– Przepraszam – powiedział, gdy kaszel się uspokoił. – Mógłbym pani wiele opowiadać o tym, co się działo na tylnym siedzeniu samochodu, rzeczy, w które trudno byłoby pani uwierzyć. Nie zawsze działo się to w samochodzie, czasem w hotelach, ale nie w tych drogich, w których

normalnie się można zatrzymywać, to zrozumiałe. Bardzo mu zależało, aby to, co robił z tymi chłopcami, nie ujrzało światła dziennego.

– Był pan przy tym tej nocy, gdy samochód potrącił tego afgańskiego chłopca?

Mężczyzna jakby się skurczył.

– W ostatnich latach woziłem Lombarda regularnie w różne konkretne miejsca, daleko od terenów zamieszkanymi. Najczęściej w lesistych okolicach. Czasami były to jakieś tereny przemysłowe albo porty Antwerpii. Zawsze były to opuszczone miejsca i zawsze działo się to w nocy. Musiałem wtedy na niego czekać, gdzieś w ustronnym miejscu. Kiedy wracał, wyglądał czasem na przerażonego. Raz zobaczyłem, że ma krew na rękach i na ubraniu. Płakał. O nic nie pytałem. Nie chciałem nic wiedzieć. Jeszcze tej samej nocy wysprzątałem samochód w środku.

– Co się zdarzyło w Lasku Amsterdamskim?

– Gdy byliśmy prawie pod samą willą, zobaczyłem biegnącego człowieka. Od razu wiedziałem, że coś jest nie tak. Usłyszałem strzały. Próbowałem zawrócić samochód, ale przychodziło mi to z trudem. Lombard wpadł w panikę. Kiedy znaleźliśmy się z powrotem na drodze... – Mężczyzna zamilkł.

Farah zobaczyła, że ten człowiek płacze, ale robił to bezgłośnie. Z takim wyrazem twarzy, jakby zaraz miał się udusić. Nie reagowała, czekając, aż tamten się pozbiera.

– Wciąż jeszcze widzę ją na masce samochodu.

– To był chłopiec.

– Wtedy tego nie wiedziałem. Pojawiła się nagle. Jakby znikąd. Jakby miała skrzydła. Wciąż mam przed oczami jej twarz. Jej oczy, gdy uderzyła głową w przednią szybę.

Odwrocił wzrok, wpatrywał się w morze, zupełnie jakby myślami był gdzie indziej, najpewniej w tamtym lesie.

– Wszystko stało się błyskawicznie. Zahamowałem z całej siły, ale było za późno. Odskoczyła od maski, jakby była z gumy. Ale huk, huk był taki potężny. Wciąż jeszcze mam go w uszach. Nie mogę się go pozbyć. Nie śpię. Kiedy tylko zamknę oczy, znowu to widzę i słyszę. Widzę te oczy.

Głos mu drżał. Jeszcze bardziej kurczowo chwycił się balustrady, zupełnie jakby stali na pokładzie miotanego sztormem statku. A w niej nie było ani cienia współczucia.

– Chciałem zahamować, ale Lombard krzyknął, że mam jechać dalej. Cały czas krzyczał. Dodałem gazu. To nie mogło trwać dłużej niż kilka sekund. – Spojrzał na nią jak zaleźnione dziecko, które nie wie, co robić. – To dziwne, jak się tak człowiek zastanowi, ile myśli może przelecieć przez głowę w ciągu kilku sekund. Już nie pamiętam, o czym wtedy tak naprawdę myślałem...

– Pojechał pan dalej – przerwała mu zimno Farah.

– On przez cały czas krzyczał do mnie z tylnego siedzenia. „Szybciej, szybciej!”, krzyczał raz po raz.

– Powinien pan to wszystko opowiedzieć policji.

– Wiem o tym – odparł mężczyzna. – Doskonale o tym wiem. Kiedy zobaczyłem w telewizji tę lekarkę, próbowałem zdobyć jej numer. To jej chciałem o wszystkim opowiedzieć. Tak się to wszystko zaczęło.

– Czemu zdecydował się pan opowiedzieć to mnie?

– Przez wszystkie te lata milczałem na temat tych wszystkich brudów, które działy się na moich oczach. Brałem w tym udział. Jestem winny. Ale nie jestem jedynym winnym, rozumie pani?

– Chyba tak – powiedziała Farah. – Dlatego dobrze się stało, że postanowił pan się tym ze mną podzielić.

Zobaczyła, jak mężczyzna pochyla się głęboko do przodu, ze złożonymi rękami, opartymi o balustradę. Zupełnie jak osoba wierząca, która właśnie dokonała spowiedzi, a teraz w ramach pokuty odmawia *Ojcze Nasz*.

**Było** mu wszystko jedno, gdyby miało się okazać, że to go tu znajdą. Musiał stać tutaj pod tym prysznicem, bo chciał z siebie zmyć wszystko. Temperatura wody najwyższa, jak się da, strumień najmocniejszy, jak się da, wszystko po to, by pozbyć się ostatnich resztek Kowaliowa. Ale na to było za mało czasu, bo zło Kowaliowa wżarło się głęboko w każdy por jego skóry, jak mikroskopijne cząsteczki radioaktywnej substancji.

Po wytarciu się z grubsza ręcznikiem spryskał całe ciało taką ilością wody kolońskiej, że aż zakręciło mu się od jej zapachu w głowie. Włożył czystą bieliznę i nowiutką koszulę w paski. Wybrał swój najlepszy garnitur, kupiony zaledwie miesiąc temu na ślub.

*Żal i skrucha były tylko udręką niewiary. Czas, który jest nam dany, zawsze kiedyś się kończy. I nie ma żadnego sposobu, który zdołałby uratować kogoś przed śmiercią. Albowiem to Bóg jest Stworzycielem wszelkiego życia i wszelkiej śmierci.*

Nie zapalił światła w żadnym pomieszczeniu, przeszedł po ciemku przez cały dom, wszystkiego dotykał, kanapy, stołu, krzeseł, nawet martwego sztucznego marmuru na blatach w kuchni, wciąż jeszcze pachnącego środkami czyszczącymi.

Wszystko, czego dotknął, przypominało mu o innym czasie, innym życiu, w którym wszystko miało swój sens, w którym rzeczy miały swoje funkcje, w którym wszystko łączyło się ze sobą i zdawało wzajemnie dopełniać.

Spojrzał na ciemny ogród, zwiędłe krzaki, chwasty wyrastające spomiędzy płytek. Każdego roku postanawiał, że się nim zajmie i każdego roku nic z tego nie wychodziło.

Po omacku wyjął ze stojącej niepewnie wieży kompakt z muzyką egipskiej piosenkarki Umm Kulsum.

W corolli cuchnęło resztkami jedzenia, potem i frustracją. Zapalił silnik, spojrzał na pogrążony w ciemnościach dom i odjechał. Kilka ulic dalej zobaczył dwa radiowozy policyjne, gnające na sygnale z naprzeciwka.

W centrum starego miasta znalazł jakieś miejsce do zaparkowania przy kanale i wyszedł na plac brukowany kocimi łbami.

To dzięki uśmiechowi zapewnił sobie wejście za jej szklane drzwi. Dziewczyna spojrzała na niego w taki sposób, jakby widziała go po raz pierwszy. Wyjął portfel i kładąc na stole trzy banknoty po sto euro, zapowiedział, że przez najbliższą godzinę ma nikogo innego nie wpuszczać.

– To niemożliwe – powiedziała przestraszona. – Nie wolno tak długo.

– To w takim razie, jak długo możemy tu być sami?

– Najwyżej kwadrans.

Marouan zostawił pieniądze na stole i oznajmił:

– W takim razie to jest za ten kwadrans.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Co mam w zamian zrobić?

Marouan odpowiedział miękki głosem, wydobywającym się z najgłębszej otchłani jego „ja”.

– Zatańcz dla mnie.

Spojrzała na banknoty leżące na stole.

– Tyle chcesz mi dać, jak dla ciebie zatańczę, tak?

Widział, że nie może w to uwierzyć.

– Teraz? Tutaj?

– Teraz i tutaj. Dla mnie. – Podał jej płytę kompaktową. – Do najpiękniejszej muzyki, jaką udało mi się dla ciebie znaleźć.

Włożyła płytę do odtwarzacza, stojąc odwrócona do Marouana plecami. Kiedy rozległy się pierwsze dźwięki orkiestry rozpoczynającej pieśń *Alf Leyla Wa leyla*, zobaczył, że coś się w niej zmieniło. Spojrzała na niego, jakby właśnie dostała piękny prezent.

Rozpuściła włosy i zawiązała chustę wokół bioder, żeby osłonić nogi. Stanęła przed nim. Jej ciało zaczęło się poruszać w rytmie podawanym przez guembri, marokańską lutnię. A kiedy Umm Kulsum zaczęła nucić: *Żyjmy, żyjemy zanurzeni w oczach nocy*, Marouan zorientował się, że ona nie tańczy dla niego. To muzyka była tym mężczyzną, dla którego tańczyła.

Pozwolił się nieść jej ruchom, tak jak człowiek oddaje się falom morza, i wiedział, że ta chwila już nigdy nie wróci, że przeminie i że trudno będzie mu uwierzyć, że w ogóle miała miejsce. Czuł niewypowiedzianą wdzięczność, a zarazem smutek.

Wyciągnęła rękę falującym ruchem, który przepływał przez całe jej ciało, wychodząc od bioder. To falowanie objęło całe jej ciało, a wszystko zdawało się zbiegać w jej brzuchu, by falować dalej.

Królewski ruch jej ręki, skutek poruszenia głowy, spowity został welonem jej włosów, jakby dalekim echem uderzenia w gong.

W ciszy pomieszczenia wciąż jeszcze unosiły się ostatnie słowa wyśpiewane przez Umm Kulsum.

*Żyjmy, żyjemy zanurzeni w oczach nocy i zasmakujmy słońca, dopiero gdy minie rok od chwili, kiedy zacznie nas pieścić swymi promieniami.*

Stała przed nim z zamkniętymi oczami. Marouan nie potrafił znaleźć słów, żeby przerwać ciszę, nie chciał widzieć, jak ona otwiera oczy i bierze pieniądze ze stołu. Było dobrze tak jak teraz. W milczeniu wyszedł na ulicę.

Joshua Calvino nie miał pojęcia, co powinien teraz myśleć ani co powinien czuć, wiedział tylko, że musi zrobić krok, a potem drugi i następny. W ten sposób dotarł do swojego pokoju, gdzie opadł ciężko na krzesło, jak bokser, który przez wszystkie rundy bezustannie inkasował niezliczoną ilość ciosów.

Kowaliowa zabrała karetkę. W powstałym zamieszaniu Diba zniknął. Do jego domu wysłano dwa radiowozy. Rozległ się gong rozpoczynający kolejną rundę. Był to dzwonek telefonu na jego biurku.

– Joshua? – Rozpoznał głos Ellen Mulder, ich anatomopatologa. – O ile dobrze pamiętam, to wy zajmujecie się sprawą tego afgańskiego chłopca?

– Tak, a co?

– Dzisiaj wieczorem przywieźli do nas ciało tej lekarki z telewizji.

Niecały kwadrans później Joshua stał w wyłożonym kafelkami pomieszczeniu kostnicy i spoglądał na nagie i zmaltretowane ciało Daniëlle Bernson. Szum klimatyzacji zagłuszało jakieś regularne pulsowanie. Minęła chwila, zanim się zorientował, że to bicie jego serca pobudzało od środka jego błonę bębenkową. Wszedł do środka bez emocjonalnego pancerza, jaki normalnie zapewnia mu jego zawód. Bezbronny. Prawie tak samo bezbronny, jak musiała się czuć Daniëlle, patrząc w wylot skierowanej w swoją stronę lufy.

Ellen Mulder mówiła przyciszonym głosem.

– Przyczyną śmierci był strzał, który trafił ją w plecy, o tutaj. Kula przeszła przez lewe płuco, uszkadzając aortę. Druga kula przebiła czaszkę od strony czoła, wniknęła do mózgu i wyszła tuż nad drugim kręgiem szyjnym.

Joshua patrzył na nią pozbawionym wyrazu wzrokiem.

– Zginęła od razu po pierwszym strzale – oznajmiła Ellen, jakby to mogło go uspokoić. Sięgnęła dłonią do rany wlotowej na czole Daniëlle.

– Skóra wokół rany wlotowej jest mało poszarpana. Strzał musiał zostać oddany z niedużej odległości.

– Z jakiej mniej więcej?

– Dwa, najwyżej trzy metry.

Joshua z trudem powstrzymał się, żeby na głos nie zakląć.

– Dobrze ją znałeś? – spytała lekarka.

Joshua milczał. Za wszelką cenę pragnął przywrócić Daniëlle do życia, ale nie zrobił nic poza biernym przyglądaniem się.

– Nie jesteśmy bogami, Joshua. Każdy z nas ma swoje niedoskonałości i żadnego rozeznania – powiedziała Ellen Mulder. – Słabo znamy się nawzajem i nie mamy pojęcia, do czego zdolni są inni. Aby wszystkie te niedostatki były chociaż trochę łatwiejsze do zniesienia, próbujemy



odkupić swoje winy, starając się być w czymś dobrzy. Wspecjalizować w czymś. Ja w ludziach martwych. Ty winnych. Często jednak zdarza nam się przez to zapomnieć, że rzeczywistość jest daleko bardziej skomplikowana, niż obejmuje to nasza specjalizacja.

Spojrzał na nią zgnębiony.

– Przestań się już zadręczać i zbierz wszystkie fakty, które pomogą ci schwycić sprawcę.

– Masz coś jeszcze? – zapytał Joshua ochryple.

Z matematyczną precyzją jej palce w gumowych rękawiczkach przesunęły się od jednej rany wlotowej do drugiej, by wreszcie spocząć na prawym udzie Daniëlle.

– Ona została zgwałcona, Joshua.

Odwrócił się i podszedł do szyby z nieprzezroczystego pleksiglasu, jakby miał nadzieję, że znajdzie tam powiew świeżego powietrza, który pomoże mu opanować odruch obrzydzenia. Za jego plecami Ellen ponownie okryła prześcieradłem ciało Daniëlle. Zdjęła gumowe rękawiczki i wrzuciła je do kubła na śmieci. Potem podeszła do niego. Słyszał jej oddech, kiedy za nim stanęła. Jakby pod wpływem impulsu zaczął nagle mówić.

– Zaczynając pracę w tym fachu, człowiek wyznacza dla siebie określone granice. Ale co się stanie, jeśli zaczynamy te granice kawałek po kawałku poszerzać? Niezauważenie. Aż w końcu uświadamiamy sobie... – odwrócił się do niej – ...że już dawno je przekroczyliśmy.

– Zawsze jest droga powrotna, Joshua.

– Kiedy będziesz miała pełny protokół z sekcji?

– Już dzisiaj zacznę go pisać.

– Jakby mógł być jutro rano na moim biurku, byłoby świetnie. Dziękuję ci, Ellen.

Czuł, że za nim patrzy, kiedy niepewnym krokiem wychodził przez automatyczne drzwi. Chciał jechać do domu, zakopać się w swoim łóżku, zasnąć i obudzić się przy Farah, która poprosiłaby go o podniesienie kotwicy, włączenie silnika i wypłynięcie z orszakiem łabędzi za rufą. Farah. Zadzwoiła jego komórka i gdy spojrzał na wyświetlacz, zobaczył jej imię.

– Joshua?

– Tak, słucham?

– Mam tu kogoś, z kim musisz porozmawiać.

Samoloty podchodzące do lądowania na lotnisku Schiphol przelatywały bardzo nisko nad nim. Marouan przypomniał sobie okres, kiedy był jeszcze zwykłym policjantem i chciał się dostać do wydziału kryminalnego. Wszyscy jednak chcieli, żeby dalej pracował na ulicy, bo trzymał pod kontrolą marokańskich chuliganów. I przeciwko temu się zbuntował. Poszedł z pretensjami do komisji skarg i wniosków. Oczywiście z każdej strony odmowy. Nawet gazety o nim pisały. Podejrzenie praktyk dyskryminacyjnych. Mieli wtedy z jego powodu niezły cyrk w dowództwie.

Przypomniał sobie te przejażdżki z brawurą godną Belmonda, gdy przyjechał na wakacje już jako inspektor. Przejażdżki pod rozgwieżdżonym niebem Marrakeszu, kiedy brat obwieścił światu, że to on jest tajemniczą istotą *khilqa*. Przeleżał wtedy całą noc ze zmęczoną głową między piersiami Aishy. Z powrotem w swoim rodzinnym mieście z żoną, w której kochał się już od tak dawna.

Teraz też pragnął leżeć przy niej, kochać się z nią, wypełnić ich wspólne bycie krzykami rozkoszy, które obudziłyby nadzieję, że jeszcze będą mogli być szczęśliwi. Poszedłby na boisko niedaleko ich rodzinnego domu, żeby przypilnować syna, który ciągle nie umiał uderzyć piłki pełnym podpięciem, przez co zawsze lądowała daleko od celu. Uspokajającym gestem położyłby dłonie na ramionach Jamili. Miała już świadomość tego, jaka jest piękna, ale kompletnie nie zdawała sobie sprawy, jakim zagrożeniem są ci wszyscy pryszczaci nieudacznicy, którzy zaczynali się wokół niej kręcić.

Zatrzymał się tuż przy wieżowcu Rembrandttoren. Zostawił włączony silnik, wybrał numer i po chwili usłyszał zaspany, zdziwiony głos.

- To ja – odezwał się łagodnie i stwierdził, że pieką go oczy.
- Wiem – odpowiedziała. W jej głosie wyczuł niepokój.
- Spałaś?
- Co się dzieje?

Usłyszał w jej głosie narastającą panikę. Normalnie nigdy nie dzwonił do niej o tej porze, a jeśli zdarzało mu się zadzwonić, załatwiał sprawę krótko. Potem zadawał jej parę pytań, żeby zasygnalizować zainteresowanie. Dawało jej to okazję do zebrania paru rzeczy, które działały się w ciągu dnia w nic niemówiącą relację, a wtedy mógł powiedzieć, że trochę to jeszcze potrwa, zanim wróci, i wreszcie obydwójce mogli z ulgą zakończyć rozmowę. I wszystko było dobrze.

Ale teraz było zupełnie inaczej.

Wiedziała, że to on, chociaż wyrwał ją z głębokiego snu, wiedziała, i wydawało mu się, że usłyszał w jej głosie coś jakby cień radości. Przypomniał sobie te niezliczone chwile, kiedy leżał w nocy, nie mogąc zasnąć, i nasłuchiwał jej oddechu, który regularnie przechodził w lekkie pochrapywanie, a gdy czasem stawał się przerywany, on gładził ją delikatnie i jej oddech znowu się uspokajał.

- Co się dzieje? – powtórzyła.
- Nie ma powodu do niepokoju. Wszystko dobrze. Co byś powiedziała na to, żebyście zostali

trochę dłużej?

Powiedział to najbardziej spokojnie, jak potrafił, i jej milczenie uznał za zgodę.

– Aisha? – Przełknął kilkakrotnie ślinę, zanim zaczął mówić dalej. – Ucałuj ode mnie Jamilę i Chahida. Powiedz im, że ich kocham.

Potem przerwał połączenie, wysiadł i poszedł w stronę wielkich szklanych drzwi wieżowca. Pomachał do ochroniarza za kontuarem recepcji i pokazał swoją legitymację policyjną. Ochroniarz podszedł do drzwi, spojrział podejrzliwie na oblepione plastrami dłonie Marouana, a potem na jego legitymację.

– Policja! – zawołał Marouan przez drzwi. Wiedział, w jaki sposób wykorzystać swój status, i nakazał otworenie drzwi.

– Są podobno jakieś problemy z waszym systemem alarmowym – stwierdził, kiedy już znalazł się w gigantycznym marmurowym holu. – W dodatku dostałem bezpośredni meldunek, że coś jest nie tak w waszej sali konferencyjnej. Niczego tutaj nie zauważyliście?

Nie czekając na odpowiedź, podszedł do windy i nacisnął guzik.

– Trzeba to szybko sprawdzić – powiedział. – Ktoś ze mną pójdzie?

W windzie oparł się o chromowaną ścianę, czując, jak pot cienką strużką spływa mu między łopatkami. Na mundurze ochroniarza zobaczył odznakę z nazwą i winietką CitySecure.

– Dobra firma. Może nawet najlepsza. Jak długo już dla nich pracujesz, Clive?

– Mniej więcej pół roku.

– A wcześniej?

– Nie rozumiem.

– To masz fart, że cię wzięli od razu, do CS biorą tylko najlepszych.

Clive uśmiechnął się skromnie. Marouan wyjął gumę do żucia i zaproponował jedną Clive'owi. Ten zawahał się, w końcu jednak wycisnął sobie jedną drażetkę.

– Jakies plany na przyszłość, Clive? Czy zawsze już chcesz być ochroniarzem?

– Może do kryminalnej. Nie wiem.

– No proszę, to mamy coś wspólnego. Kryminalna?

Clive skinął głową.

– W kryminalnej jest okay.

Drzwi windy rozsunały się. Marouan wyrzwał na korytarz z matowego szkła, z którego otwierał się widok na salę konferencyjną.

– Przejdźmy się szybko – zaproponował. – Mam jeszcze parę spraw do załatwienia.

Przeszli korytarzami, potem przez dwa wielkie pomieszczenia o szklanych ścianach, gdzie stały wielkie owalne stoły, krzesła i ekrany do prezentacji. Nic szczególnego, poza zapierającym dech w piersiach widokiem na leżący sto pięćdziesiąt metrów niżej Amsterdam. Kiedy sprawdzili już trzy pomieszczenia, każde w innym rogu budynku, znaleźli się teraz w czwartym, w którym stały białe kanapy, fortepian marki Steinway i bar. Wielka sara narad.

Marouan zobaczył w dole lotnisko Schiphol. Jakiś samolot przeleciał obok. Wyobraził sobie pasażerów z nosami przyciśniętymi do okienek, wpatrujących się w mozaikę stale rosnących punkcików.

– Nie musisz zostawać inspektorem, Clive – powiedział z uśmiechem. – Jesteś przecież królem tego budynku.

Nonszalancko rozejrzał się dookoła.

– Żadnych rozsuwanych okien?

Clive pokręcił głową.

– Nic z tych rzeczy.

Wrócili do głównego holu, gdzie Clive nacisnął guzik windy, jednocześnie powiadamiając kolegę przez walkie-talkie, że wszystko w porządku. W tym momencie Marouan zobaczył szklane ściany klatki schodowej.

– Dokąd prowadzą te schody?

– Do nieba.

– No to dla pewności tam też jeszcze sprawdzę.

Marouan powiedział to z uśmiechem i ruszył do góry, pokonując po dwa stopnie naraz, potem nacisnął dźwignię bezpieczeństwa i nagle znalazł się w konstrukcji przypominającej okrągłą klatkę, mając wprost nad głową wieczorne niebo i gwiazdy.

Drzwi wyjściowe nie były zabezpieczone zamkiem. Przed nim otworzyło się dziesięć metrów płaskiego dachu bez balustrady. Czuł cudowny spokój, gdy zbliżał się do krawędzi. Król wieżowca.

Potem zrobił krok do przodu.

Aisha już na niego czekała. Dawno już tego nie robiła. Stała w drzwiach, zupełnie jakby wiedząc, że dziś wydarzy się coś szczególnego. Jakby widziała, że tego dnia wróci do domu tak naprawdę. Uśmiechnęła się do niego, a on poczuł zapach czosnku, imbiru i prażonych migdałów, a także miodu z kwiatów pomarańczy, z których zrobiła tadżin. Szukał właściwych słów, żeby jej powiedzieć, jak bardzo się cieszy, że czekała na niego właśnie tego wieczoru. Ona tylko się uśmiechnęła na znak, że nie musi nic mówić. Że go rozumie.

Wpuściła go do środka i zamknęła drzwi.

**R**adjen Tomaso wiedział, że jeśli człowiek chce wytrwać w tym fachu, musi być w każdej chwili gotowy na wszystko i nie dopuszczać, by coś go dotykało osobiście. Ale tego, z czym właśnie przyszło mu się zmierzyć, zupełnie się nie spodziewał, i trafiło go to jak cios młotem. Zbagatelizował wszystkie zapowiadające to znaki i dręczyło go teraz przemożne poczucie winy.

Bezsilnie patrzył w górę, gdzie leżało rozpięte na stalowej kratownicy ciało inspektora Diby, nad pięciocentymetrowej grubości szklaną płytą daszku nad wejściem do budynku. Wskutek impetu uderzenia na szkle pojawiła się siatka pęknięć, zupełnie jak na grubej warstwie lodu, na którą ktoś rzucił ciężki kamień.

Inspektor przepowiednia. Tak nazywano Dibę po tym, jak lata temu w tajemniczy sposób dokładnie wiedział, gdzie szukać sześciuset kilogramów kokainy w brzuchu samolotu cargo. Dzięki temu spektakularnemu odkryciu Tomaso nagle zyskał w Dibie inspektora o ogólnokrajowej sławie.

Potem jednak zaczęły się pojawiać dziwne plotki, że znalezienie kokainy było tylko zasłoną dymną, żeby ukryć lewą transakcję. W nocy, zanim skonfiskowany ładunek miał zostać oficjalnie zniszczony, ktoś miał podobno dokonać podmiany. Prawdziwy towar zniknął tylnymi drzwiami i został z powrotem wprowadzony na rynek.

Plotki były uporczywe, ale dowodów brakowało. Diba wydawał się tracić swoją przenikliwość, coraz częściej patrzył tylko ponuro przed siebie i wyglądał na nieobecnego. Koledzy zaczęli się od niego odsuwać. Na koniec został mu już tylko jeden człowiek, który otwarcie go wspierał – jego partner Joshua Calvino. Ale nawet on dzisiaj wieczorem dał wyraźnie do zrozumienia, że jak dla niego granica została ostatecznie przekroczona.

Jeśli wierzyć innym plotkom, małżeństwo Diby też było tylko fasadowe. Ponadto wielokrotnie widziano go samotnie siedzącego w kasynie. Niezależnie, czy to wszystko było prawdą, czy nie, przez wszystkie te lata Diba porządnie wykonywał swoją pracę. A w sens roztrząsania czyichś problemów Radjen Tomaso nie wierzył. Wierzył natomiast w dyscyplinę, hart ducha i niezależność. Tomaso wyznawał teorię, że mężczyźni są stworzeni do tego, by przetrwać najgwałtowniejsze burze, ani na krok nie schodząc z raz obranej drogi.

Oczywiście dostrzegał, że Diba już od dawna nie jest tym energicznym inspektorem, który przed laty, napędzany niezmordowaną ambicją, stale był na najwyższych obrotach. Diba zmienił się przez te lata w faceta z poważną nadwagą, chodzącego w przykrótkich spodenkach, który był stałym tematem plotek przy automacie z kawą. Ostatni raz, kiedy nazwisko Diby pojawiło się w gazetach, było to przy okazji niefortunnego sposobu aresztował Dennisa Fabera, za co spotkała go fala krytyki.

Tomaso miał do siebie żal przede wszystkim za to, że wprowadzie za każdym razem próbował rozmawiać z Dibą o tym, co dostrzegał, ale nigdy nie dotarło do niego, że istota jego problemów tkwi daleko głębiej, zbyt głęboko, by dało się je załatwić zwyczajną reprimendą czy przywołaniem do porządku.

Nikt nie próbował tak naprawdę dotrzeć do Diby, nikomu nie udało się pojąć, czego tak naprawdę potrzeba, aby powstrzymać inspektora od upadku na szklany dach nad wejściem do wieżowca Rembrandttoren. Jedyne, co Tomaso mógł teraz zrobić, to uroczyście zapewnić Clive'a Trustfulla, ochroniarza z CitySecure, że osobiście zadba o to, żeby po dzisiejszym wieczorze nigdy więcej nie dostał pracy, w której liczy się dobrze pojęta odpowiedzialność.

Zajeżdżał pierwszy wóz reporterski telewizji. Tomaso zobaczył logo IRIS TV i zawołał do policjanta przy taśmie odgradzającej, że nie wolno mu nikogo przepuścić. Mimo wszystko nietrudno było przewidzieć, że niemała grupa Holendrów dzisiejsze śniadanie zacznie od przeczytania artykułu lub obejrzenia krótkiej migawki na temat tragicznej śmierci fetowanego kiedyś powszechnie inspektora policji. A w ciągu dnia w mediach zaczną się już pojawiać najbardziej fantastyczne teorie.

Na pewno powróci dawna sprawa przechwycenia ładunku narkotyków. Odgrzane zostaną plotki na temat ciemnych interesów i kontaktów. Komenda główna policji w Amsterdamie będzie oblegana przez dziennikarzy, fotoreporterów i ekipy telewizyjne. Każdemu policjantowi i każdemu pracownikowi wchodzącemu do budynku będą podtykać pod nos mikrofony. Czyżby nikt nic nie zauważył? Reporterzy zajmą strategiczne punkty wokół gmachu, tak żeby był dobrze widoczny za ich plecami. Z tych pozycji będą możliwie podniosłym tonem prowadzić swoje relacje na temat przebiegu wypadku, od czasu do czasu oglądając się za siebie.

– Co takiego się wydarzyło? Za murami tego gmachu tej samej nocy po przesłuchaniu jeden z podejrzanych musiał zostać przewieziony do szpitala, a niedługo potem przesłuchujący go inspektor targnął się na własne życie.

Niezależnie od tego, jaką strategię przyjmie komisarz Tomaso, jego zespół poniósł dzisiaj szkody nie do naprawienia. Zwłaszcza inspektor Calvino przeżyje to ciężko. W końcu był partnerem inspektora samobójcy. Czyżby też nic nie zauważył?

Wracając z dużą prędkością do swojego biura, Tomaso wdrożył już pierwsze działania. Po pierwsze należało namierzyć numer żony Diby w Marrakeszu. Trzeba było dokonać przeszukania w jego domu w Amsterdamie pod kątem ewentualnych powodów samobójstwa. Od tej pory wszystkie kontakty z mediami miały przechodzić przez niego. Nikomu z pracowników komendy nie wolno było rozmawiać z prasą. Sam zamierzał wydać komunikat prasowy. Normalnie było to zadanie Działu Prasowego, ale w tym wypadku wolał sam trzymać wszystko w ręku. Poleciał, żeby natychmiast po przesłuchaniu, jakie właśnie prowadził Calvino, ściągnąć go do niego, zanim jeszcze dotrze do niego informacja o śmierci Diby. Tomaso chciał sam go o tym powiadomić.

Po wydaniu tych wszystkich dyspozycji Tomaso zaczął sobie układać w głowie komunikat dla prasy. Nie zamierzał nawiązywać do napięć i nieprawidłowości w życiu prywatnym Diby, chociaż czuł, że tam musiało sporo dziać się nie tak. Jeśli Kowaliow wyjdzie żywy ze szpitala, będzie mógł najprawdopodobniej wiele rzeczy wyjaśnić.

Ale tę nadzieję musiał bardzo szybko pogrzebać, ponieważ zanim zdążył dojechać do swojego biura, dostał telefoniczną wiadomość, że Kowaliow zmarł w wyniku wewnętrznego krwotoku do mózgu.

Znalazłszy się w swoim biurze, właśnie zaczął łącać sobie głowę, co powiedzieć tym z Biura Spraw Wewnętrznych na temat incydentu w pokoju przesłuchań, kiedy w drzwiach stanął Calvino. Wyglądał jak ktoś, kto od tygodnia nieprzerwanie pełni służbę.

– Proszę, zeznania kierowcy. Pełny zapis z dokładnymi datami, opisami osób i miejsc, włącznie z willą w Lasku Amsterdamskim, jako elementem kluczowym.

- Doskonała robota – pochwalił Tomaso. – Gdzie on teraz jest?
  - Siedzi w kantynie, przy kawie i ciasteczku, z policjantem do towarzystwa.
  - Okay – rzucił Tomaso nieobecny tonem. Rzadko kiedy czuł się tak nieswojo, jak w tej chwili. Calvino nieźle dostał w kość dzisiejszej nocy, ale mimo wszystko parł do przodu. Był człowiekiem, który nawet w czasie burzy trzyma się swojej drogi. Takich lubił.
  - Joshua, Diba nie żyje. – Nie było innego sposobu, żeby to powiedzieć. Takie właśnie zimne stwierdzenie to było jedyne, co mógł zaoferować Calvinowi, zupełnie jakby w ten sposób treść jego słów miała być łatwiejsza do zniesienia. – Skoczył z dachu wieżowca Rembrandttoren.
- W ciszy, jaka zapadła po tych słowach, Tomaso zobaczył znowu, jak spada inspektor Diba – tym razem w oczach Calvina.
- I był to ostateczny upadek dawnego policyjnego idola.

Joshua Calvino poczuł falę nudności i oparł się o framugę drzwi.

– Powiniennem być to przewidzieć – rzekł płasko.

Tomasoa wstał z miejsca i podszedł do okna.

– Nie mam pojęcia, co poszło nie tak, Calvino, i kiedy to się stało. Nie wiem, czy rzeczywiście był kretem, czy miał długi, zdradzał żonę albo pił, ale to wszystko można było zobaczyć, tylko że żaden z nas tego nie widział.

– Ja widziałem.

– Nie mam pojęcia, co widziałeś, ale za to dobrze wiem, że przez cały ten czas próbowałeś go jakoś chronić. Nie możesz mieć sobie nic do zarzucenia.

– Rodzina została już powiadomiona?

– Jeszcze nie. Zadzwonię do jego żony do Marrakeszu, jak tylko dostanę numer.

Joshua spotkał małżonkę Diby kilkakrotnie. Skromna kobieta, która w młodości niewątpliwie musiała być piękna, lecz która przez nadmiar trosk i tuszy stworzyła wokół siebie nieprzeniknioną warstwę, czyniąc tę piękność praktycznie niewidoczną. Zupełnie jakby niczym matryoszka zniknęła w większej, grubszej i brzydszej wersji siebie.

– Weź sobie parę dni wolnego, Calvino. To rozkaz – powiedział Tomaso. Odwrócił się i ruszył z powrotem do swojego biurka. – Będzie wewnętrzne śledztwo w sprawie tego, co wydarzyło się w pokoju przesłuchań, więc na pewno zaczną grzebać w życiu Diby i bez wątpienia także w twoim.

– A kto będzie teraz prowadził sprawę chłopca, kto zajmie się zeznaniami kierowcy?

– Sprawa Lombarda będzie przedmiotem śledztwa na szczeblu krajowym.

– Być może – odparł Joshua nadspodziewanie ostro. – Ale ja na pewno nie będę siedział w domu, podczas gdy na wolności pozostaje człowiek, który pozostawia za sobą ślad w postaci wykorzystywanych seksualnie, a prawdopodobnie także zabijanych dzieci. Chcę to rozwiązać.

Tomasoa uderzył płaską dłonią w biurko.

– Załóżmy, Calvino, że będziemy chcieli to rozwiązać. Czy to nie będzie wyglądało na osobistą wendetę, czy też na sposób, żeby pomścić Dibę?

– Przecież możemy aresztować Lombarda na podstawie zeznań jego kierowcy – powiedział Joshua możliwie jak najspokojniej.

– Lombard poleciał do Moskwy z delegacją handlową. Nasze prawodawstwo tam nie sięga.

– Mamy oficera kontaktowego w Moskwie. Pracuje w ambasadzie Holandii. Możemy go włączyć z zadaniem uzyskania pomocy prawnej. – Joshua nie zamierzał pozwolić, by ta sprawa się opóźniła przez zbyt długie rozpamiętywanie śmierci Diby. Stanie w miejscu to cofanie się, a on chciał iść do przodu. Chciał przeniknąć do samego oka burzy. A Tomaso chyba jednak postanowił mu w tym pomóc.

– Okay, Calvino, pewnie jeszcze da się zrobić to i owo, zanim śledztwo przejdzie na szczebel krajowy. Jeśli uda nam się zebrać dodatkowe materiały obciążające, które całkowicie potwierdzą



zeznania kierowcy, to go mamy.

– Lombard ma własny apartament w Hadze – powiedział Joshua. – Musimy przejrzeć zawartość jego komputera.

– Czemu tam, a nie u niego w domu?

– Domowe komputery mają współdzielone zasoby. Musiały być stuknięty, żeby trzymać tam filmy czy zdjęcia. Jeśli gdziekolwiek możemy je znaleźć, to na jego komputerze w Hadze.

Tomasoa wyrwał prokuratora generalnego z łóżka i zasypał go argumentami na rzecz konieczności wydania zezwolenia na natychmiastowe przeszukanie: wyjątkowo godny zaufania świadek z otoczenia ministra złożył obszerne zeznania dokumentujące wieloletnie systematyczne wykorzystywanie seksualne dzieci. Ślady mogą się znajdować w zasobach komputerowych ministra, który w tej chwili przebywa w Moskwie. Prokurator się wahał. Musi najpierw porozumieć się z wydziałem dochodzeniowym policji krajowej.

Tomasoa i Calvino potrzebowali zaledwie trzech kwadransów, żeby znaleźć się w Hadze. Dzięki nader skutecznemu urządzeniu do unieszkodliwiania alarmów w ciągu niewielu minut weszli do apartamentu na czterdziestym piętrze wieżowca Kroontoren, skąd przez wysokie na człowieka prostokątne okna rozciągał się wspaniały widok na miasto. Biel ścian, rolet, kanapy i umeblowania kontrastowała z czernią żyrandola, krzesel, foteli oraz mało przemawiającymi do wyobraźni dziełami sztuki współczesnej na ścianach.

Działali bezgłośnie, zupełnie jakby już nieraz włamywali się nocą do ministerialnych apartamentów. Wszystkie pokoje i szafy zostały przeszukane w świetle latarek. Nie znaleźli nic. Wszystko było sterylnie czyste.

Następnie rolety w gabinecie zostały opuszczone i policyjny ekspert komputerowy usiadł do komputera Lombarda.

W mieszkaniu panowała cisza, pomijając szum pracującej klimatyzacji. Specjalista komputerowy zaczął łamać hasła i sprawdził, czy wszystkie programy na komputerze były instalowane za wiedzą właściciela, czy też pojawiły się tu w wyniku działania wirusów. Miało to zasadnicze znaczenie, ponieważ jeśli udałoby się im znaleźć coś podejrzanego w zasobach Lombarda, mieliby dowód, że znalazło się to tam na jego życzenie.

Nerwowe klikanie klawiatury wprawiało ich w stan niepokoju. Chwilami zapadała pełna wyczekiwania cisza, przerywana nową serią błyskawicznych uderzeń w klawisze.

– Najprawdopodobniej korzysta z anonimowego dostępu do Internetu poprzez wirtualną sieć Tor – powiedział komputerowiec przyciszonym głosem. – Nie da się tam prześledzić adresów IP. Tor jest wykorzystywany do anonimowej wymiany informacji.

Okresy klikania stawały się coraz dłuższe, a chwile ciszy coraz krótsze. Motywacja u Joshuy i Tomasoy spadała z każdą minutą. Popatrywali na siebie, w milczeniu oceniali nawzajem stopień swojego zmęczenia i znowu patrzyli ponuro przed siebie. Klikanie trwało nadal.

Nagle zapadła nieoczekiwana cisza, zakończona cichym przekleństwem. Joshua i Tomasoa zerwali się na równe nogi i podeszli do monitora akurat w momencie, gdy komputerowiec rozpakowywał jakiś zzipowany folder ze zdjęciami i materiałami wideo. Uczuci ulgi bardzo szybko ustąpiło u Joshuy uczuciu mdłości. Na pornografię dziecięcą w żaden sposób nie był zawodowo uodporniony.

– To on! – zawołał nagle, przykładając palec do ekranu i pokazując młodziutką tancerczkę w jasnoblękitnych szatach.

Rozległy się metaliczne dźwięki muzyki. Kamera pokazywała nieostro chłopca w ciężkim makijażu, nieskładnie poruszającego biodrami, unoszącego w górę ręce i tupiącego nogami, wskutek czego podzwaniały dzwonki przymocowane do stroju. Kamera chwiejnie zbliżyła się do chłopca. Rozległ się jakiś męski głos spoza kadru. Chłopiec zawahał się, przestał się poruszać. Jakaś dłoń zaczęła szarpać szatę chłopca, przez co chłopiec się przewrócił. Kamera wisiała nad nim, włączył się zoom.

Chłopiec leżał na ziemi i Joshua widział w jego oczach przerażenie.

– Wystarczy! Dostyc tego! – Głos Tomasoy drżał z hamowanej wściekłości. – Dasz radę sprawdzić, skąd to przyszło?

Komputerowiec potrzebował paru minut na namierzenie serwera nadawcy. Gdy mu się to udało, aż gwizdnął cicho przez zęby.

Pliki zostały wysłane z serwera ambasady Holandii w Kabulu.

Całym ciężarem ciała Farah naparła na drzwi swojego mieszkania. Kiedy latem upały stawały się większe, drewno drzwi dodatkowo się wypaczało i naciskając klamkę, musiała się niezłe napocić, żeby je wreszcie otworzyć. Nie spała już dwie noce, nie pamiętała, kiedy po raz ostatni cokolwiek jadła, i ledwie trzymała się na nogach.

Gdy weszła do środka, starczyło jej sił tylko na to, żeby paść jak długa w ubraniu na łóżko w przeświadczeniu, że zanim jeszcze dotknie materaca, zapadnie w uwalniający od wszelkich zmartwień sen. Ale zamiast tego leżała, gapiąc się w sufit, podczas kiedy jej myśli wciąż kłębiły się w głowie, a adrenalina elektryzowała jej ciało. Tak pewnie czuje się człowiek, gdy zaczyna spadać z dużej wysokości i leci, leci, leci...

Ponownie poczuła rękę Parwaiza, który złapał ją za ramię, i zaczęła się zastanawiać, co by się stało, gdyby tego nie zrobił? Być może Bentley by ją potrącił? Czy wtedy Parwaiz by jeszcze żył?

Jeszcze dziś rano stała nad jego grobem. Był już nieosiągalny dla żywych.

Pomyślała o tym, jak zaledwie kilka godzin temu opuściła krytą strzechą rezydencję nad Amstelveense Plas, wynosząc kilka kartonowych pudeł. Dlaczego pogodziła się już z myślą, że David stał się dla niej nieosiągalny? Co by się stało, gdyby po prostu wniosła kartony z powrotem do domu, wypakowała swoje rzeczy, ułożyła książki tak jak poprzednio w stos, a kosmetyki postawiła z powrotem na półce w łazience?

Kartony poniewierały się teraz w deszczu gdzieś na Ringweg. Wyrzuciła je w pośpiechu z samochodu, żeby zrobić miejsce dla ciężko rannej kobiety, którą inspektor Diba położył na tylnym siedzeniu jej carrery. Potem Paul Chapelle usiadł na miejscu pasażera. Fakty nie stanowiły dla niej problemu. Tylko duchy i wspomnienia były dla niej zaskoczeniem. Wyciągnęła mężczyznę z grożącej wybuchem taksówki i okazało się, że jest on tym chłopcem, przez którego trzydzieści lat wcześniej dostała gorączki z miłości.

Fakty zaprowadziły ją późnym wieczorem do gabinetu komisarza policji Tomasoy. Ogromny wzrostem Indonezyjczyk o imponującej łysej głowie powiedział jej, że widział, jak walczyła w teatrze Carré. Spytał ją, jak nawiązała kontakt z tym kierowcą, a kiedy podkreśliła, że pierwotnie chciał on rozmawiać z Daniëlle Bernson, zobaczyła, jak Calvino i Tomaso wymieniają znaczące spojrzenia.

Kolejny fakt był wręcz szokujący. Daniëlle leżała w kostnicy, ponieważ tego wieczoru została zamordowana w Lasku Amsterdamskim. Wyniosła twarz Tomasoy poszarzała, gdy po chwili odebrał telefon. Nie mówiąc ani słowa na temat tego, co usłyszał, spytał, czy Joshua przesłucha kierowcę. Joshua odprowadził Farah do wyjścia i powiedział, że później chciałby z nią jeszcze porozmawiać.

Wyniosły komisarz wybiegł z budynku. To też był jeden z faktów. Patrzyła za nim, jak wsiada do samochodu i odjeżdża. Koniecznie chciała już być w domu, w łóżku, żeby przespać się choć parę godzin, zanim odprawi się przy okienku biznes class Aerofłotu przed wylotem do Moskwy.

Ale sen ciągle nie przychodził.

Gapiała się w sufit i po raz kolejny przeżywała ostatnie czterdzieści osiem godzin w piętnastu częściach po minucie każda. Potem wstała i podeszła do okna, które otworzyła na oścież, żeby wpuścić do pokoju rześkie nocne powietrze. Nieuwmarkt pod jej oknami był znowu cichy. Chińczycy już go opuścili.

Wzięła ciepły prysznic i kiedy woda spływała po jej ciele, w myślach widziała boginię Śaradę stojącą na środku biura Ławrowa.

Bogini należała do świata Parwaiza, a nie do świata Walentina Ławrowa.

Jak to możliwe, że jej przeszłość nagle znalazła się tak zatrwającą blisko niej? Raylan Chapelle, który pisał listy miłosne do jej matki Helai, Paul, który po trzydziestu latach wskoczył do jej samochodu – myśli, wspomnienia i obrazy przepychały się między sobą, walczyły o jej uwagę, a przez cały ten czas ciepła woda spływała po jej ciele.

Pragnęła stać pod wodospadem, który spłukałby wszelki brud nie tylko z jej ciała, ale też z całego otaczającego ją świata. Wodospadem, który byłby zdolny odwrócić bieg wskazówek zegara, który przywróciłby z powrotem do życia Daniëlle Bernson, i sprawić, by Parwaiz znów jak mały chłopiec biegł przez plac przed parlamentem, pokazując unoszące się w powietrzu latawce. Wodospadem, który pozwoliłby jej pojechać z powrotem do domu Davida i zobaczyć, jak stoi w drzwiach, czekając na nią z szerokim uśmiechem na twarzy. Wodospadem, który potrafi leczyć rany.

Wodospadem, którego nie ma.

Zakręciła kran, wytarła się ręcznikiem i nawilżyła ciało mleczkiem kosmetycznym. Potem nałożyła z powrotem naszyjnik, trzy srebrne pierścionki, po jednym na każdy palec serdeczny, a trzeci na prawy kciuk. Nie ubrała się od razu, tylko zaczęła układać na łóżku rzeczy, które miała zabrać do Moskwy. Na koniec ułożyła na samym wierzchu papierowego motyla i stosik listów od Raylana Chapelle, razem z tomikiem wierszy Rumiego.

Bardzo nie chciała wyjeżdżać, ze strachu, że już tu nie wróci. Moskwa wydawała jej się jakimś innym, groźnym światem. Musiała się tam jednak udać, żeby znaleźć to, czego szukała, znaleźć wyjaśnienie tego, co się wydarzyło, znaleźć głębsze znaczenie zagadkowego splotu wydarzeń, które – tak jak to teraz wyglądało – wszystkie prowadziły do jednego człowieka.

Walentina Ławrowa.

## Część 5 W DOMU

*Mężczyźni, którzy przyszedli po niego do sierocińca, tym razem kazali mu włożyć wyjątkowo ładne szaty i podzwaniające ozdoby. Sam już teraz wiedział, jak pomalować sobie oczy, jak nałożyć szminkę na usta i upudrować twarz. Zabrali go do wielkiego domu otoczonego wysokim murem. Powiedzieli mu, że to bardzo ważne spotkanie.*

*I że musi się bardzo postarać.*

*Pomieszczenie, w którym się znalazł, było takie wysokie i tak źle oświetlone, że prawie nie widział sufitu. Człowiek, który wszedł do pomieszczenia, miał różową skórę, jasnoblond włosy i jasny garnitur. Bardzo się pocił i przez jakiś czas stał w milczeniu i tylko na niego patrzył.*

*Potem kazał mu tańczyć i udawać piosenkarkę śpiewającą bez głosu. Potem tamci dwaj mężczyźni zostali odesłani i już nigdy ich nie zobaczył. Człowiek w jasnym garniturze uśmiechał się do niego i usiadł na krześle. W całkowitej ciszy siedział i tylko na niego patrzył. Na zawsze będzie pamiętał jego różową twarz i jasnoblond włosy, ponieważ jeszcze nikt nigdy tak na niego nie patrzył. Tak długo i w takiej ciszy. Potem mężczyzna poprosił go szeptem, żeby zatańczył najpiękniej, jak umie.*

*Wyobraził sobie, że jest aktorką w którymś z filmów o miłości, że okryty zwiewnym welonem tańczy do dźwięków pięknej pieśni, którą tylko on słyszy. Wtedy zobaczył, że mężczyzna zdjął marynarkę i zbliża się do niego z kamerą. Nie uśmiechał się już i zaczął tak gwałtownie szarpać jego szaty, że on stracił równowagę i upadł ciężko na ziemię. Kiedy spojrzał w górę, zobaczył, co ten mężczyzna z sobą robi. Poczuł, jak z błyskawiczną szybkością wyrastają mu orle skrzydła. Rozpostarł je i wyfrunął z wysokiego, ciemnego pomieszczenia, a kiedy był już na dworze, jak najszybciej potrafił, wzniósł się w górę, tak że nie było już nawet widać światła miasta. Wysoko nad chmurami panowały chłód i ciemność.*

Kiedy maszyna Il-96 wylądowała na lotnisku Domodiedowo, Farah zobaczyła, że termometr wskazuje trzydzieści dziewięć stopni Celsjusza. Podeszła do kiosku. Gazety informowały o zamachu w moskiewskim metrze, który miał miejsce dzisiaj rano. Trzydzieści pięć osób straciło życie i pewnie ze trzy razy tyle zostało rannych. Do zamachu przyznali się czeczeńscy separatyści. Trudno sobie wyobrazić bardziej nieodpowiedni moment na składanie wizyty rządowej, i na jej przyjazd też.

Jazda taksówką po sześciopasmowym bulwarze do centrum miasta kosztowała ją dwa tysiące osiemset rubli i prawie trzy godziny. Powoli przemieszczali się w korku wzdłuż wielkich betonowych bloków, pochodzących jeszcze z czasów Związku Radzieckiego.

Im bliżej byli centrum, tym mniej napotykali robót drogowych i zdewastowanych chodników, za to coraz więcej było luksusowych sklepów, a bulwary, po których poruszały się limuzyny, leksusy i porsche utrzymywała w sterylnej czystości mała armia uzbrojonych w miotły i szufelki sprzątaczy. Na końcu ulicy Twerskiej, najważniejszej arterii prowadzącej do serca miasta, znajdował się cel jej podróży, hotel National, gdzie swoje biuro miał niegdyś Włodzimierz Lenin.

Kiedy znalazła się w swoim pokoju, była już tak wycieńczona, że zdążyła tylko zrzucić ubranie z przegrzanego ciała i natychmiast zapadła się w otchłań głębokiego snu, o jakim marzyła już od trzech dni.

Gdy ponownie otworzyła oczy, w głowie poczuła nieprzyjemny, pulsujący ból.

W łazience wypila dużą szklankę wody z kranu i połknęła dwa ibuprofeny, po czym chwiejnie przeszła po dywanie w krzykliwe wzory do podwójnego okna, które z dużym trudem udało jej się w końcu otworzyć.

Ponad dwanaście godzin wcześniej też stała przy oknie, spoglądając na Nieuwmarkt, z rękami opartymi o parapet, pochylona trochę do przodu i z wyciągniętą w górę głową, jak wilk wyjący do księżyca.

Też chciało jej się wyć, tyle że w środku. Wskutek nagromadzenia ostatnich wydarzeń pogubiła się. Była dziennikarką, ale nie jakąś wyjątkową. Miała wprawdzie dziesięcioletnie doświadczenie, ale nie jako dziennikarka śledcza, bo zajmowała się głównie sprawami społecznymi. Nigdy dotąd nie rozpracowywała sprawy kryminalnej i nigdy też nie prześwietlała pod tym kątem konkretnej osoby.

Tymczasem teraz miała stawić czoło sięgającej swoimi mackami na cały świat organizacji przestępczej, która była tyleż wielka, co nieprzenikniona, i zajmowała się sprawą, w której w ciągu krótkiego czasu kilka osób straciło życie. Nie miała najmniejszego pojęcia, co dalej robić, poza tym, że ze względu na osobę głównego podejrzanego musi udawać dziennikarkę specjalizującą się w sztuce współczesnej, przyswajając sobie pseudowiedzę z pobieżnie przejrzanych albumów. Bez głębszego zastanowienia przystała na propozycję Edwarda i zmuszona była teraz brać udział w grze, która zupełnie jej nie leżała.

Lecąc do Moskwy, uświadomiła sobie, jakim błędem z jej strony było przyjęcie zaproszenia Ławrowa. Jak najgorsza amatorka wyobrażała sobie, że w ten sposób uda jej się zdobyć obciążające informacje na temat operującego na międzynarodową skalę magnata finansowego. Pierwsze, co zrobi zaraz rano, to zadzwoni do Edwarda, żeby mu uświadomić, że była to kompletnie chybiona strategia. Im bardziej się jednak nad tym zastanawiała, tym bardziej rosło w niej przeczucie, że nie ma już drogi odwrotu.

Kiedy tak w zamyśleniu spoglądała na miasto, zobaczyła w odległości kilku kilometrów błysk i wielki słup ognia strzelający z niego. Niedługo potem usłyszała głuchy huk eksplozji, jaka temu towarzyszyła. Wstrząs był odczuwalny nawet tutaj, gdy zabrzęczały szyby w oknach hotelu. Farah stała jak sparaliżowana. Wydawało się, jakby całe miasto wstrzymało oddech. A potem w oddali rozległo się wycie pierwszych syren.

Przeleciał nisko helikopter, kierując się w stronę pomarańczowej chmury rozsiewającej światło i w której widać było płomienie.

Ta świadomość była jak uderzenie piorunem. Tu, w Moskwie, nie była już obywatelką świata, jak jej się wydawało jeszcze wtedy, gdy była w swojskiej atmosferze Amsterdamu. Teraz była jednym z milionów anonimowych wygnańców w przeludnionym mieście, które zamknęło ją w dławiącym uścisku.

Następnego ranka po wypadku na Ringweg Paul jechał razem z Edwardem taksówką do jego wiejskiego domu. Kiedy podjeżdżali, zobaczył kruchą postać swojej matki w drzwiach domu. Isobel jak zwykle była ekscentrycznie ubrana, tym razem w orientalny strój w kwieciste wzory. Gdy trzymali się w ramionach, Paul poczuł na jej karku zapach paczuli. Zapach jak za dawnych lat, zapach domu.

Jeszcze tego samego dnia miał lecieć z Farah do Moskwy.

Przykrywkę w postaci prac nad dodatkiem kulturalnym do gazety uznał za idiotyczny plan.

Ponieważ teraz kolejnym celem podróży miała być Moskwa, przyszedł czas, by jak najszybciej odnowić kontakt z jego najważniejszym tamtejszym źródłem, dziennikarką, przed którą niewielu rosyjskich biznesmenów i polityków miało jakieś tajemnice.

Ania Kozłowa pracowała w „Moskowskiej Gaziecie” liberalnym tygodniku, który krytycznie śledził każdy krok prezydenta kraju, Potanina, występował przeciwko strukturom mafijnym, korupcji oraz powiązaniom świata biznesu z polityką. „Moskowskaja Gazieta” nie tylko z tego powodu była prawdziwym „wrzodem na tyłku” dla rosyjskiego rządu, ale przede wszystkim ze względu na twarde opowiadanie się za pokojowym rozwiązaniem tłącego się od lat konfliktu czeczeńskiego.

„Czyżby Afganistan niczego nas nie nauczył?”, pisała już przed laty Kozłowa, gdy Rosjanie rozpoczęli zbrojną interwencję w separatystycznej prowincji.

Paul nie rozmawiał z Anią od czasu, kiedy przeniósł się do Johannesburga przed trzema laty. Wiedział, że nie będzie to łatwe spotkanie. Z pewnością usłyszy od niej, że nie potrafi podtrzymać kontaktu, ponieważ jest społecznie i emocjonalnie upośledzony. Wszystko po to, by dać mu jasno do zrozumienia, że nadal nie potrafi się pogodzić z myślą, że nigdy nie próbował z nią romansować. Wszystko, żeby tylko wyszło na jej.

Ania Kozłowa zajęła się dziennikarstwem z pasji bezustannego dowodzenia wszystkim, że to właśnie ona ma rację. Im większy był sprzeciw drugiej strony, tym ostrzejsze były jej wystąpienia. Zarówno to, jak i nienawiść do wszelkich autorytetów zapewniły jej reputację zawziętej, a przez to przez wielu znienawidzonej dziennikarki.

– Wiedziałam, że któregoś dnia znowu do mnie zapukasz – powiedziała, kiedy do niej zadzwonił. – Doszły mnie słuchy, że z tobą krucho.

– To prawda – przyznał Paul. – Potrzebuję twojej pomocy.

Niemal usłyszała, jak pomyślała: „Nareszcie”.

– Czego ode mnie oczekujesz?

Przedstawił jej koneksje między holenderskim ministrem gospodarki, biznesmenem Arminem Lazonderem, oraz oligarchą Walentinem Ławrowem. Nie zrobiło to na niej specjalnego wrażenia, ale gdy wspomniał, że sprawa łączy się z nieletnim afgańskim chłopcem, wiedział, że dotyka czułej struny. Dzieci zawsze miały u niej dobre notowania.

Odebrała go z lotniska i swoją rozklekotaną skodą garde, zawiozła do klubu Cwiet Noczi,



kiedyś ulubionego lokalu Paula, i kazała podać mu boeuf Strogonow.

– Wyglądasz dokładnie tak żałośnie, jak sobie wyobraziłam, słysząc twój głos przez telefon – stwierdziła ironicznie. – Musisz zacząć trochę lepiej się odżywiać.

Siedziała przed nim w ciemnych, obciętych po chłopięcemu włosach, patrząc na niego tak bezczelnie, jakby to z jej powodu przyjechał do Moskwy.

– Johannesburg, Amsterdam, Moskwa. A to wszystko z powodu jednego afgańskiego chłopca? Jak powiązałeś te wszystkie rzeczy?

– Te powiązania odkryła moja koleżanka dziennikarka. Mój dawny szef poprosił mnie, żebym jej pomógł.

– Skoro masz już ją, to po co ci jeszcze ja?

– To niedoświadczona dziennikarka, która nie zna Rosji.

– Skoro jest taka niedoświadczona, to dlaczego dostała tę sprawę?

– Od samego początku była bardzo zaangażowana w sprawę tego afgańskiego chłopca. Wskutek zbiegu okoliczności odkryła powiązania z Ławrowem.

– Całkiem niezłe jak na niedoświadczoną dziennikarkę. Jak się nazywa?

– Farah Hafiz.

– Pachnie mi to orientalną księżniczką.

– Jest Afganką.

– Czemu nie jest teraz z tobą?

– Przyleciała wcześniej. Czemu się tak nią interesujesz?

– Chcę wiedzieć, jak się chcecie do tego zabrać. To takie dziwne?

Paul włożył do ust kawałek polędwiczki i przeżuwał w zamyśleniu. Na twarzy Ani pojawił się uśmiech.

– Aha, czyli jeszcze nawet nie wiesz, jak się do tego zabrać? Nie masz bladego pojęcia?

Paul z westchnieniem odłożył sztućce i wypił łyk czerwonego wina.

– Wyjaśnij mi może najpierw, jak to możliwe, że AtlasNet w tak krótkim czasie z niewielkiej firemki rozrósł się do rozmiarów międzynarodowego koncernu.

– Mogę się poczęstować? – spytała zalotnie. Paul przesunął talerz w jej strony. U Ani wszystko miało swoją cenę i ta cena okazywała się najczęściej wyższa, niż wydawała się na pierwszy rzut oka. Po zjedzeniu trzeciego nadprogramowego kawałka demonstracyjnie przesunęła talerz z powrotem w jego stronę.

– Zaczęło się od tego, że trzy lata temu, a więc tuż po tym, jak zapadłeś się pod ziemię, Potanin wsadził za kratki Aleksandra Zjuganowa, właściciela przedsiębiorstwa energetycznego NovaMost, oskarżając go o defraudację – zaczęła, popijając strogonowa dużym łykiem wina. – Prawdziwy powód było oczywiście taki, że Zjuganow planował kandydować w następnym roku w wyborach prezydenckich. Potanin zrobił mu zatem pokazowy proces i wygnał na Syberię. I po Zjuganowie.

– A co z NovaMostem?

– Wszystkie udziały NovaMostu przeszły w ręce młodziutkiej firmy AtlasNet, niezbyt dotąd znanego Walentina Ławrowa.

– Czemu Ławrow?

– Było publiczną tajemnicą, że Walentin Ławrow już wtedy był protegowanym Potanina. Krążyły plotki, że tylko dlatego założył AtlasNet, że Potanin szepnął mu odpowiednie słówko.

– Czyli że AtlasNet dlatego z dnia na dzień stał się tak wielki, że dostał udziały wypędzonego Zjuganowa?

- Właśnie. Kolejny pokaz z rodzaju dzieł i rządów, w którym wiadomo od razu, kto przegra.
- Wszystkie udziały dostał Ławrow?

Ania z namaszczaniem wypięła do końca zawartość swojego kieliszka, zupełnie jakby chciała zyskać na czasie.

– Jako dyrektor generalny Ławrow ma oczywiście udziały większościowe w firmie. Ale był również częściowo figurantem. Na rynkach finansowych nikt tak do końca nie wie, jak jest naprawdę.

- Ale tobie udało się to wyśledzić – stwierdził Paul.

Ania pochyliła się do niego i wyszeptwała:

- To prawdziwa bomba.

– Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że prezy... – Więcej nie zdążył, bo Ania zatkała mu dłonią usta.

- Mówiłam, że to bomba – szepnęła.

- Od kiedy o tym wiecie?

- Od niedawna.

- A kiedy podacie to do publicznej wiadomości?

– Pytanie brzmi, czy w ogóle podamy. Jeśli opublikujemy to, czego się dowiedzieliśmy, będzie wiadomo, że mamy dostęp do tajemnic państwowych. A to oznacza dla nas natychmiastowy wyrok śmierci. W zeszłym roku dwoje naszych dziennikarzy straciło życie. W Rosji wszedł w życie dekret, na mocy którego prezydent ma uprawnienia do użycia sił specjalnych do likwidacji wrogów państwa, czyli ekstremistów, jak się ich nazywa, zarówno w Rosji, jak i poza jej granicami. Jeśli o mnie chodzi, to na razie jeszcze nie chcę umierać.

- Możesz mi pomóc? – spytał.

Nagle spoważniała.

- Mogę zrobić nawet więcej.

Wyjęła mu sztucze z rąk, przysunęła sobie jego talerz, zjadła trzy duże kęsy i wstała.

- Chodź ze mną – powiedziała.

Paul wiedział, że nie ma sensu się sprzeciwiać.

**R**eflektory skody garde przecinały pachnącą dymem mgłę wiszącą nad miastem.

– Pożary lasów – powiedziała Anja, rzucając szybkie spojrzenie Paulowi, który siedział obok.  
– Jeśli tylko wiatr powieje z północnego wschodu, mamy tu pełno dymu.

W radiu usłyszeli wiadomość o zamachu w dzielnicy mieszkaniowej na obrzeżach miasta.

– Nowa ofensywa Czeczenów – wyjaśniła Ania. – Doprowadzą do wojny.

Wjechali na Bulwar Jauzski. Helikoptery ratunkowe leciały nisko za wozami straży pożarnej z wyjącymi przeraźliwie syrenami, które pędziły wzdłuż pasa zieleni w stronę jednej z podmiejskich dzielnic.

Chwilę później skręcili w prawo w ulicę Pokrowka, gdzie mieszkał Roman Jankowski, naczelny „Moskowskiej Gazjety”, którego Anja wyrwała przed chwilą telefonem ze snu.

– Nie możemy z tym poczekać do jutra? – wymamrotał Jankowski zaspany, ale wiedział aż za dobrze, że jeśli Ani przyjdzie coś do głowy, to nie ma szans na odłożenie tego na później.

– Mam idealnego człowieka na nasze potrzeby – powiedziała. Nic więcej nie było trzeba, żeby przekonać Jankowskiego.

Zostawili skodę po drugiej stronie starego budynku, w którym miał mieszkanie Jankowski.

– To musi być jakaś ważna sprawa. – Paul westchnął.

– Możesz mi wierzyć, że tak – zapewniła go Ania. – Skoro Roman Jankowski daje się wyciągnąć z łóżka o trzeciej nad ranem, to znaczy, że to musi być ważne.

Dotarli do monumentalnego wejścia do budynku i Ania już miała naciskać guzik domofonu z numerem 187, gdy ciężkie drzwi wejściowe otworzyły się nagle i wyszło przez nie dwóch mężczyzn w czarnych kombinezonach, o mało nie przewracając Ani. Paul złapał ją w ostatniej chwili. Mężczyźni przeszli w poprzek ulicy w stronę szarej łady kombi. Z budynku wyszedł trzeci mężczyzna, zderzając się z Paulem. Mężczyzna zamachnął się, ale Paul zablokował jego rękę i zadał mu cios kolaniem w prawą stronę tułowia. Mężczyzna poleciał do tyłu ze stęknieniem. Dwaj pozostali odwrócili się i jeden z nich wyciągnął pistolet. Drzwi jeszcze się nie zatrzasnęły i Ania uchyliła je trochę szerzej ramieniem. Wciągnęła Paula do środka i drzwi zamknęły się z hukiem.

– Wracają – syknęła.

Jazda windą trwałaby za długo, klatka schodowa była zbyt eksponowana. Zeszli szybko do piwnicy. Za sobą usłyszeli odgłos ponownego otwierania ciężkich drzwi wejściowych, stłumione męskie głosy wymieniające polecenia, kroki w holu i na schodach i kroki na schodach do piwnicy.

Ania popchnęła Paula w stronę ciemnej niszy, gdzie śmierdziało moczem i odpadkami. Wstrzymali oddechy, słysząc zbliżające się kroki. W wejściu do piwnicy zobaczyli światło latarki. Coś zaszeleściło w niszy. Paul poczuł jak szczur przebiega mu po butach. Kroki w wejściu zatrzymały się. Snop światła oświetlił piwnicę, omijając ich niszę. Kroki oddaliły się.

Znowu usłyszeli przytłumione męskie głosy w holu. Słowa były krótkie i zdecydowane. Drzwi

wejściowe zamknęły się ponownie. Minęła prawie cała wieczność, zanim Ania i Paul odważyli się znowu poruszyć. Wysunęli się z niszy. Paul wyjął komórkę, żeby oświetlić korytarz i ruszył w stronę, w którą oddaliły się kroki.

– Wracaj – syknęła Ania.

Paul zachowywał się tak, jakby jej nie słyszał. Szedł dalej i po kolei naciskał klamki wszystkich drzwi piwnic.

Ania wkurzyła się nie na żarty. Jej strach wprawiał ją we wściekłość. Zobaczyła, jak Paul wchodzi do jednej z piwnic, i zakłęła pod nosem. Poszła za nim, chciała go stłuc, szarpać, żeby tylko odreagować jakiś strach. Paul stał bez ruchu w otwartych drzwiach piwnicy i w błękitnej poświacie wyświetlacza jego komórki zobaczyła, co właśnie odkrył.

Farah obudziła się półprzytomna, wyrwana ze snu waleniami w drzwi jej hotelowego pokoju. Poza tym w pokoju unosiła się lekka mgiełka. Po drugiej stronie drzwi jakiś męski głos wołał ją po imieniu. Okręciła prześcieradłem spocone ciało, otworzyła zamek w drzwiach i ukazała jej się za nimi zdeformowana twarz Paula Chapelle.

- Trochę dziwny mają tu room service – stwierdziła, ziewając.
- Możesz pojechać ze mną?
- Dokąd?
- Do redakcji „Moskowskiej Gazety”. To ważne.
- Daj mi dziesięć minut.

Po kwadransie stała już na dole w holu, witając się ze szczupłą, ostrzyżoną na pazia kobietą o chłopięcej urodzie i przenikliwych szarobłękitnych oczach.

- Ania Kozłowa. A ty musisz być ta księżniczka – odezwała się tamta po angielsku.
- Jaka księżniczka? – odpowiedziała Farah też po angielsku.
- Ze Wschodu.

– Wybacz, ale nie jestem niczyją księżniczką – powiedziała Farah szorstko, co spowodowało, że na twarzy Ani Kozłowej pojawił się szeroki uśmiech.

- Mamy jechać tym? – spytała Farah Paula, kiedy podeszli we trójkę do sfatygowanej skody.
- Też miałbym wymagania, gdyby mnie zakwaterowali w Nationalu. – Paul zaśmiał się.

Farah usadowiła się na tylnym siedzeniu.

- To co robimy?

Paul właśnie chciał jej odpowiedzieć, kiedy Ania nadszpedziewanie szybko ruszyła z miejsca i klnąc, na czym świat stoi, usiłowała się włączyć do ruchu na zatłoczonej jezdni.

– Paul opowiedział mi o waszym idiotycznym planie, żeby wmówić Ławrowowi, że jesteś dziennikarką od sztuki – rzuciła Ania, z cynicznym wyrazem twarzy patrząc na Farah w lusterku.

Farah sama się zdziwiła, ale jakoś lubiła tę kobietę.

- Twoja dziewczyna ma rację – powiedziała do Paula.

– Ona nie jest moją dziewczyną.

– Wszystko jedno, w każdym razie ma rację. To rzeczywiście beznadziejny plan. Jestem dziennikarką, a nie kimś, kto pracuje pod przykrywką. Może i mam egzotyczne nazwisko, ale to wcale nie znaczy, że urodzona ze mnie Matą Hari.

- Powiedziałeś jej o dzisiejszej nocy? – spytała Ania Paula.

– To coś dla mnie interesującego?

Paul kiwnął głową z bardzo poważną miną.

- To właśnie jest powód, dla którego jedziemy do redakcji.

Farah usłyszała opowieść o zaplanowanym spotkaniu z redaktorem naczelnym Romanem Jankowskim o trzeciej w nocy, o niezaplanowanym spotkaniu z trzema mężczyznami, którzy wybiegli z budynku, w którym mieszkał, i całkowicie przypadkowym odkryciu pięciu wielkich

worków heksogenu w jednej z piwnic. Wystarczająca ilość, żeby wysadzić w powietrze cały budynek.

– Worki były połączone ze sobą przewodami i miały zapalnik czasowy, wskazujący, że do wybuchu zostały jeszcze dwadzieścia trzy minuty – opowiadał Paul chłodnym tonem.

Z tych dwudziestu pięciu minut zostało jeszcze jakieś pięć, kiedy przyjechali saperzy. Dzięki temu, że Paul przekazał policji dokładny opis mężczyzny, który go zaatakował, wszystkich trzech sprawców udało się namierzyć już rano i przewieźć na przesłuchanie.

– No ale dlaczego mamy jechać do tej redakcji? – Farah nie bardzo rozumiała.

– To najprawdopodobniej byli ludzie z FSB – odezwała się Ania, zupełnie jakby rozumiała po niderlandzku.

– To rosyjskie służby specjalne – wyjaśnił Paul. – Prawdopodobnie chcieli, żeby wyglądało to na zamach Czeczenów. W ten sposób upiekliby dwie pieczenie przy jednym ogniu: z jednej strony jeszcze bardziej nastawiliby opinię publiczną przeciwko Czeczenom, a niejako mimochodem pozbyliby się redaktora naczelnego najbardziej krytycznego wobec rządu tygodnika.

– No, ale co my mamy z tym wspólnego? – dopytywała dalej Farah.

– Oni chcą się z nami podzielić informacjami, które są tajemnicą państwową – wyjaśnił Paul.

– Złożą nam propozycję.

Ania Kozłowa uśmiechnęła się do niej w lusterku. *Będzie to propozycja nie do odrzucenia.*

Od pierwszej chwili, kiedy w nobliwym budynku Ambasady Królestwa Holandii przy Kałasznym pierieuku Joshua Calvino uściskał dłoń oficera łącznikowego Maksa Bergera, poczuł instynktowną niechęć do tego człowieka. Ze swymi pseudoarystokratycznymi manierami, wyszukany, starannie wypowiedzianymi zdaniami, Berger sprawiał wrażenie aktora z brytyjskiego serialu o tragicznym upadku starego arystokratycznego rodu. Jeśli jakaś osoba mogła pretendować do miana wyniosłej, to był to właśnie Berger. Joshua musiał zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby nie okazać niechęci do tego człowieka. Berger był bowiem jego ostatnią szansą.

– Jest to, mówiąc najłagodniej, nader delikatna kwestia – stwierdził Max Berger, prowadząc Joshuę do swojego gabinetu przez nastrojowo oświetlone korytarze, pełne starych malowideł przedstawiających holenderskie krajobrazy. – Tym bardziej, że nie otrzymaliśmy jeszcze wniosku o udzielenie pomocy prawnej od Ministerstwa Spraw Publicznych, a jak pan zapewne rozumie, bez takowego wniosku, będzie nam nadzwyczaj trudno pozyskać do współpracy rosyjskie władze.

Z gracją wskazał Joshui czarny skórzany fotel stojący naprzeciwko jego wielkiego, błyszczącego biurka.

– Ministerstwo dokłada wszelkich starań – odparł Joshua, sadowiać się na fotelu. – Zapewniono mnie, że mogę śmiało już teraz zgłosić się do pana, abyśmy mogli przystąpić do akcji natychmiast, gdy tylko wpłynie wspomniany wniosek.

– Pozwolę sobie raz jeszcze zwrócić pańską uwagę – zripostował Berger – że dotychczas takiego wniosku jeszcze nie otrzymaliśmy.

Joshua absolutnie nie miał zamiaru pozwolić, żeby ten człowiek w indywidualnie dobieganym fularze na szyi i w koszuli w cieniutkie paski pokrzyżował mu plany. Spojrzał na niego zdecydowanym wzrokiem.

– Ministerstwo obstaje przy tym, aby w oczekiwaniu na wniosek, już wcześniej powiadomić nieoficjalnie rosyjskie władze o prowadzonym postępowaniu z wyraźnym zaznaczeniem, że spodziewamy się współpracy.

– Proszę, proszę – powiedział Max Berger, najwyraźniej lekko rozbawiony oczywistą fanfaronadą Joshuy. – I to wszystko przekazano panu w ministerstwie?

– Chyba nie myśli pan, że mój przyjazd do Moskwy to moje osobiste widzimisię?

Max Berger uniósł dłoń w geście przeprosin, jednocześnie mówiąc do telefonu:

– Marianne? Zechciałabyś sprawdzić, czy w ciągu ostatniej godziny ministerstwo przesłało do nas wniosek o pomoc prawną?

W oczekiwaniu na odpowiedź Marianne Joshua spoglądał nieobecny wzrokiem na portret holenderskiej księżniczki tuż nad głową Bergera. Doskonale wiedział, że cała sprawa w rzeczywistości wcale nie wygląda tak różowo, jak przed chwilą usiłował wmówić Bergerowi. Mimo nacisków Tomasoy ministerstwo wcale nie paliło się do szybkiego przejścia do działania.

Joshua i Tomaso zastanawiali się nad całą sytuacją. Padło nawet określenie „sprawiedliwość klasowa”. Jeśli tylko ich zamiar aresztowania Lombarda rozniesie się w kręgach misji handlowej – co zgodnie z zasadą „ręka rękę myje” powinno być tylko kwestią czasu – to Lombard i ludzie z jego otoczenia zrobią wszystko, żeby to w fachowy sposób uniemożliwić.

Chociaż Tomaso stwierdził, że wyczerpał już wszystkie środki, Joshua nie chciał czekać, aż ktoś ukręci sprawie łeb. Na własny koszt zamówił bilet powrotny Amsterdam–Moskwa, w nadziei, że odpowiednio blefując, skłoni Maksa Bergera do współpracy. Berger jednak już od chwili powitania w holu ambasady zachowywał się tak formalnie, że Joshua zaczął się obawiać, czy jego podróż do Rosji nie okaże się kompletnym fiaskiem.

– Nie? – powiedział Berger teatralnym tonem do słuchawki. – Jesteś pewna? Cóż, w takim razie dziękuję.

Berger odłożył słuchawkę na widełki tak ostrożnie, jakby to była drogocenna relikwia.

– Nic nie wpłynęło – oznajmił Berger, zupełnie jakby wypowiadał ostatnie słowa greckiej tragedii. Podniósł się z miejsca, podszedł do wyglądającej na antyk komody i otworzył drzwiczki, za którymi ukazała się bateria różnokolorowych butelek. Joshua przez chwilę miał wrażenie, jakby przez pomyłkę trafił do luksusowego koktajlbaru.

– Co mogę panu zaproponować, panie inspektorze? – spytał Berger.

– Poproszę wodę.

– Jeśli wolno mi zapytać, panie Calvino – zaczął Berger, kiedy wrócił, stawiając przed Joshuą szklankę wody Perrier – czy to pańska pierwsza zagraniczna misja?

– W jakim sensie? – zapytał Joshua, z dużą przyjemnością pijąc podaną mu wodę. Przechadzka do ambasady bardzo wysuszyła mu gardło ze względu na panujący smog, więc Joshua czuł się tak, jakby wypalił co najmniej paczkę papierosów. Upiorne wrażenie dla kogoś, kto nie pali.

– Musi pan wiedzieć, że działania w sferze dyplomatycznej to nader delikatna sprawa – stwierdził Max Berger, gdy już ponownie usiadł za swoim biurkiem. – Człowiek stąpa jak po polu minowym. Jeśli chce się coś osiągnąć, niejednokrotnie trzeba operować w sposób niezwykle wyrafinowany, formułować swoje myśli bardzo rozważnie i niejednokrotnie długo krążyć wokół zasadniczej sprawy. Tymczasem pan zjawia się niejako z bombą w dłoniach, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

– Chyba rozumiem – odparł Joshua chłodno. – Ale nie co dzień zdarza się przyłapać urzędującego ministra holenderskiego rządu na pedofilii.

– Rozumie pan niewątpliwie, że władze rosyjskie starają się utrzymać dobre stosunki z Holandią i nie nadwerężać ich pochopnymi działaniami? – zauważył żartobliwie Max Berger. – Nawet jeśli ministerstwo prześle odpowiedni wniosek, to jest jeszcze jeden powód, dla którego władze rosyjskie niekoniecznie muszą niecierpliwie przebierać nogami, by zatrzymać holenderskiego ministra tu w Moskwie. Powody są czysto ekonomicznej natury. Przy imporcie sięgającym mniej więcej czteremset miliardów euro rocznie Holandia jest największym europejskim odbiorcą rosyjskich towarów. *Need I say more?*

– Chce pan przez to powiedzieć, że motywy ekonomiczne mogą zostać potraktowane jako ważniejsze od prawnych?

Joshua usłyszał, jak ostro zabrzmiały te słowa w jego ustach. Zobaczył lodowate spojrzenie Bergera. W tym momencie Joshua jedno wiedział już na pewno: dyplomacja nie była tym, w czym mógłby się odnaleźć. Zastanawiał się, na ile jakiegokolwiek próby pozyskania Bergera do jego planów mają w ogóle szansę powodzenia.



– Chcę przez to powiedzieć, drogi panie Calvino, że nawet dysponując oficjalnym wnioskiem ministerstwa, musielibyśmy poruszyć u Rosjan niebo i ziemię, żeby doprowadzić do aresztowania ministra. Nie ma jednak rzeczy niemożliwych. Na ile niepodważalne są pańskim zdaniem dowody zebrane na Lombarda?

– Mamy obszerne zeznanie kierowcy Lombarda, z konkretnymi datami, miejscami i nazwiskami osób biorących w tym udział. Znaleźliśmy też poważne materiały obciążające na komputerze Lombarda. Bez fałszywej skromności mogę powiedzieć, że dowody są doprawdy bardziej niż niepodważalne.

„Doprawdy”. Tego słowa Joshua nigdy dotąd nie używał. Jeszcze raz powtórzył je w myślach. Najwyraźniej Berger uruchomił u niego ukryte zasoby słownictwa.

– Ma pan również pewność, że informacje zostały zdobyte zgodnie z prawem? – spytał Max Berger, a jego wargi były przy tym tak wąskie, jak paski na jego koszuli.

– Wkroczyliśmy do mieszkania ministra, mając zezwolenie prokuratury na dokonanie przeszukania oraz skonfiskowaliśmy komputer po stwierdzeniu, że znajdują się na nim obciążające treści. Czy pańskim zdaniem można postąpić jeszcze bardziej zgodnie z prawem?

Berger kręcił się z fotelem to w lewo, to w prawo.

– „Obciążające treści”, czyli?

– Nie chcę i nie mogę operować konkretami – odparł Joshua krótko. – Są to rzeczy ohydne. Jedyne, co mogę panu na pewno powiedzieć, to to, że treści te wyraźnie wskazują, że minister Lombard jest aktywnym członkiem siatki pedofilskiej, której powiązania sięgają, jak mogliśmy się przekonać, aż do naszej ambasady w Kabulu.

Efekt ostatnich słów Calvina był piorunujący. Joshua najwyraźniej zdołał wzbudzić zainteresowanie u Bergera. Magia odsuniętego w czasie momentu kulminacyjnego, bo nagle Berger wyprostował się na fotelu jak świeca.

– Jak już powiedziałem, panie Calvino, nie ma rzeczy niemożliwych. Całkiem niedawno oddelegowano do nas jednego z urzędników ambasady w Kabulu. Byłoby fatalnie, gdyby to, co pan mówi, miało okazać się prawdą. Absolutnie fatalnie. Musimy utrzymywać wysokie standardy za granicą. Pański szef Tomaso wspomniał przez telefon o ewentualnych powiązaniach między Lombardem a Ławrowem. Czy może mi pan przedstawić sprawę nieco bliżej?

– Przesłuchaliśmy ważnego świadka, będącego na liście płac w firmie AtlasNet. Z jego wyjaśnień wynika, że Ławrow przekupił niektórych biznesmenów i polityków w zamian za możliwość otrzymania koncesji na wybudowanie w Holandii największego zbiornika gazu ziemnego w Europie.

– A więc sprawa nie dotyczy tylko tego jednego ministra, jak mniemam? Czy tak?

– Minister Lombard to dla nas priorytet. Ale jeśli zacznie mówić, to bez wątpienia pojawią się także inne nazwiska, a wśród nich niewątpliwie także nazwisko Ławrowa.

– Kim zatem jest ów świadek koronny, jeśli wolno spytać?

Joshua zastanowił się przez moment. Ustalili z Tomaso, że chwilowo nie będą wspominali o aferze ze śmiercią Kowaliowa.

– Niestety, ze względów bezpieczeństwa w tej chwili nie wolno mi tego powiedzieć.

Berger wstał z fotela i podszedł do okna, podciągając żaluzje. Wyglądało na to, że smog jeszcze zgęstniał.

– Ciągle to samo – stwierdził z niesmakiem. – Pożary lasów pod miastem. Oto co przynosi nam północno-wschodni wiatr: same zanieczyszczenia. – Berger wrócił do swojego biurka. –

Pański szef wspomniał mi też, że zamordowano jakąś lekarkę, która zajmowała się chłopcem.

– Daniëlle Bernson. – Joshua wymówił to nazwisko tak, jakby wciąż sam nie mógł uwierzyć w to, co się stało. – Prawdopodobnie ktoś podejrzewał, że ona za dużo wie. Została zamordowana strzałami z pistoletu zastawa M57, który znaleziono potem we wraku samochodu wypożyczonego przez młodego Rosjanina, który zginął w czasie karambolu na Ringweg w Amsterdamie. Oprócz pistoletu mężczyzna miał przy sobie także medalion. Było w nim zdjęcie trzech mężczyzn. Jednego z nich udało nam się zidentyfikować jako Arsenija Wakurowa. Drugim jest Walentin Ławrow.

Berger patrzył na niego takim wzrokiem, jakby nagle w pokoju zaczął padać śnieg.

Joshua kuł żelazo póki gorące.

– Aż nazbyt wiele poszlak wskazuje na to, że Ławrow na różne sposoby powiązany jest z całą sprawą, panie Berger. Ale nam chodzi na razie przede wszystkim o ministra.

Berger skinął głową z aprobatą.

– Podobno otrzymaliście też niespodziewane wsparcie z zewnątrz?

– Słucham?

– Dziennikarka, która zajęła się całą sprawą.

– Ma pan na myśli Farah Hafiz?

– Pański szef nie podał nazwiska. Farah Hafiz, powiada pan?

Joshua natychmiast pożałował swojej spontanicznej reakcji.

– Pracuje dla gazety „AND” – rzucił chłodno.

– W jaki sposób została wciągnięta w tę sprawę?

– Z czysto osobistych pobudek. Jako pierwsza zobaczyła tego afgańskiego chłopca, kiedy został przywieziony do szpitala. Ze względu na emocjonalny stosunek do tego dziecka zaczęła zajmować się całą sprawą. To ona przyprowadziła do nas kierowcę Lombarda.

– A więc dysponuje tymi samymi obciążającymi Lombarda informacjami, co pan i ja?

– Mamy umowę, że niczego nie upubliczni do momentu zatrzymania Lombarda.

– Czy jest również poinformowana na temat możliwych powiązań z Ławrowem?

– Tak jest.

Berger złożył dłonie i wsparł na nich brodę, patrząc przenikliwie na Joshuę.

– Traktuję to poważnie, panie Calvino. Nader poważnie. Tak delikatna sprawa z tyloma powiązaniem. Cieszę się, że zechciał mnie pan wprowadzić w szczegóły. Teraz już wiem, co muszę zrobić. Wywrę nacisk na ministerstwo, żeby jak najszybciej przesłało wniosek o pomoc prawną, i nieoficjalną drogą poinformuję tutejsze władze o naszych zamiarach.

Demonstracyjnie podniósł się z miejsca, jakby dając tym samym do zrozumienia, że jeśli o niego chodzi, to rozmowa jest zakończona.

– Pozbędziemy się tego całego błota – powiedział jeszcze, podczas gdy z równą atencją, z jaką niedawno proponował mu zajęcie miejsca w fotelu, skierował go w stronę drzwi. W holu ambasady niepytany udzielił Joshui rady, żeby odwiedził muzeum i wchłonął trochę atmosfery tego miasta, a potem z mającą podzielać uspokajająco deklaracją: „Jeszcze się do pana odezwę”, zamknął za nim ciężkie drzwi budynku.

Joshua obejrzał się za siebie, patrząc na dumną tablicę z herbem Holandii nad wejściem na teren ambasady, i zapragnął nagle znaleźć się w śmierzącym wnętrzu corolli swojego partnera Diby. Wszystko było lepsze niż być w tym wielomilionowym mieście, otoczonym dwuznacznością, wątpliwościami i mgłą z niesionego przez wiatr popiołu.

Ulice Moskwy były zapchane samochodami, które wszystkie zdawały się mieć za zadanie przeszkodzić jasnoźrółtej skodzie garde Ani Kozłowej w jak najszybszym dostaniu się na ulicę Woroncowe Polie, gdzie znajdowały się biura redakcji „Moskovskoj Gaziety”.

– Jesteśmy tu ze względu na Ławrowa. Po co mamy się zajmować zamachami bombowymi i tajnymi służbami? – spytała Farah, gorączkowo przetrząsając torebkę w poszukiwaniu ibuprofenu.

– Za rok są kolejne wybory – wyjaśniał Paul. – A Potanin chce reelekcji. Dlatego zależy mu na wywołaniu chaosu.

– Jeśli o to chodzi, to wygląda na to, że nie jest jedyny – powiedziała Farah, rzucając szybkie spojrzenie Ani, która kręciła zawzięcie kierownicą, dodawała gazu, zaraz znowu hamowała i na cały głos wysyłała wszystkich rosyjskich kierowców do diabła.

– Z jakiego powodu prezydent miałby wywoływać chaos? Przecież to chyba działa przeciwko niemu?

– Dlatego też absolutnie nie chce, żeby uważano go za tego, który chaos stwarza, tylko za tego, który go zwalcza.

– Nadal nie widzę w tym logiki. Przecież wtedy nie każe się wysadzać rzekomym terrorystom budynków, w których mieszkają niewinne osoby?

– Jeśli ktoś jest zdania, że cel uświęca środki, to tak właśnie postępuje! – zawołała Ania, kiedy hamując i trąbiąc klaksonem, przejeżdżała właśnie przez zatłoczone skrzyżowanie. – Wtedy wysadza się budynek i przypisuje winę Czeczenom. Musi przy tym zginąć dużo niewinnych obywateli, inaczej nie przeciągnie się opinii publicznej na swoją stronę.

W tym czasie ze wszystkich stron otoczyły ich samochody i skoda utknęła na dobre.

– Przemoc to niezbywalny element Rosji – zauważył Paul. – Jeśli chcesz tutaj sięgnąć po władzę, musisz używać przemocy.

– I klaksonu! – dodała Ania ponuro. Niespodziewanie wjechała między dwa samochody, niemal otarła się o autobus pełen gapiących się ze zdumieniem turystów, skręciła w boczną uliczkę i zaparkowała tak szybko, że zawartość torebki Farah wysypała się na podłogę, a Paul walnął głową o przednią szybę. – Jesteśmy na miejscu.

Redakcja „Moskovskoj Gaziety” mieściła się na drugim piętrze szarego pięciopiętrowego budynku. W holu obwieszonym plakatami pełnymi haseł pisanych cyrylicą czekał na nich młodszy z szeroko otwartymi ramionami. Redaktor naczelny Roman Jankowski wyglądał jak młodsza wersja żydowskiego Tewje mleczarza z musicalowej wioski Anatewka i swoją jowialną powierzchowność czerpiącego przyjemność z życia ozdabiał dodatkowo gęstą brodą i miłym uśmiechem. Uściskał Paula jak marnotrawnego syna, a potem złożył na dłoni Farah niemal nabożny pocałunek, składając przed nią głęboki wiernopoddańczy ukłon.

– Witaj, Farah, Paul dużo mi już o tobie opowiedział – zaczął uprzejmie. – A ja wciąż wierzę w każde jego słowo. Nie potrafię inaczej. Dziś w nocy uratował mi życie!

Jego śmiech zadudnił w holu. Widząc, jak z entuzjazmem wali przy tym dłońmi w uda, Farah miała wrażenie, że zaraz zaczną tańczyć kozaka. Lecz zamiast tego Roman Jankowski z wielką galanterią ujął ją pod ramię i poprowadził niemalowanym korytarzem, który przypominał jej korytarz w jej starej szkole, z o wiele za wysokim sufitem i pajęczynami w rogach. Przez wysokie okna widziała żywo rozprawiających ze sobą dziennikarzy „Moskowskiej Gazety”.

– Przez Moskwę znowu przelewa się fala terroru – wyjaśnił Jankowski gorączkowy ruch w redakcjach. Jego twarz spoważniała.

– Rozumiem, że nie zawsze tak do końca wiadomo, kim są terroryści – stwierdziła Farah.

– Tym bardziej jest to wszystko niepokojące.

Przeszli obok wielkiej szklanej witryny z portretami młodych kobiet i mężczyzn, klasycznym komputerem Apple, perskim szalem z plamami krwi, kartką świąteczną od Billa Clintona i dobrze zachowanym egzemplarzem książki *Weapons and Fighting Arts of the Indonesian Archipelago*.

– Kto tu jest fanem sztuk walki? – spytała Farah, która zatrzymała się zaskoczona przy witrynie.

– Ona była. – Roman Jankowski pokazał zdjęcie młodej dziewczyny. – Elena Wertyńska.

– Była?

– To nasz kącik pamięci. Nasze skromne mauzoleum. Zdjęcia przedstawiają dziennikarki i dziennikarzy „Moskowskiej Gazety”, którzy w minionych latach zostali zamordowani. Elena zajmowała się wyjaśnianiem przypadków prania brudnych pieniędzy i handlu bronią. Natrafiła na ślady, które wydawały się prowadzić wprost do Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Wkrótce potem poważnie zachorowała. Doktorzy stwierdzili u niej dziwną alergię. Trzy dni później już nie żyła. Nikomu nie pozwolono zobaczyć jej papierów ze szpitala. Nawet rodzinie. Przypuszczamy, że została otruta.

– A to kto? – spytała Farah, pokazując przystojnego mężczyznę, który nieco przypominał jej Joshuę Calvina.

– Siemion Domnikow – wyjaśniał Jankowski. – Pracował dla nas jako wolny strzelec. Został zabity przez nieznaną sprawców po napisaniu artykułu o rosyjskim dowódcy, podejrzanym o to, że kazał rozstrzelać na miejscu wszystkich mężczyzn z jednej z czeczeńskich wiosek. – Spojrzał na nią przeprasząco. – Nie gniewaj się na mnie. Ledwie się z tobą przywitałem, a już epatuję cię śmiercią.

– Jak to w Rosji – prychnęła Ania.

– Jak to u niewychowanego zapraszającego – stwierdził Jankowski z uśmiechem i ponownie podał Farah ramię, prowadząc ją do swojego biura.

– Już miałem zamiar zamknąć „Moskowską Gazetę” – powiedziała, kiedy usiedli we czwórkę przy wielkim owalnym stole. Ściany były przyozdobione zdjęciami rodzinnymi i czarno-białymi zdjęciami przedstawiającymi Romana Jankowskiego z dawnymi głowami państw, między innymi Billem Clintonem i Michaiłem Gorbaczowem. – Ale wtedy Ania i jej koledzy przekonali mnie, że jeśli zamkniemy nasz tygodnik, to nikt inny nie będzie kontynuował naszej pracy. Jesteśmy ostatnimi Mohikanami wolnej prasy w Rosji.

Rozstawił na stole filiżanki, Ania rozlała kawę z dzbanka.

– Czy może macie ochotę na coś mocniejszego?

– Poproszę wodę – powiedziała Farah. – I jeśli się dało, to jakąś aspirynę.

Ania wyszła z gabinetu i po chwili wróciła ze szklanką wody i listkiem aspiryny.

– Nie do końca rozumiem, jak to jest – zaczęła Farah, kilkoma haustami opróżniając szklankę

po zażyciu trzech aspiryn – że wasi dziennikarze są zastraszani albo zabijani, kiedy wsadzą nos za głęboko w nieswoje sprawy, a „Moskowskaja Gazieta” nadal może sobie wychodzić. Jak to się ma jedno do drugiego?

Jankowski wskazał na oprawione w ramki zdjęcie, przedstawiające ubranego w markowy garnitur człowieka, który stoi obok Potanina, i obaj demonstracyjnie trzymają w ręku „Moskowską Gazietę”.

– To nasz główny sponsor, Wasilij Nevinny, razem z naszym ukochanym prezydentem – powiedział z nalezną ironią. – Chociaż brzmi to być może kompletnie nielogicznie, to dla ludzi Kremla istnienie naszej gazety ma znaczenie głównie piarowe. „Popatrzcie – mogą powiedzieć do wszystkich krytyków z Zachodu – niepokorne dziewczęta i chłopcy z »Moskowskiej Gaziety« mogą o nas pisać co tylko czczą. A wy będziecie twierdzić, że w Rosji nie ma wolności prasy?”

– Dziwne to wszystko – stwierdziła Farah.

– To prawda. Ale jest też jeszcze drugi powód, który jest równie dziwny – objaśnił Jankowski. – Naszymi krytycznymi artykułami informujemy zarazem tych z Kremla, co tak naprawdę myśli o nich ulica. Załóżmy, że „Moskowską Gazietę” czytają doradcy Potanina oraz *siłowiki*, czyli chłopcy ze służby bezpieczeństwa FSB. Większość informacji dostarczanych przez ich agentów kompletnie nie trzyma się kupy. To od nas dowiadują się, co naprawdę dzieje się w społeczeństwie. Zdradzę wam teraz pewną tajemnicę. – Jankowski pochylił się przez stół w stronę Farah i dorzucił konspiracyjnym szeptem: – Tak naprawdę jesteśmy tajnymi współpracownikami FSB.

Jego dudniący śmiech wypełnił gabinet.

– Już niedługo Roman dostanie medal od naszego prezydenta, że pracuje już tutaj dwanaście i pół roku – dodała Ania, uśmiechając się krzywo.

– No to gratulacje – skostatowała Farah. – Ale chyba nie z tego powodu nas tutaj zaprosiliście.

– To prawda – Roman popatrzył na Paula. – Powiedziałeś jej coś?

– W wielkim skrócie – odrzekł Paul.

– No, dobrze. Jak ci być może wiadomo, Farah, w ostatnich latach Potanin wypowiedział wojnę bogatym rosyjskim biznesmenom, którzy występują przeciwko niemu. Najważniejszym z nich był Aleksandr Zjuganow. Trzy lata temu po pokazowym procesie o rzekome uchylanie się od podatków i fałszowanie księgowości został zesłany do obozu karnego na Syberii. Wszystkie udziały w dawnym koncernie energetycznym Zjuganowa o nazwie NovaMost zostały przekazany świeżo utworzonej firmie AtlasNet, na której czele stała wschodząca gwiazda biznesu, Walentin Ławrow. Jak dotąd wszystko jasne?

– Jak najbardziej – odpowiedziała Farah. Stwierdziła, że chyba już mniej boli ją głowa. – Wygląda mi to na znakomity plan. Pozbywasz się swojego najgroźniejszego przeciwnika, a jednocześnie zapewniasz sobie bogatego zwolennika. Domyślam się, że Ławrow uważa swojego prezydenta za sprytnego gościa.

– Prywatnie Ławrow i Potanin są dobrymi kumplami – objaśnił Jankowski. – Dlatego podjęliśmy kiedyś próbę przesłedzenia przepływu środków. Robiliśmy to bardzo ostrożnie bardzo powoli. To bardzo rozbudowana i mało przejrzysta siatka. Całkiem niedawno natrafiliśmy jednak na dokumenty, z których wynika, że Potanin wprawdzie rzeczywiście ponad połowę udziałów podarował Ławrowowi, ale czterdzieści pięć procent zachował dla siebie.

– Innymi słowy wasz prezydent nie tylko pozbywa się oponentów, ale też bogaci się, przywłaszczając sobie ich udziały? – stwierdziła zszokowana Farah, a potem popatrzyła

przenikliwie na Jankowskiego. – I będziecie mieli odwagę to opublikować?

– Spróbuj teraz zestawić rezultaty naszego śledztwa z tym, co przed chwilą usłyszałaś o Elenie Wertyńskiej, Siemionie Domnikowie i innych zabitych dziennikarzach i zrozumiesz nasz dylemat. I ten właśnie dylemat jest powodem, dla którego poprosiłem ciebie i Paula, żebyście tutaj przyszli.

– A więc macie obciążające dokumenty, które ponadto są zagrożeniem dla państwa – zakonkludowała Farah – i szukacie teraz zagranicznej gazety, która będzie miała odwagę to opublikować, ponieważ dla was to zbyt niebezpieczne. Zgadza się?

Jankowski przytaknął uroczyście.

– W naszym zawodzie zawsze trzeba mieć nadzieję, że kiedyś będzie lepiej, ale w przypadku Ławrowa, a przede wszystkim Potanina, z pewnością trzeba być przygotowanym raczej na najgorsze. Dodaj jednak wyniki naszego śledztwa do tego, co odkrył niedawno Paul, czyli ciemne interesy Ławrowa z udziałem członków rządu RPA, dotyczące koncesji na wydobycie surowców. Dodaj to do śladu, jaki prowadzi od afgańskiego chłopca poprzez waszego ministra pośrednio do AtlasNetu. To już są trzy sprawy, w które właściwie trzeba by już było włączyć Interpol. Z drugiej zaś strony, jeśli udałoby nam się połączyć siły i zbadać tę skomplikowaną sprawę do samego końca, to wyświadczylibyśmy światu, tak z dziennikarskiego punktu widzenia, całkiem niezłą przysługę, prawda? Pytanie brzmi zatem raczej: czy jesteśmy gotowi to zrobić i czy mamy na to odwagę?

– Zapominasz jeszcze o czwartym aspekcie – wtrąciła Ania. – AtlasNet ma monopol na przesyłanie gazu. Od lat wykorzystuje gaz jako element szantażu. Kraje dawnego bloku wschodniego, które za bardzo flirtują z Zachodem, nagle zostają odcięte od dostaw. AtlasNet posuwa się nawet do tego, że w najróżniejszy sposób stara się stopować próby krajów Unii Europejskiej poszukiwania własnych źródeł surowców energetycznych. Nicolas Anglade prowadził śledztwo w sprawie tego rodzaju praktyk i zdaniem waszych mediów popełnił samobójstwo, kiedy na jego komputerze znaleziono materiały świadczące o jego pedofilskich skłonnościach. Ale tak się składa, że materiały te zostały podobno znalezione na jego domowym komputerze. Tymczasem pedofile, nawet jeśli są całkowicie oddani swojej obsesji, to dziesięć razy by się zastanowili, zanim zdecydowaliby się ściągnąć na domowy komputer interesujące ich filmy czy zdjęcia, ryzykując, że przypadkiem zobaczy je ktoś z domowników. Ktoś wgrał te zasoby do komputera Anglade'a i zadbał o to, żeby zostały odkryte. Moim zdaniem bardzo wątpliwe jest też, czy Anglade na pewno popełnił samobójstwo.

Wyglądało na to, że każde jego słowo potwierdza przecucie, jakie Farah miała tej nocy. Z każdą godziną sprawa stawała się coraz bardziej skomplikowana i pogmatwana, a jej macki wysuwały się coraz dalej. Podziałało to na nią przygnębiająco.

– Musimy to omówić z naszym naczelnym – powiedziała ochryple. – Mówiąc najłagodniej, łączy się to z dużymi zagrożeniami.

– O tym właśnie chciałbym z wami porozmawiać – oznajmił Jankowski. – Rozumiem, że Ławrow zgodził się współpracować z wami jako redaktor dodatku kulturalnego. – W pomieszczeniu zapadła cisza. Jankowski pogładził swoją długą brodę. – Słuchajcie, Ławrow prawdopodobnie wie o was w tym momencie o wiele więcej, niż wy kiedykolwiek będziecie się w stanie dowiedzieć o nim. Błędem jest zakładać, że w ten sposób uda wam się przeniknąć bliżej niego, czy też przyłapać go na jakichś obciążających go wypowiedziach.

– Jaka jest alternatywa?

– Nie ma żadnej. Byłoby podejrzane, gdybyście nagle zrezygnowali z tego projektu. Zróbcie

ten dodatek. Ale nie inwestujcie w podchwytliwe pytania. Nie bawcie się w szpiegów. Kiedy dodatek będzie gotowy, musicie to potraktować jako sprawę zamkniętą. Gdy tylko wyjdziemy kiedyś z naszym materiałem dowodowym, zawsze będziecie mogli powiedzieć, że w trakcie pracy nad dodatkiem natrafiliście na pewne fakty, które postanowiliście bliżej sprawdzić. W rzeczywistości będzie odwrotnie, ale u nas w Rosji bez przerwy przekręca się fakty, więc czemu wy nie mielibyście zrobić czegoś takiego chociaż raz?

W tym momencie do pomieszczenia weszła młoda kobieta. Powiedziała coś po rosyjsku do Jankowskiego i włączyła wielki telewizor stojący w rogu. Na ekranie pokazał się gruby mężczyzna w szarym garniturze. Trzymał w rękach duży błyszczący worek i przemawiał do kamery w wyraźnie żartobliwym tonie.

– To burmistrz Moskwy – wyjaśnił Paul. – Właśnie mówi, że udało się właśnie ustalić, że w tym budynku, w którym znaleźliśmy dzisiaj w nocy worki z heksogenem, wcale nie miał miejsca atak terrorystyczny, tylko ćwiczenia służb. W workach bowiem wcale nie było heksagenu.

– To co w takim razie jego zdaniem było? – spytała Farah, widząc w telewizorze, jak burmistrz triumfalnie podnosi worek w górę.

– Cukier! – wyjaśniła Ania z cierpkim uśmiechem.

Ania Kozłowa pędziła przez Moskwę do Muzeum Puszkina, zupełnie jakby za chwilę miał nastąpić koniec świata. Za długo im zeszło w „Moskowskiej Gazietie”. Paul i Farah konferowali przez telefon ze swoim szefem w Holandii.

Ich zdaniem sprawa współpracy była bliska załatwienia, ale konieczne były jeszcze jakieś rozmowy na szczeblu dyrektorskim.

Ale czy coś z tego wyjdzie, czy też nie, spóźnienie się na wystawę nie wchodziło w grę. Sztynno ustalony program wizyty holenderskiej delegacji gospodarczej, która rozpoczęła się dzisiaj rano od złożenia wieńca przy Grobie Nieznanego Żołnierza, przewidywał potem posadzenie w Parku Gorkiego sześćdziesięciu pięciu tysięcy cebulek tulipanów, a za dziesięć minut miał się zacząć pokaz w Muzeum Puszkina.

Ania zignorowała znak zakaz wjazdu i pędziła swoją skodą pod prąd ulicą jednokierunkową, dzięki czemu pięć minut później, okazując karty prasowe, a Farah swoją kartę vipowską, wszyscy troje przeszli przez kordon ochroniarzy. Znaleźli się w wielkiej sali, gdzie w tym momencie puszczano z rzutnika obraz rozgwieżdżonego nieba w stylu van Gogha i gdzie Paul nagle uskoczył za marmurowy filar, podczas gdy Farah poszła dalej, w stronę towarzystwa skupionego wokół Walentina Ławrowa.

– Co z tobą? – spytała Ania.

– Widzisz tego starszego gościa z łysą głową? – odpowiedział pytaniem na pytanie Paul. Ania rozejrzała się i zobaczyła tego człowieka przy Ławrowie. Miał nos jastrzębia i twarz emerytowanego sępa.

– Arsenij Wakurow – wymamrotał Paul. – Mój osobisty chirurg plastyczny. Ostatnio zafundował mi w Johannesburgu darmowy lifting twarzy. Jak mi wyjmą klamry i zdejmą opatrunki, będę wyglądał o dwadzieścia lat młodziej.

W tym momencie zaczęły dzwonić i wibrować wszystkie komórki, zupełnie jakby jakiś niewidzialny dyrygent dał sygnał orkiestrze złożonej z elektronicznych dzwonek. Odezwała się też komórka Ani. Dzwonił Roman, żeby jej powiedzieć, że duża grupa zamaskowanych kobiet i mężczyzn wdarła się do Mass Media Center przy Uniwersytecie Moskiewskim i wzięła zakładników – dwuosobową grupę zagranicznych studentów biorących udział w International Summer School.

W sali powstał niesłychany zamęt, gdy dotarła informacja, że dużą część zakładników stanowią studenci z Holandii. Ania zobaczyła, że w środku tego chaosu Ławrow z pozornym spokojem mówi coś do Farah, a następnie idzie z nią przez tłum. Jego ochroniarze pod wodzą sępa całkowicie odgradzali ich od obecnych.

Ania wybiegła z Paulem po szerokich schodach. Zobaczyli, jak Ławrow i Farah wsiadają do drugiego ze stojących przy głównym wejściu dwóch czarnych SUV-ów Bentley Falcon, które zaraz odjechały pełnym gazem.

– Żeby chociaż raz coś mogło być łatwe. – Ania westchnęła i pobiegła do swojej



zaparkowanej gdzieś kątem skody.

Farah siedziała obok Ławrowa na tylnej kanapie falcona i próbowała opanować narastający strach. Jechali przez pełne szarych betonowych bloków mieszkalnych obrzeża miasta.

– Straszna rzecz, ta sprawa z zakładnikami – powiedział Ławrow, starając się ją jakoś uspokoić. – Ale jestem przekonany, że władze zrobią wszystko, żeby znaleźć jakieś rozwiązanie. Nie pozwólmy, żeby to wydarzenie zepsuło nam taki piękny wieczór.

– Miał mi pan pokazać coś szczególnego? – przypomniała mu Farah.

– Szczególna kobieta zasługuje na coś szczególnego – stwierdził Ławrow z uśmiechem. Jego uśmiech był zagadkowy.

Za miastem minęli sznur zaparkowanych na poboczu wojskowych ciężarówek. Zobaczyła całe kolumny żołnierzy kopiących rowy przeciwpożarowe. Przypomniała sobie, co mówił Roman Jankowski: zawsze trzeba mieć nadzieję, ale w przypadku Ławrowa z pewnością trzeba być przygotowanym raczej na najgorsze. Przypomniała sobie też, co powiedział jej kiedyś ojciec, że musi czuć strach, żeby mogła go pokonać. Zbroiła się wewnętrznie na walkę. Ławrow zauważył jej nerwowość.

– Wszystko w porządku, Farah?

– Nie lubię niespodzianek – zauważyła. – Nawet jeśli mają być szczególne.

– W tym względzie rzeczywiście nie pozostawię ci wielkiego wyboru – odrzekł.

Gdyby była bardziej naiwna, mogłaby zinterpretować jego uśmiech jako szarmancki. Lecz intuicja mówiła jej, że to jest uśmiech człowieka z gruntu pozbawionego empatii. Że musi próbować się stąd wyrwać, i to jak najszybciej. Była przygotowana na najgorsze.

Samolot gaśniczy przeleciał nad dymiącymi terenami. Warstwa mokrego popiołu zrobiła się jakby cieńsza. Jechali wzdłuż kilometrowej długości zielonego żywopłotu i zatrzymali się przy szerokiej bramie, przy której ze szklanej wartowni wyszli ochroniarze.

Obydwa falcony ruszyły w górę wzniesienia, w stronę postmodernistycznej rezydencji o przeogromnych oknach.

Kiedy Farah wysiadła, poczuła zapach drzew iglastych. Wiatr wiał z południowego zachodu. Powietrze tutaj było czyste, ani śladu smogu. Ławrow od razu poprowadził ją przez wielki dom pełen dzieł sztuki współczesnej. Płataniną szerokich drewnianych schodów dotarli na trzecie piętro.

– Gotowa?

– Mówiłam już, że nie lubię niespodzianek.

– Tę na pewno polubisz, Farah – powiedział Ławrow z uśmiechem. – Tę polubisz.

Rozsunęły się szklane drzwi i weszli do przyjemnie chłodnego, pogrążonego w półmroku pomieszczenia, gdzie słychać było odgłos płynącej wody. Zobaczyła powoli zapalające się światło reflektora. Wąski snop światła padł na obraz przedstawiający Śaradę, boginię rzeki.

– Pamiętam, jakie wrażenie zrobił na tobie ten obraz – zauważył Ławrow. – Widziałem, co się z tobą działo, kiedy zobaczyłaś ten obraz w moim gabinecie w Amsterdamie. Wtedy zaświtał mi plan, by cię tu zaprosić. Bardzo mi przykro, ale wystawa w Muzeum Puszkina to był tylko pretekst. Mam nadzieję, że mi wybacysz.

Farah spojrzała na niego przenikliwie. Była teraz jak bambus. Mocna i elastyczna.

– Nie – powiedziała chłodno. – To daremna nadzieja.

– Wspomniałem ci, że przygotowujemy w Indonezji specjalny projekt. Dzięki temu miliony Indonezyjczyków będą miały lepsze życie. W momencie, gdy zobaczyłem twoje zafascynowanie tym obrazem, ochrzciłem ten projekt mianem „Śarada”.

Farah ponownie spojrzała na obrazek przedstawiający boginię. Patrzenie na niego sprawiało jej wręcz fizyczny ból. Poczuła, jak narasta w niej smutek z powodu śmierci Parwaiza.

– U wybrzeży Jawy powstanie trzydzieści niewielkich elektrowni atomowych. Zdecydowaliśmy się na niewielkie rozmiary, ponieważ mniejsza moc stwarza mniejsze zagrożenie. Rozwinęliśmy projekt elektrowni podwodnych z lat sześćdziesiątych, kiedy to po raz pierwszy eksperymentowano z reaktorami jądrowymi na pokładach okrętów podwodnych. Elektrownie w ramach projektu Śarada nadal przypominają małe okręty podwodne, tyle że bez śrub i broni. Każda elektrownia będzie leżała na dnie morza na głębokości stu metrów. Poza zasięgiem terrorystów, piratów, huraganów i tsunami. I możesz odegrać kluczową rolę w tym projekcie.

– Jak to możliwe? – spytała zaskoczona.

– Wyjaśnię ci. Chodź ze mną.

Zaprowadził ją na wielki taras, skąd mieli widok na okolone drzewami jezioro. Na pokrytym obrusem stole stała butelka szampana w pojemniku z lodem i dwa szklane kieliszki.

– Ten projekt potrzebuje nie tylko symbolu, ale też twarzy. Kogoś, kto będzie uosabiał jego filozofię. Będzie jeździł w różne miejsca, rozmawiał z przedstawicielami rządów, przyciągał inwestorów. I tą osobą, Farah, jesteś ty.

Ławrow otworzył butelkę przy akompaniamencie stłumionego odgłosu wyskakującego korka i napełnił kieliszki musującą cieczą. Farah czuła się kompletnie zbита z tropu, do tego stopnia, że straciła kontrolę nad oddechem. Widziała, że Ławrow chce jej podać kieliszek. Miała taki odruch, żeby zablokować ten jego gest, tak jak zrobiłaby w czasie walki, ale powstrzymała się.

– Dlaczego ja?

– Jesteś ambitna, inteligentna, masz pasję i jesteś nieprawdopodobnie reprezentacyjna.

Ławrow wciąż jeszcze stał z wyciągniętym w jej stronę kieliszkiem.

– Nie, dziękuję – powiedziała zdecydowanie. – Jaki jest rzeczywisty powód?

– Rzeczywisty powód? – Ławrow uniósł brwi. – Nie jestem filantropem, jestem człowiekiem interesu. Chcę podzielić się z tobą zyskiem. Zgódź się dla mnie pracować. To będzie chyba lepsze niż pisanie na zamówienie artykułów o brzydkich oligarchach, prawda, Farah Gailani?

Popatrzyła na niego zszokowana. Roman Jankowski miał rację. Ten człowiek z kieliszkami szampana w dłoniach wiedział o niej wszystko.

– Bardzo chętnie zagram z tobą w otwarte karty, Farah. W Amsterdamie zapytałaś mnie, jak zdobyłem ten obrazek. Otóż, odziedziczyłem go po moim biologicznym ojcu, Grigoriju Michałowie.

– Michałowie był twoim ojcem?

– Nie brałaś tego pod uwagę ze względu na inne nazwisko. Nie ty jedna zresztą. Jestem jego nieślubnym synem.

W tym momencie Farah zrozumiała, co zaszło w Hadze, kiedy Ławrow przejechał obok nich w bentleyu. Jego podobieństwo do ojca sprawiło, że serce Parwaiza odmówiło posłuszeństwa. Jeszcze zza grobu Michalowa dosięgnął kolejną ofiarę.

– Nieślubny czy oficjalny, nie będę dla ciebie pracować – odparła Farah. – Miejscem Śarady jest Muzeum Narodowe w Kabulu. Nie powinna być wykorzystywana przez przestępczego inwestora, któremu marzy się uzależnienie energetyczne możliwie jak największej liczby krajów, bo tylko o to ci tak naprawdę chodzi. Sam to powiedziałeś. Nie jesteś filantropem tylko człowiekiem interesu. I to w dodatku bezwzględny, jeśli wierzyć faktom.

Ławrow odstawił kieliszki z powrotem na stół. Jego spojrzenie się zmieniło. Patrzył teraz na nią lodowatym wzrokiem.

– Skoro już wiemy, kim byli nasi ojcowie, to może w ogóle przestańmy przed sobą udawać?

– Bardzo chętnie – zgodziła się Farah.

– Dobrze wiem, po co tak naprawdę przyjechałaś do Moskwy – powiedział Ławrow. – Było to dla mnie pod wieloma względami bardzo rozczarowujące odkrycie. Z wielką przyjemnością współtworzylibym ten wspólny dodatek o sztuce, którego niestety nie będzie.

Farah poczuła, jak oddech zamiera jej w piersi, chociaż wciąż nie potrafiła sobie wyobrazić, że naprawdę coś może jej grozić. W Muzeum Puszkina wsiadła do falcona w obecności wielu świadków. Paul i Ania na pewno widzieli, jak odjeżdża. Gdyby coś jej się stało, ślady prowadziłyby wprost do tego domu. Ławrow był na coś takiego zbyt szczywany. Musiał mieć jakiś inny plan.

– Mamy dobre kontakty z ambasadą Holandii – ciągnął Ławrow. – Dzisiaj rano zjawił się tam z wizytą inspektor Calvino, przedstawiając bardzo obciążające fakty. Rozumiem, że jesteś z nim dość blisko?

– Nie mieszajmy do tego Calvina, bardzo cię proszę.

– Oczywiście. Ten człowiek wykonuje tylko swoją robotę.

– Ja też.

– O nie, Farah. Ty robisz coś więcej. Sercem i duszą poświęciłaś się tej sprawie. Wiesz już o wiele więcej, niż jest to dobre dla ciebie i dla mnie. Dlatego mam nadzieję, że jeszcze przystaniesz na moją propozycję. Rzucam ci koło ratunkowe, Farah. Czy to rozumiesz?

– Możesz robić, co chcesz, ale nie zrezygnuję z moich zasad. Jeśli pozwolisz, chciałabym już stąd wyjść.

– W takim razie jeszcze tylko ostatnie pytanie – powiedział zdecydowanym tonem. – I bardzo bym chciał, żebyś się dobrze zastanowiła, zanim odpowiesz. Niedaleko stąd wzięto zakładników – kilkuset studentów. Większość z nich przeżyje. Ale moje pytanie brzmi: czy jesteś taka sama, jak tamte czarne wdowy, które biegają w pasach szahida, gotowe poświęcić własne życie dla nieosiągalnej idei?

– Tylko gdybym była do tego zmuszona.

– W takim razie proponuję, abyśmy powrócili jeszcze do mojej propozycji, gdy już napijemy się szampana.

– Ani nawet za milion lat – odpowiedziała. – Poza tym nawet nie rozumiem, o czym mówisz.

– Niedługo się to zmieni.

Zszedł razem z nią na dół i przy drzwiach wyjściowych podał jej dłoń na pożegnanie.

– Moglibyśmy razem dużo osiągnąć, ty i ja. Nie jako przeciwnicy, tylko jako wspólnicy. Taką miałem nadzieję. Ale ty dokonałaś wyboru, Farah. Bardzo mi przykro, że to się tak kończy.

– A mnie wprost przeciwnie. Żegnam.

Z ulgą nabrała powietrza, zмирzając w stronę czekającego przy wjeździe falcona. Lecz kierowca, który stał przy samochodzie, ani myślał otworzyć jej drzwi. Usłyszała za plecami kroki na żwirze. Kiedy się odwróciła, zobaczyła dwóch mężczyzn podchodzących do niej z dwóch stron. Za nimi widać było jeszcze dwóch. Zrozumiała, jakie mają być konsekwencje jej odmowy i usłyszała głos ojca.

„Czy pamiętasz jeszcze, co zrobiłaś, gdy po raz pierwszy poczułaś strach?”

Przyjęła pozycję wyjściową. Prawa dłoń otwarta i skierowana wewnętrzną stroną do przodu. Pierwszy mężczyzna złapał ją za lewą rękę i z całej siły odepchnął w tył. Zamortyzowała ten ruch i zadała mu prawą ręką cios w szczękę, uderzyła go z lewej strony w żebra i kopnięciem prawej nogi posłała go na maskę samochodu. Nie miała czasu na myślenie. Cała jej uwaga skupiała się na kolejnym przeciwniku. Widziała kątem oka, jak się zbliża.

Jej ciało przejął liczący sobie wiele wieków duch zmarłych wojowników, którzy przygotowali się na błyskawiczną i kontrolowaną kontrofensywę. Stała obydwiema nogami w jednej linii i prawą kopnęła w pieszczel drugiego napastnika, jednocześnie odparowując jego cios, żeby zaraz potem z podwójną siłą trafić go kostkami palców w grdykę.

Niskiego kopnięcia, które wyprowadził trzeci napastnik, uniknęła, obracając ciało o sto osiemdziesiąt stopni. Uderzyła go łokciem na wysokości kręgów krzyżowych i złamała mu kręgosłup.

Wtedy usłyszała dźwięk przeładowywania pistoletu i zrozumiała, że czwartego przeciwnika, łysego mężczyzny o oczach drapieżnego ptaka, nigdy nie zdoła pokonać, ponieważ on wcześniej wpakuje jej kulę między oczy.

Od czasu lania, jakie dostał w Ponte City, Paul odczuwał gwałtowną nienawiść i chęć zemsty na kondorze. Od chwili, kiedy zauważył go w Muzeum Puszkina, czuł, jak adrenalina ponownie zaczyna krążyć w jego ciele. Żądza zemsty była tak wielka, że aż zapomniał, że jadą za Farah. Próbował do niej dzwonić, ale nie udało mu się nawiązać połączenia.

Nie mieliby szans dogonić skodą dwóch czarny falconów, które pełnym gazem mknęły przez przedmieścia, ale Ania domyśliła się, dokąd jadą.

– Ławrow ma wielką posiadłość nad jeziorem Głubokoje. Na pewno tam właśnie jadą!

Falcons definitywnie zniknęły im z pola widzenia, gdy mijali kolumnę wojskowych ciężarówek, dowożących coraz to nowych żołnierzy do walki z pożarami lasów.

– Posiadłość Ławrowa! – zawołała Ania, pokazując na lewą stronę drogi, gdzie Paul zobaczył wysoką i niewątpliwie podłączoną do prądu zieloną siatkę, która wyznaczała sztuczną granicę między asfaltem a rzędem świerków. Minęli wjazd z czarną, metalową bramą, przy której barczyści mężczyźni w ciemnych kombinezonach siedzący w budce z kuloodpornego szkła, natychmiast podnieśli wzrok na przejeżdżającą skodę.

Ania docisnęła pedał gazu.

– Znam bezpieczniejsze wejście – powiedziała z uśmiechem.

Chwilę później skręciła w wyboistą piaszczystą drogę. Skoda podskakiwała na wybojach i kamieniach, jadąc wzdłuż zielonej siatki, coraz bardziej zbliżającej się do brzegu jeziora. Paul domyślił się, że objeżdżają zatoczkę. Ania coraz częściej zerkała przez szybę z lewej strony. Paul patrzył na nią podejrzliwie, ale ona uparcie milczała. Po paru minutach pokazała coś między drzewami.

– Willa Ławrowa!

Zmniejszyła prędkość, postawiła skodę za jakimś krzakiem, chwyciła aparat fotograficzny i walizkę z obiektywami i pognęła z boczem stromego pagórka, który niespodziewanie okazał się wyższy od ogrodzenia.

– Musimy uważać, ochroniarze jeżdżą tędy dżipami – wydyszała.

Po drugiej stronie zatoczki Paul zobaczył wielką postmodernistyczną posiadłość z ogromnymi oknami. Dwa falcons zaparkowały na podjeździe. Tuż przy nich stał jeden z kierowców, nonszalancko paląc papierosa. Nigdzie nie widać było specjalnego ruchu.

– Widzę ją – syknęła Ania, kierując długi teleobiektyw w stronę willi. Paul dostrzegł dwie małe postacie na rozległym tarasie i usłyszał powtarzający się raz za razem dźwięk migawki. Ania korzystała z nikona jak z lunety snajpera.

– Niedobrze, cholera, niedobrze! – wymamrotała, widząc, że Farah i Ławrow wchodzą do środka.

Rozległ się dźwięk silnika. Gdzieś daleko wzdłuż ogrodzenia jechał w ich stronę dżip.

– Musimy się wynosić – powiedziała Ania. Chciała od razu zejść z pagórka, ale Paul ją powstrzymał. Wziął od niej nikona i zobaczył, jak Farah wychodzi z willi, a za nią kilku

mężczyzn, między innymi ten, któremu życzył śmierci – kondor. Dżip jadący wzdłuż ogrodzenia zbliżał się coraz bardziej.

– Musimy już iść, Paul – popędzała go Ania, ale Paul cały czas robił dalej zdjęcia. Trzej mężczyźni, którzy okrążyli Farah, zostali przez nią w mgnieniu oka unieszkodliwieni.

– O rany! – usłyszał głos Ani. – Ta kobieta to prawdziwa lwica.

Lecz lwica zamarła, kiedy kondor przyłożył jej pistolet do głowy. Z workiem na głowie Farah została wepchnięta do bagażnika falcona.

Ania pociągnęła Paula za sobą. Wskoczyli do skody. Dzięki zatoczkom wzdłuż ogrodzenia udało im się pozostać poza zasięgiem wzroku ochroniarzy z dżipa. Tuż po tym, gdy wyjechali z powrotem na utwardzoną drogę, Paul zobaczył, jak czarny falcon z Wakurowem za kierownicą na pełnym gazie wyjeżdża z bramy.

Bardzo szybko stracili go z oczu, ale parę kilometrów dalej ruch został wstrzymany przez wojsko w związku z niebezpieczeństwem przerzucenia się pożaru na drugą stronę drogi. Już z daleka zobaczyli, że falcon jako jedyny z samochodów skręcił na pobocze i jechał dalej. Podczas kiedy ogień szalejący po lewej stronie groźnie wypluwał na drogę płonące resztki gałęzi, Ania bezlitośnie docisnęła pedał gazu. Paul odruchowo zamknął oczy, gdy przejeżdżali przez blokadę, tak że nie widział wściekłych min żołnierzy.

Z powodu deszczu żarzących się na czerwono gałęzi i gęstego, tłustego dymu snującego się nad drogą, także falcon zmniejszył nieco prędkość. Aż do przedmieść Moskwy Ani udało się za nim utrzymać.

– *Cziort wazmi!* – wykrzyknęła, kiedy zbliżyli się do centrum. – Jak nic jadą do Siedmiu Sióstr!

Paul znał tę nazwę wieżowców, które powstały jeszcze za czasów Stalina, a w których teraz mieścił się Uniwersytet Moskiewski. To tam właśnie czeczeńscy porywacze przetrzymywali kilkuset studentów.

Zbliżyli się do ogromnego kompleksu budynków na kilkaset metrów, gdy natknęli się na czołgi i wojskowe transportery opancerzone, którymi obstawiono teren. Ze zdumieniem zobaczyli, że falcon został przepuszczony.

Chalim Barchajew, generał brygady z samobójczego oddziału tzw. smiertników, rozejrzał się po audytorium i zobaczył, że jest dobrze. Większość studentów zebrał w tej dużej sali wykładowej, pozostałych w trzech przylegających pomieszczeniach. W kilku strategicznych miejscach kazał rozmieścić pułapki bombowe. Na jego rozkaz czternaście czarnych wdów i pozostali członkowie oddziału miało się natychmiast wysadzić. Wiedział doskonale, że czeczeńskie kobiety są gotowe na wszystko za odrobinę pieniędzy, wizję rajy i honor pomśzczenia ich mężów i braci zamordowanych przez Rosjan.

Przyjechali do stolicy o różnym czasie i z różnych miejsc. Niektórzy spędzili w podróży wiele dni. Dzisiaj rano zjechali tutaj spod miasta busami. Wszyscy zebrał się punktualnie o umówionym czasie. Przeszli przez park przed Siedmioma Siostrami, tak jak codziennie robią to turyści i studenci. Wszystko wyglądało całkiem zwyczajnie. Młodzi ludzie zmierzający w stronę uniwersytetu z dużymi torbami i plecakami, żeby brać udział w letnich kursach.

Prawie nic nie mówili. Nie musieli zresztą nic mówić, bo wiedzieli, jakie mają zadanie i każdy robił swoje. Większość kobiet nie miała żadnego doświadczenia w akcjach z braniem zakładników, ale zostały dobrze poinstruowane, trenowały przez wiele dni i były mocno zmęczone. Wszyscy wiedzieli, że mają umrzeć. Z takich operacji nie wychodziło się z życiem. Chyba że ktoś nazywał się Chalim Barchajew, którego Moskwa już wielokrotnie ogłaszała martwym, ale on za każdym razem powstawał jak Feniks z popiołów, objawiając się przy kolejnym porwaniu czy wzięciu zakładników, co zawsze kończyło się fatalnie.

W perspektywie korytarza zobaczył zbliżającego się człowieka z ptasią głową, popychającego przed sobą związaną kobietę o długich czarnych włosach. Przez moment Barchajew myślał, że to bojowniczką. Gdyby tak było, to jeśli o niego chodzi, nie powinna ginąć. Natychmiast wzięłby ją jako piątą żonę, a pozostałe cztery wygnał z domu.

– Ona będzie główną atrakcją – powiedział człowiek o głowie drapieżnego ptaka po rosyjsku.  
– Finałowy numer. Ale najpierw zrobimy z niej gwiazdę filmową.

Jest na to za piękna, pomyślał Chalim. Wiedział jednak, że nie ma wyboru. Władza tego, który zapłacił mu za tę akcję, była zbyt wielka.



Po drugiej stronie cyfrowej kamery stojącej na wąskim statywie, kondor obojętnym ruchem przyłożył lufę pistoletu do głowy młodej studentki, która błagała, żeby darować jej życie, i popatrzył na Farah z niemalże znudzonym uśmiechem.

– A teraz gadaj, to, co masz powiedzieć, suko. I masz to zrobić z przekonaniem. W ten sposób uratujesz życie tej dziewczyny.

– Co mam mówić? – wydusiła z siebie Farah. Dygotała z rozpaczy na całym ciele.

– Powtarzaj! – powiedział kondor. – Ja, Farah Hafiz...

– Ja, Farah Hafiz...

– ...popieram dżihad przeciwko zbrodniczemu reżimowi prezydenta Potanina.

Nagle zobaczyła w rogu sali swojego ojca.

– *Padar* – powiedziała błagalnie w ciszy, jaka ją otoczyła. – Błagam, pomóż mi. Daj mi mądrość, abym mogła zrobić, to co powinnam zrobić.

– Daj im to, czego żądają – powiedział jej ojciec. – Uratujesz dzięki temu jedno życie, *bachem*.

Farah powtórzyła to, co nakazał jej kondor, on jednak mocniej przycisnął lufę pistoletu do skroni skomlącej dziewczyny i zagroził, że pociągnie za spust.

– Wysokie jury uznało twój występ za dość, jakby tu powiedzieć, amatorski, a ty musisz być bardziej przekonująca – sapnął.

Farah wzięła głęboki oddech. Miała wrażenie, że zaraz zacznie się dusić. Przypomniała sobie, w jaki sposób zmasakrowała swoją rosyjską przeciwniczkę na gali w teatrze Carré i z furią wyrzuciła z siebie tekst do kamery.

– Ja, Farah Hafiz, popieram...

Nie usłyszała odgłosu wystrzału. Zamiast tego kondor uderzył ją otwartą dłonią w twarz.

– Oczywiście zawsze można przesadzić, suko.

**W** centrum kryzysowym panował chaos, prawdziwy kocioł czarownic, pełen przekrzykujących się mądralińskich, którym się zdawało, że to właśnie oni najlepiej wiedzą, jak uwolnić zakładników.

Uwagę Paula w tym pandemonium zwrócił fakt, że nie było tu ani jednego przedstawiciela władz, podczas gdy Chalim Barchajew wyraźnie powiedział, że będzie rozmawiał wyłącznie z przedstawicielami Kremla. Patowa sytuacja, ponieważ prezydent Potanin nie rozmawia z terrorystami. Nawet w sytuacji, kiedy większość z dwustu zakładników stanowią zagraniczni studenci. Roiło się natomiast od pracowników zagranicznych ambasad.

– Chodź – powiedziała Ania. – Nie mamy tu czego szukać.

Kiedy już wyszli na dwór, podeszła do karetki, gdzie zostawiwszy Paula poza zasięgiem swojego głosu, przez jakiś czas negocjowała z dwoma sanitariuszami. Po skończonej rozmowie zamachała do Paula. Kilka minut później szli w białych lekarskich ubraniach i naręczem leków w kierunku kordonu żołnierzy otaczającego budynku. Tam Ania dość nieporadnie, ale z sukcesem, przekonała żołnierzy, że właśnie dostała zgłoszenie, że kilku spośród zakładników potrzebuje natychmiastowej pomocy medycznej. Kiedy już byli pod budynkiem, dokładnie wiedziała, gdzie mają iść.

– Studiowałam tutaj, pamiętasz?

Przez drzwi od piwnicy dostali się dwa piętra wyżej.

– Skoro my możemy coś takiego zrobić, to czemu wojsko tego nie robi? – spytał Paul zdyszczanym szeptem.

– W którymś momencie tak się pewnie stanie – powiedziała Ania. – Gdzieś tam za rogiem widziałam chyba chłopaków ze specnazu. Ale dowódcom na Kremlu zależy na tym, żeby podgrzać atmosferę do punktu wrzenia. Może nawet chodzi o to, żeby zginęło paru zakładników, kto to wie? Zdejmij kitel!

– *Żurnalisty!* – wołała, kiedy szli przez ciemny, wyłożony kafelkami korytarz. Wcisnęła Paulowi do ręki nikona. Po paru sekundach byli już otoczeni przez trzy kobiety w czarnych chustach i z pasami szahida.

– Ania Kozłowa z „Moskowskiej Gaziety”. Przychodzę do Chalima Barchajewa.

W przerobionej na centrum dowodzenia stołówce Paul zobaczył mężczyznę o groźnym spojrzeniu i rysach twarzy fanatycznego imama. Tyle że ten człowiek był obwieszony granatami i nie miał na sobie przepisowej białej szaty, tylko wojskowy mundur polowy w kolorze khaki i karabin AK 47 przewieszony przez ramię. Kiedy zobaczył Anię, na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech, a lufa automatu skierowała się w jej stronę.

– Wiesz chyba, co robimy z rosyjskimi szpiczlami? – rzucił ze śmiechem.

– Wyluzuj, Chalim, nawet nie wiesz, ile musiałam przejść, że się tu do ciebie dostać – odpowiedziała.

Ku zdumieniu Paula padli sobie w ramiona. Zaraz jednak uświadomił sobie, że ona blefuje.

Słyszał to po sposobie, w jaki mówiła. Udawała brutalną zwolenniczkę terroryzmu, i to jej się udawało.

– A ten to kto? – spytał Barchajew, wskazując lufą automatu na Paula.

– Mój fotograf.

– Wygląda, jakby naraził się wielu ludziom.

– To prawda – rzuciła w odpowiedzi. – To najgorszy fotograf, jakiego znam.

Jego śmiech pasowałby bardziej do knajpy niż do tej stołówki, gdzie w tle słychać było pochlipywania zakładniczek.

– Jakie masz plany, Chalim? – spytała Ania spokojnie.

– Prosta rzecz: umrzeć – odparł z uśmiechem.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu. I wszyscy zakładnicy umrą razem z nami. Bo i tym razem żaden z chłopców z Kremla nie raczy się tu pokazać.

– Ale przecież jesteście w stanie wojny z Rosją, a nie z resztą świata. Większość tych studentów to nie Rosjanie.

Nagle Barchajew zrobił się jakby nieśmiały.

– Najwyższy czas pokazać światu, że dla tych łajdaków z Kremla żadne życie nie jest święte.

Zabrzmiało to jak slogan wymyślony przez kogoś innego, pomyślał Paul.

– Możemy ich sfotografować? – spytała Ania. – Świat potrzebuje twarzy.

W audytorium śmierdziało strachem, potem i moczem. Smród aż go zatykał. Na ścianie wisiała czarna flaga z jakimś arabskim tekstem. Kiedy po chwili Paul zobaczył Farah, myślał, że jego serce tego nie wytrzyma. Siedziała skulona na krześle, z ustami zaklejonymi szeroką taśmą. Do brzucha miała przymocowany ładunek wybuchowy połączony kablami z laptopem, na którego ekranie cyfrowy zegar odliczał ostatnie trzydzieści minut. Farah pociła się obficie i mimo dusznego gorąca dygotała na całym ciele.

– Prezent od naszego zleceniodawcy – rzucił pogardliwie Bachrajew.

– To znaczy, że od kogo ją dostaliście? – spytała Ania, podczas gdy Paul z nikonem szedł w stronę Farah. Nie usłyszał odpowiedzi Bachrajewa. Widział tylko rosnące przerażenie w oczach Farah. Ale nie patrzyła na niego, tylko na coś za jego plecami. Jeszcze zanim zdążył się odwrócić, poczuł uderzenie kolbą w głowę.

Ocknął się w korytarzu. Stał nad nim Arsenij Wakurow.

– *Pentimento, pentimento. Żałuj, żałuj!* – Wakurow popisывał się, jakby dostał główną rolę w *Pierścieniu Nibelunga*. – Jesteś niewyuczalny, Chappelle!

But Wakurowa trafił go w przeponę, odbierając oddech. Potem przydepnął mu lewe ramię. Nieporadna próba zasłonięcia się drugą ręką, nie zdołała zapobiec temu, że drugi but Wakurowa kopnął jego głowę jak piłkę.

Wiedział, że zostanie skopany na śmierć. Wymiotował krwią. Potem znieruchomiał na podłodze. Nad sobą słyszał ciężki oddech.

Wakurow stał nad nim i patrzył.

– Tak to żadna radocha. Leżysz jak jakiś cwel. Wstawaj!

Paul z trudem podniósł się na czworaki. Poszukał oparcia na klamce drzwi, wyprostował się i stanął na chwiejnych nogach, kiedy fachowe kopnięcie karate trafiło go prosto w pierś. Paul poleciał w tył i plecami rozbił witraż w drzwiach.

Wylądował wśród kawałków szkła i usłyszał jeszcze niewyraźnie ostatnie słowa Wakurowa:  
– I po wszystkim.

Słowa okazały się prorocze, bo kiedy kondor jednym kopnięciem wywalił drzwi z zawiasów, to zanim zdążył wejść do środka, zahaczył o linkę bomby pułapki.

Jeszcze zanim to sobie na dobrze uświadomił, eksplozja rozerwała jego ciało na drobne kawałeczki, które przeleciały tuż nad Paulem.

**M**ajor Siergiej Bołdyriew miał trzydzieści sześć lat i jako dowódca oddziału Alfa Specnazu odpowiadał za operacje specjalne. Już jakiś czas temu razem ze swoimi ludźmi wyskoczył z brzucha latającego czołgu, jak nazywano helikopter Mi-24, który wylądował niedaleko Siedmiu Sióstr.

Przez kilka lat walczył w Czeczenii w ramach siódmej Nowoczerkaskiej Jednostki Specjalnej, likwidując obydwu znanych braci Chalima Barchajewa, Abdula i Mowsara. Gdyby udało mu się dzisiaj zlikwidować najbardziej znienawidzonego potomka klanu Barchajewów, Chalima, byłoby to prawdziwe ukoronowanie jego kariery.

Siergiej zgrupował swoich ludzi w budynku przylegającym do Mass Media Centre. Byli oni wyćwiczeni we wdzieraniu się do zajętych budynków i likwidowaniu przeciwników precyzyjnymi strzałami. Siergiej dostał od przełożonych zielone światło i po eksplozji, którą właśnie usłyszał, nie chciał czekać ani sekundy dłużej.

Pokazał ludziom plany budynku.

– My jesteśmy tu, terroryści siedzą w tym segmencie. Należy się spodziewać, że przy wejściach, tu i tu, zamontowali bomby pułapki. Dlatego przejdziemy tędy, gdzie się nas najmniej spodziewają. Wąskie przejście. Zaraz za nim strzelcy. Jak tylko będziemy w środku, użyjemy granatów hukowych. Zespół ewakuacyjny zabezpiecza tyły. Skupiamy się na strzelcach. Wszystko jasne?

– Tak jest!

Trzydziestu przygiętych do ziemi komandosów pobiegło przez trawnik w stronę audytorium. Wyłamali okna i szklane drzwi kolbami karabinów i odpalili granaty hukowe, których jaskrawe eksplozje w połączeniu z ogłuszającym hukiem na moment sparaliżowały terrorystów, których natychmiast likwidowano po kolei strzałami w głowę. W ten sposób w ciągu paru minut Siergiejowi i jego ludziom udało się uwolnić zakładników z trzech przyległych pomieszczeń i z samego audytorium, gdzie zabito resztę czarnych wdów. Po Barchajewie nie było nawet śladu.

Nagle stanął przed nim człowiek z pokierszowaną twarzą. Ubranie miał zbryzgane krwią i oblepione strzępami ludzkiej tkanki. Panicznymi ruchami pokazywał w stronę młodej kobiety o orientalnej urodzie i z ustami zaklejonymi taśmą, która siedziała przywiązana do fotela. Z powodu osłon na uszy Siergiej nie rozumiał, co ten człowiek mówi, ale od razu zrozumiał, w czym rzecz. Przez mikrofon zawołał, że potrzebuje wsparcia przy rozbrojeniu bomby.

A potem zarządził jak najszybszą ewakuację.

Ukląkł przed kobietą. Od razu rozpoznał zieloną osłonę, wiszącą na jej brzuchu, na której widniał napisem: FRONT TOWARD ENEMY. Była to mina przeciwpiechotna M18A1 Claymore wypełniona setkami stalowych kulek, które po eksplozji lecą w różne strony z prędkością większą niż tysiąc metrów na sekundę. Dwa przewody były podłączone do laptopa z zegarem odliczającym na ekranie.

Siergiej zobaczył, że zostało jeszcze tylko siedem minut. Zdjął ochroniacze na uszy i odbył

krótką rozmowę z pokiereszowanym mężczyzną, który okazał się holenderskim dziennikarzem. Kobieta przywiązana do krzesła była jego koleżanką po fachu. Siergiej odbył oczywiście podstawowy trening w rozbijaniu zapalników czasowych, ale nie miał bladego pojęcia, co zrobić, kiedy ładunek jest podłączony do laptopa. Nie było gwarancji, że uda mu się uratować tę kobietę, a tym samym ich wszystkich. Poleciał tamtemu mężczyźnie, żeby do niej cały czas mówił i przede wszystkim ją uspokajał.

Po wyrazie jej oczu Paul zorientował się, że Farah jest gdzie indziej, gdzieś daleko stąd, zamknięta w pancerzu przerażenia. Wokół niej rozgrywało się pandemonium krzyków, hałasów, wydawanych po rosyjsku rozkazów i chaotycznej bieganiny uciekających studentów. Paul ukląkł przy niej i zaczął do niej przemawiać.

– Farah, to ja, Paul. Wiesz, kim jestem? Farah, słuchaj mnie!

Dowódca komandosów zawołał do niego, że musi ją przytrzymać, żeby się tak nie trzęsała. Musi wykonywać jak najmniej ruchów.

– Stań za nią i nie spuszcza jej z oka!

Paul zrobił, co mu kazano, pochylił się nad Farah i mówił dalej.

– Ja... sama wiesz, jak to jest, nie widziałem cię ponad trzydzieści lat... ale nigdy cię nie zapomniałem... wiesz? I po tych wszystkich latach akurat ty wyciągasz mnie z wraku samochodu! Wiesz, jakie to dla mnie uczucie? Mówię ci, że genialne. Słyszysz, co mówię? Genialne! I nie po to dałem ci się wyciągnąć z wraku samochodu, żebyś teraz...

Oddychała za szybko. Komandos zorganizował jeszcze dwóch dodatkowych ludzi do pomocy. Zastanawiali się gorączkowo, po czym jeden z nich chciał przeciąć drut. Drugi go powstrzymał, ponieważ zauważył coś na ekranie laptopa.

Paul mówił dalej.

– Wyjdziemy stąd, słyszysz? Ty i ja. Więc zostań ze mną. Patrz na mnie, Farah! Patrz na mnie! Nie poddawaj się!

Ktoś podał mu butelkę z wodą i Paul przyłożył ją Farah do ust. Odruchowo zaczęła pić.

– Zrobimy wszystko, żebyś stąd wyszła. Posłuchaj... Patrz na mnie... – Mówiąc to, pochylił się nad nią, żeby móc zobaczyć jej oczy. – Za pierwszym razem... Pamiętasz jeszcze tamten pierwszy raz? Motyle i ogród? Czy widzisz mnie tam...? Czy widzisz, jak stoją przed tobą?

Przez moment wydawało mu się, że widzi w jej oczach błysk zrozumienia.

– Farah...!

Fokker executive jet 70, który wystartował z międzynarodowego lotniska Domodedowo do Amsterdam, był wypełniony zaledwie do połowy. Premier i towarzyszące mu osoby natychmiast przerwali wizytę, ale część delegacji postanowiła jednak pozostać w Rosji mimo ataku terrorystycznego.

Dzięki znajomości z byłym inspektorem, który pracował teraz w służbie bezpieczeństwa państwa, Joshua dostał miejsce w rządowym samolocie. Zanim wystartowali, zadzwonił do Tomasoy, żeby omówić z nim całą sytuację. Tomaso miał wrażenie, że Ministerstwo Spraw Publicznych zamierza zwlekać ze sprawą Lombarda, ale skontaktował się z policją krajową. Powstał plan, żeby na lotnisku Schiphol czekała na Lombarda grupa dochodzeniowa, która zabierze go na przesłuchanie.

Wcale nie uspokoiło to Joshuy, zwłaszcza że Tomaso dał mu do zrozumienia, że jest trochę zamieszania przy śledztwie w związku ze śmiercią Kowaliowa.

– To przykra sprawa, Calvino.

Te słowa Tomasoy cały czas rozbrzmiewały w jego głowie. Tomaso nie był człowiekiem, który miał w zwyczaju nazywać rzeczy „przykrymi”.

Kiedy Fokker już wylądował i został podłączony do rękawa, Joshua czuł serce w gardle. Starał się być możliwie blisko za Lombardem i jego ochroniarzami. Kiedy zbliżali się do bramki, rzeczywiście zobaczył dwóch ludzi z policji krajowej. Towarzyszyło im dwóch żandarmów.

Ogarnęło go poczucie cichego triumfu. Ludzie z policji krajowej patrzyli na niego, a on na nich. Po aresztowaniu skomplementuje ich, może nawet w sposób nierzucający się w oczy poklepie po koleżeńsku po ramieniu. Jego radość ustąpiła jednak miejsca niedowierzaniu, kiedy zobaczył, że Lombard i jego grupa przechodzą niezatrzymywani. Czekający patrzyli za to ze ściągniętymi surowo twarzami w jego stronę. W bramce jeden z inspektorów zastąpił mu drogę. Był o głowę wyższy od Joshuy.

– Inspektor Calvino? – odezwał się chłodno. – Jest pan aresztowany w związku ze śledztwem w sprawie śmierci aresztanta oraz za naruszenie międzynarodowych zasad dyplomatycznych.



Motyle poderwały się w górę, ponieważ nagle stanął przed nią jakiś chłopiec. Twarz miał pokiereszowaną, zupełnie jakby przed chwilą stoczył walkę. Był zlany potem, a jego jasnoniebieskie oczy patrzyły na nią przenikliwie. Znał jej imię, wiedział, kim jest. Pytał ją, czy go widzi. Pytał w języku dari.

– Farah! Widzisz mnie?

Powiedziała, że go widzi, żeby sobie nie myślał, że jest ślepa, ale nie słyszała swoich słów. Jej głos gdzieś się zagubił. Z jej ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Ale wciąż do niego mówiła.

– Widzę cię, Paul. Wiem, kim jesteś.

Chciała go jakoś uspokoić, bo był zlany potem i gadał jak nakręcony. Ona sama była spokojna, była tam, gdzie zawsze chciała być: w ogrodzie, pośród motyli, które fruwały wokół niej. Za wszelką cenę chciała go uspokoić.

– Mnie nie można przestraszyć.

Powiedziała to z największym przekonaniem, na jakie było ją stać, ale nic z tego do niego nie dotarło. Pochylił się nad nią, jego twarz była tuż przy jej twarzy. Widziała krople spływające po jego policzkach i wiedziała, że nie są to krople potu. Jeszcze nigdy nie było tak blisko żadnego chłopca. Słyszała jego oddech przy samym uchu. Czuła, jak staje się coraz lżejsza. Serce biło jej tak szybko, że bała się, że zaraz jej pęknie.

– Farah?

Był to głos jej ojca. Zbiło ją to z tropu.

– Już czas, Farah.

Widziała ojca, stał niedaleko niej, patrzył na nią, tak jak patrzył wtedy, kiedy widziała go po raz ostatni, zanim odjechał czarnym borgwardem.

– *Padar!* – krzyknęła z całych sił.

A wtedy słońce rozpadło się na tysiące rozrzuconych kawałków i stało się ogrodem pełnym motyli białych jak śnieg.

## **Podziękowania**

*Tacie za wszystkie twoje podróże i mamie za to, że dawałaś mu dom.*

*Marianne za twoje zaufanie.*

*Jihane za twoje wspaniałe opowieści.*

*Tomowi za twoje inspirujące towarzystwo i wsparcie.*

*Patricii za twoją wizję Farah i współtworzenie jej świata.*

*Dianie za twoje niecodzienne spojrzenie i precyzyjne analizy.*

*Perry'emu, Susan, Basirowi, Loli, Tubie i Shahierze za cierpliwość i szacunek, z jakim wtajemniczyliście mnie w tyle aspektów życia w waszym rodzinnym kraju.*

*Sehnaazowi i Julianowi za zapoznanie mnie z pencak silat.*

*Tonowi za zaangażowanie, z jakim objaśniałeś mi wszelkie kwestie pracy policyjnej. Stefanowi za dołączanie się we właściwych momentach.*

*Erikowi, Tessie, Lizence, Adowi i Frodo za podbudowę medyczną.*

*Lidy, Johnowi i Annieke za wasze dziennikarskie historie.*

*Paulowi za twoją znajomość systemów monetarnych i Nico za twoje wskazówki.*

*Wszystkim, którzy czytali mój tekst w różnych stadiach jego powstawania i dzielili się ze mną swoimi uwagami: Josje, Michaelowi, André, Henkowi, Bernique, Lilian, Donatowi, Basowi, Lamii, Mo, Roelowi, Janowi, Meike, Clemence, Ivarowi, Annet.*

*I innym.*

*Wielkie dzięki!*

## Table of Contents

[Tytułowa](#)

[Redakcyjna](#)

[Część 1 TANCERKA](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[Część 2 DUCH](#)

- [1](#)
- [2](#)
- [3](#)
- [4](#)
- [5](#)
- [6](#)
- [7](#)
- [8](#)
- [9](#)
- [10](#)
- [11](#)
- [12](#)
- [13](#)
- [14](#)
- [15](#)
- [16](#)
- [17](#)
- [18](#)
- [19](#)
- [20](#)
- [21](#)
- [22](#)
- [23](#)
- [24](#)
- [25](#)
- [26](#)
- [27](#)
- [28](#)
- [29](#)
- [30](#)
- [31](#)
- [32](#)
- [33](#)
- [34](#)
- [35](#)
- [36](#)

### [Część 3 BURZA](#)

- [1](#)
- [2](#)
- [3](#)
- [4](#)
- [5](#)
- [6](#)
- [7](#)
- [8](#)

[9](#)  
[10](#)  
[11](#)  
[12](#)  
[13](#)  
[14](#)  
[15](#)  
[16](#)  
[17](#)  
[18](#)  
[19](#)  
[20](#)  
[21](#)  
[22](#)  
[23](#)  
[24](#)  
[25](#)  
[26](#)  
[27](#)  
[28](#)  
[29](#)  
[30](#)  
[31](#)  
[32](#)  
[33](#)  
[34](#)  
[35](#)  
[36](#)  
[37](#)  
[38](#)  
[39](#)  
[40](#)  
[41](#)  
[42](#)  
[43](#)  
[44](#)  
[45](#)

[Część 4 UPADEK](#)

[1](#)  
[2](#)  
[3](#)  
[4](#)  
[5](#)  
[6](#)  
[7](#)

8

9

10

Część 5 W DOMU

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

Podziękowania